

“Mogłoby się wydawać, że Bernie Chowdhury napisał książkę, która opowiada o nurkowaniu i głębokim, bezlitosnym morzu - w rzeczywistości jednak napisał książkę opowiadającą o miejscu znacznie głębszym i okrutniejszym, o ludzkiej psychice i naszych niespełnionych duszach”.

- Homer Hickham jr., autor książki *October Sky*, która znalazła się na pierwszym miejscu na liście bestsellerów *New York Timesa*

OSTATNIE NURKOWANIE

Śmiertelna wyprawa ojca i syna w głębiny oceanu



BERNIE CHOWDHURY

Śmiertelna
wyprawa
ojca i syna
w głąbiny
oceanu

OSTATNIE NURKOWANIE

BERNIE CHOWDHURY

Wydawnictwo
emitrade Ltd

Warszawa 2005

Wstęp

Wspomnienie rodziny Rouse'ów dręczyło mnie od dawna i jestem pod wielkim wrażeniem wrażliwości, z jaką Bernie Chowdhury opowiada jej historię. *Ostatnie nurkowanie* jest fascynującą i hipnotyzującą lekturą, trudną do odłożenia na bok. Podobnie jak *The Perfect Storm*, jest to pozornie nieskomplikowana historia o zwykłych ludziach, którzy znaleźli się w niezwykłych okolicznościach.

Od ponad trzydziestu lat jestem czynnym płetwonurkiem, instruktorem i nurkiem wrakowym i dobrze znam Rouse'ów - wprawdzie nie osobiście, ale jako typ osoby, często przyciąganej przez nasz sport. Tak naprawdę znam wszystkich nurków, o których jest mowa w tej książce, chociaż osobiście poznałem tylko jednego z nich.

Ponieważ jako jeden z pierwszych nurkowałem na U-352

i jako pierwszy w pełni zbadałem historię U-S5, doskonale rozumiem urok, jaki

U-S69 rzuciło na Rouse'ów. Zatopiony okręt, niezależnie od typu, jest spowity tajemnicą, ale zatopiony niemiecki U-Boot potrafi oczarować naszą wyobraźnię, jak nic innego. Jak i dlaczego zatonął? Kto albo co było na jego pokładzie? Dlaczego w ogóle znajdował się w tym miejscu? Niektórzy nurkowie dostali obsesji, próbując znaleźć odpowiedzi na te pytania, do tego stopnia, że ryzykowali własnym życiem.

Zaangażowali się, często nie zdając sobie z tego nawet sprawy, w śmiertelne współzawodnictwo z innymi nurkami, w grze, której reguł być może nigdy nie pojmą.

Chociaż wycofałem się z poważnego nurkowania na wraki zanim jeszcze nurkowanie techniczne na dobre zadomowiło się w naszym sporcie, ja także przeszedłem ciężki przypadek choroby dekompresyjnej. Co dziwne, moja „niezasłużona choroba” - jeśli istnieje coś takiego - przytrafiła mi się podczas spokojnego nurkowania przy wyspie Guanaja w Hondurasie. Przez lata krążyłem na krawędzi teorii dekompresyjnej, a od czasu do czasu zapuszczałem się na niezbadane terytorium teoretyczne i jakoś unikałem konsekwencji. I nagle, podczas stosunkowo prostego, płytkiego nurkowania, przy zachowaniu wszelkich limitów tabel dekompresyjnych, w moim

rdzeniu kręgowym utworzył się pęcherzyk, uruchamiając serię wydarzeń, która mogła mnie sparaliżować na resztę życia. Na szczęście tak się nie stało, choć w moim ciele został trwały ślad tamtych wydarzeń, jak zawsze, gdy uszkodzony zostaje system nerwowy. Mimo że w miejsce zniszczonej tkanki nerwowej powstały nowe połączenia, czasem, zwłaszcza jeśli się zmęczę, destrukcja spowodowana pojedynczym pęcherzykiem staje się odczuwalna w sposób subtelny, ale niemożliwy do zignorowania. Pan Chowdhury wie, o czym mówię. Podobnie jak on, nadal nurkuję, choć już nie tak głęboko, nie tak długo.

Historia Rouse'ów jest tragiczna nie dlatego, że zginęli, ale dlatego, że odeszli tak niespełnieni. Nawet gdyby udało im się zdobyć artefakt, który ostatecznie zidentyfikowałby U-Boota, ta zdobycz nie usatysfakcjonowałaby ich i nie przyniosłaby im uznania, którego tak desperacko zdawali się pragnąć. Rouse'owie, mimo swoich niepowodzeń towarzyskich i osobistych, byli wspaniałymi ludźmi, w pełni zdolnymi do dokonania wspaniałych czynów. Los przeznaczył im jednak życie w kraju i epoce, w których wielkość jest często odrzucana, postrzegana jako coś antyspołecznego. Choć wierzę, że rozkwitaliby w erze głośnych eksploracji, ich los przeznaczył im życie w takim, a nie innym momencie. Jedynym sposobem, w jaki mogli zaspokoić swoje wygłodniałe dusze, było przyłączenie się do małego, selektywnego, pełnego przygód i potencjalnie zabójczego towarzystwa.

Społeczność nurkowa, mimo wszystkich swoich odwołań do subtelnej kontemplacji piękna podmorskiego świata, jest w zasadzie bardzo surową grupą. Od tych wszystkich, którzy ośmielą się do niej przyłączyć, oczekujemy niemal perfekcyjnych umiejętności i formy, również jeśli chodzi o styl i sposób umierania. Umrzeć podczas nurkowania to jedno, ale śmierć w kiepskim stylu zmazuje wszystkie wcześniejsze laury i dokonania, które ktoś mógł zgromadzić w trakcie swojej kariery nurkowej. Wszyscy nurkowie o tym wiedzą i ta myśl, skryta w zakamarkach naszego umysłu, towarzyszy nam przy każdym nurkowaniu – potrzeba, by- jeśli już trzeba – umrzeć odważnie i godnie, skoro nie można mądrze. Jesteśmy grupą braci i sióstr, którzy podziwiają nurka jaskiniowego, który uparcie trzyma się życia do samego końca, oddychając z butli dopóki nie wyczerpie mu się cały zapas gazu, ale gardzimy tym, który wpada w panikę i umiera, mimo że jego butla jest do

połowy pełna. Obaj nurkowie są tak samo martwi, tak samo głupi, ale jeden wynurza się do naszej wersji Walhalli, podczas gdy drugi zostaje zesłany do nurkowego Czyśćca na całą wieczność.

Czytelnicy, nawet ci, którzy sami nurkują, pokochają tę książkę. Czy zdołają w pełni pojąć charaktery Rouse'ów i innych nurków, które Bernie Chowdhury tak umiejętnie odmalował, nie znając z pierwszej ręki uroku głębi i współzawodnictwa, tego nie wiem. Wiem jednak z pewnością, że Rouse'owie często będą się pojawiać w ich myślach. Mogę mieć tylko nadzieję, że docenią ich również za to, kim chcieli zostać, nawet jeśli to im się nie całkiem udało.

Bernie Chowdhury napisał książkę, która wydaje się badać nurkowanie i głębokie, okrutne morze. W rzeczywistości napisał książkę badającą miejsce, które znajduje się znacznie głębiej i jest o wiele bardziej okrutne, ludzką psychikę i nasze często niespełnione dusze. Powinniśmy mu być wdzięczni za to oświecenie.

HOMER HICKAM

autor bestsellerów *October Sky* i *The Coalwood Way*, który zajął pierwsze miejsce na liście "New York Times'a"

Kontakt na stronie www.homerhickam.com

Zabójcze tajemnice

2 października 1992. Północny Atlantyk, około 60 mil od brzegu, w równej odległości od linii brzegowej New Jersey i Nowego Jorku.

Przez całą noc wiatr nieustannie się wzmacniał. Chris Rouse, szczelnie owinięty w swój śpiwór, opierał się o krawędź koi i zbierał siły. Nie czuł się najlepiej - potężne, ciemne fale raz po raz uderzały o burty „Seekera”, czarterowej łodzi dla nurków - co fatalnie wpływało na jego żołądek. Odległość od brzegu nie była duża, ale dla Rouse'a równie dobrze mógłby to być sam środek Oceanu Atlantyckiego. Chris wysunął głowę spod śpiwora i wyjrzał przez bulaj. W szarym świetle poranka widać było jedynie niebo i ciemnoniebieskie fale, z wierzchołków których wiatr zdmuchiwał białą pianę. Gdzieś w oddali znajdował się horyzont, ale Chris nie potrafił określić, w którym dokładnie miejscu niebo i morze zlały się w jedno. Wysokość fal ocenił na półtora metra, choć niektóre mogły nawet sięgać dwóch i pół. Nic był to najlepszy dzień na kontynuowanie poszukiwań w tak wymagającym pod względem technicznym miejscu.

Poprzedniego dnia trzydziestodwuletni Rouse przeprowadził ze swoim dwudziestodwuletnim synem Chrissym dwa nurkowania na niezidentyfikowanym okręcie podwodnym, spoczywającym na głębokości ponad 70 metrów. Wrak leżał rozdzielony na trzy części niczym cygaro, z którego wyrwano środek. W środkowym odcinku jednostki znajdowała się kiedyś pancerna wieża dowodzenia - potężna cylindryczna konstrukcja, która teraz spoczywała na dnie, prostopadle do okrętu. Wieża, wciąż bardzo dobrze zachowana, została oderwana od podstawy i wyrzucona na bok przez tę samą nieznaną siłę, która -przypuszczalnie podczas II wojny światowej - zatopiła cały okręt. Pod wieżą znajdował się przedział dowodzenia - mózg łodzi podwodnej. Z tego ośrodka nerwowego nie pozostało nic poza

rumowiskiem wyszczerbionych, ostrych płyt i odłamków, będących skutkiem jakiejś gwałtownej eksplozji. Chrissy'emu Rouse'owi udało się wczoraj przedostać między stalowymi płytami i precyzyjnie do środka, podczas gdy jego ojciec krążył na zewnątrz wraku. Gdzieś pośród ostrych jak brzytwy szczątków spoczywał przedmiot, który pozwoliłby zidentyfikować okręt; ojciec i syn byli zdeterminowani, by go odnaleźć. Mógł to być dziennik pokładowy kapitana - musiał przecież znajdować się gdzieś w rumowisku, tuż za wejściem. Chrissy nie zdołał go jeszcze odnaleźć, ale Rouse'owie wiedzieli, że są blisko. Na przeszkodzie stały tylko czas, wysiłek i dwuipółmetrowe fale.

„Seeker” kołysał się i szarpał za linę kotwiczną niczym uwięzione zwierzę, próbujące oswobodzić się z pęt. Przez całą noc walczył bez wytchnienia z oceanem, a jego drewniane belki i deskowanie trzeszczały w proteście przeciw takiemu obciążeniu. Pasażerowie oraz wolni członkowie załogi próbowali spać, mocno wciśnięci w koje, by nie wypaść na rozkołysany pokład. John Chatterton, uznany nurek wrakowy, instruktor nurkowania sportowego, a przy tym jeden z dwóch kapitanów „Seekera” (co było wymagane przez Straż Przybrzeżną podczas nocnych czarterów), wszedł do głównej kajuty i włączył światło.

- Jest szósta - oświadczył. - Jeśli ktoś z was chce dziś nurkować dwukrotnie, musicie wcześniej zejść pod wodę. Według prognoz morze będzie coraz bardziej wzburzone, a sami możecie zobaczyć - skinął w stronę okna - że już nie jest najlepiej. Jeśli chcecie nurkować, wskakujcie do wody. Chcemy szybko podnieść kotwicę i wynosić się stąd, zanim roztrzaskają nas fale. Osobiście zamierzam odpuścić sobie swoje nurkowanie i zejść tylko po to, żeby wyciągnąć kotwicę.

Ze swoimi okularami w drucianych oprawkach i chłopięcą twarzą jasnowłosey Chatterton bardziej pasował do uniwersyteckiego kampusu niż do łodzi obsługującej nurków. W odróżnieniu od wielu surowych kapitanów morskich miał otwarty umysł - chętnie dyskutował o technikach nurkowania i konfiguracji sprzętu ze swoimi klientami, chociaż rozmów o własnych osiągnięciach i kompetencjach unikał. Przy Chattertonie nikt nigdy nie czuł się głupio albo nieswojo. Jego połączony z głębokim doświadczeniem sposób bycia sprawiał, że wielu nurków zasięgało u niego rady i wysoko ją sobie ceniło.

Chatterton znakomicie znał wrak, który Chris i Chrissy chcieli podbić. Kapitan był pierwszym nurkiem, który zidentyfikował ten tajemniczy obiekt jako okręt podwodny. W Święto Pracy 1991 roku Chatterton wypłynął z grupą nurków na poszukiwanie miejsca, w którym znajdować się miał domniemany wrak. Jako pierwszy usłyszał o nim właściciel „Seekera”, kapitan Bill Nagel. Powiedział mu o tym jakiś rybak w trakcie jednej z pijatyk, z których słynał kapitan. Mimo alkoholowego odurzenia pamięć nie zawiodła Nagela - podczas następnego nurkowania Chatterton odkrył talerz z niemieckim orłem i swastyką, oznaczony datą 1942. Wrak okazał się być okrętem podwodnym z okresu II wojny światowej. Niemcy określali je nazwą Unterseeboot, w skrócie U-Boot. Pierwszym U-Bootem był U-I, a najwyższym numerem, jaki otrzymał oddany do służby okręt, był U-4712. Ponieważ jednak łodziom podwodnym nie nadawano numerów po kolei, służbę w czasie II wojny światowej pełniły tylko 1152 niemieckie U-Booty. Z braku oficjalnej nazwy czy numeru, Chatterton i inni nurkowie nadali swemu odkryciu nazwę „U-who”.

Każdego roku u wschodnich wybrzeży Ameryki nurkowie odnajdują nowe wraki - ofiary sztormu, kolizji, ognia i wojny - ale „U-who” był znaleziskiem wyjątkowym. Amerykańskie, brytyjskie i niemieckie archiwa marynarki wojennej zawierały spis lokalizacji wszystkich U-Bootów, spoczywających na dnie morza na całym świecie. Mimo to nie istniała żadna wzmianka o wraku, który miałby się znajdować choćby w pobliżu „U-who”, tj. w odległości kilku godzin od portu Nowy Jork. Wyglądało na to, że wrak zatonął w wyniku eksplozji. Jeśli jednak nie poszedł na dno w czasie odnotowanej przez archiwa bitwy, to jakim cudem uległ tak dużym zniszczeniom? Odkrycie Chattertona trafiło na pierwsze strony gazet, a jego podwodne nagranie wideo wyemitowano w telewizji. Dlaczego ten U-Boot nie znalazł się na liście z innymi wrakami niemieckich okrętów podwodnych? Jaka była jego misja? Czy mogło dojść do sabotażu podczas tajnego rekonesansu? Czy na okręcie znajdowali się szpiedzy, czy może członkowie partii nazistowskiej, uciekający przed upadkiem Tysiącletniej Rzeszy? Poszukiwania trwały. Zagadkowy wrak skutecznie wabił nurków - z jego tajemnicą postanowili się zmierzyć także Chris i Chrissy Rouse 'owie.

We wrześniu 1991 roku zrezygnowałem z dołączenia do ekspedycji Billa Nagela i Johna Chattertona, podczas której odkryto U-Bootu. Miałem już za sobą kilka wypraw na łodzi Nagela, kiedy otrzymałem od niego następującą propozycję:

- Mam nowe miejsce do sprawdzenia, jeśli jesteś zainteresowany. Chciałbym zebrać specjalną grupę i sprawdzić, czy tam na dole czegoś nie ma. Dość głęboko, Bernie, i może się okazać, że to tylko stos kamieni. Ale nigdy nie wiadomo - może to coś ważnego?

Nagel i Chatterton zapraszali tylko doświadczonych nurków. Była to niezwykła szansa.

Zaproszenie kusilo mnie niczym zakopany skarb. Od 1984 roku, tj. od momentu gdy nauczyłem się nurkować, coraz bardziej angażowałem się w nurkowanie wrakowe przy wybrzeżach New Jersey i Nowego Jorku. W 1988 roku zostałem instruktorem i w centrum nurkowym przy Manhattanie zacząłem dawać lekcje nurkowania.

Prowadziłem kursy wieczorami oraz w weekendy -było to dodatkiem do mojej stałej pracy, związanej z sieciami komputerowymi i przesyłaniem danych. Kochałem uczyć ludzi o historycznym dziedzictwie wraków. Zazwyczaj już podczas pierwszego wykładu pokazywałem przezrocza przedstawiające rozmaite środowiska podwodne. Moi uczniowie spodziewali się ujrzeć przede wszystkim wielobarwne, jasne rafy koralowe Karaibów, upragniony cel większości z nich. Gdy pokazałem im historyczne zdjęcia statków, które poszły na dno u północno-wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, a potem slajdy zatopionych wraków, większość uczestników kursu zareagowała zdumieniem, że coś tak interesującego znajdowało się przy ich własnym, gęsto zaludnionym wybrzeżu.

Nurkowanie wrakowe w zimnej wodzie intrygowało mnie już od moich pierwszych prób, które miały miejsce w 1985 roku, tuż przy wybrzeżu Brooklynu. Przy dobrym dniu, na głębokości 15-18 metrów widoczność nie przekraczała 3-4,5 metra. Wraki, z którymi się zetknąłem, znajdowały się w całkowitym rozpadzie i przypominały podwodne złomowiska. Ich obecny stan był efektem działania kilku czynników: zatonięcia, działań Straży Przybrzeżnej, zmierzających do zniszczenia wraków położonych zbyt blisko powierzchni, by nie zagrażały nawigacji, oraz burz, które dodatkowo porzrzucały ich pozostałości. Mętna woda przesłaniała wprawdzie

całkowite rozmiary ruiny, jednak niezależnie od tego jak długo je opływałem, zawsze wydawało mi się, że jest jeszcze coś, co warto zobaczyć. Stalowe belki krzyżowały się pod przypadkowymi kątami, pokrzywione w dziwne kształty, wśród których pływały ryby i szukały schronienia czerwonawobrazowe homary. Same belki pokryte były formami życia przypominającymi brązowe gąbki z białymi kołyszającymi się w wodzie rzęskami. Zielone węgorze wysuwały głowy z różnych szczelin, wpatrując się we mnie ze zdziwieniem. Napotkałem też przedziwne szare ryby z wielkimi pyskami i nabrzmiętymi wargami -ich ogromne oczy śledziły każdy mój ruch. Tuż nad dnem unosiły się brązowe ryby, z ich podbrzuszy wystawały długie białe wąsy, penetrujące teren w poszukiwaniu żywności. Gdy zbliżałem się do nich, dzięki delikatnym ruchom płetw, oddalały się bez wysiłku, znikając za mętną kurtyną zielonawobrazowej wody. Świat, który odkryłem pod wodą, był surrealny, jednak krył w sobie czystość i jednoznaczność przetrwania, których na próżno szukałem w mojej stałej pracy. Świat ten niezwykle mnie zaintrygował.

Z czasem stawał się on jeszcze bardziej fascynujący. We wrakach, które znajdowały się dalej od brzegu i na większej głębokości, widoczność była lepsza, ale gdy nabrałem więcej doświadczenia, coś innego zaczęło mnie ciągnąć ku głębi. Wraki te zachowały się w bardzo dobrym stanie. Lepsza widoczność - od około 9 do 30 metrów w zależności od statku, pory roku i szczęścia, jakie miałem danego dnia - pozwalała mi badać wraki bardziej szczegółowo niż przy wybrzeżu Brooklynu. Nareszcie mogłem zidentyfikować kadłuby zatopionych okrętów i ich poszczególne elementy. Poza tym pływały tam ogromne homary aż proszące się, by je schwytać i wsadzić do „torby ze skarbami”, a w przyszłości do czekającego na lądzie garnka z wrzącą wodą. Co więcej, mogłem wydobywać z wraków rozmaite przedmioty: porcelanowe talerze, szklane i srebrne naczynia, mosiężne bulaje i mnóstwo innych poszukiwanych przez kolekcjonerów drobiazgów.

Zanurzanie się na dziewiczy wrak na którym nikt wcześniej nie nurkował, było marzeniem każdego entuzjasty nurkowania wrakowego i ja sam nie stanowiłem pod tym względem wyjątku. Zaproszenie Nagela i Chattertona na wyprawę w przypuszczalnie całkiem nowe miejsce nurkowe było czymś, na co zawsze czekałem, szlifując swoje umiejętności i pielęgnując uznanie dla sportu. Na tydzień przed

zaplanowaną wyprawą rekonesansową stanąłem przed trudnym wyborem. Chociaż pracowałem wtedy na pełny etat jako analityk systemów na Wall Street, podpisałem również kontrakt z japońską firmą handlową Inabata. W związku z wprowadzeniem na rynek nowej linii naręcznych komputerów nurkowych świadczyłem dla Inabaty usługi jako konsultant do spraw rozwoju i marketingu. Wcześniej przygotowałem prezentację dla przedstawicieli tej firmy. Dotyczyła ona przemysłu związanego z nurkowaniem, trendów, jakie dostrzegłem i możliwości, jakie one oferowały. Inabata zdecydowała się zaangażować w rozwój przynajmniej jednego z zaproponowanych przeze mnie komputerów. Inżynier z firmy Seiko - współpracującej przy tym przedsięwzięciu z Inabata - miał przylecieć z Japonii, aby sprawdzić, jak nurkują Amerykanie oraz jak wyglądają eksplorowane przez nich miejsca. Moim zadaniem było pokazanie mu w ciągu tygodnia kilku miejsc nurkowych w Stanach Zjednoczonych. Jako instruktor mogłem go zabrać także tam, dokąd w innym przypadku nie wolno by mu było się udać. Z początku nie sądziłem, że uda mi się zwolnić z pracy na cały tydzień, ale w ostatniej chwili szef wspaniałomyślnie udzielił mi urlopu. Miałem zatem czas, by albo zapłacić sporą sumę i zostać członkiem wyprawy poszukiwawczej Billa Nagela, która mogła zakończyć się odnalezieniem paru kamieni, albo też wybrać się z klientem na bezpłatną wycieczkę nurkową wokół Stanów. Wybrałem drugą możliwość. Po powrocie dowiedziałem się, że Bill Nagel i John Chatterton znaleźli U-Boota. Tak więc straciłem szansę, aby spełnić marzenie; szansę, która może się więcej w moim życiu nie powtórzyć.

W 1992 roku nurkowanie na głębokość, na której znajdował „U-who” — 70 metrów - uważane było przez organizacje szkoleniowe za coś, czego amatorzy nie byliby w stanie dokonać i czego nie powinni nawet próbować. Jako instruktor nurkowania rekreacyjnego mogłem uczyć nurkowania na głębokość nie przekraczającą 40 metrów. Bezpieczny limit czasu, jaki można było spędzić na tej głębokości, wynosił 10 minut, licząc od momentu zanurzenia. Niektóre organizacje szkoleniowe spoza Stanów Zjednoczonych ustaliły maksymalną głębokość nurkowania rekreacyjnego na 50 metrów. Doświadczeni nurkowie, jak ja albo Chris i Chrissy Rouse'owie, uważali te ograniczenia za arbitralne i nierealne. Woda nie kończyła się gwałtownie na 40 czy

50 metrach, więc i my nie zamierzaliśmy się tam zatrzymać.

Według organizacji szkoleniowych istotnym czynnikiem ograniczającym nurków amatorów było upośledzone funkcjonowanie umysłu, przypominające upojenie alkoholowe, spowodowane wdychaniem sprężonego powietrza na dużej głębokości. Powietrze w butli ma takie same właściwości jak to, którym ludzie oddychają na powierzchni. Składa się ono z ok. 79% azotu i 21 % tlenu, zawiera także śladowe ilości innych pierwiastków, jak argon, neon, hel i wodór oraz zanieczyszczenia, łącznie stanowiące około 1 %. Nasze ciała potrzebują do metabolizmu tylko tlenu, azot natomiast podczas wydechu jest wydalany z powrotem do powietrza. Ponieważ ludzki organizm wydala azot bez wykorzystywania go, nazywa się go gazem obojętnym.

Jednakże pod wodą tak się nie dzieje. Kiedy ciśnienie rośnie, azot zaczyna rozpuszczać się we krwi, a wraz z nią dociera do wszystkich tkanek, łącznie z mózgiem. Wywołuje to stan zwany narkozą azotową, który nasila się wraz ze wzrostem ciśnienia i głębokości. Narkoza azotowa do złudzenia przypomina upojenie alkoholowe i podobnie jak w przypadku alkoholu, różni nurkowie mają różne poziomy odporności na jej działanie; jej intensywność może się też zmieniać w zależności od dnia. Dokładny mechanizm tego zjawiska nie jest do końca znany. Jedną z teorii zakłada, że azot blokuje neuroprzekaźniki i receptory w mózgu, co skutkuje zniekształceniem sygnałów elektrochemicznych. Poziom upośledzenia jest zależny od stanu psychicznego i fizycznego nurka, temperatury wody i poziomu dezorientacji, o którą w zmieniającej się pod wodą widoczności nietrudno. Czasem zaburzeniu ulega również poczucie czasu, a nurek miewa przyływy euforii. Zdarza się też, że dla odmiany wpada w przygnębienie, a niekiedy nawet w paranoję- zwłaszcza jeśli wystąpią problemy ze sprzętem, podmorską fauną lub orientacją. Podczas nurkowania pogarsza się także koordynacja wzrokowa i manualna. Wszystkie te symptomy są zwykle intensywniejsze w zimnej wodzie aniżeli w ciepłej i przejrzystej. Uważa się, że w odróżnieniu od upojenia alkoholowego, którego objawy są widoczne przez dłuższy okres po wypiciu, narkoza azotowa nie pozostawia trwalszych negatywnych efektów. Jeśli jej oznaki staną się zbyt dokuczliwe, jedyne co nurek musi zrobić, by wrócić mu przytomność, to wznieść się

na mniejszą głębokość. Osoba, która doświadczyła narkozy azotowej, może później mieć trudności z przypomnieniem sobie szczegółów nurkowania.

„Zasada martini” jest opartym na doświadczeniu prawem, pozwalającym ocenić poziom zagrożenia narkoza, azotową. Jak to często bywa z różnymi prawami, istnieją różne ich definicje. Jedna z nich mówi, że zejście o każde kolejne 10 metrów jest jak jeden kieliszek martini na pusty żołądek. Inna wersja zakłada, że to 15 metrów odpowiada jednemu kieliszkiowi. Według jeszcze innej efekt martini pojawia się dopiero na 30 metrach. Ostatnia wersja nie uwzględnia jednak tego, że nurek znajduje się pod wpływem azotu, kiedy tylko wzrośnie ciśnienie, tak jak jest pod wpływem alkoholu zaraz po jego spożyciu. Podobnie jak w przypadku alkoholu, efekty narkozy azotowej są z początku niezwykle subtelne, niedostrzegalne nawet, ale potem gwałtownie wzrastają wraz ze zwiększającą się głębokością. W chwili gdy nurek osiągnie 40 metrów mogą być już tak wyraźne, że nie będzie on w stanie normalnie funkcjonować. Upośledzeniu ulegnie zdolność rozwiązywania problemów, orientacji i precyzyjnej oceny niebezpieczeństwa w nieprzyjaznym, wymagającym systemów podtrzymujących życie, środowisku. Nurkowie miewają niekiedy halucynacje, słyszą głosy wabiące ich w głąb. Mogą zapomnieć, że dysponują ograniczoną ilością gazu w butli, zużyć całość i utonąć. Dla naszych celów przyjmujemy, że według „zasady martini” każdym 15 metrom odpowiada jeden kieliszek martini na pusty żołądek.

Nurkowanie na „U-who” - czyli na głębokość 70 metrów - i oddychanie sprężonym powietrzem, jak zamierzali uczynić Rouse'owie, odpowiadałoby funkcjonowaniu pod wpływem czterech i pół kieliszka martini.

Nurkowie sportowi, tacy jak ja czy Rouse'owie, schodzący poniżej 40 metrów, uważani byli za kowbojów podejmujących niepotrzebne ryzyko, zwłaszcza jeśli używaliśmy sprężonego powietrza, a niejednej ze specjalnych mieszanek oddechowych, która właśnie zaczęła być dostępna - za pokaźną sumę - w sklepach. Zdecydowanej większości nurków rekreacyjnych na całym świecie zejście na 40 czy 50 metrów całkowicie wystarczało i nadal każdego roku miliony ludzi bezpiecznie nurkują według limitów ustalanych przez organizacje szkoleniowe. Istnieje jednakże przepaść między pragnieniami i możliwościami nurków rekreacyjnych a

pragnieniami i możliwościami nurków technicznych, podobnie jak istnieje przepaść między turystami na zwykłych górskich szlakach a himalaistami zdobywającymi Mount Everest.

Być może dobrze się stało, że ominęło mnie nurkowanie, które doprowadziło do odkrycia „U-who”. Jak zawsze powtarza moja żona, „nic nie dzieje się bez powodu”. Nagel szybko zaplanował kolejną wyprawę do tajemniczego wraku, zapraszając tych samych nurków, którzy wzięli udział w pierwszej ekspedycji. Jedną z tych osób był Steve Feldman.

Po pierwszym nurkowaniu na drugiej wyprawie zwierzył się innemu nurkowi:

- Ciężko mi się oddycha na dnie przez mój automat. Jakbym próbował wyssać grochówkę przez słomkę.

Podczas następnego nurkowania Feldman - walcząc z silnym prądem - najwyraźniej stracił z wysiłku przytomność i utonął. Nurkowie przez długie miesiące nie mogli odnaleźć jego ciała, dryfującego tuż nad dnem. W końcu wyłowili je rybacy; było zaplątane w sieci pośród rozmaitych morskich stworzeń, przeznaczonych na stoły nowojorskich restauracji. Po śmierci Feldmana wyprawa na „U-who” stała się dla wielu jeszcze większym wyzwaniem i pokusą. Wielu nurków wrakowych ma w sobie coś z myśliwych, polujących na grubą zwierzynę. Im trofeum trudniejsze, niebezpieczniejsze do zdobycia, tym wyższy uzyskujesz status, gdy ci się to uda. Nurkowanie na głębokość 70 metrów w zimnej, mętnej wodzie, przeszukiwanie bardzo ciasnych pomieszczeń U-Boota, aby wydobyć jakiś element pozwalający go zidentyfikować - to wszystko było dla nich porównywalne z zatknięciem flagi na Everescie.

W dniu, w którym Chatterton po raz pierwszy zanurkował na wraku, zawarł z pozostałymi członkami ekspedycji dżentelmeńską umowę. Ustalono, że będą oni jedynymi ludźmi zaproszonymi do nurkowania na „U-who”, chyba że któryś z nich wypadłby z przyszłych wypraw, pozostawiając wolne miejsce. Wszyscy wyrazili zgodę. Śmierć Feldmana sprawiła, że kilku nurków z pierwszej ekspedycji definitywnie zrezygnowało z tego sportu bądź ograniczyło się do nurkowania w płytszych, mniej niebezpiecznych miejscach. Dzięki temu udział w kolejnych wyprawach na „U-who” mogli wziąć nowi nurkowie. Jedno z miejsc przypadło

specjalizującemu się w głębokich nurkowaniach Richie'emu Kohlerowi, który cieszył się ponadto reputacją nieustraszonego nurka. Pozostałe miejsca Chatterton zaproponował Chrisowi i Chrissy'emu Rouse'om.

Chris Rouse z trudem uwierzył w zaproszenie Chattertona, chociaż większość znających Rouse'ów nurków zgodziłaby się, że zasłużyli sobie na to latami intensywnej pracy. Obaj wielokrotnie potwierdzili swoje kompetencje, a ponadto byli bardzo lubiani w małej społeczności nurków ekstremalnych. Chris zwierzył się przyjacielowi:

- Uwierzyłybyś, że zostaliśmy zaproszeni do wzięcia udziału w wyprawie z tymi wszystkimi wspaniałymi nurkami? My, Rouse'owie. Ludzie znikąd. A jednak nas zaprosili. Po prostu nie mogę w to uwierzyć!

Chris, twardy, doświadczony nurek, cieszył się jak dziecko, gdy opowiadał o tym niewątpliwym uznaniu Chattertona dla ich umiejętności i doświadczenia.

Doświadczenie to dotyczyło także ratownictwa. Zarówno Chris, jak i Chrissy w przeszłości udzielali pomocy innym nurkom, ocalając ich przed utonięciem. Jednym z uratowanych był przyjaciel Rouse'ów, który stracił orientację w jaskini i szukając wyjścia popłynął przez kręty labirynt tuneli w niewłaściwym kierunku. Chris i Chrissy metodycznie przeszukali jaskinię. Odnaleźli go, nim skończył mu się zapas powietrza i wyprowadzili go na zewnątrz. Innym razem - na miesiąc przed ich ekspedycją na „U-who” - Chrissy nurkował samotnie na wraku położonym na głębokości 51 metrów. W pewnej chwili zobaczył, że jakiś nieznany nurek gwałtownie daje mu znaki. Mimo niebezpieczeństwa, jakie ogarnięty paniką człowiek stanowi dla swego wybawcy, Chrissy bez wahania podpłynął do mężczyzny. Zobaczył, że klęczy on na piasku, a wskaźnik ciśnienia na jego butli z gazem świadczył o tym, że zostało mu bardzo niewiele powietrza. Chrissy dał mu powietrze i towarzyszył przy wynurzaniu aż do momentu, gdy obaj bezpiecznie znaleźli się na łodzi. Pomaganie innym nurkom w potrzebie Rouse'owie uważali za swój obowiązek - niezależnie od tego, czy znali ich osobiście.

Po tym, jak Chatterton zaprosił Rouse'ow na wyprawę na „U-who”, obaj zadeklarowali entuzjastycznie, że odnajdą tam coś, co pozwoli zidentyfikować okręt i wyjaśnić, dlaczego zatonął. Chrissy poszedł nawet o krok dalej niż ojciec:

-Zamierzam rozwiązać tajemnicę U-Boota i zrobić mnóstwo innych rzeczy - zwierzył mi się. - Myślę, że moim przeznaczeniem jest zostać drugim Sheckiem Exleyem. Było to odważne oświadczenie ze strony Chrissyego - porównanie się z Michaeliem Jordanem nurkowania. Sheck był posiadaczem niemal każdego możliwego rekordu w nurkowaniu jaskiniowym, włączając w to najgłębsze nurkowanie i najdłuższą penetrację. W tym niebezpiecznym sporcie powszechnie uważano go za najlepszego na świecie. Chrissy, podobny do ojca - przystojny, entuzjastyczny i może przesadnie pewny siebie, ale za to bardzo dobry we wszystkim, co robił - uważał, że będzie jeszcze lepszy niż Exley, bo zostanie ekspertem zarówno w dziedzinie wraków, jak i nurkowania w najbardziej zawiłych, zdradliwych jaskiniach na świecie. Sądził, że rozwiązanie tajemnicy „U-who” będzie tylko kolejnym z wielu nacięć na jego pasie do nurkowania.

Na dźwięk głosu Chattertona Chris Rouse zerwał się ze swojej koi na pokładzie „Seekera”, zadowolony, że może wreszcie wydostać się z rozkołysanego postania.

Podszedł do syna i kilkakrotnie go szturchnął:

-No dalej, wstawaj, obiboku. Trzeba trochę ponurkować.

Chrissy jęknął poirytowany:

-Och... Nie mogę teraz wstać.

Niezrażony nieprzejednaną postawą syna Chris zwrócił się do Barb Lauder, jedynej kobiety na pokładzie „Seekera”, która również wylegiwała się w swojej koi.

-Hej, Barb, czekam już prawie osiem godzin, żeby zwrócić ci uwagę. Nic śpisz? Zlew jest pełen brudnych naczyń. Chyba niezbyt wzięłaś sobie do serca swoje kobiece obowiązki.

Barb, z zawodu pielęgniarka, sama była doświadczonym nurkiem wrakowym, świetnie znającym reguły obowiązujące w środowisku nurkujących macho.

Przewróciła się na drugi bok i pokazała rozpromienionemu Chrisowi środkowy palec.

Chris roześmiał się.

- Hej, Barb, chyba musisz coś zrobić z włosami - to, co masz dziś rano na głowie woła o pomstę do nieba.

Barb zdecydowała się zignorować docinki Rouse'a. Dawno temu nauczyła się, że prowokował i irytował on każdego - zwłaszcza swojego syna, który zresztą w miarę

możliwości odpłacał mu tym samym. Zaczepki Chrisa skłoniły w końcu pozostałe osoby do wstania. Wszyscy: Steve Gatto, Tom Packer, Richie Kohler, Steve McDougall i John Yurga byli weteranami nurkowania wrakowego. Nie musieli specjalnie analizować pogody, by dojść do wniosku, że jest na nie trochę za ciemno. Chociaż wszyscy mieli doświadczenie w nurkowaniu nocnymi, wiedzieli, że takie zachmurzenie za dnia - w połączeniu ze wzburzonym morzem - czyniło nurkowanie niebezpiecznym i nieprzyjemnym. Z uwagi na stale pogarszające się warunki atmosferyczne Chatterton wyznaczył 13.30 na najpóźniejszy termin ostatniego nurkowania. Trzeba było się naprawdę śpieszyć, jeśli ktoś miał zamiar nurkować tego dnia dwukrotnie. Gatto i Packer, którzy zawsze nurkowali jako para, postanowili zejść pod wodę jak najszybciej. Wyszli, żeby włożyć swoje skafandry.

Chrissy Rouse wyłonił się ze swojej koi, potrząsnął głową i przeczesał palcami brązowe, półdługie włosy, aby pozbyć się kołtunów nagromadzonych podczas całonocnego rzucania się po posłaniu. Potem ostrożnie, sennie ruszył wzdłuż kabiny - jego zwykły, dynamiczny chód zastąpiły uważne stąpnięcia wśród ubrań i porzrzucanych na kołyszącej się podłodze toreb z jedzeniem. Smród dwunastu nurków, przepoconych ubrań i resztek żywności pozostawionych w zlewie przypominał mu dom w Pensylwanii, który dzielił z kumplami od nurkowania w czasach, gdy stać go było na własne lokum. Ostatnio jednak mieszkał w domu z ojcem i matką, co zawdzięczał kilku niegroźnym, ale kosztownym wypadkom samochodowym. Jednakże kiedy tylko mógł, ze swoją dziewczyną Julią uciekał do domu przyjaciół.

Chrissy poznał Julię Bissinger, gdy brała swoje pierwsze lekcje nurkowania, on zaś asystował instruktorowi przy sesjach treningowych na basenie. Oboje od czasu do czasu flirtowali ze sobą; Julii bardzo podobał się figlarny, niewinny sposób bycia Chrissy'ego i cieszyła się z uwagi, którą jej poświęcał. Chrissy nie podrywał jej zbyt nachalnie, po prostu podobała mu się jako atrakcyjna adeptka nurkowania. Podczas rozmów nie kryli przed sobą, że oboje są aktualnie zaangażowani w poważne związki. Mimo to ich kokieteryjne spojrzenia nader wymownie świadczyły o wzajemnym zauroczeniu.

Kiedy szkolenie się zakończyło, Chrissy i Julia rozeszli się każde w swoją stronę. W

rok po pierwszym spotkaniu Julia ponownie wpadła na Chrissy'ego w sklepie dla nurków. Oboje zakończyli już swoje związki, które pozostawiły ich w emocjonalnym zagubieniu i bólu, będącym nieuniknioną konsekwencją miłosnych rozczarowań. Postanowili jednak zaryzykować i zaczęli się od czasu do czasu niezobowiązująco spotykać. Nie w pełni zdając sobie z tego sprawę, zwracali się do siebie z kojącymi słowami, czułością i delikainością, jakimi współczujący opiekun może obdarzać poważnie chorego pacjenta.

Choć ich znajomość trwała zaledwie pół roku, czuli się ze sobą tak swobodnie, jak gdyby spędzili razem znacznie więcej czasu. Nie spieszyło im się, oboje byli podatni na zranienie, zachowywali więc ostrożność. Żadne nie chciało zniszczyć tego radosnego okresu naciskając na poważniejszy związek, choć nie zamierzali również spotykać się z nikim innym. Julia miała zaledwie 23 lata, Chrissy był o rok młodszy. Czas był po ich stronie. Chrissy wyjrzał przez największe okno kabiny „Seekera”.

-No nie ma co, gówniany dzień. Kto wogóle zaczął kołysać tą łodzią? -zaczął marudzić, a potem dorzucił jeszcze luźne pytanie. - Co na śniadanie?

Jego ojciec skrzywił się z niesmakiem.

-Proszę! Jaśnie pan się obudził i chce być obsłużony! Po co wstajesz? Nie chcesz śniadania do łóżka? - Odwrócił się w stronę Barb - Ja mam ochotę na jajka. Hej, Barb, zrób nam jajecznicę, co? Przydaj się na coś.

Chrissy zaprotestował rzeczowo:

-Wcale nie mam ochoty na jajka. Barb, wstrzymaj się z tą jajecznicą. Zrób nam lepiej tosty.

Podobnie jak Rouse'owie, Barb Lander płaciła za rejs i nie musiała niczego dla nikogo gotować. Fakt ten jednak umknął uwadze Chrisa i Chrissy'ego, którzy nadal kłócili się o to, co chcą dostać na śniadanie. Lander potrząsnęła głową. Rouse'owie znów się spierali. Ich słowne potyczki przypominały Barb kłótnie jej synka z kolegami, ale ci dwaj byli przecież dorosłymi mężczyznami.

Chłodne ostrzeżenie Chattertona odbiło się echem na pokładzie „Seekera”.

Większość nurków już wcześniej oceniła, że w ten październikowy ranek pogoda była wystarczająco zła i należy zrezygnować z nurkowania - słowa Chattertona tylko przypieczętowały ich decyzję. Poprzedniego dnia nie wiało tak intensywnie, fale

miały tylko metr wysokości, a już wtedy prąd był na tyle silny, że obciążeni 68-kilogramowym sprzętem nurkowie z trudem poruszali się w wodzie, a po skończonym nurkowaniu mieli kłopoty z wejściem po drabince na pokład. Patrząc na rozkołysaną powierzchnię morza, Chris Rouse nadal czuł w mięśniach skutki wczorajszego wysiłku. Był silnym mężczyzną i drwił z przyjaciół, którzy chodzili na dodatkowe treningi i zachęcali go do tego samego.

-Program ćwiczeń? Jasne... - parskał śmiechem. - Spróbuj zamienić się ze mną na jeden dzień, a potem ponurkować. Tyle ćwiczeń w zupełności wystarczy.

Jego firma budowlana w Pensylwanii wymagała od niego częstej pracy fizycznej. Tam, gdzie nie mogły sobie poradzić ciężkie maszyny, Chris kopał kilofem i łopatą. Poza tym uważał, że to nie samo nurkowanie jest wyczerpujące - sprzęt nic nie ważył pod wodą. Poruszanie się w oceanie było najbliższym nieważkości stanem, jaki człowiek może osiągnąć na tej planecie. Nie. najtrudniejszą część stanowiło przenoszenie sprzętu z łodzi i ciężarówki. To i wydostawanie się z wody z pełnym wyposażeniem. Przy wzburzonym morzu -jak dziś - nurek musiał się upewnić że ma dość siły, by z powrotem wspiąć się po szalejącej jak byk na rodeo drabince. Chris wiedział, że sobie poradzi.

Na pokładzie Chris podszedł do syna, wpatrującego się z dezaprobatą w ocean. Podmuchy wiatru smagały ich bezlitośnie.

-Tato, dziś nie będę nurkował - powiedział Chrissy.

Jego syn nie będzie nurkował! To oznaczało, że Chris zostanie bez partnera. Zawsze nurkowali razem.

-Co takiego? Ty tchórze! Ja na pewno nie zrezygnuję. Co się w ogóle z tobą dzieje? Chrissy nerwowo przełknął ślinę.

-Po prostu myślę, że to nie jest dobry pomysł -odparł. - Dajmy sobie dzisiaj spokój.

-Taki duży, silny chłopak się boi?

-Nie boję się, po prostu jestem od ciebie mądrzejszy - odparował Chrissy. Chris uśmiechnął się szeroko:

-Naprawdę? A to dobre: mój dzieciak mądrzejszy ode mnie. Nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz. To ja prowadzę cię pod wodą.

Chrissy poczerwieniał ze złości.

-Nie mógłbyś nawet za mną nadażyć, gdybym specjalnie nie płynął wolniej! Chris kopnął DPV - urządzenie napędowe dla nurków, zwykle nazywane po prostu podwodnym skuterem.

-Jasne, ale jakoś byłem dość mądry, żeby nauczyć się naprawiać skutery, których tak lubisz używać. A ty, mądralo, kiedy zamierzasz się nauczyć je naprawiać?

Ta uwaga naprawdę zaboląła Chrissy'ego. Wiedział, że brakowało mu talentów manualnych ojca.

-Ty się baw zabawkami, a ja się będę bawić z dziewczynami. Nie muszę się żenić z pierwszą, która się nawinie.

Chris ożenił się jeszcze w ostatniej klasie liceum, po tym jak jego dziewczyna Sue zaszła w ciążę z Chrissy'm. Teraz spojrzał wściekły na syna.

-Gdybyś nie odziedziczył mojego wyglądu, byłbyś gównem i żadna dziewczyna nawet by do ciebie nie podeszła.

I tak spierali się, rzucając w siebie obelgami i czepiając się o wszystko, podczas gdy inni nurkowie zaśmiewali się z tej kłótni, bo przypominała im oglądanie jakiejś współczesnej wersji Abotta i Costello. Chris zadał wreszcie ostatni, morderczy cios.

-Świetnie, nie nurkuj. Zawsze byłeś nieudacznikiem, a tutaj jesteś tylko kolejnym niedoszłym nurkiem.

Chrissy spojrzał na fale, a potem z powrotem na ojca. Ustąpił.

-W porządku. Zróbmy to.

Na twarzy Chrisa błysnął uśmiech.

-Nie, masz rację. Tylko się wygłupiałem.

Tego było już dla Chrissy'ego za wiele. Jego ojciec rozdrażnił go nic na żarty -No jasne, najpierw nazywałeś mnie nieudacznikiem i niedoszłym nurkiem, bo nie mam ochoty nurkować, a kiedy już mnie namówiłeś, sam wymiękasz. Jesteś żaloszny. Tylko udajesz, że jesteś nurkiem. Gdyby ci się nie poszczęściło z mamą, nie miałbyś nic. Jesteś mięczakiem i tchórzem.

Szach i mat. Gdy Chrissy zakwestionował motywację ojca, jego umiejętności jako nurka, i - co najważniejsze - jego męskość, Chris nie mógł się już wycofać.

Niezależnie od niepewnych warunków atmosferycznych obaj mężczyźni musieli zanurkować, choćby tylko po to, by udowodnić, że obaj są prawdziwymi nurkami.

Chatterton wrócił do swoich spraw, a Rouse'owie kłócili się dalej. Wielokrotnie był już świadkiem ich sprzeczek i były one dla niego tak naturalne jak powietrze. Nieprzypadkowo nazywano Rouse'ów „Kłótliwymi Braćmi”. Choć Chris i Chrissy Rouse'owie byli ojcem i synem - ich identyczne sylwetki i rysy twarzy nie pozostawiały co do tego wątpliwości - różniło ich tylko 17 lat, w mniejszym więc stopniu zachowywali się jak rodzic i dziecko, a bardziej jak popisujące się na parkingu przed szkołą rodzeństwo. Chatterton zawsze się zastanawiał, w jakim stopniu ich słowne potyczki były prawdziwe, a w jakim stopniu na pokaz. Każdy z nich uosabiał nurka-kowboja - szorstkiego, zadufanego w sobie. Czy kłótnie były tylko częścią tego wizerunku? Rouse'owie bawili swoim zachowaniem wielu nurków, a ich utarczki - niczym błyskotliwa komedia - trzymały ich w centrum uwagi. Niektórym jednak to przekomarzanie szybko się nudziło. Tego październikowego ranka Chatterton ponownie zaczął się martwić, że te spięcia stanowią preludium do większego konfliktu, który wpędzi ich w poważne kłopoty pod wodą.

Minęły dwie godziny. Wiatr i fale przybrały na sile. Gatto i Packer nurkowali, a Rouse'owie kłócili się o to, co mają zjeść na śniadanie, czy Chrissy powinien się ogolić i na jak długo zejść pod wodę. Do czasu gdy Gatto i Packer wrócili z nurkowania, fale zdołały już osiągnąć wysokość 2-2,5 metra.

-Fale rzucają tobą jak na karuzeli - powiedział Gatto. - Źle to wygląda. Chris przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, po czym wrócił do wkładania skafandra. W pełnym sprzęcie Rouse'owie wyglądali jak gdyby wybierali się na podbój obcej planety. Ubrani byli w wykonane z wodoszczelnej gumy suche skafandry, pod którymi znajdowały się podobne do narciarskich kombinezonów kostiumy, oddzielające ich od wody o temperaturze 5 stopni. Chris przymocował do swojego plastikowego kasku kilka zasilanych bateriami lamp. Maski sprawiały, że obaj wyglądali jak ogromne owady z innego świata. Do ich ramion było przyczepionych mnóstwo wskaźników i noży. Każda z dwóch butli z powietrzem pozwalała - w najlepszym razie - na godzinny pobyt we wraku. Dwie pozostałe miały zapewnić bezpieczny powrót - zwiisały pod ramionami, przyczepione w dwóch miejscach do uprząży. Nie mając możliwości kontaktowania się z powierzchnią, pozbawieni werbalnego kontaktu ze sobą, Rouse'owie zdani byli na używanie prostych gestów i

sygnałów świetlnych. Ostatecznie mogli też pisać krótkie wiadomości ołówkami przyczepionymi na gumowym węźu do plastikowych tabliczek, które znajdowały się na przedramieniu każdego z nich. Jeśli mieli się kłócić na dnie oceanu, musieli ograniczyć się do gestów i pojedynczych słów.

Rozmawiałem z Rouse'ami na dwa tygodnie przed ich wyprawą na „U-who”.

Wiedziałem, że chcieli spenetrować wrak, by odnaleźć dziennik pokładowy kapitana.

Podobnie jak oni uczyłem się technik jaskiniowych i zdobywałem doświadczenie w jaskiniach Florydy, czasem więc razem nurkowaliśmy i rozmawialiśmy. Wszyscy byliśmy wtedy ogarnięci pasją zwiedzania podwodnego świata i nasze dyskusje - jak u zapaleńców golfa czy samochodów - dotyczyły wszystkiego, co w jakiś sposób się z nią wiązało: od sprzętu po nasze podwodne przygody, ambicje i plotki związane z nurkowaniem. Dla ludzi zafascynowanych tym sportem były to naturalne tematy.

Chris powiedział mi, że planowali nurkować na wraku używając jako podstawowego gazu sprężonego powietrza. Pomyślałem o efekcie czterech i pół kieliszka martini, którego będą doświadczać podczas eksplorowania wraku, i poczułem niepokój. Jako instruktor nurkowania wiedziałem, że Chris i jego syn podejmują duże ryzyko, ale bycie dobrym nauczycielem zakłada pozwalanie uczniom na samodzielne wyciąganie wniosków.

Spytałem więc Chrisa:

-Dlaczego nie nurkujecie na miksie?

Miks¹ był mieszanką gazów zawierającą hel, który redukował wpływ narkozy azotowej - „efekt martini” - podczas oddychania na dużej głębokości.

-No cóż, na razie nie możemy sobie pozwolić na miks. Na rynku jest zastój i firma ma kłopoty.

Obaj wiedzieliśmy, że finansowa różnica między używaniem powietrza i mieszanki opartej o hel wynosi kilkaset dolarów. Usłyszałem obojętność w jego głosie i byłem zszokowany.

- Jeśli w tej chwili nie stać was na hel, dzięki któremu nurkowanie będzie bezpieczniejsze, może lepiej przesunąć je na później?

- Nie. Chrissy i ja schodziliśmy już głębiej niż 70 metrów, używając powietrza.

¹ Tak potocznie nurkowie nazywali mieszanki gazów oddechowych. W tym przypadku chodzi o trimix - przyp. Tłum.

Poradzimy sobie - odparł Chris wymijająco.

-Nurkowaliście jeszcze na jakieś inne U-Booty poza naszym wspólnym wypadem na U-853?

U-853 był okrętem podwodnym zatopionym w czasie II wojny światowej przy Rhode Island, kilkaset kilometrów na wschód od Nowego Yorku.

-Kilka tygodni temu nurkowałem na „U-who” - wyjaśnił Chris. - Poza tym penetracja wraku nie różni się specjalnie od zejścia do jaskini. Bernie, przecież wiesz, że jestem w tym dobry.

Gdy nie odpowiedziałem, dodał:

-Zresztą to Chrissy wejdzie do środka, a ja go będę asekurował na zewnątrz.

Brak miksu i doświadczenia w nurkowaniu na U-Bootach - byłem bardzo zaniepokojony tym, co planowali zrobić moi przyjaciele. Z pierwszej ręki wiedziałem, jak zdradliwe mogą być niemieckie okręty podwodne. Wielokrotnie nurkowałem na trzech z nich, położonych przy Wschodnim Wybrzeżu i mnóstwo razy penetrowałem ich ciasne wnętrza. Wszystkie U-Booty, na których nurkowałem, znajdowały się na dużo mniejszych głębokościach niż „U-who”. Najgłębiej położony był U-853 - spoczywał on w zimnej, mętnej wodzie na głębokości 40 metrów. Pozostałe wraki, z którymi miałem do czynienia, leżały w przejrzystej, ciepłej wodzie przy Nowej Karolinie. Wraki te oferowały wiele wyzwań, ale w granicach rozsądku, pozwalały więc nurkom budować doświadczenie. Zadrzałem na myśl o jednym nurkowaniu, które Rouse'owie wykonali na U-853 w trakcie zeszłorocznej wyprawy. Podczas penetracji wraku doświadczony nurek przeciął o ostry kawałek metalu przewód doprowadzający powietrze. Spowodowało to gwałtowne uwolnienie strumienia gazu, co z kolei zredukowało i tak słabą widzialność do zera, poruszając osad i rdzę. Udało mu się jednak wydostać na zewnątrz, gdzie Chrissy Rouse odciął dopływ powietrza do uszkodzonego przewodu, ratując nurka przed całkowitą utratą gazu.

Spróbowałem ostatniego pytania.

-Chris, może jednak odpuściecie sobie to nurkowanie, nabierzecie trochę doświadczenia na U-Bootach położonych płycej, jak U-853, poczekacie aż będzie was stać na hel i dopiero wtedy poszukacie dziennika pokładowego? Zaplanowaliście

sobie bardzo ryzykowne nurkowanie.

-Eee tam, nic nam nie będzie.

Gdy Barb Lander pomagała Chrisowi w założeniu całego sprzętu, ten spojrział na nią i powiedział:

- Mam nadzieję, że nie będę żałował tego nurkowania.

- Nie nurkuj, Chris. Daj sobie spokój - odpowiedziała Barb.

- Junior nurkuje. Muszę zejść razem z nim. -Niech junior nurkuje sam.

- Nie, muszę zejść razem z nim - odpowiedział zaskakująco poważnie. Tom Packer i Steve Gatto skończyli już zdejmowanie swojego sprzętu. Patrzyli, jak Rouse'owie się przygotowują i nie mogli uwierzyć, że ktoś chce nurkować w takich warunkach. Gatto odwrócił się do Packera i cicho zauważył:

-Ci faceci zwariowali. Nie wiedzą, na co się piszą. Packer przyznał mu rację.

-Fakt, wariaci. Ale to dobre chłopaki i dobrzy nurkowie. Poza tym dzięki nim jest ciekawiej na tej wyprawie. Steve, powinniśmy ich zabierać na wszystkie nasze ekspedycje.

Gatto tylko skinął głową.

Kiedy Barb pomagała Chrisowi przy zakładaniu ostatnich elementów sprzętu, Chrissy wstał z pokładu. Niosąc cztery zbiorniki z powietrzem ociążale przeszedł po rozkołysanym pokładzie do miejsca, z którego nurkowie wskakiwali do wody. Gdy łódź szarpnęła, przewrócił się, miażdżąc kolanami fragment sprzętu należącego do innego nurka. Gatto i Packer pomogli mu wstać, po czym znowu powoli ruszył w stronę burty. Zanim tam dotarł upadł ponownie, tym razem przekręcając się tak, że dwie umieszczone na plecach butle zetknęły się z pokładem, a jego nogi znalazły się w powietrzu. Wyglądał jak bezradny, przewrócony na skorupę żółw. Pozostali nurkowie z trudem przełknęli śmiech i pomogli Chrissy'emu wstać. Zdołał przeturlać się do burty i wskoczyć do oceanu bez upadania po raz trzeci.

Chris Rouse z głośnym pluskiem podążył do wody za swoim synem. Chatterton, Barb Lander i pozostali nurkowie patrzyli, jak ojciec i syn znikają we wzburzonym morzu.

2

Nie umieraj!

Wiosna 1988.

Skromny, mieszczański dom w Coopersburgu, we wschodniej Pensylwanii.

Dwanaścioro mężczyzn i kobiet siedzi przy stole podczas kolacji, na ich talerzach zostały resztki jedzenia.

- Nurkowanie to szaleństwo. Kiedyś się przy tym zabijesz.

Kiedy w 1988 roku Chris Rouse po raz pierwszy zetknął się z ideą nurkowania na niewielkim przyjęciu dla pilotów sportowych, powiedział swojemu przyjacielowi, Kenowi Reinhartowi, że zanurzanie się w wodną głębinę to głupota. Co innego latanie - to sport dla prawdziwych mężczyzn.

Reinhart w 1981 roku udzielał Chrisowi lekcji latania w Famous Ugly Plane Company, mieszczącej się przy lotnisku Quakertown, w Pensylwanii. Chris był konserwatywnym uczniem, preferującym latanie przy spokojnej pogodzie. Czuł się bardzo nieswojo w czasie ćwiczeń z lotów według wskazań przyrządów, podczas których musiał latać w nieprzewidywalnych, często fatalnych warunkach atmosferycznych, opierając się wyłącznie na wskazaniach instrumentów pokładowych. Umiejętność taka była jednak niezbędna do lotów w nocy lub przy złej pogodzie. W małym prywatnym samolocie czuł, że jego los zależy wyłącznie od kaprysu wiatrów i burzliwej pogody. Jego żołądek opadał i wznosił się, klatka piersiowa była rzucana z jednej strony na drugą, jak w trakcie przejażdżki w wesołym miasteczku. Dla niektórych ludzi wyzbycie się pewnej kontroli jest ekscytującym przeżyciem, w Chrisie budziło przerażenie. Mimo to Chris lubił pozbawioną ozdóbek funkcjonalność Cessny, na której uczył się latać. Choć jej delikatna powłoka ze szklanego włókna sprawiała, że wyglądała na mniej wytrzymałą niż kosiarka do trawnika, robiła jednocześnie wrażenie urządzenia, nad

którym mężczyzna zdoła zapanować. Już jako dziecko Chris bezustannie majsterkował, uwielbiał rozbierać różne rzeczy na części, by zobaczyć, jak działają, a jako nastolatek z powodzeniem zrekonstruował Chevroleta z 1955 roku. Nigdy go jednak nie pomalował, nie licząc szarej warstwy podkładowej. Dla Chrisa wygląd nigdy nie miał zbyt dużego znaczenia. Surowa prostota i logika samolotów niezwykle przemawiały do Chrisa, podobnie jak jego Chevrolet. Ken Reinhart wprowadzał swojego podopiecznego w tajniki latania i obserwował jak pomału Chris opanowuje tę trudną sztukę. Pewnego dnia, podczas wspólnego lotu, Reinhart polecił Chrisowi wylądować. Gdy Chris zatrzymał samolot na płycie lotniska. Reinhart wysiadł z Cessny i powiedział:

-Gratulacje. Jesteś gotów na swój pierwszy samodzielny lot. Do dzieła! Reinhart zatrasnął drzwiczki przed osłupiałym Chrisem, który nawet nie zdążył odpowiedzieć. Teraz musiał polegać wyłącznie na swoich umiejętnościach. Latająca kosiarka nagle wydała mu się znacznie większa. Ale wiedział, że sobie poradzi. Jego pewność siebie wzbijała się do góry wraz z samolotem.

Po kilku samodzielnych lotach Chris był gotów na ostatnią fazę szkolenia. Tuż przed ostatnim lotem kontrolnym, lotniczym odpowiednikiem egzaminu na prawo jazdy, Chris popełnił często spotykany wśród pilotów błąd - zawadził głową o wysokie skrzydło Cessny. Mimo zakrwawionego wgłębienia, jakie skrzydło pozostawiło na jego czole, Chris przystąpił do egzaminu - i trzymając chusteczkę przy ranie - zdał go, otrzymując tym samym podstawową licencję pilota. Wkrótce Chris i jego żona Sue, zaczęli latać razem dla przyjemności, Sue służyła pomocą jako nawigator. Z początku para wybierała się na krótkie wycieczki, aby podziwiać z powietrza najbliższą okolicę. Po pewnym czasie jednak, gdy Chris nabrał więcej doświadczenia i poczuł się pewniej bez obecności instruktora, oboje nabrali zaufania do umiejętności pilotażowych Chrisa i współpracy jako pilot i nawigator. Nadszedł czas na dalsze wypadki. Pierwszy instruktor Chrisa, Pete Miller, pożyczył im samolot i swoje karty kredytowe - na wypadek jakiejś krytycznej sytuacji - i wysłał ich na Florydę ze słowami:

-Katastrofa jest równie dobra jak wyprzedaż.

W powietrzu czy na ziemi Chris skłaniał ludzi do bliskiej przyjaźni,

wspaniałomyślności i czarnego humoru. Wreszcie, po kilku latach latania, Chris poczuł chęć, by zejść głębiej. W zaledwie kilka dni po tym, jak skomentował na przyjęciu zagrożenie związane z nurkowaniem, Chris wybrał się z Sue do domu Reinharta, aby obejrzeć jego sprzęt do nurkowania. Dzięki swojej firmie budowlanej Chris miał już wcześniej do czynienia z butlami ze sprężonym powietrzem, często używał ich podczas spawania. Automat z pojedynczym węzłem, dostarczającym gaz do oddychania wydawał się nieskomplikowany, rozmaite głębokościomierze i manometry były dla Chrisa równie logiczne co przewody w samochodzie i mniej skomplikowane niż panel sterowania w Cessnie. Chris i Sue udali się wprost do Underwater World, centrum nurkowego w Horsham, w Pensylwanii, gdzie Chris zapisał się na kurs. Zapisał na niego również swojego osiemnastoletniego syna Chrissy'ego, bez wcześniejszego pytania go o zdanie. Grupa pilotów planowała rodzinną wyprawę na wyspy Bahama, która miała łączyć latanie z nurkowaniem. Dla Chrisa kurs nurkowania oznaczał pogłębienie więzi z kumplami od latania, a poza tym nurkowanie byłoby czymś, co Chris i jego rodzina mogli robić wspólnie. Sue musiała zrezygnować ze szkolenia, bo studiowała wieczorowo ekonomię. Wieczorne wykłady były praktycznym rozwiązaniem, ponieważ szkoła znajdowała się niedaleko domu, a studia dawały jej szansę na zdobycie lepiej płatnej pracy. Jednakże latanie z mężem dostarczało jej wiele przyjemności i teraz również dzięki niemu poczuła się zaintrygowana nurkowaniem.

W domu Chris z entuzjazmem opowiadał synowi o kursie nurkowania, w którym mieli wziąć udział - kolejną z wielu wspólnie wykonywanych czynności. Chris zawsze lubił spędzać z Chrissym tyle czasu, ile tylko mógł. Wspólnie słuchali muzyki - od Beethovena po Franka Sinatrę. Potrafili spędzać całe godziny śpiewając, a właściwie wrzeszcząc z ekspresją do puszcanych piosenek, jakby sami znajdowali się na scenie. Razem też pochłaniali filmy sensacyjne i science fiction. Ich ulubionym programem był Dr Who, brytyjski serial science fiction, z lat sześćdziesiątych, poprzednik Star Treka. Opowiadał o doktorze, który wynajduje maszynę do podróży w czasie. Chris i Chrissy byli zafascynowani światami, które Dr Who badał, i dziwnymi, często wrogimi stworzeniami, które spotykał w trakcie swoich przygód. Ojciec i syn zaczęli nawet uczęszczać na spotkania dla miłośników serialu - jednak w

odróżnieniu od wielu innych uczestników, nie przebierali się za żadną z postaci pojawiających się w serialu.

Chris doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak ważna była dla Chrissy'ego więź z ojcem i poczucie przynależności. Gdy Chrissy miał osiem lat, zdiagnozowano u niego nadruchliwość, to co dziś określa się mianem zespołu nadpobudliwości psychoruchowej z zaburzeniami koncentracji uwagi. W 1978 roku nie było jeszcze środków, którymi można byłoby leczyć nadpobudliwość Chrissy'ego. Choć chłopiec nie był głupi ani opóźniony, nauczyciele w szkole uważali, że jego brak umiejętności dłuższej koncentracji przy czytaniu, nie pozwala mu dotrzymać kroku rówieśnikom. Szkoła poradziła Chrisowi i Sue, aby posłali syna na dodatkowe zajęcia wyrównawcze, które pomogą mu skupić się na czytaniu i zdobyciu innych umiejętności, potrzebnych do nauki. Chociaż Chrissy uczęszczał na większość zajęć z innymi uczniami, z powodu swoich zajęć wyrównawczych stał się celem ataków i zaczepiek. Chrissy codziennie wracał ze szkoły i zapłakany opowiadał mamie, że czuje się jak wyrzutek, że z powodu zajęć wyrównawczych nie może się dopasować do reszty klasy. Po roku Chris i Sue nie zauważyli większych postępów w nauce syna, widzieli za to jak ciężko znosi prześladowania ze strony kolegów z klasy. Postanowili, że zabiorą Chrissy'ego z zajęć wyrównawczych.

-Chcemy, żeby Chrissy był traktowany na równi z innymi dziećmi - obwieściła stanowczo władzom szkoły Sue, w odpowiedzi na ich protesty. - Chcemy, żeby wrócił do normalnego toku nauczania.

Zachowanie Chrissy'ego w szkole i jego oceny nie były może wybitne, ale nie były też wcale złe. W trakcie całej swojej edukacji Chrissy otrzymywał przeciętne oceny, ale jego rodzice odetchnęli z ulgą, kiedy wreszcie udało mu się wrócić do łask kolegów z klasy i dokuczanie się skończyło.

Teraz, osiemnastoletni Chrissy, mimo bliskich kontaktów z ojcem, nie miał najmniejszej ochoty na wspólny kurs nurkowania. Reakcja ta nie była w żaden sposób związana ze sportem, wynikała przede wszystkim z postawy zajmowanej wobec ojca i wobec samego siebie. Choć Chrissy był wystarczająco dorosły, by głosować, wstąpić do wojska lub pójść na studia, nie potrafił jeszcze odnaleźć własnego miejsca. Czerpał wprawdzie przyjemność z wielu wykonywanych z ojcem

czynności, ale były też rzeczy, które chciał robić niezależnie. Tego wieczoru, kiedy mieli wspólnie udać się na pierwsze zajęcia z nurkowania, obaj mężczyźni się pokłócili. Chrissy miał ważniejsze rzeczy do roboty, np. podrywanie dziewcząt i włączenie się z kolegami - do tego ojciec nie był mu potrzebny. Jeśli Chris miał ochotę iść na zajęcia, mógł to zrobić sam.

Chris poszedł sam i był zachwycony. Jego entuzjazm wobec kursu i możliwości poznawania obcego środowiska zainspirowały Sue do rozmowy z Chrissym i namówienia go, by przemyślał jeszcze swoją decyzję. Zaintrygowany sportem, mimo obecności ojca, Chrissy dołączył do kursu. Z tatą czy bez, może to całe nurkowanie warte było zachodu.

Ich instruktor, Danny McLaughlin zauważył, że obaj Rouse'owie czuli się swobodnie w wodzie i szybko opanowywali podstawy nurkowania. Było jasne, że obaj chcieli znaleźć się w czołówce kursantów, na lądzie i w wodzie. Jako doświadczony instruktor, McLaughlin oceniał nie tylko umiejętności nurkowania Rouse'ów, ale również ich zachowanie i wzajemne interakcje. Zauważył, że nawet najmniejsza prowokacja kończyła się werbalnym pojedyńkiem. Na początku jednej z sesji na basenie, Chris powiedział do syna:

-Hej, masz krzywo założoną butlę. Zawór jest krzywo.

Lekko zakłopotany Chrissy zmarszczył brwi i przewrócił oczami.

-Nie, nie jest. Krzywo na niego patrzysz.

Jego ojciec zawsze był perfekcjonistą, co powodowało tarcia z powodu beztroskiej postawy Chrissy'ego.

-Jak to krzywo na niego patrzę? To jakaś bzdura. Otwór zaworu powinien być skierowany na tył twojej głowy, a nie jest!

-Tak? A skąd ty to możesz wiedzieć?

-To oczywiste. Węże nie odchodzą prawidłowo od zaworu - Chris kontynuował. - Po prostu źle to robisz. Jak mogłem wychować takiego półgłówka? Chrissy go zlekceważył.

-To dziedziczne.

Kilka minut później, po paru ćwiczeniach w pływaniu pod wodą, Chrissy wynurzył się, ściągnął maskę i warknął:

-Kurcze, wiem, że ciężko być starym wapniakiem, ale może mógłbyś się wysilić i popłynąć trochę szybciej?

Z twarzy starszego Rouse'a przez moment można było wyczytać urazę.

- No cóż, myślę, że jak na starego wapniaka całkiem nie źle mi szło. Jakoś nie miałem kłopotów z płynięciem w twoim tempie. Ale zastanawiałem się już, czy cię nie wyprzedzić, bo wyglądałeś jak połamaniec.

- Jasne, jasne. Musiałem ciągle usuwać ci się z drogi. - Chrissy podpłynął do krawędzi basenu. McLaughlin wziął głęboki oddech i postanowił nie interweniować.

- Hej, widzisz te duże rzeczy na twoich stopach? To są płetwy. Danny powiedział nam, że służą do pływania. Powinieneś kiedyś spróbować ich użyć, zamiast młócić dookoła rękami.

- Nie używałem rąk!

- Właśnie, że tak.

- Właśnie, że nie.

-Że tak. Trzy razy walnąłeś mnie ręką. Liczyłem.

McLaughlin przez chwilę zastanawiał się nawet, czy ci dwaj mężczyźni nie rzucą się na siebie, wiedzeni rywalizacją, bardziej odpowiadającą braciom niż ojcu i synowi. Ich ciągłe kłótnie i przepychanki sprawiały wrażenie, jakby mieli się za chwilę pozabijać, ale McLaughlin rozumiał, że wszystko tak po prostu przebiegały ich wzajemne interakcje. Może w końcu zaczną się nawzajem dopingować do bycia lepszymi nurkami. Zresztą obaj byli bardzo wartościowi dla całej grupy: pomagali innym kursantom przy zakładaniu sprzętu i podnosili na duchu, gdy tamci tracili pewność siebie po sesjach na basenie.

Podczas dziesięciodniowego kursu wszyscy poznali się bardzo dobrze i zaczęli się również spotykać po zajęciach, w miejscowej restauracji. Chris i Chrissy chcieli, aby Sue, ich żona i matka, także wzięła udział w tych spotkaniach i zachęcali ją do tego po powrocie do domu z pierwszej kolacji.

-Ale ja tam nikogo nie znam. Będę się czuła głupio, wpychając się na wasze grupowe spotkania.

Obaj mężczyźni od razu zaprotestowali.

-Nie, wszyscy są tam bardzo mili. Musisz ich poznać. Poczujesz się wśród nich jak członek rodziny.

Sue wiedziała, jak bardzo jej mąż lubił poznawać nowych ludzi. Była zdumiona, kiedy poszedł z nią na spotkanie absolwentów z okazji pięciolecia ukończenia szkoły średniej. Osoby z jej klasy zmieniły się tak drastycznie- podobnie jak, w odczuciu Sue, ona sama - czuła się więc trochę niezręcznie i miała trudności z rozpoczynaniem rozmów. Od czasu szkoły średniej przybrała trochę na wadze, a jej życie wyglądało teraz zupełnie inaczej niż to sobie kiedyś wyobrażała. Na spotkaniu zachowywała się więc z rezerwą. Chris natomiast bez skrępowania podchodził do każdego do kogo mógł, wesoło się przedstawiał, ścisnął ręce i posyłał dookoła promienne uśmiechy niczym polityk na jakimś wiecu. Z każdym znajdował jakiś wspólny temat do rozmowy, a jego swobodny sposób bycia, ciągły uśmiech i liczne żarty rozluźniały wszystkich i wprawiały w dobry nastrój. Gdy spotkanie dobiegło końca, Sue musiała go wyciągać siłą.

W domu Sue powiedziała Chrisowi, jak niezręcznie się czuła na spotkaniu absolwentów. Chris przytulił swoją żonę i powiedział:

-Jesteś taka silna i zawsze mnie we wszystkim wspierasz. Wiesz, nie mógłbym bez ciebie żyć. Gdybyś umarła, nie dałbym sobie bez ciebie rady. Ale wiem, że jeśli ja umrę, ty się jakoś pozbierasz i będziesz się spotykać z innymi facetami. I w końcu znajdziesz kogoś miłego i ponownie wyjdiesz za mąż.

Sue czerpała siłę z pogody ducha męża i była wdzięczna za miłość, którą do niej żywił, mimo tych kilku dodatkowych kilogramów, o które przytyła w trakcie ich małżeństwa. Kiedy tylko wspominała o swojej nadwadze w ich prywatnych rozmowach, szybko, z miłością zbywał jej wątpliwości i obwinianie się.

-Jesteśmy dla siebie stworzeni. Nikt inny nie byłby dla mnie odpowiedni. Pasujemy do siebie jak fragmenty układanki. Jesteś moim puzzlem - mówił w takich chwilach Chris, przytulając żonę.

Chris bardzo sobie cenił ich partnerski związek i to, że zawsze mógł na Sue polegać. Nigdy nie robił niczego bez wcześniejszej konsultacji z nią i choćby próby włączenia jej w to. Sue z kolei, zawsze go wspierała, niezależnie od tego, jakie nowe pomysły przychodziły mu do głowy i jak toczyły się ich losy. Zawsze zachęcała go, by

realizował swoje marzenia.

-Żyje się tylko raz, Chris. Jeśli chcesz coś zrobić, daj z siebie wszystko i to zrób - mówiła mu, powtarzając to w co sama wierzyła i co on chciał usłyszeć. Sue była kotwicą Chrisa, dzięki niej był związany z jednym miejscem, a jednocześnie mógł płynąć ze swoim prądem w takim kierunku, w jakim chciał.

Po wieczornych zajęciach Sue dołączyła do Chrisa i Chrissy'ego i ich grupy. Wszyscy kursanci przyjęli ją bardzo ciepło.

-Nie mogliśmy się doczekać, żeby cię poznać! Chcieliśmy zobaczyć super-kobietę, która potrafi wytrzymać z tym dynamicznym duetem! - obwieścił jeden z nich.

W pewnej chwili, przy kawie i cięście, ktoś spytał:

-Jak ty to robisz, Sue? Ta dwójka przecież nawet na chwilę nie przestaje. Jak ty za nimi nadążasz?

Sue roześmiała się.

-Czasem wynajmuję dla nich opiekunkę, taką jak wasz instruktor nurkowania, żeby trochę odsapnąć. - Chris i Chrissy uśmiechnęli się lekko zawstydzeni.

Po dziesięciu tygodniach w klasie i sesjach na basenie McLaughlin ustalili, że ostatnie szkolenie odbędzie się w Dutch Springs, miejscowym kamieniołomie, który wiele lat temu został zalany i odtąd stał się kąpieliskiem i terenem ćwiczeń dla nurków.

Właściciele kamieniołomu zainstalowali tuż nad dnem specjalne podwodne platformy, dzięki którym kursanci mogli demonstrować swoje umiejętności bez konieczności nurzania się w pokrywającym dno osadzie. Woda w Pensylwanii jest zimna, a duża liczba nurków z różnych ośrodków szkoleniowych, mimo zamontowanych platform, przyczyniała się do jej zamulenia. Osad podnosił się, gdy ludzie wchodzili lub wychodzili z wody, albo gdy płynęli nad dnem, przyglądając się łodziom, celowo zatopionym tam dla ich rozrywki.

Na suchym lądzie, przed i po każdym nurkowaniu, McLaughlin musiał się przysłuchiwać bezustannym kłótniom Rouse'ów.

-Hej, Chrissy, gdzie położyłeś pudło z zapasowymi częściami? — zawołał w pewnej chwili Chris.

-Ja? To tyje miałeś przynieść.

McLaughlin zobaczył niebezpieczny błysk w oczach Chrisa.

-Znowu się zaczyna. Za każdym razem, gdy proszę cię, żebyś coś przyniósł, zapominasz, a potem próbujesz zwalić winę na mnie.

Chrissy rzucił swoje płetwy na ziemię.

- Nie. Z całą pewnością nie. Wcale mnie nie prosiłeś, żebym przynosił cokolwiek poza tym, co już przyniosłem. Nie próbuj zwalić na mnie winy za coś, czego ty nie zrobiłeś.

- Jasne, tak jak było z tymi narzędziami, które miałeś przynieść do pracy tydzień temu, pamiętasz? Pójście po nie zajęło dwie pieprzone godziny, musiałem pracować do późna, żeby nadrobić stracony czas.

- Pamiętam. To była moja wina. Ale już za to przeproszałem. Nie musisz ciągle tego wyciągać. Zawsze to robisz. Poza tym przecież mówiłem, że sam popracuję do późna, żeby odrobić straty. Ale tym razem niczego nie zapomniałem.

Chris zacisnął zęby.

-No dobrze. Zapomnijmy o tym. Może wobec tego przyniesiesz mi kanapkę z chłodziarki? Wiem, że chłodziarkę udało nam się zabrać.

-A niby czemu mam ci zawsze wszystko podawać? Kim ja właściwie jestem - twoim pieprzonym gońcem?

Chris głęboko westchnął.

-Rany, nie możesz mi nawet podać kanapki bez narzekania? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

Inni kursanci świetnie znali rytuał wzajemnego znieważania się i próbowali go ignorować. Wiedzieli, że pod wodą automaty do oddychania powstrzymywały ich przed kłótniami - w pewnym stopniu. Nadal bowiem używali gestów. Ale skoro zostało im już tylko jedno nurkowanie na pozostałe dwa dni szkolenia, McLaughlin miał dość.

-Ok, wystarczy tego dobrego - powiedział, wstając, by ich rozdzielić. -Jeżeli wasza dwójka nie może przebrnąć przez nurkowanie bez kłótni, będziecie obaj musieli poczekać do przyszłego tygodnia, żeby uzyskać licencję.

Ta perspektywa oznaczała porażkę. To było nie do przyjęcia. Obaj zacisnęli zęby i odwrócili się od siebie, obrażeni. Dobrowolnie odseparowali się od siebie, rzucając sobie czasem tylko wrogie spojrzenia. Bez żadnego incydentu przebrnęli przez

nurkowanie i otrzymali licencje.

Po ukończeniu wieczorowego kursu z ekonomii, Sue wraz z przyjaciółką z grupy pilotów postanowiła zrobić kurs nurkowania. Koleżanka już wcześniej zapisała się na zajęcia oferowane przez inne centrum nurkowe niż to, z którego usług korzystali Chris i Chrissy. Sue nie sądziła jednak, by miało to sprawić jakąś różnicę. Poza tym miło było mieć za partnera nurkowego kogoś, kogo już wcześniej znała. Zamiast intensywnego dziesięciodniowego kursu, który przeszli Chris i Chrissy, Sue poszła na skrócony, jednoweekendowy. W niedzielę wieczorem wróciła do domu z wiadomością, że w następnym weekend jedzie na egzamin z nurkowania.

- Nie mogę uwierzyć, że instruktor uznał mnie za gotową do egzaminu. Bez wahania Chrissy powiedział:

- Nie martw się, mamo. To naprawdę proste. Jeśli chcesz, pojedziemy tam z tobą. Chris zgodził się natychmiast.

- Świetny pomysł, Juniorze. Sue, będziemy tuż przy tobie. Nie martw się. Sue podobał się pomysł, że jej dwóch mężczyzn koncentruje się na niej.

W Dutch Springs uważnie przyglądali się z niewielkiej odległości, jak Sue zakłada sprzęt, by z pozostałymi uczestnikami kursu wejść do wody. Jak miała się później dowiedzieć, nie podobało im się to, co widzieli.

-Nie podoba mi się ten instruktor - powiedział ojcu Chrissy. - Czy on nie widzi, że mama nie czuje się swobodnie? Powinien zapewnić jej więcej ćwiczeń na basenie, zamiast ciągnąć ją tutaj nim będzie gotowa.

Chris odwrócił się do syna:

-Juniorze, musimy mieć oko na Sue. Naprawdę żałuję, że nie zrobiła kursu z nami i z Dannym.

Chrissy zgodził się.

-No, mama naprawdę nie czuje się swobodnie. Przygotuję się, żeby natychmiast wskoczyć do wody, gdyby potrzebowała pomocy.

-Dobry pomysł. Może wślizgniemy się do wody i pokręcimy w pobliżu, ale tak żeby nie rzucać się w oczy.

-Nie obchodzi mnie, czy będziemy się rzucać w oczy. -Zachowajmy spokój i nie wkurzajmy instruktora. Chcemy przecież żeby mama dostała licencję. Potem już

będzie nurkować z nami - powiedział ojciec.

Podczas egzaminu Chris i Chrissy pływali z Sue i jej grupą na całej podwodnej trasie. Woda w kamieniołomie była zimna, a widoczność słaba. Cząsteczki glonów unosiły się w wodzie, zmieniając jej barwę na nieprzyjemny brąz. W pewnym momencie instruktor odwrócił się do Chrisa i napisał na swojej tabliczce: „Którędy do brzegu?” Chris nie mógł w to uwierzyć. Mieli do czynienia z instruktorem, który nie dość, że się zgubił, to jeszcze pytał o kierunek nurka ze świeżo uzyskaną licencją. Chris wskazał mu kierunek powrotu przez brunatną mgłę. Kiedy instruktor się odwrócił Chris spojrzał na syna, przewrócił oczami i potrząsnął głową. Chrissy skinął głową, potwierdzając.

Ze wsparciem Chrisa i Chrissy'ego Sue wytrwała i uzyskała licencję płetwonurka, a było to więcej niż udało się osiągnąć wielu pozostałym kursantom. Dwóch nurków dołączyło do grupy specjalnie na egzamin. Jeden był strażakiem, a drugi byłym żołnierzem Sił Specjalnych. Obaj poddali się po pierwszym dniu nurkowania: zimna, mętna woda sprawiała, że czuli się nieswojo i stracili chęć do nurkowania. Chris i Chrissy pilnowali, aby Sue wytrzymała do końca. Niezależnie od tego, jak bardzo działali sobie na nerwy, Rouse'owie zawsze trzymali się razem. Przynajmniej kiedy wymagało tego doraźne zadanie, stanowili drużynę, nieważne jak mętna czy niebezpieczna była woda.

Cała trójka Rouse'ów była teraz licencjonowanymi płetwonurkami i w każdy weekend jeździli do kamieniołomu Dutch Springs. Z każdym kolejnym zanurzeniem Chris i Chrissy czuli się swobodniej i odważniej w wodzie i chcieli zbadać każdy obrośnięty fragment ogromnego kamieniołomu. Sue nie czuła się tak odważnie, wystarczało jej nurkowanie z Kenem Reinhartem, byłym instruktorem latania Chrisa i jego bliskim przyjacielem. Chociaż Reinhart nie był instruktorem nurkowania, miał wystarczające doświadczenie w uczeniu latania, by rozumieć, że Sue potrzebuje kogoś przy sobie, zanim poczuje się naprawdę swobodnie pod wodą. Cierpliwie trenował więc Sue, ucząc ją tajników nurkowania.

Od Kena Chris i Chrissy dowiedzieli się, jak wiele dodatkowych lekcji Sue jeszcze potrzebowała. Nalegali, aby ich były instruktor nurkowania, Danny McLaughlin, ponurkował z Sue, sprawdził jej technikę i zajął się jej szkoleniem. Będąc pod

wrażeniem troski Chrisa i Chrissy'ego o zdrowie i komfort Sue, Danny zgodził się. odmawiając przyjęcia pieniędzy za dodatkowe lekcje. Wystarczającym wynagrodzeniem było obserwowanie rodziny, która traktowała nurkowanie z takim zaangażowaniem i powagą.

Cala trójka Rouse'ów nurkowała co weekend w kamieniołomie. W przerwach między nurkowaniem urządzali pikniki na polach, pomagali zabieganym instruktorom we wprowadzaniu kursantów do wody i z powrotem, zajmowali się drobnymi usterkami sprzętowymi, dodawali odwagi tym, którzy tracili ją w ostatniej chwili. Podeszli do sportu ze świeżym i zaraźliwym entuzjazmem.

Potrzeba było zarówno entuzjazmu, jak i charakteru, aby Sue i Chris mogli osiągnąć dobrobyt, a ich związek odniósł sukces. Początek był pełen wyzwań, których sami sobie przysporzyli: Sue zaszła w ciążę zanim Chris ukończył ostatnią klasę szkoły średniej. Oboje byli bardzo młodzi, gdy zaczęli się ze sobą spotykać. Chris miał 16 lat, a Sue 17 - żadne nie myślało jeszcze wtedy o dziecku. Sue nie sądziła nawet, że wyjdzie za mąż przed trzydziestką albo czterdziestką. Była pilną uczennicą, lubiła języki obce, nauki polityczne i marzyła o karierze tłumacza albo o czymś związanym z międzynarodowym biznesem. Teraz mając 18 lat i spodziewając się dziecka, stanęła przed trudnym wyborem.

Jej ojciec się wycofał, twierdząc, że sama musi podjąć decyzję. Sue i Chris wiedzieli, że są w sobie zakochani i byli podnieceni perspektywą posiadania dziecka.

Postanowili się pobrać. Choć Sue była wyróżniającą się uczennicą i otrzymywała stanowe stypendium Uniwersytetu w Pittsburgu, ze względu na macierzyństwo musiała odłożyć plany pójścia na studia. Z początku nowożeńcy wprowadzili się do domu rodziców Chrisa. Świeżo upieczony ojciec i mąż musiał czasem pracować w trzech miejscach jednocześnie. Ale był dumny jak paw, gdy jego nowonarodzony syn i żona pojawili się na uroczystości zakończenia szkoły średniej.

Ciężka praca Chrisa szybko zaczęła przynosić efekty. Tej samej jesieni para wydzierżawiła kawałek ziemi, kupiła przyczepę kempingową i wyprowadziła się z domu rodziców Chrisa. Jednak już miesiąc później Sue znalazła się w szpitalu z powodu kamieni nerkowych, które wymagały operacji. Szukając oszczędności, aby móc wyprowadzić się od rodziców i zacząć życie na własny rachunek, para nie

zdecydowała się na wykupienie polisy ubezpieczeniowej. Byli młodzi i zdrowi, sądzili więc, że ubezpieczenie jest im niepotrzebne. Teraz za wszystkie medyczne rachunki Sue musieli zapłacić z własnej kieszeni. Gdy Sue zwolniono ze szpitala po operacji i dziesięciodniowej rekonwalescencji, para stanęła przed perspektywą zapłacenia rachunków za leczenie, opiewających na kilka tysięcy dolarów. Poza tym zdrowiejąca młoda matka nie mogła niczego podnosić, w tym także swojego siedmiomiesięcznego synka, Chrissy'ego. Oznaczało to, że ponownie muszą się wprowadzić do rodziców Chrisa, aby Sue mogła dojechać do siebie po operacji i mieć pomoc przy opiece nad Chrissym. Był to ciężki cios dla nowożeńców, ale byli zdeterminowani, by ich małżeństwo się udało.

Chris znalazł pracę u dealera samochodowego jako mechanik i dzięki temu mógł zrezygnować z innych posad. Przy pomocy Chrisa i jego rodziców Sue doszła do siebie po operacji i po miesiącu para z niemowlęciem mogła z powrotem wprowadzić się do swojej przyczepy. Ich z trudem zdobyta niezależność była najlepszym gwiazdkowym prezentem dla całej rodziny. Rachunki za leczenie Sue nadal jednak wisały nad głowami małżonków, dlatego też Sue zaczęła pracować na pół etatu jako kelnerka w miejscowej restauracji dziadkowie z obu stron wymieniali się przy opiece nad Chrissym, kiedy Chris i Sue pracowali.

Po półtora roku Chris zaczął jednak odczuwać frustrację z powodu swojej pracy. -Ci faceci zlecają mi tylko jakieś beznadziejne zajęcia, wszystko to, co przynosi najmniej gotówki - narzekał. - Ile razy w ciągu dnia mogę zmieniać olej? Albo w ciągu tygodnia, albo miesiąca? Tylko to mi zlecają. Stać mnie przecież na więcej. — Musisz im coś powiedzieć, Chris. Nadal cię będą wykorzystywać, jeśli czegoś nie zrobisz.

Mimo że Sue zachęcała męża, by był bardziej przebojowy, agresywny i walczył o lepiej płatne naprawy przy samochodach, Chris nadal zachowywał w pracy milczenie. Dławił w sobie złość, ponieważ nie dawano mu szans na wykonywanie bardziej zaawansowanych prac, do których posiadał przecież kwalifikacje. Sue bardzo martwiła się, że praca tak przygnębia Chrisa. Często tak bolał go żołądek, że w ogóle nie mógł iść do pracy.

Minęło kolejnych sześć miesięcy. Pewnego dnia Chris wrócił do domu i obwieścił

swojej dwudziestojednoletniej żonie, że rzucił pracę. Sue była w szoku, ale postanowiła wspierać go w tym spontanicznym wyborze. Zauważyła, że mąż był zbyt spokojny i nie umiał stanowczo walczyć o lepsze warunki płacowe. Zasługiwał przecież na szczęście, a Sue wierzyła, że jakoś w końcu zarobi na utrzymanie rodziny.

Chris sprzedał swój motocykl i kupił koparkę, umożliwiającą kopanie rowów i podnoszenie dużych ilości różnych materiałów. Otworzył firmę budowlaną, zajmującą się oczyszczaniem terenu pod budowę dróg i autostrad, kopaniem rowów melioracyjnych oraz dołów pod baseny i szamba. Lubił tę pracę i wiedział, że jest w niej dobry. Był szczęśliwy, nie zniechęcały go protesty rodziców, że powinien sobie znaleźć „prawdziwą pracę”, co Chris rozumiał jako pracę, w której ktoś by nim rządził. Wątpliwości pozostałych ludzi tylko umacniały jego determinację. Musiał zdobyć dość zleceń, aby zapłacić za potrzebne maszyny, zapewnić jedzenie na stół i dom dla żony i syna.

Chris kupił wywrotkę, na której mógł przewozić materiały z terenów, na których pracował, dzięki czemu zakres wykonywanych przez niego prac zdecydowanie się powiększył. Wiadomość o sympatycznym, ciężko pracującym młodzieńcu szybko rozeszła się w Buck's County w Pensylwanii i wkrótce dzięki podawanym z ust do ust rekomendacjom, Chris miał mnóstwo zleceń. Jego klientom podobała się jego uczciwość, atrakcyjne oferty i pomysłowość Rouse'a. Rodzice Chrisa, mimo początkowych oporów, co do wyboru ścieżki zawodowej, podżyrowali Chrisowi pożyczkę. Pozwoliła ona na zakup większych maszyn, potrzebnych do rozszerzenia zakresu działania firmy.

Wszystko zaczęło się wspaniale układać dla rodziny Rouse'ów. Chris uwielbiał swojego synka. Chłopiec był pełen energii, bez ustanku rozmawiał, tocząc dyskusje z samym sobą, jeśli w pobliżu nie znajdował się nikt inny. Gdziekolwiek by Chrissy nie poszedł, ludzie byli oczarowani słodkim, ciekawskim chłopczykiem.

Gdy Chrissy miał trzy latka cała rodzina wybrała się do zoo. W nocy, kiedy już prawie zasypiali, Chris i Sue usłyszeli głos dziecka dobiegający z jego łóżeczka w pokoju obok.

- M-a-a-amó? Ta-a-ato? - Chrissy zapytał.

- Tak, Chrissy? Co się stało? - odpowiedzieli zaniepokojeni rodzice.
- Chcę porozmawiać.
- O czym chcesz rozmawiać?
- Porozmawiajmy o zoo.

„Porozmawiajmy o zoo” stało się od tej pory ulubionym rodzinnym hasłem, gdy chcieli zacząć jakąś emocjonalną rozmowę, pogodzić się po kłótni lub przeprosić. Dzięki dużej liczbie kontraktów Chris mógł wreszcie zapewnić rodzinie wygodny poziom życia. Razem z Sue zaczęli nawet rozmawiać o zakupie ziemi zamiast dzierżawić ją, jak dotychczas.

- Chris mamy po dwadzieścia lat, nie posiadamy żadnych aktywów, tylko ten dom na kółkach. Jaki bank da nam pożyczkę? - spytała Sue.
- Cóż, w takim razie musimy poszukać jakiegoś innego sposobu, żeby to sfinansować. Może jakaś towarzystwo finansowe mogłoby nam udzielić pożyczki albo jakaś osoba prywatna, która chce sprzedać działkę.

Chriss i Sue mieli szczęście. Udało im się znaleźć sprzedającego, który skłonny był pożyczyć im pieniądze na zakup zalesionej działki na odludziu, o powierzchni ośmiu akrów. Chris miałby na niej mnóstwo miejsca na swoje ciężkie maszyny, a nawet na osobny warsztat. Sue spodobała się dlatego, że przypominała jej rolnicze rejony, w których dorastała. Poza tym oboje byliby dość blisko rodziców, żeby zachować rodzinne więzy, a jednocześnie dość daleko, by poczuć, że wreszcie są na swoim. Przewieźli swoją przyczepę na działkę.

Podniesiony na duchu pożyczką na działkę i zaufaniem, jakim obdarzył go obcy człowiek, Chris złożył swoją ofertę do przetargu na potężne prace budowlane, mające na celu wyrównanie terenu, na którym miało powstać rozległe centrum handlowe i market budowlany. W śmiałym planie Chris zaproponował, że jedynym wynagrodzeniem za jego pracę będzie ziemia i kamienie, które pozostaną po przekopaniu i zrównaniu pofalowanego terenu. Chris uważał, że usunięty materiał będzie sporo wart przy wyrównywaniu jakiegoś terenu w przyszłości. Chris wygrał przetarg i zakupił buldożera do swej rosnącej kolekcji maszyn budowlanych.

Chris zarobił wystarczająco dużo pieniędzy na zamówieniu z centrum handlowego, żeby spłacić wszystkie pożyczki na maszyny i jeszcze trochę odłożyć w banku. W

biuletynie informacyjnym miejscowego centrum handlowego pojawił się artykuł „Człowiek, który przesunął górę.” Na pierwszej stronie zamieszczono zdjęcie Chrisa, siedzącego w swoim buldożerze. Za jego plecami widniała przygniatająca swymi rozmiarami góra, którą wkrótce miał zrównać z ziemią. Jego sława rosła. Chris zaryzykował i wygrał.

Zajął im to 13 lat, ale wreszcie Sue i Chris mieli okazałe konto bankowe, kwitnącą firmę i syna, który właśnie zaczął wkraczać w okres dojrzewania. Chris chciał sobie sprawić przyjemność i kupić samolot. Sue zaprotestowała.

-Nigdy wcześniej nie powiedziałam ci nie, Chris, ale tym razem chcę mieć dom. Nie kupisz tego samolotu, dopóki nie będziemy mieli własnego domu. Mam już dość mieszkania w tym gracie na kółkach.

- No dobrze, w takim razie zbudujemy dom - Chris odpowiedział natychmiast. - Ale ty i Chrissy będziecie musieli mi pomóc. Sam nie dam rady!

- Oczywiście, że ci pomożemy. Przecież nikt nie mówi, że musisz to zrobić sam. Zawsze wszystko robimy wspólnie, Chris.

Chris nie tylko wszystko robił razem z Sue ale też oboje dbali o to, by - na ile to możliwe - we wszystko włączać Chrissy'ego, nawet w firmę budowlaną. Chris zwierzył się Sue, że nie może się doczekać pracy z Chrissym u swego boku. Sądził, że w końcu Chrissy przejmie po nim firmę.

-Jeśli Chrissy będzie chciał, może mieć od razu własną firmę, bez szefa zagląającego mu przez ramię i hamującego jego poczynania, jak to było w moim przypadku - Chris powiedział Sue.

Chrissy uwielbiał pracować z ojcem, a zwłaszcza kierować buldożerem, czego nauczył się już w wieku 12 lat. Bardzo podziwiał ojca, który, jak mu się wydawało, naprawiał wszystko bez żadnego wysiłku, zwłaszcza ciężkie maszyny, którymi Chrissy tak lubił jeździć.

W 1983 roku, Rouse'owie rozpoczęli budowę domu na swojej zalesionej działce. Aby móc wybudować dom, Chris wymieniał się pracą z innymi przedsiębiorcami budowlanymi w okolicy, żeby robili rzeczy, których sam nie mógł, np. instalacje hydrauliczne albo okablowanie. I jakby budowanie domu przy jednoczesnym prowadzeniu dobrze prosperującej firmy budowlanej nie było dostatecznym

wyzwaniem, Chris zawarł umowę ze swoim przyjacielem Kenem Reinhartem.

-Od jakiegoś czasu marzyłeś o własnym domu. Może zbudujemy nasze domy jednocześnie. Ja pomogę ci przy twoim, ty mi przy moim.

Była to zbyt wspaniałomyślna oferta, żeby Ken ją odrzucił. Przez następnych kilka lat, w czasie których budowali swoje domy, ich przyjaźń znacznie się pogłębiła.

Chrissy miał trzynaście lat, gdy jego ojciec wylał fundamenty. Chrissy pomagał przy konstrukcji domu, podobnie jak Sue. Chociaż budowanie domu w czasie weekendów albo po długich godzinach w pracy, gdy powinni odpoczywać, było niekiedy dla Rouse'ów przyczyną frustracji, w miarę jak ich dom zaczął przyjmować kształt, doświadczenie to wzmocniło rodzinę, a wzajemne zaufanie i wiara w umiejętność wspólnej pracy nabrały solidnych podstaw. Zupełnie jakby rodziny Rouse'ów i Reinhartów były pionierami na Dzikim Zachodzie, budującymi wspólnie swoje domostwa.

Zbudowanie nowego domu zajęło rodzinie dwa lata. Gdy był już skończony, Chris kupił prywatny samolot. Pewnego dnia wybrał się, żeby obejrzeć wystawioną na sprzedaż Cessnę, mimo że Ken, który miał mu tego dnia towarzyszyć, nie mógł iść, bo prowadził lekcje latania. Chris poszedł sam i z miejsca kupił samolot. W chwili, gdy Ken kończył lekcje latania, Chris był już dumnym posiadaczem samolotu. Nagła decyzja przyjaciela zdumiała Kena, który sądził, że Chris tylko sprawdza różne możliwości, a nie, że jest gotów wyłożyć pieniądze. Ken dostrzegł nowy aspekt osobowości Chrisa: miał do czynienia z człowiekiem, który mógł spędzić dwa lata budując dom i trzynaście lat tworząc firmę, a jednocześnie podjąć niespodziewaną decyzję o wydaniu 50 tysięcy w dziesięć minut.

Znajdując szczęśliwe schronienie w domu, jako dumni posiadacze samolotu i licencjonowani nurkowie, Rouse'owie, pozwolili sobie w 1988 roku na wakacje w ciepłym klimacie. Wybrali się na Bonaire, małą karaibską wyspę w pobliżu Wenezueli, wchodzącą w skład Antyli Holenderskich, znaną z doskonałych miejsc do nurkowania. Woda była przyjemna, przejrzysta i tętniła życiem. Na długo przed tym, jak turystyka ekologiczna stała się modna, rząd Bonaire dostrzegł korzyści płynące ze stworzenia podwodnego parku, w którym zabroniono połowów i gdzie koralowce mogły swobodnie żyć. Nurkowie tłoczyli się do tego dziewiczego podwodnego

środowiska.

Większość ludzi traktowała wyprawy nurkowe w ciepłej wodzie jako szansę na relaks, możliwość dwukrotnego nurkowania dziennie, opalania się z przyjaciółmi na plaży i wypicia paru tropikalnych drinków. Rouse'owie tylko nurkowali. W ciągu pięciu dni Chris nurkował dwadzieścia pięć razy, głównie w towarzystwie Sue i Chrissy'ego. Po powrocie z Bonaire, w pierwszy weekend, wybrali się do kamieniołomu. Ale nie na długo. Uwagę Chrisa przykuł artykuł o centrum nurkowym w Ginnie Springs i obozowisku na Florydzie. W Gininie znajdowały się jaskinie Devil's Cave System.

Razem z Kenem Reinhartem i jeszcze jednym pilotem wybrali się prywatnym samolotem Chrisa, by sprawdzić to miejsce.

Trzej mężczyźni jechali przez płaski, wiejski krajobraz Florydy ku rozległym terenom Gininie Springs. W powietrzu unosił się zapach koni i krów. Gdy zaczęli zbliżać się do celu, Chris zwrócił uwagę na olbrzymi billboard, przedstawiający młodą smukłą dziewczynę. Siedziała na brzegu rzeki, zjedną nogą zanurzoną w wodzie, a długie, jasne loki spływały na jej ramiona. To był obrazek jak z bajki. Jedwabista skóra dziewczyny była delikatnie opalona. Tylko lekko ugięta noga i ramię dodawały jej skromności. Wpatrywała się ciemnoczerwonego ptaka, siedzącego na gałęzi. Gininie, wodna nimfa, zdawał się sugerować plakat, była niewinną i łagodną istotą.

Chris, Ken i ich przyjaciel pilot skręcili przy billboardzie i wkrótce brukowana droga zmieniła się w piaszczysty trakt. Na dalekim końcu pola po lewej stronie znajdował się parterowy budynek, oznaczający początek pola namiotowego. Budynek - proporcjonalny, przestronny, i zbudowany z drewna, które pozwalało mu idealnie wtopić się w otoczenie - spodobał się budowniczemu Chrisowi. Ściany sklepu nurkowego i kilka stojaków wypełnione były mosiężnymi, nierdzewnymi karabińczykami, służącymi do przyczepiania sprzętu do uprząży nurkowej oraz różnej wielkości węzami, klamrami, uprężkami, latarkami i innym sprzętem. Chris był pod wrażeniem. Nigdy nie widział miejsca takiego jak to. Centra nurkowe u nich nie były ani tak rozległe, ani tak dobrze wyposażone, nie miały też tak nietypowego sprzętu nurkowego, jak Gininie. Kręcąc się po budynku, Chris zauważył salę

wykładową, sklep, sklepik z pamiątkami, oferujący różnokolorowe ręczniki plażowe, koszulki, z logo Ginnie Springs, reklamujące nurkowanie jaskiniowe, warsztat zajmujący się naprawą sprzętu, biura i wypożyczalnię. Po raz pierwszy Chris zobaczył społeczność stworzoną przez i dla nurków. To było miejsce dla niego. Kiedy Chris i Ken zapłacili za wejściówki i po okazaniu licencji zapisali się na nurkowanie, każdy z nich otrzymał formularz, na którym musieli złożyć podpis. Było to oświadczenie, że zostali uprzedzeni o niebezpieczeństwach, związanych z nurkowaniem w Devil's Cave System. Ponieważ mieli licencje tylko na wody otwarte, nie wolno im było zabrać pod wodę latarek. Bez latarek nie mieliby pokusy, by nurkować poza strefą grotu, gdzie utraciliby kontakt wzrokowy z wejściem, jasno oświetlonym przez promienie słoneczne. Gdyby użyli świateł, natychmiast by ich wyproszono. Mogli jednak zabrać latarki do samej jaskini Ginnie Springs, ponieważ przy wejściu do systemu tuneli zainstalowano metalową kratę, która blokowała dostęp do pozbawionych światła miejsc.

Po wyjściu ze sklepu Chris stanął przed płataniną krętych piaszczystych ścieżek prowadzących od głównej uliczki przez cały kemping. Wzdłuż ścieżek zostały wyodrębnione mniejsze pola kempingowe, a na każdym rosły drzewa zapewniające prywatność i cień. Jego rodzina z pewnością uwielbiałaby tu obozować. Chris poszedł z przyjaciółmi dalej, aż do rzeki Santa Fe, która wijąc się leniwie stanowiła naturalną granicę z jednej strony pola. Na zwalonych pniach drzew wygrzewały się żółwie. Do mętnej wody rzeki wpadała krystalicznie czysta woda z systemów źródłanych, pomnażając objętość rzeki i zapewniając gładki, stabilny przyptyw wody, ku radości kajakarzy i wielbicieli spływu na dętkach. W przezroczystych wodach Gumie Springs szybko przepływały wyraźnie widoczne ryby- Chris był oczarowany. Nigdy wcześniej nie widział nic podobnego, kajaki sprawiały wrażenie jakby unosiły się w powietrzu, a nie na wodzie. Choć woda w Bonaire była dość przejrzysta, w żadnym razie nie mogła się równać z tym miejscem. Cóż to musiało być za uczucie - nurkować w absolutnie przejrzystej wodzie? Nie mógł się doczekać, by to sprawdzić. Tego popołudnia Chris i Ken zanurkowali w Ginnie Springs po raz pierwszy. Zanurzyli się u ujścia źródła, przeciskając się przez wąską szczelinę między piaskiem a skałą. Tuż pod nią znajdował się potężny podwodny pokój. Małe latarki, które

wolno im było zabrać, dawały niewiele światła, ale ich oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku. Zobaczyli, że bezustanny napływ wody wyrzeźbił w skałach przedziwne kształty. Niektóre przypominały zwierzęta, inne twarze krzyczących ludzi. Cały krajobraz przypominał scenę z planety science fiction.

Ody zanurzyli się na 16 metrów, natrafili na solidną metalową kratę, którą umieszczono tam wiele lat wcześniej, żeby zablokować wejście do głównego systemu tuneli. Kiedy Chris podpłynął do kraty, strumień wody wypływającej z tunelu uderzył go w klatkę piersiową. Zaskoczony i trochę oburzony przyciągnął się bliżej. Poczul się jak więzień, który nie może dotrzeć do wolności, znajdującej się w tajemniczej jaskini przed nim. Woda odrzuciła jego krótkie włosy do tyłu, przepłynęła po twarzy tak, że poczul mrowienie skóry. Było to bardzo odświeżające - zupełnie jak chłodna bryza w upalny dzień. A kiedy puścił kratę, został zdmuchnięty do tyłu jak jesienny liść.

Kiedy się wynurzyli, Chris był zachwycony. Nalegał, by pojechali dalej i zanurkowali w innym strumieniu w Devil's Cave System, takim, w którym nie założono kraty u wejścia do tunelu. Gdy dotarli na miejsce, umieszczona tam duża, żółta tablica z napisem ostrzegawczym zaniepokoiła Kena. Uważnie przeczytał napis:

**OSTRZEŻENIE! NURKOWANIE JASKINIOWE WYMAGA
SPECJALNEGO WYSZKOLENIA I SPRZĘTU. GINĘLI TU
NURKOWIE. I NADAL GINĄ.**

Zostały tu sformułowane zasady bezpiecznego nurkowania i Ken, jako weteran szkoleń lotniczych, zamierzał ich przestrzegać.

Wielu nurków nie było tak ostrożnych jak Reinhart. Pragnienie by „dzielnie przeć naprzód gdzie nikt jeszcze nie dotarł” jest tak silną pokusą, że często zagłusza instynkt samozachowawczy. Wielu opętanych brawurą nurków nadal próbuje wejść do jaskiń w Devil's Cave System, mimo braku odpowiednich umiejętności, wyszkolenia i sprzętu, co prowadzi do ich śmierci

Wapienne jaskinie Florydy nie są zwyczajnymi jaskiniami ani krótkimi podziemnymi tunelami, do których można wejść, odwrócić się i wyjść. Są labiryntem uformowanym przez zawarte w wodzie deszczowej słabe kwasy, które przesiakają i przeżerają porowaty kamień, dopóki nie dotrą do twardszej skały, która powstrzyma

ich dalszy ruch w dół. Szukając drogi najmniejszego oporu, woda płynie poziomo wijąc się, skręcając, tworząc podwodne rzeki, które mogą ciągnąć się kilometrami pod ziemią. W końcu ziemia wyrzuca wodę pod postacią różnych systemów źródeł, które tworzą kąpieliska i zasilają rzeki stanowe. W innych częściach świata woda tworzy systemy jaskiń, które przeciskają się przez szczeliny w polach lawy i wnikają w puste przestrzenie oddzielające od siebie różne rodzaje skał, twardszych od wapienia. Ironią jest, że większość podziemnych systemów jaskiń i jezior została odkryta w Afryce, kontynencie, na którym znajdują się również ogromne obszary pustyń. Całkowity zasięg systemów jaskiniowych świata pozostaje nadal tajemnicą, ale wydają się one spełniać rolę arterii dla naszej planety, filtrując wodę z zanieczyszczeń i zwracając ją na powierzchnię, gdzie dostarcza pokarmu dla zwierząt, roślin i ludzi.

Nurek jest jak ciekawski kot, który próbuje zajrzeć do na wpół otwartego pudełka, tak jak ciekawość zgubiła kota, może zabić niedoświadczonego badacza jaskiń.

Niektórzy mają szczęście, jak Krzysztof Kolumb, niewyszkolony nurek może nawet kilkakrotnie nurkować w jaskiniach, nie wiedząc, z jakim niebezpieczeństwem igra, dopóki nie nastąpi katastrofa. Ale to Vasco da Gama, nie Kolumb, wprowadził w życie zasady księcia Henryka Nawigatora i posługując się mapami, stworzonymi przez żyjących przed nim, odnoszących sukcesy badaczy, odnalazł upragnioną drogę do Indii. Rozumny nurek będzie również polegał na doświadczeniu i ścieżkach, które już kiedyś wytyczono. Tam, gdzie Kolumb ruszył ślepo na przód i szczęśliwym trafem natknął się na ląd, da Gama użył dyscypliny i metodologii, aby systematycznie osiągnąć swój cel. I tak właśnie postąpi nurek, który chce zachować szansę opowiedzenia wnukom o tym, jak nurkował w jaskiniach Devil's Cave System.

Kiedy Chris i Ken nurkowali w Devil's Cave System tego dnia, zobaczyli znak bardzo podobny do tego, który stoi tam dzisiaj. Wewnątrz systemu, tam, gdzie naturalne światło rzuca ostatni, blady blask, umieszczono prostą, czarno białą tablicę. Przedstawia ona Kostuchę. W ręku trzyma kosę, a u jej stóp leżą szkielety ubrane w stroje nurkowe. Wielkimi, czarnymi, wyfluszczonymi literami napisano:

STOP
NIE UMIERAJ ! NIE PŁYŃ DALEJ!

FAKT: Ponad 300 nurków, w tym instruktorzy nurkowania rekreacyjnego, zginęło w jaskiniach takich jak ta.

FAKT: Potrzebowałeś szkolenia do nurkowania.

Potrzebujesz szkolenia jaskiniowego i sprzętu jaskiniowego, żeby nurkować w jaskini.

FAKT: Bez szkolenia jaskiniowego i sprzętu jaskiniowego nurkowie mogą tu zginąć.

FAKT: To MOŻE się przydarzyć TOBIE!

W TEJ JASKINI NIE MA NIC, ZA CO WARTO UMIERAĆ!
NIE PŁYŃ DALEJ!

Pewna para nurków, która nie przeszła szkolenia w nurkowaniu jaskiniowym, zignorowała ten znak i wpłynęła do Devil's Cave System z dwiema maskami, jednym zbiornikiem i jedną parą płetw przypadającą na nich obu. Jeden nurek płynął za drugim „na barana”, oddychając z dodatkowego automatu, przymocowanego do jednej butli. Wpłynęli do jaskini, wiedzeni ciekawością, tylko po to, by ją obejrzyć, ale zgubili się i nie mogli się z niej wydostać. Gdyby odbyli kurs jaskiniowy, wiedzieliby, że należy rozwinąć specjalną, białą, nylonową linkę z kołowrotka, który nurkowie zabierają ze sobą do tego właśnie celu. Po lince mogliby wrócić do wyjścia jak po nici Ariadny. Obu nurków znaleziono martwych, zaklinowanych w małym przesmyku. Wokół ich zwłok widoczne były ślady przerażenia: kopali na oślep, zostawili ślady w osadzie na dnie, wpijali się paznokciami w sufit jaskini, gdy zaczerpując ostatnich łyków powietrza, próbowali wydrzeć sobie drogę przez tony skał.

W jaskiniach Florydy prawdziwe historie o śmierci śmiałków są bardziej przejmujące niż fikcja. Ostatnio niewyszkolony nurek, który zanurkował solo bez poręczówki, zgubił się i użył noża, by wyryć ostatnią wiadomość na swojej butli z powietrzem: ZGUBIŁEM SIĘ. PRZEPRASZAM. MAMO. KOCHAM CIĘ.

Niektórzy niewyszkoleni nurkowie zapuszczają się do jaskiń z poręczówką, myśląc, że to wszystko, czego im trzeba. Pewna para udała się do sklepu dla nurków, żeby kupić kołowrotek z poręczówką - choć wyszkoleni nurkowie jaskiniowi mają ze sobą niejednego, ale kilka kołowrotek przy każdym nurkowaniu. Właściciel sklepu chciał zobaczyć dowód, że przeszli szkolenie w zakresie nurkowania jaskiniowego, a kiedy żaden z nich nie mógł takiego okazać, odmówił sprzedaży jakiegokolwiek sprzętu, wymaganego przy nurkowaniu jaskiniowym. To ich nie powstrzymało, poszli do miejscowego sklepu z artykułami sportowymi i tam kupili kołowrotek z jasną żyłką do wędkowania. Ich ciała odnaleziono w systemie jaskiń zaplątane w przezroczystą mocną żyłkę. Ich ramiona były ciasno przywiązane do tułowia, a automaty zwisały z dala od udreżonych twarzy i otwartych ust.

Wśród raportów śmierci znalazła się jeszcze makabryczniejsza pogłoska o wypadku w Ginnie Springs. Krążyła tam historia o trzech niewyszkolonych nurkach.

Przynajmniej jednemu z nich skończyło się w ciemnym tunelu powietrze. W walce o przetrwanie mieli się wzajemnie zaatakować nożami, żeby zapewnić sobie kilka dodatkowych oddechów ze swoich butli. Cała trójka zginęła w jaskini. Horror podwodnej walki na noże w dławiącej panice jest zbyt przerażającą perspektywą nawet dla kogoś, kto nurkuje ekstremalnie. Na szczęście opowieść ta jest nieprawdziwa. Tak naprawdę trzech braci zanurkowało w Devil's Cave System, zgubiło się i zginęło - to dostatecznie straszna historia, nawet bez noży. Najwyraźniej jakiś nie-nurek widział, jak wyjmowano ciała z wody i zauważył nacięcia na skafandrach zmarłych nurków. To wystarczyło, by zaczęła działać jego wyobraźnia. Nie-nurek nigdy nie zadał sobie trudu, by dowiedzieć się, czemu skafandry zostały pocięte. Rozdarcia były rezultatem wydobywania napęczniałych po śmierci ciał z ciasnych jaskiń.

Gdy Chris spoglądał poza podwodny znak ostrzegawczy w Devil's Cave System, zobaczył przestronny tunel, którego koniec ginął w ciemności. Powstrzymanie się przed wpływieniem do niego i zobaczenie, co się za nim kryje, kosztowało Chrisa wiele wysiłku. Był urzeczony. Kiedy wynurzył się z Kenem, zaczął nalegać, aby obaj natychmiast zapisali się na kurs nurkowania grotowego. Kurs grotowy jest pierwszym krokiem do nurkowania jaskiniowego (technicznie rzecz ujmując jaskinia

jest podwodnym terenem znajdującym się poza zasięgiem światła, z którego nie ma możliwości bezpośredniego wynurzenia się na powierzchnię).

Ken, podobnie jak Chris, był zdumiony światem podwodnym, który właśnie zobaczył. Ale ostrzeżenia dały mu do myślenia.

- Daj spokój - zachęcał go Chris. - Zapiszmy się, chociaż na pierwszy kurs. Dzięki temu będziemy lepszymi nurkami. Pomyśl o tym, czego się nauczymy!

Ken, ociągając się, wyraził zgodę.

Jednym z dwóch instruktorów uczących nurkowania grotowego był Steve Berman, cichy mężczyzna, który kiedy wpływał do jaskini, zdawał się przekształcać w jakąś wodną istotę. Poruszał się płynnie, bez wysiłku, a potem zamierał bez ruchu, unosząc się w wodzie i obserwując swoich kursantów. Woda była tak przejrzysta, że Chrisowi wydawało się jakby Berman unosił w powietrzu niczym dżin z butelki.

Podczas dwudniowego kursu nurkowania grotowego Chris i Ken nauczyli się podstaw takiego konfigurowania sprzętu, dzięki któremu mieli zapasowe części wszystkich elementów potrzebnych do utrzymania się przy życiu w jaskiniach, z których nie mogli się od razu wynurzyć na powierzchnię, gdyby pod wodą coś poszło nie tak.

Groty i jaskinie oficjalnie nazywa się „przestrzeniami zamkniętymi”, a dodatkowo, wymagany sprzęt to zapasowa butla z powietrzem i latarki. Cała wiedza o zachowaniu pod wodą, jaką Chris i Ken zdobyli na kursie, została nabyta za cenę czyjegoś życia. Nurkowanie w jaskiniach prowadziło do nieporównywalnie większej liczby zgonów niż nurkowanie na wodach otwartych, gdzie nurek, który miał kłopoty, mógł się po prostu wynurzyć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza.

Historia nurkowania grotowego i jaskiniowego przeplatała się ze sobą do 1973 roku, gdy słynny Sheck Exley, autor dwóch obszernych podręczników do nurkowania, napisał dla celów szkoleniowych opracowanie o śmiertelnych wypadkach w nurkowaniu jaskiniowym, rozróżniając od siebie te dwa pojęcia.

Exley, rdzenny mieszkaniec północno-środkowej Florydy, zaczął nurkować w 1966 roku, kiedy miał zaledwie 16 lat. W tamtym czasie nie istniały jeszcze reguły bezpiecznego nurkowania - był to zbyt nowy sport. Nurkowie wymyślali zasady w miarę jak nabierali doświadczenia. Gdy coraz więcej nurków ginęło w jaskiniach

Florydy, indywidualni właściciele i władze stanowe postanowili zamknąć wejścia do jaskiń, używając do tego materiałów wybuchowych. W 1970 roku Exley zdał sobie sprawę z tego, że jeśli nadal będzie się zamykać wejścia do jaskiń, wkrótce nurkowanie jaskiniowe na Florydzie w ogóle nie będzie możliwe. Silnie zmotywowany, by ocalić zarówno sport, jak i ludzkie życie, Exley postanowił sprawdzić, co można zrobić, by uczynić nurkowanie bezpieczniejsze. Choć już wtedy udało mu się przeżyć więcej nurkowań w jaskini niż komukolwiek innemu, wiedział, że tylko szkolenie i dyscyplina mogło na dłuższą metę zagwarantować przetrwanie. Exley zanalizował wypadki i zauważył pewne trendy. Z jego opracowania pochodzą „zasady analizy wypadku”, które opublikował jako broszurę: *Podstawy nurkowania jaskiniowego. Podręcznik przetrwania*. Podręcznik zestawia dziesięć charakterystycznych wypadków i reguł, których można się z nich nauczyć. Zbiór Exley'a stał się podstawą wszystkich przyszłych szkoleń jaskiniowych, łącznie z pierwszym stopniem-kursem grotowym, na który zapisali się Chris i Ken. Podczas kursu grotowego uczestnicy przebywają tylko na terenie, z którego nadal widoczne jest światło słoneczne, do maksymalnej głębokości czterdziestu metrów, a linearna penetracja, tj. pozioma odległość od skalistego wejścia do grotu, nie przekracza dwudziestu jeden metrów.

Najważniejsza zasada, z jaką wyszedł F. Exley, to: zawsze zabieraj ze sobą poręczówkę, wzdłuż której będziesz się mógł wydostać na otwarte wody. Wydają się to oczywiste w świetle wielu wypadków, w których nurkowie tracili orientację wewnątrz jaskini, nie potrafili odnaleźć drogi powrotnej i tonęli. Niestety powszechna opinia nie okazała się być tak oczywista w praktyce. Zbyt wielu ludzi zginęło, choć prawdopodobnie przeżyliby, gdyby używali poręczówki. Związała prezentacja graficzna Exley'a ukazująca, jak uniknąć losu martwej, napęczniałej wodą ofiary nurkowania doprowadziła do stworzenia regulaminu szkoleń i kodeksu zachowań podczas nurkowania jaskiniowego na nieznaną dotychczas skalę. Liczba ofiar nurkowania w jaskiniach i grotach zdecydowanie spadła.

Inną kluczową koncepcją, której wagę podkreślał Exley, była rezerwa - zawsze należy zabierać ze sobą zapasowe części wszystkich elementów sprzętu, które są potrzebne pod wodą. Jeśli zabierasz tylko jedną butlę, zawór powinien mieć dwa

wyjścia dla dwóch niezależnych automatów. Jeśli jeden zostanie uszkodzony, możesz skorzystać z drugiego. Nurkowie jaskiniowi, używający dwóch butli, połączonych manifoldem, muszą używać manifoldu z rozdzielnym zaworem, zaprojektowanego specjalnie do nurkowania jaskiniowego. Do każdego wyjścia przymocowany jest pierwszy stopień, mechanizm, który redukuje wysokie ciśnienie powietrza z butli do poziomu ciśnienia pośredniego. Przewód do oddychania wychodzi z pierwszego stopnia i prowadzi do drugiego stopnia, prostego urządzenia mechanicznego, które dalej redukuje ciśnienie gazu do poziomu ciśnienia otoczenia i w takiej postaci dostarcza je nurkowi. Jeśli którekolwiek z ogniw w tym łańcuchu zawiedzie - pierwszy stopień, wąż do oddychania albo drugi stopień - nurek może skorzystać z drugiego automatu, który jest zamontowany do drugiego wyjścia. Dodatkowy drugi stopień nurka, z węzłem, który ma długość przynajmniej półtora metra, nazywa się octopusem. Używa się go, żeby podać powietrze partnerowi, jeżeli skończy mu się własny zapas albo ma poważną awarię sprzętu.

Powinno się również zabierać większą liczbę latarek do nurkowania, twierdził Exley. Obecnie nie tylko nurkowie jaskiniowi, ale i grotowi zabierają ze sobą co najmniej dwie. Chociaż licencja nurka grotowego pozwala na zanurzenie tylko do ostatniego punktu, z którego widać światło słoneczne, posiadanie latarek zasilanych na baterie ma swoje zalety dla nurków grotowych, pozwalając im podziwiać detale grot, odczytywać wskazania głębokościomierzy, czasomierzy, manometrów i dawać sygnały partnerowi.

Exley podkreślał również, że każdy zespół nurkowy, łącznie z nurkami grotowymi, powinien używać kołowrotka z poręczówką, aby móc znaleźć wyjście w razie zmącenia osadu - sytuacji, w której cząsteczki piasku, mułu lub gliny zawisną w wodzie, redukując widoczność. W takiej sytuacji nurkowie delikatnie chwytają linkę i wydostają się dzięki niej na zewnątrz. Ponadto każdy nurek powinien mieć ze sobą zapasowy kołowrotek, na wypadek gdyby stracił kontakt z podstawową poręczówką i musiał jej szukać. Exley i jego naśladowcy podkreślali również znaczenie specjalnych technik pływania, które pozwalają nurkowi przemieszczać się bez wzburzania osadu.

Po ukończeniu kursu grotowego Chris i Ken polecili na Key West, aby ponurkować

przez kilka dni na rafach koralowych. Egzotyczne Key West nie zrobiło na Chrisie szczególnego wrażenia, jedyne o czym mówił, to jak ekscytującym przeżyciem było nurkowanie w Ginnie Springs.

- Ken, musimy wrócić i zapisać się na kurs nurkowania jaskiniowego - powiedział przyjacielowi. - Dzięki szkoleniu będziemy o wiele lepszymi nurkami. I zobaczymy, co jest za tym znakiem ostrzegawczym.

Chociaż Kenowi podobało się nurkowanie w jasnych jaskiniach wapiennych, niepokoiła go myśl o narażaniu się i wypływaniu z oświetlonej groty, by badać po omacku ciemne jaskinie.

- Chris, to całe nurkowanie jaskiniowe to niebezpieczna sprawa, nie czytałeś tych wszystkich znaków ostrzegawczych?

- Jasne, ale one były dla ludzi, którzy nie przeszli szkolenia i nie mają odpowiedniego sprzętu..

- Nawet jeśli to prawda, nie sądzisz, że jest tu po prostu zbyt wiele rzeczy, które mogą pójść nie tak?

- Jeśli przeszedłeś dobre szkolenie i ćwiczysz, w końcu uczysz się radzić sobie ze wszystkim. Gdyby tak nie było, wszyscy, którzy kiedykolwiek weszli do jaskini, byłiby martwi - Chris pochylił się wyczekująco na krzesło na werandzie w ich hotelu, jakby przekonanie Kena miało mu dać pozwolenie na to, czego pragnął.

- Chris, nurkowanie jaskiniowe jest jak ciągnięcie psa za ogon. - Ken wziął łyk soku. - Może ci się udać kilka razy, ale w końcu, pies się odwróci i cię capnie.

Chris oparł się z powrotem, patrząc na przyjaciela tak, jakby ten właśnie odmówił mu pożyczania dwudziestu dolarów.

-Ken, ja tam wracam i zapisuję się na kurs. Z tobą czy bez ciebie.

W marcu 1989 roku Chris wrócił do Ginnie Springs. Ken nie pojechał. Uważał nurkowanie jaskiniowe za zbyt niebezpieczne. Kiedy nurkował, chciał mieć pewność, że jeśli coś pójdzie nie tak, może natychmiast wynurzyć się na powierzchnię. Ale Chris po szkoleniach zdążył się już na tyle rozsmakować w nurkowaniu jaskiniowym, że chciał podzielić się tym doświadczeniem z Chrissym. Teraz ojciec i syn mogli w prawdziwym życiu doświadczyć światów tak dziwnych i ekscytujących jak wszystkie, które widzieli w swoim ukochanym serialu Dr Who. Chris powtórzył

kurs nurkowania grotowego, żeby syn mógł nadrobić zaległości. Potem obaj wybrali się na kurs nurkowania jaskiniowego.

Dwudniowy kurs „Wprowadzenie do nurkowania jaskiniowego” przygotował ojca i syna do wypłynięcia daleko poza strefę grotu. Wolno im było zabrać mocne latarki podwodne, które oświetlały przestronny tunel w kompleksie jaskiń Devil's Cave System jakby to był plan filmu o odległych galaktykach. Wapienne ściany tunelu pokryte były mieszaniną czarnych i białych plam. Kiedy podpłynęli do zakrętu za ścianą, światło trzymane przez nurka z tyłu powodowało, że zniekształcone odbicie sylwetki nurka z przodu padało na szachownicę, niczym w teatrzyku cieni, robionym przez dziecko. Utworzenie tych tuneli zajęło naturze dziesiątki tysięcy lat, a cień nurka migotał na nich przez geologiczny odpowiednik mrugnięcia okiem.

Ich instruktorem był Marc Eyring, człowiek, którego historia i sposób bycia były żywym odzwierciedleniem słowa „ekstremalny”. Ten szorstki w obyciu mężczyzna był kiedyś sierżantem w drużynie „A”, w Zielonych Beretach, krótko służył w Wietnamie, a potem pracował dla NASA, nadzorując elektrotechnikę przy promach kosmicznych. Po wybuchu promu Challenger w NASA zapanował nieład i przyszłe projekty zostały albo poważnie opóźnione, albo całkowicie anulowane. Sfrustrowany Eyring odszedł i został instruktorem nurkowania jaskiniowego w Ginnie Springs.

Marc Eyring był perfekcjonistą. Doskonale wiedział, że to, co wpajał swoim kursantom, było konieczne do przetrwania. Były to te same umiejętności i rozsądek, które jemu przekazano w Zielonych Beretach. Pełna skupienia koncentracja i narzucony przez samego siebie wymagający plan szkoleń często powodował, że Eyring przez cały dzień nic nie jadł. Kursant musiał nurkować tylko dwa razy dziennie, ale Eyring, prowadzący symultanicznie dwie klasy, a czasem nawet więcej, często nurkował cztery albo i więcej razy w ciągu szesnastu godzin. Gdy jego uczniowie wynurzali się na światło dzienne, krytykował występ każdej osoby i każdej grupy. W jego opinii nurkowie byli żołnierzami, szturmującymi barykady wroga, niosąc kilkudziesięciokilogramowe plecaki. W pewnym sensie tak właśnie było.

Jak przed nim Danny McLaughlin, Eyring rozpoznał naturalny talent Rouse'ów do nurkowania. Normalnie po zaliczeniu podstawowego kursu nurkowie muszą nabyć

trochę doświadczenia zanim przejdą na następny stopień. Ale umiejętności Rouse'ów i ich entuzjazm skłoniły Eyringa do tego, że pozwolił im przejść od razu na wyczerpujący, czterodniowy kurs "pełna jaskinia". Nie było gwarancji zdania któregośkolwiek z kursów jaskiniowych: instruktor musiał być absolutnie pewien, że kursant posiada nie tylko kompetencje do nurkowania, ale również odpowiednie nastawienie i poziom dojrzałości, konieczne do bezpiecznego nurkowania. Instruktor mógł oblać ucznia za arogancję, niesportowe zachowanie, chodzenie na techniczne skróty lub nieokazywanie należytego respektu przed nurkowaniem w niebezpiecznych jaskiniach. Szkolenie to było intensywniejsze niż te, które Rouse'owie przeszli wcześniej, i to było częścią jego uroku.

Dostanie się w szranki nurków z pełną licencją jaskiniową było czymś, do czego niewielu nawet aspirowało. Pozwoliłoby im się wybić.

Zwykle, zanim kursantom pozwoli się na kontynuowanie szkolenia wykraczającego poza poziom podstawowy, zachęca się ich do nabierania doświadczenia na podstawowym poziomie jaskiniowym, aby do perfekcji opanowali pewne umiejętności. Poręczówka może być zwodnicza w użyciu i jej umocowaniu u wejścia należało poświęcić dużo uwagi. Kołowrotek może się zablokować i nurek musi umieć nawinać linkę ręcznie, często walcząc z szybkim prądem. Nurkowie muszą się też nauczyć, jak używać nóg - jak kopać w poszczególnych sytuacjach, a kiedy lepsze efekty daje użycie rąk i ramion do techniki polegającej na podciąganiu się. Muszą się również przyzwycząć do noszenia dwóch dużych butli z powietrzem, koniecznych przy penetracjach w głębokich systemach jaskiniowych i rezerwy na wypadek sytuacji krytycznej.

Eyring zauważył, że Rouse'owie działali jako zespół od samego początku swojego szkolenia. Odkrył, że taki rodzaj pracy zespołowej był czymś niezwykłym u ludzi znających się dobrze jeszcze przed rozpoczęciem nurkowania. Zauważył tendencję nawet wśród doświadczonych nurków do reakcji jednostkowych, porzucania swoich partnerów we wrogim środowisku jaskini i do płynięcia samotnie naprzód z ciekawości albo w przyływie adrenaliny. Fenomen ten występował tak często, że Eyring wiedział, że kursanci nie robią tego specjalnie - w naturze silniejszego partnera leżała chęć parcia naprzód, przodowania. Z tego właśnie względu na ogół

rozbijał układy mąż/żona albo inne związki, w których jeden z partnerów wyraźnie dominował pod względem umiejętności. Pod względem fizycznym dziewiętnastoletni Chrissy miał przewagę młodości nad swoim ojcem, był silniejszy. Ale Chris dysponował dojrzałością, która przychodzi dopiero z wiekiem.

-Chrissy był słabszym ogniwnem - powiedział później Eyring. - Chris był silniejszy, zarówno psychicznie, jak i pod względem charakteru. Robił coś, żeby rozwiązać problem, chociaż Chrissy jako młodszy miał więcej siły. Każdy z nich miał mocne i słabe strony.

Chrisowi i Chrissy'emu tak bardzo podobało się nurkowanie jaskiniowe, że po powrocie do domu obaj błagali Sue, aby też spróbowała, by cała rodzina mogła nurkować razem w jaskiniach. Ojciec i syn nie mogli się doczekać obozowania w Ginnic Springs, ponieważ kemping znajdował się blisko miejsc nurkowych i nie musieli tracić cennego czasu na pokonywanie długiego dystansu z najbliższego motelu. Żaden z nich nie miał pojęcia o obozowaniu. Oczywiście Chris i Chrissy byli już na kempingach, ale zawsze z doświadczonymi osobami, które umiały wszystko rozstawić. Sue miała na początku opory -pamiętała, jak niepewnie się czuła po pierwszym szkoleniu nurkowym i nie chciała jeszcze raz przechodzić przez to doświadczenie. Jej dwaj mężczyźni nalegali jednak, twierdząc, że na pewno jej się spodoba.

-No dobrze, już dobrze. Pojadę - powiedziała, poddając się. - Ale od razu mogę wam powiedzieć, że raczej mi się to nie spodoba.

Jak tylko przyjechali na miejsce, Chris i Chrissy chcieli jak najszybciej pójść nurkować, zanim jeszcze rozstawili obóz.

-Nie ma mowy! - upomniała ich Sue. - Najpierw musimy postawić namiot. Żadnego nurkowania dopóki nie postawimy namiotu.

Wiedziała, że jak tylko zacznie się nurkowanie, z trudem, jeśli w ogóle, zagoni syna i męża do domowych obowiązków. Chris i Chrissy ponarzekali, ale wiedzieli, że tam gdzie Mama się uparła, musiała postawić na swoim.

-Tu - powiedział Chris, wskazując na pierwsze pole namiotowe, jakie zobaczył. - Wygląda na świetne miejsce!

Chrissy natychmiast się zgodził. Mężczyźni odczepili wyładowaną sprzętem

przyczepę, która jechała z Pensylwanii za ich małym, rodzinnym samochodem.

Wylądowali namiot i pospiesznie go rozstawili. Wrzucili śpiwory do namiotu, nie zwracając specjalnie uwagi, gdzie wylądują, po czym obwieścili, że teraz już wszyscy mogą iść ponurkować.

Kiedy cała rodzina wynurzyła się na powierzchnię po nurkowaniu do jaskini Ginnie Springs, na powierzchni szalała oślepiająca ulewa.

-O nie! Nie zamknęliśmy namiotu - krzyknął Chris.

Wciąż ubrani w swoje gumowe skafandry nurkowe Rouse'owie wskoczyli do samochodu. Sue prowadziła. Nie tylko trudno im było cokolwiek zobaczyć przez ulewny deszcz, ale na dodatek Sue nie знаła gąszczy ulic, które biegły przez cały kemping. Jeździli więc bez celu dookoła, dopóki nie natknęli się na swój namiot, który niezbyt mądrze rozbili na niskim gruncie. Padający deszcz spowodował małą powódź i teraz przez otwartą klapę namiotu płynęła rzeka. Wszystkie trzy śpiwory przypominały zanurzone gąbki. Otwarta walizka Sue wyglądała jak przenośna wanna wypełniona ubraniami.

Rouse'owie porwali namiot i swoje rzeczy z wirującej wody.

-Cóż, następnym razem musimy się lepiej spisać - zauważył Chris, badając teren w poszukiwaniu lepszego miejsca do rozstawienia namiotu.

-Nadal chcecie tu obozować? - spytała zdumiona Sue. Na tym etapie motel wydawał jej się najlepszym rozwiązaniem.

Chris spojrział na nią z równym zaskoczeniem.

-Oczywiście, że zamierzamy tu obozować. Przecież po to tu przyjechaliśmy. Żeby obozować.

-I żeby nurkować.

Sue wiedziała, że jej dwaj mężczyźni potrafili się zachowywać jak mali chłopcy i jeśli przemoczony namiot, nasiąknięte śpiwory nie mogły ich przekonać do motelu, nic poza dużą rodzinną kłótnią nie mogłoby tego dokonać. Na to Sue była zbyt wykończona.

-No dobrze - powiedziała. - Zbierzmy wszystkie rzeczy i chodźmy je wysuszyć.

Rodzina ruszyła ze swoimi przemoczonymi rzeczami do pomieszczeń

wypoczynkowych z prysznicami, gdzie Sue, posługując się suszarką, próbowała na

tyle je osuszyć, na ile było to możliwe. Zmęczona długą jazdą zaraz po nurkowaniu, Sue marzyła o tym, żeby się położyć i odpocząć, a nie spędzać godziny na suszeniu swojego spiwora. Narzekała na miejsce, które wybrali, na pogodę, na mokre rzeczy i wszystko, co tylko przyszło jej do głowy.

-Przestań jęczeć, mamó - błagał Chrissy. - Nie jest aż tak źle - dodał szybko. -

Porozmawiajmy o zoo.

Chris podszedł do żony i przytulił ją. - Tak puzzłu, porozmawiajmy o zoo.

Następnego ranka Sue obudziła się w wilgotnym ubraniu. Przeszła jednak dwudniowy kurs nurkowania grotowego, a potem „Wstęp do nurkowania jaskiniowego”. Ku swojemu zaskoczeniu, uznała jaskinie za fascynujące, tak jak przepowiadali to Chris i Chrissy.

Po pierwszej mokrej wyprawie w świat kempingowania Rouse'owie mieli motywację, by niczego nie zaniedbać na następnych. Ich mały samochód zastąpiła w czasie tych wycieczek półciężarówka. W następnym roku, podczas kilku wyjazdów, powiększyli swoje obozowisko, tak że wyglądało jak obóz jakiejś ekspedycji w głębi Afryki. Używali niebieskich, plastikowych plandek, by lepiej chronić siebie i swój sprzęt przez deszczem i piaskiem. Mieli teraz specjalny rozstawiany na przyczepie namiot zamiast starego brezentowego. Stał on na środku polany, z półtorametrowym baldachimem, który prowadził do ich stołu piknikowego. Dwa dodatkowe namioty - również ich pierwszy, przestarzały brezentowy model - wznosiły się po obu stronach. Rouse'owie przechowywali w nich sprzęt, w tym zapasowe części każdego elementu, na wypadek gdyby coś się popsuło. Ponadto dwa dodatkowe namioty służyły im za miejsce odosobnienia, jak Achillesowi, gdy kłótnie stawały się nie do zniesienia. Wokół ogrodzenia otaczającego obozowisko powiązali liną swoje półtorametrowe, zielone butle z tlenem, budując z nich zieloną palisadę. Każdy, kto znalazł Rouse'ów, mógł szybko sprawdzić, czy aktualnie przebywają w Ginie Springs, szukając ich charakterystycznego obozowiska.

Rouse'owie jeździli do Ginie Springs przy każdej okazji. Wieść o nich rozprzestrzeniła się wśród społeczności nurków jaskiniowych. Już wkrótce Chris i Chrissy mieli poznać niektórych z tych nurków. Kanadyjski nurek John Reekie spędzał na Florydzie zimy.

Na przedmieściach Toronto prowadził swoją własną firmę dekarską, w której pracował, ile mógł i na ile pozwalała pogoda. Kiedy jednak spadał śnieg, Reekie ładował sprzęt do nurkowania i biwakowania na swoją ciężarówkę i ruszał do Ginnie Springs. Czasem robił sobie przerwę i nurkował na wraki, znajdujące się nawet tak daleko jak Floryda Keys. Od przyjazdu w połowie listopada do wyjazdu w kwietniu nurkował codziennie.

Podczas jednej z wycieczek do Ginnie Springs, Rouse'owie biwakowali obok Reekiego, który był tam sam. Widząc Reekiego, mężczyznę z brzuchem jak Budda, Chris i Sue zaprosili go do swojego obozowiska. Gdy Reekie podszedł bliżej, zobaczył potężny, staroświecki namiot w kształcie prostokąta i sprzęt do nurkowania ułożony na niebieskich plandekach. Reekie pomyślał sobie, że to muszą być „plandekowcy”, o których kiedyś słyszał - w ten prześmiewczy sposób personel Ginnie Springs określał ludzi ze staroświeckim sprzętem i artystycznie zaaranżowanymi plandekami.

Chris uśmiechnął się od ucha do ucha i wyciągnął rękę do Johna.

-Cześć, jestem Chris Rouse. To mój chłopak, Junior, a to moja żona, Sue. Dołączysz do nas przy kolacji? Siadaj i czuj się jak u siebie w domu.

Reekie poczuł od razu nic sympatii to tego towarzyskiego mężczyzny, ale z natury był sceptykiem i był podejrzliwy wobec zawierania nowych przyjaźni z kimkolwiek. Reekie w bolesny sposób nauczył się, że choć na lądzie ludzie byli przyjaźnie nastawieni do siebie, pod wodą wychodziły na jaw prawdziwe cechy ich charakteru. Kanadyjczyk nie chciał się rozczarować i tracić czasu z kolejnym niedoszłym nurkiem. Pewnie, porozmawia z Rouse'ami, ale opinię o nich wyrobi sobie dopiero po swoim specjalnym teście. Jeśli go zdadzą, będzie się wobec nich zachowywał znacznie przyjaźniej.

W społeczności nurków jaskiniowych Reekie miał reputację nie tylko poważnego nurka, ale wręcz ekstremalnego. Jego filozofia nurkowania była prosta: nie kończyłeś nurkowania z żadnego innego powodu niż sytuacja krytyczna albo gdy skończyła ci się jedna trzecia zapasu gazu. Zasada jednej trzeciej -kolejny fragment z katechizmu Exley'a- wzywała nurka do zużycia nie więcej niż 1/3 części zapasów powietrza, potem należało zawrócić. To zostawiało jedną trzecią na powrót i kolejną jedną

trzecią na wypadek sytuacji alarmowej.

Bezkompromisowa postawa Reekiego, niedopuszczająca do zakończenia nurkowania, chyba że nastąpi sytuacja krytyczna, stała w jawnej sprzeczności z podejściem oficjalnie zalecanym w trakcie szkolenia nurkowania jaskiniowego.

Kiedy Marc Eyring uczył Rouse'ów, podkreślał:

-Pamiętajcie, że każdy nurek może przerwać nurkowanie w każdej chwili, z każdego powodu.

Sygnałem do przerywania nurkowania było wyraźne uniesienie kciuków do góry.

Drugi nurek albo nurkowie musieli po prostu przyjąć ten fakt do wiadomości, zespół odwracał się i opuszczał jaskinię. Eyring podkreślał wagę tej zasady.

-Gdy kciuki idą w górę, nie chcę widzieć żadnego wahania. Nurkowanie jest skończone. Kropka. Odwzajemniacie sygnał, wznosząc kciuki w górę i wracacie. Jeżeli chcecie się dowiedzieć, dlaczego wasz partner przerywa nurkowanie, podyskutujcie z nim po bezpiecznym opuszczeniu jaskini.

Kiedy wybierałeś się na nurkowanie z Johnem Reekiem żądał, żebyś nie marnował jego czasu, przerywając nurkowanie zanim nie wyczerpiesz ostatniego grama ze swojej pierwszej 1/3 zapasu powietrza.

Chrisowi Rouse'owi bardzo się ta filozofia spodobała. Wkrótce miał się dowiedzieć, że Reekie był szanowany, wzbudzał lęk lub był postrzegany jako maniak, w zależności od tego, kto się wypowiadał. Podczas jednego z nurkowań jaskiniowych, jednemu z nurków zgasła podstawowa latarka, przeszedł na zapasową i zasygnalizował do Reekiego, by kończyli nurkowanie. Reekie podpłynął do nurka, spojrzał na niego, złapał jego ciśnieniomierz, żeby zobaczyć, ile mu zostało powietrza. Z prychnięciem odrzucił go z powrotem do nurka i popłynął dalej penetrować jaskinię. Reekie patrzył na to tak: nurek nie dotarł jeszcze do kresu swojej pierwszej 1/3 zapasu powietrza i miał dwie działające latarki. Gdy go o to pytano, Reekie odpowiadał z takim wyrazem twarzy, jakby podejrzewał pytającego o głupotę:

-Jasne, oczywiście, przepisy nurkowania jaskiniowego mówią, że musisz zacząć nurkowanie z przynajmniej trzema latarkami. Nic nie mówią o tym, z iloma musisz je skończyć.

Steve Berman, który* często nurkował z Reekiem, mawiał z przebiegłym uśmiechem:

- Tak, Reekie to dzikus. Lepiej, żebyś naprawdę serio podchodził do nurkowania, jeśli chcesz z nim zejść pod wodę.

Szeroko otwarte oczy Bermmana wzmacniały to przesłanie.

Reekie przetestował Chrisa podczas ich pierwszego wspólnego nurkowania w jaskiniach Devil's Cave System. W takich sytuacjach potężny Kanadyjczyk miał zwyczaj „znikania” podczas nurkowania i unoszenia się nad partnerem, na przykład w zagłębieniu jaskini. Czekał i obserwował. Jeśli jego partner zauważył zniknięcie Reekiego i, co ważniejsze, zainicjował poszukiwania zagubionego nurka, „dzikus” wiedział, że jego nowy partner nurkowy ma przytomność, umiejętności i hart ducha, by nie porzucić kogoś w jaskini. Przez lata Reekie obserwował, jak wielu ludzi w ogóle nie zauważało jego zniknięcia i wypływało z jaskini. I wiedział, że z taką osobą nie może przeprowadzać poważnych nurkowań. Podczas niezapowiedzianego testu Chris Rouse błyskawicznie się zorientował, że Reekie zniknął i zaczął szukać zaginionego partnera. Widząc to, Reekie powoli opadł niżej z powolnym, płynnym wdziękiem i ukazał się Chrisowi, pokazując „O” utworzone z połączenia palca wskazującego i kciuka. Chris odwzajemnił sygnał, a potem wskazał kierunek wyjścia składając palce tak jak dzieci pokazują pistolet: palec wskazujący skierował do przodu, a kciuk do góry. Reekie odpowiedział tym samym sygnałem. Wiedział już, że znalazł kompetentnego nurka, któremu mógł pod wodą zaufać.

Przyjaźń między Johnem Reekiem a Chrisem Rouse'm wzmocniła się podczas ich wspólnych nurkowań w jaskiniach. Czasem jechali nawet kilka godzin, żeby dotrzeć do innego systemu jaskiń z Ginnie Springs. Reekie i Rouse nabrali do siebie prawdziwego szacunku i każdy z nich uwielbiał opowiadać anegdoty o tym drugim. Chociaż byli mniej więcej w tym samym wieku, stanowili niezwykłą parę z fizycznego punktu widzenia. Chris był schludnym, sprawnym, niewysokim facetem, u Reekiego natomiast najbardziej prominentną częścią ciała był jego potężny brzuch, odstający od ciała wysokiego na metr osiemdziesiąt. Kiedy wchodził do restauracji, która oferowała nieograniczony bufet, menadżerowie pocili się ze strachu, wyobrażając sobie jak strumień zysków znika, podczas gdy brzuch Reckiego się

powiększa. Chris uwielbiał opowiadać, jak w jednej restauracji Reekie zjadł tak dużo, że menadżer podszedł do niego i przepaszając odciął dostawę jedzenia. Reekie był naturalnie oburzony:

-Czy na waszym znaku nie jest napisane: Nieograniczony bufet? Chłopie, jeszcze nie skończyłem.

Menadżer restauracji zwrócił mu połowę wpłaconej sumy i poprosił o opuszczenie restauracji.

Pomimo różnic fizycznych Chris Rouse i John Reekie mieli wspólny, wiecznie niezaspokojony apetyt na nurkowanie. Chris często mawiał:

-Reekie to prawdziwy wariat pod wodą. Jeśli z nim nurkujesz, lepiej bądź przygotowany na naprawdę długi pobyt pod wodą, bo on nie chce wracać dopóki nie jest to naprawdę absolutnie konieczne.

Reekie wolał nurkować z samym Chrisem, bez Chrissy'ego czy Sue. Zauważył, że priorytetem Chrissy'ego było przeprowadzenie dwóch nurkowań dziennie, niezależnie od tego, jak długie były to nurkowania. Reekie wolał nurkować raz, ale długo, zamiast dwóch krótszych. Gdy Chris towarzyszył Chrissy'emu, czuł się zobligowany do nurkowania z synem za każdym razem, ale kiedy był z Reekiem jedno dłuższe, trwające nawet sześć godzin nurkowanie mu wystarczało. Poza tym Reekie zauważył, że gdy wszyscy Rouse'owie albo choćby dwójka nurkowali razem działy się dziwne rzeczy. Chociaż wszyscy troje byli dobrymi nurkami, ich sprzęt jakoś zawsze się psuł podczas nurkowania. Reekie wiedział, że Rouse'owie byli skrupulatni w dbaniu o sprzęt, więc awarie nie były skutkiem zaniedbań. Po nurkowaniu z Rouse'ami Reekie zwykle potrząsał głową i mówił całej trójce:

-Nigdy mi się tak nie psuł sprzęt podczas nurkowania, jak kiedy pływam z wami. Ludzie, macie chyba nad sobą jakąś czarną chmurę.

Chris Rouse był pod wrażeniem umiejętności Reekiego i po którymś nurkowaniu powiedział Sue:

-Nie wiem, jak on to robi, ale przeciska się w miejsca, w które nawet ja nie mogę się dostać. Myślałby kto, że ten gruby skurczybyk utknie w jakimś ciasnym przesmyku jak korek w butelce, ale nie. Pod wodą jest jak Człowiek Guma. Po prostu przelewa się przez otwory.

Chris zauważył również, że Reekie nałogowy palacz, miał znakomitą konsumpcję gazu, jego płuca wydalały powietrze ze zdumiewającą skutecznością. Było to bardzo ważne w nurkowaniu jaskiniowym, bo dystans, na który można było wpłynąć do jaskini, zależał po części od tego, jak wydajnie oddychasz. Jeśli nurek zyskał opinię „odkurzacza” - konsumującego zbyt dużo gazu z powodu złego oddychania, techniki poruszania się, zdenerwowania, kiepskiej kondycji, a może predyspozycji genetycznych - nie miał szans na zaproszenia do nurkowania z najlepszymi nurkami, nie miał okazji dostać się do czołówki, bo jego zapasy gazu skończyłyby się zbyt szybko. Tacy nurkowie zmuszali całą grupę do przedwczesnego powrotu na powierzchnię, psując zabawę.

Rouse'owie zdali test. Polubili szkolenie nurkowania jaskiniowego. Polubili Eyringa, Bermana, Reekiego i całą grupę nurków jaskiniowych, którzy kręcili się po Ginnie Springs, jak surferzy po Malibu. Wszystkim podobał się entuzjazm i energia Rouse'ów. Pewnie, kłócili się, drażnili i drwili z siebie, ale dla tej eklektycznej grupy, której członkowie zdawali się żyć tylko po to, żeby coraz głębiej penetrować tajemnicze wypełnione wodą tunele i wijące się korytarze, zmaganie się ojca i syna było czymś naturalnym.

3

Pokrętna logika

Grudzień 1990. Ginnie Springs, Floryda.

Obozowisko Rouse'ów zawsze było rozłożone w niewielkiej odległości od trzech przyczep mieszkalnych, które kierownictwo Ginnie Springs zapewniało wszystkim swoim pracownikom, którzy chcieli tam mieszkać za darmo. Jedyną opłatą związaną z utrzymaniem domu był rachunek telefoniczny. Przyczepy były osłonięte krzakami i rzędem drzew, który biegł wzdłuż piaszczystej drogi przed sklepem dla nurków. Aby dojść do pracy, pracownicy Ginnie Springs musieli przejść tylko kilka kroków przez ulicę.

Po godzinach przyczepy obsługi stawały się głównym siedliskiem imprez i grup dyskusyjnych, formujących się naturalnie wśród zawsze kręcących się tu nurków. Wnętrze przyczepy Steve'a Bermana było ciemne, zawsze też zostawiał zaciągnięte żaluzje i stare zasłony, chcąc zniechęcić nieproszonych i ciekawskich gości. Ściany pokrywały mapy jaskiń i plakaty. Wszędzie leżał w niaładzie sprzęt do nurkowania na różnym etapie demontażu. Cięższy sprzęt, jak butle do nurkowania albo skutery, znajdował się na podłodze, podczas gdy delikatne przedmioty jak latarki albo komputery nurkowe, zajmowały stół kuchenny i stolik do kawy w saloniku. Wśród nich leżało kilka pustych butelek po piwie i porzuconych kapsli. Do każdego dostępnego gniazdka elektrycznego coś było podłączone, albo jakieś urządzenie domowe, albo zasilacz do baterii dla skuterów i latarek. W powietrzu unosił się wilgotny, piżmowy zapach. W zużyty dywan w saloniku i w linoleum, którym pokryta była reszta podłogi w przyczepie, wryły się cząsteczki piasku. Gruba warstwa kurzu i pleśni wokół zlewów w kuchni i łazience sugerowała, że nie były one sprzątane od momentu wynalezienia maszyny do bawełny. W łazience linoleum odklejało się od podłogi. Na spluczce spoczywał stos magazynów do nurkowania. Steve Berman mieszkał w przyczepie, która kiedyś należała do Marca Eyringa, zanim

ten wyjechał, aby robić doktorat. Najpierw miał to być doktorat z chemii, potem z fizyki, wreszcie inżynierii. Marc tak często zmieniał swoje cele, że nikt z nas nic był do końca pewien, z jakiej dziedziny nauki napisze w końcu pracę. Wszyscy jednak byliśmy przekonani, że Marc zdobędzie w końcu tytuł, nawet gdyby musiał w tym celu wynaleźć nową dziedzinę nauki, obejmującą wszystkie jego intelektualne zainteresowania. Marc nadal czasem przyjeżdżał i prowadził jakieś kursy w Ginnie, zostawił więc w saloniku ogromny telewizor, dwa magnetowidy i wysokiej klasy sprzęt stereo. Sprzęt ten stanowił solidne zaplecze elektroniczne, przydając się podczas wiciu głośnych przyjęć.

Jeśli chodzi o wygląd, niewiele się zmieniło, od 1988 roku, kiedy przyczepa należała jeszcze oficjalnie do Marca Eyringa. Jediną zauważalną różnicą był brak filmów pornograficznych, które Marc lubił puszczać w tle, z wyłączonym głosem, tak by zbyt nie rozpraszały. Gdy Marc był na miejscu, mężczyźni i kobiety swobodnie wchodzili i wychodzili z przyczepy, zerkając na ekran telewizora po drodze po piwo do lodówki, zwykle komentując: „Co? Znowu ta taśma? Hej, Marc, kiedy kupisz coś nowego?” Niektórzy ciepło wspominał i jakąś szczególną taśmę i pytali, czy przegapili konkretną scenę. W czasie nocnych dyskusji nad zaawansowanymi zagadnieniami dotyczącymi nurkowania jaskiniowego, taśmy nadal grały w tle. Kiedy mieszkałem jako gość w przyczepie Marca wydawało mi się, że ciągle puszczenie filmów pornograficznych jest dziwne, ale kierując się filozofią, „kiedy wejdiesz między wrony...” zachowałem milczenie.

Czasem ktoś miał już dość oglądania taśm pornograficznych, włączał drugi magnetowid i puszczał film o nurkowaniu jaskiniowym. Powoli frustracja seksualna zmieniała się w pragnienie równie pierwotne i silne - nurkowanie jaskiniowe.

W grudniu 1990 roku, gościłem u Bermiana, kiedy wpadli do niego Rouse'owie. Steve, Sue, Chrissy i ja piliśmy razem piwo, a Chris, który nigdy nie przepadał za alkoholem, zadowolił się sokiem. Spotkałem ich wówczas po raz pierwszy. Uderzyła mnie ich energia, entuzjazm i towarzyskość. Byliśmy pokrewnymi duszami i już po kilku minutach czuliśmy się, jak byśmy się znali od wieków. Byłem też pod wrażeniem podobieństwa w wyglądzie ojca i syna, jakbym widział Rouse'ów w krzywym zwierciadle, które brało pod uwagę wiek. Obaj mężczyźni byli szczupli, ich

atletyczna budowa emanowała energią, jakby w każdej chwili byli gotowi rzucić się w wir akcji, jeśli tylko pojawi się okazja. Wypłowiałe, niebieskie dzinsy Chrisa były przetarte na kolanach, a z przodu pobrudzone kurzem, smugami brudu i nie spieralnymi plamami z oleju silnikowego. Na jego podkoszulce widniał rysunek uśmiechniętego diabła wpatrującego się we wchodzącego do jaskiń nurka. Na dole koszulki znajdował się napis: GINNIE SPRINGS, FLORYDA. Podobnie jak dzinsy, koszulka była sprana i znoszona. Chris miał nieogoloną twarz, z gęstym, ciemnym zarostem, który wyglądał na co najmniej tygodniowy, mimo zapewnień Chrisa, że golił się dwa dni wcześniej. Brązowe włosy były rozczochrane i na tyle długie, że przypominały mopa. Ręce miał spracowane, poplamione brudem i olejem, który dostał się głęboko pod skórę i paznokcie. Nawet na twarzy widać było ślady oleju, które, jak się domyślałem, powstały przy niedawnej pracy nad jakimś sprzętem samochodowym albo nurkowym. Chris sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie zszedł z budowy, Chrissy był ubrany w podobny sposób. Jego młodość w połączeniu z postrzępionymi, niebieskimi dzinsami, rozpadającymi się addidasami, pomiętą koszulką i prostymi brązowymi włosami do ramion sprawiały, że wyglądem bardziej pasował do jakiegoś zespołu rockowego, imprezującego w garderobie przed koncertem, niż do grupy niemal dwukrotnie od niego starszych nurków. Sue była odprężona i wyglądało na to, że z zadowoleniem obserwuje nas, popijając piwo. Niczym Matka Ziemia otoczona przez płomienne duchy swoich mężczyzn, była wesoła, ale też sprawiała wrażenie zmęczonej łączonym wysiłkiem nurkowania i wysłuchiwania kłótni Chrisa i Chrissy'ego. Gdy sam zetknąłem się z nimi po raz pierwszy, zrobiły na mnie duże wrażenie.

Steve Berman wolał filmy o nurkowaniu i przy nich właśnie omawialiśmy plany naszego wspólnego nurkowania w miejscowych systemach jaskiń.

Kiedy ludzie rozmawiają o nurkowaniu na Florydzie, nie trzeba wiele czasu, by pojawiło się nazwisko Shacka Exley'a. Mieszkaniec północnocentralnej Florydy, który nauczył się nurkować w 1966 roku, w wieku szesnastu lat, był zafascynowany wypełnionymi wodą jaskiniami, charakterystycznymi dla tego krajobrazu. Wkrótce spędzał każdą wolną chwilę na nurkowaniu w jaskiniach. Kiedy Exley zaczynał nurkować w jaskiniach, światowy rekord w najdłuższej poziomej penetracji wynosił

300 metrów. Został on ustanowiony w 1962 roku przez Johna Harpera w Hornsby Spring na Florydzie. Było to niezwykle osiągnięcie, biorąc pod uwagę fakt, że przeciętna penetracja wynosiła wówczas 60 metrów. Exley był tak skuteczny, że ustanowił wiele rozmaitych rekordów w nurkowaniu jaskiniowym, w tym najdłuższej linearnej penetracji. W grudniu 1990 roku pobił rekord poziomej penetracji, nurkując na 3334 metry w Cathedral Canyon na Florydzie. Exley był silny, miał mnóstwo energii i znakomitą tolerancję na działanie narkozy azotowej na dużej głębokości. Rozmaici nurkowie eksperymentowali z innymi mieszankami gazowymi, aby zmniejszyć wpływ narkozy azotowej na swój organizm, ale nie Exley. Nurkując na powietrzu, mijał ich na głębokości 110 metrów po siedmiu martini!

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nurkowie sportowi dotarli do granicy głębokości w eksploracjach, co wynikało z „prawa martini”. Szukali alternatywnych mieszanek do sprężonego powietrza. Powietrze pod ciśnieniem jest łatwe do nabycia, niedrogi i powszechnie używane, ale ryzyko jego użycia zwiększa się ze wzrostem głębokości, intensyfikując objawy narkozy azotowej. Wiele tragicznych lekcji związanych z zagrożeniami nurkowania na sprężonym powietrzu i innymi aspektami głębokiego nurkowania poznano w czasie komercyjnych lub militarnych operacji - niestety nie były one podawane do publicznej wiadomości. Nurkowie sportowi nie mieli zatem innego wyjścia, jak tylko zejść w głębinę bez skomplikowanego zaplecza badawczego, które było dostępne dla komercyjnych czy militarnych jednostek, oraz bez gruntownej wiedzy o tym, co działo się tam wcześniej i z jakich powodów. Nurkowie sportowi eksperymentowali z nurkowaniem na mieszankach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a Exley obserwował rozwój wypadków z usprawiedliwionym sceptycyzmem.

Nurkowie musieli uważać nie tylko na narkotyczny wpływ azotu, ale również na toksyczne działanie tlenu. Tlen staje się toksyczny wraz ze wzrostem ciśnienia. Toksyczność powoduje drgawki, które nieuchronnie prowadzą do utonięcia, gdy nurek dostaje wstrząsów i ustnik automatu wypada na głębokości z jego ust. W latach sześćdziesiątych powszechnie uważano, że nurek może zanurzyć się do głębokości 90 metrów nim tlen w powietrzu stanie się toksyczny. Niektórzy nurkowie, jak Exley, mogli zejść głębiej, inni z kolei doświadczali toksyczności na mniejszych

głębokościach, i dziś niektórzy ustalają limit nurkowania na sprężonym powietrzu na 45 metrów, co odpowiada trzem kieliszkom martini. Nurkowanie na dużych głębokościach na sprężonym powietrzu przypomina bombę zegarową, narcoza azotowa i toksyczne zatrucie tlenem tylko czyhają, by dopaść choćby najlepszego nurka.

Problem toksyczności tlenu po raz pierwszy pojawił się w publicznej debacie w latach sześćdziesiątych. W tym okresie amerykańscy nurkowie jaskiniowi rozpoczęli eksperymenty z dodawaniem helu do swoich mieszanek oddechowych, aby zmniejszyć narkotyczny efekt, jaki wywiera zawarty w sprężonym powietrzu azot na większej głębokości. Aby pomóc organizmowi w pozbyciu się helu w bezpiecznym tempie podczas wynurzenia, nurkowie wymyślili mieszanki oddechowe, zawierające tlen w bardzo wysokim stężeniu. Oddychali czystym tlenem nawet na tak znacznej głębokości jak 18 metrów. Gdy kilku nurków zmarło podczas wynurzenia w wyniku konwulsji, Exley jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że nurkowanie sportowe na mieszankach oddechowych jest zbyt niebezpieczne, by podejmować takie ryzyko. Było jasne, że tlen stanowi osobne zagrożenie dla nurków.

Jakby narcoza azotowa i toksyczność tlenu nie były wystarczającym problemem, nurkowie zauważyli, że kiedy oddychali mieszankami opartymi na helu, odczuwali niezwykle zimno i obawiali się hipotermii, która może zagrażać życiu. Hel jest znakomitym przewodnikiem ciepła i nurkowie doszli do wniosku, że tracili ciepło przez skórę oraz w czasie oddychania. W „mokrych” kombinezonach - nazwanych tak, dlatego że pozwalają wodzie na wniknięcie do środka - między skórą a materiałem kombinezonu powstaje cienka warstewka wody. Większość nurków używało mokrych kombinezonów w relatywnie ciepłych wodach jaskiń na Florydzie, gdzie zimno nie stanowiło problemu, jeśli oddychali normalnym, sprężonym powietrzem. Aby zapobiec odczuwanej utracie ciepła w czasie oddychania mieszanką helową, nurkowie sportowi wkładali suche skafandry, które były wodoszczelne i chroniły przed zimnem dzięki kombinacji ocieplacza, przypominającego narciarski kombinezon i gazu izolującego, zwykle powietrza. Jednak nawet w suchym skafandrze nurkowie używający mieszanki helowej odczuwali zimno. Za przyczynę uważano pierwotnie sam gaz izolujący. Nurkowie pompowali swoje suche skafandry

już pod wodą, jeśli więc oddychali mieszanką helową, to jej właśnie używali w skafandrach jako izolacji. Mieszanka helowa dawała jednak wręcz odwrotny efekt, z powodu wysokiej temperatury przewodzenia helu. Rozwiązaniem było pompowanie do skafandra innego gazu - sprężonego powietrza lub nawet argonu, który jest znakomitym izolatorem - ale to oznaczało dodanie jeszcze jednej butli ze sprężonym gazem do sprzętu nurka.

Z powodu komplikacji związanych z użyciem mieszanek oddechowych Exley nadal nurkował na sprężonym powietrzu. Ale w 1981 roku niemiecki nurek Jochen Hasenmayer, używając trimixu, zdołał spenetrować francuską jaskinię na głębokości 145 metrów, bijąc rekord Exley'a o ponad 30 metrów.

Spragniony współzawodnictwa i zawsze gotów zrewidować swoje poglądy Exley uznał, że teraz na nowo można podjąć próbę zejścia głębiej dzięki użyciu mieszanek oddechowych. Hasenmayer najwyraźniej znalazł jakieś właściwe proporcje mieszania gazów. Exley napisał do Hasenmayera i obaj się zaprzyjaźnili, wymieniając się informacjami i okazjonalnie nurkując razem. W 1983 roku Hasenmayer zdołał dotrzeć na mieszance gazowej na głębokość 200 metrów, Exley dopiero w 1987 dorównał swojemu przyjacielowi. W 1989 roku Exley ponownie ustanowił światowy rekord w głębokim nurkowaniu z automatem, nurkując na głębokość 264 metrów w jaskini Mantę w Meksyku, która pod delikatnym kątem opada w dół w nieznaną głębię. Wielu ludzi, którzy dobrze znali Exley'a uważało, że był on ogarnięty obsesją utrzymania rekordu w głębokim nurkowaniu jaskiniowym i w pobiciu Hasenmayera w ich przyjacielskiej rywalizacji.

Rouse'owie zapisali się na kurs nurkowania na mieszankach gazowych z Exley'em dwa miesiące przed tym, jak poznałem ich u Steva Bermana. W tym czasie ja również przygotowywałem się do tego, by wziąć w nim udział. Kiedykolwiek bywałem u Rouse'ów zawsze z podnieceniem paplali o przeżyciu, jakim była nauka u mistrza i nurkowanie z nim. Byli pod ogromnym wrażeniem Exley'a, zwłaszcza Chrissy:

-Ten gość jest niesamowity w wodzie i jest w świetnej formie - powiedział mi, gdy rozmawialiśmy na kempingu o nurkach jaskiniowych. -Zawsze płynie tak szybko jak ludzka torpeda. Człowieku, trzeba się naprawdę wysilić, żeby za nim nadążyć.

Podczas kursu Rouse'owie nauczyli się zarówno teorii, jak i praktycznych aspektów nurkowania na miksach, w tym jak obliczać idealne proporcje gazów na daną głębokość i jak powinny być mieszane. Trimix, na przykład, składał się zazwyczaj z trzech gazów: tlenu, helu i azotu. Aby uzyskać nitrox, mieszankę tlenowo-azotową, nurek musiał tylko napełnić pustą butlę odpowiednią ilością czystego tlenu, a potem dodać powietrza.

Exley podkreślał znaczenie doświadczenia. Poza wykładami w klasie kursanci uczyli się w praktyce mieszania gazów. Chris powiedział mi później:

-To dziwne, że Sheck nie wierzy w sprawdzanie miksów analizatorem. Uważa, że jeśli wszystkie przyrządy, których używasz działają prawidłowo i twój wzór matematyczny jest w porządku, uzyskuje się odpowiednią mieszankę.

Ja również byłem zaskoczony słysząc to, ponieważ wiedziałem, że dla nurków używających miksów, badanie analizatorem zawartości tlenu w miksie po ukończeniu mieszania w ogóle nie podlegało dyskusji. Jednak Exley, który skończył studia matematyczne i poza nurkowaniem uczył matematyki w szkole średniej na Florydzie, miał zaufanie do swoich wzorów.

Chrissy był równie zachwycony nurkowym stylem życia Exley'a, co nim samym.

-To jest super! Wyobraź sobie, że on mieszka w przyczepie o podwójnej szerokości, wypełnionej sprzętem do nurkowania i ma jaskinię na swoim podwórku!

Exley mieszkał w Live Oak i tuż za jego domem było wejście do Cathedral Canyon.

Chrissy dodał:

-Ma nawet zamontowany wąż z ciepłą wodą.

Wąż doprowadzał gorącą wodę na głębokość 6 metrów w głąb źródła, gdzie nurek odpoczywał, aby nie wynurzyć się zbyt szybko. Sue podsłuchując naszą rozmowę z przyczepy, krzyknęła:

-Hej Chrissy, powiedz Berniemu jak pewne dwa matyły nie posłuchały Shecka, a potem żałowały. No, powiedz mu! - Chrissy zarumienił się ze wstydu.

-Och no dobrze, mam - wymamrotał Chrissy.

-Sheck powiedział, żebyśmy nie zakładali suchych kombinezonów, kiedy wchodzimy do jaskini Cathedral, ale sądziliśmy z tatą, że inaczej zmarzniemy, więc założyliśmy je mimo wszystko. Mama posłuchała Shecka. Nie wiedzieliśmy o wężu z ciepłą wodą

aż do samego końca nurkowania. Sheck i mama na zmianę brali wąż i polewali wodą swoje mokre skafandry, żeby się rozgrzać. My z tatą trochę się przeziębiliśmy w suchych skafandrach, bo nie mieliśmy pod spodem ocieplacza i nie mogliśmy skorzystać z węża. Z przyczepy dobiegł nas śmiech Sue.

Wszyscy nurkowie muszą zmagać się także z innymi problemami poza zimnem, narkozą czy toksycznością. Najpoważniejszym i najbardziej uporczywym zagrożeniem dla nurków jest wciąż nie do końca rozumiana choroba dekompresyjna. Spowodowana jest niezdolnością ciała do pozbycia się nadmiaru azotu, obojętnego biologicznie gazu, który jest absorbowany ze sprężonego powietrza, w czasie oddychania pod wodą. Podczas wynurzania się nadmierna ilość gazu obojętnego jest wydalana z organizmu w czasie wydechu. Jeżeli organizm nie jest w stanie odpowiednio szybko pozbyć się gazu przez oddychanie, w krwiobiegu zaczynają się tworzyć pęcherzyki, które wywierają nacisk na zakończenia nerwowe i mogą zablokować przepływ krwi. To blokuje dostęp tlenu do różnych części ciała i powoduje ich uszkodzenie. Wywołuje także bardzo silny ból. Popularne określenie na chorobę dekompresyjną, tzw. krzywik, nawiązuje do wykrzywiania się ofiar w agonii, z powodu bólu odczuwanego w mięśniach i stawach.

Jeśli nurek wynurza się powoli i zatrzymuje się na różnych głębokościach przez różne okresy czasu, organizm ma szansę pozbycia się nadmiaru gazu, zanim uformują się pęcherzyki. Poważne przypadki choroby dekompresyjnej mogą spowodować, że ofiara straci czucie w niektórych częściach ciała albo nawet takie funkcje jak wzrok, słuch, wyraźna wymowa, kontrola nad wypróżnianiem się czy sprawność seksualna. Choroba dekompresyjna to nie żarty. Chociaż metody leczenia choroby dekompresyjnej od jakiegoś czasu są już znane, wciąż nie jest do końca wyjaśnione, co dokładnie dzieje się z organizmem podczas leczenia.

Od chwili, gdy istoty ludzkie zaczęły po raz pierwszy penetrować głębokie wody, wielu obserwatorów uważało, że podwodne wyprawy będą prowadziły wyłącznie do tragedii i że nurkom sportowym nie powinno się w ogóle pozwalać na ich przeprowadzanie. Niestety Jochen Hasenmayer padł ofiarą awarii sprzętu, podczas nurkowania na głębokości sześćdziesięciu metrów w europejskim jeziorze. Jego skafander napełniał się w niekontrolowany sposób gazem izolującym do tego stopnia,

że Hasenmayer wyglądał jak wynurzający się balon z rękami, nogami i małą głową. Wystrzelił do góry i wypłynął na powierzchnię jak pocisk z kreskówki. Hasenmayera błyskawicznie zawieziono do szpitala. Odczuwał już wówczas bardzo silny ból i był okaleczony chorobą dekompresyjną. Leczenie odbywało się w komorze hiperbarycznej - małej cylindrycznej maszynie, z reguły nie dłuższej niż samochód, w której nurka poddaje się działaniu zwiększonego ciśnienia, symulując głębokość, na jaką nurkował, po czym powoli przywraca się go do ciśnienia powierzchniowego. Terapia nie cofnęła paraliżu Hasenmayera, chociaż możliwe, że ocaliła mu życie. Resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim.

Na długo przed powstaniem nurkowania sportowego istoty ludzkie kierując się ciekawością i względami ekonomicznymi, postanowiły zbadać, co znajduje się pod powierzchnią wód mórz, rzek, zalanych kamieniołomów oraz jaskiń i odzyskać to, co kiedyś utraciliśmy pod ich powierzchnią. Nie mogąc zajrzeć pod fale, ludzka wyobraźnia wyczarowała rozmaite potwory, przyczajone w głębinach, by zwodzić, a nawet pożerać śmiałków, którzy odważyli się wejść do najwyraźniej zakazanego królestwa. Zawsze jednak znajdowali się ludzie, którzy mimo przesądów zapuszczali się w głębię. W zależności od własnej filozofii można ich nazwać odważnymi, głupimi lub szalonymi.

Dla tych, którzy nigdy wcześniej nie byli pod wodą termin „głęboko” jest zdecydowanie pojęciem względnym. Już 6-9 metrów poniżej powierzchni można znaleźć inny świat, teraz znany nam dzięki telewizji, zdjęciom oraz rozbudowanym akwariom publicznym i prywatnym. Ale wszystko to do całkiem niedawna było zupełnie nieznanne. Wyprawy w głębiny były równie niemożliwe i egzotyczne, jak wyprawa na Księżyc. I podobnie jak z lotem na Księżyc, na naszej drodze stało wiele przeszkód, które musieliśmy pokonać, aby podróż ta stała się możliwa. Terror biorący początek w naszej wyobraźni był zapewne najmniejszą z nich.

Bez technologii ludzie nie radzą sobie zbyt dobrze z oddychaniem pod wodą. Zawsze jednak walczyliśmy o to, by pokonać tę przeszkodę z pomocą choćby najbardziej prymitywnych urządzeń. Asyryjska płaskorzeźba z 900 w.p.n.e. ukazuje człowieka płynącego pod wodą, który oddycha z trzymanego w ręku pęcherza, podobnego do tych, których używano do wina. W czwartym wieku p.n.e. Arystoteles opisywał

prosty dzwon do nurkowania, który umożliwiał nurkom zejście na dno, gdzie przeprowadzali podwodne prace, co jakiś czas zaczerpując z niego powietrza. Przez stulecia używano strojów i hełmów wszelkiego rodzaju, ze zmiennym powodzeniem. Podnoszenie zatopionych statków dla ich ładunku, dział czy skarbów stanowiło bodziec ekonomiczny. Jeśli zwykła ciekawość nie pomogła nam w pokonaniu naszych lęków i przesądów związanych z wodą, dokonała tego chciwość.

Pierwszy naprawdę udany aparat nurkowy został wynaleziony przez Anglika, Johna Lethbridge'a w 1715 roku. Swoje urządzenie opisał w artykule opublikowanym w „Gentleman's Magazine” w 1749 roku. Składał się z drewnianej cylindrycznej struktury przypominającej wydłużoną beczkę na wino, zapieczętowaną żywicą i wzmocnioną żelaznymi obręczami. Tubę kładło się poziomo i człowiek wchodził do środka przez górny otwór, kładąc się twarzą w dół. W tej pozycji mógł wyglądać przez maleńki iluminator. Ręce wkładał do dwóch skórzanych rękawów wystających z beczki tak, że miał wolne ręce, by wykonywać różne czynności. Następnie górny koniec uszczelniano żywicą i opuszczano w taki sposób, że nurek pozostawał w pozycji horyzontalnej, z twarzą skierowaną w dół. Nie doprowadzano powietrza. Kiedy już zapieczętowano nurka, oddychał on tylko tym powietrzem, którym dysponował wewnątrz. Pracował na dnie morza rękami chronionymi przez skórzane rękawice. Chęć wynurzenia się na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza, sygnalizował personelowi na powierzchni przy użyciu liny. Na powierzchni usuwano dwie zatyczki, do jednego otworu przykładano miech i wpompowywano świeże powietrze, podczas gdy zużyte wydostawało się przez drugi otwór. Jak łatwo sobie wyobrazić nurkowanie w takich okolicznościach miało ograniczenia: Lethbridge ogłosił, że dzięki temu wynalazkowi nurkował na głębokość 18 metrów, spędzając pod wodą 34 minuty. Zaznaczył, że udało mu się również zejść na głębokość 21 metrów, dodając - z typową dla Brytyjczyków powściągliwością - że udało się to osiągnąć z dużo większym trudem. W momencie, gdy ukazał się ten artykuł, Lethbridge nurkował w swoim urządzeniu już od trzech lat.

Ograniczony czas, jaki Lethbridge mógł spędzić na dnie, był niespodziewanym błogosławieństwem - gdyby pozostał dłużej, pojawiłyby się problemy z dekompresją. Choć wydawało się to mało prawdopodobne, błogosławieństwo to wyszło na jaw

jako uboczny produkt nowych wynalazków, umożliwiających rozkwit przemysłu w czasie rewolucji przemysłowej - przy budowie tuneli i mostów.

W 1841 roku francuski inżynier górniczy, M- Triger, wynalazł pierwszy działający keson, wodoszczelną komorę wypełnioną sprężonym powietrzem, która umożliwiała ludziom pracę pod wodą, przy budowie fundamentów mostów, tuneli i innych podwodnych struktur. Pusta w środku, stalowa tuba była transportowana na powierzchni przez barki, a potem umieszczana pionowo w wodzie w taki sposób, że dolna część dotykała dna, a górna wystawała z wody. Drabinka wewnątrz tuby umożliwiała robotnikom, zwanym sandhogs, poruszanie się w kesonie między powierzchnią a dnem rzeki, gdzie pracowali. Keson nie miał „podłogi”, ale powietrze, pompowane z powierzchni przez kompresor, wywierało większe ciśnienie na wodę niż woda na powietrze i zapobiegało zalaniu. Awaria kompresora oznaczałaby, że woda dostanie się do środka w czasie, gdy robotnicy oddychali powietrzem powstrzymującym napływ wody morskiej. Robotnicy wkopywali się w dno rzeki, usuwając luźny osad i przekazując go na powierzchnię, aby się go pozbyć. W miarę jak keson zanurzał się coraz głębiej, od góry dodawano przedłużenia. Gdy robotnicy nie mogli już dłużej wydobywać luźnego osadu i docierali do zwartej skały, keson wypełniano betonem, aby uformować fundament dla filaru mostu.

Po początkowym sukcesie tej całkowicie nowatorskiej metody keson stał się powszechny w użyciu, na przykład przy konstrukcji Mostu Brooklyńskiego. Ale zauważono, że robotnikom przytrafiają się dziwne rzeczy. Po tym jak wynurzali się po swojej zmianie, wielu doświadczało bólu, paraliżu, a nawet śmierci. Tysiące robotników miało objawy choroby, którą nazwali kesonową. Symptomy te pojawiły się również u górników. Mimo że nie byli otoczeni przez wodę, górnicy i robotnicy w kesonach pracowali w środowisku o podwyższonym ciśnieniu. Teraz już nie tylko górnicy, ale także pracownicy kesonów zapadali na chorobę ciśnieniową, stawali się inwalidami lub umierali. Praca w kesonie czy kopalni była oczywiście niezwykle ryzykowna, ale w tym czasie chorobę kesonową postrzegano jako jeszcze jedną konsekwencję pracy przemysłowej, uznając ją za nieuniknioną. Gdy tylko robotnik tracił życie albo stawał się kaleką, na jego miejsce przychodził ktoś inny, ponieważ praca ta przynosiła stosunkowo duże dochody jak na niewykwalifikowaną pracę

ręczną. Za swój genialny wynalazek, keson, Trigger otrzymał w 1852 roku prestiżową nagrodę dla inżynierów, Prix de Mechanique.

Zanim kesony Trigera zyskały szeroką popularność wśród firm konstrukcyjnych, nurkowanie komercyjne wkroczyło w nową erę. W Anglii Charles Deane opatentował aparat oddechowy - w jego zamyśle - mający pomóc strażakom. W 1823 roku on i jego brat, John, zmodyfikowali urządzenie i przekształcili je w skafander nurkowy zasilany sprężonym powietrzem z umieszczonych na powierzchni miechów. Ten kombinezon pozwalał nurkom spędzić więcej czasu na dnie aniżeli wynalazek Lethbridge'a, ale bracia Deans zrozumieli, że potrzebny będzie jeszcze mocniejszy kombinezon z lepszym dopływem gazu. Gdyby udało im się osiągnąć większe głębokości przy dłuższym pobycie na dnie, czekały ich lukratywne kontrakty wydobywania statków. Opracowali specyfikację dla powstania miedzianego hełmu, do którego można było doprowadzać powietrze przez umieszczoną na powierzchni tłokową pompę powietrzną. Niemiecki przedsiębiorca, Augustus Siebe, rozpoczął produkcję sztywnego hełmu braci Deans w Anglii w 1827 roku.

Czas nurkowania gwałtownie się wydłużył dzięki zasilaniu z powierzchni ale miało to swoją cenę. Po wynurzeniu nurkowie obserwowali u siebie czasem brak czucia w rękach lub nogach albo ból w stawach. W ekstremalnych wypadkach ból był tak silny, że krzyczeli i zwijali się w pozycję embrionalną. Ten właśnie syndrom sprawił, że nurkowie nazwali tę chorobę krzywikiem. Osłabiała ona nurków, okaleczała ich, a nawet zabijała. Nikt nie wiedział czemu. Może mimo wszystko morze było zakazanim królestwem. Niektóre kultury wierzyły, że choroba nurków spowodowana była urokiem, rzuconym na nich przez syreny albo inne okrutne istoty, którym zakłócili spokój. Część nurków, trwale okaleczonych przez chorobę ciśnieniową, ze zdumieniem odkrywała, że nogi i ręce, którymi na lądzie nie mogli poruszać, pod wodą funkcjonowały jak u młodych mężczyzn. Sądziło, że morze rzuciło urok i nie pozwala im odejść.

Jednakże śmierć w czasie nurkowania nie zawsze przychodziła pod postacią choroby dekompresyjnej. Najwcześniejsze kompresory powietrzne były obsługiwane ręcznie i wymagały, aby jeden albo dwóch ludzi kręciło ogromnym kołem, utrzymując w ten sposób dopływ gazu do nurka w jego wodoszczelnym, płóciennym kombinezonie.

Jeśli człowiek zmęczył się pompowaniem, albo kompresor popsuł się z jakiegoś innego powodu w momencie, gdy nurek przebywał na znacznej głębokości, ciśnienie wody dosłownie zgniatało jego ciało. W ekstremalnych wypadkach, jeśli nurek przekroczył pewną głębokość, jego ciało zostawało wciśnięte do hełmu. Po wydobyciu go na powierzchnię personel znajdował krwawą papkę w hełmie, a czasem również w wężu doprowadzającym powietrze. Ludzie byli przerażeni. Aby zapobiec zmiążdżeniu nurków, zastosowano jednokierunkowy zawór w wężu, tuż nad hełmem. Po instalacji nowego zaworu w przypadku awarii kompresora nurek nie zostawał zgnieciony, ale tonął, oddychając powietrzem z kombinezonu dopóki do środka nie dostała się woda.

Nurkowanie rozpowszechniało się szybko i w 1870 roku stworzono w Anglii firmę Siebe-Gorman, która w odpowiedzi na potrzeby rozwijającego się przemysłu, miała rozpocząć produkcję skafandrów nurkowych. Firma Siebe'a nadal istnieje na rynku, a twarde hełmy, które produkuje, do dziś są w użyciu. Charakterystyczny hełm Siebe-Gorman jest powszechnie rozpoznawanym symbolem nurka.

W miarę jak większa liczba ludzi wykorzystywała zdobycze techniki na lukratywnym polu nurkowania komercyjnego, coraz więcej nurków zapadało na chorobę ciśnieniową. Brytyjska Królewska Marynarka Wojenna również odnotowała wysoką liczbę zachorowań wśród swoich nurków. Należało znaleźć jakieś rozwiązanie, które ochronią inwestycję, jaką byli wyszkoleni i doświadczeni nurkowie. W 1906 roku Brytyjska Admiralicja skorzystała z usług szkockiego psychologa, Johna Scotta Heldane'a, powierzając mu zadanie rozwiązania tajemnicy choroby ciśnieniowej. Heldane najpierw przejrzał dane zebrane z rozmów z pracownikami kesonów, którzy budowali Most Brooklyń-ski, konstruowany między 1869 a 1883. Przeprowadzał również eksperymenty w komorze dekompresyjnej.

Heldane wiedział, że pracownicy kesonów, górnicy i nurkowie oddychali sprężonym powietrzem, które miało taki sam skład jak powietrze na ziemi na poziomie morza. Azot z powietrza trafia do płuc podczas wdechu, potem do krwiobiegu, a następnie do tkanek. Azot gromadzi się w większej ilości niż było przyzwyczajone ciało ludzkie. Już w 1878 roku francuski naukowiec Paul Bert ustalił, że choroba ciśnieniowa spowodowana jest nadmiarem azotu uwalnianego z tkanek i krwi, kiedy

zmniejsza się ciśnienie wywierane na ciało nurka. Bert odkrył, że azot formuje w krwiobiegu pęcherzyki, które następnie gromadzą się wokół stawów, odcinają dopływ krwi i uciskają zakończenia nerwowe. Na podstawie odkryć Berta i innych danych, Haldane eksperymentował na kozach. Umieszczał je pod ciśnieniem i stymulował różne głębokości przez różne okresy czasu. Haldane zaobserwował, że kiedy koza odczuwała ból w stawach, klękała, co było kozim odpowiednikiem dążenia cierpiącego nurka do pozycji horyzontalnej.

Na poziomie morza nacisk powietrza na ciało, czyli ciśnienie, wynosi jedną atmosferę. Ponieważ woda jest cięższa od powietrza, nacisk wody morskiej na ciało już na głębokości 10 metrów odpowiada jednej atmosferze ciśnienia. W wodzie nacisk powietrza musi zostać dodany do nacisku wody, tak więc na głębokości 10 metrów panuje ciśnienie absolutne równe dwóm atmosferom (absolutne oznacza sumę ciśnienia atmosferycznego i hydrostatycznego), 20 metrów odpowiada trzem atmosferom absolutnym itd. Haldane eksperymentował umieszczając kozy najpierw na głębokości 10 metrów, na różne okresy czasu, potem pod ciśnieniem panującym na głębokości 20 metrów, a w końcu 30 metrów. Zauważył, że może wydobyć kozy na poziom morza bezpośrednio z 10 metrów bez żadnych objawów choroby, ale jeśli wydobywał je bezpośrednio z 20 albo 30 metrów, wyraźnie odczuwały ból. Następnie spróbował zmniejszać ciśnienie wywierane na kozy, po jednej atmosferze, pozostawiając je pod mniejszym ciśnieniem przez różne okresy czasu, zanim zmniejszał je ponownie. Ta metoda zadziałała. Dawała organizmowi więcej czasu na wyeliminowanie nadmiaru azotu podczas wydechów i powstrzymywała tworzenie się pęcherzyków. Wprowadzając różne udoskonalenia do wykresu obrazującego zależność ciśnienia od głębokości, czasu spędzonego pod jego wpływem i czasu spędzonego pod zmniejszonym ciśnieniem. Haldane mógł sprowadzić kozy do ciśnienia na poziomie morza, oszczędzając im bólu. Albo śmierci.

Przed rozpoczęciem badań na ludziach Haldane musiał stworzyć ustandaryzowany wykres, który mógł zostać wykorzystany przez osoby odpowiedzialne za wyciągnięcie nurków z powrotem na powierzchnię. Wykres musiał być łatwy do odczytania i zinterpretowania, zwłaszcza że przeznaczony był do użytku na łodziach, w niepewnych warunkach morskich. Wymyślił trzy zbiory wykresów, znanych jako

tabele nurkowe, które korelowały głębokość, czas na danej głębokości i czas wynurzenia się na powierzchnię. Wykres brał również pod uwagę nadmiar azotu pozostającego w ciele po wcześniejszym nurkowaniu. W takich wypadkach, podczas następnego nurkowania, nurek mógł spędzić mniej czasu na dnie. Jeśli jednak przekroczył określony czas, mógł skorzystać z załączonych przez Haldane'a tabel, podających głębokość, na jakiej powinien zrobić przerwę podczas wynurzenia, by organizm pozbył się nadmiaru azotu. Metodę tę nazywa się dekompresją z przystankami.

Haldane zaprezentował swoje badania i wykresy Admiralicji, która przeprowadzała testy na ludziach. Nurkowie osiągnęli rekordowe głębokości 64 metrów bez objawów choroby ciśnieniowej. Był to cud. Nie można było prowadzić prób na większych głębokościach, ponieważ został osiągnięty limit technologiczny: trzy kompresory, każdy ręcznie obsługiwany przez sześciu mężczyzn były przymocowane do kombinezonu nurka i dostarczały mu potrzebnego powietrza. Wysilek tych mężczyzn potrzebny do kręcenia kołem był tak znaczny, że musieli oni być zmieniani co pięć minut, inaczej nurek by się udusił. Tablice nurkowe Haldane'a zostały opublikowane w 1907 roku i wkrótce zaadaptowały je wszystkie marynarki świata i firmy związane z nurkowaniem komercyjnym.

Nurkowie uczą się i powtarzają historię teorii dekompresji na każdym poziomie nauki nurkowania i przejście do nurkowania zaawansowanego, nurkowania na wodach otwartych nie ominęło również Rouse'ów. Wiosną 1989 roku cała trójka zapisała się na kurs nurkowania „Advanced Open Water” prowadzony w Horsham przez Boba Burnsa, który dysponował kilkuletnim doświadczeniem instruktorskim, a jednocześnie był kapitanem łodzi nurkowej z patentem Straży Przybrzeżnej. Burns był też jednym ze współwłaścicieli czarterowej łodzi nurkowej „Dina Dee”, której port macierzysty znajdował się w Brielle, na wybrzeżu New Jersey. Specjalizowała się ona w organizowaniu wycieczek na znajdujące się w pobliżu wraki. Chociaż Chris i Chrissy mieli już pełne licencje nurków jaskiniowych w momencie zapisywania się na kurs Burnsa, instruktor był pod wrażeniem ich postawy całkowitego zaangażowania. Rouse'owie nie zachowywali się jakby wszystko z góry wiedzieli lepiej, mimo że mieli znacznie rozleglejszą wiedzę niż większość nurków

na wodach otwartych, w tym instruktorzy. Chłonęli wykłady Burnsa, a w domu doczytywali informacje dotyczące tematów poruszonych na kursie. Podczas następnych zajęć wnosili znaczący wkład w dyskusje, powołując się na to, co wyczytali w książkach. Burns zachwycony tak entuzjastycznymi studentami, zapraszał później Chrisa i Chrissy'ego, by wygłaszali wykłady dla jego kursantów na temat technik, wyzwań i ryzyka związanego z nurkowaniem jaskiniowym, co Rouse'owie robili z przyjemnością.

Jedną z rzeczy, których Rouse'owi dowiedzieli się z przeczytanych lektur, to, że dekompresja jest bardziej sztuką niż nauką i pozostaje nadal wielką tajemnicą nurkowania. Nawet jeśli nurek wykona wszystkie czynności prawidłowo, postępując według tabel, i tak może mieć objawy choroby ciśnieniowej. Prawdopodobieństwo wystąpienia u nurka objawów choroby ciśnieniowej rośnie pod wpływem wielu czynników: zmęczenia, odwodnienia, ogólnej kondycji i wysiłku pod wodą. Podczas pierwszych zajęć każdy z nurków uczy się podstaw teorii dekompresji i posługiwania się tabelami dekompresyjnymi. Wielu nurków ma trudność z ogarnięciem idei tabel nurkowych, są oszołomieni ilością liter i liczb. Gdy Rouse'owie zapisywali się na kurs Burnsa, Sue nadal miała trudności z właściwym posługiwaniem się tabelami. Po tygodniowym podstawowym kursie nic najlepiej orientowała się w użyciu tych bardzo w ważnych pomocy, więc Chris i Chrissy uczyli ją w domu, w przerwach między sesjami na zaawansowanym kursie Burnsa.

- Daj spokój, mamie. Tata i ja pokażemy ci, jak działają tabele. Są łatwe - zachęcał ją Chrissy.

Sue zmarszczyła brwi.

- Sama nie wiem. Wydają mi się skomplikowane, tyle w nich liczb. Chris się wtrącił.

- Chyba żartujesz. Byłaś takim geniuszem w szkole. Słuchaj, jeśli ja to mogę zrobić, ty dasz sobie radę z zamkniętymi oczami.

- No tak, ale byłam dobra w językach i tego typu rzeczach. Nigdy nie lubiłam matematyki.

Sue doceniała wsparcie swoich mężczyzn, którzy wyciągali różne książki i zabawiali ją historiami o tajemnicach związanych z nurkowaniem i jak chociaż częściowo udało się je rozwiązać. Sue wreszcie wyćwiczyła się w posługiwaniu tabelami

nurkowymi dzięki cierpliwej pomocy męża i synu.

W miarę jak nurkowie zapuszczali się coraz głębiej, używając tabel nurkowych Haldane'a, zauważyli nowy problem: osłabiający efekt narkotyczny azotu zawartego w powietrzu, którym oddychało się na głębokości. Niektórzy ludzie eksperymentowali z różnymi mieszankami gazowymi. Tłumaczono, że skoro azot jest gazem biologicznie obojętnym - organizm w żaden sposób go nie wykorzystuje - można zamiast niego użyć wodoru, neonu lub helu. Te lżejsze od azotu gazy pozwalały nurkom zejść o wiele głębiej zanim pojawił się efekt narkotyczny. Należało jednak używać różnych schematów dekompresyjnych, które brałyby pod uwagę wagę tych gazów, ich szybszą absorpcję i usuwanie z organizmu.

W 1945 roku szwedzki inżynier Arne Zetterstrom zanurkował na 152 metry, zastępując azot wodorem w swojej mieszance oddechowej. Zmarł podczas wynurzenia, ponieważ niedoświadczony personel na powierzchni źle zrozumiał jego instrukcje i przedwcześnie wyciągnął go 39 metrów powyżej zaplanowanego przystanku dekompresyjnego. Później, nurek z brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, George Wookey, przeprowadził udane nurkowanie na głębokość ponad 182 metrów, rekord, który utrzymywał do czasu, gdy szwajcarski matematyk, Hannes Keller, po konsultacji ze swoim rodakiem, uznanym profesorem i doktorem medycyny, Albertem Bühlmannem, zanurkował, na głębokość ponad 222 metrów, używając mieszanek helowych, a potem w 1962 roku na ponad 304 metry.

Nurkowanie na 304 metry zostało jednak naznaczone tragedią: wskutek kłopotów ze sprzętem reporter serwisu informacyjnego, który udał się na nurkowanie z Kellerem, oraz nurek asekurujący zginęli, chociaż Kellerowi nic się nie stało. Te elitarne eksperymenty nurkowe przyczyniły się do utwierdzenia w umysłach przeciwników nurkowania opinii, że głębia jest kapryśna i niebezpieczna. Z pewnością nurkowie sportowi nie mogli dać sobie rady z głębokimi nurkowaniami, jeśli porażkę odnieśli profesjonaliści?

Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, związane z głębokim nurkowaniem i z bodziec ekonomiczny, zachęcającym do pokonania tych niebezpieczeństw, niektórzy profesjonaliści szukali innego sposobu eksploracji głębin. Tłumaczyli, że można uniknąć narkozy, toksyczności i choroby ciśnieniowej, jeśli nurek zostanie zamknięty

w ochronnym kombinezonie, który bez względu na otaczające ciśnienie będzie utrzymywał ciało nurka pod ciśnieniem powierzchniowym. Taki sztywny skafander miałyby również tę zaletę, że pozwalałyby nurkowi na bezpośrednie wynurzenie na powierzchnię po skończonej pracy. Aparat do nurkowania Johna Lethbridge'a z 1715 roku był prymitywnym prototypem sztywnego skafandra, chociaż nie chronił rąk nurka przed ciśnieniem. Pierwszy naprawdę udany model kombinezonu został wykonany przez niemiecką firmę Neufeldt & Kuhnke w 1917 roku. Przypominał robota science fiction. W 1944 roku niemiecka marynarka testowała kombinezon do głębokości 161 metrów, a w 1930 roku użyto go na głębokości 121 metrów do wydobywania złotych sztab, wartych ponad milion dolarów, z zatopionego brytyjskiego liniowca Egypt. Podczas II wojny światowej Niemiecka Marynarka używała wielu kombinezonów N&K, które zostały zawłaszczone przez Aliantów po zakończeniu konfliktu.

1922 rok był rokiem wyjątkowej pracy dla wynalazców wzmocnionych kombinezonów w Stanach Zjednoczonych. Victor Campos opatentował kombinezon testowany na głębokości 182 metrów, a Joseph Press opatentował pierwsze złącze kuliste, które wykorzystywało płyn do przenoszenia ciśnienia i ułatwiało nurkowi poruszanie rękami i nogami. Press zbudował swój pierwszy kombinezon trzy lata później, ale nie był on udany. Jego druga próba, w 1930 roku zaowocowała kombinezonem, w którym nurek mógł zejść na głębokość 136 metrów. Był on później z powodzeniem testowany przez brytyjską Królewską Marynarkę. Kombinezon Pressa został modyfikowany w 1969 roku przez brytyjską firmę, a kilka jego wersji przyczyniło się w końcu do powstania kombinezonu JIM, nazwanego po nurku, który go testował, Jimie Jarret. W 1976 roku użyto go do nurkowania na 275 metrów pod lodem w Canadian High Arctic podczas ekspedycji w poszukiwaniu ropy.

Jakkolwiek spektakularne były te wyczyny nurkowe, sztywne, wzmocnione kombinezony nadal narzucały ograniczenia głębokościowe, podobnie jak łodzie podwodne. Zanurzanie się zbyt głęboko powodowało zgniecenie kombinezonów - razem ze znajdującym się wewnątrz nurkiem, jak skorupki jajka w zaciskającym się imadle. Dla większości nurków sportowych zakup wzmoczonego kombinezonu i

konieczność zatrudnienia personelu, wspomagającego nurka z powierzchni był poza zasięgiem finansowym. Nawet jeśli nurek sportowy mógłby sobie pozwolić na wzmocniony kombinezon, urządzenia te były zbyt skomplikowane. Z kolei przewody, łączące nurka z powierzchnią, były niepraktyczne przy poważniejszych penetracjach podwodnych jaskiń. Eksploracja wraków mogła być przeprowadzana w sztywnych kombinezonach, ale wycieczki do wnętrza wraku mogły się udać tylko przez przecięcie metalu albo użycie materiałów wybuchowych tworzących dziurę w kadłubie wraku.

Mimo znaczących postępów w projektowaniu sztywnych kombinezonów, większość komercyjnych, wojskowych i sportowych nurków musiała zadowalać się użyciem tradycyjnych kombinezonów nurkowych, które zostawiały ich stosunkowo bez ochrony wobec psychologicznych i fizycznych wyzwań głębi.

Jednym z takich nurków był Glenn Butler, Amerykanin, który rozpoczął swoją nurkową karierę w 1968 roku, w wieku siedemnastu lat. Pojawił się w raczej nietypowy sposób na światowej scenie nurkowania profesjonalnego. Jego ojciec był nurkiem, który pełniąc służbę w amerykańskiej armii pracował przy oczyszczaniu płytkich wód z min głębinowych zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Po powrocie do życia w cywilu starszy Butler stworzył firmę zajmującą się podnoszeniem z dna morskiego różnych przedmiotów. Fascynację morzem przekazał swojemu synowi, który po raz pierwszy nurkował z automatem, gdy miał siedem lat. W wieku piętnastu lat Glenn Butler uzyskał licencję nurka i zaczął sam prowadzić kursy i wyprawy nurkowe przez następne trzy lata. Kochał wodę i widział, że praca jego życia będzie mieć w jakiś sposób związek z wodą. Ojciec Butlera próbował mu pomóc w uzyskaniu przeszkolenia nurka zawodowego i zabrał go do wojskowej stoczni w Waszyngtonie. Glenn raz spojrział na sprzęt, którego używali nurkowie wojskowi, popatrzył na ojca i powiedział:

- Tato, ci faceci są o dziesięć lat do tyłu. Chcę być w czołówce nurkowania. Musi być jakieś lepsze miejsce dla mnie.

Było. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych miejscem, które według wiedzy młodego Glenna Butlera znajdowało się w czołówce nurkowania komercyjnego i badań, była firma. Ocean Systems, której właścicielem było przedsiębiorstwo Union

Carbide. Zaledwie siedemnastoletni, mierzącym sobie metr dziewięćdziesiąt wysokości Butler użył swoich prywatnych kontaktów w społeczności nurkowej Nowego Yorku, aby dostać się na rozmowę kwalifikacyjną w jednostce badawczej Tarry Town w stanie Nowy York. Gdy Butler przyjechał na rozmowę, wszedł po schodach do betonowego budynku, gdzie wpadł na doktora Billa Hamiltona. Hamilton miał brązowe włosy, sięgające za ramiona, i był ubrany w jednoczęściowy kombinezon z emblematem wielkiej różowej świni na klatce piersiowej. Wcale nie wyglądał na pilota bombowca albo kandydata na astronautę, którym kiedyś był. Hamilton i jego szef, dr Heinz Schreiner, kierowali nurkowym ekwiwalentem połączenia Edison Laboratories i Bell Labs. Glenn Butler był szczęśliwy, że udało mu się tu dostać. Pracował jako stażysta bez zapłaty przez sześć miesięcy zanim zadano mu pytanie: Nie chciałbyś pracować jako nurek eksperymentalny? Bycie nurkiem w jednostce badawczej było zupełnie niepowtarzalnym doświadczeniem. Nurkowie w jednostce badawczej schodzili np. na ciśnienie panujące w wodzie na dużej głębokości, ale nie wchodzili do wody. Oficjalny tytuł Butlera brzmiał „badacz wewnętrzny”, co oznaczało, że pracował wewnątrz komory dekompresyjnej jako ludzki królik doświadczalny. Hamilton i inni sterowali urządzeniami kontrolnymi, przebywając bezpiecznie na zewnątrz. Wysyłali Butlera na różne symulowane głębokości, aby przetestować nowe mieszanki oddechowe, tabele dekompresyjne, teorie dekompresji i granice ludzkiej fizjologii. Butler i inni „wewnętrzni badacze” często zapadali na chorobę ciśnieniową, gdy przywracano ich na ciśnienie powierzchniowe. Nie wypuszczając ich z komory natychmiast podwyższano ciśnienie i powoli obniżano, w tym czasie Hamilton i inni badacze notowali rezultaty i modyfikowali swoje teorie i tabele dekompresyjne. Podczas jednego nurkowania w komorze Butler został wysłany na 304 metrów w 11 minut. Nie tylko był w czołówce nurkowania, ale wręcz wrzucono go w nieznaną otchłań. W jakiś sposób przetrwał bez uszczerbku.

Jednym z ubocznych efektów badań Ocean Systems była implementacja standardowego zabezpieczenia przeciwpożarowego w komorach hiperbarycznych (o zwiększonym ciśnieniu). Niewłaściwe materiały używane w połączeniu z czystym tlenem pod wysokim ciśnieniu powodowały eksplozje i pożar. Wiedzę tę można było

wykorzystać na zewnątrz świata nurkowego, chociaż trzeba było pożaru kapsuły Apollo 2 w 1967 roku i śmierci w płomieniach astronautów Rogera Chaffee, Gusa Grissoma i Edwarda White'a, by zdumieć świat i nawiązać połączenie między badaniami nurkowymi i eksploracją przestrzeni. Chociaż Butler, Hamilton, Schreiner i inni w Ocean Systems nie wybierali się w przestrzeń w najbliższym czasie, pomogli w uczynieniu eksploracji przestrzeni bezpieczniejszą wkrótce po tragedii Apollo 1, pomagając NASA w opracowaniu kryteriów bezpiecznej selekcji materiałów do użytku w programach kosmicznych. Dzięki napływowi dużych pieniędzy, związanemu z poszukiwaniem złóż ropy w latach osiemdziesiątych, Butler znalazł się w elicie nurków zawodowych, nadzorował przeprowadzanie nurkowań saturacyjnych i sam również nurkował. Kierował operacjami i jednocześnie znajdował się pod stałym wpływem wysokiego ciśnienia. Na dużych głębokościach spędzał czasem nawet całe tygodnie, dzięki czemu mógł pracować dłużej niż gdyby przeprowadzał dekompresję pod koniec zmiany. Ciśnienie otaczające takich nurków jest utrzymywane bez przerwy, co oznacza, że poddaje się ich dekompresji tylko raz, pod koniec całej pracy.

Ciała nurków saturacyjnych nasycali się obojętnym gazem, ponieważ nie były poddawane dekompresji po każdej zmianie. Butler pracował na całym świecie, wszędzie, gdzie był potrzebny: w Afryce, europejskim Morzu Północnym, po obu stronach Północnego Atlantyku i na Pacyfiku. Czasem pracował na głębokościach przekraczających 213 metrów, chociaż nie znajdował się bezpośrednio w wodzie. Było to możliwe dzięki cylindrycznemu dzwonowi nurkowemu, pomieszczeniu pod ciśnieniem, w którego podłodze umieszczono właz, umożliwiający wchodzenie i wychodzenie. Każdego dnia dzwon był opuszczany z platformy nurkowej i Butler wychodził ze środka, gdy dzwon dotykał dna oceanu. Po ośmiu godzinach przeprowadzania instalacji i inspekcji rur i głowic odwiertów, Butler chodził zmęczony po dnie oceanu, wzniesając po drodze tumany piasku i mułu, niczym Pigpen, wiecznie otoczona kurzem postać z kreskówki Peanuts. Potem z powrotem chronił się w swoim wiecznie wilgotnym, przypominającym więzienie, domu. Dzwon wydobywano na powierzchnię, choć wewnątrz utrzymywano ciśnienie, pod którym pierwotnie pracował Butler. Żadne więzienie na ziemi nie było bardziej

samotne. Butler nie mógł opuścić swojego wypełnionego sprężonym powietrzem świata na rzecz wolności rozpościerającej się za małym iluminatorem, bo gdyby to uczynił, zmarłby w niesamowitych męczarniach, spowodowanych chorobą ciśnieniową. Nie tylko jego organizm ulegał nasyceniu: również konto bankowe pękało od dodatkowych pieniędzy. W zamian za ryzykowanie życiem nurek saturacyjny otrzymuje dodatkową rekompensatę, podobnie jak żołnierz dostaje dodatek wojenny.

W odróżnieniu od żołnierza nurka saturacyjnego powoli zabija niewidzialny wróg - ciśnienie. Niszczy ono jego ciało i po kilku latach regularnej pracy prześwietlenie może wykazać u nurka martwicę kości: puste przestrzenie w normalnie spójnej strukturze kości i stawów. Współczesna medycyna umożliwia zastąpienie zniszczonych kości protezami i czasem nurek saturacyjny potrzebuje protezy biodrowej albo kolanowej.

Choć praca była ryzykowna, Butler był z niej zadowolony, mimo bólu, który sprowadzały na niego sporadyczne ataki choroby ciśnieniowej, co według jego wyliczeń, przytrafiło mu się około siedemnastu razy. Butler był niczym bokser - zdeterminowany, by walczyć ze swoim przeciwnikiem do samego końca. Jednakże wiele spraw związanych z fizjologicznym ryzykiem wielokrotnego zapadania na chorobę ciśnieniową nie było do końca jasnych.

Kiedy zobaczyłem Butlera na spotkaniu klubu nurkowego w 1992 roku, słysząc jego niewyraźną mowę i widząc, jakie ma trudności z formułowaniem zdań, omyłkowo uznałem, że jest pijany. Przypomnił mi się bohater mojego dzieciństwa, Muhammad Ali, którego spotkałem, gdy miał już objawy niedowładu umysłowego. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych, problemy Butlera z pamięcią i niewyraźną wymową były już poważne i lekarze nie potrafili im zaradzić. Zastanawiałem się, czy jest jakiś związek między licznymi napadami choroby ciśnieniowej Butlera a jego niewyraźną mową. Butler powiedział mi, że tomograficzne badanie mózgu ujawniło niewidoczne uszkodzenia spowodowane nurkowaniem, nad którymi lekarze nie byli w stanie zapanować.

- Mam zaburzenia mowy z powodu tętniaka - poinformował mnie Butler. - Mógł powstać z jednego z uszkodzeń, ale lekarze sądzą, że to wynik nadciśnienia.

Butler dokonywał systematycznych postępów i około 1995 roku odzyskał normalną mowę i pamięć, tak jak przewidzieli to jego lekarze. Co niezwykle, do 2000 roku wszystkie zmiany oprócz jednej samoistnie się uleczyły i syndrom niewyraźnej mowy spowodowany ciśnieniem albo tętniakiem ustąpił. Lekarze Butlera uważają, że „Jest zdrowy jak koń i nie powinno u niego wystąpić krwawienie, tak długo jak będzie dbał o prawidłowe ciśnienie krwi.” Nadal zajmuje się przemysłem nurkowym jako konsultant, producent specjalistycznego sprzętu nurkowego i operator dużej medycznej jednostki hiperbarycznej. W wieku czterdziestu dziewięciu lat nadal utrzymuje intensywną niemal dziecięcą fascynację nurkowaniem.

W 1990 roku użycie mieszanki innej niż powietrze w nurkowaniu sportowym uważano za radykalne i niebezpieczne. Nie było oficjalnych kursów dla nurków sportowych zainteresowanych użyciem helu w mieszankach oddechowych.

Powszechnie sądzono, że nurkowanie w jaskiniach i wrakach jest niebezpieczne i ta opinia miała swoje uzasadnienie. Dopiero niedawno, od 1950 roku, nurkowanie zostało uznane za sport. Chociaż wynalezienie akwalungu w 1942 roku, po angielsku scuba (self-contained underwater breathing apparatus) przypisywane jest Francuzom, Jacques'owi Cousteau i Emilowi Gagnan, przed nimi już ludzie wynajdywali podobne aparaty. Różnica polegała na tym, że Cousteau i Gagnan użyli dwóch elementów istniejących już od dawna - butli ze sprężonym powietrzem i zaworu dozującego, który otwiera się, gdy nurek bierze wdech, pozwalając mu oddychać na życzenie. Połączyli je w jeden system, doprowadzający powietrze nurkowi podczas każdego wdechu. Było to nowatorskie podejście. Piękno aparatu Cousteau-Gagnan polegało na jego prostocie. Po II wojnie światowej Cousteau kontynuował badania nurkowe, zbierał fundusze, wreszcie wyprodukował swój słynny podmorski program telewizyjny, „Podmorski Świat Jacquesa Cousteau” i napisał wiele książek. Jednym ze sposobów zbierania pieniędzy było sprzedanie Akwalungu, sportowcom.

Nurkowanie z automatem stało się sportem, kiedy nurkowie wojskowi powrócili do życia w cywilu i zapragnęli eksplorować podwodne królestwa przy pobliskich wybrzeżach. Niezależny sprzęt do nurkowania był dostępny cywilom w ograniczonych ilościach, którzy potrzebowali jedynie pieniędzy żeby rozwijać swoją fascynację życiem pod falami. Do tego nie było potrzebne formalne szkolenie.

Większość osób, uprawiających nurkowanie sportowe w jego wczesnych początkach stanowili mężczyźni, którzy wierzyli, że trzeba być znakomitym pływakiem, aby bezpiecznie nurkować z aparatem. W świecie mężczyzn zdarzały się okazjonalne wyjątki jak śliczna Austriaczka, Lotte Hass, która pracowała z mężem, Hansem, fotografując, filmując i opisując podwodne królestwa. Marketing Cousteau był skuteczniejszy w Stanach niż Hassów, co sprawiło, że stał się on rozpoznawalną na całym świecie ikoną, podczas gdy Hassowie znani byli tylko w Europie, gdzie wyświetlano ich filmy.

Zarówno wysiłki Cousteau, jak i Hassów prowadziły do nagłośnienia możliwości podwodnej eksploracji jako sportu. Cywile, których ciekawiło nurkowanie, mogli się uczyć od byłych nurków wojskowych, którzy nadal podkreślali, że doskonałe umiejętności pływackie są warunkiem wstępnym i odrzucali kursantów, którzy nie posiadali perfekcyjnych umiejętności i tężyzny fizycznej. Ta filozofia stała się fundamentem programów szkoleniowych nurkowania sportowego dla cywilów tworzonych w połowie lat pięćdziesiątych. Ich uczestnicy musieli znosić gimnastykę i ćwiczyć pompki, bieganie po plaży jako dodatek do szkolenia nurkowego. I nic w tym dziwnego. Wczesny sprzęt do nurkowania wymagał mocnych płuc, żeby wdychać i wydychać przez automat i jego potężny, podwójny wąż, który doprowadzał powietrze. Nie można było również określić, ile powietrza zostało w butli, nie licząc urządzenia zabezpieczającego, pozwalającego na utworzenie rezerwy w razie kłopotów z oddychaniem. Gdyby zaistniała taka sytuacja, nurek wyciągał długi pręt, przymocowany z boku butli, uruchamiając przycisk na zaworze i uwalniając rezerwę. Oczywiście, jeśli przycisk został wciśnięty przypadkowo podczas nurkowania, rezerwa zostawała mimowolnie zużyta i nurek znajdował się na dnie bez powietrza. Musiał wtedy przeprowadzić kontrolowane wynurzenie, płynąc w stronę powierzchni wolniej niż wydychane przez niego bąbelki, a potem musiał popłynąć do brzegu albo do łodzi nurkowej używając fajki. Doskonale umiejętności pływackie pomagały zatem w przetrwaniu.

Wraz z rozwojem obsesji nurkowej Rouse'ów, powiększała się ich kolekcja książek, taśm wideo i czasopism związanych z nurkowaniem. Studiowanie sportu doprowadziło ich do takiego poziomu zaawansowania, który umykał większości

ludzi i wielu nurkom. Podczas jednej z moich wizyt w ich domu spytali, czy widziałem program Cousteau o nurkowaniu jaskiniowym:

- Och, musisz to zobaczyć. Jest taki zabawny — powiedział Chris Rouse, a Sue i Chrissy energicznie potakiwali. Gdy oglądaliśmy program, wskazywali na wiele błędów technicznych popełnionych przez zespół Jacquesa Cousteau i dr. George'a Benjamina podczas nurkowania w Blue Holes na Bahama, systemie jaskiń wapiennych, do których dostęp wiódł przez otwory w podłożu oceanicznym. Dr Benjamin uczynił nurkowanie jaskiniowe bezpieczniejszym, wynajdując taki element sprzętu nurkowego, który pozwalał nurkowi na zabranie dodatkowych węży, podtrzymujących życie, a także udzielenie pomocy koledze nurkującemu w jaskini, gdyby ten potrzebował powietrza. Chociaż dr Benjamin dla prawdziwych nurków jaskiniowych był prawdziwym bohaterem, żył z dala od tej eklektycznej społeczności.

Odtwarzając nagrany na taśmę wideo program, Rouse'owie po kolei imitowali charakterystyczny, nosowy akcent Cousteau, wykazując w tym samym czasie błędy. —Zabraliśmy specjalne, wyjątkowo duże butle na to nurkowanie - obwieścił Cousteau, co rozbawiło Sue.

-No jasne. Spójrzcie na te ósemki. Boże, czy on nie słyszał o 104?*(„Ósemki"* to standardowe butle nurkowe, których używał zespół Cousteau, znacznie odbiegające rozmiarem od dużych butli, przypominających małe bomby, którymi posługiwali się poważni nurkowie jaskiniowi).

Chris kontynuował podniecony:

- Posłuchajcie tego kawałka: „Musieliśmy używać specjalnych flar magnezowych, aby oświetlić sobie drogę. Płynny dym wypełnił jaskinię i ograniczył widoczność". Ha! - Chris odwrócił się do mnie. - Czy oni nie słyszeli o latarkach o zwiększonej mocy zasilanych bateriami do nurkowania jaskiniowego?

Kiedy jeden z członków zespołu Cousteau wyrzucił na bok zużytą flarę, wszyscy wpadliśmy w histerię. Zespół na każdym kroku naruszał najbardziej podstawowe zasady konserwacji jaskiń. Wszystkim nam wbito do głowy mantrę badaczy jaskiń: „Nie bierz nic poza zdjęciami, nie zostawiaj nic poza bąbelkami". Zespół Cousteau

* 104 tak nazywano popularne wśród nurków amerykańskich aluminiowe butle o poj.104c.f.(14,72 litra)

* Ósemki to butle stalowe o poj.8 l – przyp.tłum.

zanieczyszczał jaskinię niepotrzebnie swoimi flarami, kiedy podwodne latarki nurkowe mogły znacznie lepiej im się przydać i wyrzucały swój popiół w jaskini z kompletnym brakiem poszanowania środowiska. Tego, że tak postępuje autorytet w dziedzinie ochrony środowiska, postępuje tak na oczach międzynarodowej widowni, nie mogliśmy już znieść. Co więcej, ich butle z powietrzem były niewłaściwe dla tego typu nurkowania. Nie zabrali dostatecznej rezerwy gazu na wypadek sytuacji krytycznej i nie używali sprzętu wynalezionego przez samego dr Benjamina, który stał się standardem w społeczności nurków jaskiniowych. Sprzęt ten uczyniłby to nurkowanie znacznie bezpieczniejszym.

Chrissy potrząsnął głową.

-Stary, ten program to mydlenie oczu. To my powinniśmy tam być, pokazując jak naprawdę nurkuje się w jaskiniach, zamiast tego gówna. Wszyscy byliśmy zasmuceni, że dr Benjamin poddał się temu, co postrzegaliśmy jako presję wywieraną na niego i zgodził się na użycie nieodpowiedniego sprzętu i technik dla udramatyzowania nurkowania jaskiniowego. Chociaż wszyscy byliśmy wdzięczni za wynalezienie automatu i promowanie ochrony środowiska przez Towarzystwo Cousteau, nasz szacunek dla fachowości Cousteau i jego autorytetu znacznie się obniżyły w naszych oczach. Serial Cousteau o nurkowaniu w jaskiniach ilustrował dla nas konieczność zachowania pokory. Chociaż on i Gagnan wynaleźli automat, powinni byli zachować otwartość na postęp, jaki dokonał się po nich.

Najpoważniejsze osiągnięcie należało do samego dr. Benjamina -jego wynalazek uczynił nurkowanie bezpieczniejsze. Cousteau postanowił korzystać ze sprzętu nurkowego i technik, dobrze sobie znanych, zamiast uczyć się nowego podejścia. To, co robił Cousteau, wyraźnie kontrastowało - według mnie - z filozofią takiego nurka, jak Marc Eyring. Eyring, bardzo doświadczony nurek jaskiniowy, zawsze twierdził, że jest „żółtodziobem”. Lubiał powtarzać: „Kiedy myślisz, że już wszystko wiesz, kiedy przestajesz być otwarty na uczenie się nowych metod, robienia różnych rzeczy, naprawdę masz kłopoty. To środowisko nie wybacza. Zawsze się uczę, bo gdybym tego nie robił, wiem, że wkrótce bym zginął”. Eyring wyznawał filozofię prawdziwego poszukiwacza.

Niektóre nurkowania jaskiniowe wymagają wielu godzin dekompresji, co oznacza

czekanie w wodzie i nic nie robienie przez dłuższy czas, podczas gdy ciało eliminuje nadmiar obojętnego gazu. Czekanie może być niewiarygodnie nudne. Steve Berman często odbywał dekompresję prowadząc kursy nurkowania jaskiniowego i również po nurkowaniu dla przyjemności.

Część nurków, odbywając dekompresję czyta pod wodą książki lub czasopisma, albo nawet gra w szachy na magnetycznych szachownicach. Berman pochłaniał książki w swoim normalnym życiu na powierzchni, pod wodą chciał więc zająć umysł czymś innym. Muzyka. To uprzyjemniłoby mu czas. Berman zaczął pracować nad podwodnym systemem, który chroniłby jego walkmana. Ochrona taśmy kasetowej przed uszkodzeniem w wodzie okazała się prosta - użył okrągłego kanistra, który zwykle chronił baterie podwodnej latarki. Słuchawki okazały się znacznie bardziej problematyczne - było słabym ogniem jednostki, którą Berman nazwał Diveman. Steve okrywał małe delikatne słuchawki plastikową folią albo zanurzał je w rozgrzanej gumie, co sprawdzało się na kilka nurkowań. Potem jednak pojawiały się w nim dziury, wpuszczające wodę do słuchawek, która dostawała się do przewodów i do jednostki z kasetą, niszcząc ją.

Sfrustrowany koniecznością wielokrotnej wymiany walkmanów Berman, wspomniał o tym problemie Reekiemu, brzuchatemu Kanadyjczykowi. Rozwiązanie leżało w znalezieniu słuchawek, zaprojektowanych do użytku pod wodą. Podczas pokazów handlowych Reekie natrafił na sprzęt do podwodnego wykrywania metalu, w skład którego wchodziły duże, wytrzymałe, wodoszczelne słuchawki. Reekie podszedł do producenta i powiedział: „Byłbym zainteresowany złożeniem zamówienia na pewną ilość pańskich słuchawek, jeśli może pan je wyprodukować w stereo”. Producent uznał zamówienie za dziwne, ale nie znalazł powodu, żeby nie skorzystać z zamówienia i zgodził się na modyfikację słuchawek. Kiedy Reekie i Berman podłączyli specjalne słuchawki do Divemana Bermana, wyeliminowane zostały problemy z zalaniem i dźwięk brzmiał przyjemnie w stereo.

Berman z przyjemnością oddawał się teraz słuchaniu muzyki Pink Floyd z albumu „Dark Side of the Moon” podczas dekompresji w krystalicznie czystej wodzie nad wejściem do Devil's Cave System w Ginnie Springs. Często nurkował solo o północy, napawając się spokojem własnego prywatnego świata. Podczas dekompresji

odpoczywał leniwie na kłodzie drzewa, która wpadła do wody. Często oświetlało go tylko światło księżyca. Jasne promienie przecinały wydychane przez Steve'a bąbelki, które unosiły się jak gwałtownie rozszerzające się spodki, eksplodując po dotarciu na powierzchnię. Pofalowane światło rzucało dziwne cienie na skaliste wejście, znajdujące się pod Bermanem, sprawiając, że ryby, kraby, raki wydawały się tańczyć w migocącym świetle, pojawiając się, znikając i w mgnieniu oka pojawiając się ponownie. Berman podarował Dive-mana Rouse'om jako prezent, a oni zabrali swoją nową zabawkę pod wodę podnieceni niczym małe dzieci. Chrissy wolał muzykę rockową od łagodniejszej kolekcji Bermana i kiedy odbywał dekompresję widać było jak potrząsa głową i kręci nią w różne strony w rytm muzyki, a rękami wykonuje ruchy jakby grał na perkusji w czasie koncertu. Kiedy Pearl Jam wydał swój album „Ten”, Chrissy znalazł na nim swoją ulubioną piosenkę Even Flow, którą puszczał bezustannie pod wodą, w domu, w samochodzie - wszędzie. W odróżnieniu od syna, Chris Rouse wolał odpoczywać w ciszy, introspektywnie, pozwalając, by czas płynął powolnym przewidywalnym strumieniem jak wiosenne źródło.

Z powodu swojej przewidywalności nurkowanie jaskiniowe jest z wielu względów łatwiejsze od nurkowania na otwartym oceanie. Na otwartym oceanie są prądy i zmieniające się warunki pogodowe, z którymi nurek musi sobie poradzić. Choć Rouse'owie nurkowali na wraki statków przy wybrzeżu New Jersey, zazwyczaj z łodzi nurkowej, której kapitanem był ich instruktor nurkowania zaawansowanego. Bob Burns, zawsze trzymali się limitów bezpieczeństwa z tabel nurkowania rekreacyjnego. Według tych limitów można było spędzić najwyżej 10 minut na głębokości 39 metrów bez dekompresji. Po przekroczeniu limitów z tabel nurkowych musieli się jej poddać. W oceanie oznaczało to przyłączenie się do liny kotwicznej łodzi nurkowej, inaczej mogliby zostać porwani przez prąd i zgubić się. Dużo łatwiej było poddać się dekompresji leżąc na dnie jaskini albo na drzewie, które wpadło do wody u wejścia jaskini, niż na linie kotwicznej. Przy dobrych warunkach pogodowych w oceanie dekompresja nie była trudna i w pobliżu przepływało dość fauny morskiej, aby zająć uwagę Rouse'ów. Przy silnym prądzie jednak albo przy dużych falach ramiona i ręce słabły od ciągłego przytrzymywania się liny. Nie trzeba było wiele czasu, by Rouse'owie zaczęli używać jonline'u, nylonowej liny,

zwykle dwumetrowej, pomagającej przy dekompresji (nazwanej tak od jej wynalazcy Jonie Hulburcie). Owijali ją wokół liny kotwicznej, a potem trzymali się pętli na końcu jonline'u. Jeśli prąd był silny, przyczepiali linę do swojej uprząży, aby nie bolały ich ręce. Przy wysokich falach lina kotwiczna była rzucała do góry i na dół z falami, ale jonline brała na siebie siłę uderzenia. Jonline był użyteczny, ale stanowił jeszcze jeden element, który trzeba było nosić przez całe nurkowanie, mimo że użycie go nie musiało być konieczne. Musiał być łatwo dostępny, aby w razie potrzeby nurek był w stanie dosięgnąć go i zawiązać jedną ręką, drugą trzymając się liny kotwicznej. Inaczej uchwyt mógłby mu się ześlizgnąć i zostałby zniesiony.

W nurkowaniu jaskiniowym badacze mogą gromadzić wszystko, co jest im potrzebne - w miejscu, w którym sprzęt ma zostać użyty. Jeśli potrzebne są dodatkowe butle do dekompresji, mogą one zostać gdzieś zdeponowane i zabrane z powrotem podczas wynurzenia. Nie jest to możliwe podczas nurkowania wrakowego na otwartym oceanie, gdzie wedle podstawowej zasady nurek musi być samowystarczalny przez cały czas. Nurek wrakowy nie może nawet liczyć na to, że kiedy wróci, łódź nurkowa będzie w tym samym miejscu, ponieważ czasem zdarza się, że lina kotwiczna odwiązuje się od wraku na wzburzonym morzu. W takim przypadku, gdyby nurek potrzebował dodatkowych butli do dekompresji, nie pomogłoby mu przyłączenie ich do liny kotwicznej na takich głębokościach, na jakich były potrzebne. Nurek wrakowy musi mieć wszystkie potrzebne butle przy sobie. Czasem umieszcza dodatkowe butle na zewnątrz wraku zanim wejdzie do środka, aby móc się poruszać swobodniej bez dodatkowego sprzętu, którym może się zaczepić o szczątki wraku. We wrakach z dużymi otworami i przestronnymi wnętrzami dodatkowe butle można mieć przy sobie przez całe nurkowanie, nawet w czasie penetracji, ale jest to raczej wyjątek niż reguła.

Większość nurków wrakowych na północnym wschodzie - ci, którzy nurkowali na mnóstwo wraków przy wschodnim wybrzeżu USA na północ od Południowej Karoliny - szuka trofeów świadczących o ich eksploracjach. Mogą to być homary do zjedzenia albo artefakty z wraków, które można potem wystawić w gablotce. Nurek, który przyniesie największego homara albo najwięcej skorupiaków z konkretnego nurkowania, może z dumą okazać swój łup po powrocie na łódź nurkową. W prostym

odczuciu rozmiar liczy się najbardziej, żaden nurek, który przyniesie największego homara uznawany jest za bardzo kompetentnego, choć duże skorupiaki nie smakują ani tak dobrze, ani tak słodko jak ich mniejsze odpowiedniki. Nurek, który wydobydzie artefakty, postrzegany jest jako ktoś z spostrzegawczy i ktoś, komu pewnie sprzyja szczęście. Konsekwentne wydobywanie artefaktów jest znakiem rozpoznawczym profesjonalnego nurka wrakowego. Ale aby zdobyć te trofea, nurek musi wziąć nylonową siatkową torbę, w której pomieści homary, albo torbę z narzędziami, jeśli chce wydobyć artefakty, które mogą wymagać zdemontowania. Czasem nurkowie zabierają torbę z narzędziami i siatkową torbę na homary, aby być przygotowanym na każdą ewentualność. Nie ma nic lepszego niż wynurzenie się zarówno z artefaktami, jak i z homarami; w oczach poważnych nurków wrakowych trafienie w lotka może ledwie równać się z takim doświadczeniem.

Nurek wrakowy, który zrobi zdjęcia lub nakręci film pod wodą jest dziwakiem i wielu postrzega takie osoby jako pedantycznych masochistów: liczba usterek, jakie mogą wystąpić w sprzęcie do podwodnego rejestrowania obrazów i uwaga, którą trzeba poświęcić szczegółom przed, w trakcie i po nurkowaniu, jest porażająca.

Kamery i woda niezbyt dobrze współgrają i potrzebne są duże pokrowce, aby ochronić każdy element sprzętu przed choćby odrobiną wody. Mimo wielkich nakładów finansowych bardzo łatwo jest zalać aparat fotograficzny albo kamerę, co powoduje straty finansowe rzędu tysięcy dolarów. Trzeba też uważać, czy aparat nie pracuje nieprawidłowo i pamiętać o dobraniu soczewek odpowiednich do warunków panujących pod wodą i podmorskiej fauny, którą napotka nurek.

Do końca lat osiemdziesiątych surowe, nieprzewidywalne środowisko, w którym przeprowadza się nurkowania wrakowe w zimnej wodzie, stało się czynnikiem stymulującym rozwój różnych metod konfiguracji sprzętu, potrzebnego nurkowi. Pojawiło się również wiele zagorzałych dyskusji, co do właściwego sposobu noszenia sprzętu i samego przeprowadzania nurkowań. To z kolei spowodowało zwanie szeregów nurków w grupy o zbliżonych poglądach, grupy, które nurkowały razem. Gdy nurkowie wrakowi ruszyli w pogoń za trofeami i zdobyciem wysokiego statusu, w społeczności nie dało się uniknąć starć.

Kiedy Ken Reinhart ostrzegał Chrisa mówiąc, że nurkowanie jaskiniowe przypomina

drażnienie niebezpiecznego psa, powinien był również wspomnieć o nurkowaniu wrakowym. U wejścia wraków nie było ostrzegawczych tablic z kostuchą, takich jak ta w Devil's Cave System. Rouse'owie nie wiedzieli, że rozdrażniony pies czeka na nich także w zatopionych okrętach.

Gorączka artefaktów

Lato 1990. Key West, Floryda

Na dwa lata przed odkryciem przez Chattertona tajemniczego U-Boota u wybrzeży New Jersey, w sporcie nurkowym pojawiła się całkiem nieoczekiwana postać, za sprawą której miały zajść dramatyczne zmiany. Kalifornijczyk Michael Menduno zjawił się na scenie nurkowej pełen energii, entuzjazmu i z wizją, która miała odmienić nurkowanie sportowe. Blondyn z wiecznie brudnymi, długimi włosami, krzywymi zębami i szczupłym niezbyt atletycznie zbudowanym ciałem nie wyglądał na idealnego rzecznika nowych, odważnych metod eksploracji nurkowej. Kiedy pierwsze wydanie jego magazynu „AquaCorps” ukazało się w 1989 roku, zebrało niebył imponujące recenzje. Ale Menduno szybko się uczył. Jego natchnione prezentacje na pokazach nurkowych w całych Stanach Zjednoczonych stały się trybuną dla wszystkich nurków ekstremalnych, wywołując powszechną ciekawość u tych, którym wystarczyło pozostanie w stosunkowo niskich limitach nurkowania rekreacyjnego.

W krótkim czasie „AquaCorps” ugruntowała swoją pozycję, a kombinacja nastawienia, najświeższych informacji, dramatycznej podwodnej fotografii i niespotykanej grafiki uczyniły z niej biblię nurkującej awangardy. Rouse'owie byli zagorzałymi fanami pisma. Kiedy tylko pojawiała się nowe wydanie - a żaden czytelnik nie mógł z góry wiedzieć, kiedy to będzie - a Rouse'owie zobaczyli je jako pierwsi, dzwonili do przyjaciół, by w skrócie opowiedzieć im o zawartości. Zaprzyjaźnieni nurkowie robili dla nich zresztą to samo, jeśli to oni trafili na nie pierwsi. Nareszcie pojawiła się publikacja, która odważnie badała świat ekstremalnego nurkowania jaskiniowego i wrakowego, omawiając również nurkowania, które miały miejsce na całym świecie, a przekraczały granice tego, jak

głęboko poniżej powierzchni albo wewnątrz tuneli jaskiniowych, mogli zapuszczać się nurkowie.

Podobnie jak działo się w przypadku wcześniejszych przełomów w nurkowaniu, „AquaCorps” spowodowała rozłam między konserwatywnymi nurkami a tymi, którzy albo rozpoznali nieuniknioną potrzebę ewolucji sportu, albo szukali wiedzy, jak bezpiecznie zejść głębiej i zostać tam dłużej. Przed „AquaCorps”, nurków, pracujących w centrach nurkowych, którzy zajmowali się głębokimi nurkowaniami jaskiniowymi albo wrakowymi, często ostrzegano przed rozmową z kursantami albo klientami o tym, dlaczego to robią. Wielu właścicieli centrów nurkowych było zaniepokojonych trendem zwiększania głębokości. Obawiano się, że coraz bardziej skomplikowane nurkowania zaowocują większą liczbą wypadków śmiertelnych, co postawi sport w złym świetle i spowoduje spadek dochodów w biznesie. W miarę jak czasopismo stawało się coraz atrakcyjniejsze pod względem prezentacji i grafiki, zyskiwało większą popularność, a jednocześnie legitymizowało głos tych, których część społeczności uznawała za pariasów nurkowania. Nurkowanie na dużych głębokościach nagle stało się modne.

„Aqua Corps” Miachaela Menduno miało pomóc w przepływie potrzebnych informacji między nurkami sportowymi na całym świecie i przyspieszyć rozwój podwodnej eksploracji. Kiedy Menduno wyruszył z Kalifornii na Florydę, gdzie nurkował z biologami z marynarki, ze zdziwieniem odkrył wysoki poziom specjalizacji nurkowania jaskiniowego. Wycieczka na Key West, ostatnią wyspę w łańcuchu, rozciągającym się od głównej części Florydy po północne Karaiby, otworzyła mu oczy na prace innego pioniera, Billy'ego Deansa, jednego ze światowych liderów w nauczaniu amatorów głębokiego nurkowania.

Podobnie jak Glenn Butler, Billy Deans odziedziczył pasję sportu po swoim ojcu, który nurkował rekreacyjnie na Florydzie, tam gdzie Billy się urodził i wychował. W 1965 roku dziesięcioletni Billy przeszedł kurs nurkowania z automatem i otrzymał licencję. Wspólnie z ojcem oddawali się przyjemności eksplorowania środowiska rafy koralowej w pobliżu Floryda Keys. Billy był zafascynowany wspaniałymi kolorami rafy i ryb, które krzątały się w poszukiwaniu jedzenia, bezustannie walcząc o utrzymanie się przy życiu. Przetrwanie było kwestią podstawową pod wodą: zjedz

albo zostać zjedzonym, żyj lub umrzyj — zasada ta nie różniła się specjalnie od reguł, według których musieli funkcjonować nurkowie w obcym świecie, do którego tylko wpadli z wizytą.

W 1977 roku Billy zaczął uczyć innych, jak nurkować. Kiedy lepiej poznał rafę i jej mieszkańców, zajął miejsce między nimi, z kuszą w dłoni, dorabiając dodatkowo jako podwodny myśliwy. Wkrótce zrozumiał, że większe, bardziej lukratywne ryby, jak granik i tuńczyk żółtopłetwy, można znaleźć na głębszych wodach, zwłaszcza wokół wraków. Po nurkowaniu na głębokość 60 metrów na powietrzu i długiej dekompresji, Billy i jego przyjaciel John Ormsby zauważyli, jak duże zmęczenie powoduje azot gromadzący się w ich ciałach, nawet po tym, jak wynurzą się na powierzchnię. Musiał istnieć jakiś lepszy sposób. Przeczytali dwa dostępne podręczniki - oba opublikowane przez amerykański rząd - i odkryli, że mogą uczynić swoje nurkowanie bezpieczniejszym, jeśli na przystankach 6 i 3 metrów będą oddychać czystym tlenem. Skrupulatnie przestrzegali wszelkich zaleceń Amerykańskiej Marynarki wobec stosowania tlenu pod wodą, chcąc zapobiec jego toksyczności. Tlen sprawiał, że nie odczuwali takiego zmęczenia po nurkowaniu. Deans i Ormsby intuicyjnie odkryli dowód na to, że ich nurkowania są bezpieczniejsze - nadmiar tlenu był wydalany z ich ciał w dużo szybszym tempie niż wówczas, gdy oddychali podczas dekompresji sprężonym powietrzem.

Billy Deans czytał wszystko, co udało mu się znaleźć na temat nurkowania, pielęgnował przyjaźń z wojskowymi nurkami z Keys i nauczył się sekretów nurkowania na miksach, o których większość nurków nie miała pojęcia. Gdy Deans dowiedział się, że dr Bill Hamilton i jego koledzy w Oceans System, dr Heinz Schreiner i Dave Kenyon, stworzyli program komputerowy do kalkulowania czasu nurkowania i głębokości - nazywanych przez nurków profilami nurkowania - przy użyciu różnych mieszanek oddechowych, zadzwonił do Hamiltona. W rozmowie wyjaśnił, co robił pod wodą, i poprosił o wypożyczenie zestaw tabel nurkowych odpowiednich mieszanek gazów do użytku na USS Wilkes Barre, lekkim krążowniku, który został wycofany z użytku i celowo zatopiony przy Key West na głębokości 76 metrów, aby stworzyć sztuczną rafę. Pomysł był taki, że sztuczna rafa przyciągnie duże ryby z pożytkiem dla miejscowej gospodarki, zapewniając kolejne

miejsce wycieczkowe dla łodzi czarterowych. Hamilton był nastawiony sceptycznie, obawiając się, że ambicja Deansa przewyższa to, co można realnie osiągnąć z zachowaniem zasad bezpieczeństwa.

-Cóż, Billy, wiesz, że głębokie nurkowanie jest naprawdę niebezpieczne, prawda? - spytał Hamilton.

- Tak, wiem - odpowiedział z szacunkiem Billy, jak uprzejmy chłopiec z Południa, na którego wychował go ojciec.

- Nurkujemy na wraki na głębokość od 67 do 76 metrów używając powietrza.

Nauczyliśmy się, jak powiększać margines bezpieczeństwa przez użycie tlenu w czasie dekompresji. Dla większego bezpieczeństwa potrzebujemy jasności umysłu, którą zapewnia hel. A do tego, sir. potrzebne nam wasze tabele do nurkowania.

- Byłem zaangażowany w badania i nurkowanie na polach ropy od... - Hamilton powiedział ze śmiechem - cóż... od bardzo dawna. I wiecie, co? Ci faceci mają różnego rodzaju nurków asekuracyjnych i protokoły bezpieczeństwa, które wykraczają daleko poza to, co wy robicie w nurkowaniu rekreacyjnym. Mimo to wypadki nadal się zdarzają. Dlaczego sądzą, że możecie to zrobić lepiej niż profesjonaliści? I po co? To, za co wam płacą, czyli prowadzenie kursów albo łapanie ryb, możecie robić na płytszych wodach, gdzie jest dużo bezpieczniej.

Deans był przygotowany na pewien opór. Nurkowie zawodowi zawsze trochę pokpiwali z nurków sportowych, sądząc, że są oni nieodpowiedzialni albo wręcz szaleni, próbując zejść w głąb bez doprowadzanego z powierzchni gazu i bez systemu komunikacji. Naukowcom - a do tej kategorii z pewnością należał Hamilton -jeszcze trudniej przychodziło uwierzyć w to, że nurkowie sportowi chcieliby spróbować zejść na duże głębokości. Nurkowanie bez wyrafinowanego zaplecza sieci placówek, z jakim pracowali nurkowie zawodowi, jak Glenn Butler, postrzegali bowiem jako działania samobójcze. Billy wyjaśnił, że wspólnie z Ormsbym stworzyli dobry system bezpieczeństwa, którym posługiwali się podczas nurkowania na wraki. Deans i jego koledzy nurkowali w zespołach, w skład których wchodził podwodni nurkowie asekuracyjni, których zadaniem było monitorowanie nurków i czasów nurkowania. Jeśli ktoś nie wynurzyłby się w tym momencie, w którym powinien, Deans natychmiast rozpocząłby poszukiwania. Jeśli nurek miałby za mało powietrza

podczas dekompresji, nurkowie bezpieczeństwa zapewniliby mu powietrze do oddychania z dodatkowych butli. Wszyscy nurkowie mieli pod wodą dostęp do tlenu, który był dostarczany przez masywne butle na łodzi nurkowej. Z butli odchodziły wykonane na zamówienie piętnastometrowe węże, tzw. whips, które prowadziły pod wodę, gdzie były zamocowane zaciskami do skonstruowanej z lin trapezopodobnej stacji dekompresyjnej. Wyraźnie zaznaczała ona przystanki na sześciu i trzech metrach.

Hamilton zawsze próbował zniechęcić nurków sportowych od głębokiego nurkowania. Kiedy jednak był przekonany, że nurek wie, o czym mówi albo i tak zamierza przeprowadzić głębokie nurkowanie, z tabelami czy bez nich, Hamilton zapewniał mu swoje wsparcie, choć nie bez konkretnego wynagrodzenia finansowego za swój wysiłek. W późnych latach osiemdziesiątych bardzo niewielu ludzi dysponowało tabelami dekompresyjnymi dla nurkowania na trimixie (mieszance tlenu, azotu i helu), a dla nurków sportowych dostępny był tylko program komputerowy DECAP, napisany przez Billa Hamiltona, Heinza Schreinerera i Dave'a Kenyona - zdecydowanie najbardziej doświadczonych w badaczy głębokiego nurkowania.

- Chyba mnie przekonałeś - Hamilton powiedział Deansowi. - Tylko nie bądź idiotą i się nie zabij. Udowodnij, że się mylę i pokaż, że wy nurkowie sportowi potraficie to robić tak samo dobrze, jak profesjonaliści!

Uzbrojony w tabele nurkowe dla trimixu, Billy Deans eksplorował Wilkes-Barre z jasnym umysłem, który zapewnia hel. Dla Deansa i jego załogi skończyły się czasy nurkowania po pięciu kieliszkach martini. Stopniowo, przez całe lata osiemdziesiąte, zaczął tworzyć swój własny program szkoleniowy, by nauczyć ludzi, jak nurkować bezpiecznie. Używając rygorystycznych list obecności i podchodząc do sportu jak dowódca w wojsku - do tego stopnia, że używał takich wyrażenia, jak: „cel misji” zamiast „plan nurkowania” albo „odprawa po akcji” zamiast „odprawa po nurkowaniu” - Deans stawiał swoich zaawansowanych kursantów przed coraz bardziej wyzywającymi zadaniami, najpierw w płytkiej wodzie, a potem na głębokiej. Posługując się metodą wojskową Billy kazał swoim kursantom zaciemnić maski, stawać na pomoście w pełnym sprzęcie i przechodzić przez procedury awaryjne,

wyłącznie na podstawie dotyku. Musieli odłączyć dopływ gazu w nieprawidłowo działającym automacie, wypluć wadliwy automat i wsadzić drugi do ust bez użycia rąk, włączyć dopływ przypadkowo odciętego gazu do butli, odczepić dodatkową butlę zawieszoną pod pachą, wyplątać ją z linki, a potem przyczepić z powrotem. Podczas jednego ćwiczenia instruktor odcinał kursantowi dopływ powietrza, który ten musiał następnie samodzielnie włączyć. Podczas tego typu symulacji na pomoście kursanci na ogół wielokrotnie „umierali”. Jeśli ktoś nie potrafił sobie poradzić z tym zadaniem, wypluwał automat z ust i nabierał powietrza w płuca. Na pomoście, gdzie było bezpiecznie, kursantom oszczędzono zachłyśnięcia się wodą i gorączkowego poszukiwania kurków butli do momentu, gdy powietrze w płucach się wyczerpie. Zadania Deansa zaplanowane tak, by nauczyć kursantów instynktownego reagowania w razie niebezpieczeństwa miały tę dodatkową korzyść, że temperowały kursantów, którzy zdawali sobie sprawę z tego, jak łatwo jest zginąć pod wodą.

Deans z bliska poznał śmierć. W 1985 roku, kiedy jeszcze szlifował swoje techniki nurkowania na dużej głębokości, pomagał w odcinaniu ciała swojego przyjaciela, Johna Ormsby'ego z wraku, po tym jak Ormsby na głębokości 64 metrów pochopnie zmienił plan nurkowania, (według którego mieli trzymać się razem i nie wpływać do wraku) i zostawił Deansa. Ormsby wpłynął do wraku, zaplątał się tam w przewody i utonął. Uwolnienie ciała i wydobycie go na powierzchnię zajęło kilku zespołom nurków dwa dni. Widok bladego, zeszywniałego pośmiertnie ciała zasmucił i zahartował Billy'ego Deans'a, który z pierwszej ręki nauczył się, że przetrwanie pod wodą to coś więcej niż „zjedz lub sam zostań zjedzony”(eat or be eaten). Niektórzy ludzie uważali, że Billy ma zbyt fanatyczne podejście do uczenia i że przy wzroście 1,67 metra cierpi na kompleks Napoleona. Ale ci ludzie nie widzieli ciała Johna Ormsby'ego beznadziejnie zaplątanego w grube kable, obrazu, który pojawiał się w snach instruktora, jeśli przymknął oko na jakikolwiek choćby najdrobniejszy szczegół w czasie prowadzenia kursu. Billy Deans musiał bezustannie walczyć o to, by utrzymać ducha Johna Ormsby'ego na bezpieczny dystans.

Dopiero gdy kursant zademonstrował profesjonalizm w wodzie i właściwe nastawienie do nurkowania, Deans zaczynał mu na tyle ufać, by zabrać go na pokład USS Wilkes-Barre, na głębokość 61 metrów, albo 15 metrów niżej, na dno oceanu,

gdzie stalowy kadłub krążownika górował nad nimi surrealistycznie, tętniąc podwodnym życiem.

Menduno był zafascynowany procedurami i metodologią, stosowaną przez elitarnych nurków, takich jak Billy Deans. Tego właśnie potrzebował, by wypełnić strony swojego czasopisma. Przeprowadził się do Key West. W wielu kwestiach polegał na Billym Deansie i wiedzy, jaką zdobył obserwując Deansa przy pracy. Ironią jest, że choć Menduno nie był nawet instruktorem nurkowania sportowego, dawał wykłady na temat sztuki nurkowania, nazwanego później technicznym. Nurkowie techniczni używali mieszanek gazowych, by zwiększyć bezpieczeństwo przy schodzeniu na dużą głębokość. Używali też nowego sprzętu, czasem samemu go tworząc, gdy standardowy sprzęt z półki wydawał im się nieadekwatny. Menduno sumiennie opisywał ewolucję sportu i przyspieszał ją.

Nurkowie techniczni nadal uczyli się kosztem śmierci zarówno nurków sportowych, jak i profesjonalistów. Z pewnością wiedza przedstawiana przez „AquaCorps” mogła komuś ocalić życie, ale nieuniknione zgony nurków, z których przebiegu zdawano sprawozdania w „AquaCorps”, prowadziły do tego, że wiele osób w świecie nurkowym postrzegало ekstremalne nurkowanie techniczne jako akt samobójczy. Nieprzypadkowo krytycy tych wczesnych prób mieli żywotny interes ekonomiczny w publicznym reklamowaniu nurkowania jako tak bezpiecznego, że mogłaby tego spróbować nawet twoja babcia. Zresztą nurkowanie do głębokości 9 metrów w ciepłej, przejrzystej wodzie faktycznie jest relatywnie bezpieczne i o wiele mniej wymagające niż eksplorowanie głębokiej jaskini albo U-Bootu, leżącego na głębokości 61 metrów. Nawet jednak pływanie w ciepłej wodzie, w towarzystwie, oznacza wkroczenie do obcego środowiska, wymagającego systemu podtrzymującego życie, tak więc również w tych relatywnie łagodnych warunkach nurkowie umierają. Czasem. Dzięki donośnemu głosowi „AquaCorps” fakty te nie zdryfowały ku zapomnieniu pod warstwę wodorostów.

Chris i Chrissy Rouse byli zafascynowani, słysząc opowieści weteranów nurkowania o licznych eksplorowanych przez nich wrakach. Opowieści te były podobne do tych, które marynarze snują o portach. Chrissy'emu przypominało to kolegów opowiadających o swoich ulubionych barach.

Chrissy rozpoczął pracę w Underwater World, centrum nurkowym w Horsham w Pensylwanii, w którym razem z ojcem przeszedł pierwszy kurs nurkowania. Mike'owi Guckenowi, właścicielowi centrum, podobały się skuteczne metody i pewność siebie, z jaką Chrissy naprawiał i serwisował sprzęt należący do centrum i automaty przynoszone przez klientów. Umiejętności Chrissy'ego i jego entuzjazm nie przenosiły się na jego pracę u ojca. Chociaż poświęcił dwa lata na szkolenie zawodowe, żeby zostać mechanikiem silników dieslowych, jeśli ojciec prosił go o znalezienie przyczyny usterki w wadliwie działającym sprzęcie należącym do ich firmy budowlanej, Chrissy nie potrafił obsługiwać nawet podstawowych urządzeń testujących. To doprowadzało Chrisa do szału. Chrissy twierdził, że nie potrafi wyregulować własnego samochodu i zawsze prosił o pomoc ojca. Bez wysiłku za to regulował automaty do oddychania, które musiały funkcjonować bezbłędnie, by utrzymać swoich właścicieli przy życiu, i reperował kamizelki, które zapobiegały opadnięciu nurków na dno morza pod ciężarem niesionego sprzętu. Wyglądało na to, że Chrissy chce zachować zależność od ojca.

Kiedy Rouse'owie wrócili z Ginnie Springs do domu w 1989 roku, byli już nurkami z pełną licencją jaskiniową (oznaczała ona, że mogli penetrować podwodne jaskinie na głębokości setek metrów, a nawet eksplorować całkiem nowe jaskinie i korytarze).

Chris i Chrissy przywieźli ze sobą sprzęt skonfigurowany w taki sposób, że większość nurków w kamieniołomie wznosiło brwi w zdumieniu i pogardzie. Rouse'owie kontynuowali nurkowanie w kamieniołomie w każdy weekend dla czystej przyjemności, jaką im to sprawiało, oraz po to, by utrzymać swoje umiejętności na odpowiednim poziomie. Wśród wielu instruktorów i kursantów, którzy przyjeżdżali do kamieniołomu na ostateczny najcięższy etap szkolenia, Rouse'owie wyróżniali się jak dwie świeże marchewki w słoiku z piklami. Gdy nurkowie, którzy widzieli Rouse'ów pływających pod wodą -poruszających nogami na zewnątrz i do środka, jak żaby, w doskonałym stylu przydatnym w nurkowaniu jaskiniowym - następowały nieuniknione uwagi:

- Widzieliście tych facetów z podwójnymi butlami? Muszą mieć poważne kłopoty z oddychaniem! Czemu pływają tak dziwnie?

Instruktorzy mieli kłopoty z tłumaczeniem zachowania Rouse'ów swoim

podopiecznym.

Jedną z technik pływackich, których nauczyli się podczas szkolenia jaskiniowego, była żabka. Rouse'owie posługiwali się nią teraz niemal wyłącznie: diametralnie różniła się od przemiennego kopania nogami w górę i w dół, czego na początku uczono każdego nurka. Płynąc żabką, Rouse'owie poruszali się horyzontalnie, z lekko opuszczonymi głowami i ugiętymi kolanami, tak że płetwy znajdowały się ponad ich głowami. Tradycyjna metoda skłania nurka do płynięcia w taki sposób, że jego nogi i stopy znajdują się poniżej klatki piersiowej. Wynika to z tego, że na lądzie w naturalnej pozycji nogi są niżej – do tego samego więc człowiek dąży pod wodą. Siła kopania w metodzie tradycyjnej skierowana jest na dół, co powoduje zmaczenie znacznej ilości osadu. Siła każdego kopnięcia jest tak duża, że z góry wygląda, jak bombardowanie z powietrza: za płynącym nurkiem w regularnych odstępach eksploduje osad w rozszerzających się kręgach, pozostawiając małe kratery. Właściwie wykonana żabka kieruje siłę uderzenia do góry, z dala od dna, co pozwala uniknąć zmaczenia osadu, a tym samym utraty widoczności.

Zwłaszcza Chrissy był doskonale świadom różnic między swoją techniką i sprzętem a techniką nurków z licencją na wody otwarte, w tym instruktorów, którzy pływali w kamieniołomie. Czuł się przez to obco, jak wówczas, gdy musiał chodzić na dodatkowe zajęcia wyrównawcze w szkole, a pozostałe dzieci się z niego śmiały. Dzięki szkoleniu nurkowania jaskiniowego Rouse'owie znaleźli się w czołówce współczesnego nurkowania sportowego, ale byli jedynymi osobami w kamieniołomie, które zdawały sobie z tego sprawę. Gdy ojciec i syn swobodnie pływali po kamieniołomie, doskonaląc swoje umiejętności, czuli się jak jedyne homo sapiens na lądzie, zamieszkanym przez neardentalczyków.

-Hej, tato - spytał kiedyś Chrissy, wynurzając się - zauważyłeś, że nawet instruktorzy mają straszną technikę?

Spoglądając na instruktora, który właśnie miał się zanurzyć ze swoimi kursantami, Chris odpowiedział:

-To ich wina, że tam na dole jest jak w kopalni. Nic dziwnego, że pod wodą nic nie widać.

Wtedy jakiś instruktor podpłynął do nich i krzyknął:

-Rany, chłopaki, nie za mało macie na sobie sprzętu?

W Chrissym aż się zagotowało. Widział z ojcem tego instruktora pod wodą. Ze swoją niezręczną, przestarzałą techniką gość byłby pośmiewiskiem w Ginnie Springs.

Chrissy jęknął zdegustowany.

Chris Rouse był dumny, że zapewnił swojemu synowi najlepsze szkolenie nurkowe i sprzętowe, jakie istniało, ale czuł rozczarowanie, że nurkowie -a zwłaszcza instruktorzy - traktują ich jak kosmitów. Najwyraźniej w tym miejscu, w odróżnieniu od Ginnie Springs, zawsze mieli być dziwakami. Naprawdę szkoda. Chris lubił tu przyjeżdżać ze swoją rodziną. Kamieniołom był świetnym miejscem do szlifowania umiejętności nurkowych, jeśli akurat nie mogli jechać gdzie indziej. Zapewniało też wygodne, kontrolowane środowisko, w którym można było testować nowy, modyfikowany albo ostatnio regulowany sprzęt. Chris odwrócił się do syna i powiedział cicho:

-Chodźmy coś zjeść. Mama pewnie już rozpałała pod grillem.

Unikając tłumu instruktorów i studentów, gromadzących się na pływających pomostach, obaj mężczyźni popłynęli do brzegu.

W 1987 roku zanim jeszcze Michael Menduno zaczął wydawać „AquaCorps” i na rok przed tym, jak Rouse'owie przeszli swój pierwszy kurs, w jaskiniach Wakulla Springs na północnej Florydzie odbyła się najambitniejsza ekspedycja nurków sportowych, o jakiej słyszano. Czysta woda wypływająca ze źródeł od dawna wabiła turystów, którzy sunęli w łodziach ze szklanym dnem nad czarną, ziejącą dziurą, szeroką na 91 metrów i głęboką na 61 - wejściem do jaskiń Wakulla Springs.

Nurkowie przelotnie zapuszczali się do tych jaskiń w 1930 roku, ale mimo że odkryli kości z plejstocenu i kompletny szkielet mamuta, ich nieporęczne twarde hełmy i powietrze doprowadzane z powierzchni uniemożliwiły dalszą, poważną eksplorację systemu jaskiń. W latach pięćdziesiątych grupa studentów ze Stanowego

Uniwersytetu na Florydzie użyła wprowadzonego właśnie na rynek automatu do nurkowania Jacquesa Cousteau, aby kontynuować poszukiwania tam, gdzie przerwali je nurkowie w sztywnych hełmach. Dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych dr Bill Stone, były kandydat na astronauce, postanowił sporządzić mapę przestronnego kompleksu tuneli, znajdujących się poza czarną dziurą, która prowadziła do Wakulli.

Stone z rekrutował grupę elitarnych nurków jaskiniowych, aby połączonym wysiłkiem odkryć tajemnice źródeł. Zabrali ze sobą ciężarówki wypełnione olbrzymimi butlami z różnymi gazami do oddychania, z których Stone i jego grupa robili później mieszanki na długie eksploracje na głębokości 91 metrów, a czasem nawet głębsze. Aby pomóc nurkom w wydajnym pokonywaniu odległości, grupa Stone'a miała używać skuterów przypominających torpedy. Skutery te miały być również pomocne przy transportowaniu rozmaitych butli, oprócz tych, które nosili na sobie. Czasem na jednego nurka przypadało nawet siedem butli.

Po tak głębokich nurkowaniach grupa penetrująca jaskinie Wakulla musiała czasem poświęcić nawet do trzydziestu godzin na dekompresję. Mimo że woda miała temperaturę około 20 stopni C, nurkowie przebywający w niej przez tak długi okres narażeni byli na hipotermię. Ponadto badania przeprowadzone przez ekspertów, takich jak dr Bill Hamilton, ujawniły, że nurkom groziła choroba ciśnieniowa, jeśli przestrzegali odpowiedniej diety i poziomu płynów. Jedzenie i picie podczas dekompresji było kwestią zasadniczą - bez tego ciało nie mogło funkcjonować jak dobrze naoliwiona maszyna ani pozbyć się obojętnego gazu nim uformują się bolesne pęcherzyki. Rozwiązaniem Stone'a był przestronny, cylindryczny, wypełniony gazem habitat. Wyglądał jak zanurzony pod wodą siatek kosmiczny z filmów science fiction. Nurkowie wchodzili do niego przez otwarte dno i siedzieli na ławkach podczas dekompresji jedząc, pijąc i żartując z kolegami, żeby jakoś zabić czas. Stone zainstalował nawet dwa telefony, żeby nurkowie mogli się skontaktować z grupą wsparcia na powierzchni. Habitat był tak skonstruowany, że nurkowie wchodzili do niego na głębokości 18 metrów, po czym stopniowo wznoszono go na wszystkie konieczne przystanki dekompresyjne.

Mimo stosunkowo spokojnej wody w źródle, natura miała swój własny plan dla habitatu Stone'a. Stone jako inżynier głowił się nad stronami pełnymi wyliczeń, by wymyślić jakiś sposób bezpiecznego zakotwiczenia habitatu na każdej głębokości. Ponieważ miał on być wypełniony gazem, jego pływalność byłaby dodatnia i miałby naturalną skłonność do wystrzelenia jak balon ku powierzchni. Nawet łańcuchy i kable mocujące habitat do dna nie mogły się równać z potężnymi siłami wyporu i pękłyby jak sznurek. Kable mogły zabezpieczyć habitat przed zdryfowaniem z

prądem źródła, ale Stone nie wierzył, by cokolwiek poza ołowianym ciężarem zdołało zdjąć obciążenie z kabli i nie pozwoliło utrzymać habitatu na pożądanej głębokości. Według jego obliczeń potrzebne było około 8636 kg, by zrównoważyć siłę wyporu gazu znajdującego się w habitacie. Jak się okazało potrzebował dodatkowych 909 kg.

Wakulla Springs, ambitny projekt Billa Stone'a, był manifestacją jego wizji, - choć wielu nazwałoby to raczej obsesją - zbudowania samowystarczalnego aparatu podtrzymującego życie. Aparat taki pozwoliłby na dwudziestoczęterogodzinne nurkowanie na jednej jednostce, umożliwiając przełączanie się z jednego gazu na drugi. Zwykle nurek musiał zabierać ze sobą przynajmniej jedną butlę z przymocowanym automatem dla każdego gazu i zmiana butli wiązała się ze zmianą automatu. Wymagało to znacznej koncentracji, jak również dokładnego oznakowania zawartości każdej butli przed nurkowaniem i właściwego umiejscowienia ich na ciele nurka albo w jaskini. Nawet wtedy jednak zdarzały się błędy i czasem nurkowie przez pomyłkę przełączali się na niewłaściwy automat, oddychali gazem toksycznym na danej głębokości i tonęli. Takim wypadkom zapobiec mógł rebreather. Rebreather to system, która wykorzystuje wydychany przez nurka gaz i ponownie wprowadza go do układu oddechowego, wydłużając czas, w jakim dany gaz jest bezpieczny dla człowieka. Standardowy automat pozbywa się do wody wydychanego gazu - w tym dwutlenku węgla, śmiertelnego produktu ubocznego oddychania - a ilość czasu, jaki nurek może spędzić pod wodą, jest ograniczona liczbą butli, które jest w stanie zabrać.

Rebreather używał granulek chemicznych do absorbowania albo oczyszczania wydychanego gazu. Pomysł Stone'a nie był nowy. Rebreathery były znane od 1880 roku, kiedy to Anglik, Henry Fleuss, wynalazł urządzenie pomocne przy ratowaniu uwięzionych górników. Wkrótce rebreathery weszły do powszechnego użytku w podwodnej eksploracji, a potem zainteresowali się nimi wojskowi na całym świecie. Nowatorski był jednak plan Stone'a, który zakładał zbudowanie systemów zapasowych dla wszystkich newralgicznych elementów rebreathera oraz wykorzystanie technologii mikrochipowej do skomputeryzowania jednostki. Pierwsze rebreathery wykorzystywały tylko jeden gaz - tlen, który miał tę zaletę, że

łatwo było go wydzielić z dwutlenku węgla i pozwalał na największy margines błędu, bo nie musiał być całkowicie oczyszczony z dwutlenku węgla. Użycie czystego tlenu ograniczało jednak nurków do głębokości 18 metrów, gdzie mogli bardzo krótko przebywać. Gdyby pozostali pod wodą zbyt długo albo zeszli zbyt głęboko, ryzykowali, że wystąpią u nich objawy toksyczności tlenu i utoną. Z kolei powietrze, zawierające zaledwie 21 procent tlenu, pozwalało nurkować głębiej, ale nie zostawiało odpowiednio dużego marginesu na błąd w czasie procesu oczyszczania.

Wizja Stone'a zakładała powstanie jednostki, która wykorzystywałaby różne gazy, w oparciu o procesory komputerowe i sensory, mierzące zawartość procentową każdego gazu w miksie, a następnie dopasowywała miksy do głębokości według zaprogramowanych instrukcji. Na przykład, gdy nurek zszedł głębiej, procent tlenu w jego miksie oddechowym zostałby zredukowany, aby zapobiec wystąpieniu objawów spowodowanych toksycznością tlenu. Paradoksalnie, choć procentowa zawartość tlenu w mieszance oddechowej została zmniejszona, ciśnienie wywierane na nurka - a więc również na gaz, którym on oddychał - oznaczało, że ciśnienie wywierane przez indywidualne składniki wdychanego gazu, w tym tlenu, zwiększało się ze wzrostem głębokości czyniąc z gazu jego mocniejszą, bardziej stężoną wersję.

Bill Stone nazwał swój rebreather Cis-Lunar MK-1. Stone, który pracował na pełen etat jako inżynier, budził się zwykle o piątej nad ranem i pracował nad swoim projektem przed wyjściem z domu. Po powrocie z pracy ponownie zabierał się za rebreather, przerywając tylko po to, by coś zjeść albo wziąć prysznic. Kiedy około północy padał już ze zmęczenia, szedł do łóżka i śnił o swoim urządzeniu. Długie godziny spędzone obsesyjnie nad MK-1 odbiły się na jego małżeństwie - żona opuściła go, zabierając ze sobą dzieci. Stone kontynuował pracę, dopóki nie stworzył prototypu MK-1 gotowego do testów w czasie projektu Wakulla Springs. Masywna 72-kilogramowa jednostka przypominała instalację z kiepskich filmów science fiction z lat pięćdziesiątych: dwa potężne, cylindryczne zbiorniki do oczyszczania i kilka zwykłych butli umieszczało się na plecach nurka, z przodu znajdowały się dwa ogromne wodoodporne komputery i wyświetlacze czujników. Mimo to działała. Zarówno pod wodą, jak i w habitacie dekompresyjnym, Stone mógł nieprzerwanie oddychać z MK-1 przez dwadzieścia cztery godziny.

Projekt Wakulla Springs trwał kilka miesięcy, włączając konstrukcję, a potem rozmontowanie habitatu. Uczestniczący w nim nurkowie, w tym Sheck Exley, spenetrowali system na głębokości setek metrów, tworząc rozległe mapy przestrzennych tuneli i jaskiń, przez które przepływali na swoich skuterach. Tworząc mapy systemu jaskiniowego dotarli do głębokości 109 metrów. Jeden z wewnętrznych telefonów w habitacie służył głównie do składania zamówień obiadowych, które zresztą nurkowie wspomagający dostarczali, drugi, telefon awaryjny, przeznaczony był do wezwania pomocy na wypadek gdyby u nurka wystąpiły objawy choroby ciśnieniowej. Drugi telefon nigdy nie został użyty. Stone był jednak przygotowany na taką ewentualność. Przy radykalnie długim nurkowaniu i stosowaniu mieszanek oddechowych nurkowie potrzebowali konsultacji z wieloma ekspertami od dekompresji. Do ekspertów tych należał także dr Bill Hamilton, który zawsze był uchwytany pod telefonem, gotów przyjechać i pomóc cierpiącemu nurkowi, stosując podwodną kurację. Nurek z poważnymi objawami choroby ciśnieniowej, który spróbowałby się wynurzyć z głębokości 109 metrów na powierzchnię, zginąłby z pewnością zanim by nawet do niej dotarł.

Michael Menduno zwykł nazywać ekspedycję Wakulla Wielkim Początkiem nurkowania sportowego. Uczestnikom projektu udało się zachować czystą kartę, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, a dzięki tabelom nurkowym Hamiltona i jego kolegów obyło się bez przypadków wystąpienia choroby ciśnieniowej. Wszyscy nurkowie jaskiniowi czuli się dumni, że elitarnym nurkom Stone'a udało się dokonać pionierskiego osiągnięcia, godnego jakiegokolwiek operacji wojskowej czy komercyjnej. W Wakulla Springs Bill Stone i jego nurkowie wytyczyli ścieżkę ku znacznie dalszym, głębszym eksploracjom jaskiń niż te, których dokonano wcześniej. Opowieści o udanej ekspedycji Wakulla rozprzestrzeniały się w pierwszej kolejności wśród samych nurków jaskiniowych. Nurkowie, którzy wzięli w niej udział, na swój cichy nurkowo-jaskiniowy sposób zyskali status gwiazd. Producenci oferowali im nawet sprzęt nurkowy, aby wszyscy mogli zobaczyć, że najlepsi nurkowie używają marki X.

Dwa lata później, Rouse'owie, słysząc o legendarnych wyprawach Stone'a, poczuli fascynację, zazdrość i determinację, by zdobyć renomę, nurkując bardzo głęboko.

W jaskiniach, nurek mógł być Tezeuszem. Mógł nurkować w labiryncie, opanować bestię i wyjść na powierzchnię jako zwycięzca. Ale w głębinach otwartego morza mógł penetrować mityczny podwodny świat i jak Eneasza albo Ulisesa, powrócić do słonecznego królestwa jako bohater, obwieszony trofeami i mądrzejszy.

Rozmawiając z nurkami, którzy eksplorowali wraki na północnym wschodzie USA od lat pięćdziesiątych, Chris usłyszał wiele wspaniałych opowieści o statkach-widmach oraz o ich ładunku i wyposażeniu. Iluminatory, dzwony statków, talerze porcelanowe i srebro miały ponoć wylewać się z nich niczym ze skrzyni skarbów. Chris przyglądał się artefaktom wydobytym w ciągu wielu lat, wystawianym teraz w różnych centrach nurkowych. Niektóre wystawiały nawet jako trofea olbrzymie homary z ich ogromnymi szczypcami. Chris spotkał weteranów nurkowania, którzy pokazując zakrzywiony palec albo kciuk opowiadali mu o swojej podmorskiej bitwie z ogromnym skorupiakiem, bezlitośnie miażdżącym palec ręki, która usiłowała go pochwycić. Przemądrzałym, konspiracyjnym tonem ostrzegali Chrisa:

- Pewnie, że boli, jak cię taki robał złapie, ale wyobraź sobie, co by było, gdyby chwycił jeden z twoich węży!

Chris pomyślał, że schwywanie jednego z takich przysmaków byłoby z pewnością prawdziwą przygodą. Mnóstwo łodzi regularnie pływało wzdłuż wschodniego wybrzeża. Ocean wydawał się Chrisowi otwartą skrzynią ze skarbami, czekającą, by ją opróżnić.

Z historiami o artefaktach i homarach wciąż dźwięczącymi im w uszach Rouse'owie załadowali swój kilkuset kilogramowy sprzęt nurkowy do wana i wyjechali o 2 nad ranem 11 czerwca 1989 roku z Revere w Pensylwanii, aby dostarczyć sprzęt na czarterową łódź nurkową Boba Burnsa, „Dina Dee”, przed jej wypłynięciem o 6 rano z portu Brielle w New Jersey. Zmierzali ku Mohawk, parowcowi pasażerskiemu, który zatonął w wyniku kolizji w 1935 roku. Parowiec zatonął w stosunkowo płytkiej wodzie - piaszczyste dno znajdowało się zaledwie 18 metrów poniżej powierzchni - i wkrótce wrak podniósł się na tyle blisko powierzchni, że zaczął stanowić zagrożenie dla nawigacji i został wysadzony przez Straż Przybrzeżną. Eksplozja rozrzuciła szczątki kadłuba w chaotycznym nieładzie po całym dniu. W drodze na wrak wielu pasażerów cierpiało na chorobę morską i jęczało boleśnie, wymiotując przez burty.

Żołądki Rouse'ów wzbierały od mdłości i nerwowego oczekiwania: obaj z trudem powstrzymywali się przed dołączeniem do innych nurków, wymiotujących przez reling. Gdy zeszli na głębokość 6 metrów w pofalowane wody Atlantyku, mdłości ustąpiły i mogli się skoncentrować na tym, co widzieli pod wodą. Gdy zbliżyli się do dna, w zasięgu ich wzroku pojawiło się podwodne złomowisko. Płyty ze stalowego kadłuba wraku leżały pomieszane i pogięte w różne dziwne kształty, rozrzucone tak daleko jak sięgało oko ludzkie, w przypadku tego konkretnego nurkowania na odległość w najlepszym razie sześciu metrów. Ciemnozielona woda potęgowała surrealizm scenerii. Ich podwodne latarki, zasilane bateriami podobnymi do akumulatorów motocyklowych, rzucały intensywne światło na zamazane kształty przed nimi. Wszystko, co znajdowało się poza odległością 6 metrów, ginęło za ciemną kurtyną. Wokół tętniło morskie życie, ryby zdawały się tańczyć w świetle i poza nim, w choreografii opracowanej przez niewidzialnego podwodnego dramaturga. Gdy tylko Chris albo Chrissy zbliżali się do homara, czającego się pod stalową płytą kadłuba, ten buntowniczo opuszczał płytę, wznosząc otwarte kleszcze w ich kierunku, gotów zmiażdżyć wydechających bąbelki intruzów. Jeśli Chris albo Chrissy zbliżyli się, świecąc w niego latarkami, nieuchwytny skorupiak wycofywał się do wraku i wciskał do swojej jamy z groźnie wyciągniętymi kleszczami. Złapanie homara ręką nie było łatwe. Tymczasem ich niemal czterdziestominutowe nurkowanie dobiegło końca. Podpłynęli więc do liny kotwicznej opuszczonej z łodzi nurkowej i wynurzyli się. Byli podnieceni. Odkryli całkiem nowy świat, ledwie go tylko dotykając. Ich podwodne doświadczenie i emocje po nurkowaniu żywo kontrastowały z niemiłym uczuciem w żołądku przed zejściem pod wodę. Sam Pawłów nie wynalazłby lepiej stymulującej maszyny.

Po kilku tygodniach, które spędzili nurkując na wraki przy wybrzeżu New Jersey, Chris zaproponował przy obiedzie, by całą trójką wybrali się na Karaiby, na wyspę Saba, na wycieczkę nurkową z oferty Underwater World. Ponieważ mieli tam zamieszkać na luksusowej łodzi nurkowej, bez większego wysiłku mogli przeprowadzić dużo łatwych nurkowań w krótkich odstępach czasu. Na tych całkiem nowych dla nich wodach nie byłiby ograniczeni jaskinią ani ścianą kamieniołomu. W ciepłych, spokojnych wodach Karaibów członkowie załogi łodzi nurkowej nie

tylko pomagali nurkom w zakładaniu sprzętu przed każdym nurkowaniem, ale również wymieniali zużyte butle między nurkowaniami i przyczepiali do upręży pełne. Zamiast tracić czas na wymianę zbiorników Rouse'owie mogli swobodnie jeść i pić, korzystając z obfitego poczęstunku przygotowanego przez kucharza okrętowego. Czuli się jak nurkująca arystokracja.

- To bije na łeb rejsy łodzią na wraki z Jersey, gdzie rzuca tobą na prawo i lewo - powiedział Chrissy rodzicom. - Boże, w życiu bym nie pomyślał, że istnieje łódź, na której ludzie nie dostają choroby morskiej!

* * *

Gdy Chris leciał swoim małym samolotem nad Pensylwanią, mógł tylko zdumiewać się nad swoją dobrą passą. Był swoim własnym szefem, miał kochającą żonę i syna i, co niemal równie ważne, czas i pieniądze, aby nurkować z automatem ze swoją rodziną, podziwiać krajobrazy i doświadczać przeżyć, których większość ludzi nie mogła sobie nawet wyobrazić. Rouse'owie wiele zainwestowali w ciężką pracę. Sukces firmy budowlanej Chrisa umożliwił budowę ładnego, niewielkiego domu, zakup własnego kawałka ziemi, samolotu i garażu pełnego sprzętu do nurkowania oraz ciężkich maszyn koniecznych do prowadzenia interesu. Ale Chris nie mógł uciec przed prawem grawitacji i w końcu musiał zejść na ziemię.

Gdy motor krajowej gospodarki zakrztusił się w rezultacie krachu na giełdzie w 1987 roku, na życiu Chrisa odbiła się recesja. Już w 1990 roku jego klienci byli mniej skłonni do budowania sobie nowego basenu, naprawy podjazdu albo rozbudowy posiadłości, którą można było odłożyć na stabilniejsze pod względem gospodarczym czasy. Chris odkrył- że zapotrzebowanie na jego usługi dramatycznie spadło i pojawiły się kłopoty finansowe. O własnej firmie budowlanej marzył już od dzieciństwa, kiedy jeżdżąc po błocie małymi ciężarówkami obwieszczał starszemu bratu:

-Czy nie byłoby świetnie mieć własną firmę budowlaną? Nazwiemy ją Przedsiębiorstwem Budowlanym Braci Rouse!

Jego brat już dawno pozbył się marzenia na rzecz spokojnej pracy za biurkiem -

„normalnej pracy”, jak lubili przypominać Chrisowi rodzice - i teraz Chris zaczął się zastanawiać, czy na pewno dokonał słusznego wyboru. Choć on i Sue mieli jakieś oszczędności, nigdy nie wiedział, kiedy znów trafi się płatne zlecenie i kiedy wreszcie osiągną etap, gdy można zapłacić wszystkie rachunki, utrzymać maszyny i kupić wreszcie drogi sprzęt do nurkowania, o jakim marzyli. Wkrótce nadszedł czas, gdy Chris musiał podjąć trudne decyzje. Z braku pieniędzy uziemił swój samolot. Odtąd stał on owinięty na lądowisku, porzucony z braku pieniędzy.

W miarę jak coraz mniej było zamówień budowlanych Chris przez większą część dnia zajmował się wymianą zużytych hamulców, sprzęgieł, opon, zmianą oleju i płynu hydraulicznego, tuningiem potężnych silników buldożerów i wywrotek.

Zwierzył się Sue, że sprawy nie mają się najlepiej. Jak zdołają się utrzymać, jeśli nic się nie ruszy w interesie?

-Chris, nie zamartwiaj się - uspokajała go Sue. - Wszystko dobrze się ułoży. Zawsze razem ciężko pracowaliśmy i jakoś się wszystko układało.

Chris nie był pewien.

-Może pora pomyśleć o czymś poza przemysłem budowlanym - powiedział.

Sprzedził samolot.

-To naprawdę boli - zwierzył się Johnowi Reekiemu. - No, ale przynajmniej będę mógł spłacić rachunki i dalej nurkować!

Reekie, sam mając kłopoty ze swoją firmą dekarską, świetnie rozumiał, jak ciężko było Chrisowi:

-Przynajmniej dostałeś pieniądze za samolot, Chris. Ale skąd weźmiesz pieniądze, kiedy te się skończą?

-Chyba wezmę się za interes nurkowy - odpowiedział podekscytowanym tonem. - Kocham nurkowanie. Musi być jakiś sposób, żeby dzięki temu zarobić. Zacznę naprawiać skutery i produkować części na sprzedaż.

Chris już wcześniej musiał stawiać czoła trudnym okolicznościom - pokonał je dzięki charakterowi i fizycznej determinacji. Pewnego popołudnia w 1980 roku, gdy Rouse'owie byli jeszcze w trakcie rozbudowy swojej firmy i mieszkali w przyczepie, Chris poszedł do warsztatu znajdującego się w stodole niedaleko od domu i zaczął podgrzewać obudowę cylindra hydraulicznego buldożera, żeby móc ją zdjąć i

zreperować urządzenie. Wiedział, że musi uważać, ponieważ płyn hydrauliczny i smar na obudowie były łatwopalne. Nie miał jednak innego wyjścia: oprawa była tak ciasna, że jedynym sposobem poluzowania jej było poddanie jej działaniu wysokiej temperatury ze spawarki. Na początku wszystko szło według planu. Nagle, bez ostrzeżenia, cylinder eksplodował rozrzucając maszyny, fragmenty metalu i narzędzia po całym warsztacie. Chrisa odrzuciło na drugą stronę pomieszczenia, gdzie tak mocno uderzył w ścianę, że stracił przytomność. Eksplozję stłumiły grube, drewniane ściany.

Chris obudził się, czując rozdzierający ból na twarzy i obu rękach. Oszołomiony bólem, zacisnął zęby i pomału dotarł do domu. Gdy dziesięcioletni Chrissy otworzył drzwi, zamarł z przerażenia na jego widok. Twarz i ręce były masą czarnej pomarszczonej skóry, a w powietrzu unosił się dziwny mdlący zapach spalonych włosów i ciała.

-Tato, co się stało? - krzyknął.

-Miałem wypadek, synu. Zadzwoń do sąsiada i sprowadź Henry'ego -powiedział Chris, między stęknieniami bólu. Udało mu się jakoś wejść przez drzwi, po czym runął na podłogę z bolesnym krzykiem. - Pośpiesz się Chrissy! Boli mnie!

Chrissy podbiegi do telefonu i zadzwonił do sąsiada, który przyjechał kilka minut później. Spojrzał pobieżnie na twarz Chrisa i natychmiast zabrał obu Rouse'ów do swojej ciężarówki. Gdy cała trójka pędziła błotnistą drogą Rouse'ów w stronę domu Henry'ego, Chris jęczał z bólu za każdym razem, gdy ciężarówka podskakiwała na wyboistej nawierzchni.

Żona Henry'ego wyszła na spotkanie całej trójki. Natychmiast zajęła się Chrissym, dodając mu otuchy. Jej młodsze dzieci patrzyły rozszerzonymi oczami, jak Chrisa wnoszono do łazienki. Henry zajął się odcinaniem warstw ubrania od ciała Chrisa, a jego żona i Chrissy przynieśli tyle lodu z lodówki, ile tylko zdołali udźwignąć. Henry napełnił wannę zimną wodą i wszyscy wrzucili do niej lód. Chris został położony w wannie. Woda i lód ochłodziły jego rozpalone ciało i twarz i krzyknął z bólu spowodowanego tą ekstremalną temperaturą. Jego ręce pokrywały teraz krwawe, czarne zlepki ciała. Brwi i rzęsy były spalone, tak samo włosy.

Żona Henry'ego zadzwoniła do Sue, która pracowała jako kelnerka, pomagając

rodzinie w płaceniu rachunków. Poinformowała ją o tym, co przytrafiło się Chrisowi oraz że zabierają go na izbę przyjęć i że tam się spotkają. W swoim szpitalnym pokoju Chris patrzył na zdenerwowaną żonę spod warstwy bandaży, którymi owinięto jego głowę. Nie mógł jej nawet dotknąć przez grubą warstwę gazy, którą nałożono na jego ręce i ramiona.

Kiedy w nocy Sue wróciła do domu, po tym jak odebrała Chrissy'ego z domu Henry'ego, zarówno matka jak i syn byli wstrząśnięci.

-Czy tata wyzdrowieje? - spytał Chrissy z płaczem. Sue wzięła głęboki oddech i przytuliła swoje dziecko.

-Musimy tacie pomóc, kiedy wróci do domu. Nie może ruszać rękami i wszystko bardzo go boli.

Chrissy spojrzał na matkę zasmuconymi brązowymi oczami.

-Pomogę, mamó. Chcę, żeby tata wyzdrowiał.

Kiedy dwa dni później Chrisa zwolniono ze szpitala, wrócił do domu jako inwalida wymagający bezustannej opieki. Ból zagłuszały jedynie regularnie zażywane dawki mocnych środków przeciwbólowych, które odrętwiały ciało i umysł. Potrzebował również antybiotyków, które zapobiegały rozległej infekcji jego oparzeń pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia. Chrissy był już na tyle duży, że umiał odczytać godzinę i Sue narysowała mu ogromny zegar na kartce, z którego jasno wynikało, jakie pigułki Chris powinien zażywać i o której godzinie. Ustawiła sobie zmiany w pracy w taki sposób, że albo ona, albo Chrissy byli przy Chrisie cały czas. Starszy Rouse leżał w łóżku, posłusznie łykając wszystkie lekarstwa, jakie żona lub syn wkładali mu do ust. Chrisowi trzeba też było pomagać przy czynnościach fizjologicznych i rodzina to robiła. Mając dziesięć lat Chrissy przekonał się, że jego ojciec może potrzebować pomocy i że nie zawsze jest silny. Dotąd to jemu ojciec zawsze pomagał, ale teraz dziecko było ojcem dla mężczyzny. Świat Chrissy'ego uległ dramatycznej zmianie. Dezorientowało go to i przerażało.

Po dwóch miesiącach Chris wrócił do zdrowia i do pracy, a trzy lata później rozpoczął budowę domu. Gdy Chrissy pomagał rodzicom przy jego budowie, znów zobaczył silnego ojca. Wszystko wróciło do normy.

Jako młody, prawie dwudziestoletni absolwent szkoły średniej, który nie poszedł na

studia, Chrissy był wyluzowany i beztroski. Ale w środku wiedział, jak kruchy jest jego świat i jak łatwo może się odmienić w jednej chwili. Tak jak kiedyś potrzebował go ojciec, tak teraz on potrzebował wsparcia ojca i z oporem myślał o prawdziwej niezależności. Przez długi czas mieszkał w domu rodziców. Seria drobnych stłuczek sprawiła, że miał długi u rodziców, którzy zawsze besztali go za wypadki, ale mimo to dawali pieniądze na kupno następnego samochodu i opłacenie wyższych stawek ubezpieczenia.

Chris i Sue jeździli z Chrissym wystarczająco często, by zauważyć, że jego uwaga podczas jazdy często odrywa się od drogi. Pewnego razu, gdy Sue była pasażerem, całkowicie przekręcił głowę w jej stronę, żeby na nią spojrzeć i porozmawiać.

Zauważyła, że całą uwagę skupił teraz na niej zamiast tylko zerkać w jej kierunku. Wyglądało na to, że Chrissy zupełnie zapomniał o krętej drodze wiejskiej, na której się znajdowali.

-Chrissy, patrz na drogę! - krzyknęła zaniepokojona Sue. Zauważyła również, że uwaga jej syna przerzuca się całkowicie na radio albo taśmę, kiedy chciał zmienić muzykę. Choć budziło to w niej przerażenie, miała nadzieję, że zachowanie Chrissy'ego jest tylko oznaką braku doświadczenia u młodego kierowcy, a nie problemów chłopca, u którego nadal występują objawy zespołu zaburzeń uwagi. Po jego stłuczkach samochodowych rodzice mieli nadzieję, że ich synem dostatecznie wstrząsnęło i że odtąd będzie zwracał baczniejszą uwagę na konieczność koncentracji w czasie prowadzenia samochodu.

Chrissy bagatelizował swoje stłuczki, traktując je jako dzieło przypadku, coś, co mogło przydarzyć się każdemu. Jego zblazowana postawa i poczucie, że wszystko mu się należy, irytowały ojca. Gdy Chris był w tym wieku, miał już dwuletniego syna, a teraz jego potargany syn cieszył się wolnością, jakiej jemu samemu nie dane było zakosztować.

Nawet sposób, w jaki Chrissy dobierał sobie przyjaciół odzwierciedlał jego beztroskie nastawienie i zależność od starszych osób, przypominających mu ojca. Dwóch kumpli Chrissy'ego: Tim Stumpf i Paul Curtin było starszych od niego o dziesięć lat. Stumpf był już rozwiedziony, a małżeństwo Curtina właśnie się rozpadało. Obaj starsi mężczyźni mieszkali w domu Tima, niedaleko, Underwater

World, w którym obaj pracowali. Tim i Paul próbowali agresywnie nadrobić czas, który w swoim odczuciu stracili w małżeństwie. Dom Tima był jak dom bractwa, do którego ludzie wchodzą i wychodzą o każdej porze i gdzie odbywają się szalone przyjęcia w piątkowe i sobotnie wieczory.

Tim i Paul lubili otwartość Chrissy'ego i bawiła ich jego niewinność. Obaj postanowili zdobyć dla niego fałszywe dowody tożsamości, aby mógł dołączyć do nich w miejscowych barach, gdzie wpuszczano osoby powyżej dwudziestego pierwszego roku życia. Chrissy czuł się swobodnie wśród kumpli od nurkowania i chętnie legitymował się fałszywym dowodem, żeby wybrać się z nimi na piwo. Pewnej nocy, na początku ich przyjaźni, po kilku wypitych przez Chrissy'ego piwach, Tim i Paul wymienili porozumiewawcze spojrzenia i zasugerowali, że nadeszła pora, by Chrissy poznał jakieś dziewczyny.

- Jasne, piszę się na to! - powiedział z szerokim uśmiechem Chrissy. Śmiało podszedł do dziewczyny, która, jak wszyscy trzej się zgodzili, była atrakcyjna. Z pewnej odległości Tim i Paul obserwowali, jak Chrissy prowadzi ożywioną rozmowę.

- No cóż, ma z pewnością właściwe podejście - powiedział Tim. - Tak, na pewno nie jest nieśmiały - zgodził się Paul. Wkrótce Chrissy wrócił do przyjaciół.

- No, co się stało? - spytał Tim. - Dała ci swój numer telefonu?

- Nic. Ma chłopaka - powiedział Chrissy.

Tim i Paul przyznali, że to zwykły pech. Natychmiast wskazali Chrissy'emu inną kobietę i znów Chrissy zanurkował w nieznanne. Ale w miarę upływu czasu wydawało się, że Chrissy nie robi żadnych postępów z kobietami, z którymi usiłował się umówić.

- Chrissy, niemożliwe, żeby każda z tych dziewczyn miała chłopaka! - wykrzyknął Paul. - Większość z nich widzieliśmy w tym miejscu z Timem już wiele razy i prawie nigdy nie towarzyszyli im faceci. Co ty im tak w ogóle mówisz?

- No, sam nie wiem. ale wygląda na to, że nie za bardzo interesuje je nurkowanie - odpowiedział Chrissy.

- Nurkowanie? - parsknął Tim.

- Rozmawiasz z nimi o nurkowaniu? - spytał Paul.

- Jasne. O czym innym mielibyśmy rozmawiać?

Tim i Paul wspólnie uznali, że Chrissy'emu potrzeba kilka dobrych rad. Z pomocą starszych mężczyzn i dzięki swojemu naturalnemu urokowi Chrissy wkrótce zaczął z powodzeniem spotykać się z kobietami.

Ponieważ dom Tima leżał w dogodnej odległości od Underwater World, Chrissy zaczął spędzać tam coraz więcej czasu, nocując tam po przyjęciach i wypadach do miejscowych barów. Mimo że Chrissy próbował wprowadzić do swoich rozmów z kobietami inne tematy niż nurkowanie, nadal zajmowało ono w nich ważną rolę. Ale w centrum nurkowym i na kursach było wiele kobiet, które tylko czekały, by Chrissy je poznał. Większość dziewczyn, które pojawiały się na przyjęciach Tima było nurkami i zwykle Tim, Paul i Chrissy poznawali je w Underwater World. Mimo szczerej, prowokowanej wypitym piwem, chęci podrywania kobiet w barach, Chrissy odnosił większe sukcesy, gdy kobiety dzieliły jego pasję nurkowania.

- Bernie, zabiłbym za nurkowanie na „Dorię”, tak jak wy to robiliście -powiedział mi Chris Rouse, kiedy zadzwoniłem do niego w lecie 1990 roku, zachęcony przez Steve'a Bermana. Każdy, kto nurkuje na Północnym Atlantyku, musi w końcu zainteresować się wrakiem, który tak wyróżnia się wśród innych. Luksusowy włoski liniowiec „Andrea Doria”, wspaniały i niebezpieczny kadłub statku, który nazywano „Mount Everestem nurkowania z automatem”, od kiedy zatonął w 1956 roku jakieś 85 mil od Nantucket.

„Doria” nie była może najszybsza z liniowców oceanicznych, ale była za to pływającym pomnikiem sztuki włoskich artystów. Dzieła sztuki zamówione dla statku i szlachetne linie zyskały „Dorii” tytuł „Wielkiej Damy Mórz”. Pod względem estetycznym, w porównaniu z topornymi przypominającymi pudełka statkami, była jak Ferrari przy śmieciarce. W nocy 25 lipca 1956 roku podczas swojego setnego rejsu przez Atlantyk zderzyła się z innym liniowcem oceanicznym - „Stockholmem”. Oba statki widziały się na radarze, gdy dzieliło je 17 mil morskich i potwierdziły swoją pozycję przez radio. Ale we mgle, która otaczała wybrzeże Nantucket, „Stockholm”, który miał wzmocniony dziób, przeciął burtę włoskiego liniowca. Pięćdziesiąt sześć osób straciło życie podczas tej kolizji. Gdy „Stockholm” zaczął się cofać, tony wody wdarły się do ziejącej dziury w burcie „Andrea Dorii” i luksusowy liniowiec natychmiast zaczął nabierać wody. Kapitan wydał rozkaz opuszczenia

statku, inne jednostki przybyły na pomoc tonącemu liniowcowi i zdołały uratować większość pasażerów i załogi. Sam „Stockholm” ocalał wielu pasażerów statku, który staranował.

Tonięcie „Dorii” było na tyle wolne, że fotoreporterzy i ekipy telewizyjne mogły wynająć samoloty, które potem latały wokół śmiertelnie ugodzonego statku, utrwalając każdą chwilę jego agonii w czasie, gdy przewracał się na bok i tonął. W powietrzu był tak duży tłok, że Federalna Administracja Lotnicza musiała utworzyć wokół „Dorii” specjalną strefę, a kontrolerzy ruchu powietrznego wydzielali czas, w którym różne agencje prasowe mogły mieć do niej dostęp. Nigdy wcześniej tonięcie tak ważnego statku nie zostało utrwalone na taśmie. Harry Trask z „Boston Herald” uchwycił na serii zdjęć ostatnie chwile „Dorii”, a wykonane przez niego zdjęcie statku, z widoczną tylko jedną śrubą napędową, przyniosło mu nagrodę Pulitzera w kategorii zdjęcie prasowe.

Legenda „Dorii” jako miejsca nurkowego zaczęła się zaraz po zatonięciu statku, kiedy Peter Gimbel, oddelegowany przez czasopismo „Life” do zrobienia kilku zdjęć, jako pierwszy człowiek zanurkował na wrak. „Doria” była wyjątkowo trudnym miejscem nurkowym dla ludzi pragnących zachować względne bezpieczeństwo z powodu głębokości, na której spoczywała - 73 metrów, temperatury wody, która utrzymywała się poniżej 4 stopni C, rekinów, silnych prądów i nieprzewidywalnych, gwałtownie zmieniających się warunków atmosferycznych na powierzchni oceanu. Gimbel, dziedzic fortuny domów towarowych, dostał obsesji na punkcie wraku. W ciągu kilku następnych lat wydał mnóstwo pieniędzy usiłując wydobyć główny sejf i skarby, które według plotek miał on zawierać. W końcu zatrudnił komercyjną firmę nurkową, by wycięła dziurę w burcie „Dorii” i wydobyła sejf, jeden z siedemnastu, znajdujących się na statku. Wyprawa okazała się trudna, a sejf nieuchwytny, nawet dla najbardziej doświadczonych nurków na świecie, dysponujących skomplikowanym zapleczem technicznym i doskonałym sprzętem. Kiedy wreszcie sejf został wydobyty, a potem otwarty w czasie telewizyjnej transmisji na żywo, większość ludzi poczuła rozczarowanie: zamiast fantastycznych klejnotów sejf zawierał jedynie zlepki mokrych banknotów.

Nurkowie sportowi postrzegają wraki - zwłaszcza tak duże i prestiżowe jak „Doria” -

jako kopalnię skarbów, nawet jeśli nie ma w nich klejnotów ani złota. Początkowo od około 1965 roku tylko jedna albo dwie łodzie pływały od czasu do czasu w okolicę wraku „Dorii”. W 1970 roku kapitan Steve Bielenda, nazywający sam siebie królem głębin, zaczął jako pierwszy zabierać nurków sportowych na „Dorię”, na swojej łodzi „Wahoo”. Około 1975 roku Bielenda na „Wahoo” i Nagel (kapitan alkoholik, który później miał zabrać Chattertona i Rouse'ów na U-who) na „Seekerze” pływali regularnie na „Dorię”, każdy dwa razy w czasie sezonu.

W tym okresie nurek musiał być zaproszony przez kapitana łodzi, by mógł wziąć udział w wyprawie, oczywiście za nią płacąc. Samo posiadanie pieniędzy nie wystarczało, by dostać się na łódź. Zwykle kapitan obserwował przez kilka lat, jak ludzie nurkują na coraz trudniejsze wraki przy wybrzeżu. Jeśli nurek był lubiany i mógł się wykazać dużymi umiejętnościami i właściwym podejściem, otrzymywał zaproszenie. Nurkowanie na „Dorię” oznaczało wejście do elitarnej ligi.

„Doria” oferowała nie tylko prawo do przechwałek, ale i trofea. Zręczni nurkowie wydobywali z niej okna w mosiężnych ramach z pokładu spacerowego albo naczynia z godłem przedsiębiorstwa, które zbudowało liniowiec - napisem ITALIA i znajdującą się nad nim koroną. Wysoko cenioną porcelanę z sektora pierwszej klasy - znajdujące się tam talerze miały złotą obwódkę przy krawędzi i skomplikowaną chińską scenkę namalowaną na środku.

Istnieje wiele niebezpieczeństw związanych z nurkowaniem na „Dorię”, niektóre bardziej oczywiste od innych. Wyzwanie stanowi już samo dotarcie na „Dorię”. Rekiny niebieskie kiedyś były bardzo powszechne, ale obecnie rzadko się je widuje. Większe rekiny zachowują raczej ostrożność przy podpływaniu do wydychających bąbelki przybyszy, ale mniejsze, młodsze bywają nieustraszone. Często lubią ich trącać, próbując ustalić hierarchię między sobą oraz nurkami. Czasem nurkowie muszą stykać się plecami, na których umieszczone są butle i użyć ciężkich młotków albo łomów, by odpędzić najbardziej agresywne rekiny krążące wokół nich. Trzeba we właściwej chwili precyzyjnie wymierzyć uderzenie w nos, by zakończyć to nękanie. Szczęśliwie nigdy żaden nurek nie został ugryziony podczas nurkowania na „Dorię”.

Zagrożenia należały do tego rodzaju, że w następnych latach tylko niewielka grupa

regularnie nurkowała na wrak, choć wielu innych wabiło zarówno wyzwanie, jak i prestiż, którym nagradzano nurkujących na liniowiec oceaniczny. Niektórych powab „Dorii” zgubił i musieli zapłacić za swoją słabość życiem. Przyczyniało się to do budowania atmosfery tajemnicy wokół wraku.

Głębokość jest jednym z czynników, które sprawiają, że nurkowanie na „Dorię” jest wyzwaniem, podobnie jak wysokość w przypadku Everestu. Najpłytsza część „Dorii” spoczywa na głębokości 50 metrów, co odpowiada trzem kieliszkom martini.

Najgłębsza część znajduje się na 73 metrach - pięciu kieliszkom martini. Głębokość połączona z zimnem i ograniczoną widocznością zwiększa efekt narkotyczny - nurkowanie w ciepłej wodzie, o dużej przejrzystości jest dla nurka znacznie łatwiejsze pod względem fizycznym i psychicznym. Nawet najbardziej doświadczeni nurkowie muszą się poddać Prawu martini, a indywidualna odporność może się zmieniać w zależności od konkretnego dnia.

Innym zagrożeniem, mniej oczywistym niż głębokość, jest prąd. Nie ma sposobu, by przewidzieć, jak silny będzie prąd pod powierzchnią ani jak się będzie zmieniał w czasie nurkowania. Nurkowie doświadczali na „Dorii” prądów różnej intensywności i kierunkach, na różnych głębokościach podczas pojedynczego nurkowania. Warunki mogły się zmienić w ciągu kilku minut. Nurek szarpiący się w czasie walki z prądem ryzykuje tym, że w jego organizmie dojdzie do nagromadzenia dwutlenku węgla w śmiertelnym stężeniu, jeśli nie będzie oddychał odpowiednio głęboko, pozbywając się toksycznego gazu z ciała. Przynajmniej jeden nurek z „Dorii” został zniesiony prądem z dala od liny kotwicznej. Walczył, by wrócić, ale stracił przytomność i utonął.

„Doria” wywołuje również w jakiś sposób gorączkę artefaktów. Obsesja zdobywania trofeów z wraku skłania nurka do podejmowania nadmiernego ryzyka, co jest szczególnie niebezpieczne podczas głębokiego nurkowania. Jednak „Doria” nie oddaje łatwo swoich skarbów. Gdy John Ormsby pojawił się na pokładzie „Wahoo” z Billym Deanssem w 1985 roku, był wysoko wykwalifikowanym nurkiem wrakowym, z dużym doświadczeniem na wodach ciepłych i wieloma nurkowaniami poniżej 76 metrów na swoim koncie. Załoga, mająca doświadczenie w nurkowaniu wrakowym na północnym wschodzie, ostrzegła go, by inaczej skonfigurował swój sprzęt. Na

swojej uprząży miał mnóstwo luźnych karabinków, których używał do mocowania zapasowego sprzętu. Zwrócono mu uwagę, że tymi karabinkami łatwo może zahaczyć o kabel albo sieci rybackie, wiszące na całym wraku. Ormsby odburknął, że jest doświadczonym nurkiem wrakowym i że jest zadowolony ze swojej konfiguracji sprzętu. Podczas nurkowania, mimo że nie planował wcześniej penetracji wraku, wpłynął w sektor pierwszej klasy. Kiedy nie pojawił się na linii kotwicznej w oznaczonym czasie, pozostali nurkowie zaczęli obawiać się najgorszego. Przekazano wiadomość na powierzchnię i na dno natychmiast zeszła grupa poszukiwawcza. Ormsby'ego znaleziono na głębokości nieco przekraczającej 61 metrów, jakieś 9 metrów w głąb wraku. Gruby kabel najwyraźniej zaczepił o jeden z karabinków na jego uprząży. Kiedy Ormsby odwrócił się, by sprawdzić, gdzie się zaczepił, kabel zacisnął się wokół niego jak boa dusiciel. Skończyło mu się powietrze i utonął beznadziejnie zaplątany w kabel.

Rouse'owie byli szczególnie zaintrygowani historiami, które Steve Berman i ja opowiadaliśmy o naszych doświadczeniach na „Andrea Dorii”. Kiedy pierwszy raz nurkowałem na „Dorię”, w lecie 1990, miałem pełną licencję od roku, a od dwóch lat stosowałem techniki jaskiniowe w nurkowaniu wrakowym na północnym wschodzie. Razem ze Stevem Bermanem postanowiliśmy potraktować „Dorię” jak olbrzymią stalową jaskinię i użyć technik jaskiniowych, by spenetrować wnętrze wraku. Nurkowaliśmy z „Wahoo” Bielendy. Gary Gentile był jednym z członków załogi. Gentile przeprowadził prawie sto nurkowań na wrak i napisał książkę na temat tego miejsca Andrea Doria; Dive to an Era. Obaj z Bermanem przeczytaliśmy tę książkę bardzo dokładnie i byliśmy podnieceni tym, że Gary jest na pokładzie, ponieważ mogliśmy zasypać go pytaniami.

Razem z Bermanem wyskoczyliśmy z „Wahoo” i zanurzyliśmy się na wrak. Silny prąd szybko mnie zmęczył i chociaż statek wyglądał niezwykle kusząco, leżąc na burcie, przerwałem nurkowanie, niemal zaraz po tym, jak dotarłem do wraku. Berman sprawiał wrażenie, jakby zachował całą swoją energię, ale bez zadawania pytań wynurzył się razem ze mną. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na pokładzie „Wahoo”, przeprosiłem go.

- Nie przejmuj się tym - powiedział mi. - Najważniejsze jest bezpieczeństwo. Jeśli

ktoś będzie mieć kiedyś do mnie pretensje o to, że przerwałem nurkowanie, nigdy więcej nie będę z tym kimś nurkować. Skoncentrujmy się lepiej na tym, żeby wyszło nam drugie nurkowanie. - Ulżyło mi i nabrałem do Bermiana jeszcze więcej szacunku.

W czasie drugiego nurkowania wpłynęliśmy do wraku, płynąc poziomo 61 metrów. Drewniane ściany między kajutami rozpadły się umożliwiając nam płynięcie między owalnymi stalowymi podporami kajut pasażerskich, które kiedyś przylegały do siebie w jednym rzędzie. Wokół wszędzie leżał jasnobrazowy osad, metalowe szczątki - jedyne pozostałości po panelu kajut - i materace z łóżek, prześcieradła i koce. Przed nami unosiły się w wodzie kable. Ponieważ statek leżał na boku, wszystko było pochylone pod kątem 90 stopni. Zlewy i wanny w łazienkach były przymocowane do ściany po mojej lewej stronie, kiedyś podłogi. W oddali zobaczyłem blade światło i coś, co przypominało, pływającego nurka. Moje serce zabiło szybciej. Wpłynęliśmy na 15 metrów w głąb wraku. Zastanawiałem się, kto jeszcze mógł wejść tak daleko i do tego pojawić się z naprzeciwka. Gdy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem własne odbicie w lustrze i musiałem się roześmiać. Odwróciłem się do Bermiana i zasygnalizowałem odwrót. W drodze powrotnej Steve'owi udało się zabrać trzy naczynia, a ponieważ nie miał torby na artefakty, wsadził je do torby na narzędzia przyczepionej do mojej uprząży. Po powrocie na „Wahoo” jeden z nurków, doświadczony w nurkowaniu na „Dorie”, spojrzął na nas zaszokowany.

- Rany, udało wam się zdobyć artefakty. Całkiem nie źle, jak na nowicjuszy!

Zachęceni początkowym sukcesem, postanowiliśmy ze Stevem, że nasze trzecie nurkowanie będzie większym wyzwaniem. Chcieliśmy zanurkować w głąb mijanego wcześniej przejścia, które znajdowało się jakieś 9 metrów od otworu wejściowego. Pionowe przejście było ogromne i nasze mocne latarki nie mogły rozproszyć ciemności aż do dna. Zanurzając się, opadliśmy na głębokość 72 i pół metra - prawie pięć kieliszków martini - po czym popłynęliśmy wzdłuż poziomego korytarza. Steve prowadził, rozwijając poręczówkę z kołowrotka, tak jakby znajdował się w jaskini. Gdy wpłynęliśmy na około 45 metrów w głąb wraku, ujrzałem szklane i kryształowe tace i talerze zagrzebane w grubej warstwie osadu pokrywającego podłogę. Zamiast zasygnalizować Steve'owi swój zamiar, tak jak powinienem był zrobić zanim

sięgnąłem po skarby, dałem się omamić gorączce artefaktów. Ukłakłem na dnie i w szale zacząłem układać na stos tace i naczynia, dokładając na koniec kieliszek do wina.

Kiedy tylko rozłożyłem się na dnie i sięgnąłem po artefakty, osad z podłogi korytarza uniósł się do góry jak brązowy grzybek atomowy. Pracowałem polegając na dotyku. Odczepiłem torbę na artefakty przygotowując się do umieszczenia całego stosu naczyń w środku. Nagle poczułem wściekłe szarpnięcie za łydkę, które niemal powaliło mnie na pokryte osadem dno, twarzą w dół. Odwróciłem się w stronę, z której nastąpił atak. Gdy moja maska znalazła się o centymetry od maski Bermiana, zobaczyłem go i usłyszałem, jak krzyczy: „Wynosimy się stąd!” Odwróciłem się, żeby spróbować chwycić naczynia, pokazać, czym się zajmowałem, ale on znów błyskawicznie złapał moją nogę, tym razem z większym zdecydowaniem i powtórzył polecenie. Poddałem się i zostawiłem stosik artefaktów i otwartą torbę leżącą obok. Wtedy zobaczyłem Bermiana, jak pływa wokół mnie, gwałtownie usiłując mnie odplątać z poręczówki, która owinęła się wokół mojego ciała. Najwyraźniej, kiedy opadałem na dno, by chwycić artefakty, jeden z zaworów butli, znajdujący się tuż za moją głową, zahaczył o linę. Kiedy pływałem nad dnem, szukając dogodnego miejsca, owinąłem ją dookoła siebie.

Być może inny, mniej doświadczony albo nie posiadający takiego hartu ducha nurek, zostawiłby mnie tam. Podobne zdarzenie przytrafiło się nurkowi na U-853, niemieckim, U-Boocie, który znajduje się niedaleko Rhode Island.

Zaplątał się w swoją poręczówkę i choć udało mu się wydostać z wraku, nadal był przyczepiony do liny biegnącej przez cały wrak. Zasygnalizował wówczas do swojego partnera po pomoc. Partner twierdził później, że zaplątany nurek wpadł w panikę i miotał się dziko, co skłoniło go do pozostawienia go, zamiast przeciąć linę i uwolnić go. Na łodzi partner przedstawił kilka różnych wersji tego, co się wydarzyło, i nie można było z całą pewnością stwierdzić, gdzie się znajdował zaplątany nurek. Jedyne członek załogi na łodzi odmówił nurkowania ratunkowego, twierdząc, że nurkowanie bez partnera jest wbrew zaleceniom odnoszącym się do nurkowania rekreacyjnego. Wezwano nurków ze Straży Przybrzeżnej, którzy w końcu wydobyli ciało, nadal przywiązane do wraku, unoszące się z prądem jak makabryczna flaga.

Razem z Bermanem bezpiecznie wróciłem z naszego trzeciego nurkowania na „Dorie”. Stos artefaktów i moja torba nadal znajdowały się wewnątrz wraku, czekając aż je ktoś stamtąd zabierze. Po powrocie na „Wahoo” dyskutowaliśmy z Bermanem nad szczegółami naszego nurkowania na zewnątrz głównej kabiny łodzi, wpatrując się w ocean. Steve Bielenda zaintrygowany naszą ściszoną rozmową podszedł, żeby zapytać, jak nam poszło nurkowanie. Krótco wyjaśniłem, co się stało. Bielenda słuchał uważnie, po czym obdarzył nas szerokim, pełnym zrozumienia uśmiechem.

-Cóż, postąpiliście właściwie, zostawiając artefakty i ratując własną skórę. Wygląda na to, że macie niezakończone sprawy na „Dorii”. Zamierzacie wrócić?

Kiedy usłyszał o naszych planach powrotu z grupą nurków i nurkowaniu na wrak z użyciem miksów gazowych, zaśmiał się i powiedział:

-No tak, „Doria” was złapała. Tak to już jest z tym wrakiem.

„Andrea Doria” była podobna do Wakulla Springs w tym sensie, że oba nurkowania były głębokie i stanowiły wyzwanie, a ci, którzy nurkowali odnosząc w tych miejscach sukcesy, zyskiwali uznanie w oczach społeczności nurkowej. Poza tym mogli chodzić po ziemi ze świadomością, że są inni od reszty ludzi, w ten sam sposób, w jaki elitarni piloci oblatywacze czują, że są inni. W społeczności nurkowej nurkowanie na miksach było sporą zmianą w stosunku do tego, co robili nurkowie amatorzy, i nurków takich uważano teraz za czołówkę, podobnie jak program kosmiczny w latach sześćdziesiątych zmienił sposób postrzegania latającej czołówki. W ciągu następnego roku. Berman i ja zorganizowaliśmy ekspedycję, którą nazwaliśmy Team Doria. Do uczestnictwa zaprosiliśmy grupę nurków, którzy wnieśli swoje doświadczenie jaskiniowe do nurkowania wrakowego. Kiedy zaprosiłem Rouse'ów do wzięcia udziału w ekspedycji Team Doria, z radością skorzystali z szansy pokazania swoich umiejętności na prestiżowym wraku. Chrisowi Rouse spodobały się moje plany i po namyśle stwierdził:

-Stalowa jaskinia? Co za pomysł? To coś, w czym warto nurkować! Kilka talerzy z „Dorii” na pewno ładnie wyglądałoby nad moim kominkiem.

5

Team Doria' 91

27 czerwca 1991. Przystań Captree, Południowe wybrzeże Long Island, w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Montauk Point.

Chris i Chrissy Rouse byli zapalonymi nurkami, którzy w miarę jak rosły ich umiejętności i aspiracje coraz częściej wykorzystywali techniki jaskiniowe podczas penetracji wraków. Po tym, jak przeszli po raz pierwszy kurs zaawansowanego nurkowania u Boba Burnsa, zaczęli pływać z nim, na jego łodzi czarterowej „Dina Dee” na wraki u wybrzeży New Jersey. Wówczas odpowiadała im taka konfiguracja sprzętu, jaką stosował każdy przeciętny nurek rekreacyjny na północnym wschodzie. Składała się przede wszystkim z mokrego kombinezonu, zapewniającego izolację, pojedynczej butli ze sprężonym powietrzem i małej rezerwowej butli pony. Taki sprzęt wystarczał Rouse'om podczas nurkowania na wraki, znajdujące się płycej niż wynosił maksymalny limit głębokości - 39 metrów, zalecany przez agencje wydające licencje nurkom rekreacyjnym w Stanach Zjednoczonych. Gdy Rouse'owie nabrali większej wprawy i poczuli się swobodniej nurkując na wraki, zaczęli stosować konfigurację odpowiednią dla nurków zaawansowanych- na plecach nosili dwie podstawowe butle z powietrzem, które pozwalały im na dłuższe i głębsze nurkowania, zapewniając jednocześnie odpowiednią ilość rezerwy na wypadek awarii.

Jaskiniowe nurkowania Rouse'ów wymagały od nich zabierania przynajmniej dwóch jednakowych butli z uwagi na „zasadę jednej trzeciej” – jedno z najważniejszych przykazań Shecka Exley'a. Według tej zasady nurkowie powinni zużywać nie więcej niż jedną trzecią swojego zapasu powietrza wpływając do jaskini, jedną trzecią zachowując na powrót i jedną trzecią rezerwując na wypadek awarii. Oznaczało to, że Rouse'owie musieli zabierać ze sobą wielkie butle, by móc eksplorować głębokie

jaskinie. W środowisku nurków wrakowych na północnym wschodzie konfiguracja z dwiema butlami była od lat powszechna wśród nurków odbywających dekompresję na otwartym oceanie, która była konieczna po eksplorowaniu głęboko położonych wraków albo długim pobycie na wrakach położonych płycej. Na maksymalnej głębokości rekreacyjnej Rouse'owie mogli spędzić na dnie tylko dziesięć minut nim zaistniała konieczność odbycia dekompresji, zgodnie z tabelami nurkowymi US Navy. Pozostanie na głębokości 39 metrów przez 15 minut wymagało tylko jednego, minutowego przystanku dekompresyjnego na głębokości trzech metrów.

Dwudziestominutowy pobyt wymagał czterech minut na głębokości trzech metrów, a półgodzinny 21 minut dekompresji, z czego pierwsze 3 minuty należało spędzić na głębokości sześciu metrów Rouse'owie przestrzegali bardziej konserwatywnych tabel dekompresyjnych, proponowanych przez ich umieszczone na nadgarstkach komputery. Czas ich dekompresji był wydłużony w stosunku do zaleceń tabel US Navy, bazujących na opracowaniach szkockiego psychologa Johna Scotta Haldane'a, które wykonał dla Brytyjskiej Admiralicji na początku XX wieku. Praca Haldane'a była niezwykłym przełomem, jednakże współczesne badania ujawniły bardziej precyzyjne cechy ludzkiej fizjologii, których nie uwzględniały jego tabele dekompresyjne.

Teraz w pełnym wyzwaniu środowisku wraku, takiego jak „Doria”, nurkowie jaskiniowi, w tym Rouse'owie i ja, pragnęli w pełni wykorzystać swoje doświadczenie z jaskiń, stosując radykalne, w opinii niektórych nurków wrakowych, zmiany w konfiguracji sprzętu - zwłaszcza przyczepiając do uprząży pod pachami dodatkowe, potężne butle z powietrzem. Nurkowie jaskiniowi zabierali ze sobą dodatkowy gaz na głębsze penetracje już od dawna -dodatkowe butle nazywano przystankowymi. Po zużyciu jednej trzeciej zawartego w nich gazu zostawiało się je w jaskini, gdzie czekały na nurka i zabranie ich przy wyjściu. Oczywiście na wodach otwartych nie można ich było zostawić i trzeba je było brać ze sobą.

Nurkowie wrakowi widząc mnie albo Rouse'ow zakładających sprzęt na łodzi nurkowej, spoglądali na dodatkowe butle, które nosiliśmy pod każdym ramieniem i zastanawiali się, co też my, u licha, wyprawiamy. Niektórzy członkowie załogi obserwując nasze przygotowania dochodzili do wniosku, że zabranie dodatkowego

sprzętu przekracza możliwości pojedynczego nurka i że sprowadzimy na siebie kłopoty w trudnym, bezustannie zmieniającym się królestwie oceanicznych wraków. Najgorsze komentarze pojawiały się, gdy inni nurkowie wrakowi zobaczyli, że przymocowujemy zielone butle z wyraźnym napisem TLEN.

-Ci faceci sami się proszą o wypadek - słyszeliśmy wtedy.

Większość nurków wrakowych nie wiedziała o tym, że oddychanie tlenem na sześciu albo trzech metrach jest bardzo korzystne, ponieważ pozwala ciału szybciej i skuteczniej wyeliminować nadmiar azotu. Zabieranie tlenu na nurkowanie było dla nurków wrakowych jak woodoo. Uważali, że prowokuje to wypadki, bo niezwykle łatwo jest pomylić się - chwycić automat od bulli z tlenem i wdychać ten gaz na dużej głębokości. Nieuniknioną konsekwencją było utonięcie w wyniku konwulsji spowodowanych toksycznością tlenową. Do najważniejszych zasad w nurkowaniu wrakowym należała zawsze samowystarczalność. Nurek miał brać ze sobą wszystko, czego mógł później potrzebować w czasie nurkowania, w tym wszystkie gazy potrzebne przy dekompresji, w przypadku nurków wrakowych zwykle było to tylko powietrze. Czystego tlenu większość nurków wrakowych po prostu nie rozumiała i dlatego się go obawiała.

Rouse'owie, podobnie jak pozostali uczestnicy wyprawy Team Doria '91, z chęcią przystali na nowe podejście do nurkowania wrakowego, mimo iż nowe metody były dla wielu kontrowersyjne - nawet dla członków naszej załogi, jak się miało wkrótce okazać. Poza używaniem tlenu w czasie dekompresji wszyscy wierzyliśmy również w zasadność używania poręczówki podczas eksploracji wraku. Ta praktyka skłaniała konserwatywnych nurków wrakowych do głoszenia porywczych opinii dotyczących tego, czy poręczówka zapewnia bezpieczeństwo, czy grozi samobójstwem.

-Jeśli na mojej drodze pojawi się lina, zamierzam ją przeciąć - obwieścił Hank Garvin, członek załogi, gdy przygotowywaliśmy się do wyprawy na „Dorie”, w chłodne czerwcowe popołudnie. Wiedziałem, że jego punkt widzenia, jeśli nie obietnicę, podzielało wielu członków załogi „Wahoo”, nie wspominając o wielu innych weteranach nurkowania wrakowego na północnym wschodzie. Mimo że wiedziałem, co Hank i pozostali członkowie załogi sądzą o używaniu poręczówki na wrakach, zdecydowałem się wyczarterować szesnastometrową łódź Steve'a Bielendy,

„Wahoo”, na wyprawę Team Doria. W ciągu minionego roku przetrwałem wiele gorących debat z masywnie zbudowanym Garvinem, które dotyczyły używania poręczówek wewnątrz wraków.

Garvin, mając trzydzieści lat doświadczenia nurkowego, widział zbyt wielu umierających nurków i pomagał przy wydobywaniu zbyt wielu ciał. Na każdy temat dotyczący nurkowania miał więc wyrobioną opinię. Z pierwszej ręki wiedział, jak ryzykowne jest nurkowanie wrakowe. Wiedział, że nurek, przeciwko któremu działa zbyt wiele czynników - w tym gwałtownie zmieniające się środowisko podwodne i usterki sprzętu - łatwo może zostać przytłoczony ilością problemów i popełnić samobójcze, a nawet mordercze błędy. Poręczówka była według Garvina tylko kolejnym elementem sprzętu, który nurek musiał obsługiwać, kolejną rzeczą, która mogła się popsuć, zaplątać albo owinąć wokół nieszczęsnego nurka.

- Posłuchaj, Hank - powiedziałem, wpatrując się ze złością w Garvina. Staliśmy w pobliżu „Wahoo”, na który ładowano właśnie prowiant. - Wynajęliśmy tę łódź, żeby zrobić to po mojemu. Planowaliśmy tę ekspedycję od roku. Niezależnie od tego, jakie masz zdanie o poręczówkach, to do nas należy decyzja, jak będziemy nurkować.
- No, jasne. Możecie nurkować, jak wam się żywnie podoba - powiedział Hank, ponuro kiwając głową. - Ale ja uważam, że wszystko ma swoje miejsce. Przez większość czasu poręczówka jest tylko kulą u nogi. Jest sposobem na ominięcie czasu i liczby nurkowań, potrzebnych, by nurek nabrał doświadczenia, dzięki któremu pozna wrak tak dobrze, że może z niego wypłynąć z zamkniętymi oczami, nie licząc na poręczówkę. - Garvin przedstawiał nurkom swój punkt widzenia tak często, że stał się on jego mantrą. Teraz starszy ode mnie Garvin zabrzmiał prawie jak ojciec:
- Chyba wiesz, Bernie, co się dzieje, gdy ktoś polega na linie, a lina zostaje przecięta, prawda?
- Tak, Hank, już to przerabialiśmy.
- No więc wiesz, że facet polegający na poręczówce, której nie ma, kończy jako nieboszczyk... - Garvin zrobił pauzę dla lepszego efektu.
- Jesteś w porządku, Bernie. Naprawdę nie chciałbym wydobywać twoich zwłok.

Popsułoby mi to cały dzień. Naprawdę,
Zaśmiałem się.

—Dzięki za te sentymenty. Hank, ale nie będziesz musiał wydobywać moich zwłok.

—Naprawdę? To, co zrobiliście z Bermanem na „Dori” w zeszłym roku, to czyste szaleństwo. Jak daleko wpłynęliście? Na 30 metrów? 60? Podczas waszych pierwszych nurkowań?

—Nadal tego nie łapiesz, prawda Hank? —w tym momencie czułem już sporą frustrację. - Dla nas „Doria” jest po prostu ogromną stalową jaskinią.

Hank wznosił oczy ku niebu i potrząsnął głową.

- Może i czujecie się z Bermanem swobodnie i macie mnóstwo doświadczenia w nurkowaniu w jaskiniach, ale „Doria” nie jest jaskinią. A otwarty ocean nie jest tak przewidywalny. A teraz przywlekliście tu całą zgraję facetów, którzy mają robić te głupstwa?- Garvin prychnął rozdrażniony. - Człowieku, wewnątrz wraku będzie istna pajęczyna poręczówek. Może któremuś z was uda się w nią nie złapać. Ale co z całą resztą, co z nami? - Garvin i pozostali członkowie załogi mieli nurkować staroświecką metodą, równoległą z Team Doria.
- Słuchaj, jeśli widzisz, że na twojej drodze znajduje się poręczówka, po prostu płyn w inną stronę - powiedziałem Garwinowi. -Płacimy za tę wyprawę i nurkowania są dla nas, nie dla was - załogi!

Garvin, jak większość nurków wrakowych na północnym wschodzie, wolał posługiwać się strategią nurkową znaną jako progresywna penetracja. Zakładała ona zapuszczanie się do wraku tylko na długość ciała, dokładne zapoznawanie się z terenem, a dopiero podczas następnego nurkowania można było wpłynąć o dwie długości dalej. W teorii potrzeba było wielu nurkowań nim osoba znalazła się tak głęboko wewnątrz wraku, że nie widziała już światła przedostającego się przez otwór wejściowy. W czasie dłuższych penetracji niektórzy nurkowie łączyli się w grupy: jeden nurek płynął do punktu, w którym ledwie widział wyjście, zatrzymywał się tam i świecił swoją latarką drugiemu nurkowi, by ten mógł popłynąć dalej. Pierwszy nurek pełnił rolę latarni morskiej, wskazując swoją latarką kierunek powrotu do bezpieczeństwa.

Ponieważ większość nurków wrakowych nie odebrała szkolenia w posługiwaniu się

poręczówką, skłonni byli rezygnować z jej użycia. Instruktorzy rekreacyjni uczący sportu dysponowali zwykle ograniczonym doświadczeniem w posługiwaniu się poręczówką i uparcie uczyli, że penetracja wraków jest zbyt zaawansowaną i niebezpieczną sztuką dla nurków sportowych. Takie też było oficjalne stanowisko nurkowo-rekreacyjnych agencji szkoleniowych. Ci, którzy chcieli się posługiwać poręczówką, musieli z nią na ogół eksperymentować, pozbawieni doświadczenia instruktora. W tych okolicznościach nieuniknione były nieprzyjemne doświadczenia z poręczówką. Lina zbyt łatwo mogła się zablokować albo ześlizgnąć z kołowrotka i zaczepić o mechanizm. Poza tym pleciona linka nylonowa mogła, nasiąkając wodą, powiększyć swoją objętość i całkiem zsunąć się z kołowrotka, unosząc się w wodzie jak duży kłębek. Fale na powierzchni i pływy pod wodą mogły rzucić nurkiem i jego poręczówką jak ubraniami w pralce, co również powodowało rozplatanie liny, która unosiła się w wodzie jak sieć grożąca nurkowi uwięzieniem. Zamiast szkolić w posługiwaniu się linką w płytszych miejscach, takich jak kamieniołom, i wprowadzać modyfikacje w kołowrotku, większość nurków wrakowych użyło jej raz czy dwa razy w trudnym środowisku wrakowym, po czym odrzucało ją z frustracją. Poręczówka jest narzędziem, które umożliwia łatwiejszą i bezpieczniejszą eksplorację, ale nie rozwiązuje wszystkich problemów. Nawet nurek wyszkolony w posługiwaniu się nią może zrezygnować z jej użycia podczas konkretnego nurkowania. Czasem lina może przyczynić się do powstania większej ilości problemów niż przynieść korzyści, zwłaszcza jeśli szuka się artefaktów w ciasnym pomieszczeniu na wraku.

Poręczówka może jednak nie tylko pomóc, ale również uratować życie.

Zrozumiałem, jak jest dla mnie ważna, kiedy podczas pewnego nurkowania po artefakty zrezygnowałem z jej użycia. W 1989 roku nurkowałem na USS „San Diego”, krążownik pancerny z okresu I wojny światowej, który zatonął przy południowym wybrzeżu Long Island w 1917, po tym jak trafił na minę, podłożoną przez niemiecką łódź podwodną U-156. 150-metrowy „San Diego” leży dnem do góry na głębokości 33 metrów i jest jednym z najpopularniejszych wraków na Long Island. Większość nurków nie zapuszcza się do wnętrza wraku, wcale też nie muszą tego robić, by przeżyć wspaniałe doświadczeniem na tym okręcie wojennym. Gdy po raz pierwszy nurkowałem na „San Diego”, zaskoczyła mnie widoczność na piętnaście

metrów, ogrom wraku i duże ławice ryb, które opływały kadłub i wpływały do środka. Płynąc nad statkiem wzdłuż jego burt byłem oczarowany masywnymi stalowymi płytami kadłuba, które odginały się od górnej części wraku, jakby były na zawiasach i kołysały się w tę i z powrotem, poruszane przez silne ruchy wody. Niektórzy nurkowie znajdujący się razem ze mną w wodzie wpływali do środka wraku i wydychane przez nich bąbelki w połączeniu z kołyszącymi się płytami kadłuba sprawiały wrażenie jakby na dnie oceanu leżał ogromny, dyszący smok. Dysponując takim widokiem wielu nurków nie musiało już wpływać do środka i ryzykować życia. Jednakże szansa na wydobycie artefaktów okazała się zbyt dużą pokusą dla części z nas i musieliśmy wpłynąć do przestronnych wnętrza.

Po kilkukrotnym nurkowaniu na „San Diego” i stopniowym zapoznaniem się z jego wnętrzem, podsłuchałem, jak członek załogi łodzi nurkowej mówi o składziku z naczyniami. Zaintrygowany spytałem go o to. Członek załogi powiedział mi, że znajduje się on na 9 metrów w głąb wraku, na głębokości 27 metrów. Opisał mi, jak mam się tam dostać. Posłuchałem rady doświadczonego nurka wrakowego i postanowiłem nie zabierać ze sobą poręczówki, mimo mojego podstawowego szkolenia jaskiniowego. Zamiast tego członek załogi doradził mi, bym trzymał się futryny przy wejściu do składziku, tak aby moja druga ręka była wolna i mogła szukać naczyń. Gdy zacznę kopać w poszukiwaniu skarbów, powodując nieuniknione zaciemnienie osadem, nie będę miał kłopotów z wydostaniem się, ponieważ moja ręka nadal będzie przy wyjściu. Uważał, że przez poręczówkę mogę się tylko zaplątać.

Kiedy wpłynąłem do składziku z naczyniami, znalazłem się jakiś metr nad pokrytą osadem podłogą. Opadając niżej, odsunąłem się od wyjścia, kopiąc lewą ręką w poszukiwaniu artefaktów. Przesunąłem prawą ręką na przewróconą belkę w pomieszczeniu. Gdy tylko zanurzyłem rękę po łokieć w galaretowatym osadzie i wyjąłem ją z powrotem, pomieszczenie stało się czarne. Poświeciłem latarką nurkową w maskę, ale nadal nic nie mogłem zobaczyć, nawet śladu światła. Kopałem dalej, dopóki nie natrafiłem na pozostałości ceramicznego dzbanka na wodę, który rozpoznałem po dotyku, ponieważ już wcześniej natrafiłem na wiele takich egzemplarzy, wystawionych na pokazach nurkowych i w muzeum. Była to cenna

zdobycz.

Kiedy chciałem opuścić pomieszczenie, wymacałem drogę wzdłuż ściany w poszukiwaniu otworu. Nie było go tam. Poczułem się nagle bardzo samotnie, z dala od bezpieczeństwa łodzi nurkowej. Słyszałem głośny łomot przebijający się przez mój metaliczny oddech - moje serce biło coraz szybciej i musiałem się skoncentrować na kontrolowaniu tempa oddychania, aby tak cenne powietrze nie skończyło się zbyt wcześnie.

Przypomniało mi się, co powiedział Marc Eyring podczas mojego podstawowego szkolenia na temat procedur ratunkowych w razie spowodowanej osadem utraty widoczności:

— Nie otwieraj oczu. Twój umysł będzie się starał podsunąć ci rzeczy, których tam nie ma. Oczy miej zamknięte i skoncentruj się na tym, gdzie wydaje ci się, że jesteś. Otwieraj oczy tylko co jakiś czas, by sprawdzić, czy wypłynąłeś z osadu.

Z dokładnie zamkniętymi oczami popłynąłem powoli, wyczuwając rękami wnętrze pokoju. Musiałem zwalczyć strach, że włożę rękę w pysk jednego z licznie występujących na wraku węgorki i zostanę ugryziony. Poruszałem się wzdłuż ściany pomieszczenia, potem wzdłuż następnej. Otwierając oczy zauważyłem, że osad nie jest tu czarny, ale brudno brązowy, dzięki czemu trochę widziałem. Sprawdziłem poziom powietrza w mojej podstawowej butli i zauważyłem, że jest go dość, by kontynuować poszukiwania bez konieczności skorzystania z mniejszej butli awaryjnej. Mój głębokościomierz wskazywał 27 metrów. Jedynym problemem było ciasne pomieszczenie, w którym teraz się znajdowałem: wydawało mi się stalową trumną - ta myśl sprawiła, że przeszły mnie dreszcze. Czy nadal byłem w składziku z naczyniami, czy w jakiś sposób przepłynąłem do innego pomieszczenia, albo nawet na inny pokład? Zmusiłem się do koncentracji, odwróciłem się twarzą do czarnej ściany osadu, wiszącej niczym kurtyna przede mną. Z przerażeniem pomyślałem, że muszę wrócić przez tę kurtynę, bo stamtąd przybyłem. Czarny osad wskazywał na miejsce, w którym kopalem.

Zamknąłem oczy i popłynąłem do przodu, z prawą ręką przyciśniętą do ściany wraku. Wiedziałem, że jeśli stracę fizyczny kontakt z wrakiem, będę kompletnie zdezorientowany i zacznę się kręcić w kółko, co zupełnie uniemożliwi mi wydostanie

się. Trzymając prawą rękę na ścianie wraku, lewą machałem wokół siebie, próbując coś wyczuć. Przypomniałem sobie, jak członek załogi opowiadał swojemu partnerowi o tym pokoju, wyjaśniając, że po jednej stronie wyjścia, prowadzącego na zewnątrz, znajduje się kilka drewnianych półek. Teraz moja ręka natrafiła na półki i serce zabiło mi mocniej. Ostrożnie wyczułem przerwy między półkami i powoli ruszyłem naprzód. Nagle moja ręka trafiła w próżnię. Zrobiłem nią duże koło i nadal nic nie wyczułem. To musiało być wyjście! Podniecony popłynąłem na przód i uderzyłem głową prosto w tył czegoś, co okazało się dużym, drewnianym kredensem na naczynia. Usłyszałem głuchy odgłos uderzenia.

Jęknąłem rozczarowany i zakląłem z wściekłości. Przerwałem swoje czynności, żeby chwilę pomyśleć i zapanować nad emocjami. Przyciskając prawą rękę do boku kredensu wycofałem się i kontynuowałem poszukiwania machając dookoła lewą ręką i próbując wyczuć inne półki. Przypomniałem sobie, że kiedy dostałem się do środka, opadłem na dno pokoju. Postanowiłem teraz podплыnąć trochę do góry. Pół metra wyżej kontynuowałem szukanie wyjścia, poruszając się w lewo. Z lewą ręką przyciśniętą do ściany pomieszczenia dotarłem do miejsca, gdzie trafiła ona w pustkę. Popłynąłem do przodu, tym razem bardzo powoli, i wysunąłem lewą rękę przed siebie, jak ślepiec, machając nią wkoło. Nadal nic nie czułem. Lekko zielonkawy pobłysk światła słonecznego przefiltrowanego przez wodę wdarł się tu z zewnątrz i oświetlił mi drogę ucieczki ze stalowego grobowca. Moje serce zabiło żywiej. Nigdy wcześniej nic nie wyglądało tak pięknie.

Wkrótce po mojej przygodzie na „San Diego” doświadczony nurek wrakowy znalazł się w podobnej sytuacji we wraku, po tym jak znalazł strzelbę z okresu I wojny światowej, a później usiłował wydostać się na zewnątrz. Nie miał tyle szczęścia, co ja. Zgubił się w zamulonym osadem labiryncie i utonął. Ofiarą była członkiem załogi łodzi nurkowej i gdy nie udało się odnaleźć zwłok, inne łodzie przyplłynęły na miejsce zdarzenia, a ich załogi zaczęły przeszukiwać wrak. Po trwających niemal tydzień poszukiwaniach Hank Garvin uznał, że wie, gdzie może się znajdować ciało, choć miejsce to początkowo wydawało się mało prawdopodobne. Garvin odnalazł zwłoki ofiary, a ich widok nie należał do przyjemnych. Odslonięta twarz została częściowo zjedzona przez jakieś stworzenia morskie, a uwięzione pod skórą gazy

straszliwie zniekształciły ciało i rozciągnęły gumowy kombinezon. Potrzeba było kilku dodatkowych nurkowań, żeby wyciąć otwór, przez który rozdęte ciało mogłoby zostać przeniesione w jednym kawałku.

Mimo tej tragedii i wielu jej podobnych, Hank Garvin i reszta starszych nurków wrakowych z północnego wschodu nadal znajdowała się w opozycji wobec rozkładania poręczówki wewnątrz wraków. Według Garvina, jedynym skutecznym sposobem zapewnienia sobie drogi powrotnej z wraku było gruntowne zaznajomienie się z jego budową. Członek łodzi nurkowej, który zginął na „San Diego” nie posiadał dostatecznej znajomości wnętrza tego wraku. Nigdy wcześniej nie był w części, w której udało mu się znaleźć strzelbę. Kiedy próbował się wydostać, ominął kluczowy zakręt i wpłynął na inny pokład zakończony ślepym zaułkiem.

Gdy opowiadałem Chrissy'emu Rouse'owi o tej śmierci i o nurkach, którzy nie chcieli używać poręczówki, Chrissy z trudem mógł w to uwierzyć.

- Te dziadki naprawdę wierzą, że facet wydostałby się z wraku, gdyby miał większe doświadczenie? - prychnął z odrazą. - Czy nie dość ludzi zginęło we wrakach, bo polegali wyłącznie na swoim doświadczeniu? Poręczówka jest jedynym pewnym środkiem, żeby się wydostać z wraku. Nie rozumiem, dlaczego nurkowie wrakowi są tak uparci i nie chcą jej używać.

Podobnie jak ja, Chrissy poznał wartość poręczówki z pierwszej ręki, podczas nurkowania z matką. W Ginnie Springs rozłożono na stałe grubą, złotawą poręczówkę, która prowadzi do systemu jaskiń Devil's Cave. Chrissy i Sue Rouse popłynęli wzdłuż niej i przeszli przez przewężenie, ciasne miejsce, które zmusiło ich do zdjęcia butli, przepchnięcia ich przez otwór, a potem przeciśnięcia się samemu i ponownego nałożenia butli po drugiej stronie. Ich szamotanina znacznie ograniczyła widoczność. Wkrótce stracili z oczu linę prowadzącą na zewnątrz jaskini. Unosili się w wodzie, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu poręczówki. Nigdzie jej nie było. Podczas szkolenia jaskiniowego Chrissy i Sue przeprowadzili wiele ćwiczeń z poszukiwaniem zgubionej liny, zarówno na lądzie, jak i pod wodą. Szkolenie dało Chrissy'emu pewność siebie i wiedzę, co zrobić w takim przypadku. Ręcznie zasygnalizował matce, żeby trzymała się ściany jaskini, kiedy on będzie szukał poręczówki. Posłuchała, czekając w jaskini, w której panowała minimalna

widoczność. W tym czasie jej syn rozwinął linkę z awaryjnego kołowrotka, przyczepił ją do występu skalnego obok Sue, po czym odpłynął z kołowrotkiem. Sue wierzyła, że Chrissy znajdzie linkę, która wyprowadzi ich z powrotem na światło słoneczne, a mimo to doświadczała silnego osamotnienia-jedynym towarzystwem był odgłos wydychanego powietrza i jasny blask latarki, której światło odbijało się od zawieszzonego w wodzie piaszczystego osadu.

Piękno zasady odnajdywania zgubionej liny polega na tym, że nie wymaga odnalezienia całej drogi wyjścia z labiryntu. Chrissy musiał tylko znaleźć poręczówkę, wzdłuż której płynął razem z matką. Metodycznie przeszukując obszar, był pewien, że natrafi na zamocowaną na stałe linkę.

Gdy Chrissy znalazł nylonową linkę, która prowadziła do wyjścia z jaskini. przywiązał swój awaryjny kołowrotek do stałej liny i wrócił po lince awaryjnej do matki. Serce Sue zabiło szybciej, gdy zobaczyła, jak jej syn materializuje się przed nią niczym duch, zza błyszczącej kurtyny osadu. Chrissy zasygnalizował jej „OK” i Sue odruchowo odwzajemniła sygnał. Chrissy zasygnalizował, by matka płynęła wzdłuż liny. Sue chwyciła linkę między kciuk a palec wskazujący, aby zachować z nią kontakt fizyczny i popłynęła powoli, ale zdecydowanie wzdłuż wytyczonej drogi. Płynąc, Sue wyciągnęła drugą rękę przed siebie, machając nią jak wycieraczką na przedniej szybie, chroniąc tym samym głowę przed uderzeniem o skałę. Chrissy ruszył za matką. W ten sposób dotarli do stałej liny, a po niej do wyjścia.

Dla dziewiętnastolatka była to wspaniała przygoda. Chrissy rozkoszował się zdumieniem malującym się na twarzach ludzi, ilekroć opowiadał im tę historię. Ludzie nie znający się zbytnio na nurkowaniu jaskiniowym i procedurą szukania zgubionej liny byli zaskoczeni rycerską postawą Chrissy'ego i zastanawiali się, czy nie maskuje zachowaniem macho swojego strachu. Ale reakcja Chrissy'ego nie miała nic wspólnego z udawaniem macho. Wynikała z całkowitej wiary w swoją młodzieńczą nieśmiertelność - połączonej z racjonalną pewnością siebie, ugruntowaną w nim przez szkolenie nurkowe. Nie potrafił sobie wyobrazić swojej śmierci w jaskini.

-Boże, Chrissy. To było przerażające - powiedziała matka, gdy wydostali się z jaskini.

-Coś ty, mamó. To nic takiego-Chrissy skupił się na zdejmowaniu płetw, żeby móc

wejść po drewnianej drabince prowadzącej na ląd. - Wiem, że nie zginę w jaskini.

Umrę, nurkując na wraku.

Sue była przerażona.

-Co? Nie mów tak! Nie chcę tego słuchać! Jakiś czas później Chrissy powiedział mi:

-Po tym, czego nauczyłem się przy nurkowaniu jaskiniowym potrafię sobie wyobrazić, jak przerażające musi być wejście głęboko we wnętrze wraka, bez poręczówki. To głupie, żeby nie poprowadzić liny w środku wraka.

Jednakże jego upór przy tym, że umrze we wnętrzu wraku był dziwny. Po tym incydencie Sue wielokrotnie słyszała, jak Chrissy powtarza, że umrze nurkując na wrak. Dlaczego wciąż powtarzał coś takiego? Próbowwała zignorować swoje obawy. Może był to po prostu jego dziecinny sposób zwrócenia na siebie jej uwagi.

Gdy Rouse'owie przyjechali na „Wahoo”, pomogłem w załadunku ich sprzętu na lódź. Przywieźli ze sobą czterdzieści butli, z czego większość zamierzali zabierać ze sobą na nurkowania. Kilka półtorametrowych, zielonych butli z tlenem służyło do mieszania gazów, gdyby zaistniała taka potrzeba, albo do uzupełniania butli z tlenem na czas dekompresji. Miała to być pierwsza wyprawa nurków sportowych na „Andrea Dorię”, w czasie której mieliśmy nurkować na miksach gazowych. Był to jeden z kilku powodów, dla których wyprawa Team Doria miała się liczyć dla nurków na całym świecie.

Butle nurkowe, które załadowaliśmy na pokład „Wahoo”, zawierały różne mieszanki gazowe i każdą butlę, zawierającą coś innego niż sprężone powietrze, starannie oznaczono. Butle z tlenem w wysokim stężeniu albo z czystym tlenem miały specjalny kod kolorystyczny: zielony oznaczał czysty tlen, żółty i zielony nitrox (gaz o wysokim stężeniu tlenu, zawierający również azot) i pomarańczowy dla mniejszych butli argonu, którego używa się jako gazu izolującego, wypełniającego suche skafandry. Na butlach, na każdej naklejce napisano nie tylko skład gazowy, ale i maksymalną głębokość, do której można było korzystać z danej butli. Miało to zapobiec sytuacji, w której nurek oddycha mieszkanką o wysokiej zawartości tlenu na zbyt dużej głębokości, gdzie groziły mu konwulsje i śmierć, wywołane toksycznością tlenu.

Do podstawowych gazów należały trimixy: hel, tlen i azot. Mieszanek helowo-

tlenowych, znanych jako heliox, nurkowie komercyjni i sportowi używali z powodzeniem od lat sześćdziesięciu, trimix był jednak absolutną nowością. Niewielu nurków i badaczy posiadało rozległą wiedzę o trimixie albo praktyczne doświadczenie w jego używaniu. Choć przeprowadzono matematyczne obliczenia, aby przewidzieć jego wpływ na organizm, wciąż trzeba było zbadać, co dokładnie dzieje się z ciałem podczas nurkowania na trimixie. Teoretycznie użycie trimixu do oddychania pod wodą było logiczne, miało sens zarówno dla mnie, jak i innych nurków, których zaprosiłem do udziału w Team Dorii. Poza tym Rouse'owie i ja szkoliliśmy się w posługiwaniu się nim u Shecka Exley'a, a jeśli on mógł przeżyć nurkowanie na głębokość 264 metrów, z wykorzystaniem tej technologii, to była ona dość dobra także dla nas. Z naszego punktu widzenia, naukowcy musieli spędzić mnóstwo czasu na poszukiwaniu precyzyjnego wyjaśnienia fizjologii absorbowania i eliminowania gazów z ciała. Ale nawet gdyby to im się udało, nadal pozostałoby mnóstwo tajemnic, podobnie jak istniały tajemnice w przypadku sprężonego powietrza. Gdybyśmy mieli czekać na to, aż społeczność naukowa zabierze się za opracowanie procedur dla trimixu, zestarzelibyśmy się i posiwieli, tracąc jakąkolwiek szansę na zwiększenie bezpieczeństwa podczas głębokiego nurkowania albo powiększenie głębokości, na którą mogliśmy zejść.

Chociaż Bill Stone i jego zespół w jaskiniach Wakulla Springs już w 1987 roku z powodzeniem używał trimixu podczas wielu długich nurkowań na głębokościach przekraczające 109 metrów, nadal nie było całkiem jasne, które tablice dekompresyjne sprawdzały się i dlaczego oraz w jaki dokładnie sposób ciało reaguje na te gazy. Badacze chcieli dowiedzieć się, jak ciało zareaguje na absorbowanie i wydalanie dwóch gazów obojętnych - azotu i helu. Dwie różne masy cząsteczkowe gazów zostały wprowadzone do modeli komputerowych w celu wygenerowania tablic dekompresyjnych. Ale jak skuteczna byłaby dekompresja, gdyby ciało zostało jej poddane w warunkach polowych? I jak skuteczne okażą się schematy dekompresyjne na otwartym oceanie, gdzie przestrzeganie dokładnej głębokości może nie być możliwe z powodu niespokojnej pogody na powierzchni?

Badacze uznawali nurków za szalonych, skoro chcieli ryzykować spustoszeniami, jakie w organizmie wywołuje choroba ciśnieniowa. Przynajmniej dwóch jednak -

Karl Huggins i Mike Emmerman - chcieli udokumentować podczas wyprawy Team Doria, jaki wpływ na mnie, Rouse'ów i resztę nurków wywierało nurkowanie. Huggins, który monitorował z pokładu łodzi inne wyprawy nurkowe, był badaczem związanym z Departamentem Nauk o Atmosferze i Oceanie na Uniwersytecie Michigan, odbył staż w uniwersyteckiej Radzie Kontrolnej Bezpiecznego Nurkowania i zdobył międzynarodową sławę dzięki badaniom przeprowadzonym nad teorią dekompresji. Stworzył też algorytm, który zastosowano w pierwszym, powszechnie używanym komputerze dekompresyjnym dla nurków - EDGE. Był on produkowany przez Orca Industries i pojawił się na rynku w 1983.

W oparciu o algorytm Hugginsa komputer EDGE potrafił w krótkich odstępach czasu określić głębokość, na jakiej znajdował się nurek, a potem obliczyć, jak długo nurek może na niej pozostać, bez konieczności dekompresji. EDGE posiadał mikroprocesor, protoplastę dzisiejszych chipów, znajdujących się w komputerach. Jeśli konieczna była dekompresja, komputer wskazywał najpłytszą głębokość, do której nurek mógł się wynurzyć, tzw. pułap nurka, która nie naruszała modelu dekompresji. Pierwotnie EDGE nie pokazywał wszystkich głębokości, na których należało zrobić przystanek dekompresyjny, ani czasu, jaki należało spędzić na tych głębokościach. Wyświetlał za to całkowity czas potrzebny do wynurzenia, a kiedy nurek mógł się już przesunąć do następnego przystanku, dzięki wskaźnikowi pułapu widział, gdzie się zatrzymać.

EDGE niezmiernie ułatwił przeprowadzanie nurkowań, ponieważ mierzył właściwą głębokość nurka w realnym czasie. Zapewniał indywidualny schemat dekompresyjny - opierając się na teoretycznym modelu absorpcji gazu, dostosowywał go do konkretnego nurkowania. Choć EDGE był kolejnym, nieporęcznym elementem sprzętu - jego prostokątna obudowa zajmowała prawie całe przedramię - przeciętnemu nurkowi podobał się sprytny, graficzny wyświetlacz, który pokazywał, ile azotu uległo w teorii absorpcji. Z początku nurkowie z rezerwą podeszli do zdania się na elektronikę podczas wykonywania obliczeń dekompresyjnych w trudnym środowisku podwodnym. Wysoka cena również zachęcała, by raczej poczekać i poobserwować, jakie kłopoty sprawi EDGE posługującym się nim nurkom, zamiast skakać samemu na głęboką wodę i kupować go.

W 1986 roku istniało ponad pięć tysięcy komputerów EDGE, których używali nurkowie na całym świecie. Były to skromne początki, ale wkrótce utrzymujące się dobre wyniki sprzedażowe EDGE'a skłoniły innych producentów do wykorzystania rozwijającej się technologii i wprowadzenia na rynek mniejszych komputerów nurkowych, za to o większej mocy obliczeniowej. Gdy spadła cena EDGE'a, jedyną wadą komputera, poza topornym kształtem, pozostało to, że mógł wykonywać obliczenia wyłącznie dla nurkowań na powietrzu nieprzekraczających 50 metrów. Huggins zainteresował się przeprowadzeniem badań nad nurkowaniem w czasie wyprawy Team Doria, gdy jego przyjaciel, Mike Emmerman, wyjaśnił mu zakres swojego projektu. Zaprosiłem Emmermana, który był partnerem w mieszczącej się na Wallstreet firmie inwestycyjnej Neuberger Berman do wzięcia udziału w wyprawie po to, by przeprowadził badania. Za dnia Emmerman zarządzał setkami milionów dolarów w funduszach inwestycyjnych. Weekendy, wieczory i urlop poświęcał nurkowaniu. Prowadził swoje własne badania nad komputerami nurkowymi, skupiając się na tym, jakie były skutki nurkowania po locie samolotem i próbując określić, czy latanie po nurkowaniu jest bezpieczne. W kabinie samolotu pasażerskiego ciśnienie jest równe 2130-2430 m n.p.m., czyli mniej niż jednej atmosferze. Oznacza to, że osoba, której ciało zaadaptowało się do ciśnienia panującego na poziomie morza, eliminuje azot w czasie lotu samolotem. Nurek lecący w zbyt krótkim odstępie czasu po nurkowaniu, ryzykuje atakiem choroby dekompresyjnej, nawet jeśli nie miał wcześniej symptomów.

Wykorzystując mnie, Chrisa i Chrissy' ego jako króliki doświadczalne, Huggins i Emmerman - obaj wyszkoleni technicy - zamierzali za pomocą ultrasonografu Dopplera nagrać odgłos krwi krążącej w naszych ciałach. To nieinwazyjne urządzenie było w stanie wykryć wszelkie poważniejsze nagromadzenie się pęcherzyków obojętnego gazu, które mogło doprowadzić do wystąpienia objawów choroby ciśnieniowej. Pęcherzyki można było usłyszeć jako piski i szmery, dźwięki skategoryzowano jako cztery stopnie ważności. Zasadniczo im więcej pęcherzyków, tym większe jest potencjalne zagrożenie atakiem choroby ciśnieniowej. Jednakże badania wykazały, że z jakiegoś tajemniczego powodu, pęcherzyki obojętnego gazu mogą być obecne w ciele nurka nie dając widocznych symptomów choroby. Jedną z

teorii dotyczących tego fenomenu zakłada, że pęcherzyki mogą się formować bezpośrednio w tkankach i nie są wykrywane przez urządzenie Dopplera, mimo że powodują chorobę ciśnieniową. Według tej teorii, pęcherzyki we krwi są mniej istotne niż pęcherzyki w tkankach. Dzięki udokumentowaniu ultrasonografem nurkowali, przeprowadzonych podczas ekspedycji Team Doria, nasi badacze mieli nadzieję rozpocząć budowę bazy danych prawdziwych nurkowań na trimixie, która pozwoliłaby im zrozumieć, jakie obciążenie dekompresyjne biorą na siebie nurkowie. Dzięki niej mogliby również porównać badania nurkowań na trimixie z analogicznymi dokumentami stworzonymi przez badaczy na innych wprawach, gdzie nurkowano na sprężonym powietrzu.

Mieliśmy nadzieję, że podczas tej wyprawy będziemy mieć wystarczająco dużo okazji, by porównać nurkowania przeprowadzane według różnych tabel dekompresyjnych, które oparte były na różnych, często zwalczających się teoriach. Huggins stworzył swój algorytm na podstawie kombinacji teorii dekompresji Johna Scotta Haldane'a z 1900 roku i uaktualnień, które do tej teorii wprowadziły amerykańska marynarka, Pensylwański Zespół Analizy Podwodnej i Powietrznej Dekompresji oraz Instytut Fizjologii Stosowanej i Medycyny w Seattle. Część współczesnych teorii dyskutowało z teorią Haldane'a, podczas gdy inne rozwijały ją. Matematyczny model Schreiner - nazwany tak na cześć szefa Billa Hamiltona i Glenna Butlera z Ocean Systems - był jedną z tych teorii. Niektórzy nurkowali używali tabel wygenerowanych przez komputerowy model dekompresji Billa Hamiltona, oparty na badaniach, które przeprowadzili Schreiner, Hamilton i inni ludzie z Ocean Systems.

Randy Bohrer miał nurkować używając tabel wygenerowanych przez algorytm komputerowy, który sam opracował i który opierał się na teorii profesora i doktora medycyny Alberta Bühlmanna z Uniwersytetu w Zurichu, zajmującego się skomplikowanymi zagadnieniami modeli dekompresji w ramach hobby. Bühlmann był inżynierem lotniczym i w ciągu dnia pracował dla Grummana.

Wieczory i weekendy poświęcał pracy nad komputerowym modelem dekompresji. Natrafił jednak na nieuniknione dla twórców modeli dekompresyjnych problemy, co skłoniło go do zawarcia sojuszu z Bille Hamiltonem. Bohrer bywał zatrudniany

jako konsultant w serii większych nurkowań i stworzył tabele dekompresyjne dla Shecka Exley'a, który ustanowił z nimi Światowy rekord w nurkowaniu jaskiniowym na głębokości 264 m.

Wcześniej tego roku włączyłem Randy'ego Bohrera w projekt komputerowy, nad którym pracowałem jako konsultant dla japońskiej firmy handlowej Inabala.

Zaproponowałem mu stworzenie najpierw komputera wykonującego obliczenia dla nurkowań na powietrzu, a potem zmodyfikowanie jego podstawowego oprogramowania i narzędzi. W ten sposób mogliśmy stworzyć bardziej wyrafinowane urządzenie, które przeprowadzałoby obliczenia dla nurkowań na nitroxie - nazywanego również powietrzem wzbogaconym tlenem. Na koniec przewidywałem powstanie trzeciego komputera, który przeprowadzałby obliczenia nurkowań z użyciem trimixu. Miało to jednak nastąpić dopiero wówczas, gdy sport i rynek rozwiną się na tyle, że większa liczba nurków zacznie posługiwać się skomplikowanymi narzędziami przy głębokim nurkowaniu.

Jeśli chodzi o mnie, to miałem swoje własne teorie na temat ciała, jego zdolności do efektywnej dekompresji oraz wytrzymałości na zimną wodę. Nie ująłem tych teorii w żadne terminy naukowe, ale sprawdzały się w praktyce i to było najważniejsze. Przy każdym nurkowaniu stawiałem na szali moje życie i zdrowie. To, co działało, działało, niezależnie od tego, jak wyglądał dokładny mechanizm fizjologiczny.

Uważałem, że ciało samo uczy się eliminacji gazów obojętnych, jeśli jest do tego wielokrotnie zmuszane. Zimna woda zmieniała charakterystyczne cechy krwioobiegu, redukując dopływ krwi do kończyn i zamykając dopływ do skóry, co miało zmniejszyć utratę ciepła. Wpływało to również na sposób, w jaki nurek absorbował nadmiar obojętnego gazu - i co ważniejsze, jak go eliminował. Jednakże miałem wrażenie, że zimna woda stanowiła bardziej barierę psychologiczną niż fizyczną. Tylko dzięki wielokrotnie powtarzanemu wystawianiu ciała na długie nurkowania w zimnej wodzie, nurek mógł przygotować ciało i umysł na dekompresję w zimnej wodzie. Nurek rekreacyjny, ktoś, kto z definicji unikał nurkowania z dekompresją, ograniczony był do spędzenia 10 minut na głębokości 40 metrów. Zwykle doświadczony nurek wrakowy, planujący nurkowanie z dekompresją na głębokość 40 metrów, przeznaczał najwyżej 20 minut na pozostanie na dnie, po czym przez cztery

minuty odbywał dekompresję, jeśli chciał się kierować schematami dekompresyjnymi US Navy, których podstawę stanowiła praca Haldane'a. Noszone przez nurków komputery były trochę bardziej konserwatywne niż tabele bazujące na pracach Haldane'a i w zależności od konkretnego komputera wymagały dekompresji trwającej około pół godziny dla dwudziestominutowego pobytu na głębokości 39 metrów.

Ludzie zastanawiający się nad nurkowaniem na głęboko położone wraki, takie jak „Andrea Doria”, musieli stopniowo nurkować coraz głębiej i głębiej, jeśli chcieli się psychicznie i fizycznie przygotować do wytrzymania dłuższego pobytu pod wodą. Podczas każdego nurkowania musieli wydłużać czas spędzony pod wodą, by przygotować się na potencjalne, długie dekompresje. Ja także stopniowo coraz więcej czasu spędzałem pod wodą, nurkując na głębokość 72 metrów, przez pewien czas oddychałem na dnie powietrzem, a potem przeprowadzałem dwu- i trzygodzinne dekompresje według algorytmów Bühlmanna, zawartych w komputerach, którymi się posługiwałem. Aby zabezpieczyć się przed awarią komputera, zabierałem dwa identyczne komputery na każde nurkowanie, podobnie jak robił to każdy poważny nurek, również Rouse'owie. Na głębokości 40 metrów, którą teraz uważałem za płytką, spędzałem 53 minuty. Aby zminimalizować liczbę butli, które musiałem zabrać na te długie nurkowania, pilnie ćwiczyłem, angażując się w różne sporty, tak jak to czyniłem przez całe życie: od ulicznego hokeja przez hokej na lodzie, boks, karate i rugby. Mój fizyczny reżim na lądzie połączony z pasją sportu sprawił, że miałem silne ciało i wydolne płuca. Pozwalało mi to przeprowadzać długie nurkowania z użyciem zaledwie trzech butli, co zaskakiwało kolegów z łodzi nurkowych.

Rouse'owie zgadzali się z moją teorią dekompresji, chociaż nie wierzyli w mój reżim treningowy. Uważali, że najlepszą metodą na przygotowanie się i uniknięcie choroby ciśnieniowej jest samo nurkowanie. Chris i Chirssy wydłużali czas nurkowania i dekompresji w podobny do mnie sposób. Poza tym użycie tlenu do dekompresji pozwoliło nam skrócić przystanki dekompresyjne, ponieważ dzięki tlenowi ciało szybciej eliminowało gaz obojętny. Zamiast jednak skracać nasz pobyt w wodzie, używaliśmy tlenu do powiększania marginesu bezpieczeństwa podczas naszych

nurkowań, pozostając w wodzie tak długo, jak zalecały nasze komputery przeprowadzające obliczenia dla nurkowań na powietrzu. Gdy po długich, głębokich nurkowaniach na powietrzu oddychaliśmy w czasie dekompresji tlenem, zauważyliśmy Jak dużo energii udawało nam się dzięki temu zachować. Chociaż ani Rouse'owie, ani ja nie potrafiliśmy wyjaśnić z całą pewnością, co działo się w naszych ciałach podczas nurkowania, tak jak próbowali to ustalić naukowcy, wiedzieliśmy, że nasze metody się sprawdzają. Teorie były w porządku, ale nam wystarczało, że nie mamy objawów choroby ciśnieniowej po naszych długich, głębokich nurkowaniach.

„Wahoo” walczyło z nieustannym atakiem fal i mocnym przeciwnym prądem, a my powoli zbliżaliśmy się do „Andrea Dorii”, płynąc blisko południowego brzegu Long Island w drodze do Nantucket, by uniknąć fatalnych warunków pogodowych panujących na otwartym morzu. Na łodzi upchnięto dwunastu członków Team Dorii, dwóch badaczy, reportera, jedenastoosobową załogę i tak dużo sprzętu, że z najwyższą trudnością mogliśmy się poruszać po pokładzie. Gdy wszyscy zgromadzili się w głównej kajucie, aby się rozgrzać, wręczyłem członkom Team Dorii najnowszą listę grupy, w tym wszystkie informacje kontaktowe i krótką biografię każdego nurka. Nie wszyscy na pokładzie się znali: zrekrutowałem członków wyprawy ze Stanów, Kanady, a nawet Szwajcarii. Wszystkim nurkom, także członkom załogi, rozdałem koszulki polo i tshirty z logo TEAM DORIA '91. Hank Garvin przyjął koszulkę, a potem wskazał na listę.

-Co to jest? - Kiedy wręczyłem mu kartkę. Hank spojrzał na nią zirytowany i spytał:

-A gdzie moje nazwisko? Dlaczego nie ma na niej nikogo z załogi?

-Spytaj Bielendę - odpowiedziałem. - Nie chciał mi powiedzieć, kto wejdzie w skład załogi, mimo że pytałem go o to kilka razy. Nie mogłem załączyć tej informacji.

-Jasne, Bernie - ktoś się wtrącił. - Bielenda nie chciał, żebyś wiedział, ilu członków załogi zamierza upchnąć na łodzi!

Kilka osób zaśmiało się, a część zgodziła się z tą opinią. Potem kilku wyższych nurków Team Dorii zaczęło narzekać, że ich koje są za małe - a czy wszyscy członkowie załogi nie mieli przestronnych koi?

Musiałem zdusić w zarodku falę krytyki.

-To prawda, jest nas całkiem sporo. Jesteśmy na łodzi, a to oznacza, że mamy ograniczoną przestrzeń. Poza tym Bielenda kazał nam zabrać wszystkie butle i gazy potrzebne do naszych nurkowań, ponieważ nie może nam zagwarantować napełniania ze swojego kompresora, więc jest nawet tłoczniej niż zwykle. No i wreszcie mamy dodatkowe osoby do przeprowadzania badań i zdania z tego relacji. Jakoś musimy sobie poradzić.

Hank wziął listę, którą mu podałem, i machnął nią w kierunku Sally Wahrman, również członka załogi, która właśnie weszła do środka.

-Hej, popatrz na to. Nawet nie kwalifikujemy się na tę listę wybitnych nurków - Hank potrząsnął głową i odszedł.

Choć Sally miała tylko 165 cm wzrostu, jej ciało było zbudowane w większej skali, podobnie jak u ważącej ponad 130 kg Janet Bieser, która w tej chwili sterowała statkiem. Potężna budowa Janet mogła się tylko równać z jej ogromnym doświadczeniem w obsłudze łodzi. Wszyscy szanowali umiejętności nurkowe Janet, a jej siła była wręcz legendarna: potrafiła jedną ręką wciągnąć nurka w pełnym rynsztunku na pokład „Wahoo”, jeśli wpadł w wodzie w kłopoty. Potężne rozmiary tych członkiń załogi od dawna wzbudzały komentarze w społeczności nurkowej o „kobietach z Wahoo”. Ale dla Steve'a Bielendy przy doborze członków załogi nie liczył się rozmiar ciała, ale rozmiar serca i doświadczenie, a tego obie panie miały w nadmiarze. Sally zerknęła na listę i chrząknęła. Rozejrzała się dookoła i pochyliła nade mną.

-Wiesz, moja przyjaciółka nurkuje czasem w kamieniołomie w Pensylwanii. Mówiła mi, że Rouse'owie są tam przez cały czas. Ci faceci to kamieniołomiarze!

Nazwanie kogoś „kamieniołomiarzem” było olbrzymią, obelgą. Oznaczało, że ktoś nie posiada odpowiednich umiejętności ani dość odwagi, by nurkować w stale zmieniających się warunkach na otwartym oceanie i woli bezpieczne, kontrolowane środowisko w kamieniołomie. Rouse'owie byli na zewnątrz, sprawdzając, czy ich sprzęt jest właściwie zabezpieczony. Nie mogłem pozwolić, żeby bezkarnie obrażano moich przyjaciół.

- Rouse'owie nurkują wszędzie - powiedziałem jej. - Chcą nurkować zawsze i wszędzie, i w kamieniołomie, i w jaskini, i we wraku. Sądzę, że wielu nurków

lepiej by na tym wyszło, gdyby raz na jakiś czas potrenowali trochę w kamieniołomie.

- Po prostu mówię ci, co usłyszałam - ucięła Sally i odłożyła listę na ladę.

Niestety, lista grupy, którą stworzyłem jako przydatne narzędzie, jeszcze bardziej oddzieliła grupę od załogi, tworząc podział „my-kontra-oni”. W tych okolicznościach rozmowa, którą odbyłem z Hankiem przed opuszczeniem doku, podkreślała różnice między Team Dorią a załogą. My byliśmy nowicjuszami, z nowym dziwacznym podejściem do robienia różnych rzeczy. Steve Bielenda włączył do swej załogi wielu ludzi, którzy mieli ogromne doświadczenie w nurkowaniu wrakowym na północnym wschodzie, powiększając tym samym liczbę osób, jaką zwykle zabierał. Wielu z tych nurków, w tym sam Bielenda, zachowywało się tak, jakby „Doria” była ich prywatnym wrakiem. Kim byliśmy, ośmielając się nurkować na ich wrak nowymi metodami? Zastanawiałem się, czy Steve Bielenda i jego załoga czekają na porażkę, którą nasza grupa mogłaby ponieść przy głębokich penetracjach. A może byłem po prostu paranoicznym przywódcą wyprawy?

Narastające napięcie sprawiało, że byłem jeszcze bardziej zdenerwowany wyczekiwaniem niż normalnie. Był to niewątpliwie najambitniejszy projekt, jakiego się kiedykolwiek podjąłem, ogromny krok do przodu. Zaszedłem daleko od niezależnych jednodniowych wycieczek na wraki, wypadów nurkowych na długi weekend albo okazjonalnego prowadzenia wycieczek nurkowych na Karaiby dla centrum nurkowego na Manhattanie, gdzie pracowałem na niepełny etat jako instruktor.

Jak dotąd dopisywało mi szczęście; w żadnej z wypraw, w których brałem udział nie zginął żaden nurek. Wielu weteranów nurkowania znajdujących się teraz na „Wahoo” nie miało tyle szczęścia. Miałem nadzieję, że dla dobra nas wszystkich moje szczęście się utrzyma.

Wiedziałem dosyć, by zamartwiać się w wyjątkowo profesjonalny sposób. Zbieranie materiałów w Narodowym Centrum Danych dotyczących Wypadków pod Wodą przy Uniwersytecie Rhode Island pozwoliło mi zaznajomić się ze szczegółami każdej tragedii, jaka wydarzyła się na wraku i w jakiej brał udział amerykański nurek.

Wielokrotnie powtarzane przez nurków opowieści o wypadkach wyjaśniły mi, jak

śmierć nurka była odbierana przez kolegów na pokładzie łodzi. Reakcje były głębokie, lecz odmienne, w zależności od konkretnych okoliczności, psychicznej odporności tych, którzy przeżyli oraz między innymi tego, jak dużą sympatią wśród nurkujących cieszyła się ofiara za życia. Pewien martwy nurek, który przed nurkowaniem przejawiał arogancję i który ginąc omal nie zabił pod wodą członkini załogi, wpadając na nią podczas swojego pośpiesznego wynurzenia - przez co wysłał dziewczynę 18 metrów w dół na znajdujące się na głębokości 73 metrów dno - został przez nią pośmiertnie pobity. Dziewczyna wielokrotnie skopała jego ciało, opluła je i obrzuciła najgorszymi obelgami, winiąc go za nieodpowiedzialność, która kosztowała go życie, a niewiele brakowało by i jej je zabrała. Podczas innego wypadku partner ofiary wpadł na pokładzie łodzi w histerię zaraz po tym, jak odbył dekompresję, nawiedzany obrazem martwego przyjaciela, którego nie mógł zabrać na powierzchnię i którego pozostawił dryfującego nad dnem oceanu. Kiedy ocalały nurek wrócił na pokład, mógł tylko krzyczeć i histerycznie płakać, podczas gdy załoga - w skład której wchodził przynajmniej jeden zaprawiony w bojach żołnierz - przepytывała go usiłując ustalić, co się właściwie stało. Weterani nurkowania patrzyli na zachowanie nurka, jak na przykład złego stylu. Można oczywiście wpaść w histerię, ale dopiero po tym, jak powie się załodze, gdzie szukać ciała ofiary. Czasem podczas ekspedycji na „Andrea Dorię” nurkowanie jest ważniejsze od śmierci, zwłaszcza jeśli chodzi o cenne podwodne trofea. Krążyła na przykład wśród zagorzałych nurków wrakowych plotka o niezbyt lubianym nurku, który zmarł podczas pierwszego zanurzenia na pewnej wyprawie. Zamiast natychmiast wezwać Straż Przybrzeżną i donieść o tej śmierci, wszyscy na łodzi nurkowej naciskali na kapitana, aby zaczekał do planowego zakończenia ekspedycji, co miało nastąpić trzy dni później. Każdy z nich zapłacił kapitanowi ponad 800 dolarów, aby wziąć udział w tej wyprawie, a warunki nurkowe były optymalne. Gdyby doniesiono o śmierci, ekspedycja dobiegłaby końca, ponieważ Straż Przybrzeżna zażądałaby od kapitana powrotu z ciałem na brzeg. Nikt nie chciał wracać, utracić okazji do zebrania trofeów i zdobycia prawa do przechwałek, zwłaszcza że przepadłaby również opłata za rejs. Podobno kapitan przystał na żądania nurków. Ciało ofiary zostało umieszczone w śpiworze, w którym mężczyzna sypiał za życia. Następnie śpiwór wypełniono lodem

ze wszystkich lodówek, aby spowolnić proces rozkładu, i umieszczono na koi. Chris Rouse wyprodukował część sprzętu leżącego w nieładzie na „Wahoo”. Podjął wyzwanie i założył firmę nurkową, o której snuł marzenia, gdy jego przedsiębiorstwo budowlane zaczęło mieć kłopoty finansowe. John Reekie zasugerował nazwę dla firmy, Black Cloud Scuba (Nurkowa czarna chmura), ponieważ wydawało mu się, że nad Rouse'ami zawsze wisi czarna chmura. Reekie uważał, że było to szczególnie widoczne w przypadku sprzętu: chociaż Rouse'owie utrzymywali go w doskonałym stanie, zawsze się psuł. W czasie nurkowań z Rouse'ami, Reekie zauważył, że w ich sprzęcie - a nawet w jego własnym - z zadziwiającą regularnością występowały usterki. Musiałem się zgodzić - nad zmierzwionymi głowami Rouse'ow faktycznie wisiała czarna chmura. Logo ich firmy przedstawiało pojedynczą, czarną chmurę, z której pada deszcz. Złowieszczy efekt potęgowały trzy czarne pioruny odchodzące jednocześnie z chmury.

Mimo swojej niepewnej sytuacji finansowej, Rouse'owic byli niezwykle szczerzy dla swoich przyjaciół, dzieląc się chętnie wszystkim, co posiadali. Chris zmagał się ze swoją nową firmą nurkową. Z pomocą tokarki i wiertarki kolumnowej reperował skutery i produkował samemu kołowrotki nurkowe w warsztacie, którego wcześniej używał do serwisowania swoich maszyn budowlanych. Próbkami, wykonanego przez siebie sprzętu obdarowywał przyjaciół. Na pokładzie Wahoo kilka osób miało kołowrotki, które podarował im Chris, w tym: Steve Berman, John Reekie i ja. Zabieraliśmy też dodatkowy kołowrotek, na który nawinięty był stumetrowy upline z sizalu oraz boję sygnalizacyjno-dekompresyjną. Jeśli podczas nurkowania nie mogliśmy znaleźć opustówki - albo z powodu dezorientacji albo dlatego, że odzepiła się ona od wraku - używaliśmy kołowrotka z uplinem i boi dekompresyjnej, tworząc nową linię biegnącą na powierzchnię. Bojka napęczniała była powietrzem z butli i unosiła się w stronę powierzchni wraz z przywiązany do niej upline jak balon. Kiedy bojka dotarła do powierzchni, upline przestawał się rozwijać z kołowrotka. Odcinaliśmy wtedy linię od kołowrotka i przywiązaliśmy jej koniec do wraku. Wynurzając się w sposób kontrolowany mieliśmy pewność, że nie zostaniemy zniesieni przez prąd z dala od wraku i nie zgubimy się na morzu. W drodze na Andrea Dorie. Huggins i Emmerman, nasi dwaj badacze zajęli się

dokładnym oznaczaniem kaset magnetofonowych nazwiskami wszystkich nurków w kajucie Wahoo. Pracowali cicho, ale wydajnie, używając ultrasonografu Dopplera do zebrania podstawowych pomiarów krwi każdego nurka, które później zamierzali porównać z pomiarami po nurkowaniu. Chcieli się dowiedzieć czy uda im się w ten sposób wykryć jakieś pęcherzyki w naszym krwioobiegu. Zdjąłem kurtkę i koszulkę żeby mogli mi założyć czujnik Dopplera, urządzenie podobne do małego mikrofonu. Przymocowali go najpierw na sercu, a potem w miejscu, gdzie lewe ramię łączy się z klatką piersiową. Nasłuchując przez słuchawki odgłosów krążenia, potrząsali głowami, czasem lekko modyfikując położenie przetwornika. Kiedy wreszcie poczuli się usatysfakcjonowani jego położeniem, i przetwornik znalazł się tam, gdzie odgłos krążenia krwi był najgłośniejszy, zakreślili długopisem okrąg wokół przetwornika. Zrobiłem kilka głębokich skłonów a oni w tym czasie nagrywali moje krążenie. Kiedy spojrzałem na swoje ciało - z jednym kółkiem narysowanym na sercu, a drugim na ramieniu - pomyślałem że dziwnie przypominam tarczę, do której choroba ciśnieniowa może celować. Przed samym nurkowaniem nie zwracałem specjalnej uwagi na potencjalne niebezpieczeństwo. Jeśli trenowałem, jadłem, piłem i odpowiednio spałem, moje ciało powinno funkcjonować tak, jak tego chciałem i bez problemów powinno wydalac nadmiar obojętnego gazu, który akumulował się podczas nurkowania. Ale co jeśli się myliłem? Co jeśli wykonam wszystko prawidłowo, a i tak pojawią się symptomy choroby? Słyszałem o nurkach trwale okaleczonych, mimo że podobno trzymali się wszystkich instrukcji zawartych w podręcznikach w czasie nurkowania. Jak wszyscy chciałem wierzyć, że mnie to się nie przytrafi. Ale co, jeśli się jednak przytrafi?

Kiedy z powrotem wkładałem koszulkę, tej samej procedurze poddano nurka, Wingsa Stocka. Choć Wings (Skrzydła) nie było wcale przezwiskiem, dobrze pasowało do potężnego, umięśnionego mężczyzny, który ze swoją długą, powiewającą brodą i wytatuowanymi mocnymi ramionami wyglądał jak motocyklista z Hell's Angel. Na jego ustach zawsze był jednak obecny rozbrajający uśmiech, który w połączeniu z okrągłymi okularami w drucianych oprawkach, entuzjastyczną osobowością i cichym głosem budził zaufanie i sprawiał, że wszyscy czuli się przy nim swobodnie.

Odgarniając na bok brodę Wingsa, badacze narysowali kółka na ciele Wingsa tak, jak

na moim. Wkrótce wszyscy nosiliśmy na ciele dwie tarcze.

Wyszedłem z kajuty i oparłem się o framugę, przyglądając się falującemu oceanowi i zachmurzonemu niebu. Wszystko z wyjątkiem „Wahoo” było pogrążone w mętnej szarości, co wyraźnie kontrastowało z barwnymi butlami stłoczonymi na pokładzie. Bill Deans pochylał się nad przypominającym torpedę skuterem, zaciskając linę mocującą go do wnętrza burty. Billy Deans mimo wszystko wziął udział w wyprawie jako członek załogi. Wielu stałych załogantów „Wahoo” wątpiło w to, że Deans wróci na wrak, który zabrał życie Johnowi Ormsby'emu w 1985 roku. Ale przyjaźń Billy'ego z Bielendą i szansa wzięcia udziału w wyprawie nurkowo-technicznej, sprowadziła go na Key West. Michael Menduno towarzyszył Billy'emu w długiej drodze na wybrzeże. Menduno chciał napisać o tej wyprawie w swoim czasopiśmie „Aqua Corps” i zaczął zbierać informacje od kapitana Steve'a Bielendy.

Chwytnąjąc spojrzenie Bielendy, przypomniałem mu:

- Pamiętaj że chcemy zakotwiczyć nad rufą.
- Postaramy się, ale niczego nie mogę zagwarantować - odparł Bielenda.

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie. Zrobiłem plany, licząc że będziemy nurkować z obszaru rufy „Dorii”, ponieważ w tym miejscu było wiele dużych korytarzy i okien, które umożliwiały wejście na kilka poziomów pokładu. Według tych planów każdy z dwuosobowych zespołów miał rozłożyć stałe poręczówki wzdłuż poziomych przejść na różnych pokładach, od głębokości 61,5 metra do 72,7 metra. W mniejszych przejściach łączących poziome korytarze miały zostać rozmieszczone pionowe liny, które również miały być połączone. Jeśli zespół natrafiłby na dużo artefaktów, powinien oznaczyć to miejsce, przyczepiając na poręczówce strzałkę, wskazującą gdzie leżą. Pozostałe zespoły mogły więc na zmianę wydobywać artefakty. Jeśli jednak Bielenda nie zakotwiczyłby nad rufą, znacznie trudniej byłoby wykonać nasz plan z powodu sposobu, w jaki wrak leżał na dnie i utrudnionego dostępu do różnych poziomów pokładu.

Prawidłowe kotwiczenie nie jest prostą sprawą. Kapitan musi tak sterować statkiem, by znaleźć się dokładnie nad wrakiem. W 1991 roku do użytku wszedł system radionawigacyjny Lorac-C*. Był to lądowy system sieci nadajników,

* W Polsce odpowiednik :prac-C był system Decca – przyp.tłum.

rozmieszczonych na wybrzeżu USA. Odbiornik na łodzi mierzył różnicę w czasie odbierania sygnału między stacją główną a dwoma innymi stacjami. Uzyskane w ten sposób dane nanosiło się na odpowiednią siatkę geograficzną znajdującą się na mapach morskich. Znajac matematyczne współrzędne wraku, można je było wprowadzić do systemu, a odbiornik przetwarzał dane i kierował statek w odpowiednie miejsce, działając na tej samej zasadzie, choć znacznie precyzyjniej, co kompas. Lorac-C pozwalał określić położenie wraku, z dokładnością do około piętnastu metrów. (Obecnie większość profesjonalistów na łodziach preferuje dokładniejszy system GPS - Globalny System Pozycjonowania. Odbiera on sygnały, nadawane z satelity i pozwala precyzyjnie namierzyć położenie wraku z dokładnością do jednego metra.)

Kiedy już łódź znajdzie się dostatecznie blisko wraku, kapitan łodzi nakazuje komuś z załogi rzucenie za burtę jasnego i niezatapialnego obiektu, na przykład dużej plastikowej butelki, do której przymocowana jest obciążona lina. Prowizoryczna bojka oznacza miejsce, wokół którego szuka się wraku. Służy do tego skaner, który wygląda jak mały telewizor z wyjątkiem tego, że wyświetla się na nim jedynie kontur dna i czasem mgławice ryb. Zarys ogromnego wraku jak „Andrea Doria” jest wyraźnie widoczny na ekranie skanera, ale tylko wtedy, gdy łódź znajduje się bezpośrednio nad nim.

Po wyrzuceniu butelki-bojki kapitan musi w jednej chwili ocenić kilka czynników: prędkość, z jaką ma się poruszać łódź, siłę i kierunek fal i prądów, siłę wiatru, pod który płynie łódź nurkowa, i wreszcie czas potrzebny do tego, by kotwica dotarła na dno. Manewrując łodzią, tak by zajęła właściwą pozycję i unosiła się z prądem nad wrakiem, kapitan wykrzykuje polecenie za załoganta na dziobie, w chwili gdy kotwica ma zostać rzucona. Najczęściej używa się zakrzywionej jak szpony kotwicy, do której przymocowany jest 3-6-metrowy łańcuch. Łańcuch z kolei połączony jest z grubą liną kotwiczną plecioną z nylonu. Jeśli ma szczęście, kotwica opadnie na dno i zdryfuje na wrak. Gdy łódź będzie dryfować nad wrakiem, kotwica zaczepi o jakiś jego fragment. Jeśli kotwica nie zaczepi o wrak, wciąga się ją na powierzchnię i całą procedurę powtarza.

Gdy kapitan ma pewność, że kotwica jest zabezpieczona, dwóch członków załogi

nurkuje wzdłuż niej i decyduje, czy zaczepiona jest we właściwym miejscu. Jeśli nie - a tak dzieje się w większości przypadków - członkowie załogi odczepiają ją z niemałym trudem od wraku, a potem umieszczają w miejscu wskazanym przez kapitana. Następnie bezpiecznie mocuje się kotwicę, a wokół niej i fragmentu wraku obwiązuje linę, aby mieć pewność, że nie obluzuje się i nie spowoduje zdryfowania łodzi. Podczas dłuższych wypraw, kiedy noc spędza się z dala od brzegu, lina może być za słaba, aby utrzymać kotwicę na miejscu, stosuje się więc masywną stalową szklę, podobną do ogromnej litery C, dopóki przez jej końce nie przeprowadzi się grubego metalowego pręta, wtedy przypomina literę D. Utrzymuje ona mocno kotwicę na wraku. Szklę wzmacnia się zwykle liną w ramach dodatkowego zabezpieczenia, na wypadek gdyby pręt się obluzował. Wyciągnięcie kotwicy po skończonym nurkowaniu wymaga zejścia nurka i ręcznego odczepienia.

John Reekie stał w pobliżu. John Moyer, członek załogi „Wahoo”, podszedł do Kanadyjczyka i spytał:

-Zauważyłem, że masz na sobie koszulkę Empress of Ireland. Jestem zainteresowany nurkowaniem na ten wrak. Byłeś na nim?

Reekie zmarszczył brwi.

-Czy na nim byłem? Prowadzę na niego regularne ekspedycje!

Empress of Ireland była liniowcem pasażerskim, który zatonął w rzece Św.

Wawrzyńca 29 maja 1914 roku, niedaleko wybrzeża Rimouski, w Quebecu. Życie straciło wówczas 1012 osób, co daje Empress drugie miejsce po Titanicu, jeśli chodzi o liczbę ofiar śmiertelnych w katastrofie morskiej w okresie pokoju. Wielu ludzi nazywało ją Wrakiem Armii Zbawienia, ponieważ duża liczba pasażerów na jej pokładzie wybierała się na konwent Armii Zbawienia w Anglii. Zimne kanadyjskie wody, silne prądy i niszczące wnętrze wraku sprawiały, że miejsce to budziło grozę - w połączeniu ze znajdującymi się tam eleganckimi artefaktami czyniło to ze statku jedno z najatrakcyjniejszych wraków do nurkowania na świecie.

-Tyle słyszałem o „Dorii”. Muszę sprawdzić, czy jest coś warta w porównaniu z Empress -rzucił Reekie. Obaj mężczyźni zaczęli dyskusję na temat szczegółów związanych z nurkowaniem na te dwa wraki. Wspólne zainteresowanie zatopionymi liniowcami oceanicznymi pozwoliło im nawiązać nie przyjaźni.

Moyer brał udział w wielu ekspedycjach nurkowych na wraki, zarówno jako członek załogi, jak i jako zwykły płacący nurek. Był kapitanem z licencją Straży Przybrzeżnej i jednocześnie jednym z najbardziej doświadczonych nurków wrakowych w północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych. W 1985 roku, kiedy przygotowywał się na ekspedycję, aby wydobyć jeden z dwóch dzwonów „Andrea Doria”, wystąpiły u niego bardzo poważne objawy choroby ciśnieniowej. Ponieważ sądzono, że dzwon „Doria” trzeba będzie odciąć od wraku, Moyer ćwiczył na lądzie z kapitanem łodzi nurkowej „Seeker”, Billem Nagelem, aby nabrać doświadczenia w podwodnym cięciu metalu spawarką. Później Moyer udał się z resztą grupy pod wodę, by w praktyce przećwiczyć technikę cięcia metalu na leżącym przy wybrzeżu New Jersey wraku, znajdującym się na głębokości 60 metrów. Goulandris był 110-metrowym frachtowcem, który zatonął w wyniku kolizji w 1942 roku. Fakt, że znajdował się blisko lądu i został gruntownie poznany, sprawiał, że nurkowie chętnie na nim ćwiczyli, a jego łatwo dostępne, kryte mosiądzem koło sterowe stanowiło lukratywne trofeum, którego zdobycie silnie motywowało nurków.

Kiedy Moyer wrócił po spawaniu na pokład łodzi Billa Nagela, ten zwykle silny mężczyzna czuł ogromne zmęczenie i potrzebował pomocy przy wchodzeniu po drabinie. Był jakby w letargu i tak zdezorientowany, że nie potrafił zdjąć swojego sprzętu, a nawet kombinezonu. Gary Gentile, weteran z Wietnamu, który odniósł poważne obrażenia od kul Vietkongu, doskonale znał uczucie bezradności i bólu - natychmiast pomógł przyjacielowi i zajął się koordynacją działań pozostałych osób. Po zdjęciu całego sprzętu Moyer został sprowadzony pod pokład do swojej koi. Położył się na niej i powiedział, że czuje ból, najpierw w ramionach, potem w łokciach, nadgarstkach i rękach. Gentile, który kiedyś przeszedł ciężki przypadek choroby ciśnieniowej wiedział, jak ważne jest podanie Moyerowi tlenu, aby nurek mógł wyeliminować pęcherzyki azotu ze swojego organizmu. Bez pomocy pęcherzyki mogły trwale okaleczyć Moyera albo nawet gorzej. Gentile pobiegł, by przynieść Moyerowi butlę z tlenem.

Helikopter Straży Przybrzeżnej zabrał Moyera z „Seekera” do szpitala, gdzie przeszedł on terapię dekompresyjną. Choć zewnętrznie nie widać było po Moyerze śladów choroby, powiedziano mu, by nie nurkował przez następnych kilka miesięcy,

dając swojemu ciału czas potrzebny do odzyskania zdrowia.

Podczas ekspedycji mającej na celu wydobycie dzwonu „Dorii” Moyer postanowił dołączyć do grupy, choć sam nie mógł nurkować. Moyer był prawdziwym graczem zespołowym i wystarczało mu asystowanie na powierzchni przy obsłudze łodzi, pomaganie nurkom przy nakładaniu sprzętu i udzielanie rad, jak wydobyć dzwon, kiedy wreszcie udało się go odnaleźć. Moyer pomagał we wciąganiu na łódź 226-kilogramowego, mosiężnego artefaktu, z wyrytym napisem Andrea Doria. Potem nadal nurkował z Nagelem i pracował na łodzi jako członek załogi. Ale przez następne dwa lata Moyer widział, jak Nagel coraz bardziej pogrąża się w alkoholowej otchłani. W 1987 roku Moyer poczuł, że Nagel stracił całkiem kontrolę nad piciem, przez co wyglądał, jakby zupełnie nie zależało mu na nurkach wynajmujących „Seekera”. Kiedy nurek zmarł podczas którejś ekspedycji „Seekera” na „Andrea Dorię”, Moyer zauważył, że Nagel ledwie zareagował. Moyer rzucił więc pracę na „Seekerze” i unikał jakichkolwiek kontaktów z Nagelem w czasie spotkań towarzyskich. Ale nazbyt kochał nurkowanie i nurków. Nadal pragnął pracować na łodziach nurkowych. Zwrócił się do Steve'a Bielendy z pytaniem o pracę na „Wahoo”, a Bielenda był aż nadto szczęśliwy, mogąc dołączyć kolejnego doświadczonego weterana do swojej załogi.

Gdy szum silników dieslowych przycichł do niskiego pomruku i łódź zwolniła, zrozumiałem, że znajdujemy się blisko „Andrea Dorii”. Chrissy podszedł do mnie, spojrzał na fale i powiedział z sarkazmem:

- Świetny dzień na nurkowanie!

Musieliśmy sobie sporo udowodnić.

6

Stalowa jaskinia

28 czerwca 1991. Na pokładzie łodzi nurkowej „Wahoo”, nad wrakiem „Andrea Dorii”.

Rouse'owie byli zdumieni uznaniem, jakie ich spotkało, gdy pasjonaci nurkowania wrakowego i jaskiniowego dowiedzieli się o ich udziale w ekspedycji Team Doria '91. Po raz pierwszy zasmakowali powszechnego podziwu i pochwał, choć już wcześniej zdobyli solidną reputację, dzięki swoim umiejętnościom nurkowym i entuzjazmowi.

Stojąc na pokładzie i rozmyślając nad tym, co znajdowało się pod dwu-, trzymetrowymi falami kołyszącymi „Wahoo”, Chris i Chrissy Rouse mogli na własne oczy przekonać się, dlaczego „Andrea Doria” zasłużyła na tytuł „Mount Everestu nurkowania z automatem”. Wrak spoczywał na głębokości 73 metrów i leżał na sterburcie, z kadłubem wzniesionym na głębokość 50 metrów. W najpłytszym punkcie kadłub znajdował się 10 metrów poniżej głębokości uznawanej za bezpieczną przez agencje szkoleniowe w USA, prowadzące kursy nurkowania rekreacyjnego z automatem. Wrak pod nami znajdował się w wyjątkowo nieprzyjemnym rejonie oceanu, gdzie pogoda często ulegała gwałtownej zmianie, zarówno na powierzchni, jak i pod wodą - tak jak tej mglistej nocy w 1956 roku, gdy „Andrea Doria” opadła na dno oceanu po kolizji. Mimo to wabił nas niczym syrena wzywająca do podjęcia wielkiego ryzyka i przeżycia niebezpiecznej przygody. W głębi „Dorii” leżało mnóstwo dzieł sztuki wykonanych przez włoskich artystów na specjalne zamówienie dla liniowca. Niektórzy z tych artystów już zmarli, a ich obrazy, rzeźby, treski ceramiczne i wazy miały obecnie wiele wyższą wartość niż w momencie zatonięcia „Dorii”. Niektóre z dzieł sztuki były jedyne w swoim rodzaju, a ich wartość bezcenna. Nawet tak pozornie prozaiczne przedmioty, jak talerze,

nabierały szczególnego znaczenia, gdy nurkowie wydobywali je z wnętrza liniowca oceanicznego, nazywanego Wielką Damą Morza. Eleganckie, smukłe linie statku przywodziły na myśl inne dzieła, stworzone w tym okresie i w odległej przeszłości przez włoskich mistrzów, począwszy od rzeźb i obrazów po architekturę, samochody i modę.

Chris i Chrissy wiedzieli, że przez samo nurkowanie na ten wrak dołączali do elitarnej ligi nurków. Steve Bielenda oceniał, że zaledwie około pięciuset osób nurkowało na wrak, od chwili, gdy luksusowy liniowiec zatonął w 1956 roku. Niektórzy z nich zginęli sześćdziesiąt metrów pod nami. Inni, ci, którzy pragnęli zminimalizować ryzyko, ale jednak zachować prawo do przechwałek, nie przywozili stamtąd artefaktów. Wystarczało im samo zejście na dno, dotknięcie wraka i powrót na powierzchnię ze wspomnieniem przygody jako jedynym trofeum. Ci, którym zależało na namacalnych dowodach, poświęcali wiele nurkowań na to, by zgromadzić doświadczenie konieczne do bezpiecznego wejścia do środka i wydobywania stamtąd cegokolwiek. Gdyby Chris i Chrissy zdołali nie tylko zanurkować na wrak, ale i przywieźć stamtąd jakiś artefakt, znaleźliby się w czołówce. Pionierskie techniki nurkowania jaskiniowego stanowiły o ich przewadze nad większością poważnych nurków na świecie. Wreszcie poczuli się spełnionymi sportowcami.

Stojąc w kabinie obserwowałem, jak Sally Warhman obiera ziemniaki do sałatki, która miała wejść w skład poczęstunku wykładanego dla wszystkich po nurkowaniu. Nie odwracając oczu od tego, co robi, powiedziała:

-Słuchaj Bernie, o co chodzi z tymi ogromnymi korytarzami wewnątrz wraku, o których opowiada część twoich nurków? Brzmi to jakby sądzili, że można nimi jeździć ciężarówką. One nie są tak duże. Mam nadzieję, że ostrzegłeś ich przed niebezpieczeństwem związanym z kablami i osadem.

-Tak, wiedzą o niebezpieczeństwie. Ale jak już się nurkowało w jaskiniach, korytarze we wrakach są dla ciebie dość przestronne, by rozłożyć linki i przeprowadzać głębokie penetracje —odpowiedziałem.

Sally przestała obierać ziemniaki i spojrzała na mnie.

-Ja tego po prostu nie rozumiem. Dlaczego chcecie płynąć przez cały wrak, jeśli

możecie znaleźć otwór koło miejsca, które chcecie spenetrować i dostać się do niego bezpośrednio?

- Hank zadał mi to samo pytanie - powiedziałem. Hank Garvin, członek załogi, nie mógł pojąć naszej fascynacji przepłynięciem przez wrak. Uważał, że wewnątrz należy spędzić tak mało czasu, jak tylko się da, a te przepełnione terrorem chwile służą wyłącznie zbieraniu artefaktów. Pozostawanie we wnętrzu wraku z jakiegokolwiek innego powodu było dla Garvina niepotrzebnym kokietowaniem niebezpieczeństwa. Najwyraźniej Sally miała podobne odczucia.

-Sally, w samym płynięciu przez wrak i jaskinię jest coś intrygującego. Oczywiście, miło znaleźć przy okazji jakiś artefakt, ale wspaniałe jest po prostu zobaczyć, co się tam znajduje.

Sally spojrzała na mnie jakbym jej powiedział, że w czyścicu jest mnóstwo wspaniałych restauracji. Wzruszyła ramionami i skupiła się na ziemniakach.

-Skoro tego potrzeba ci do szczęścia. Tylko bądź ostrożny.

Steve Bielenda zszedł po drabince ze sterówki „Wahoo” i wkroczył energicznie do głównej kajuty.

-Bernie, jesteśmy zakotwiczeni nad pierwszą klasą - powiedział. Poczulem rozczarowanie. Zakotwaczyliśmy dziesiątki metrów od miejsca, w którym według naszych planów miało się rozpocząć nurkowanie. Steve Bielenda i jego załoga dysponowali ogromnym doświadczeniem i szczycili się tym, że potrafią rzucić kotwicę w dowolnie wybranym przez siebie miejscu.

-A co z zakotwiczeniem nad rufą?

-Zapomnij o rufie, mamy szczęście, że w ogóle tu jesteśmy. Może zauważyłeś, że mamy naprawdę paskudną pogodę, kołysze nami jak diabli i jest bardzo silny prąd? Powinieneś się cieszyć, że w ogóle udało nam się przyczepić linę do wraku!

Poproszenie kapitana o przeniesienie liny kotwicznej opóźniłoby nasze nurkowania o następny dzień. Nie był to dobry pomysł, zważywszy pogodę, która łatwo mogła się zaostrzyć, zmuszając nas do pośpiesznego odwrotu. Chociaż nie bawił mnie taki rozwój wypadków, musieliśmy się do niego dostosować i zacząć nasze nurkowanie na „Andrea Dorii” od przedziału pierwszej klasy.

Zwróciłem się do nurków Team Dorii siedzących w kajucie.

-No dobra, chłopaki. Jesteśmy nad strefą pierwszej klasy, a nie trzeciej, jak wcześniej planowaliśmy. Na razie zejdziemy na dół i zobaczymy, jakie panują tam warunki i zorientujemy się w sytuacji przed kolejnymi nurkowaniami.

Na łodzi rozpoczęła się metodyczna krzątanina. Członkowie Team Dorii szukali swoich toreb nurkowych w zepchniętym na bok stosie leżącym na platformie, która służyła do zakładania sprzętu. Zazwyczaj załoganci pomagali pozostałym nurkom przy zakładaniu sprzętu i dopiero, gdy tamci znaleźli się w wodzie, sami zakładali skafandry. Aby zrobić miejsce na platformie dla wielu jednocześnie ubierających się nurków, wszystkie torby zostały zrzucone na jeden stos, na rufie łodzi, już i tak zapchanej pudłami ze sprzętem do nurkowania.

U góry burty przymocowano kilka rzędów butli nurkowych, które zabierały prawie metr ograniczonej powierzchni pokładu „Wahoo”. Sami Rouse'owie przywieźli ze sobą czterdzieści butli, do tego liczne pudła ze sprzętem, zawierające zapasowe części do każdego urządzenia, na wypadek, gdyby coś się popsło i wymagało wymiany. Nie chcieli dać pechowi, prześladowanej ich czarnej chmurze, kolejnej okazji do zepsucia im nurkowania na tym prestiżowym wraku. Byliby bardzo zażenowani, gdyby usterka sprzętowa powstrzymała ich przed nurkowaniem na „Dorię”. Niezależnie od szkód, jakie wieść o psującym się sprzęcie mogła wyrządzić ich dobrze się zapowiadającej firmie nurkowej, gdyby taka informacja rozprzestrzeniła się wśród nurków - dla Rouse'ów byłaby to osobista porażka, a na to nie mogli sobie pozwolić.

W czasie wyprawy miałem nurkować ze Stevem Foremanem, byłym członkiem zespołu Bilia Stone'a podczas wyprawy Wakulla Springs. Steve Foreman posiadał kartę instruktorską z numerem 106, najniższym wśród aktywnych instruktorów nurkowania jaskiniowego, z wyjątkiem Shecka Exley'a. Foreman nie lubił się chwalić i z pokorą podchodził do swoich licznych osiągnięć w nurkowaniu jaskiniowym. Jeśli jednak chodzi o nurkowanie wrakowe w zimnej wodzie nie miał dużego doświadczenia, dlatego poprosił Hanka Garvina, Steve'a Bielendę, Janet Bieser i Sally Warhman, by udzielili mu wskazówek, co do najlepszych strategii nurkowania na „Andrea Dorie”. Wszyscy członkowie załogi podziwiali postawę Foremana i zastanawiali się, czemu inni nurkowie Team Dorii nie przejawiają podobnego,

oczywistego, zdawałoby się, szacunku dla wraku i doświadczenia załogi, które było przecież bardzo duże, mimo że Garvin i jego koledzy z „Wahoo” nie używali poręczówek w czasie głębokich penetracji. Instruktor nurkowania jaskiniowego pozostawił trwałe, pozytywne wrażenie na całej załodze.

Foreman dopiero się ubierał, a ja ledwie mogłem usiedzieć na rozkołysanej łodzi, ponieważ miałem już na sobie cały sprzęt.

- Spotkamy się na wraku - krzyknąłem do Foremana, a ten zgodził się, żebym ruszył naprzód i rozwinął poręczówkę, po której miał mnie odnaleźć.

Zanurzając się wzdłuż liny kotwicznej już po chwili mogłem rozróżnić zarys ogromnego liniowca oceanicznego, rozprzestrzeniającego się przede mną w każdą stronę niczym przewrócony wieżowiec z iluminatorami. Niezależnie od tego, ile wraków miałem okazję podziwiać pod wodą, zawsze ze zdumieniem odkrywałem, że mogę przepłynąć przez coś, co kiedyś dumnie unosiło się na powierzchni. „Andrea Doria” była kiedyś pływającym miastem, a teraz rozpadała się na dnie oceanu. Jej ogromny rozmiar oznaczał, że nie będę mógł przepłynąć całej długości podczas jednego nurkowania, dzięki czemu przy każdym kolejnym nurkowaniu miałem coś nowego do odkrycia.

Lina kotwiczna została przymocowana do najpłycej położonego elementu statku. Rozejrzałem się dookoła, aby ocenić swoje położenie. Widoczność była dobra i sięgała około 12-15 metrów w każdą stronę. Woda miała lekko zielonkawy odcień, kontrastujący z rdzawoczerwoną stałą i białą kobierca anemonów, których czułki hipnotycznie kołysały się w wodzie. Anemony są stworzeniami, które żyją przytwierdzone do wraków. Wyglądają wprawdzie jak rośliny, ale w rzeczywistości są zwierzętami. Żywią się wychytując czułkami plankton i ikrę, które niesie prąd. Gdy tylko podpływałem do jakiegoś anemonu, jego białe czułki szybko cofały się w głąb ciała zwierzęcia wyglądającego jak miękkie, brązowe trzon grzyba. Reakcja obronna anemonów przypominała mi, że jestem intruzem w ich świecie.

Ponieważ widoczność na zewnątrz wraku była tak dobra, postanowiłem popłynąć w kierunku dziobu i przyjrzeć się mostkowi, centrum dowodzenia statkiem, z którego kapitan wydawał załodze rozkazy. Płynąc na zewnątrz wraku wszędzie widziałem rzędy iluminatorów. Wydawało się, że „Doria” ciągnie się w nieskończoność. Kiedy

ujrzałem skrzydło mostka nawigacyjnego, sterczące prostopadle do kadłuba, wiedziałem, że zbliżam się do celu. Oficerowie i obserwatorzy stawali na skrzydłach mostku, aby mieć lepszy widok na wszystkie obiekty, na które ich statek mógłby wpaść. Przepłynąłem obok skrzydła i spojrzałem w prawo. Przednia część kilku pokładów z wdziękiem opadała. Zatrzymałem się, unosząc się w wodzie przed mostkiem. Zajrzałem do środka i próbowałem sobie wyobrazić, co dokładnie się tu wydarzyło, co spowodowało fatalną w skutkach kolizję statku.

Steve Foreman podpłynął do mnie i pokazał mi ręką sygnał „OK”, który odwzajemniłem. Odnalazł mnie, płynąc wzdłuż poręczówki, którą poprowadziłem od liny kotwicznej. Obaj unosiliśmy się około dziewięciu metrów przed mostkiem, podziwiając eleganckie, smukłe linie statku i kontrastujące kolory. Zanurzyliśmy się do połowy zewnętrznej części mostka, na głębokość 60 metrów, i tam się zatrzymaliśmy. Czas płynął szybko, gdy podziwialiśmy różne części na zewnątrz wraku. Wkrótce Steve uniósł kciuki w górę, sygnalizując, że chce się wynurzyć, a ja skinąłem głową. Potem zasygnalizowałem, że zostanę na wraku i że może się wynurzyć sam. Pokazał mi „OK”, zawrócił i odpłynął.

Szukałem odpowiedniego miejsca, żeby wejść do środka wraku i udało mi się znaleźć potężny otwór, prowadzący do sali balowej, w sektorze pierwszej klasy. Wszystko wydawało się tkwić w bezruchu, a sama sala balowa była ogromna, jak jaskinia w Ginnie Springs. Jednak inaczej niż w Ginnie Springs, przez otwory, w których kiedyś zamontowane były okna, przedostawało się tu światło słoneczne. Opadłem na dno, unikając stołów przytwierdzonych do czegoś, co kiedyś było podłogą wraku, a teraz, ponieważ wrak leżał na burcie, tworzyło ścianę po mojej prawej. Zastanawiałem się, jacy sławni ludzie siedzieli przy tych stołach, zabawiając się w czasie pokonywania Oceanu Atlantyckiego, podróżując w sprawach zawodowych albo towarzyskich. Gdy opadłem niżej z przyjemnością przepłynąłem przez pokój, w którym kiedyś tańczyli i śmiali się ludzie. Wreszcie dopłynąłem do potężnego kopca osadu, z którego wystawały rury.

Szumiało mi w głowie, co było efektem narkozy azotowej - tym razem nurkowałem na powietrzu, ponieważ czułem się na nim swobodnie przy takiej głębokości.

Chociaż trimix zapewniłby mi jaśniejszy umysł, oznaczałby również konieczność

zabrania ze sobą większej liczby butli - jednej z gazem izolującym do mojego suchego kombinezonu i dwóch z gazami do dekompresji. Kiedy rozważyłem dodatkowe obciążenie, które musiałbym zabrać nurkując na miksie, i wziąłem pod uwagę niepewność schematów dekompresji na trimixie, postanowiłem uprościć sobie zadanie i nie zmieniać tego, co sprawdzało się w przeszłości. Postanowiłem oddychać powietrzem i użyć tlenu do dekompresji. Zimno dokuczało mi mimo termalnej izolacji, którą nosiłem pod suchym kombinezonem. Sprawdziłem mój głębokościomierz. Wyświetlał 72 metry. Prawie pięć kieliszków martini. Czułem się dobrze, a efekt martini dodawał mi pewności siebie.

Płynąc przy dnie, zauważyłem lekki zarys butelki. Otworzyłem moją torbę, delikatnie chwyciłem butelkę i wsadziłem ją do środka. Potem wsunąłem rękę w osad i sięgnąłem po następny artefakt. Osad był miękki i tak lekki, że mój ruch natychmiast wywołał chmurę brązowych cząsteczek, które zawirowały wokół mnie. Podczas tego nurkowania, inaczej niż w czasie nurkowania do składziku z naczyniami na USS „San Diego”, miałem ze sobą poręczówkę, a dzięki niej pewność, że zdołam odnaleźć drogę powrotną mimo kurtyny osadu wzburzonego kopaniem w poszukiwaniu artefaktów. Kiedy moja ręka zatęnęła po łokieć w osadzie, wyczułem kolejną butelkę i wydobyłem ją. Za trzecim razem wyłowilem słoje. Sięgając po raz czwarty, wyczułem duży, okrągły przedmiot. Nie mogłem go podnieść jedną ręką. Położyłem kołowrotek z poręczówką na dnie, obok siebie, chwyciłem przedmiot obiema rękami i wyciągnąłem z osadu. Nie wiedziałem, co to jest, ale włożyłem to do mojej torby, odkładając wszystko na dno.

Nie mogłem zobaczyć moich przyrządów nurkowych, ale instynktownie wiedziałem, że pora wracać. Chwyciłem kołowrotek i zacząłem płynąć zwijając poręczówkę. Rozpoczynając wynurzanie, sprawdziłem swoje komputery nurkowe. Spędziłem pod wodą trzydzieści dziewięć minut. Pierwszy przystanek dekompresyjny miałem na głębokości 18 metrów. Przyrządy do pomiaru czasu dekompresji wskazywały 99 minut, ale 99 minut było maksymalną wartością, którą mógł wyświetlić zewnętrzny zegar. Wewnętrzny rejestr był trzycyfrowy - czas dekompresji wynosił co najmniej godzinę i 39 minut.

Powoli wynurzałem się wzdłuż liny kotwicznej, podciągając się na niej jedną ręką.

Nie chciałem dostać się niespodziewanie w prąd i zostać zniesionym z dala od liny. Gdyby to się stało musiałbym odbyć dekompresję dryfując w oceanie, a potem, po wynurzeniu, znalazłbym się poza polem widzenia „Wahoo” i mógłbym mówić o wielkim szczęściu, gdyby odnaleziono mnie żywego. Sprawdzałem ciągle wskazania moich komputerów podczas wynurzania i gdy znalazłem się na głębokości 18 metrów, przymocowałem jonline'a do liny kotwicznej, potem przełożyłem lewy nadgarstek przez pętlę na moim końcu liny i złapałem ją ręką. Lina kotwiczna unosiła się i opadała, ale dzięki sprytnemu wynalazkowi Jona Hulburta (który notabene był członkiem załogi „Wahoo” podczas tej ekspedycji) utrzymywałem się na 18 metrach. Na tej głębokości musiałem się poddać dekompresji tylko przez pięć minut, a potem wyświetlacz komputera pokazał 15 metrów - obok tego była strzałka, a nad nią pozioma linia. To oznaczało, że mam pułap 15 metrów i mogę się wynurzyć tylko do tej głębokości, nie płycej. Poluzowałem węzeł joneline'a i przesunąłem się do góry wzdłuż liny kotwicznej. Kiedy znalazłem się na głębokości 16 metrów, ponownie zacisnąłem węzeł jonline'a i pozwoliłem, by lekki prąd zniósł mnie nieco do tyłu jak astronaute na końcu liny asekuracyjnej. Unosiłem się w wodzie, twarzą w dół, równoległe do niewidocznego piaszczystego dna znajdującego się 57 metrów pod mną.

Moja strategia na spędzenie nadchodzących kilku godzin dekompresji polegała na odprężeniu się i rozkoszowaniu uczuciem nieważkiego unoszenia się w wodzie, z umysłem pogrążonym w medytacji. Ważne było jednak, żebym pozostał przytomny, nie mogłem się zrelaksować do tego stopnia, by zasnąć. Gdybym to zrobił, ciśnienie krwi, oddychanie i ogólne funkcje życiowe uległyby spowolnieniu i nie mógłbym się efektywnie pozbyć nadmiaru azotu z mojego organizmu. Skoncentrowałem się na rytmie oddychania i obserwowałem morskie życie unoszące się obok mnie, zadowolony i przytomny. W odróżnieniu od Steva Bermana i Johna Reckiego nie potrzebowałem podwodnego stereo i unikałem używania go. Być może związane to było z tym, że mieszkałem na Manhattanie, gdzie wciąż otaczał mnie hałas. Pod wodą uspokajał mnie kojący odgłos oddychania: najpierw szszszsz, kiedy wdychałem, wciągając powietrze przez automat, a potem bulgotanie bąbelków przy wydechu.

Moim jedynym prawdziwym zmartwieniem podczas dekompresji była obawa przed oparzeniem przez meduzę. Chociaż meduza nie mogła mnie oparzyć przez neoprenowy, gumowy suchy kombinezon, rękawice, kaptur, to miałem odsłonięte wargi. Czasem długie włókna parzydełek dryfowały w moim kierunku i musiałem delikatnie mącić wodę, by stworzyć prąd, który zabierze je dalej. Jeśli jakaś meduza podpływała do mnie, brałem ją na otwartą dłoń, podziwiając piękno jej przezroczystego ciała i potężne skurcze, dzięki którym mogła rzucać się do przodu. Po chwili delikatnie przesuwalem rękę na bok, z wciąż leżącą na niej meduzą i pozwalałem jej odpłynąć ku własnemu przeznaczeniu. Sama lina kotwiczna często była przeszkodą dla czulek meduz i musiałem uważać przy jej chwytaniu, żeby do mojej rękawicy nie przyczepiło się parzydełko. Mógłbym potem niechcący potrzeć wargi rękawicą, na przykład w czasie zmiany automatów. Mimo że parzydełka nie były już związane z ciałem meduzy, ich komórki parzydełkowe, nazywane nematocystami, nadal były aktywne i mogły poparzyć mi usta. W poważnej sytuacji moje usta spuchłyby i stały się bardzo czerwone, jak po ukąszeniu przez pszczołę. Oparzenia na ustach spowodowane przez meduzę nie należały do rzadkości i inni nurkowie byli narażeni na ten sam dyskomfort. Spędziłem pod wodą trzy godziny i czternaście minut, a potem się wynurzyłem, popłynąłem do rufy „Wahoo” i wyostałem się z wody.

- Ci twoi badacze nie czują się najlepiej - powiedział Steve Bielenda, jak tylko mnie zobaczył. Okazało się, że Karl Huggins i Mike Emmerman, zajmujący się badaniami nad dekompresją, zostali obezwładnieni przez chorobą morską. Bładzi jak ściana leżeli na podłodze w kajucie „Wahoo”. Czasem tylko wstawali i chwiejnym krokiem podchodzili do relingu, skąd wymiotowali do morza. Byli zbyt chorzy, by zbadać mnie pod kątem objawów obecności pęcherzyków azotu w krwiobiegu. Zdołali zbadać kilku tylko nurków, w przerwach między atakami mdłości, zanim się poddali i poszli do kajuty położyć się. Byłem rozczarowany, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że taka jest natura nurkowania i przeprowadzania badań. Nie ma żadnych gwarancji. Mimo postępów technologicznych, istoty ludzkie nadal są ograniczone przez swoje fizyczne i umysłowe możliwości, odwagę, pojemność płuc, motywację... Bez wiedzy uczestników wyprawy Team Doria John Moyer, członek załogi

„Wahoo”, penetrował sektor pierwszej klasy w poszukiwaniu drugiego dzwonu „Dorii” i fresku Guido Gambone, artysty tworzącego pod wpływem Picassa. Fresk był największym dziełem, jakie sławny, zmarły artysta kiedykolwiek stworzył. Wykonany z ceramiki, ulubionego materiału Gambone, zakrywał całą Ścianę wewnątrz statku, przypominając sztukę starożytnych Etrusków. Przesłanie tego dzieła nadal pozostaje tajemnicą dla ekspertów. Jest ono niemal bezcenne, ale Moyer nie szukał go dla pieniędzy. Chciał raczej ocalić kawałek piękna, który w innym przypadku przepadłby na zawsze wraz ze stalowym statkiem zniszczonym w końcu przez połączone siły burz i reakcji chemicznych zachodzących między stalą a słoną wodą.

Właściwym celem Moyera było spełnienie marzenia, które dzielił z wieloma entuzjastami nurkowania: chciał utworzyć stałe muzeum „Andrea Dorii”, w którym ludzie mogliby zobaczyć artefakty wydobyte ze statku i dowiedzieć się czegoś więcej o wraku, jego fatalnej podróży, eleganckim wykonaniu i sztuce. Moyer miał nadzieję, że fresk i drugi dzwon staną się eksponatami w przyszłym muzeum.

Chociaż w zasadzie wiedziałem o jego ambicjach, nie miałem pojęcia, że przeszukuje „Dorię” na tej ekspedycji. Jakkolwiek szlachetne były pobudki Moyera, nie wyjawiał nam swoich zamiarów. Współzawodnictwo między nurkami w zdobywaniu artefaktów było silne, ktoś inny mógł się pojawić i zdobyć łupy, na które Moyer tak długo i ciężko polował. Szczególnie silne współzawodnictwo w zdobywaniu artefaktów z „Dorii” kwitło między łodzią Bilia Nagela „Seekerem” a „Wahoo” Steve’a Bielendy. Podczas jednej z wypraw „Seekera” na „Dorię”, kiedy Moyer nie pracował dla w załodze Nagela, John Chatterton i inni nurkowie znaleźli składzik z naczyniami wysypującymi się na korytarz. Chociaż nurkowie z „Seekera” wynieśli setki artefaktów z tego składziku podczas dwóch wypraw, nie mieli dość czasu, by wy dostać wszystko.

Więść o dobrej passie „Seekera” rozniosła się, gdy statek przybył do portu między dwiema ekspedycjami. „Wahoo” miał już wtedy zaplanowaną ekspedycję i kiedy jego załoga usłyszała o składziku z naczyniami, postanowiła zdobyć swoją część artefaktów. Ale załoga „Seekera” miała co do nich inne plany: Chatterton zanurkował na wrak i umieścił metalową kratę nad otworem, przez który nurkowie mogli

najłatwiej dostać się do wnętrza wraku i trafić niemal wprost na składzik. Zablokowanie wejścia przed nurkami z „Wahoo” im nie wystarczyło i załoga „Seekera” poszła krok dalej. Zabrali na dół znak i przymocowali go do zakratowanego otworu. Na znaku napisane było: ZAMKNIĘTE Z POWODU INWENTARYZACJI. SEEKER. Gdy łódź Nagela opuszczała miejsce, wszyscy na pokładzie nie źle się uśmieali, ostrożnie pakując swoje cenne artefakty, by zapobiec ich uszkodzeniu podczas długiej podróży powrotnej.

Nurkowie z „Wahoo” nie zrazili się przyspawaną kratą blokującą wejście. Znak tylko wzmocnił ich determinację, by obrócić w niwecz wysiłki swoich rywali Hank Garvin i Richie Kohler zanurkowali przez ten otwór. Kohler zdjął swoją butlę i przecisnął się między kratami do wraku. Wtedy Garvin podał mu jego butlę przez niżej położony otwór. Kohler założył ją na plecy i ruszył w stronę pomieszczenia z artefaktami. Gdy napełnił torbę naczyniami, Kohler popłynął z powrotem, wręczył artefakty Garwinowi, ponownie zdjął swoją butlę i podał ją przez otwór, a na koniec sam się przecisnął. Garvin pomógł Kohlerowi założyć butlę na plecy i obaj się wynurzyli zadowoleni z udaremnienia wysiłków Chattertona i całej załogi „Seekera”. Podczas ich następnego nurkowania Garvin i Kohler zabrali znak „Seekera”, dodając go do swoich trofeów, a na jego miejscu umieścili własny. Był na nim napis:

INWENTARYZACJA SKOŃCZONA. WAHOO.

Przed ekspedycją Team Doria '91, Moyer zwierzył się ze swoich planów swojemu szefowi Steve'owi Bielendzie oraz Billowi Deansowi, dla którego pracował w Key West Diver, ośrodku nurkowania technicznego na Florydzie. Billy Deans zabrał ze sobą Aqua-zeppa, podwodny skuter, który wyglądał jak torpeda z rączkami po bokach i przyspawaną u góry kratką w kształcie litery T. Pod wodą Deans leżał twarzą do przodu na Aqua-zeppic, w pozycji motocyklisty na wyścigach.

Przypominające pocisk urządzenie poruszało się w wodzie tak szybko, że potrzebował kratki T, żeby zaczepić o nią nogi i nie stracić panowania nad maszyną. Moyer trzymał się kostek Deansa i był przez niego ciągnięty. Gdy chciał, żeby Deans się zatrzymał i zaparkował Aqua-zeppa na wraku, sygnalizował to pociągnięciem. Kiedy zaparkowali skuter, obaj nurkowie wpłynęli do wraku i przeszukali sektor pierwszej klasy. Choć nie znaleźli drugiego dzwonu „Dorii”, odnaleźli fresk

Gambone. Jego ogromne rozmiary i waga oznaczały, że musieli zorganizować własną wyprawę, by wydobyć ten skarb.

Gdy zdjąłem z siebie sprzęt do nurkowania. Chris Rouse podszedł do mnie i powiedział:

- Powinieneś porozmawiać z Wingsem. Jest naprawdę wkurzony.
- Czemu? - spytałem.
- Nie podoba mu się kilka rzeczy, ale naprawdę wkurzyło go to, że rozbił artefakt, bo nikt z załogi mu nie pomógł.

Podszedłem do Wingsa, który, sądząc po grymasie na jego twarzy, był wyraźnie poruszony.

- Wings, co się stało?
- Pieprzona załoga. Jedyne, co ich obchodzi, to ich własne nurkowanie. Myślałem, że są tu po to, żeby nam pomagać. Kiedy się wdrapywałem po drabince, wrzeszczałem, żeby ktoś mi pomógł, ale nikt się nie pojawił.
- Może cię nie słyszeli?

Wings spojrzał na mnie rozwścieczony.

-Obowiązkiem załogi jest zobaczyć nurka, kiedy się wynurza. Ktoś powinien tu być. Żebym nie musiał krzyczeć.

Długa broda Wingsa zatrzęsała się ze wzburzenia.

- W ogóle całe nastawienie tutaj jest do dupy. Człowieku, ci ludzie nie utrzymaliby się na rynku, gdyby byli w Kalifornii! Tylko na to popatrz! - Wings sięgnął do swojej torby i wyciągnął kilka kawałków długiego, rzeźbionego białego szkła i dziwnie ukształtowany kawałek brązu.
- Wow! - krzyknąłem. - Wygląda niesamowicie. Ale co to jest?
- To była ścienna waza na kwiaty z męskiej łazienki. Zdjąłem ją nietkniętą ze ściany, ale potłukła się, gdy szarpało mną na drabince. Gdybym miał do pomocy kogoś z załogi, miałbym ładny, nietknięty artefakt - mruknął Wings. Pochylił się nad platformą, której używaliśmy do zakładania sprzętu przed nurkowaniem i położył na niej szkło, łącząc kawałki jak elementy układanki.
- Widzisz, tak to wyglądało - powiedział. - Myślę, że mogę to posklejać, ale nie będzie już takie samo. - Zabrzmiało jak chłopiec z zepsutą zabawką, ale świetnie

rozumiałem, co czuł.

-Tak, masz rację. Ale przynajmniej coś ci się udało zdobyć. Pogadam z Bielendą i zobaczymy, co da się zrobić, żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło.

-Na łodzi jest wystarczająco liczna załoga, żeby brak rąk do pomocy nie był problemem - odpowiedziałem.

Gdy Reekie wspinał się po rozkołysanej drabince, wręczył swoją torbę Garwinowi.

-Uważaj z tym! - krzyknął Reekie. - W torbie jest szklana misa. Nie potłucz. Gdy Reekie znalazł się z powrotem na pokładzie statku, podszedł do plastikowego bębna, w którym Garvin zostawił jego torbę na przechowanie, i wyciągnął szklaną misę.

Była ogromna i sprawiała wrażenie idealnej do ponczu, z górną obwódką powycinaną w serię połączonych półkoli. Ale Reekie był rozczarowany nie znajdując nigdzie na szkle wygrawerowanego napisu ITALIA z koroną, emblematu przedsiębiorstwa, będącego właścicielem „Andrea Dorii”. Hulburt dokładnie przyjrzał się misie.

- Skąd to wzięłeś?

- Z kuchni - odparł naburmuszony Reekie.

- Byłeś w kuchni? - Hulburt był bardziej niż zdziwiony.

-Tak, zerknąłem na plany pokładu, a potem wpłynąłem do środka. Ten wrak jest większy niż „Empress”, ale mimo wszystko ma tę samą budowę - powiedział Reekie mając na myśli swój ulubiony wrak „Empress of Ireland”, który spoczywał na dnie zatoki Świętego Wawrzyńca.

Podziwiając misę, Hulburt wykrzyknął;

- Niewiarygodne! Ja nurkowałem pięć lat na „Dorię” nim poczułem się na tyle pewnie, by płynąć tam, gdzie ty się udałeś podczas swojego pierwszego nurkowania.

- Cóż, zawsze dobrze jest mieć przy sobie linę - powiedział mu Reekie. Gavin, przysłuchujący się rozmowie dwóch mężczyzn, przewrócił oczami, słysząc, jak Reekie wspomina o poręczówce. Chris Rouse spojrział znad ramienia Reekiego.

- Szkoda, że nam się nie udało nic wydobyć. Chrissy skrzywił się na ojca.

- Może by się udało, gdybyś nie był takim łamagą i się nie zaplątał.

-Dobra chłopaki, co się właściwie wydarzyło podczas tego nurkowania? -spytałem

trochę zaniepokojony.

Okazało się, że Chris zaplątał się w przezroczystą żyłkę, używaną przez rybaków, która przyczepia się do wraku, gdy rybacy zawadzają o niego kotwicą, przerywając swoje liny. Żyłki są na wszystkich wrakach i wplątują się w nie nawet najostrożniejsi nurkowie. Gdy Chris próbował odciąć od siebie żyłkę, zaplątał się w poręczówkę. Chrissy pomógł ojcu, ale zajęło to trochę czasu. W chaosie porzucili kołowrotek, leżący na wraku, nieopodal liny kotwicznej. Zaoferowałem, że wydobędę kołowrotek podczas następnego nurkowania.

-Nie, sami go wydostaniemy. Nie można tak po prostu zostawiać swojego sprzętu na dnie - powiedział Chris z oburzeniem.

Przypomniał mi się komentarz Steve'a Bielendy sprzed roku, kiedy narzekałem, że zostawiłem w „Dorii swoją torbę” zawierającą kołowrotek i latarkę, podczas mojego trzeciego nurkowania ze Steve'm Bermanem, kiedy to on chciał opuścić wrak, a ja zaplątałem się w poręczówkę. Bielenda roześmiał się wtedy i zauważył rzeczowo:

-Jeśli niczego nie zostawiłeś na dnie, niczego nie robiłeś pod wodą! Wszyscy zostawiliśmy za sobą mnóstwo rzeczy w oceanie.

Reekie spojrział na Rouse'ów i rzucił szybko:

-Niby dlaczego nie możecie zostawić kołowrotka na wraku? Na dnie leży przecież cała kupa gówna. Co za różnica, czy będzie tam leżał jeden kołowrotek więcej, czy mniej?

Słyszając to Chrissy postanowił przypuścić swój własny atak na ojca.

-Właśnie. Do tego zostawiłeś tam jeszcze swojego stage'a. Czemu go nie zabrałeś na powierzchnię? Butla z automatem jest warta wiele więcej niż kołowrotek.

Chris zacisnął zęby i odwrócił się do syna.

-Co? Ty to masz tupet! - wskazał palcem w jego stronę. - To ty miałeś wydobyć tę butlę. Tyją tam zostawiłeś! Nie próbuj nawet tego zwalić na mnie!

Kłótnia błyskawicznie nabierała tempa. Wszedłem między dwóch nurków.

-OK, OK, dajcie spokój. Wydostaniecie butlę przy następnym nurkowaniu. Cholera, sam ją mogę przynieść, jeśli chcecie.

Mój chwyt zadziałał. Odwróciłem uwagę Rouse'ów od wzajemnego atakowania się, sugerując, że ktoś inny mógłby wydostać z wody ich sprzęt. To było nie do przyjęcia.

-Nie, nie. Sami wydostaniemy butlę - powiedział Chris. - Dzięki, ale poradzimy sobie z naszym sprzętem.

Nie bytem w najlepszym nastroju zostawiając Rouse'ów. Ich dzikie, podwodne wybryki były jeszcze jedną rzeczą, o którą musiałem się martwić. Pogoda była zła i gdyby nie to, że wszyscy na pokładzie mieli duże doświadczenie, Steve Bielenda nawet nie brałby pod uwagę płynięcia w ten rejon, po tym jak zobaczył, jakie warunki atmosferyczne panują na morzu. Wobec zaistniałej sytuacji często naradzaliśmy się wspólnie na temat pogody. Wierzyłem, że Bielenda nie podejmie niepotrzebnego ryzyka - w końcu był kapitanem morskim już od wielu lat. Mimo to, obaj staraliśmy się wykorzystać tę wyprawę do granic możliwości. Tego popołudnia łódź kołysała się gwałtownie i z frustracją obserwowałem, próbując zjeść przygotowany przez Sally posiłek, jak groszek stacza się z mojego talerza na podłogę kajuty niczym rozsypane koraliki. Chociaż wszyscy na pokładzie nie źle się uśmieali z tego, że Sally podała nam groszek przy takiej pogodzie, turlająca się żywność podkreślała, jak wzburzone jest morze. Odwróciłem wzrok od groszku i wyjrzałem przez okno kajuty.

Kiedy byliśmy w zagłębieniu między dwiema falami i nacierały na nas większe bałwany, jedyne co mogłem zobaczyć, to ściana wody górująca nad łodzią.

Przypomniała mi się scena z filmu „Po tragedii Posejdona”, w której w burcie olbrzymiego liniowca oceanicznego uderza pojedyncza, masywna fala i wywraca statek dnem do góry.

Gdy Rouse'owie żartowali, że groszek zawsze mogą zjeść nasi cierpiący na chorobę morską badacze, Bielenda relacjonował nam, że według raportu pogodowego warunki na morzu nie będą się pogarszać i prawdopodobnie morze się uspokoi.

Postanowiliśmy zostać na noc nad wrakiem. Załoga miała pełnić wachty przy radarze, aby upewnić się, że nie zderzy się z nami jakiś statek. Obszar oceanu, w którym się znajdowaliśmy, nazywał się „strefą oddzielającą”, ponieważ oddzielał szlaki żeglugowe wiodące do portu Nowego Jorku. Są one zaznaczone na mapach nawigacyjnych jako jasnobrązowe pasma, przypominające autostrady przecinające ciemnoniebieski ocean na południe od Long Island. Północny jasnobrązowy pas oznacza szlak zaprojektowany dla statków wszelkich rozmiarów i bander z całego

świata, które wpływają na wody terytorialne Stanów Zjednoczonych ze wschodu. Południowy pas jest przeznaczony dla statków wypływających ze Stanów w kierunku Europy. Mimo że ogromne frachtowce i tankowce nie powinny teoretycznie znajdować się w strefie oddzielającej, często w ciągu dnia widywaliśmy te dyszące parą potwory w pobliżu naszej karłowatej, w porównaniu z nimi, łodzi nurkowej. Czujność załogi przy radarze była sprawą podstawową. Nikt nie chciał, by „Wahoo” skończyło na dnie oceanu obok „Dorii”. Podczas pewnej nocnej wachty Janet Bieser wielokrotnie nadawała komunikat przez radio do frachtowca płynącego na kolizyjnym kursie z zakotwiczonym „Wahoo”. Kiedy my, nurkowie, spaliśmy w naszych kojach nieświadomi zbliżającego się niebezpieczeństwa, frachtowiec kontynuował swój kurs, dopóki wściekła Janet nie wykrzyknęła polecenia przez mikrofon radia, świecąc w tym samym czasie latarką w stronę nadpływającego statku. Gdy frachtowiec znalazł się w odległości 460 metrów, Janet zauważyła na radarze „Wahoo”, że masywny statek zaczyna zmieniać kurs. Odetchnęła z ulgą wiedząc, że jeśli szybko poruszający się frachtowiec nie skorygowałby swojego kursu w tym momencie, musiałyby odciąć linę kotwiczną „Wahoo”, by uniknąć zderzenia i zatonięcia łodzi. Gdyby ludzie na mostku frachtowca spali, kolizja nie obudziłaby ich, ponieważ nie odczuliby nawet uderzenia, tak jak wielki, biały rekin nic nie czuje uderzając plankton.

Bez przeszkód spałem w swoim śpiworze na jednej z dużych, podwójnie szerokich koi znajdujących się poniżej głównej kajuty, tam, gdzie spała również cała załoga. Steve Bielenda zawsze rezerwował te przestronne koje dla załogi, a mi przydzielił tu miejsce dlatego, że byłem organizatorem całej ekspedycji. Zazwyczaj spałem w pomieszczeniu sypialnym na rufie, do którego wchodziło się przez właz.

Przypominało ono budę dla psa ze stromymi drewnianymi schodami. Chociaż na przedzie znajdowała się przestronniejsza kajuta z kojami, ja byłem przesądny.

Wolałem małą drewnianą koję na rufie, powszechnie nazywaną „półką na wino” z powodu jej wąskich, ograniczonych rozmiarów. Sypiałem na „półce” w czasie wyprawy na „Dorię” w 1990 roku. Nurkowałem wtedy z Bermanem i obaj mieliśmy wówczas dużo szczęścia.

Kiedy obudziłem się po walce, jaką Janet stoczyła z frachtowcem, morze nadal

kołysało „Wahoo”, tak samo intensywnie, jak poprzedniego dnia. Choć fale nie zmalowały, to wcale się też nie powiększyły. Postanowiłem spojrzeć na sprawy optymistycznie. Trochę się jednak martwiłem. To nie były dobre warunki do nurkowania. Nie chciałem, żeby ktoś odniósł obrażenia albo zginął, ponieważ przekroczyłem granice i pozwoliłem na kontynuowanie nurkowania. Wiedziałem, że niektórzy nurkowie, mimo że nie czują się dość pewnie w warunkach morskich, nie chcą stracić twarzy i będą nurkować, jeśli da im się taką szansę. Najbardziej martwiłem się o najmniej doświadczonego nurka w naszym gronie. Nie zdołał on przeprowadzić wszystkich koniecznych planowanych nurkowań do tej ekspedycji, a to pozostawiało go niestety nieprzygotowanym na inne warunki pogodowe niż najlepsze. Sally powiedział mi, że podczas swojego nurkowania poprzedniego dnia, miał problemy na wzburzonej powierzchni. Kiedy zanurzył się na 6 metrów zdał sobie sprawę z tego, jak trudna będzie jego dekompresja i zrezygnował z nurkowania na „Dorie”. Kiedy opowiedział mi o swoim nurkowaniu, było mi przykro, że nie zobaczył wraku, ale ulżyło mi również, bo podjął słuszną decyzję i bezpiecznie wrócił na pokład „Wahoo”. Teraz rozmawiałem z nim, żeby dowiedzieć się, czy dziś również planuje nurkować.

- Zamierzasz zejść na dół? - spytał mnie lekko podenerwowanym głosem, dzielny mały chłopiec, który zrobi wszystko, co zrobił jego starszy brat. Nie chciałem, żeby nurkował, ale właściwie nie mogłem oczekiwać, że zrezygnuje, jeśli ja sam zamierzałem zejść.

- Nie. Sądzę, że dziś to byłoby zbyt duże ryzyko - powiedziałem. - Wolę zachować ostrożność i zostać na pokładzie.

-Ja chyba też tak zrobię - powiedział. Mogłem wyczytać z jego twarzy, jak bardzo mu ulżyło. Mnie zresztą też. Choć byłem rozczarowany rezygnując z okazji zebrania większej liczby artefaktów, nie chciałem, żeby ten żółtodziób nurkował w warunkach, z jakimi nigdy wcześniej się nie zetknął i by ryzykował życiem idąc w moje ślady.

W tym czasie Rouse'owie zakładali sprzęt, a kołysząca się łódź zmuszała ich do większej koncentracji i ostrożnego poruszania się po zagraconym pokładzie w czasie kompletowania sprzętu. Co jakiś czas przerywali swoje zajęcia i jeden pytał

drugiego, jak sądzi, ile jeszcze czasu zajmie przygotowanie się do nurkowania. Taka pogoda miała przynajmniej jedną dobrą stronę, powstrzymywała Rouse'ów od sprzeczek przed nurkowaniem. Pomogłem Chrisowi przy jego spręcie, życzyłem im obu dobrego nurkowania i patrzyłem, jak wskakują do wody. Gdy Rouse'owie znaleźli się pod wodą, ponownie naradziłem się ze Stevem Bielendą na temat pogody. Utkwił we mnie swoje jasnoblękitne oczy i powiedział.

-Jesteśmy na rozstaju dróg. Jeśli tu zostaniemy, możemy mieć przed sobą naprawdę ciężką noc. Decyzja należy do ciebie.

Wyjrzałem spoglądając na fale, a potem z powrotem na siwowłosego kapitana morskiego, którego twarz pokrywał teraz kilkudniowy zarost. Jeśli miało być ciężej niż poprzedniej nocy, nie chciałem brać w tym udziału. Gdybyśmy teraz odpłynęli, żadne wyniki badań nad dekompresją nie zostałyby odnotowane. Huggins i Emmerman, teraz bladzi i wyczerpani, po dwóch ciężkich dniach mdłości, nie zdołaliby w końcu złapać równowagi na statku, nie przetestowaliby wskaźników, które zaznaczyli na naszych ciałach. Ja sam wróciłbym bez trofeów z wyjątkiem kilku butelek, które zabrałem poprzedniego dnia. I jako lider tej przedwcześnie skróconej wyprawy może zyskałbym reputację rozsądnego i ostrożnego, ale nie wróciłbym do domu wymachując tryumfalnie poręczówką i trofeami, z przydatnymi badaniami nad techniką nurkowania wrakowego na miksach. Z drugiej strony, warunki atmosferyczne były tak złe, że nie mogliśmy zakotwiczyć w tym miejscu, w którym chcieliśmy nurkować, przez co pozostało nam tylko nurkowanie parami, bez możliwości koordynowania wspólnego wysiłku poprowadzenia poręczówki w głównych przejściach, tak jak to wcześniej zostało zaplanowane.

Chociaż była to trudna decyzja, mogłem zrobić tylko jedno. Odwróciłem się do Bielendy i powiedziałem:

- OK, wystarczy. Zaczekajmy, aż chłopaki się wynurzą, a potem płyniemy w stronę Block Island..
- OK, ale jeśli to zrobimy, nie wrócimy jutro nad „Dorie”. Nie będziemy mieć dość czasu ani paliwa. Możemy popłynąć nad inny wrak, bliżej brzegu, jeśli warunki pogodowe się poprawią.

Zgodziłem się.

Odwracając się od ogorzałej twarzy kapitana morskiego, westchnąłem rozczarowany. Przeprowadziłem tylko jedno nurkowanie, a większość chłopaków kończyła właśnie swoje drugie. Przerwanie ekspedycji było jednak słuszną decyzją. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

Rouse'owie wynurzyli się w półtorej godziny, po rozpoczęciu nurkowania -jak na nich było ono stosunkowo krótkie. W tym czasie morze się uspokoiło i nawet wyszło słońce. Obawiałem się, że podjąłem złą decyzję o odpłynięciu. W wodzie został już tylko jeden nurek. Kiedy Jon Hulburt się wynurzył, pozostali członkowie załogi powiedzieli mu, że odpływamy. Przez maskę jego oczy wyrażały zdumienie. Gdy ten weteran nurkowania wspiął się po drabince na łódź, spojrzał wprost na mnie i powiedział:

-Co? Odpływamy teraz? Świetny moment, właśnie kiedy zaczęło się uspokajać. Kto podjął tę błyskotliwą decyzję?

Nic nie odpowiedziałem. Miałem nadzieję, że czas zrehabilituje moją decyzję o odwołaniu. Gdy Rouse'owie zdjęli swój sprzęt, usłyszałem, jak się kłócą, tak jak po swoim ostatnim nurkowaniu.

-Co się stało tym razem?— spytałem, chociaż ze słońcem radośnie przygrzewającym mi w plecy wcale nie miałem ochoty usłyszeć odpowiedzi.

Chris odwrócił się i spojrzał na mnie.

Spokojnie sobie nurkowaliśmy. Penetrowaliśmy wrak na głębokości około 27 metrów. Kiedy wydostaliśmy się z wraku, junior postanowił upuścić kołowrotek, który opadł na dno.

Chrissy potrząsnął głową, a jego długie, mokre włosy opadły do góry i w dół.

- Niczego nie postanowiłem. To był wypadek.

Chrissy spojrzał oburzony na syna.

- Jasne, ale mogłeś znaleźć jakieś lepsze miejsce na ten wypadek. Upuściłeś kołowrotek nad paskudną siecią rybacką. A potem jeszcze się w nią zaplątałeś próbując go wydostać.

Chrissy najwyraźniej nie chciał się dać wyprzedzić w dokonaniach ojca, który zaplątał się podczas poprzedniego nurkowania. Tym razem zamiast starszego Rouse'a to syn potrzebował pomocy w wydostaniu się na wolność.

Rouse'owie, będąc nurkami jaskiniowymi do szpiku kości, wiedzieli, że kołowrotek z poręczówką może ocalić im życie pod wodą. Demonstrując więcej niż sentymentalne przywiązanie do kołowrotka, ryzykowali życiem, by go wydostać zamiast go zostawić i wynurzyć się. Byłem zaniepokojony. Zaplątałeś się w sieci?

Chrissy odpowiedział niedbal.

-Tak, zupełna kicha. Musiałem się uwolnić nożem, a kiedy mi się udało, zaplątałem się w linkę z naszego kołowrotka i ją też musiałem pociąć.

- Dlaczego po prostu nie zostawiłeś kołowrotka? To tylko element wyposażenia. I tak przecież produkujesz te rzeczy w firmie. Jak dużo może kosztować coś takiego? 5, 10 dolarów? A ile jest warte twoje życie?

- Każdy element sprzętu ma znaczenie – odpowiedział z powagą Chris.

Słońce już tak nie przygrzewało. Kiedy usłyszałem historie Rouse'ów, ucieszyłem się, że opuszczamy wrak, zanim stanie się coś poważniejszego.

Tej nocy, po sześciogodzinnej podróży z „Andrea Dorii” do najbliższego wybrzeża, Steve Bielenda zacumował „Wahoo” bezpiecznie w doku na Block Island. Wiał silny wiatr, który niemal zdmuchiwał flagi z masztów. Cieszyłem się, że nie jesteśmy na morzu. Wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję.

Podczas ekspedycji Michael Menduno był bardzo zajęty na pokładzie „Wahoo”, robiąc zdjęcia i notatki dla „Aqua Corps”. Wiedział, że Team Doria była pierwszym prawdziwym zbliżeniem społeczności nurków jaskiniowych i wrakowych, co w pewnym sensie czyniło ją wyprawą przełomową. To spotkanie okazało się być trudniejsze niż warunki atmosferyczne panujące nad „Dorią”. Menduno wiedział, że nurkowie na pokładzie zaliczali się do najbardziej zaawansowanych amatorów, uprawiających skomplikowany sport, nazywany nurkowaniem technicznym. Od pozostałych nurków odróżniało ich to, że do pokonania zagrożeń głębin wykorzystywali nowe metody – nurkowali na mieszankach oddechowych i stosowali techniki znane z nurkowania jaskiniowego i wrakowego.

Agencje wydające licencje nurkowe były nadal niewzruszone w swej opozycji wobec nurków sportowych, angażujących się w głębokie nurkowanie, i były oburzone, że nurkowie sportowi rozważają możliwość przeprowadzania skomplikowanych

nurkowań z użyciem mieszanek albo nawet nurkowań na powietrzu, zakładających odbyte dekompresji. agencje tłumaczyły, że skoro nurkowie profesjonalni i wojskowi napotykać trudności mimo rozbudowanego zaplecza technicznego i wsparcia, nurkowie sportowi z pewnością zetkną się z problemami, przekładającymi się na większą liczbę zgonów, złą prasę i spadek obrotów w biznesie. Jak zwykle optymistycznie nastawiony Menduno sądził, że technologiczny rozwój jest naturalnym porządkiem rzeczy. Wydawało mu się logiczne, że nurkowie sportowi powinni zacząć stosować mieszanki oddechowe i poszerzyć zakres głębokości, na które mogą nurkować. Był ponadto żywotnie zainteresowany ze względów komercyjnych rosnącą liczbą nurków, z entuzjazmem podchodzących do nurkowania technicznego, ponieważ o tym właśnie pisało jego czasopismo. Menduno zauważył kiedyś: „Projekt Wakula Billa Stone'a był absolutnym początkiem nurkowania technicznego. Team Doria natomiast kolizją pewnych sił, które zostały wprowadzone w ruch przez Wakullę, zanim siły te zespoliły się w harmonii”.

W sumie czułem, że wyprawa ta była rozczarowaniem. Nic nie mogliśmy poradzić na złą pogodę; wiedziałem, że niepewne żywioły są integralną częścią nurkowania. Ale początkowe napięcie między nurkami jaskiniowymi i wrakowymi głęboko mnie zmartwiło. Dysonans wykraczał po za to, co mogłem skutecznie załagodzić, dysponując jak by nie było, umiarkowanym doświadczeniem. Stopniowo, w toku wyprawy, napięcie zaczęło spadać i niektórzy nurkowie, jak John Reekie, zaimponowali starszym nurkom wrakowym zastosowaniem technik jaskiniowych przy wydobywaniu artefaktów. Badania nad dekompresją, zwłaszcza porównanie nurkowania na powietrzu i na miksach, nie przyniosło rezultatów. Huggins i Emmerman zrobili co mogli, wszystko czego można było od nich w tych okolicznościach oczekiwać, ale choroba morska przeszkodziła im w wykonaniu badań, które wcześniej zaplanowali. Nawet po tysiącach lat technologicznych innowacji, morze stawiało budzące grozę przeszkody przed ludźmi, niezależnie od tego, czy pracowali na powierzchni, czy pod nią.

Artefakty, które udało mi się wydostać, nie były niczym bardziej egzotycznym niż kilka butelek po napojach gazowanych z połowy lat pięćdziesiątych i podstawa popielniczki. Chociaż Steve Berman i ja odkryliśmy trochę talerzy poprzedniego

roku, duże ilości cennych artefaktów z Dorii ponownie mi umknęły. Zostałem z uczuciem niespełnienia, choć zdeterminowany, by spróbować raz jeszcze.

Rouse'om nic nie udało się zdobyć. Choć mogli wrócić do domu ze świadomością, że zdobyli Mount Everest nurkowania z automatem, nie mieli trofeów, które naprawdę odróżniłyby ich od reszty tłumu. Bardziej niż czegokolwiek innego, pragnęli namacalnego dowodu swoich umiejętności nurkowych. Wyzwanie nadal znaczyło wiele i nie stawiliśmy mu czoła na tej wyprawie.

Ale nie zamierzali pozwolić uśpionym trofeom leżeć na dnie, jak wkrótce miałem się przekonać. Gdy „Wahoo” wrócił do macierzystego portu, Chris Rouse powiedział:

-Bernie, postanowiliśmy zorganizować naszą własną wyprawę na „Dori” w przyszłym roku. Mamy nadzieję, że weźmiesz w niej udział.

Nie powiedziałem tak ani nie – ale byłem rozbawiony i trochę zdumiony, że po zaledwie dwóch bezowocnych i kontrowersyjnych nurkowaniach na „Dorię”, ojciec i syn uważali się za gotowych, by poprowadzić wyprawę, choć wcześniej nigdy nie prowadzili żadnej zorganizowanej podróży.

Rouse'ów, podobnie jak mnie, czar artefaktów z „Andrea Dorii” stymulował do przekraczania kolejnych limitów nurkowania.



Ojciec i syn pracują jako zespół przy swojej pierwszej pasji – ukochanym samolotem

Nauka Nurkowania



Podczas egzaminu na licencję nurka w kamieniołomie Dutch Springs Chris Rouse (z lewej strony z uniesioną ręką) odprężył się po tym, jak instruktor Denny McLaughlin oddzielił go od syna

Chrissy'ego, przerywając kłótnię



Sue Rouse (z prawej strony) podczas podstawowego szkolenia grotowego w Peacock Springs na Florydzie



Rouse'owie przygotowują się do nurkowania w jaskini Devil's Ear w Ginnie Springs na Florydzie. Przejrzysta woda zapewnia doskonałą widoczność i zdecydowanie różni się od zimnego środowiska oceanicznego we wrakach.



Szczelina w dnie oceanicznym, prowadząca do Lothoren Blue Hole, systemu jaskiń przy East End na Wielkiej Bahamie



Nurek płynący między wapiennymi stalagmitami w jaskini East End na Wielkiej Bahamie. Nurek umocował butle pod pachami, a nie na plecach, co pozwala na

penetrację także tych rejonów jaskini, w których strop znajduje się bardzo nisko.



STOP

**PREVENT YOUR DEATH!
GO NO FARTHER.**

FACT: More than 300 divers, including open water scuba instructors, have died in caves just like this one.

FACT: You needed training to dive. You need cave training and cave equipment to cave dive.

FACT: Without cave training and cave equipment, divers can die here.

FACT: It CAN happen to YOU!

**THERE'S NOTHING IN THIS CAVE WORTH DYING FOR!
DO NOT GO BEYOND THIS POINT.**

Znaki ostrzegawcze, taki jak ten, umieszcza się przed wejściem do systemów jaskiń. Ich zadaniem jest zniechęcenie niewyszkolonych nurków do wpłynięcia do środka i sprowadzenia na siebie nieszczęścia.



Chris Rouse pcha przed sobą swój skuter, przeciskając się przez zwężenie nazywane „wargami” w Devil's Cave System w Ginnie Springs



Chris (po lewej) i Sue Rouse pozują wewnątrz Devil's Cave System



U wybrzeży New Jersey Chrissy Rouse z dumą pokazuje swojego pierwszego homara. W północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych prawo dopuszcza chwytanie homarów tylko gołymi rękami



Wyjątkowy przejrzysty dzień. Nurek bada bom ładunkowy na rufie „Andrea Dorii”.
W tle lina kotwiczna „Wahoo”

WAHOO



Czarterowa łódź nurkowa „Wahoo”. Tu zakotwiczona nad „Andrea Dorią” w spokojny dzień



Wewnątrz wraku „Andrea Dorii”. Rozbite fragmenty porcelany są wyposażeniem domu węgorzy. Białe kępki widoczne nad węgorzem to anemony. Wyglądają wprawdzie jak rośliny, ale w rzeczywistości są zwierzętami.



Ogromny stos porcelanowych talerzy z drugiej klasy znajdujący się obok klatki schodowej, wewnątrz „Andrea Dorii”. Naczynia uważane za wspaniałe trofea nurkowe, trafiły już do domów nurków.



Z workiem z siatki, wypełnionym trofeami, nurkowie odbywają dekompresję na linii kotwicznej, po nurkowaniu na „Andrea Dorię”



Po ekscytującym nurkowaniu na „Andrea Dorię” Ed Sollner (z lewej) i Pat Rooney pokazują swoje zdobycze na pokładzie „Wahoo”. Sollner zginął podczas nurkowania na wrak.



Steve Bernam (z lewej) i Bernie Chowdhury pokazują naczynia, wydobyte podczas drugiego nurkowania na „Andrea Dorię”

Seeker



Chrissy (z lewej) żartuje z ojcem tuż przed nurkowaniem. Chrissy lubił nazywać tę łódź Poszukiwaczem Śmierci. Ojciec i syn siedzą na platformie, na której Chrissy wkrótce będzie walczył o życie.



Członek załogi „Seekera”, Steve Gatto, przygotowuje się do nurkowania, żeby zamocować kotwicę na „Andrea Doria”. Po lewej Sue Rouse, Chrissy Rouse rozmawia ze Stevem Bermanem (patrzy prosto w aparat). Cały pokład wypełniony jest sprzętem, co jest typową sytuacją podczas nurkowania wrakowego.



Chrissy i Sue na pokładzie „Seekera” nad „Andrea Dorią”. Matka pomaga synowi zapakować jego trofea.



Wrzesień 1992 roku. Chris Rouse stoi nad synem, który żartobliwie demonstruje swoje wyczerpanie po nurkowaniu. Relacja ojca i syna zawsze ożywiały atmosferę na łodzi. Ironią jest, że miesiąc później Chrisa uznano za zmarłego niemal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie teraz leży Chrissy.



Chociaż U-Booty zatopiły porażającą liczbę okrętów Aliantów, same również poniosły ciężkie straty. Na U-Bootach służyło około 40 tys. niemieckich marynarzy, z czego około 30 tys. straciło życie. Na zdjęciu widać U-352, spoczywający na głębokości 35 metrów u wybrzeży Północnej Karoliny.



John Chatterton jest odkrywcą tajemniczego niemieckiego U-Boota z okresu II wojny światowej. Z braku lepszej nazwy ochrzcił okręt mianem „U-who”. Choć znajdował się on w odległości 70 mil od portu w Nowym Jorku, jego położenie nie zostało odnotowane ani w brytyjskich, ani w amerykańskich archiwach morskich



Kluczowy dowód John Chatterton znalazł na „U-who”ten nóż stołowy z wyrytym na drewnianej ręczce nazwiskiem: Horenburg



Sharon Kissling trzyma pamiętnik z okresu wojny z U-853. Były to oficjalnie zapiski kapitana z wszystkich czynności wykonanych podczas patroli w czasie wojny. Chris i Chrissy mieli nadzieję znaleźć pamiętnik z okresu wojny na „U-who” - ponad wszelką wątpliwość wyjaśniłby on tożsamość U-Bootu. W końcu to John Chatterton po sześciu latach obsesyjnych poszukiwań udowodnił tożsamość „U-who”



Głowica torpedy, która ztopiła U-who. Ten artefakt został znaleziony koło poważnie uszkodzonego U-Boota



Numer seryjny na głowicy torpedy. Skrupulatne badania Chattertona ujawniły, że była to niemiecka torpeda.

8

Głosy z głębi

13 października 1991. Na pokładzie „Seekera” 26 mil od brzegu, przy wybrzeżu Delaware, nad wrakiem Northern Pacific

Leżąc na ławce platformy, służącej nam wszystkim do zakładania sprzętu, walczyłem o pozostanie przy życiu i modliłem się, by helikopter Straży Przybrzeżnej przyleciał jak najszybciej. Bill Nagel skontaktował się ze stacją Straży Przybrzeżnej w Cape May, której podlegał ten obszar, i poprosił o udzielenie pomocy przy mojej natychmiastowej ewakuacji. Wiadomość została nadana przez radiotelefon, co oznaczało, że odebrali ją również kapitanowie i załogi różnych łodzi, po czym przekazali ją dalej, nieprzyjemnie przypominając innym załogom i klientom, czym ryzykują przy każdym skoku do wody. Wiadomość o wypadku takim jak mój, nie tylko służy wzmocnieniu troski o bezpieczeństwo wśród nurków. Jej wdaniem jest również poinformowanie wszystkich o tym, że jedna z komór dekompresyjnych jest już zajęta. Gdyby jakiś nurek w południowym New Jersey albo Delaware został uszkodzony zaraz po moim wypadku, trzeba by go było przetransportować w alternatywne miejsce, w którym przeprowadza się dekompresję, położone dalej niż komara, do której mnie wieziono. Szanse nurka na pełne odzyskanie zdrowia maleją z wydłużeniem czasu, potrzebnego do przetransportowania go do komory hiperbarycznej.

Miałem szczęście. Dowiedziałem się później, że gdy na linii telefonicznej zatrzeszczał głos zdenerwowanego Nagela, przekazującego wiadomość dyspozytorowi Straży Przybrzeżnej w Cape May, załoga helikoptera właśnie wracała z patrolu treningowego. Chociaż ból sprawiał, że wydawało mi się jakby upłynęło wiele godzin nim wreszcie poczułem zakłócenia w powietrzu, wywołane ruchem śmigieł - tak naprawdę Straż odpowiedziała w ciągu 45 minut. Gdyby załoga i

helikopter nie byli gotowi w chwili otrzymania wezwania, musiałbym czekać kolejne pół godziny na ich przylot nad „Seekera”, co dałoby pęcherzykom azotu więcej czasu na zniszczenie moich organów.

Nad głową poczułem mocne porywy wiatru. Spojrzałem w górę i zobaczyłem biały helikopter, na którym namalowane były niebiesko-czerwone paski, insygnia i ogromny, wytłuszczony czarny napis USCG (United States Coast Guard- Straż Przybrzeżna USA). Chociaż ucieszył mnie ten widok, uderzyło mnie jak nienaturalnie wygląda helikopter, zawieszony zaledwie 10 metrów nad rufą „Seekera”. Jedyłą rzeczą, jaką widzą nurkowie przebywający z dala od brzegu, są przypadkowe łodzie w oddali. Samoloty i helikoptery przypominają nam małe kropki na niebie, nie maszyny unoszące się tuż nad rufą. Moje nadzieje ożyły na widok helikoptera ratowniczego. Miał mnie zabrać do komory dekompresyjnej, która była moją jedyną szansą na powrót do zdrowia.

Wytrzymałem tak długo dzięki temu, że skoncentrowałem się na przylocie helikoptera. Teraz postanowiłem się skupić na przetrwaniu, do czasu, gdy dotrę do szpitala. Posługiwałem się tą samą filozofią, która towarzyszyła mi w nurkowaniu. Gdybym postrzegał nurkowanie jako całość, jego złożoność z pewnością by mnie przytłoczyła. Jeśli jednak wydzielałem poszczególne zadania -założenie sprzętu, wejście do wody, zanurzenie się wzdłuż liny kotwicznej i tak dalej - mogłem przeprowadzić nurkowanie wymagające 3-4 godzin ryzykownych decyzji i działań. Teraz, walcząc o życie, gdy myślałem o całym tym procesie i o tym, jak wiele czasu upłynie, nim znajdę się w komorze, zacząłem wpadać w rozpacz, a moja energia i wola przetrwania zaczęły szybko maleć. „Wytrzymaj jeszcze tylko chwilę” - zacząłem sobie powtarzać. „Już tam jedziesz. Ból nie jest taki straszny.

Wytrzymasz!”

„Seeker” pozostał w miejscu, zakotwiczony mimo apeli nadawanych drogą radiową przez Straż Przybrzeżną, wzywających Billa Nagela, by ruszył łódź i skierował ją pod wiatr. Dużo łatwiej było utrzymać helikopter precyzyjnie nad jakimś obiektem, jeśli po jego śmigłach poruszał się wiatr. Bill Nagel odmówił ruszenia łodzi. Miał zresztą ku temu powody. Mój partner nurkowy, Ed Dady, nadal znajdował się w wodzie, gdzie odbywał dekompresję. Nagel uważał, że podniesienie kotwicy i

przemieszczenie łodzi mogło narazić zdrowie i życie Dady'ego, narażając go na kontakt ze śrubami napędowymi „Seekera”. Poza tym Nagel był zdania, że pogoda jest na tyle spokojna, że pilot helikoptera może bez problemu utrzymać helikopter nad rufą, a niebezpieczeństwo rozbicia się wskutek nagłego podmuchu wiatru jest znikome. Bill Nagel nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo utrudnił zadanie pilotowi helikoptera, który musiał teraz zużyć znacznie więcej mocy i paliwa, by utrzymać helikopter nieruchomo w powietrzu. Helikopter, który pozostawał w takiej pozycji przez dłuższy czas, ryzykował również pionowym spadkiem, z uwagi na dynamikę turbulencji wytwarzanych przez śmigła. Gdyby to nastąpiło, helikopter rozbiłby się o „Seekera”, najprawdopodobniej zabijając wszystkich na pokładzie i na dobre wybawiając mnie od nieszczęścia.

Dennis Anacker i John Harding - moi przyjaciele z klubu nurkowego Sea Gypsies - podnieśli mnie do pozycji pionowej. Czułem jakbym miał nogi z ołowiu i zdołałem zrobić zaledwie kilka kroków i to tylko dlatego, że mnie podtrzymywano. Cała nasza trójka dowlokła się jakoś do kosza opuszczonego dla mnie z helikoptera. Kosz wyglądał jak otwarta od góry klatka. Wpatrywałem się w niego tępo, zastanawiając się, w jaki sposób zdołam się wspiąć do środka? Wyglądało to na zadanie wymagające nadludzkiego wysiłku. Czułem ogromne zmęczenie, co było, podobnie jak dezorientacja, symptomem choroby dekompresyjnej. Anacker i Harding podnieśli mnie do góry i wszystko, co musiałem zrobić, by znaleźć się w koszu, to przerzucić nogi przez jego krawędź. Udało mi się. Skuliłem się na dnie w pozycji siedzącej. Czułem się przytłoczony, a podmuchy wiatru ze śmigieł helikoptera zmusiły mnie do zmrużenia oczu. Moi przyjaciele i łódź nurkowa stawali się coraz mniejsi w miarę, jak unosiłem się z koszem do góry. Im byłem bliżej śmigłowca, tym trudniej mi się oddychało. Powietrze było niespokojne - zupełnie jakbym wysunął twarz przez szybę pędzącego samochodu. Żeby zaczerpnąć powietrza, musiałem opuścić głowę. Kiedy górna część kosza znalazła się na poziomie podłogi helikoptera, mężczyzna w kombinezonie skoczka i ciemnozielonym hełmie chwycił mnie pod pachami i wciągnął do maszyny. Zobaczyłem przed sobą dwa siedzenia, oba zajęte przez mężczyzn ubranych w identyczne kombinezony i hełmy. Mężczyzna po mojej lewej dał sygnał, unosząc w górę kciuk, a ten, który mnie wciągnął na pokład, odwzajemnił

sygnał. Położono mnie na metalowej podłodze śmigłowca, za siedzeniami. Poczułem silniejsze wibracje maszyny i helikopter wzbił się do góry, nabierając rozpędu i oddalając się od miejsca mojej głupoty.

W końcu byłem w drodze do szpitala i mogłem się odprężyć. Zauważyłem jednak, że facet ze Straży Przybrzeżnej coś do mnie krzyczy.

Pokręciłem przecząco głową, wskazałem na ucho i powiedziałem: -Jestem głuchy.

-Co się stało? - wyczytałem z jego ust, - Spieprzyłem

Spojrzał na mnie, zmarszczył brwi i pokiwał głową.

Owinałem ręce wokół ciała i zatrzęsłem się, sygnalizując, że mi zimno. Ratownik przyniósł mi koc i okrył mnie. Ciepło. Była to pierwsza odrobina komfortu, jakiej doświadczyłem od naprawdę długiego czasu.

W trakcie lotu helikopter mocno się trząsł. Dokąd mnie zabierali? Wysilałem się, żeby przypomnieć sobie, gdzie się znajdują najbliższe komory. Uniwersytet Duke w Północnej Karolinie? Nowy Jork? A może gdzieś indziej? Opiekujący się mną personel Straży Przybrzeżnej zauważył, że jestem blady jak ściana i nieruchomy, co było dla nich wskazówką, że znajduję się w ciężkim szoku. Próbowali mi wstrzyknąć adrenalinę. Kiedy zobaczyłem, że ratownik wyjmuje ze swojej torby lekarskiej strzykawkę, ucieszyłem się, mając nadzieję, że zastrzyk doda mi sił, zmniejszy ból i dyskomfort. Z przerażeniem musiałem jednak patrzeć, jak ratownik bezskutecznie szuka żyły na moich rękach. Chociaż personel medyczny zawsze twierdził, że mam bardzo dobre żyły i łatwo się w nie wkuć, szok spowodował ich zapadnięcie. Twarz mężczyzny spochmurniała. Wreszcie potrząsnął głową i wyczytałem z jego ust: -Nie mogę znaleźć żyły. Przykro mi.

Straciłem nadzieję. Czułem się coraz słabiej. Spojrzałem tęsknie na strzykawkę w ręce mężczyzny. Ile jeszcze zostało mi energii? Zmuszałem się do oddychania z obawy, że jeśli nie podejmę tego wysiłku świadomie, moje ciało się podda.

Spojrzałem na ratownika i powiedziałem.

-Nie szkodzi. I tak dziękuję.

Wysiłek sformułowania słów spotęgował mój ból. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem dłoń ratownika, próbując przejąć od niego trochę życiodajnej energii, jakby był świeżo naładowaną baterią, a ja gasnącym światłem latarki. Pewnie wyglądaliśmy

jakbyśmy się siłowali na rękę w zakładzie o życie.

Wreszcie helikopter wylądował. Zajmujący się mną ludzie ze Straży Przybrzeżnej otworzyli drzwi i wyrzaliem na zewnątrz, próbując ustalić, gdzie jestem. Jedyne, co zobaczyłem, to niebieskie niebo i niski ceglasty murek. Później dowiedziałem się, że wylądowaliśmy na dachu Szpitala Uniwersyteckiego w Pensylwanii. Kilka osób z personelu medycznego podbiegło do helikoptera i przeniosło mnie na nosze.

Ratownik ze Straży Przybrzeżnej wszedł za mną do budynku i wręczył pielęgniarce tabliczkę, na której nurkowie z „Seekera” zapisali, jak zmieniał się mój stan.

Zostałem zawieszony na izbę przyjęć, a potem pielęgniarka wyodrębniła wokół mnie osobny obszar, zaciągając zasłonki.

Leżałem skąpany w białym świetle czekając. Wyglądało na to, że nic się nie dzieje. O co chodziło - zastanawiałem się. Dlaczego natychmiast nie zabrano mnie do komory dekompresyjnej? Byłem mocno zaniepokojony. Może personel nie zdawał sobie sprawy, jak ważne jest, bym jak najszybciej dostał się do komory dekompresyjnej? Otworzyłem usta i wycharczałem coś, czego sam nie mogłem nawet usłyszeć. Jak miałem im wytłumaczyć, że trzeba zredukować poziom pęcherzyków azotu w moim organizmie, żeby ciało mogło je zacząć stopniowo wydalać? Musieli zrozumieć, że tylko dekompresja może mi pomóc. Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Co jeśli ktoś już znajdował się w komorze? Boże, jak długo mogłem wytrzymać? Nie jestem gotów na śmierć! Leżąc na plecach i patrząc w sufit, zacząłem mówić głośnym, miałem nadzieję, głosem. Z trudem wydobywając słowa z gasnącego umysłu, podałem swoje nazwisko, adres i dodałem:

-Jestem ofiarą wypadku nurkowego. Cierpię na chorobę dekompresyjną. Muszę natychmiast dostać się do komory dekompresyjnej!

Stał się cud. Podeszła do mnie pielęgniarka z tabliczką i zapisała to, co powiedziałem. Pochyliła się nade mną. Jej usta się poruszyły, ale nadal nic nie słyszałem. Powiedziałem jej, że w wyniku wypadku straciłem słuch. Spojrzała na mnie zaskoczona i sformułowała ustami pytanie:

-Nie słyszy mnie pan?

Odpowiedziałem, że absolutnie nic nie słyszę. Zapisała pytanie i pokazała mi tabliczkę. Szczęśliwie tlen, którym oddychałem na pokładzie „Seekera” i w

helikopterze poprawił mój wzrok i zdołałem odczytać to, co napisała, chociaż litery skakały na stronie.

-Czy jest pan głuchy?

Skinąłem głową. Ktoś przyniósł kamerton, który pielęgniarka przyłożyła do mojej twarzy.

-Czy słyszy pan to? Potrząsnąłem przecząco głową.

-Natychmiast wsadźcie mnie do komory hiperbarycznej! - próbowałem powiedzieć, ale równie dobrze mógłbym rozkazywać koszarowi sennemu.

Po tym jak podpisałem oświadczenie, zwalniające szpital i opiekujący się mną personel z odpowiedzialności prawnej, pielęgniarka wyszukała żyłę i podłączyła mnie do kroplówki. W ten sposób do mojego organizmu wprowadzono sole przeciwdziałające odwodnieniu oraz adrenalinę i glukozę, mające dodać mi energii. Ale nie można było jednocześnie uratować mi życia i złagodzić bólu. Nie mogłem otrzymać środków przeciwbólowych, ponieważ personel medyczny musiał wiedzieć, czy ból ustąpi w wyniku leczenia oraz w których częściach ciała nadal będę odczuwał ból, brak czucia lub paraliż po dekompresji. Spojrzałem na igłę wbity w moją rękę, która karmiła mnie płynem z kroplówki i zacząłem się zastanawiać, czy mój stan zaczął się już poprawiać, co dodało mi energii, pomagając jednocześnie skupić się na terapii, której tak desperacko potrzebowałem. Co skłoniło moją krew do przepłynięcia przez zapadnięte żyły, których ratownik ze Straży Przybrzeżnej nie mógł nawet wyczuć? Być może strach przed śmiercią.

Przewieziono mnie do komory dekompresyjnej, ogromnej, zamkniętej metalowej tuby, która przypominała ogromną ciężarówkę. Wewnątrz zamontowano rząd siedzeń dla kilku osób, ponieważ system został tak zaprojektowany, by można w nim było przeprowadzać terapie dekompresyjne nie tylko dla nurków, ale również dla licznych ofiar poparzeń lub ran kłutych. Uważano, że tlen pod zwiększonym ciśnieniem wywiera korzystny wpływ we wszystkich powyższych przypadkach. Szpitale wyposażone w komory hiperbaryczne mogły niekiedy zaplanować jednoczesne kuracje dla wielu osób, dzięki czemu wydajniej wykorzystywano komorę, której zainstalowanie i serwisowanie kosztowało ponad milion dolarów.

Teraz jednak jedynymi osobami znajdującymi się w komorze byłem ja i opiekujący

się mną pielęgniarz. Obaj mieliśmy zostać poddani działaniu podwyższonego ciśnienia, a lekarz miał w tym czasie na zewnątrz komory kontrolować całą terapię. Ponieważ tabela dekompresyjna US Navy 6A zalecała pięć i pół-godzinną terapię, ja i pielęgniarz mieliśmy być poddani ciśnieniu panującemu na głębokości 50 metrów. Pielęgniarz sam ryzykował objawami choroby dekompresyjnej z powodu długotrwałego narażenia na działanie wysokiego ciśnienia. Choć zdarzało się to rzadko, takie wypadki miały już wcześniej miejsce. Mimo ryzyka, przynajmniej jedna osoba z personelu medycznego musiała być przy mnie, podając mi płyny do picia, zapewniając wygodę i monitorując moje postępy. Poza tym, gdybym miał kłopoty z wyrównywaniem ciśnienia w uszach pielęgniarz musiał przetkać mi bębenki. Służący do tego instrument leżał na stoliku, niebezpiecznie blisko.

Teraz, gdy już znalazłem się w komorze, na nowo poczułem przypływ nadziei, że odzyskam zdrowie, tak jak uważałem na samym początku, podejmując decyzję o wynurzeniu, mimo pełnej świadomości konsekwencji. Jednak chociaż znałem nurków, którzy przeszli terapię w komorze, nie wiedziałem dokładnie, czego mam się spodziewać. Jeśli ktokolwiek wspominał o swojej terapii, robił to zwykle zwięźle. Nurkowie jaskiniowi, jak Marc Eyring w Ginnie Springs, nazywali leczenie „wsadzeniem do garnka” i lekceważyli, jako coś, z czym kiedyś trzeba było sobie po prostu poradzić, zwykle ryzyko zawodowe, jak odmrożenia u wspinaczy wysokogórskich.

Dla nurka zawodowego, jak Glenn Butler, komora dekompresyjna była tylko kolejnym narzędziem, którego używał rutynowo po swoich głębokich nurkowaniach i które pozwalało mu odbyć przystanki dekompresyjne na głębokości sześciu i trzech metrów w komfortowym otoczeniu ciepłego powietrza zamiast w zimnej wodzie.

Nurkowie, jak Gary Gentile i John Moyer, powiedzieli tylko, że, owszem, cierpieli na chorobę dekompresyjną, zostali poddani terapii i teraz już wszystko jest w porządku. Wszyscy ci nurkowie okazywali nonszalancję wobec terapii hiperbarycznej, przez co sądziłem, że najgorsze mam już za sobą. Myliłem się. Nowy, psychiczny ból miał dopiero nadejść.

Gdy znajdujący się poza komorą lekarz rozpoczął terapię, poczułem, że ciśnienie wywierane na moje uszy rośnie, zupełnie jak podczas nurkowania. Sprężone

powietrze, gorące i nieprzyjemne, wpłynęło do komory i poczułem się tak, jakbym się znalazł w raptownie nagrzewającym się piekarniku. Zacząłem się pocić. Chociaż wyższa temperatura sprawiała mi dyskomfort, ból malał w miarę wzrostu ciśnienia i zmniejszania się rozmiaru pęcherzyków azotu w moim ciele. Część pęcherzyków azotu została z powrotem wchłonięta przez tkanki.

Nie pozostało mi nic innego, jak leżeć i czekać. Pielęgniarz wpatrywał się we mnie i od czasu do czasu sprawdzał u mnie oznaki życiowe. Kiedy się upewnił, że mój stan jest stabilny, zaczął czytać powieść Stephena Kinga, by jakoś zabić czas.

Sprężone powietrze w komorze ochłodziło się i teraz czułem się jakbym był w lodówce. Dałem znak pielęgniarzowi, że chcę koc. Kiedy ciśnienie zaczęło spadać, zbliżając się do wartości na powierzchni, pielęgniarz umieścił na mojej twarzy maskę, abym mógł oddychać czystym tlenem. Wiedziałem, że to oznacza, że ciśnienie wokół nas odpowiadało takiemu, jakie panuje na głębokości 18 metrów.

Czysty tlen pomagał w szybszym wydalaniu nadmiaru azotu, a ponadto przedostawał się bezpośrednio do tkanek, do których wcześniej pęcherzyki blokowały dostęp. Do niektórych tkanek tlen docierał, jeszcze gdy leżałem na pokładzie „Seekera”, a później w helikopterze, ale krążenie krwi było poważnie ograniczone przez ogromną liczbę i rozmiar pęcherzyków. Pęcherzyki wpłynęły również negatywnie na zdolność krwi do transportowania tlenu. Dr Bill Hamilton, jako jeden z wielu, miał swój wkład w badania, które ujawniły, że pęcherzyki azotu są traktowane przez system odpornościowy jak najeźdźca, co uruchamia złożoną i jeszcze nie do końca rozumianą reakcję obronną. Część systemu odpornościowego jest związana z tworzeniem przeciwciał specyficznych wobec pęcherzyków azotu i helu lub struktur powstających na powierzchni tych pęcherzyków. Przeciwciała są białkowymi markerami, które wiążą się z atakującymi wirusami i bakteriami, oznaczając obce struktury do zniszczenia przez inne podsystemy układu odpornościowego. Nawet jeśli osoba cierpiąca na chorobę dekompresyjną wróci do zdrowia, specyficzne antygeny gazów obojętnych czujnie penetrują ciało w oczekiwaniu na przyszły atak pęcherzyków.

Zajmujący się mną pielęgniarz uważnie mi się przyglądał, wypatrując objawów toksyczności tlenu. Gdyby pojawiły się u mnie drgawki, natychmiast zdjąłby z mojej

twarzą maskę nosowo-ustną i zacząłbym oddychać normalnym powietrzem, dzięki czemu drgawki powinny ustąpić. W komorze hiperbarycznej i pod wodą największym zagrożeniem nie była śmierć od drgawek, ale odgryzienie sobie języka. Aby zapobiec napadowi drgawek w czasie wdychania czystego tlenu na głębokości 18 metrów, pielęgniarz co dwadzieścia minut odkładał na bok swój horror i zdejmował mi maskę, żebym na chwilę pooddychał powietrzem. Moja dobra passa się utrzymała i nie dostałem drgawek.

Nagle dotarło do mnie, ile miałem szczęścia. Przez swoją obsesję artefaktów zaryzykowałem wszystkim i znalazłem się na krawędzi życia i śmierci. W wodzie czułem się tak swobodnie, że nawet nie przyszło mi do głowy, że może przytrafić mi się coś takiego. Ale teraz, rozglądając się dookoła, aż nadto czułem realność tej sytuacji. Nie wiedziałem, czy w pełni odzyskam zdrowie. Nadal miałem nadzieję na szczęśliwe zakończenie, ale wreszcie przyznałem się sam przed sobą, jak blisko byłem przekroczenia krawędzi. A jednak nadal żyłem.

Natarczywe pytania zalały mój umysł: jak mogłem stracić kontrolę nad wydarzeniami do tego stopnia, by znaleźć się tu, walcząc o życie? Co było moją motywacją do podjęcia tak ekstremalnego ryzyka, które doprowadziło do moich kłopotów?

Nagle poczułem dzwonienie w uszach. A po chwili również inne odgłosy. Wracał mi słuch! Przekazałem dobre wiadomości pielęgniarzowi, a on podał je lekarzowi na zewnątrz komory. Chwilę później lekarz stanął obok moich noszy, w komorze. Mimo że wokół panowało ciśnienie odpowiadające głębokości dziewięciu metrów, lekarz mógł wejść przez specjalny hermetycznie zamykany przedział dołączony do głównej jednostki. Po wejściu do tego pomieszczenia, szczelnie je zamknął i zwiększył ciśnienie tak, aby odpowiadało ciśnieniu wewnątrz komory. Kiedy ciśnienie w dwóch komorach się wyrównało, lekarz mógł otworzyć właz łączący obie jednostki i podejść do mnie.

-Słyszysz mnie pan? - spytał z niedowierzaniem.

-Tak - odpowiedziałem. - Ale wszystko brzmi dziwnie, poza tym dzwoni mi w uszach.

Twarz lekarza wyrażała szok.

-Ma pan szczęście, że wogóle pan coś słyszy - potrząsnął głową, po czym dodał pełnym niedowierzania tonem: - Wyjdzie pan z tego.

Zachowywał się tak, jakby cały czas oczekiwał, że resztę życia spędzę na wózku inwalidzkim i czuł się teraz oszukany. Szybko jednak dodał: —Ale pańska kariera nurkowa jest skończona.

Te słowa pozbawiły mnie tchu. Mimo że czułem się lepiej i byłem szczęśliwy, że wrócił mi słuch, chciałem zatkać uszy. Nie mogłem nurkować! To było jak uderzenie. Lekarz poinformował mnie, że zamierza przedłużyć terapię na głębokości dziewięciu metrów, by sprawdzić, czy dodatkowy czas nie poprawi mojego słuchu jeszcze bardziej. Myśl o dodatkowych 30 minutach w komorze do reszty mnie dobiła. Wskutek eliminowania z mojego organizmu azotu, a potem tlenu, moje ciało czuło się teraz gorzej. Byłem bardziej sponiewierany niż po dwóch meczach rugby pod rząd.

Czy nie mogłem po prostu zasnąć? Nie. Nie pozwalano mi zamknąć oczu, ponieważ sen zwolniłby proces oddychania i krążenia, zmniejszając tempo wydalania azotu z organizmu. Mimo zmęczenia wiedziałem, że muszę pozostać przytomny i spędzić więcej czasu w komorze. Miałem nadzieję, że na coś się to przyda, ale rozumiałem też, że nawet lekarz nie może mieć pewności czy dodatkowy czas pomoże. Ponieważ jednak nie mógł zaszkodzić, warto było spróbować, mimo ryzyka, że zajmujący się mną pielęgniarz zapadnie na chorobę dekompresyjną.

Kiedy terapia dobiegła końca, odwieziono mnie do pokoju szpitalnego. Po tej przeprawie byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie. Była noc i w szpitalu panowała cisza. Korytarze skąpane były w ciemnym świetle elektrycznym. Wyglądało na to, że przeżyłem.

W ciągu tych sześciu godzin, podczas których przechodziłem terapię hiperbaryczną w komorze, Rouse'owie nurkowali w Dutch Springs, pomagając przy nurkowaniach egzaminacyjnych. Poprzedniego dnia nurkowali z „Dina Dee”-łodzi, której współwłaścicielem był ich instruktor, Bob Burns — na wrak masywnego frachtowca „Ayuruoca”, który znajdował się niedaleko New Jersey, 35 mil na północ od Northern Pacific, w głębokim obszarze, zwanym Mud Hole. Masywny statek zatonął w wyniku kolizji pod koniec II wojny światowej w 1945 roku. Chris i Sue wspólnie nurkowali

do wnętrza wraku znajdującego się na głębokości 52 metrów i Chrisowi udało się wydobyć dwie małe buteleczki.

Po nurkowaniu w oceanie Rouse'owie zwykle przeprowadzali nurkowanie w świeżej wodzie kamieniołomu, co było ich sposobem na oczyszczenie sprzętu ze słonej wody, która powoduje korozję. Kiedy wczesnym wieczorem wrócili do domu z kamieniołomu, odebrali telefon od Steve'a Bermana z Florydy powiadamiający o moim wypadku. Wiadomości podróżowały szybko w światku nurkowym. Steve poinformował ich, że mam ciężki przypadek choroby dekompresyjnej i nie jest pewne, czy przeżyję.

Jedynie, co na tym etapie wiedział Berman to, że wynurzyłem się zbyt szybko i zlekceważyłem dwie godziny dekompresji. On i Rouse'owie mieli wiele pytań w sprawie tego, co się dokładnie wydarzyło, co doprowadziło do tak niekontrolowanego wypadku. Może miałem kilka awarii sprzętu, jedną po drugiej? Może zostałem uwięziony wewnątrz wraku i zużyłem całe powietrze próbując się wydostać? Wiedzieli w każdym razie że cokolwiek przydarzyło się mnie, mogło się również przytrafić im samym. Wysłuchanie mojej relacji z wypadku dostarczyłoby im informacji, które mogły się okazać użyteczne w utrzymaniu się przy życiu pod wodą. Steve Berman, jak Rouse'owie i ja, został wyszkolony przez Marca Eyringa - byłego członka Zielonych Beretów, który uczył nurkowania jaskiniowego w Ginnie Springs. Wszyscy podporządkowaliśmy się jego filozofii sportu - w momencie, w którym przestaniemy się uczyć, staniemy się beztroscy i umrzemy.

Rouse'owie wiedzieli oczywiście, że z nurkowaniem związane jest wielkie ryzyko - zagrożenia czyhały przy każdej przygodzie sportowej. Zaledwie dwa lata wcześniej Rouse'owie boleśnie przekonali się o tym, jak prawdziwe i zabójcze może być ryzyko podejmowane przez nich i przez ich przyjaciół, pilotów sportowych. Pierwszy instruktor pilotażu Chrisa, Pete Miller, zginął w katastrofie powietrznej. Chris i Chrissy usłyszeli o śmierci Millera po dniu spędzonym na nurkowaniu, tak samo jak o moim wypadku. Tej nocy, w lipcu 1989 roku, Chris włączył telewizor i usłyszał o kolizji powietrznej między dwoma prywatnymi samolotami niedaleko Quakertown Airport, gdzie Chris nauczył się latać. Chociaż nazwiska siedmiu ofiar nie zostały jeszcze ogłoszone, Chris miał jak najgorsze przeczucia. Po wykonaniu kilku

telefonów Chrisowi i Chrissy'emu udało się ustalić tragiczne szczegóły. Podczas pokazów lotniczych Pete Miller, ten, który pożyczył Chrisowi i Sue samolot na ich pierwszą podróż na Florydę ze słowami „katastrofa jest równie dobra, co wyprzedź”, poleciał z grupą skoczków nad ich strefę zrzutu. Po tym jak wszyscy spadochroniarze wyskoczyli z samolotu, Pete wrócił na swój korytarz powietrzny. Podczas podejścia do lądowania zderzył się z innym samolotem, na pokładzie, którego znajdowało się 6 osób. Oba samoloty runęły z wysokości 365 m. Ci, którzy nie zginęli w powietrzu, zginęli na pasie. Chris był wstrząśnięty tą wiadomością -po raz pierwszy stracił tak dobrego przyjaciela.

Rudowłosy Pete Miller był potężnie zbudowanym mężczyzną, ze sporymi brakami w uzębieniu i wiecznie przyklejonym do ust cygarem. Ze swoim wulgarnym poczuciem humoru ten weteran wojny w Wietnamie był wcieleniem pilotów z lat dwudziestych, którzy na pokazach lotniczych zachwycali publikę akrobacjami powietrznymi, demonstrując, czego można dokonać za pomocą nowego fenomenu, samolotu.

Chris pojął, że jeśli ktoś taki jak Pete Miller, kto przetrwał wojnę w Wietnamie, mógł zginąć robiąc coś, w czym miał tak dużą wprawę, to tak naprawdę zginąć mógł każdy, nawet Chris albo jego rodzina podczas nurkowania. Ta myśl nieco przytemperowała działania Chrisa i uczyniła go ostrożniejszym. Ale Chrissy był zbyt młody, by patrzeć na sprawy tak, jak jego ojciec. Nie łączyła go tak bliska przyjaźń z Petem. Chrissy uważał śmierć Millera za tragiczną, ale był w stanie przejść nad nią do porządku dziennego - czasem po prostu szczęście opuszczało człowieka.

Więść o moim wypadku przypomniawszy Chrisowi tragedię Peta Millera, przypominając mu, że tak pod wodą, jak i w powietrzu ludzie mający wprawę w tym, co robią, nadal mogą popełnić błąd i zginąć.

Historia wypadków samochodowych Chrissy'ego najlepiej świadczy o tym, jak niewielki wpływ miała na niego śmierć Millera. Szybki, nieuważny, nieodpowiedzialny i pewny siebie Chrissy rozbił swój samochód nie raz, ale dwa razy. Najpierw skasował ojcu samochód, a potem rozbił jego ciężarówkę. Trzeci wypadek Chrissy'ego zaalarmował Chrisa i Sue nie tylko co do zwyczajów chłopaka za kółkiem, ale również co do poziomu jego dojrzałości. Ich syn traktował swoje życie - przynajmniej na ziemi - z samobójczym lekceważeniem. Niezależnie od tego,

jak bardzo rodzice Chrissy'ego krzyczeli na niego po wypadkach, jednocześnie mu pobłażali i wspierali go. Dług Chrissy'ego wobec rodziców rósł na skutek wypadków, ale rodzice i tak zawsze się łamali i pożyczali mu pieniądze na nowy samochód i coraz wyższe ubezpieczenie.

Pod koniec 1991 roku dwudziestojednoletni Chrissy był nadal w dużej mierze zależny od rodziców. Jego wypadki samochodowe wzmagaly tylko tę zależność i to w momencie, gdy powinien budować swoje własne życie. Chrissy'emu przypuszczalnie odpowiadał ten stan rzeczy - dzięki temu musiał się czuć bezpieczniej. Kiedy Chrissy miał dziesięć lat, wstrząsnęło nim to, że musiał pomagać w opiece nad ojcem, po wypadku przy spawaniu. Teraz być może zdołałby wymazać te traume dzięki temu, że teraz ojciec zajmował się nim. Ojciec nieświadomie wzmacniał jego poczucie, że jest odporny na zagrożenia za kołkiem. Chroniony przez rodziców przed konsekwencjami swojego zachowania chłopak mógł wierzyć, że nigdy się nie sparzy na lądzie, a może i pod wodą.

Kiedy wiadomość o szczęśliwym przebiegu mojej kuracji hiperbarycznej została przekazana przez radio na „Seekera”, wszyscy na pokładzie przyjęli ją z ulgą, a nawet zdumieniem. Ktoś zasugerował przesianie mi koszulki z logo „Seekera” i życzeniami powrotu do zdrowia. Każda osoba napisała coś na podkoszulce czarnym niezmywalnym atramentem. John Harding narysował kreskówkę, zatytułowaną „Iluminator Berniego”. Przedstawiała osobę wyglądającą przez okrągłe okienko komory hiperbarycznej, okienko przypominające iluminator na statku. Przesłanie było jasne: przez swoją obsesję zdobycia iluminatora z Northern Pacific, udało mi się tylko wylądować przy iluminatorze komory.

Wiadomości były dla moich przyjaciół ważnym sposobem wyrażenia ich niepokoju, strachu i złości, z powodu tego, co mi się przydarzyło. Niektórzy z tych facetów byli moimi kursantami, a wielu korzystało z moich rad przy nurkowaniu wrakowym, np. poznając sekrety odnoszenia sukcesu w czasie nurkowania na „Andrea Dorię”. Na dodatek uważano mnie za tego rozsądnego, poważnego nurka, który niedawno przecież napisał broszurę na temat bezpieczeństwa w nurkowaniu wrakowym. Dla niektórych przyjaciół mój wypadek był ogromnym rozczarowaniem, czuli się jakby ich ulubiona drużyna sportowa odpadła na początku rozgrywek. Inni musieli zadać

sobie pytanie, czy ich wiara we własne umiejętności nie była źle ulokowana. Byli bezbronni. Jeśli ktoś, kto odbył dziewięć udanych nurkowań na Mount Everest nurkowania z automatem, kto wydobył liczne artefakty na dowód swoich umiejętności, wpędził się w niemal śmiertelne kłopoty pod wodą-jakie oni mieli szanse? Czy warto było ponosić aż takie ryzyko?

Słyszając, że dochodzę do siebie, moi przyjaciele postanowili dokończyć swoje nurkowanie według planu, nurkując następnego dnia na inny, płycej położony wrak. Zamiast nadmiernie myśleć o ryzyku, co mogło ich, tylko skłonić do porzucenia sportu i koleżeństwa, które tak kochali, woleli od razu skoczyć do wody.

Kiedy obudziłem się w szpitalu następnego ranka po terapii w komorze hiperbarycznej, poczułem, że muszę iść do łazienki. Zsunąłem nogi z łóżka i wstałem. Nagle pokój zawirował i musiałem przytrzymać się łóżka, żeby ustać. Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową, mając nadzieję, że to pomoże mi się skupić. Kiedy znów otworzyłem oczy, wszystko nadal się kręciło, a ja miałem mdłości. Jęknąłem. Co się działo? Próbowałem zrobić krok i zupełnie straciłem równowagę. Upadłem na stojące obok łóżko, a potem osunąłem się na kolana, przytrzymując się oparcia łóżka, by całkiem nie stoczyć się na podłogę. Nie mogłem chodzić. Ogarnął mnie nieopisany strach. Czy miałem już na zawsze zostać kaleką? Co najlepszego zrobiłem, wynurzając się bez dekompresji? Myślałem, że wszystko będzie dobrze, gdy dostanę się do komory hiperbarycznej. Ale teraz rzeczywistość mogła mi się zwalić na głowę.

Chociaż wrócił mi słuch, pęcherzyki azotu uszkodziły mój mózg w taki sposób, że miałem zaburzone poczucie równowagi, co wpływało również na widzenie, gdy próbowałem chodzić. Czułem się, jakbym wypił zbyt dużo alkoholu. Rzuciłem się klatką piersiową w kierunku łóżka, pochyliłem i chwyciłem barierkę. Podciągnąłem się na łóżko i położyłem na materacu. Spociałem się z wysiłki, a w żołądku wzbierały mi mdłości, jakbym za chwilę miał zwymiotować. Potem przypomniałem sobie rozmowę z lekarzem pod koniec terapii w komorze. Powiedział, że wyjdę cało z tego wypadku. Czy źle zdiagnozował moje ozdrowienie?

Leżałem w łóżku sparaliżowany myślą o kalectwie na resztę życia. W końcu do pokoju wszedł młody mężczyzna, o ciemnej karnacji, śródziemnomorskich rysach i

krępej budowie ciała, podobnej do mojej, i przedstawił się. Dr Ignaccio Mendagurin urodził się za granicą. Wyjaśnił, że jest neurologiem i byłym nurkiem wojskowym, zainteresowanym moim przypadkiem ze względów osobistych i zawodowych.

Podobał mi się jego spokojny, gładki ton, który nie brzmiał karcąco. Ucieszyło mnie też bardzo, że jest nurkiem, tak jak ja, albo tak jak ja aż do wczoraj.

Gdy dr Mendagurin mówił, przypominał mi mojego ojca, naukowca, który miał doktorat z nauki o materiałach i napisał pracę magisterską z chemii i który mówił po angielsku z czystym, wyraźnym akcentem, podkreślającym jego brytyjskie wykształcenie. Ojciec, który urodził się w Indiach, władał kilkoma językami, w tym niemieckim, ojczystym językiem mojej matki. Chociaż miał ciemniejszą karnację i gęstsze, czarniejsze włosy niż dr Mendagurin, byli do siebie bardzo podobni. Czułem, że dr Mendagurin wykaże więcej współczucia niż lekarz, który zajmował się mną w komorze, ten, który obwieścił mi zdumionym głosem, że wyjdę bez uszczerbku z wypadku, dając do zrozumienia, że głupcy mojego pokroju powinni zostać kalekami na zawsze.

Dr Mendagurin poinformował mnie, że obustronna głuchota będąca skutkiem choroby dekompresyjnej była przypadłością, z którego nikogo nie udało się w pełni wyleczyć. Był zdumiony, że odzyskałem słuch w obu uszach już podczas pierwszej terapii w komorze. Wyglądało na to, że jestem jakąś anomalią medyczną. Dr Mendagurin spytał, czy może się mną zająć, by obserwować i dokumentować moje postępy. Chociaż byłem przerażony sądząc, że wypadek spowodował permanentne uszkodzenia, ucieszyłem się, że może jednak z tego wszystkiego wyniknie coś pożytecznego i z ulgą zdałem się na wiedzę i umiejętności dr. Mendagurina.

Lekarz sprawiał wrażenie człowieka autentycznie zainteresowanego moim przypadkiem, demonstrując taki sam rodzaj naukowego zaciekawienia, jaki obserwowałem u swojego ojca. Ogromnie podziwiałem determinację, z którą mój ojciec szukał formuły pozwalającej efektywnie produkować penicylinę, otrzymywaną w wyniku fermentacji bulionu - w optymalnych warunkach laboratoryjnych specyficzna bakteria miała produkować prekursora penicyliny. Kiedy miałem jedenaście lat, widziałem, jak ojciec pracuje nad tym problemem dniem i nocą przez sześć miesięcy. Zawsze nosił przy sobie notatnik i długopis i nieprzerwanie

zapisywał całe strony wzorami chemicznymi nawet przy stole w czasie kolacji, do momentu aż odniósł sukces. Metodologia mojego ojca jest przypuszczalnie nadal wykorzystywana przez firmę Bristol-Myers przy produkcji penicyliny. Mój podziw dla ojca wzrósł jeszcze bardziej, gdy w wieku ośmiu lat zobaczyłem skutki eksplozji w jego laboratorium. Byłem przerażony bandażami, które musiał nosić z powodu oparzeń na rękach i na twarzy. Ojciec był niewzruszony tym wypadkiem i powiedział mi, że gdyby wszyscy poddawali się przy pierwszej przeszkodzie, nigdy nie udałoby się nic osiągnąć. Podobnie jak Chrissy Rouse pamiętał wypadek swojego ojca, ja również niosłem ze sobą te wspomnienie i wiedziałem, że wpływa ono na moje motywacje na lądzie i pod wodą.

Teraz miałem nadzieję, że moje przecucie co do dr. Mendagurina było słuszne i że okaże on ten sam rodzaj determinacji, jaki zauważyłem u ojca.

-Panie doktorze, jestem naprawdę szczęśliwy, że znowu słyszę, ale teraz martwię się, że nie będę już nigdy chodzić - powiedziałem, leżąc bez ruchu, aby świat przestał się kręcić

-Proszę mnie uważnie posłuchać - powiedział lekarz poważnym, ale współczującym tonem. - Będzie pan chodził, ale to wymaga czasu i wysiłku. Pański mózg musi nauczyć się używać nowych połączeń neuronowych, aby wysyłać odpowiednie sygnały do pańskiego ciała, umożliwiające chodzenie.

Ożywiłem się.

-Świetnie! Co muszę zrobić? I jak dużo czasu to zajmie?

-Będzie pan musiał się zmusić do chodzenia, zaczynając od dziś.

-Ale wszystko kręci się wokół mnie i nie mogę ustać. Do tego chce mi się wymiotować - jęknąłem.

-Tak, musi pan to pokonać. Będzie pan to robił powoli, ale musi się panu udać, jeśli chce pan jeszcze kiedykolwiek chodzić. Będzie pan robił postępy małymi kroczkami i zabierze to trochę czasu. Musi pan być silny!

Dr Mendagurin zbadał mnie i zapisał wyniki badań, po czym wyszedł. Zostałem sam. Przede mną była wyprawa do łazienki znajdującej się zaledwie 15 kroków od mojego łóżka, ale równie dobrze mogłaby być na szczycie Mount Everestu. Z pełną determinacją, by wykonać polecenie lekarza, wstałem z łóżka i stanąłem obok

oparcia, przytrzymując się. Już samo to mnie zmęczyło. Serce biło mi coraz szybciej, zwiększyło się również tempo oddychania. Zacząłem się pocić. Tym razem nie mogłem się położyć, bo pilnie potrzebowałem iść do łazienki. Zrobiłem krok i zataczając się dotarłem do końca łóżka, gdzie chwyciłem metalową ramkę. Wszystko zawirowało wokół mnie, a żołądek wywrócił mi się do góry nogami. Rzuciłem się do przodu i przytrzymałem się szafki, jak żeglarz z zatopionego statku trzyma się kawałka dryfującego drewna. Potem puściłem szafkę i odbijając się od ściany doszedłem aż do drzwi łazienki. Wirujący pokój sprawiał, że własne kroki wydawały mi się nierealne, jakbym unosił się w powietrzu. Chwyciłem framugę drzwi, żeby złapać równowagę i uspokoić oddychanie. Moja skóra była już wilgotna od potu, przez co wydawało mi się, że w pokoju jest zimno. Udałem się w kierunku toalety. Poczujęm się jak pilot, który opuszcza spadający samolot.

Po dłuższej chwili zebrałem siły i wolę na powrót i powtórzyłem całą drogę z łazienki do łóżka, potykając się od czasu do czasu. Kiedy dotarłem do łóżka, padłem na nie ciężko oddychając i pocąc się z wysiłku. Byłem wyczerpany. Nie miałem już na nic siły, mogłem tylko zasnąć, by odzyskać energię. Zanim jednak zasnąłem, przypomniało mi się, co mówił dr Mendagurin o tym, co mógł osiągnąć mój mózg. Miałem nadzieję, że podczas snu mózg będzie pracował nad połączeniami neuronowymi, których potrzebowałem, by znów normalnie chodzić.

Następnego dnia znów podreptałem po linoleum jak pijany żeglarz. Potem poddano mnie kolejnej terapii w komorze, chociaż dr Mendagurin uprzedzał, że ma wątpliwości, czy wpłynie ona w jakikolwiek sposób na poprawę mojego stanu. Dla niego czas i podejmowanie wysiłku chodzenia grały kluczową rolę w moim powrocie do zdrowia. Wciąż dzwoniło mi w uszach, dr Mendagurin nadal uważał, że także ten objaw z czasem minie. Był zresztą zadowolony z moich postępów w poprzedniego dnia, kiedy to kilkakrotnie zmusiłem się do chodzenia.

Podczas mojej rekonwalescencji w szpitalu miałem mnóstwo czasu na rozmyślanie o moim wypadku. Jak znalazłem się w takich tarapatach, które niemal pozbawiły mnie życia? Dlaczego nurkowałem, skoro tak źle się czułem? W przeszłości szanowałem zarówno głębię, jak i samego siebie i nie nurkowałem, źle się czując. Nawet jeśli byłem sprawny fizycznie, rezygnowałem z nurkowania, jeśli ostrzegała mnie intuicja

i miałem przeczucie, że to zły pomysł. Kiedyś na „Andrea Dorii” zrezygnowałem z nurkowania pierwszego dnia, mimo że fizycznie czułem się dobrze, a pogoda była znakomita. Tego dnia współzawodnictwo o artefakty wydawało się nie na miejscu i uznałem, że nie warto dla niego ryzykować życiem. Gary Gentile był zaskoczony. Być może stało się tak dlatego, że miałem więcej respektu dla „Andrea Dorii”. „Northern Pacific” znajdował się płycej. Jednak miałem niepokojące przeczucie, że powody mojej obecnej traumy znajdowały się znacznie głębiej. Mimo że przeceniłem swoje możliwości, nadal mogłem bezpiecznie się wynurzyć, nie lekceważąc dekompresji. Wiedziałem, że podwodne kłopoty muszą być rozwiązywane pod wodą. Było to coś, co wpajałem swoim kursantom, zwłaszcza tym, którzy w razie kłopotów mieli tendencję do szukania ratunku na powierzchni. Wiedziałem, że istniały poważniejsze powody, które sięgały głębiej aniżeli mogła to ujawnić standardowa analiza wypadku.

Nie byłem nowicjuszem w szukaniu wyjaśnień przyczyn wypadków, takich jak mój. W wolnym czasie byłem powiązany z NU ADC (National Underwater Accident Data Center- Narodowe Centrum Analizy Podwodnych Wypadków) na Uniwersytecie Rhode Island, gdzie przeprowadzałem analizę wypadków nurkowych na wrakach, wśród amerykańskich nurków amatorów. Po tym jak przeszedłem kurs nurkowania jaskiniowego w późnych latach osiemdziesiątych i zobaczyłem, co Sheck Exley zrobił dla tego sportu, zastanawiałem się, dlaczego nie przeprowadzono podobnej analizy dla wypadków nurkowych na wrakach. W październiku 1990 roku, kiedy wzięłem u Exley' a kurs nurkowania jaskiniowego na mieszankach gazowych, odbyłem z nim rozmowę o moich pomysłach dotyczących analizy śmiertelnych wypadków, mających miejsce podczas nurkowania wrakowego. Miała ona być oparta na modelu nurkowania jaskiniowego według opracowania Exley'a. Exley był bardzo pomocny i zaproponował rozwiązania, które miały ułatwić mi zadanie, za co byłem mu bardzo wdzięczny. Działał w duchu współpracy, wierząc, że czegokolwiek się nauczymy i czym się podzielimy będzie z korzyścią dla całego sportu. Podejście Exley'a różniło się od wewnętrznej walki między nurkami wrakowymi i kapitanami łodzi, o której słyszałem i której doświadczyłem. Analizy, które przeprowadziłem, zostały opublikowane w corocznym raporcie NUADC. Kwintesencją raportu był

podział wypadków śmiertelnych podczas nurkowania wrakowego na dwie grupy - jedna obejmowała eksploracje na zewnątrz wraków, druga natomiast penetracje.

Podobnie jak w raporcie Exley'a dotyczącym nurkowania jaskiniowego, załączyłem sugestie dla nurków, jak uniknąć stania się częścią tej statystyki.

Po tym, jak fragmenty mojej analizy zostały zacytowane w artykule w krajowej gazecie nurkowej, Underwater USA, zadzwonił do mnie Chris Rouse.

-Hej, chłopie, jesteś sławny.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Chris również był zaskoczony tym, że posłużono się cytatami z mojej publikacji, sądził bowiem, że dziennikarz zadzwonił do mnie i przeprowadził ze mną wywiad. Zapewniłem go, że użyto po prostu opublikowanej informacji. Mimo to Chris nadal był pod wrażeniem tego, że zostałem zauważony.

-Cóż, przynajmniej ludzie znają twoje nazwisko- powiedział.-Ja jestem nikim. Kiedy leżałem w szpitalnym łóżku, komentarz Chrisa odbijał się echem w mojej głowie, wznecając niepokojącą myśl. Czy mój wypadek był rezultatem tęsknoty za uznaniem? Po wspaniałym roku nurkowania, zebraniu artefaktów na „Andrea Dorii”, czy nadal musiałem udowadniać ponad wszelką wątpliwość, że jestem nieprzeciętnym nurkiem, zdobywając mosiężne iluminatory, które postrzegałem jako symbol absolutnego mistrzostwa? Czy moje pragnienie bycia kimś przywiodło mnie do katastrofy? Czy w mej naturze leżało dążenie do krawędzi, tak intensywnie, jak to tylko możliwe? Ale czy nie jest częścią natury ludzkiej docieranie do najdalszych granic, po to, by odkryć to, co nieznanne w świecie i w nas samych? Krzysztof Kolumb i Vasco da Gama dokonali tego w swoim życiu, choć mieli inne podejście przy poszukiwaniu oceanicznej drogi z Europy do Indii. Ludzie przez długie lata rozwijali technologię, aby odkryć rozwiązania, umożliwiające podwodną eksplorację. Sheck Exley zmuszał się do przekraczania granic nurkowania jaskiniowego. Mój ojciec nieustępliwie kontynuował swoje badania naukowe, mimo przeszkód.

Diana, moja żona, pojawiła się w drzwiach. Wyglądała na przestraszoną i zmęczoną. W drodze do szpitala towarzyszył jej Kevin O'Brien, mój kursant i częsty partner nurkowy. Kevin był na pokładzie „Seekera” i widział, jak mój stan się stopniowo pogarsza. Spojrzałem na piękną południowoamerykańską twarz Diany, ocienioną

długimi czarnymi lokami i z wdzięcznością poszurałem w jej kierunku w swojej szpitalnej koszuli. Nie mogła spuścić oczu z mojej twarzy, spuchniętej od wstrzykiwanych mi płynów. Diana uśmiechnęła się z ulgą i szczęściem i przytuliła mnie. Ja również mocno ją uściskałem. Diana miała mi często za złe moje częste nieobecności w domu związane z nurkowaniem, a ja minimalizowałem związane z tym ryzyko, ufny, że zawsze bezpiecznie wrócę do domu. Teraz widząc, jakie szkody choroba dekompresyjna mogła mi wyrządzić, nie tylko miałaby mi za złe moje nieobecności, ale zyskałaby mnóstwo nowych powodów do żartów o to, że kiedyś w ogóle nie wrócę.

Spojrzałem na żonę z poczuciem winy, zażenowany tym, że się wpakowałem w taką sytuację.

-Co powiedziałaś Gilowi?

-Powiedziałam mu, że zachorowałeś i musiałeś jechać do szpitala, ale że wyzdrowiejesz i szybko wrócisz do domu.

Co innego można powiedzieć trzylatkowi?

- Zadzwońię do Gila i powiem mu, że mam się dobrze. Moja żona nieznacznie skinęła głową.

- To dobry pomysł.

- Przepraszam - powiedziałem. Nie zdołałem wymyślić nic innego. -Mnie też jest przykro - powiedziała Diana.

Poczułem się trochę niezręcznie, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Odwróciłem się do Kevina i spytałem o swój sprzęt do nurkowania. Twarz Kevina wyrażała zdziwienie, ale po chwili zaśmiał się cicho.

-Jeszcze nie wyzdrowiałeś po wypadku, a już się martwisz o swój sprzęt? Chłopiec, masz fioła.

Obaj się roześmialiśmy. Diana nie.

-No więc został mi jakiś sprzęt, czy gdzieś go porzuciliście przy całym tym zamieszaniu?

-Ktoś wniósł na pokład twoje butle. Zapakowałem z powrotem twoje rzeczy do toreb i zawiozłem ci wszystko do mieszkania.

Ulżyło mi. Mój drogi sprzęt nie skończył na dnie oceanu. Wiedziałem, że będę go

jeszcze potrzebował do nurkowania - niezależnie od tego, co powiedział mi lekarz. Druga terapia w komorze nie poprawiła mojego słuchu i szum w uszach utrzymał się. Chodzenie nadal sprawiało mi trudności, ale zmuszałem się do tego, tak jak polecił dr Mendagurin. Teraz, po czterech dniach, mogłem chodzić bez wpadania na różne rzeczy, chociaż wciąż miałem zaburzenia widzenia, kiedy ruszałem głową w czasie chodzenia. Przypominało to oglądanie filmu nakręconego z kamery trzymanej w ręku. Mimo że mój stan fizyczny daleki był od doskonałości, czułem ulgę, że ponownie mogę samodzielnie chodzić korytarzami szpitala i słyszeć.

Kiedy miałem dwanaście lat, przeczytałem *Victory over myself*, autobiografię Floyda Pattersona. Pierwszy dwukrotny zwycięzca w boksie w wadze ciężkiej był bardzo nieśmiały, cichym chłopcem, i chociaż sam byłem bardzo otwartym dzieckiem, łatwo utożsamiałem się z jego potrzebą pokonania własnych ograniczeń, by osiągnąć wszystko, o czym marzył. Teraz w szpitalu, gdy myślałem o swojej sytuacji, czułem, że również muszę odnieść zwycięstwo nad samym sobą, jeśli kiedykolwiek mam wrócić do bezpiecznego nurkowania. Słowa innego bohatera z mojego dzieciństwa, Muhammada Ali, zmotywowały mnie i wzmocniły moją żądzę nurkowania, mimo strasznego niepowodzenia, po którym teraz dochodziłem do siebie. Kiedy Ali stracił mistrzostwo na rzecz słabszego wydawałoby się przeciwnika, Leona Spinksa, uśmiechnął się po prostu do oszalałych członków swojej ekipy i powiedział: -To był tylko sparing.

W swojej następnej walce Ali pokonał Spinksa i został jedynym człowiekiem w historii walk bokserskich w kategorii wagi ciężkiej, który trzykrotnie zdobył tytuł mistrza.

Wiedziałem, czym są takie sparingi na ringu. Moja amatorska kariera bokserska toczyła się ze zmienny powodzeniem. Największe rozczarowanie towarzyszyło moim dwóm nieudanym próbom zdobycia Złotych Rękawic w Stanowych Rozgrywkach Bokserskich, kiedy miałem czternaście lat i potem, gdy miałem siedemnaście. Utożsamiałem się z poobijanym bokserem, który walczy samotnie i nie pozwala, by porażka czy sponiewierane ciało stanęły na przeszkodzie ku wygranej, mimo że ta ambicja może prowadzić do uszkodzenia mózgu.

Kiedy po pięciu dniach miałem zostać zwolniony ze szpitala, dr Mendagurin stanął

nad moim łóżkiem. Spojrzałem na jego twarz i zrozumiałem, że niechętnie daje mi wypis.

-Wiem, że porzucenie nurkowania jest czymś bardzo trudnym, jeśli nie niemożliwym dla kogoś, kto tak kocha wodę, jak pan. Musi pan jednak zrozumieć, że jeśli kiedykolwiek przytrafi się panu coś takiego, nie będzie pan mógł więcej chodzić. Zużył pan dodatkowe połączenia neuronowe. Nie dostanie pan następnej szansy. Jego słowa zadźwięczały w moich uszach. Skoro odzyskałem słuch i mogłem chodzić, co umożliwiło mi powrót do nurkowania, nie mogłem już więcej spieprzyć. Jeśli miałem nurkować i przeżyć, musiałem zrozumieć, dlaczego głęboka woda wzywa mnie jak syrena.

Znałem osobę, która mogła mi przedstawić fakty i pokierować moimi badaniami. Dr Jennifer Hunt zadzwoniła do mnie po raz pierwszy, miesiąc przed moim wypadkiem. Wyjaśniła, że jest socjologiem ze szkoleniem z psychoanalizy, wykładającym na Stanowym Uniwersytecie Montclair w New Jersey. Miała prywatną praktykę psychoanalityczną i była zainteresowana studiowaniem psychologicznych i społecznych aspektów nurkowania. Podczas naszej rozmowy nie do końca zrozumiałem, co dokładnie chciała zbadać i sądziła, że miało to coś wspólnego z zagadnieniami płci. Odniosłem wrażenie, że musiała jeszcze popracować nad pytaniami, na które miały odpowiedzieć jej badania. Byłem sceptycznie nastawiony i niezbyt podekscytowany udziałem w opracowaniu na temat zagadnień płci w nurkowaniu, zwłaszcza że czułem, że jest wiele innych, pilniejszych kwestii do zbadania. Zgodziłem się jednak na wywiad i umówiliśmy się na spotkanie w późniejszym terminie. Potem nurkowałem z „Seekera” na wrak „Northern Pacific” z objawami grypy. Do spotkania z dr Hunt doszło w końcu po moim powrocie ze szpitala w Filadelfii do domu w Nowym Jorku.

Najpierw jednak musiałem do domu wrócić. Steve Bielenda i Hank Garvin z „Wahoo”, łodzi nurkowej, którą wynajęliśmy na wyprawę Team Doria wcześniej tego roku, zaniepokojeni zadzwonili do mnie podczas mojego pobytu w szpitalu. Chociaż Hank i ja mieliśmy odmienne zdanie na temat technik nurkowania wrakowego i konfiguracji sprzętu, szanowaliśmy się nawzajem i doceniałem jego propozycję. Zaoferował, że przyjedzie do Filadelfii ze swojego domu w Nowym Jorku i odwiedzie

mnie do domu, jako że moja żona nie ma prawa jazdy. Diana została w domu i opiekowała się naszym synem. Wiedziałem, że oferta Hanka była szczerą i gdybym naprawdę potrzebował podwiezienia, odbyłby tę podróż, która zajęłaby mu, co najmniej 3 godziny w każdą stronę. Steve Bielenda także zaproponował mi podwiezienie, a jemu podróż zajęłaby co najmniej 5 godzin z domu we wschodnim Long Island. Propozycje Bielendy i Garvina wzruszyły mnie jako dowody przyjaźni, mimo że podczas wyprawy Team Doria miałem im za złe, że nie zakotwiczyli tam, gdzie chcieliśmy, być może dlatego, że sami chcieli nurkować w innej części wraka "Dorii". Mimo że różniliśmy się w paru kwestiach, wszyscy byliśmy nurkami. Łączyła nas wspólna pasja i czuliśmy się zobowiązani, by sobie pomagać, niezależnie od wszystkiego.

Moi rodzice mieszkali niedaleko szpitala, ale nie przyjechali mnie odwiedzić, choć rozmawialiśmy przez telefon. Mój ojciec wiedział dostatecznie dużo o utracie najbliższych, by próbować za wszelką cenę się od niej odgradzić. Podejrzewałem, że sam przed sobą zaprzeczał, jak poważny jest mój wypadek, ponieważ byłby on dla niego zbyt wielką katastrofą. Jego późne dzieciństwo było naznaczone stratami - śmiercią ojca, lekarza z dochodową firmą farmaceutyczną w Indiach, fatalnym zarządzaniem rodzinnym interesem przez jego starszych braci. Mój ojciec mógł tylko patrzeć, jak jego przyszłość zostaje roztrwoniona przez jego braci. Opuścił Indie, kiedy miał siedemnaście lat, aby rozpocząć nowe życie w Europie i Północnej Ameryce, gdzie w końcu otworzył swoje własne laboratorium analizy surowców. Kiedy byłem w szpitalu w Pensylwanii, podczas rozmowy telefonicznej ojciec spytał, czy jakiś przyjaciel nie mógłby mnie odwieźć do domu. Wiedział, że moja żona nie prowadzi. W końcu Dave Dannenberg, instruktor, który zajął się mną na pokładzie „Seekera”, poświęcił cztery godziny na dojazd ze swojego domu w Connecticut do Filadelfii i zawiózł mnie na Manhattan. Mogłem oszczędzić mojemu ojcu bezpośredniego bólu związanego z moją potyczką ze śmiercią.

Jak dowiedziałem się później, Diana również nie akceptowała powagi mojego wypadku. Podczas jednej krótkiej wizyty w szpitalu, jedynym fizycznym objawem moich obrażeń, jakie zobaczyła, była moja spuchnięta twarz i kłopoty z chodzeniem. Wiedziała, że spuchnięta twarz była rezultatem kroplówki i że opuchlizna szybko

zejdzie przy zażywaniu środków moczopędnych, które przepisał lekarz. Przekonała samą siebie, że moje trudności z chodzeniem wynikały z tego, że przez kilka dni byłem przykuty do łóżka i moje mięśnie zeszywniały. Diana okazałaby więcej współczucia, gdybym upuścił sobie kulę kręglową na stopę. Wszystko to było częścią jej techniki wyparcia myśli, że nurkując, podejmuję wysokie ryzyko.

Pięć tygodni po moim wypadku dr Hunt przyjechała do mojego mieszkania, żeby przeprowadzić ze mną wywiad. Mój syn Gil, przywitał się z nią z niezwykłą nieśmiałością. Być może stał się nadmiernie podejrzliwy wobec nieznejomych: w dniu, w którym wróciłem ze szpitala, poczułem, że mam zapadnięte płuco. Przy oddychaniu czułem niewiarygodny ból. Wezwani lekarze zajęli się mną, podczas gdy Gil wszystkiemu się przyglądał. Widział, jak nieznajomi ludzie zabierają mnie do karetki i do pobliskiego szpitala. Trzyletni umysł Gila był prawdopodobnie przerażony myślą, że ponownie zabierają mu ojca.

Dr Hunt była wysoką, szczupłą kobietą z krótkimi, jasnymi włosami, ładnymi rysami twarzy i zawodowym podejściem. Ocenilem ją na pięć lat starszą ode mnie, ale dowiedziałem się później, że była starsza o dekadę. Dr Hunt uśmiechnęła się ciepło do Gila i przywitała się ze mną w delikatny, przyjazny sposób. Po tym jak Gil powiedział „dzień dobry” odwrócił się i poszedł do mamy, jedyne go rodzica w jego życiu, który nie chorował i nie zniknął.

Dr Hunt odwróciła się do mnie z ciepłym uśmiechem.

-Jest uroczy. Prawdopodobnie zastanawia się, co ja tutaj robię - wyciągnęła dyktafon i położyła między nami na kanapie.

-Czy martwił się o pana z powodu wypadku?

Jej wywiad już się zaczął. Omówiliśmy Gila i jego obawy. Wyjaśniła mi pokrótce, czym się zajmowała do tej pory i w jakich ramach chciała ze mną pracować.

Nieformalnie zbierała dane o świecie nurkowania, o tym, jak nurkowie postrzegają siebie samych i sport. Była zafascynowana ludźmi ze środowisk o podwyższonym ryzyku.

-Moje poprzednie badania dotyczyły przemocy policji - wyobrażeń policjantów na temat tego, co rodzi przemoc, co w ich odczuciu jest rozsądne, a co nierozsądne i dlaczego - wyjaśniła.

Wyglądało na to, że praca dr Hunt miała szerszy zakres niż tylko zagadnienia płci w sportach ekstremalnych, a to mogło mi się przydać.

-To interesujące - powiedziałem. - Mam dyplom z prawa kryminalnego. Między innymi. Chętnie przeczytam pani badania o policji.

Jennifer, dr Hunt nalegała bym ją tak nazywał, zgodziła się i obiecała dostarczyć mi kopie dokumentów przy okazji naszego następnego wywiadu. Dalej rozmawialiśmy o nurkowaniu, reakcji społecznej na techniczne aspekty tego sportu, a zwłaszcza o oporze, z jakim znaczna część społeczności nurkowej podchodziła do nowych technik. Opowiedziałem jej znaczną część historii nurkowania i w jaki sposób zacząłem się fascynować, czy wręcz dostałem obsesji na punkcie tego sportu.

Zakończyliśmy wywiad późnym wieczorem i umówiliśmy na następne spotkanie, za trzy tygodnie. Wiedziałem, że moje zainteresowanie jej pracą nie ma charakteru akademickiego. Dla swojej własnej poczytalności i bezpieczeństwa musiałem zostać jej królikiem doświadczalnym.

Wciąż byłem na zwolnieniu, które wystawił mi lekarz. Diana bezustannie naciskała na mój powrót do pracy, mimo że moi pracodawcy i tak wypłacali mi pełną pensję. Nie mogła zrozumieć, że nadal mam kłopoty ze słuchem, wzrokiem i chodzeniem i uważała, że się po prostu objam. Naciski sprawiały, że moje życie domowe stało się trudne do zniesienia, co nieszczególnie pomagało w powrocie do zdrowia. Dopiero kilka lat później Diana w pełni pojęła i zaakceptowała powagę mojego stanu i przeprosiła za to, jak mnie wtedy traktowała.

Podczas drugiego wywiadu Jennifer wręczyła mi kopie swoich publikacji na temat policji. Badania, które przeprowadziła w latach sześćdziesiątych, wyjaśniły mi jej pierwotne zainteresowanie: normalizację ryzyka w życiu ludzi ze środowisk o podwyższonym ryzyku. Zawierały one bezpośrednie obserwacje z terenu, wywiady z policjantami, podobne do tych, które teraz przeprowadzała z nurkami. W ramach przeprowadzania poprzednich badań uczęszczała do Akademii Policyjnej w Filadelfii i ukończyła ją z pierwszą setką kobiet rekrutów.

Chociaż wyszkolono ją w strzelaniu z pistoletu, nie nosiła odznaki. Jeździła jednak w patrolach policyjnych, miała regularne zmiany i uczestniczyła w pracy policji, żyjąc w świecie zawodowych stróżów prawa. Udało jej się ustalić, w jaki sposób policjanci

usprawiedliwiają użycie siły przed swoimi kolegami i przed samymi sobą. Podejście dr Hunt było nie tylko nowe, ale i kontrowersyjne. Zamiast stosować tradycyjne teorie socjologiczne, by wyjaśnić zachowania społeczne, posłużyła się teorią psychoanalizy i tym, czego nauczyła się w czasie leczenia pacjentów psychoterapią psychodynamiczną.

Jej psychoanalityczne przygotowanie przywiodło ją do konkluzji, że w każdym z nas tkwi pewien nieświadomy poziom motywacji. Dr Hunt na podstawie swoich badań i przekonań uznała, że nieświadoma pamięć, myśli i uczucia mają swoje źródło we wcześniejszych etapach naszego życia, w dzieciństwie, okresie dojrzewania i wczesnej dorosłości. Te nieświadome wspomnienia, pragnienia i emocje wpływają na to, co myślimy, co mówimy i jak działamy. Nierozwiązane konflikty z wcześniejszych doświadczeń życiowych mogą być ukryte w podświadomości i wpływać na nasze zachowanie, co jest szczególnie ważne dla ludzi, którzy angażują się w przedsięwzięcia o wysokim ryzyku, ludzi takich jak nurkowie.

Chociaż w pełni przyjąłem indywidualną odpowiedzialność za wypadek, byłem zaintrygowany tym, że sprawy, których nie jestem nawet świadom, wpływają na moje bezpieczeństwo lub jego brak podczas nurkowania. Jeśli była to prawda, to nurkowie i inni podejmujący wysokie ryzyko, byłiby bezpieczniejsi zaglądając w głąb siebie i badając swoje osobiste motywacje i nierozwiązane wewnętrzne konflikty. Rozpocząłem podróż, która trwa do dziś. Jej celem jest zrozumienie syreny, która kusiła mnie, Chrisa i Chrissy'ego i tysiące innych nurków, byśmy zapanowali nad głęboką i morderczą wodą.

Na całkiem świadomym poziomie Chris Rouse poczuł motywację do nurkowania, kiedy piloci sportowi z jego kręgu towarzyskiego zaczęli planować lot na Bermudy, gdzie zamierzali nurkować z automatem. Chris sądził, że nurkowanie nie tylko sprawi mu przyjemność, ale również pomoże w utrzymaniu bliskiej przyjaźni, którą on i Sue nawiązali z członkami latającej grupy. Nurkowanie miało być czymś ekscytującym dla osiemnastoletniego Chrissy'ego i Chris wierzył, że wspólna przygoda ojca, matki i syna wzmocni rodzinne więzi. Wczesne ojcostwo ograniczyło naturalne młodzieńcze wypadki Chrisa-teraz mając trzydzieści pięć lat mógł wreszcie przeżyć kilka męskich wyzwań, które kiedyś musiał porzucić.

Spoleczne, nawet plemienne aspekty nurkowania łączyły się w Chrisie z jego naturalnym pragnieniem współzawodnictwa, wyraźnie widocznym w intensywności jego nurkowań. Chris z radością podejmował podwodne wyzwania od samego początku nauki. Wcześniej rozpoczął kurs nurkowania jaskiniowego, które znajdowało się daleko poza aspiracjami i umiejętnościami większości nurków. W równym stopniu konkurował z wodą, co z innymi nurkami. Pod wodą czuł się wolny i mógł sam sobie być panem, tak jak we własnej firmie. Przeżywanie podwodnych przygód nadawało jego życiu zupełnie nowe znaczenie, dzięki temu czuł się kimś niezwykłym, wiedział, że robi coś nietypowego.

Dwa lata przed moim wypadkiem i w zaledwie jedenaście miesięcy po tym jak Chris i Chrissy odbyli pierwszy kurs, rodzina Rouse'ów przeżyła przygodę wykraczającą poza to, co przydarza się większości nurków. Mieli okazję przeprowadzić ćwiczenie, które bez wątpienia w szaleńczy sposób łączyło w sobie wyzwanie i ryzyko. Cała trójka Rouse'ów wzięła kurs „Nurkowania Zaawansowanego” prowadzony przez Boba Burnsa. Podczas tego kursu Burns uczył Rouse'ów podwodnej nawigacji oraz szukania i odnajdywania obiektów. W kamieniołomie Willow Springs w Pensylwanii Burns poprowadził ćwiczenia mające na celu odnalezienie w zimnej, mętnej wodzie zatopionego Volkswagena. Używając liny, nurkowie płynęli według pewnego wzoru, dopóki nie odnaleźli pojazdu. Samo szukanie okazało się stosunkowo łatwe.

Następne ćwiczenie stanowiło jednak większe wyzwanie. Burns skonstruował zadanie polegające na podejmowaniu prawdziwego i całkowicie opcjonalnego ryzyka. Celem było wydobycie samochodu, ryzyko wiązało się z możliwością uwięzienia, zmiążdżenia i utonięcia. Trofeum oferowanym za ten wyczyn nie był jakiś skarb, który doceniłby świat zewnętrzny, jak np. iluminator albo talerz z „Dorii”. Artefaktem był zardzewiały Golf, a wyzwaniem przetrwanie.

Chris i Chrissy byli zachwyceni tym wyzwaniem. Bob Burns polecił Chrisowi wysłanie na powierzchnię boi dekompresyjnej z przyczepioną do niej liną, a potem przywiązanie liny do samochodu, żeby boja nie dryfowała po całym kamieniołomie. Intensywnie żółta boja dekompresyjna wyraźnie wyznaczała lokalizację samochodu i była dobrze widoczna z brzegu przez wszystkich tych, którzy mieli akurat przerwę i jedli lunch między kolejnymi nurkowaniami. Burns oznajmił całej grupie, że podczas

następnego nurkowania podniosą dopiero co odnalezionego Volkswagena. Chris i Chrissy byli bardzo podekscytowani i od razu chcieli rozpocząć operację. Sue i część pozostałych kursantów uważała, że to zadanie jest zbyt ryzykowne i sceptycznie podchodziła do pomysłu wydobywania samochodu. Jaki to miało sens? Chris i Chrissy chcieli to zrobić, choćby po to, żeby przeżyć coś nowego i móc powiedzieć, że się to zrobiło. Podniesienie zardzewiałego gruchota z dna dałoby im prawo do przechwałek.

Podnoszenie zatopionych samochodów wiąże się z ryzykiem i dlatego jest przeprowadzane zwykle tylko przez nurków zawodowych, jak Glenn Butler, którzy otrzymują za to zapłatę lub przez oddziały policyjne, strażackie, które niekiedy muszą podnosić samochody, będące dowodami z miejsca przestępstwa lub po to, by wydostać ludzi, którzy mieli pecha wpaść w samochodzie do wody. Nurkowie policyjni i ze straży pożarnej używają podwodnych systemów komunikacji do koordynowania swoich działań, żeby uniknąć wypadku. Samochód może uderzyć nurka, kiedy podnosi się go z dna albo wznosi ku powierzchni na niewłaściwie zamocowanych linach - lina może pęknąć, a wówczas samochód spada na nurków, którzy z reguły niczego się nie spodziewają. Bez sprzętu do komunikacji Rouse'owie i ich partnerzy czuli większą presję przy wykonywaniu planu - należało to zrobić tak precyzyjnie, żeby nikt nie został zraniony albo zabity.

Mimo nieodłącznego ryzyka, Chris i Chrissy z radością powitali wyzwanie wydobywania samochodu na powierzchnię. Od uzyskania licencji pilota przez stworzenie własnej firmy budowlanej po wybudowanie własnego domu Chris zawsze pokonywał wszelkie przeszkody i była to cecha, którą przyswajał sobie jego syn, Chrissy. Chris postrzegał podniesienie samochodu z mulistego dna kamieniołomu jako problem techniczny, a w rozwiązywaniu takich problemów Chris się specjalizował. Dużym atutem było również to, że mężczyźni nie tylko prezentowali właściwe podejście, ale i wiedzieli, jak ryzykowne i niebezpieczne może być wydobywanie z wody samochodu.

Nurkowanie ma długą historię częściowo z powodu naszego ignorowania podwodnego ryzyka oraz determinacji, by coś spod wody wydobyć. Części z nas wystarczało samo wyzwanie, pokonanie ryzyka, związanego z tym, co nieznane. Bez

wątpienia jednak wielu nurków akceptowało ryzyko głębi z chciwości. Przez tysiąclecia siłą napędową nurkowania był urok wydobycia zatopionych towarów i skarbów i uzyskanie naturalnych surowców.

Jeden z najbardziej niezwykłych przykładów wystawienia nurków na ogromne niebezpieczeństwo w wyniku ignorancji i chciwości, miał miejsce w latach dwudziestych minionego stulecia. Bogaty angielski biznesmen, Ernest Cox, postanowił kupić od Brytyjskiej Admiralicji zatopioną flotę niemiecką z okresu I wojny światowej jako złom. Okręty znajdowały się na dnie portu w porcie Scapa Flow, niedaleko szkockich Orkad. Dla Coxa był to zatopiony skarb. Nie zraziło go to, że poprzednia próba wydobycia floty, podjęta przez komercyjną firmę, zakończyła się wydobyciem niewielkiej ilości złomu z czterech lekkich niszczycieli, już wcześniej zaciągniętych na płytką wodę przez brytyjską marynarkę. Eksperci od morskiego wydobywania mienia byli zgodni, że próby podniesienia zatopionych statków długich na 213 metrów i szerokich na 29, ważących ponad 26 ton jest szaleństwem. Byli przekonani, że nikt, a już zwłaszcza Ernest Cox, który nie miał żadnego doświadczenia w wydobywaniu podwodnego mienia, nie może podnieść wielkiej niemieckiej floty wojennej. Nigdy wcześniej nawet nie próbowano czegoś na taką skalę.

Podczas negocjacji pokojowych w Wersalu niemiecka flota była internowana w Scapa Flow pod czujnym okiem Brytyjczyków, którzy zastrzegli, że negocjacje pokojowe nie rozpoczną się do czasu aż Niemcy rozbroją swoją Marynarkę Wojenną i zezwolą na jej zakotwiczenie w porcie Aliantów. Alianci uważali, że jeśli Niemcy zobaczą, że nie mogą użyć Marynarki w razie zerwania negocjacji, będą starali się uniknąć tej sytuacji i będą bardziej skorzy do podpisania traktatu pokojowego.

21 czerwca 1919 roku, w osiem miesięcy po zawieszeniu broni, które zakończyło I wojnę światową, wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie zaakceptują twardych warunków zaproponowanych w traktacie pokojowym i wojna zostanie wznowiona. Admirał von Reuter, dowódca niemieckiej floty w Scapa Flow, rozkazał swoim oficerom zatopienie niemieckich okrętów, aby nie wpadły w ręce Brytyjczyków i nie zostały wykorzystane przeciw Niemcom. Na dno poszły 74 okręty wojenne. Tego samego ranka grupa dzieci wybrała się w tę okolicę na szkolną wycieczkę na

holownika. Niektóre z młodszych dzieci były zachwycone widokiem masywnych tonących statków i sądziły, że jest to przedstawienie na ich cześć. Starsze dzieci i dorośli wiedzieli, że tonące okręty wojenne mogą w każdej chwili uderzyć w holownik i zatopić go, ze zrozumiałych względów byli więc przerażeni. Na szczęście holownik i jego ludzki ładunek dotarł bez przeszkód do brzegu. Dzieci podczas swojej szkolnej wycieczki były świadkami aktu najbardziej spektakularnego samobójstwa marynarki wojennej w historii świata.

Niestety, samo zatopienie niemieckiej floty okazało się dla Aliantów ogromnie żenujące. Zamierzali podzielić między siebie okręty - wśród których znajdowały się najpotężniejsze na świecie jednostki - jako łupy wojenne. Kiedy nurkowie i eksperci od wydobywania mienia ocenili na zlecenie Brytyjskiej Admiralicji sytuację, uznali, że najtaniej będzie sprzedać okręty jako złom, tak jak leżą na dnie.

Cox zobaczył w wydobywaniu niemieckiej floty szansę na doskonały interes, przy czym niemal zginął, gdy łańcuch przeciągnięty pod zatopionym statkiem pękł i uderzył w pływający drewniany pomost, na którym stał. Szczęśliwie wszyscy wyszli z tego wypadku bez obrażeń. Incydent posłużył za ostrzeżenie dla Coxa i jego pracowników, żeby poszukali jakiegoś odpowiedniejszego sposobu wydobywania okrętów wojennych. Tak też zrobili. Do podnoszenia użyli ciężkich kabli, a ponadto wpompowali sprężone powietrze do wnętrza wraków, po czym dokładnie je zaspawali. Entuzjazm Coxa i jego opór przed ustąpieniem wobec wyzwań głębi zostały nagrodzone wydobywaniem większości floty, w tym 26-tonowego Hindenburga, największego statku, jaki kiedykolwiek udało się w całości wydobyć. Niestety, przedsięwzięcie nie okazało się sukcesem z finansowego punktu widzenia i Cox poniósł straty rzędu dziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Chciwość napędzała wprawdzie innowacje technologiczne, ale nie popłacała.

W innej skali, zadanie podniesienia z dna Volkswagena, przed którym stanęli Rouse'owie w kamieniołomie było niemal tak samo trudne, jak wcześniejsze dokonania Coxa w Scapa Flow, chociaż zupełnie pozbawione sensu, gdyby ich motywacją była chciwość czy nawet pożytek. Ale w odróżnieniu od Coxa, Rouse'owie dysponowali doświadczeniem i nauczycielem w osobie Boba Burnsa, który przeprowadzał takie akcje już wcześniej. Burns nakreślił plan: mieli zabrać ze

sobą pod wodę ciężką, wzmocnioną nylonową taśmę, włożyć ją pod samochód, przymocować oba końce do boi dekompresyjnej o wyporności 304 kg. W odróżnieniu od malej boi dekompresyjnej, która dryfowała po powierzchni oznaczając położenie samochodu, 304-kilogramowa boja, której kursanci Burnsa mieli użyć do podniesienia samochodu, była zupełnie szczelna. Do połączenia boi z butlami wykorzystany miał być specjalny zawór, przez który miała być napompowana. Do spuszczenia namiaru powietrza, które rozprężało się w miarę jak boja wynurzała się ku powierzchni, służył odrębny zawór. Boja miała zostać napełniona powietrzem z dodatkowych butli zabranych specjalnie do tego celu. Powietrze uwięzione w boi miało unieść samochód na powierzchnię.

Rouse'owie ciężko pracowali nad tym, by umieścić taśmę pod samochodem. Musieli sporo się nakopać, by powstał rów, przez który mogli przecisnąć taśmę, tak jak zrobili to wiele lat wcześniej nurkowie w Scapa Flow przy wydobywaniu niemieckich okrętów wojennych. Chrisowi i Chrissy'emu Rouse nie przeszkadzała praca w warunkach zerowej widoczności, które sami spowodowali kopiąc. Z powodzeniem wydobyli Volkswagena na powierzchnię. Nikt nie zginął. Dumni, że udało im się dokonać tak znacznego wyczynu na tak wczesnym etapie ich kariery nurkowej, zdobyli kolejne potwierdzenie na to, że pod wodą mogą dokonać wszystkiego, czego zapragną, pod warunkiem, że wszystko będzie dobrze zaplanowane - nieważne jak duże jest ryzyko ani jak niepewne nagrody.

Podczas mojego drugiego wywiadu dr Hunt zaczęła zadawać pytania dotyczące mojego dzieciństwa, zwłaszcza mojego rosnącego zainteresowania nurkowaniem. Chrissy Rouse, Billy Deans, Glenn Butler i masa innych nurków, którzy uprawiali ten sport w najbardziej ekstremalny sposób, zostali zachęcani do sportu przez swoich ojców. W moim przypadku rolę tę odegrała babcia, którą wszyscy czule nazywaliśmy niemieckim zdrobnieniem Omi. Gdy po raz pierwszy odwiedziłem Omi w Zachodnim Berlinie, miałem siedem lat i na stałe mieszkałem w Londynie, w Anglii, gdzie przyszedłem na świat. Chociaż Berlin jest postrzegany jako duże kosmopolityczne miasto - takie, które odegrało wielką rolę we współczesnej polityce - większość ludzi byłaby zaskoczona liczbą jezior i lasów, które użyczają temu miejscu uroku, o jakim Nowy Jork może tylko marzyć.

Omi mieszkała w Wannsee, dzielnicy, w której znajduje się duże jezioro Wannsee połączone z mniejszym. Żaglówki i motorówki zapełniały gęsto oba jeziora, a promy wycieczkowe zabierały pasażerów na wycieczki wokół miasta, trasą wiodącą przez różne połączone kanałami jeziora. Chociaż wisiało nad nami widmo niesławnego Muru Berlińskiego, strażników ze Wschodnich Niemiec z karabinami maszynowymi w ich wieżyczkach. Omi i ja nie zwracaliśmy na nic uwagi. Podczas tego ciepłego lata często chodziliśmy do pobliskiego Stülpchensee, tego samego jeziora, w którym moja mama i jej siostry nauczyły się w dzieciństwie pływać, ja również baraszkowałem w wodzie całymi godzinami, skacząc na dmuchanym materacu i sprawdzając, czy zdołam na nim stanąć. Omi siedziała w kawiarence przy brzegu i rozmawiała z przyjaciółmi przy kawie.

Widząc, jak dobrze czuję się w wodzie, Omi kupiła mi fajkę, maskę i płetwy. Podczas naszej następnej wyprawy nad małe jezioro nauczyłem się nurkować z fajką. Dzięki płetwom czułem się jak ryba i niemal bez wysiłku poruszałem się w wodzie. Z płetwami nabrałem nowej pewności siebie i czułem, że właśnie tu przynależę. Było to całkiem nowe uczucie dla dziecka, które przez miejsce urodzenia i pochodzenie czuło się obco w każdym środowisku, jak zwiadowca wysłany, by opanować zwyczaje i język na obcym terytorium. Chociaż w mętnej jeziorze nie było wiele do zobaczenia, i tak czułem podniecenie, nurkując na głębokość kilku metrów i widząc, że z mulistego dna wystaje jakaś roślinka. Życie pojawiało się nawet w tak ciemnym, nieprzyjaznym miejscu.

Nurkowanie łączyło mnie na różne sposoby z moją niemiecką przeszłością. Podczas moich licznych podróży do Niemiec, moi krewni często rozmawiali po kolacji o ich doświadczeniach z wojen światowych. Jedna z moich odległych krewnych, starsza pani, miała w swoim salonie zdjęcie męża w mundurze. Obok leżał jego błyszczący hełm paradny z czasów I wojny światowej, z ostrym bolcem wystającym ze środka. Jak mówią Niemcy, jej mąż padł w tej wojnie. Moi inni krewni walczyli na obu frontach albo w powietrzu, albo na ziemi. Omi powiedziała, że mój dziadek Alfred Krüger był inżynierem aeronautycznym w Luftwaffe i przeprowadzał eksperymenty z lotami na dużych wysokościach długo przed wybuchem II wojny światowej. Powiedziała mi też, że dodatkowe zarobki, jakie otrzymywał za ryzykowne

eksperymenty z lotami na znacznych wysokościach, były znaczną ulgą w życiu pełnym restrykcji spowodowanych kryzysem niemieckiej gospodarki. Mój dziadek zginął w 1944 roku i zawsze czułem żal, że nigdy go nie poznałem.

Mój wuj, który poślubił bliźniaczą siostrę mojej mamy, po tym, jak jego pierwsza żona zmarła na raka, był tylnym strzelcem na bombowcach Stuka. Nawet po zakończeniu wojny zachował entuzjazm wobec lotów i uwielbiał się ze mną bawić modelami samolocików. Często przychodził, by zabrać mnie do parku, gdzie puszczailiśmy w powietrze nasze zabawki, jak dwaj mali chłopcy. Brat mojej babci, który znał pięć języków, również był w wojsku, walczył na wschodnim i na zachodnim froncie i został dwukrotnie ranny. Kiedy miałem osiemnaście lat opowiedział mi o swoich wojennych doświadczeniach przy butelce wina. Obrazy lodowatego frontu niemieckiego, nakładania oleju silnikowego na nos i uszy, aby nie odmarzły nigdy mnie nie opuściły. Historie, które usłyszałem, nie odnosiły się do morderczej Trzeciej Rzeszy i jej programu wojny i ludobójstwa. Ja usłyszałem historie o dokonaniach i przetrwaniu jednostek.

Chociaż nigdy nie poznałem moich krewnych, którzy służyli w niemieckiej marynarce wojennej, i tak byłem zafascynowany, słysząc po tym, jak zacząłem nurkować, że niedaleko mojego domu, przy wybrzeżu Nowego Jorku i New Jersey, znajdowały się frachtowce i okręty wojenne zatopione w czasie obu wojen światowych. Dowiedziałem się o niemieckich łodziach podwodnych, nazywanych U-Bootami. Byłem zdeterminowany, by zdobyć umiejętności i sprzęt, które umożliwiłyby ich bezpieczną eksplorację. Robiąc to, czułem się, jakbym dotykał fragmentu swojej własnej, osobistej historii, a przy tym również historii świata, nietkniętej od chwili, gdy okręty zatonięły na dnie morza.

Dr Hunt zauważyła, że moje doświadczenia z Niemcami były najbliższe temu, co można określić poczuciem przynależności do jakiegoś miejsca. Chociaż moje hinduskie rysy twarzy wyraźnie odróżniały mnie od posiadających jasną skórę Niemców, umiejętności językowe pozwalały mi się wtopić. Moja babcia kochała mnie bezwarunkowo, w rezultacie więc Niemcy byli mi bliżsi niż jakakolwiek inna narodowość. Skoro byłem młodym outsiderem z mieszanym pochodzeniem, Niemcy znalazły się najbliżej tego, co mogłem nazwać swoim własnym krajem.

Zaraz po tym, jak nauczyłem się nurkować z fajką, przeprowadziliśmy się z Anglii do Kanady. Miałem wówczas osiem lat. Kryzys brytyjskiej gospodarki w latach sześćdziesiątych przekonał mojego ojca, że w innych krajach są lepsze możliwości. Przebyliśmy Atlantyk do Nowego Jorku na „Queen Elizabeth”, a grudniowa podróż na luksusowym liniowcu oceanicznym była dla mnie wspaniałą przygodą.

Osiedliliśmy się w Kitchner w Ontario. W Kanadzie mój londyński akcent znów mnie wyróżniał i znów byłem outsiderem. Potem, kiedy wreszcie zdobyłem kanadyjski akcent i udało mi się wpasować, przeprowadziliśmy się do USA i jak zauważyła dr Hunt, znów byłem obcym, walczącym o dopasowanie się. Dopiero wiele lat później, gdy zacząłem nurkować, zyskałem poczucie przynależności. Moje doświadczenia pod wodą były rezonansem dziecięcej satysfakcji, którą odczuwałem nurkując w Berlinie, z czuwającą nade mną Omi. Dr Hunt częściowo odsłoniła moje prywatne tajemnice, ale wiedziałem, że jest coś jeszcze, co może mi pomóc uniknąć kolejnego wypadku pod wodą. Pod koniec naszego drugiego spotkania stało się dla mnie jasne, że muszę się jeszcze wiele nauczyć, nim w pełni pojmę, czym wabi mnie podwodny świat i jak w nim przeżyć, by móc dalej czerpać z niego przyjemność.

Mój wywiad z dr Hunt został przerwany, gdy Diana zawołała:

- Przepraszam. Gil chce powiedzieć dobranoc.

Gil podszedł do mnie i uśmiechnął się do dr Hunt. Ta kobieta była dla niego zupełną nieznaną, kiedy przyszła do naszego mieszkania po raz pierwszy miesiąc temu, ale nie zabrała mnie stąd na noszach, jak sanitariusze i Gil musiał w końcu nabrać więcej pewności, że ojciec znów nie zniknie. Ja także nabrałem pewności, że nagle nie zniknę. Ani Gil, ani ja nie mogliśmy wiedzieć, że wywiady dr Hunt zmienią nasze życie i bardzo zbliżą mnie do syna. Dzięki niej ocaliłem swoje życie - wielu nie miało tego szczęścia.

Gil uśmiechnął się do dr Hunt, a potem odwrócił się do mnie, uściskał mnie mocno, pocałował i powiedział:

- Dobranoc tatusiu. Zobaczymy się rano?

9

Żelazne trumny

Grudzień 1991. Wall Street, Nowy Jork

Rouse'owie byli zaniepokojeni i zaintrygowani moim wypadkiem. W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy walczyłem o to, by chodzić jak normalny człowiek i wciąż testowałem swoje odruchy i słuch, często rozmawialiśmy przez telefon. Pewnego razu powiedziałem Chrisowi:

— Kiedy wpadłem w tarapaty na „Northern Pacific”, pomyślałem sobie: „Cóż, albo mogę szukać liny kotwicznej dopóki nie utonę, albo wypłynąć, zaryzykować chorobę dekompresyjną i ewakuację helikopterem do komory”. Pomyślałem, że wszystko będzie w porządku, jak tylko dostanę się do komory. Nie przewidziałem, że zobaczę, jak mój duch opuszcza ciało i że będę musiał podjąć decyzję o nieumieraniu.

Chris był zafascynowany.

-Stary, co za decyzja. Ale ja też bym tak postąpił. Wolałbym zaryzykować komorę niż utonąć!

Jego słowa miały mnie później prześladować.

Chris i Chrissy szczegółowo wypytywali mnie o szczegóły mojego wypadku, o postępy w rekonwalescencji, jakbym dzięki opowiadaniu tej historii miał przezwyciężyć traumę, oni natomiast mogli się zaszczepić przeciw błędom, które popełniłem.

-Bernie, kiedy będziesz gotów, żeby znów zanurkować, przyjedź i zatrzymaj się u nas- Chris Rouse powtarzał bezustannie- Pojedziemy do kamieniołomu i ponurkujemy razem, żeby mieć pewność, że wszystko w porządku.

Chris powiedział, że wyobraża sobie, jak trudne z psychologicznego punktu widzenia będzie dla mnie pierwsze nurkowanie - powrót na miejsce zbrodni i to z intencją pełnego powrotu.

-Jeśli czegokolwiek potrzebujesz - gazu, sprzętu, czegokolwiek, o nic się nie martw -

Chris zapewnił mnie. - Mamy tu wszystko. A co nasze, to i twoje!

Byłem wzruszony jego ofertą.

Powiedziałem Chrisowi o teorii dr Hunt, o tym, że podświadome, nierozwiązane konflikty z naszej przeszłości mogą ponownie się rozgrywać pod wodą, powodując potencjalnie niebezpieczne konsekwencje. Nie wiem, czy jej podejście jest słuszne, powiedziałem, ale po spotkaniu z nią zacząłem zgłębiać swoją przeszłość, by sprawdzić, co mogło mnie pchnąć do nurkowania, gdy nie powinienem.

-Jeśli to ma sprawić, że będziesz nurkował bezpieczniej, trzymaj się tego, Bernie.

-Ale jak myślisz, czy ta teoria ma w ogóle jakiś sens?

-Nie wiem, stary. Wydaje mi się trochę naciągana. Ale co ja tam wiem? -obojętna reakcja Chrisa nie zdziwiła mnie. W dobrym czy złym sensie, Chris był mężczyzną, którego charakter definiowały jego czyny, a nie to, co o tych czynach myślał.

W październiku 1991 roku, sześć tygodni po moim wypadku, byłem wreszcie w stanie wrócić do pracy. Poszedłem na Wall Street przygotowując się na fizycznie niepewny, ale z pewnością intensywny pod względem umysłowym dzień przeprowadzania analiz personelu. Na tym etapie mojego życia praca w sektorze finansowym nadal zapewniała mi środki do życia, mimo że czułem coraz większy pociąg do głębokiej wody. Tak jak zapewniał mnie dr Mendagurin, mój mózg tworzył nowe połączenia neuronowe, by móc wysyłać do ciała sygnały, dzięki którym mogłem chodzić, nie przewracając się. Stopniowo zacząłem chodzić i przekręcać głowę i mogłem, na przykład, przejść przez ulicę bez utraty równowagi i zawrotów głowy. Mogłem też siedzieć i pracować przy komputerze, ale musiałem robić częste przerwy, ponieważ zaczynałem widzieć nieostro, bolała mnie głowa i miałem kłopoty z koncentracją. Mój menadżer okazywał mi współczucie i przydzielał lżejsze zadania, abym mógł kontynuować swoją rekonwalescencję.

Ale teraz, jako ocalały nurek, patrzyłem inaczej na pewne sprawy. Rok wcześniej, będąc analitykiem systemów, nie mogłem się nadziwić słysząc, jak porównują swoje działania do działań wojennych. Maklerzy i biznesmeni z Wall Street lubili myśleć o sobie jak o uczestnikach bitwy, ale ja wiedziałem przecież, że nie ryzykowali swoim życiem a najgorszą konsekwencją nieudanej umowy handlowej byłaby utrata pracy. A i to miałyby miejsce w najbardziej ekstremalnym przypadku, na przykład gdyby

złamali wytyczne firmy, narzucane po to, by ograniczyć narażenie firmy na nadmierne ryzyko finansowe. Oczywiście krach na giełdzie wpływał na ludzi na całym świecie, ale takie wydarzenie było zdecydowanie poza kontrolą pojedynczego maklera. A nawet gdyby nastąpił krach, ludzie nie umierali wyłącznie z tego powodu. W odróżnieniu od maklerów z Wall Street, z którymi pracowałem, mój instruktor nurkowania jaskiniowego, Marc Eyring, należał do Zielonych Beretów i był wysyłany w Wietnamie za linie wroga. Eyring rozumiał, co znaczy być na wojnie. Uczestniczył w prawdziwych bitwach, ryzykując życiem i widząc, jak giną ludzie w jego mundurze. Ja również, jako instruktor nurkujący na dużych głębokościach, wiedziałem, że za każdym razem, gdy schodziłem z kursantami pod wodę, ryzykujemy paraliżem i śmiercią. Szczyciłem się tym, że uczę moich kursantów tak gruntownie, by zapewnić im umiejętności potrzebne do przetrwania w obcym podwodnym świecie, wymagającym sprzętu podtrzymującego życie. Chociaż moi kursanci często żartowali, że musztrowałem ich jak sierżant w obozie dla rekrutów, wielu z nich wracało do mnie na długo po tym, jak uzyskali licencję, po jakimś nieprzyjemnym wypadku pod wodą i dziękowali za dokładne przeszkolenie, które pozwoliło im przeżyć. Uważałem, że w porównaniu z tym maklerzy podejmowali ryzyko, które niosło ze sobą nie większe zagrożenie dla ich fizycznego stanu niż przegrana w Monopol.

Teraz, gdy znalazłem się tak blisko śmierci wskutek choroby dekompresyjnej, analogia z wojną, tak często używana w świecie biznesu, wydała mi się jeszcze bardziej dziecinna. Czułem się obrażony tym, że spędzam czas bawiąc się w grę, której stawka jest tak niska. Wiedziałem, że w swojej pracy jestem tylko trybikiem w wielkiej maszynie, łatwym do zastąpienia, gdybym się potknął. Rozglądając się dookoła, wiedziałem, że w tym środowisku nie mogę dokonać niczego szczególnego. Nie zwiększę naszej kolektywnej wiedzy o nas samych ani o naszym świecie zestawiając głupie raporty o takich rzeczach, jak wydatki naszego działu na personel albo sukcesy rekrutacji na uniwersytetach. Żeby coś zmienić w świecie, musiałem szkolić ludzi, motywować ich do podwodnych eksploracji i przeprowadzać je samemu. Jak Rouse'owie chciałem znaleźć pod wodą nowe formy życia, uczestniczyć w ekspedycjach, które poszerzą naszą wiedzę.

Walcząc o odzyskanie pełni zdrowia po wypadku, często przerywałem moją prozaiczną pracę, by wyglądać przez okno i obserwować świat siedem pięter niżej. Jeżeli mogłem się poruszać po labiryncie nowojorskich ulic tak sprawnie jak przed wypadkiem, czy nie mogłem zacząć ponownie penetrować głębokiej wody mądrze i bezpiecznie? Na razie mogłem tylko tęsknie spoglądać na dół, wychylając się zza biurka za każdym razem, gdy jakiś liniowiec oceaniczny albo frachtowiec płynął rzeką Hudson i zastanawiać się, czy jeszcze kiedykolwiek będę mógł zobaczyć podobne statki, które zatoniły na dnie.

Życie Chrissy'ego Rouse'a stawało się coraz bardziej szalone w miarę jak zaczął szukać własnej ścieżki, niezależnej od rodziców. Spędzał coraz mniej czasu w domu, a coraz więcej u swojego przyjaciela, Tima Stumpfa, mieszkającego niedaleko centrum nurkowego Underwater World, w którym Chrissy pracował. Atmosfera u Tima przypominała dom bractwa, do którego ludzie przypadkowo wpadają i gdzie imprezują w trakcie tygodnia, żeby utrzymać formę na weekendowe szaleństwa. Chrissy często przebywał u Tima, a wiosną 1992 roku wprowadził się do niego na stałe. Właśnie skończył dwadzieścia dwa lata i po raz pierwszy mieszkał z dala od rodziców.

Młodzi mężczyźni i kobiety, którzy regularnie wpadali do Tima, byli głównie, tak jak Chrissy, nurkami. Żyli szybko i ostro, co Chrissy'emu bardzo się podobało. Życie miało być przygodą w wodzie, na łodzi i w łóżku. Chrissy odkrył, że bez trudu może się spotykać i wiązać z kobietami, zwłaszcza że większość z nich była zainteresowana jego historiami o nurkowaniu, co zapewniało mu temat do rozmowy. Przebywanie w domu Tima stworzyło pole, na którym mógł spotykać się z kobietami w bardziej intymnych warunkach niż w czasach, gdy rodzice czekali w pokoju obok. Mimo to, na tyle był dzieckiem swoich rodziców, by dzwonić do matki każdego dnia. Dla każdego, kto bywał u Tima, było jasne, że Sue Rouse i Chrissy są ze sobą bardzo blisko jako matka i syn. Nawet w połowie hucznego weekendowego przyjęcia Chrissy potrafił wycofać się z towarzystwa na dość długo i zadzwonić do swojej matki, jeśli zapomniał zrobić tego wcześniej danego dnia. Tim słyszał jak Chrissy mówi:

-Wszystko w porządku, mamó. Dlatego właśnie dzwonię, żeby ci powiedzieć, że

wszystko w porządku. Jestem tutaj z paroma osobami i trochę się relaksujemy. Owinięty kablem od telefonu chodził i puszczał oko do kobiety siedzącej między praniem a pudełkami po pizzy.

-Wypiłem już parę piw i nie będę dziś prowadził, mamó. Nie martw się o mnie! - jęczał żartobliwie. - Tak, tak wiem, mamó. Dlatego właśnie zadzwoniłem, żeby dać ci znać, że u mnie wszystko w porządku. Nie musisz się o mnie martwić. Tak, ja też cię kocham.

Chrissy zaczął się spotykać z Julią, kokieteryjną, długonogą blondynką, którą spotkał podczas kursu tego roku, asystując przy sesjach na basenie. Chociaż wcześniej każde z nich było w poważnym związku z inną osobą, ich romanse się zakończyły i teraz zaczęli się niezobowiązująco spotykać. Julia pracowała niedaleko centrum nurkowego i domu Tima i często wpadała do centrum, by spotkać się z Chrissy. Mogła się przy nim odprężyć i zabawić, czego brakowało jej w poprzednim związku. Oboje cenili swoje wzajemne zamięślenie do przygód.

Nonszalancja Chrissy'ego była zaraźliwa. Na początku Tim uważał za nieco dziwne to, że jego nowy współlokator ma zwyczaj wchodzenia do łazienki, siadania na krawędzi wanny i rozmawiania, kiedy Tim się załatwiał. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że dziewczyna Tima wkrótce przejęła ten zwyczaj. Potem do dyskusji zaczęła się przyłączać Julia i wkrótce wydawało się, że cały dom zbiera się w łazience Tima, kiedy ten siedział na klozecie. Działo się to tak często, że w końcu Tim i pozostali ludzie w domu, w ogóle przestali o tym myśleć. Mieszkanie w braterskim stylu zdawało się być sportem koedukacyjnym.

Zabawa przenosiła się również na sport i pod wodę, gdzie warunki były bardziej ryzykowne. Chrissy potrafił się zachowywać jak niedbały gladiator. Uwielbiał grę, którą nazywali „zderzaniem skuterów”. On i inni nurkowie próbowali staranować się swoimi skuterami niczym dwaj rycerze próbujący strącić się z koni, manewrując tak, by zepchnąć przeciwnika ze skutera, wysyłając go na dno. John Reckie, Kanadyjczyk, który uwielbiał nurkować z Chrisem w jaskiniach Florydy, lubił bawić się w tę grę z Chrissym za każdym razem, gdy obaj byli akurat w kamieniołomie, lub nawet w jaskiniach, by jakoś rozerwać się podczas dekompresji. Kiedy jednak Chrissy próbował tej gry z ojcem, senior Rouse nie współpracował i denerwował się,

strzelając gniewnym spojrzeniem spod zmarszczonych pod maską brwi. Starszy Rouse uważał, że nurkowanie jest zbyt poważną sprawą, a konsekwencje pomyłek zbyt ciężkie, by nurkowie zabawiali się pod wodą. W końcu ktoś mógł stracić przytomność gdyby został uderzony skuterem w głowę albo gdyby wpadł na ostry obiekt. Gdyby tak się stało, utonąłby zanim jego partner zorientowałby się co się dzieje. Chrissy lekceważył przestrogi ojca, nawet po tym, jak Reckie dokonał zgrabnego zwodu w kamieniołomie podczas „zderzania skuterami”, a Chrissy rozbił się o wagon zatopiony tam jako atrakcja dla nurków. Kiedy Chrissy się wynurzył, uznał, że albo ojciec, albo on sam zdołają naprawić uszkodzony skuter, a guz na czole zagoi się sam.

25 czerwca 1992 roku Chrissy wybrał się na nurkowanie ze swoim współlokatorem Timem Stumpfem na wrak „Double East”, którego rozrzucone na głębokości 18 metrów szczątki wydały się Chrissy'emu gorsze od złomowiska. W swojej książce nurkowej zanotował: „Największa kupa gówna w oceanie. Przejrzyście i spokojnie. Z nudy próbowałem zabić Stumpfa”. Metalowy gąszcz nie zrobił na nich żadnego wrażenia i nie można było stamtąd wynieść żadnego artefaktu. Żeby jakoś zabić czas w trakcie tego 594 nurkowania Chrissy postanowił wprowadzić pewne urozmaicenie. Widząc Tima kopiącego między fragmentami metalu Chrissy zakradł się od tyłu, chwycił nogę przyjaciela i użył noża do wycięcia dziury w jego suchym kombinezonie. Przez dziurę zimna woda dostała się do środka, co, jak Chrissy doskonale wiedział, było niegroźne na tej głębokości, która nie wymagała od nich dekompresji, choć co innego zapisał w swojej książce nurkowej.

Chociaż inny nurek byłby wściekły, a może nawet zaniepokojony tym, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, Tim od razu zorientował się, że Chrissy się wygłupia, ponieważ zawsze płatali sobie skandaliczne figle. Tim odwrócił się i uderzył w maskę Chrissy'ego, która natychmiast wypełniła się wodą morską, na chwilę go oślepiając. Kiedy Chrissy zaczął poprawiać maskę na twarzy i opróżniać ją z wody, Tim wyciągnął swój nóż i przeszedł do ofensywy wycinając dziurę w kombinezonie przyjaciela. Kiedy Chrissy miał już z powrotem maskę na twarzy, charcząc, chwycił ramię Tima, by powstrzymać go przed przecinaniem skafandra. Siłowali się, dysząc i śmiejąc się, z nożami w rękach kręcąc się i koziolując, jak w jakiejś scenie z filmu o

Jamesie Bondzie. Wkrótce zasapali się przy tych wybrykach, uśmiechnęli się do siebie i skierowali ku powierzchni. Po powrocie na pokład łodzi nurkowej, przemoczeni z powodu dziur, które wycięli w swoich kombinezonach, zaczęli żartować na temat swoich nowych systemów wentylacyjnych. Wiedzieli, że dziury stosunkowo łatwo będzie naprawić i wkrótce ich kombinezony będą niemal jak nowe. Dobrze się bawili, a ryzyko nie było wielkie, bo uważali, by przypadkiem nie przeciąć swoich węży albo niechcący się nie dźgnąć.

Bez troskie podejście Chrissy'ego do własnego życia przenosiło się na ląd - od nurkowania na prowadzenie samochodu. Chociaż stosował się do przestróg matki i nie prowadził po pijanemu, szybka jazda często powodowała, że tracił kontrolę na mokrych, krętych ulicach i zadrapywał bariery ochronne lub wpadał w poślizg lądując na drzewie. Chociaż nie były to poważne wypadki, uszkodzenia samochodów rodziców i tak musiały być opłacone, a Chrissy nie miał zbyt wiele pieniędzy. Drugi prawdziwy wypadek wyczyścił jego konto bankowe i po zaledwie dwóch miesiącach w domu Tima musiał z powrotem wprowadzić się do rodziców. Wypadki i niepewna przyszłość syna niepokoiły Sue i Chrisa. Ale co innego mogli zrobić ze swoim jedynym synem, jeśli nie pożyczyć mu pieniądze na naprawę uszkodzonego samochodu i pozwolić na to, by się z powrotem wprowadził, do czasu aż stanie finansowo na nogi. Czy nie to właśnie robią dobrzy rodzice - opiekują się synem, pomagają mu?

W lipcu 1992 roku byłem znów gotów na skok do wody. W dziewięć miesięcy po moim wypadku nurkowym przyjąłem ofertę Chrisa Rouse'a, by zatrzymać się u niego i ponurkować w kamieniołomie. Nieważne, że lekarz podczas mojej terapii w komorze hiperbarycznej powiedział, że dni mojej kariery nurkowej są skończone. Nigdy mu nie uwierzyłem. Wiedziałem, że skoro zdołałem się znów nauczyć normalnie chodzić, muszę nurkować. Dla mnie rezygnacja z nurkowania była zbyt wielką stratą, by móc to sobie wyobrazić na dłuższą metę. Zbyt mocno identyfikowałem się ze światem nurków, takich jak Steve Berman i Marc Eyring w Ginnie Springs, Rouse'owie w Pensylwanii, Steve Bielenda, Hank Garvin i załoga „Wahoo”, członkowie mojego klubu nurkowego na Manhattanie i wielu innych nurków, których poznałem przez te wszystkie lata. Podwodny świat zaferował mi

znacznie więcej niż cokolwiek, co otrzymałem na lądzie, z wyjątkiem mojej żony i syna. Utrata pozycji nurka i swojego miejsca pośród nich oznaczała ponowną utratę korzeni, tak jak w dzieciństwie, gdy moja rodzina przeprowadzała się z kraju do kraju. Gdy tylko zaczynałem się czuć swobodnie w miejscowych zwyczajach i dialekcie, znów się przeprowadzaliśmy. Tym razem byłem zdeterminowany, aby pozostać pełnoprawnym obywatelem podwodnego królestwa nurków. Nie zamierzałem utknąć na powierzchni.

Moja żona zauważyła, jaki jestem niespokojny nie nurkując od tyłu miesiący. Kiedy powiedziałem jej, że wracam pod wodę, odpowiedziała po prostu:

-No cóż, idź wydmuchiwać bąbelki i bądź szczęśliwy. Wiem, że nurkowanie cię uszczęśliwia. Wiesz, co robisz. Tylko bądź ostrożny.

-Tak, nurkowanie może być okrutną kochanką - zażartowałem. Diana odpowiedziała półśmiechem i krótkim: „Hmm.”

Kiedy Gil zobaczył, że pakuję swoje torby nurkowe, spytał ostrożnym tonem:

-Jedziesz nurkować, tatusiu?

Zachowywał się jakby się przygotowywał na to, że po raz kolejny mnie utraci. Może sądził, że tym razem straci mnie na dobre. Przytuliłem go.

-Tak, tatuś wybiera się na nurkowanie. Ale będę bardzo ostrożny i wrócę pod koniec weekendu w jednym kawałku. Dobrze?

Pilnie trenowałem, by wrócić do nurkowania i byłem spokojny o to, że stworzyłem mojemu ciału najlepsze możliwości do właściwego funkcjonowania pod wodą. To, czego nie byłem pewien, to czy mój ciężki przypadek choroby dekompresyjnej predysponował mnie do kolejnego jej ataku, mimo ścisłego przestrzegania wszelkich zaleceń. Od dawna moją filozofią było wytrenowanie mojego organizmu do odpowiedniego absorbowania i wydalania azotu, abym mógł uniknąć choroby dekompresyjnej. Uważałem, że muszę od nowa przygotować ciało do nurkowania i zapewnić mu powolny trening. Był to nurkowy odpowiednik nauki raczkowania zanim zacznie się chodzić. A skoro umiałem już chodzić na lądzie, byłem gotów, by nauczyć się raczkować pod wodą.

Podczas swojego pierwszego nurkowania planowałem oddychać 50-procentową mieszanką tlenu i nurkować przez dwadzieścia minut na głębokość mniejszą niż 9

metrów w kamieniołomie. Cieśninie wywierane na moje ciało byłoby tu większe tylko o jedną dodatkową atmosferę. Podczas wynurzania planowałem pozostać przynajmniej piętnaście minut na głębokości pięciu metrów i nadal oddychać mieszanką o dużej zawartości tlenu, pomagając w ten sposób mojemu organizmowi w wydalaniu nadmiaru azotu. Wiedziałem, że była to prawdopodobnie nadmierna ostrożność, obniżająca ryzyko choroby dekompresyjnej do absurdalnego poziomu, ale z psychologicznego punktu widzenia plan był czymś, z czym mogłem sobie poradzić.

Tak jak podejrzewał Chris, prawdziwym wyzwaniem miało być przezwycięzenie przerażenia związanego z powrotem do nurkowania po tym, jak niemal zabiła mnie choroba dekompresyjna. Było zbyt wiele niewiadomych, jeśli chodzi o to, jak organizm radzi sobie z objawami choroby dekompresyjnej u kogoś, kto nigdy wcześniej ich nie doświadczył. Jeszcze większa niepewność dotyczyła tego, jak zachowa się organizm kogoś takiego jak ja. Potrzebowałem wsparcia przyjaciół. Kevin O'Brien, który był ze mną na pokładzie „Seekera” i widział skutki mojego wypadku, powiedział, że zanurkuje ze mną i będzie tam z Chrisem i Chrissym, by się upewnić, że nie grozi mi atak choroby dekompresyjnej, że nie spanikuję, a gdyby jednak coś mi się już stało, zostanie mi szybko udzielona pomoc lekarska. Gdyby ciśnienie pod wodą zmiażdżyło moje nerwy i spowodowało paraliż, moi przyjaciele mieli mnie wyciągnąć na powierzchnię zanim utonę.

W kamieniołomie ułożyłem cały swój sprzęt do nurkowania przy stole piknikowym, tak jak to robiłem w czasie mojej poprzedniej wizyty u Rouse'ów, rok temu. Kevin zakładał sprzęt, a Rouse'owie się przyglądali -już ubrani w swoje suche kombinezony - jak metodycznie przygotowuję się do nurkowania w swój charakterystyczny, rytualny sposób. Odkryłem, że zakładanie sprzętu w specyficzny, powolny sposób pomaga mi o wszystkim pamiętać i nie ominąć jakiegoś nieznacznego, ale ważnego szczegółu, jak np. ciężarki na kostki pomagające trzymać pod wodą stopy w odpowiedniej pozycji, stanowiąc przeciwagę dla powietrza gromadzącego się w kieszeniach powietrznych na nogach. Tego dnia zdyscyplinowane zakładanie sprzętu krok po kroku stanowiło również pełną skupienia próbę dodania sobie pewności siebie. Chociaż moje nurkowanie miało być niezwykle płytkie, przypiąłem podwójny

zestaw butli, który miałem na sobie w czasie wszystkich swoich nurkowań w ciągu kilku minionych lat. Nie chciałem iść na skróty i używać pojedynczej butli, bo uważałem, że byłoby to oszukiwanie. Gdybym nie miał dość siły, by unieść dwie butle na plecach i przejść z nimi między wodą a ławkami piknikowymi albo miałbym kłopoty z płynięciem z nimi pod wodą, oznaczałoby to, że poniosłem porażkę przygotowując swoje ciało do ponownego nurkowania.

Kevin ubrał się przede mną, ale siedział cierpliwie obok i obserwował, jak ja kończę zakładanie sprzętu. Rouse'owie weszli już do wody i tam czekali na Kevina i na mnie. Ociężałem dotarłem do nich, nie mogąc się doczekać wejścia do wody, by odciążyc plecy od ciężaru butli. Byłem podekscytowany, ale jednocześnie czułem się trochę tak, jakbym szedł na egzekucję.

Weszliśmy z Kevinem do wody i założyliśmy płetwy. Chris i Chrissy Rouse, Kevin O' Brien i ja staliśmy w kółku, w sięgającej do pasa wodzie, jak uczestnicy chrztu z pełnym zanurzeniem. Kevin spojrzał na mnie i spytał:

- Gotowy?

Wziąłem głęboki oddech, poprawiając ułożenie maski. Chwyciłem w dłoń automat, skinąłem głową, włożyłem go do ust i zanurkowałem pod wodę. Na początku nie ruszałem się, delektując się uczuciem oddychania pod wodą. Rouse'owie i Kevin przyglądali mi się z uwagą. Chrissy pokazał mi sygnał OK, który odwzajemniłem. Wskazał na mętną wodę, kierunek w którym mieliśmy płynąć. Sprawdziłem swój kompas i zasygnalizowałem OK. Celowo płynąłem powoli. Moje mięśnie dawno nie miały do czynienia z nurkowaniem i wiedziałem, że brakuje mi wdzięku i płynności ruchu, które widziałem u Chrissy'ego. To nurkowanie znacząco się różniło od ostatniego, które przeprowadziłem z Chrissym w tym kamieniołomie przed moim wypadkiem, gdy ćwiczyliśmy różne techniki na ekspedycję na „Andrea Dorię”. Podczas naszego ostatniego nurkowania używaliśmy z Chrissym skuterów, zmodyfikowanych przez Chrisa, śmigając przez wodę, ku dalekim krańcom kamieniołomu i zatopionemu obecnie budynkowi, który kiedyś służył jako stacja pomp, w czasach gdy w kamieniołomie wydobywano materiały potrzebne do produkcji cementu. Teraz nic zamierzaliśmy się nawet zbliżyć do podwodnego lasu, który Chrissy i ja pokonywaliśmy z dużą prędkością na skuterach, z gracją

manewrując ciałami, by uniknąć gałęzi, które nagle wyłaniały się z mętnej wody. Nasze dzisiejsze miejsce docelowe było o wiele nudniejsze niż podwodny budynek: mieliśmy płynąć na naj płytszą z podwodnych platform, na których instruktorzy testowali rozmaite umiejętności nurkowe swoich kursantów. Chociaż nie byłem początkującym nurkiem w ścisłym znaczeniu tego słowa, Chris, Chrissy i Kevin zachowywali się jak czujni instruktorzy, każąc mi trenować nurkowy odpowiednik muzycznych gam, testując moją zwinność.

Kiedy dotarliśmy do podwodnej platformy i popływaliśmy dookoła przez kilka minut, Chrissy zasygnalizował, żeby spytać, czy wszystko jest OK. Odpowiedziałem mu sygnałem, że u mnie wszystko w porządku. Chrissy wskazał na siebie i ojca, a potem na zamgloną wodę. Narysował w wodzie palcem znak zapytania, a potem znak OK. Chrissy sprawdzał, czy czułem się pewnie i czy nie miałem nic przeciwko temu, by on i jego ojciec popływali trochę sami, zostawiając mnie z Kevinem, który miał mnie obserwować. Zasygnalizowałem, że OK, a potem patrzyłem, jak Chris i Chrissy odpływają w pozbawiony wysiłku sposób, jak to wielokrotnie robiliśmy razem podczas długich nurkowań jaskiniowych na Florydzie.

Sprawdziłem moje komputery nurkowe: minęło już dwadzieścia minut.

Zasygnalizowałem do Kevina, że zamierzam się wynurzyć wzdłuż liny, która biegła od platformy do kulistej boi na powierzchni. Kevin zasygnalizował, że się zgadza.

Kiedy się wynurzaliśmy, przypomniałem sobie swoje ostatnie wynurzenie i w mojej pamięci błysnął ból spowodowany zlekceważoną dekompresją, mimo że teraz moje ciało z łatwością sunęło przez mrok ku światłu. Chociaż to krótkie, płytkie nurkowanie z Kevinem technicznie nie wymagało żadnej dekompresji, zatrzymałem się na głębokości pięciu metrów, tak jak planowałem, żeby zacząć przyzwyczajać organizm do wydalania nadmiaru azotu, absorbowanego nawet podczas tego nurkowania treningowego. Dziesięć minut minęło powoli. W tym czasie uważnie wsłuchiwałem się w swoje ciało szukając objawów choroby dekompresyjnej. Nic. Równie dobrze mógłbym się znajdować w wyjątkowo brudnej wannie. Kevin i ja kilkakrotnie wymieniliśmy sygnały OK, czekając na głębokości pięciu metrów.

Wiedziałem, że zachowuję się paranoicznie, ale jednocześnie byłem świadom, dzięki temu co mówił mi dr Mendagurin, że nie mam już dodatkowych połączeń

neuronowych i jeśli kiedyś jeszcze narażę się na ciężki przypadek choroby dekompresyjnej, zostanę kaleką na całe życie.

Wynurzyłem się i czułem się bardzo dobrze. Po dopłynięciu do brzegu i doczłapaniu jak pijany niedźwiedź do stołu piknikowego, zdjąłem swój sprzęt do nurkowania i poczułem jak z chłodnym, letnim powietrzem zalewa mnie fala ulgi. Kiedy zsunąłem moją uprząż z dwoma butlami, poczułem, że z moich pleców i ramion został zdjęty znacznie większy ciężar.

Kiedy Chris i Chrissy wrócili ze swojego nurkowania, usiedliśmy przy stole piknikowym, jedząc, żartując, wygrzewając się w ciepłym letnim słońcu i wymieniając historie o nurkowaniu. Moje obawy przed powrotem do nurkowania i zwiększonym ryzykiem wystąpienia objawów choroby dekompresyjnej zostały częściowo rozwiane.

Mogłem teraz wybrać się na nieco większą głębokość, przeprowadzając swój plan powrotu do nurkowania. Myślę, że w pewien sposób Kevin i obaj Rouse'owie również poczuli ulgę: jeżeli ja mogłem wrócić po tak ciężkim przypadku choroby dekompresyjnej, oni także by mogli, gdyby kiedyś przytrafiło im się coś takiego. Nurkowie i inni uczestnicy sportów, które niosą ze sobą ryzyko kalectwa albo śmierci, zawsze lubią myśleć, że im nic złego się nie przytrafi. Psychoterapeuci, jak dr Hunt, nazywają to mechanizmem obronnym, który pozwala sportowcowi kontynuować grę. Jednakże może on być niebezpieczny, prowadząc do podejmowania nadmiernie wysokiego ryzyka. Praktycznie rzecz biorąc, kluczem do pełnego sukcesów uczestnictwa w ryzykownych sportach jest świadomość, że złe rzeczy mogą się zdarzyć. Należy jednak podjąć wszelki wysiłek, aby do nich nie doszło i być przygotowanym na konfrontację z wypadkiem, jeśli się on zdarzy.

Kiedy wróciliśmy do domu Rouse'ów, Chris pokazał Kevinowi nowy sprzęt, który produkował w piwnicy. Sława jego firmy Black Cloud Scuba roznosiła się z ust do ust, tak jak kiedyś wiadomości o jego firmie budowlanej na początku jej działalności. Chociaż Chris sprzedawał coraz więcej sprzętu, musiał ponownie inwestować pieniądze w zakup innych narzędzi albo nawet matryc, pozwalających produkować taki sprzęt, jak łopatki do śrub skuterów. Wiedział, że trzeba będzie trochę czasu, nim Black Cloud Scuba zacznie przynosić takie dochody, które pozwolą opłacić rachunki,

kupić jedzenie i żyć na dobrym poziomie. Teraz Chris wyprzedawał swój sprzęt budowlany, po jednej sztuce - tu ciężarówkę, tam buldożer, żeby spłacić, hipotekę i kupić jedzenie.

Chris miał potężną kolekcję komiksów umieszczoną w łatwo dostępnych pudłach ułożonych na długich stołach w piwnicy, które Kevin pierwszy raz dostrzegł, gdy odwiedzał Chrisa rok wcześniej. Kiedy Kevin zapytał o tę kolekcję, Chris powiedział:

-Taak, ci superbohaterzy są świetni. Dobrze by było, gdyby wreszcie powstał komiks, w którym superbohater jest pełnoetatowym nurkiem, zamiast tych facetów, którzy nurkują tylko wtedy, gdy chcą ocalić świat.

Mogłem niemal zobaczyć, jak w głowie Chrisa kiełkuje nowy scenariusz. Może żadne wydawnictwo komiksowe nie przyjęłoby historii Chrisa i Chrissy'ego, ale mogli oni użyć tych heroicznym wojowników jako swoich modeli do ról Batmana i Robina głębin.

Widząc zainteresowanie Kevina komiksami Chris powiedział.

- Możesz przeczytać, jeśli masz na jakiś ochotę. Tylko uważaj z nimi i pamiętaj, żeby odłożyć je w to samo miejsce, z którego je wzięłeś.
- Dzięki, ale nie chcę robić bałaganu w twojej kolekcji - odpowiedział Kevin, patrząc na stosy komiksów w doskonałym stanie. Było ich ponad tysiąc, a wszystkie poukładane według kolejności w specjalnych ciężkich plastikowych kopertach zabezpieczających je przed uszkodzeniem.

Aktualnie Robin przebywał w domu i mieszkał w Jaskini Batmana. Kiedy usiedliśmy do jedzenia, Chris wskazał widelcem na Chrissy'ego i zaczął pogodnie utyskiwać:

-Myślałem, że się go pozbyłem, kiedy się wyprowadził, ale wrócił jak opryszczka. Nigdy się nie pozbędę tego darmozjada - uśmiechnął się, ale jednocześnie tak właśnie myślał.

Chrissy jęknął i odpalił:

-Taak? Jakoś nigdy nie narzekasz, kiedy wyławiam homary! -I tak większość zjadasz razem z kumplami w domu Tima. Musiałbyś nam przynosić znacznie więcej homarów, żeby zapłacić za czynsz.

-Przyniosłem homary do domu dopiero co przedwczoraj!

Chris już miał odpowiedzieć, ale nagle się powstrzymał. Jego syn wyglądał na zawstydzonego. Włączyła się Sue.

-No, no, chłopcy. Zachowujcie się przyzwoicie. Są z nami Kevin i Bernie. Zjedźmy w spokoju.

Bez ojcowsko-synowskiej kłótni cała trójka Rouse'ów niemal natychmiast sposepniała, co wydawało mi się dziwne, aż do momentu gdy usłyszałem, o czym przypominała rodzinie uwaga Chrissy'ego o łapaniu homarów. Chris prawdopodobnie nie chciał mi przekazywać złych wiadomości o nurkowaniu, zanim nie zanurzyłem w wodzie dużego palca u nogi palca, ale teraz złe wiadomości same wypłynęły na powierzchnię.

Tydzień przed tym, jak odwiedziłem Rouse'ów, rodzice i syn nurkowali na „Arundo”, 125-metrowy holenderski frachtowiec, storpedowany podczas II wojny światowej przez U-136. „Arundo” spoczywa na dnie na głębokości 39 metrów, 25 mil od wybrzeża New Jersey. Straż Przybrzeżna zabezpieczyła „Arundo” drutem, wkrótce po tym jak statek zatonął. Wraki zabezpiecza się w ten sposób po to, by zapobiec niebezpieczeństwu podczas nawigacji. Dwa statki ciągną olbrzymi kabel z drutu po wraku, aby go spłaszczyć, by inne statki nie otarły się albo nie rozbiły o niewidoczny kadłub pod spodem. Rozpłaszczyło to statek po dnie morskim, tworząc plątaninę metalowych płyt i złomu, ale dwie lokomotywy, które transportował do Egiptu „Arundo” pozostały nietknięte. Stalowe płyty są znakomitą kryjówką dla homarów i Chrissy złapał trzy sztuki.

Ed Sollner, jeden z nurków na wyprawie na „Arundo”, regularnie bywał w domu Tima Stumpfa. Trzej młodzi nurkowie żywiący upodobanie do nurkowania ekstremalnego bardzo się zaprzyjaźnili. Trio kontrastowało z większością nurków w Underwater World, którzy przeprowadzali znacznie prostsze nurkowania niż Chrissy, Ed albo Tim. Większość nurków nawet nie brała pod uwagę penetracji jaskiniowych ani nurkowań tak głębokich, że wymagały oddychania innymi mieszkankami gazowymi niż powietrze. Mimo że większość nurków potrafiła docenić swobodę Chrissy'ego pod wodą, sądzili że zarozumiałe, elitarne nastawienie całej trójki, ich długie, głębokie nurkowania i egzotyczne miksy, wpędzą ich kiedyś w poważne kłopoty.

Ed potęgował obawy innych nurków swoimi płomiennymi tyradami skierowanymi przeciwko niektórym zaleceniom amerykańskiej marynarki. Uważał, że były one przeznaczone dla mięczaków. Ed miał rozległą wiedzę na temat mieszanek gazów, chociaż nigdy formalnie nie przeszedł kursu. Marynarka stale zmniejszała swoje rekomendacje dla limitów toksyczności tlenu - poziomu stężenia tlenu, którym nurek mógł oddychać, nie doświadczając wywołanych toksycznością drgawek - ale co tam oni wiedzieli. Sollner często ignorował tabele US Navy, omijając poszczególne przystanki dekompresyjne i nigdy nie wystąpiły u niego objawy choroby dekompresyjnej, więc co mogła wiedzieć marynarka o limitach tlenu, skoro tak bardzo się myliła w tabelach dekompresyjnych. US Navy stała się zbyt konserwatywna, powtarzał wszystkim, którzy go o to pytali, a także tym, którzy tego pytania nie zadali. Regularnie nurkował z wyższym stężeniem tlenu w swojej mieszance oddechowej niż było uznawane za bezpieczne przez marynarkę. Wielu nurków uważało, że Ed gra w rosyjską ruletkę i że któregoś dnia dostanie drgawek i umrze podczas nurkowania. Chrissy, minio że nonszalancki w podejściu do życia i do nurkowania, nie wierzył w teorię Eda. Nurkował z takim stężeniem tlenu w miksie oddechowym, jaki zalecała US Navy.

Na „Arundo” Chrissy nurkował sam, szukając homarów, ale w którymś momencie natknął się na Eda. Obaj nurkowie metodycznie omiatali płyty kadłuba światłem latarek nurkowych, próbując zapędzić w pułapkę ciemnobrązowe skorupiaki, nim te zdołają im umknąć. Chrissy i Ed szybko się rozdzielili i kontynuowali polowanie. Kiedy Chrissy się wynurzył, usłyszał, że Ed Sollner nie żyje.

Ktoś natrafił na pozbawione życia ciało Eda, unoszące się twarzą w dół nad jakimiś fragmentami wraku, z otwartymi ustami i automatem leżącym na piachu. Wyglądało na to, że nie walczył. Kiedy ciało wniesiono na pokład łodzi, trójka Rouse'ow była wstrząśnięta. Chrissy spotkał Eda podczas nurkowania i wszystko było w porządku. Co się stało? Natychmiast zaczęli podejrzewać, że przyczyną była wysoka zawartość procentowa tlenu w gazie, który Ed sam mieszał. Prawdopodobnie dostał drgawek spowodowanych toksycznością tlenu i utonął.

Łódź z terkotem powróciła do portu, ze sztywniejącymi zwłokami Eda leżącymi na pokładzie, nakrytymi plandeką i przywiązany mocno liną, by się nie zsunęły. Jego

twarz była odwrócona od Rouse'ow i innych nurków, którzy odrętwiali trzymali się z dala. W doku pod Łódź podjechała karetka i Rouse'owie pojechali za nią do szpitala, gdzie oficjalnie stwierdzono zgon Eda. Chris zadzwonił do Cathie Cush, instruktora i przyjaciółki Chrissy'ego, z którą związane były fantazje jego o starszej kobiecie, i przekazał jej wiadomości. Chociaż Cathie zerwała z Edem już dawno temu, oboje dość długo mieszkali razem. Cathie wyprowadziła się, ponieważ zrozumiała, że Ed podejmuje zbyt duże ryzyko podczas nurkowania. Nie chciała cierpieć, kiedy on zginie pod wodą, a czuła, że śmierć ta jest nieunikniona. Teraz gdy Ed nie żył, Cathie i tak czuła ból.

Cathie poprosiła Chrisa o sprawdzenie mieszanki oddechowej Eda, by ustalić przyczynę śmierci. Analiza wskazywała, że składała się ona w 39 procentach z tlenu, były to proporcje zalecane przez marynarkę do maksymalnej głębokości 31 metrów. Na większej głębokości należało oddychać mniejszą ilością tlenu. Eda odnaleziono martwego na głębokości 41 metrów. Udowodnił, że jego teoria była błędna.

Chris wiedział, że naginanie limitów nurkowania, jak to robił Ed, jest szaleństwem. A robienie tego na głębokości, którą wszyscy uważali za płytką, na wraku przyjemnym do nurkowania, ale pozbawionym szczególnej świetności było niepotrzebnym kuszeniem losu.

Dla Rouse'ow i wielu innych ludzi śmierć Eda posłużyła podkreśleniu potrzeby wprowadzenia formalnego treningu i standardów używania mieszanek oddechowych innych niż powietrze. Nurkowie zawodowi i wojskowi wskazywali na Sollnera jako na dowód, że nurkowie sportowi nie są dostatecznie zdyscyplinowani, by radzić sobie z ograniczeniami narzucanymi przez użycie mieszanek. Sprzęt służący do oddychania gazami o wysokiej zawartości tlenu musiał być specjalnie czyszczony, by zapobiec zapaleniu, gazy musiały być odpowiednio mieszane, a potem analizowane, by zapewnić prawidłowy skład mieszanki. Należało przestrzegać limitów głębokości, aby nurek nie zginął od drgawek spowodowanych toksycznością tlenu, a sprzęt musiał być odpowiednio oznakowany, aby nurek mimowolnie nie umarł od oddychania niewłaściwą mieszanką dla danej głębokości.

Nurkowie rekreacyjni, którzy nurkowali tylko do głębokości 39 metrów i tylko na powietrzu, zastanawiali się, dlaczego ktoś miałby chcieć przechodzić przez te

wszystkie niezbędne przy nurkowaniu na mieszankach przygotowania, skoro podwodne doświadczenie miało być zabawą i relaksem. Nie rozumieli kogoś takiego jak Ed, kto myślał, że nurkowanie na mieszankach innych niż powietrze jest frajdą. Śmierć Eda Sollnera była używana przez obie strony jako argument potwierdzający ich racje. Ci, którzy byli za tym, by nurkowie amatorzy używali innych niż powietrze gazów do nurkowania uznali śmierć Sollnera za dowód potrzeby usankcjonowania szkoleń dla nurków sportowych, które w przyszłości zapobiegłyby śmierci wielu nurków, takich jak Ed. Według wszystkich opowiadających się przeciwko zmianie status quo, śmierć Eda udowodniła, że nurkom sportowym nie można ufać, jeśli chodzi o prawidłowe posługiwanie się gazami innymi niż powietrze. Przede wszystkim nurkowie tacy, jak Chris i Chrissy, Steve Berman i ja, obawiali się, że śmierci takie, jak śmierć Eda Sollnera, spowodują, że rząd Stanów Zjednoczonych wkroczy i narzuci prawa regulujące sport i zabraniające nurkom amatorom użycia gazów innych niż powietrze. Wszyscy wiedzieliśmy, że gdyby tak się stało, nasze działania uczyniłyby z nas podwodnych przestępców, czego nie chciał nikt z nas. W momencie śmierci Sollnera nastawienie elit nurków sportowych wobec nurkowania na mieszankach wahało się od negatywnego do domagającego się całkowitego zabronienia. Organizacja, która reprezentowała nurkowanie sportowe DEMA (wówczas nazywająca się Diving Equipment and Manufacturing Association a obecnie Diving Equipment and Marketing Association), sponsorowała największe wydarzenie handlowe w przemyśle nurkowym, które stopniowo rozwijało się przez lata, w miarę jak nurkowanie stawało się coraz popularniejsze, dzięki pokazom w telewizji, lepszemu marketingowi i łatwiejszym standardom szkoleniowym, które wspomagał nowy, mniej zawodny sprzęt. Chcąc chronić rynek i wizerunek, DEMA próbowała zabronić firmom wystawiania lub dystrybucji jakichkolwiek materiałów odnoszących się do użycia mieszanek na pokazie handlowym w styczniu 1992 roku. Najpopularniejsza z tych mieszanek nosiła różne nazwy: nitrox, powietrze wzbogacone tlenem, bezpieczne powietrze.

Proponowany zakaz oburzył znaczną grupę ludzi w przemyśle nurkowym, zwłaszcza tych, których firmy szkoliły nurków w używaniu nitroxu. Dick Rutkowski był jednym z takich ludzi. Swego czasu służył w amerykańskiej marynarce, w której

nabrał doświadczenia w medycynie hiperbarycznej, mieszankach i systemach podtrzymujących życie. Potem zrobił wielką karierę w NOAA (Narodowej Administracji Oceanicznej i Atmosferycznej), amerykańskiej organizacji rządowej. Rutkowski pomagał przy udoskonalaniu nitroxu przeznaczonego dla naukowców, którzy prowadzili badania w NOAA, a także w przygotowaniu tabel do nurkowania na nitroxie, opublikowanych przez rząd amerykański w podręczniku NOAA, którego używała później US Navy (był to podręcznik, przeciw któremu buntował się Ed Sollner).

Po tym jak Rutkowski odszedł z NOAA, otworzył hiperbaryczny ośrodek szkoleniowy w Key Largo na Florydzie, w którym uczył, jak leczyć rannych nurków, ofiary oparzeń i ran kłutych w komorze hiperbarycznej. Gdy zapisałem się u Rutkowskiego na kurs nitroxu w 1988 roku, uczył bezpiecznego użycia tej mieszanki już od dwóch lat. Ale popularność nitroxu rozprzestrzeniała się powoli, częściowo z powodu negatywnych opinii w prasie. Byłem zaledwie 177 osobą, którą Rutkowski oficjalnie szkolił w użyciu nitroxu. I nawet jeśli jakaś osoba została przeszkolona w tym zakresie, nitrox był osiągalny w zaledwie kilku sklepach na świecie, w tym w placówce Billa Deansa w Key West. Rutkowski uczył nurkowania z nitroxem, będącym preferowanym gazem do głębokości 39 metrów - standardowe 32-procentowe mieszanki nitroxowe stawały się toksyczne na głębokości większej niż 39 metrów. Ale Billy Deans widział sens użycia nitroxu podczas dekompresji po długich nurkowaniach na helu, takich, jakie przeprowadzał regularnie na Wilkes-Barre, który leżał na głębokości 76 metrów, niedaleko jego centrum nurkowego i ośrodka szkoleniowego. Mieszanki nitroxowe z wyższym stężeniem tlenu mogły być używane do przyspieszania dekompresji i wychodzenia z wody szybciej niż w przypadku oddychania sprężonym powietrzem. Wiedział też, że fizycznie czuje się znacznie lepiej po długim nurkowaniu, jeśli podczas dekompresji używał różnych mieszanek nitroxu, a potem przerzucał się na czysty tlen na przystankach na głębokości sześciu i trzech metrów.

Jeśli DEMA uznawała mieszanki nitroxowe za niebezpieczne dla nurków, to hel był w jej mniemaniu absolutnie niewyobrażalny. Zakaz nitroxu nałożony przez DEMA poruszył Michaela Menduno - samotnika, który stworzył czasopismo „Aqua Corps” i

który opisywał takie tematy, jak nurkowanie solo, przez wiele organizacji szkoleniowych uważane za herezję, dzięki czemu jego początkujące pismo znalazło się w centrum uwagi. Dokładnie w czasie pokazu DEMA, na którym wprowadzono zakaz, pojawił się czwarty numer „Aqua Corps”, zatytułowany „Miks” opisujący zarówno mieszanki nitroxowe, jak i helowe - numer został wydany w styczniu 1992 roku. Menduno zorganizował konferencję, zbiegającą się w czasie z pokazem DEMA, pragnąc przekazać przemysłowi nurkowemu swoją wiedzę o nitroxie. Uczestnicy przechodzili z konferencji na pokaz DEMA i z powrotem, jakby wymykali się z nielegalnego baru w okresie prohibicji do szanowanego klubu, gdzie towarzystwo nie mogło się rozkręcić, bo nie podawano alkoholu. Każdy, kto chciał się dowiedzieć czegoś więcej o nitroxie lub innej mieszance, omijał zakaz DEMA i szedł na konferencję Menduno, gdzie uzyskiwał wiedzę. I podobnie jak próba zakazania alkoholu w Stanach Zjednoczonych w latach dwudziestych, zakaz używania nitroxu, wydany przez DEMA, skłonił tylko większą grupę ludzi do szukania wiedzy o mieszance i zrodził w nich chęć wypróbowania jej. Oficjalne zapiski z konferencji zostały opublikowane w czerwcu 1992 roku, na miesiąc przed śmiercią Eda Sollnera.

Nurkowie tak profesjonalni, jak Rouse'owie mogli nie angażować się w walkę o mieszanki. Mogli pójść swoją drogą, przygotowywać sobie własne mieszanki, nie czekając na zaaprobowanie gazów dostępnych na rynku komercyjnym. Chris, Chrissy i Sue uważali, że nitrox i hel mogą być użytecznymi narzędziami. Znaleźli się wśród pierwszych nurków sportowych, którzy odbyli szkolenie z użycia mieszanek nitroxowych i helowych, kiedy zapisali się na kurs Shecka Exley'a w październiku 1990 roku. Rouse'owie nie pozwolili, by kłopoty ze zdobyciem mieszanek powstrzymały ich przed posługiwaniem się tymi narzędziami. Kiedy ich interes zaczął się kręcić na tyle dobrze, że mogli sobie pozwolić na zakup składników, zakupili sprzęt do mieszania gazów i przygotowywali mieszanki, przestrzegając standardów US Navy.

Śmierć Eda nie powstrzymała Rouse'ow przed nurkowaniem w każdy weekend, co miało ich przygotować do sierpniowej ekspedycji na „Andrea Dorię”, ekspedycji, którą organizowali przez cały poprzedni rok. W ich opinii Ed nie tylko nagiął zasady,

ale wręcz je złamał. Myśląc w ten sposób, Rouse'owie mogli oddzielić swoje teoretycznie racjonalne zachowanie od ekstrawaganckiej skłonności Sollnera do podejmowania ryzyka, tym samym dystansując się od losu przyjaciela w przewidywalnej przyszłości. Jak pokazują badania dr Hunt i jak wskazuje zdrowy rozsądek, w ten właśnie sposób osoby podejmujące ryzyko, od himalaistów po skoczków, przezwyciężają paraliżujący strach i w ten sposób udaje im się przetrwać. Chrissy nurkował teraz na wraki w każdy weekend, zwykle w towarzystwie swoich przyjaciół, bez ojca, działając z coraz większą niezależnością. Regularnie łapał homary ważące po 2-3 kilogramy i zdobywał różnego rodzaju artefakty. Czasem nurkował sam, a innym razem z partnerem.

Zaledwie dwa tygodnie po śmierci Sollnera Chrissy uratował życie nieznanemu sobie wcześniej nurkowi. Nurkując solo na wrak położony na głębokości 51 metrów, Chrissy zobaczył na dnie nurka klęczącego na piasku tuż obok wraku i sygnalizującego o pomoc. Chrissy podpłynął i ze zdumieniem przeczytał wskazania manometru nurka pokazujące, że butle mężczyzny zawierały niebezpiecznie niski poziom powietrza. Wyglądało na to, że nurek jest oszołomiony i Chrissy zdał sobie sprawę, że człowiek ten jest w poważnych tarapatach. Chrissy natychmiast rozwinął zapasowy automat, przymocowany na dwumetrowym wężu, i podał automat nurkowi, zapewniając mu gaz do oddychania ze swoich obfitych zapasów. Następnie zdjął z pleców duży kołowrotek, skonstruowany przez ojca, wyjął automat z ust, umieścił go przy zaworze boi dekompresyjnej, nacisnął przycisk uwalniający powietrze z automatu, nadmuchał ją i obserwował, jak boja wystrzela ku powierzchni. Włożył automat z powrotem do ust i przywiązał linę do stalowej płyty kadłuba, leżącej w pobliżu. Zasygnalizował do nurka, by wynurzył się razem z nim i wypłynęli razem, jak dwóch podmorskich Jacków z bajki o tyczce fasoli. Obaj nurkowie poddali się udanej dekompresji, oddychając z butli Chrissy'ego. W końcu mężczyzna oprzytomniał i poczuł wdzięczność.

Chrissy nie znał tego nurka, ale jego reakcja była automatyczna. Spiesząc na pomoc nieznanemu, Chrissy bez wahania ryzykował własnym życiem. Istnieje kilka przypadków, gdy doświadczony nurek pomagał innemu, a ten ogarnięty paniką zaczynał walczyć z niedoszłym wybawcą o ratujący życie automat, w rezultacie

czego obaj ginęli. Zapis w książce nurkowej Chrissy'ego jest zwięzły w stylu niczym zapis strumienia świadomości: „Nurkowanie solo 19 minut znalazłem nurka na dnie sygnalizował do mnie odkryłem że miał mało powietrza & dezorientowany, wystrzeliłem boję dekompresyjną & wynurzyłem się z nim po deko”. Chrissy nigdy nie zadał sobie trudu, by zapisać nazwisko tego człowieka, chociaż ocalił mu życie, ryzykując własnym. Dla Chrissy'ego przyjście komuś z pomocą, gdy ta osoba znajdowała się w potrzebie, było częścią sportu, był przekonany, że inni zrobiliby to dla niego, gdyby zaistniała taka konieczność. Oczywiście wiedział, że do tego nigdy nie dojdzie. Gdyby tylko mógł dotrzeć do Eda Sollnera, gdy ten wpadł w tarapaty, z pewnością i jego życie by ocalił.

Chrissy nurkował bez ojca z kilku łodzi, w tym z „Wahoo”, łodzi, którą wynajęliśmy podczas naszej ekspedycji z mieszankami na „Andrea Dorię” w 1991 roku. Wybierał łódź, której macierzysty port znajdował się niedaleko wraku, na który aktualnie się wybierał i szczegółowo planował swoje nurkowania, tak by przeprowadzać coraz głębsze i stawiające przed nim większe wyzwania nurkowania, przygotowując się do powrotu na „Dorię”. Na „Wahoo” sposób bycia Chrissy'ego i jego gotowość do pomocy sprawiły, że załoga bardzo go polubiła. Właściciel „Wahoo”, Steve Bielenda, widział wielu nurków podczas swojej wieloletniej kariery, której początki sięgały roku 1959. Od 1962 roku Bielenda był instruktorem nurkowania i rozwinął szósty zmysł co do oceny, jak swobodnie ktoś czuje się nurkując. Umiejętność takiej oceny była fundamentalna dla kogoś, kto miał uczyć tego sportu. Zauważył, że Chrissy jest znacznie bardziej odprężony i beztroski, gdy nie ma w pobliżu ojca.

Bielenda wychował trzech dorosłych synów i znał wyzwania, jakie niesie ze sobą ojcostwo. Wiedział, że każdy mężczyzna ma nieco inną wizję tego, jak wychować swojego syna i wątpił, czy w historii świata był choćby jeden przypadek idealnie wychowanego chłopca. Jednak był pod wrażeniem tego, jak uprzejmy był Chrissy i jak wiele troski okazywał innym. Widać było wysiłek, jaki jego rodzice włożyli w to, by wychować Chrissy'ego na towarzyskiego i odpowiedzialnego młodego człowieka. Co najbardziej uderzyło Bielendę to interakcje, jakie zauważył między Chrisem i Chrissym podczas tych kilku dni, które spędzili razem na „Wahoo”, nurkując na „Dorię” w 1991 roku. Przy każdej sposobności Chris zachowywał się bardzo

krytycznie wobec Chrissy'ego. Starszy Rouse napominał syna, że nieprawidłowo zakłada sprzęt, źle przymocowuje butle do relingu, kwestionował to, jak przechowuje swoje torby na sprzęt i nawet to, jak je. Bielenda wiedział, że nie jest jego rolą wtrącanie się i pouczanie Chrisa Rouse'a, jak ma traktować swojego syna. Nie mógł jednak nie zauważyć, jak bezustanna, małostkowa krytyka doprowadzała Chrissy'ego do szału. Teraz, gdy w pobliżu nie było ojca, wydawało się Bielendzie, że Chrissy przeobraża się w całkiem nową osobę, mężczyznę, który na tyle jest pewien swoich umiejętności, że zna swoje miejsce na świecie. Nurkowania Chrissy'ego obyły się bez żadnych incydentów, w odróżnieniu od obu nurkowań z ojcem na „Andrea Dorię” w lecie 1991 roku - żadnych kłótni, potknięć czy urazów, które mogły popsuć atmosferę w załodze.

Chrissy był bez wątpienia synem swojego ojca na dobre i na złe. Wpływ wywarły na niego zarówno perfekcjonizm, dumna postawa, jak i odwaga i wspaniałomyślność Chrisa. Dalsze wywiady z dr Hunt zapewniły mi wgląd w moje własne wychowanie - mój ojciec wychowywał mnie w identyczny, nadmiernie krytyczny sposób, co Chris Chrissy'ego - i takie same interakcje zachodziły między ojcem a mną. Mogłem się utożsamiać z obydwojema Rouse'ami: z Chrisem dzięki rosnącemu doświadczeniu jako ojciec Gila i z Chrissym przez doświadczenie bycia synem mojego ojca. Wiedziałem też, że Chrissy przejął od ojca głęboki podziw i ciekawość świata, z powodu ich wspólnych eksploracji jaskiń i wraków. Mój ojciec podarował mi ten sam podziw dla świata i jego ciekawość dzięki rodzinnym wakacjom w różnych państwach i przeprowadzaniu się z jednego kontynentu na drugi. Ale kiedy rozmyślałem nad swoją własną kondycją psychiczną, zacząłem pracować nad odzyskaniem emocjonalnych odruchów, szukając takiej metody wychowania swego syna, która polegałaby na zachęcaniu i wspieraniu. Gdyby jabłko następnego pokolenia padło dalej od drzewa i dostało mniej cienia od swego rodzica, młode drzewo wyrosłoby na wyższe i zdrowsze.

Na swoją ekspedycję na „Andrea Dorię”, cała trójka Rouse'ów wynajęła „Seekera”, którego Chrissy lubił nazywać Poszukiwaczem Śmierci. W ten lekceważący sposób przyjmował do wiadomości, że nurkowanie na duże głębokości jest niebezpieczne i że wie, jaka jest stawka. Żarty Chrissy'ego na temat możliwości śmierci w trakcie

nurkowania były jego metodą na rozładowywanie podenerwowania wywołanego nadchodzącym niebezpieczeństwem. Tuż przed nurkowaniem niektórzy ludzie pośpnieją, mocno się koncentrując, a inni z kolei stają się bardzo rozmowni. Chris i Chrissy byli na ekstremalnym końcu rozmowności. Kłócenie się było ich sposobem rozładowywania napięcia przed niebezpieczeństwem. Chociaż ludzie odbierali relacje Rouse'ów jako wrogie, Sue zawsze twierdziła, że był to tylko ich sposób porozumiewania się. Była to znaczna różnica w sposobie postrzegania. Czy Sue oszukiwała samą siebie? Czy naprawdę był to tylko sposób porozumiewania się, szczególnie kontrowersyjny?

Sue Rouse wykonała większość pracy koniecznej do zorganizowania ekspedycji. Wysyłała potwierdzenia po otrzymaniu depozytu nurków złożonych po tym, jak wszyscy zrzekli się ewentualnych roszczeń prawnych. Upewniała się, że wszyscy uczestnicy właściwie wypełnili formularze i podpisali je, wpłacili pieniądze, a „Seeker” został opłacony, tak że nic już nie mogło powstrzymać ich wyjazdu. Nie tylko pełniła funkcję głównego podoficera, ale i głównego kucharza i pomywacza. Sue przygotowywała jedzenie dla całej trójki Rouse'ów, podczas gdy Chris i Chrissy zajęli się logistyką sprzętu dla całej rodziny. Chociaż Sue wybierała się na „Dorie”, nie wiedziała, czy będzie nurkować na wrak, powtarzając wszystkim, że poczeka i zobaczy, czy warunki są spokojne i czy będzie się czuła dostatecznie pewnie. Lubiła, żeby nurkowanie sprawiało przyjemność i było spokojne, a nie naszpikowane przygodami.

Chris i Chrissy zapełnili swoją ekspedycję przyjaciółmi i nurkami zarekomendowanymi przez nurkowe bractwo kochające głębokie wody, a zwłaszcza ludźmi, którzy byli zwolennikami używania technik jaskiniowych w oceanicznej eksploracji wraków. W pewien sposób wyprawa Rouse'ów na „Dorie” była dalszym ciągiem mojej przygody z zeszłego roku. Miała wykorzystywać te same strategie, ale bez opracowań badawczych i w idealnych warunkach bez choroby morskiej i złej pogody. Udział mieli w niej wziąć Steve Berman i John Reekie, moi przyjaciele John Harding i Dennis Anacker z klubu nurkowego Sea Gypsies. Członkowie załogi „Seekera”, Steve Gatto i Tom Packer nie mogli się wprost doczekać ekspedycji z gangiem Rouse'ów - obaj poznali ich na wcześniejszych wyprawach nurkowych i

wiedzieli, że wypełniają oni łódź życiem dzięki swoim wybrykom i że z pewnością zabiorą ze sobą interesującą grupę nurków.

Mimo że byłem zaproszony, musiałem odmówić, ponieważ nie byłem pewien, czy moje ciało - albo mój umysł - było w odpowiednio dobrym stanie, by podołać wyzwaniom „Dorii”. Zazdrościłem Rouse'om i byłem zły, że nie mogę pojechać, ale moim pocieszeniem było to, że żyłem i unikałem wózka inwalidzkiego. Jako nagrodę pocieszenia miałem artefakty zdobyte na „Dorii” przeze mnie i Steve'a Bermana dwa lata temu i wiele talerzy, filiżanek i ręcznie matowanych waz, które razem z Johnem Griffithem zdobyliśmy lecie 1991 roku.

Pytanie, które wisiało w powietrzu jak logo burzy namalowane na ich licencjach nurkowych, to czy przekleństwo czarnej chmury będzie nadal prześladować Rouse'ów podczas wyprawy na „Dorię”. Okazało się, że uczestnicy wyprawy byli mile zaskoczeni. Pogoda nad „Dorią” była znakomita, w odróżnieniu od wyprawy z minionego roku. Chris i Chrissy nurkowali czterokrotnie podczas swojej wyprawy, wydobywając szkło z tego samego miejsca, w którym John Griffith i ja znaleźliśmy artefakty, które wielokrotnie zapełniały nasze torby. Wiedzieli, że faceci w centrum nurkowym, którzy za ryzykowne nurkowanie uważali penetrowanie głębszych rejonów kamieniołomu, gdzie panowała chłodniejsza temperatura, a woda była mętna, zielenieliby z zazdrości, widząc ich zbiory. Chris i Chrissy wyłonili się z wody z wystarczającą liczbą pamiątek, by móc się jeszcze nimi podzielić.

Chociaż pogoda była bardzo spokojna, prąd był mocny. Nawet najsilniejsi i najbardziej doświadczeni nurkowie, jak John Reekie i Steve Berman, mieli trudności z radzeniem sobie z takimi warunkami. Po ich trzecim nurkowaniu Chris i Chrissy chcieli zrobić coś, co by ich bardziej wyróżniło niż tylko samo wydobycie artefaktów.

-Chodź, mam, zanurkuj z nami - Chrissy błagał matkę. - Będziemy pierwszą grupą złożoną z ojca, matki i syna, która nurkowała na „Dorię”!

Sue spędziła mnóstwo czasu, obserwując, jak woda przepływa obok łodzi.

-Prąd jest zbyt silny, Chrissy. Mam złe przeczucia co do nurkowania w takich warunkach.

-Dasz radę - powiedział Chris. - Sama zawsze mi to powtarzasz. Chrissy energicznie

potaknął.

- Tak, mam, możemy zejść na dół, zabrać cię wokół liny kotwicznej, a potem możesz się wynurzyć. To nie musi być długie nurkowanie. Tylko kilka minut.

- Tak. Nie chcemy nurkować za długo na zewnątrz wraku. To by nam popsulo nasze nurkowanie - Chris dorzucił wskazując na Chrissy'ego.

- Czy dobrze was rozumiem?- zaczęła się głośno zastanawiać Sue. - Chcecie, żebym nurkowała z wami w warunkach, w których nie czuję się pewnie, ale jednocześnie nie chcecie, żebym zepsuła wam wasze nurkowanie? Nie, dziękuję.

Żadne przekonywanie nie mogło zmienić zdania Sue. Chris i Chrissy byli rozczarowani przegapioną okazją znalezienia się w księdze rekordów jako pierwsza rodzina nurkująca na „Dorie”.

Chociaż Sue poświęciła wiele czasu i włożyła wiele wysiłku w pomoc przy organizacji wyprawy, nie chciała odnieść obrażeń albo zginąć. Dwóch doświadczonych nurków już miało kłopoty z powodu silnego prądu. Jeden z nich miał poważne objawy choroby dekompresyjnej i Sue patrzyła, jak ewakuowano go helikopterem do komory hiperbarycznej. Drugi nurek przegapił tylko kilka minut dekompresji, ale nie miał objawów choroby, ponieważ dyplomowana pielęgniarka biorąca udział w wyprawie przywiozła ze sobą roztwór soli i zaaplikowała mu go dożylnie, co pomogło w nawodnieniu i umożliwiło jego krwi na skuteczne rozprowadzenie tlenu w całym organizmie i dostarczenie azotu do płuc, skąd mógł zostać wydalony. Ponadto tlen, którym oddychał pomógł w oczyszczeniu organizmu z azotu zanim pojawiły się objawy choroby dekompresyjnej.

* * *

Chris i Chrissy powrócili tryumfalnie z wyprawy na „Andrea Dorie”, przywożąc torby pełne łupów, namacalne dowody ich wizyty na Mount Everescie nurkowania z automatem. Ich piersi pęczniały z dumy, gdy pokazywali swoje trofea i opowiadali o swoich przygodach nurkom z Underwater World. Mimo że ludzie przepowiadali im

kłopoty z powodu ich długich, głębokich nurkowań i egzotycznych mieszanek gazowych, udowodnili, że są mistrzowskimi nurkami, że należą do elity nurków. I nie zabrali ze sobą na tę wyprawę swojej czarnej chmury, unikając pecha, który niszczył ich wcześniejsze wysiłki.

Dla większości nurków wydobycie artefaktów z „Andrea Dorii” byłoby szczytowym punktem kariery, czymś, po czym można usiąść, odprężyć się i rozkoszować tryumfem. Dla Chrissy'ego Rouse'a „Doria” była tylko kolejnym szczeblem.

Wiedział, że jest na dobrej drodze do wspanialszych osiągnięć, które uczynią z niego superbohatera świata nurkowego.

W miesiąc po ich pełnym sukcesów nurkowaniu na „Dorię”, Rouse'owie udali się do Quebecu, by zanurkować na „Empress of Ireland”, liniowiec oceaniczny, który wielu nurków uważało za jeszcze bardziej zwodniczy niż „Doria”, choć „Empress” leżał płycej, na dnie rzeki Św. Wawrzyńca przy Rimouski. Podobnie jak himalaiści uważają K2 za dużo trudniejszą górę niż wyższy i bardziej znany Mount Everest, tak nurkowie oceniają „Empress” jako bardziej zwodniczy, niebezpieczniejszy wrak.

Czarna chmura pecha powróciła do Rouse'ow nim jeszcze wyprawa opuściła dok.

Tuż po przyjeździe do Rimouski Chris musiał zająć się szukaniem części, żeby naprawić hamulec w swoim wanie. Chris nie znał francuskiego i cały dzień spędził na wyjaśnianiu dealerom części samochodowych, czego dokładnie potrzebuje. Kiedy wreszcie uzyskał części, Chris postanowił sam naprawić hamulce. O drugiej nad ranem po wielogodzinnej pracy wyczołgał się spod samochodu, ufny, że razem z synem może po nurkowaniu bezpiecznie wrócić tym samochodem do domu. Teraz Chris mógł z czystym sumieniem nurkować na „Empress”.

Na wyprawie na „Empress” Rouse'owie sami ściągnęli na siebie czarną chmurę pecha. Wnętrze liniowca oceanicznego niebezpiecznie się zapadało i wszystko zakrywała porządna warstwa osadu. Kiedy weszli na wrak, wydychany przez nich gaz natychmiast zredukował widoczność do zaledwie dwóch metrów, a bąbelki zmaciły rdzę i osad, okrywające wnętrze wraku. Potem Chrissy dodatkowo utrudnił to nurkowanie. Rouse'owie nie poprowadzili poręczówki z zewnątrz wraku, tak jak to zwykle robili. Ich plan zakładał wpłynięcie na krótki odcinek do środka, by sprawdzić, czy znajduje się tam jakiś korytarz prowadzący dalej. Gdy Chrissy

wpłynął do wraku, był podekscytowany, widząc pozbawiony przeszkód korytarz. Zamiast zasygnalizować swoje zamiary ojcu albo zaczekać na powrót na łódź, gdzie mogliby przedyskutować plan ambitniejszego nurkowania, Chrissy wziął kołowrotek z poręczówką i rzucił linę w kierunku ojca. Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy ojcu udało się chwycić linę, po prostu wpłynął głębiej we wrak, zakładając, że ojciec umocuje poręczówkę, która wyprowadzi ich z wraku, gdyby oślepiła ich chmura osadu.

Zachowanie Chrissy'ego zaskoczyło jego ojca. Pozostawiony z tyłu w kłębie rdzy i kurzu morskiego Chris nic nie widział i nie mógł chwycić liny, a tymczasem Chrissy wpływał coraz głębiej we wrak, ciągnąc ją za sobą. Błyszczący, mosiężny karabińczyk na końcu liny odbijał się od dna, a Chris desperacko płynął za nim, jak olbrzymia ryba za przynętą na wędce. Wreszcie Chrisowi udało się schwycić karabińczyk i przymocował linę do metalowych fragmentów leżących w korytarzu na dnie. Ale na tym etapie widoczność była już niemal zerowa, a lina została uwiązana w znacznej odległości od wejścia do wraku. Chris zdał sobie sprawę z tego, że będą musieli po omacku wyjść z nieznanego wraku na ostatnich dziewięciu metrach, bez przewagi, jaką dawała poręczówka. Gdyby skręcili w złą stronę, mogli zostać uwięzieni we wraku.

Kiedy Chrissy wrócił, Chris był już w stanie wymacać drogę powrotną z wraku. Jego syn marnotrawny powlókł się za nim. Po niemal godzinnej dekompresji w wodzie o temperaturze trzech stopni, wspięli się z powrotem na pokład łodzi wynajętej przez Johna Reekiego na tę ekspedycję. Ledwie Chris wypluł automat z ust, zaczął wrzeszczeć na Chrissy'ego:

-Ty dupku ! Kto cię nauczył nurkować w ten sposób? Mogłeś nas obu zabić !

Chrissy odwrócił głowę i przewrócił oczami.

-O co tym razem jęczysz, staruszkule?

Chris błyskawicznie odpiął swoje butle do nurkowania i stanął nad Chrissym, który powoli odpinał różne paski i klamry, przytrzymujące sprzęt przy jego ciele. Twarz Chrisa była purpurowa ze złości.

- Spoważnij! Nie rzuca się poręczówki do tyłu w taki sposób. Tak się nie postępuje.

Nikt cię tak nie uczył nurkować. Zapewniłem ci najlepsze szkolenie na świecie, a ty

wyprawiasz takie głupstwa?

- Przecież wiedziałem, że mnie ubezpieczasz, że złapiesz tę linę i ją przywiążesz - powiedział Chrissy defensywnie, trochę jednak zawstydzony.

- Ledwie zdołałem ją chwycić po pościgu za tobą wzdłuż korytarza. A co gdyby mi się nie udało? Co by się wtedy z nami stało? - wykrzyknął wściekły Chris, potrząsnął głową i zgarbił się, jakby to, co się właśnie stało, przygniotło go.

Ale Chrissy zdążył już się pozbierać.

-O co ci chodzi?-odparował. - Twoim zadaniem jest złapanie i zabezpieczenie liny. Spieprzyłeś. Nie próbuj zwać winy na mnie.

-Co? Powinienem wbić ci trochę oleju do głowy. Pomyśl trochę o tym, a zrozumiesz, że mam rację. Czyim ty w ogóle jesteś synem?

Walka toczyła się dalej, a John Reekie i Steve Berman przyglądali się. Obaj nurkowie spodziewali się kłótni Rouse'ów, bo tak się zawsze działo, ale ten wypadek wykraczał poza zwyczajowe wygłupy nurków. Reekie i Berman zdawali sobie sprawę z tego, jak poważne było zachowanie Chrissy'ego wewnątrz wraku. Żaden z nurków nie chciał być postawiony przed zadaniem odszukania zwłok przyjaciół i poczuli poważny niepokój. Dlaczego Chrissy nurkował tak nieostrożnie?

Inni nurkowie również zastanawiali się nad Rouse'ami. Evie Dudas, od wielu lat obecna na scenie nurkowania sportowego, po raz pierwszy uczestniczyła z nimi w wyprawie, chociaż słyszała pocztą pantoflową o ich entuzjazmie, umiejętnościach i permanentnych kłótniach. Evie była właścicielką centrum nurkowego w Pensylwanii, oddalonego o kilka godzin jazdy od Revere, gdzie mieszkali Chris i Chrissy. Evie nurkowała od 1963 roku, a w 1970 została instruktorem. Była też powszechnie podziwianą posiadaczką tytułu pierwszej kobiety, która nurkowała na „Andrea Dorie” w 1967 roku. Ale jej życie było również naznaczone tragedią. W 1968 roku miała ciężki przypadek choroby dekompresyjnej, który niemal całkowicie pozbawił ją wzroku, kiedy jeszcze znajdowała się w wodzie i spowodował poważne zawroty głowy. Terapia w komorze hiperbarycznej niemal od razu przywróciła jej wzrok, ale odzyskanie wyczucia równowagi zajęło jej ponad dwa miesiące. Czternaście lat później, w 1982 roku, straciła męża w wypadku nurkowym. John Dudas, którego wielu uważało za najwspanialszego nurka wrakowego na świecie, zmarł podczas

nurkowania solo, przeprowadzając rutynową, jak dla niego, eksplorację wraku przy wybrzeżu New Jersey. Choć głębokość wynosiła zaledwie 48 metrów, John przez dwa lata nie schodził głębiej niż 24 metry. Nikt nie mógł odgadnąć, co było przyczyną jego śmierci. Pozostawia Evie w siódmym tygodniu ciąży. Musiała samotnie wychować trójkę małych dzieci i przygotować się do przyjścia na świat czwartego, aby je wykarmić i się nim zaopiekować.

Kłótnia Rouse'ów zaniepokoiła Evie. Ale coś innego zmartwiło ją jeszcze bardziej. Wydawało jej się, że Chris jest przesadnie krytyczny wobec syna. Musiała tłumić swój instynkt macierzyński, gdy wracali z łodzi do hotelu wanem Chrisa, który bezustannie demaskował każde hamowanie, przyspieszanie i skręt, jaki wykonywał Chrissy. Evie nie wychowywała swoich dzieci w taki sposób i uważała, że publiczna krytyka, którą Chris kierował ciągle pod adresem Chrissy'ego, musiała być dla chłopca poniżająca. Jak Steve Bielenda kilka miesięcy wcześniej, zauważyła, że Chrissy był podenerwowany i niespokojny, kiedy przebywał w pobliżu ojca. Jej automatyczną reakcją było zaniepokojenie o Rouse'ów w środowisku podwodnym, które, jak wiedziała z pierwszej ręki, potrafiło być okrutne i nie wybaczało błędów. Evie i pozostali nurkowie nie wiedzieli jednak o kłopotach Chrissy'ego z nauką w dzieciństwie ani o problemach z koncentracją, które miał jako dorosły. Nie wiedzieli również, że Chris nie pozwolił Chrissy'emu na prowadzenie samochodu, kiedy ten skończył szesnaście lat i mógł już zrobić kurs, ponieważ czuł, że Chrissy nie przejawia dostatecznej dojrzałości i koncentracji do tego zadania. Kiedy Chrissy był nastolatkiem, najbardziej drażniącym Chrisa objawem jego nieuwagi było to, jak odkładał narzędzia podczas wspólnej pracy w warsztacie. Klucz francuski był rzucony na podłogę albo odłożony w jakieś przypadkowe miejsce i zapomniany. Pozostawienie narzędzia na podłodze to jedno, ale zostawienie go na silniku Diesla mogło oznaczać katastrofę, bo mogło się dostać do ruchomych części silnika. Niezależnie od tego, jak wiele razy Chris tłumaczył synowi potrzebę odkładania narzędzi w to samo miejsce, żeby łatwo je było odnaleźć, chłopak wciąż zapominał o tej lekcji. Chrisowi zdawało się, że Chrissy spędza ponad połowę czasu szukając narzędzi, które wcześniej gdzieś niedbale porzucił.

Na początku Sue uważała, że Chris jest zbyt surowy odmawiając Chrissy'emu prawa

do prowadzenia samochodu, ale zgodziła się z nim, gdy opisał jej zachowanie Chrissy'ego i gdy sama pomyślała, jak nieostrożny był w domu. Prowadzenie samochodu było najwyraźniej czymś, na co szesnastoletni Chrissy nie był gotów. Ale kiedy skończył siedemnaście lat, Chrissy otrzymał prawo jazdy. Rodzice nie mogli powstrzymać go przed prowadzeniem, ponieważ zakaz ten ograniczyłby jego rozwój towarzyski, tak jak wtedy, gdy chodził na zajęcia wyrównawcze i inne dzieci mu dokuczały. Otrzymawszy pozwolenie na prowadzenie samochodu, Chrissy mógł wychodzić z przyjaciółmi i co ważniejsze mógł się swobodniej umawiać na randki. Teraz, mając 22 lata, Chrissy nadal był podatny na chwile nieuwagi podczas jazdy samochodem, jak Chris i Sue się zorientowali po kilku wypadkach syna. Chris chciał mieć pewność, że Chrissy jest skoncentrowany, gdy prowadzi.

Czy zwiększona nieostrożność Chrissy'ego na „Empress” była skutkiem zespołu zaburzeń uwagi, na który cierpiał jako dziecko? Wielu ludzi podważyłoby tą tezę, wskazując na to, że ktoś, kto ma trudności z koncentracją nad nauką z książki, często celuje w aktywności fizycznej, jak Chrissy w nurkowaniu. Ale jeśli teraz Chrissy tracił koncentrację pod wodą -z jakiegokolwiek powodu - dlaczego Chris nadal angażował się w głębokie, niebezpieczne nurkowanie z synem? Czy reprezentowała ono nadzieję ojca, że jego chłopak pokona swoją słabość i stanie się w czymś wybitny, czy Chris wypierał się problemu?

Mimo kłótni Rouse'ow, ciągłego krytykowania Chrissy'ego przez ojca i zwodniczej natury „Empress of Ireland”. Rouse'owie nie napotkali pod wodą kłopotów, z których nie potrafiliby się wydostać. Przeprowadzili osiem udanych nurkowań na „Empress”. Teraz, gdy „Andrea Doria” i „Empress of Ireland” były już bezpiecznie za nimi, Chris i Chrissy szukali nowego wyzwania. U-Boot, który Bill Nagel i John Chatterton odkryli poprzedniej jesieni, nadal pozostawał niezidentyfikowany, wabiąc nurków swoją tajemnicą. Nurkowanie na niego było godne Rouse'ow.

U-who zostało odkryte zaledwie rok wcześniej w 1991 roku, w Dzień Pracy, przez grupę nurków sportowych. Odkrycie wraku było bardziej przypadkiem niż rezultatem przemyślanych poszukiwań. Wycarterowana łódź do nurkowania, „Seeker”, skierowała się z Brielle w New Jersey ku potencjalnemu położeniu wraku, o którym kapitan łodzi usłyszał od rybaka.

Biorąc pod uwagę skłonności kapitana do kieliszka, można powiedzieć, że przeznaczone mu było to odkrycie, ponieważ według plotki załogi U-Bootów, zagłuszały potworności wojny legendarnymi libacjami, ukazanymi w popularnym niemieckim filmie *Das Boot*. Czemu pili aż tyle? Ich maszyny wojenne były zbyt ciasne i niedostosowane do pomieszczenia 48-57 mężczyzn, dzielących jedną ubikację. Golenie się i prysznic były luksusami. Podczas pierwszych dwóch lat wojny, te załogi U-Bootów, które miały szczęście i patrolowały ciepłe wody, mogły się niekiedy stosunkowo bezpiecznie wynurzać i członkowie załogi na zmianę pływali, a nawet łowili ryby. Ale zazwyczaj byli zmuszeni znosić smród maszyn i swoich niekąpanych towarzyszy, tropiąc statki wroga. Na lądzie pili po to, by zdusić strach i otępić zmysły. Statki tropione przez U-Booty przed i na krótko po tym, jak Stany Zjednoczone przystąpiły do II wojny światowej w 1941 roku, po japońskim ataku na Pearl Harbour, były łatwym łupem. Były to przede wszystkim frachtowce przewożące olej, paliwo lotnicze, amunicję, samoloty, czołgi, działa, żywność, ubrania i inne potrzebne na wojnie produkty dla Brytyjczyków. Statki kupieckie żeglowały samodzielnie wzdłuż wybrzeża, ich sylwetki wyraźnie odbijały się na dobrze oświetlonym brzegu, na którym nie wszedł jeszcze w życie obowiązek zaciemnienia. Cale społeczności protestowały, że zaciemnienie pozbawiłoby ich dochodów z turystyki, dlatego też miasteczka nadmorskie skrzyły się światłem. Co gorsza, daty wypłynięcia statków, towary i miejsca przeznaczenia nadal były podawane na radiowych falach publicznych. Wszystko, co dowódcy U-Bootów musieli zrobić, to przestroić się na odpowiednią częstotliwość, zdecydować które statki stanowią dla nich najlepszy cel, a potem tak manewrować, by zająć najlepszą pozycję w oczekiwaniu na statek. Niemcy nazywali ten okres wojny „Szczęśliwymi czasami”.

„Szczęśliwe czasy” przyniosły zatopienie 495 statków w pierwszej połowie 1941 roku. Podczas całej II wojny światowej U-Booty zatopiły 2603 statki kupieckie na Atlantyku. Utracono trzysta i pół miliona ton towaru, a 30 248 żeglarzy poniosło śmierć. Okręty wojenne Aliantów również padały ofiarą niewykrywalnych drapieżników - zatopiono 175 jednostek.

Same U-Booty też nie miały lekko, nawet w „Szczęśliwych czasach”. W każdej

chwili mogły zostać wysledzone przez patrolujące okręty wojenne lub samoloty, a wtedy to one stawały się tropioną zwierzyną, a ich załogi musiały znosić godziny mentalnej udręki podczas ataków na dużej głębokości, kiedy potężne ilości materiałów wybuchowych i bomb szukały swojego celu. Bezpośrednie uderzenie przez torpedę wodną albo bombę lub akumulacja detonacji blisko U-Bootu, mogły spowodować pęknięcie stalowej powłoki okrętu, pozwalając tonom wody na zalanie statku, zmiżdżenie i pogrzebanie marynarzy znajdujących w środku. Potrzeba było szczęścia i wszystkich umiejętności dowódcy U-Bootu, by umknąć takiemu atakowi. Pewien przedsiębiorczy dowódca, po godzinach spędzonych pod nieustannym atakiem, wyszedł z nowatorskim pomysłem. Kazał wypełnić jedną z wyrzutni torped kombinacją oleju, ciała zmarłego członka załogi, ubrań żeglarskich i dla ostatecznego efektu swoją własną białą, kapitańską czapkę. Następnie załoga wystrzeliła szczątki z wyrzutni, skąd wypłynęły na powierzchnię. Widząc coś, co wyglądało na pozostałości po „zabiciu”, atakujący się wycofali w przekonaniu, że wykonali swoją robotę. Ten U-Boot przetrwał do następnej okazji. Wiele nie miało tego szczęścia. W miarę upływu wojny technologiczny postęp Aliantów dogonił rozwiązania U-Bootów, a potem gwałtownie je przewyższył. Po pierwsze, podwodny sonar pozwalał statkom marynarki „widzieć” U-Booty, kiedy próbowały użyć swojej największej broni, płaszcza oceanu, zakradając się na statki kupieckie lub uciekając po ataku na nie. Po drugie, samoloty były wyposażone w niezwykle mocne światła poszukiwawcze, które rozświetlały niebo nocne i powierzchnię oceanu, jakby to był dzień. Ponieważ U-Booty musiały się wynurzać na powierzchnię morza, aby uruchomić swoje silniki Diesla, które musiały naładować baterie i wymienić stęchłe powietrze, uwięzione w ich stalowym kadłubie, wiele z nich zostało odkrytych i zbombardowanych w nocy na powierzchni, gdzie były najbardziej bezbronne. Kolejne nowe urządzenie, miotacz bomb głębinowych, tzw. hedgehog, wystrzeliwał symultanicznie ogromne ilości pocisków, by stworzyć szeroki krąg w sąsiedztwie U-Bootu. Pociski mogły eksplodować tylko przy bezpośrednim kontakcie, co pozwalało ominąć konieczność wcześniejszego ustawienia głębokości, na której miała nastąpić eksplozja, jak to miało miejsce w torpedach podwodnych. Liczba strat U-Bootów gwałtownie się zwiększyła w miarę upływu wojny. Z 1162 U-Bootów

wyprodukowanych podczas II wojny światowej, 784 utracono, większość z całymi załogami. W niemieckiej marynarce, sekcja U-Bootów straciła 28 tysięcy z całkowitej liczby 40 900 ludzi, a 5000 zostało wziętych do niewoli. Herbert A. Warner był jedną z nielicznych osób, które przetrwały aktywną służbę na U-Bootach przez większą część wojny. Awansował na stopień kapitana i został dowódcą okrętu podwodnego. Jego autobiografia nosi znaczący tytuł *Żelazne trumny*.

W mętnej, brązowo zielonkawej toni, która uchodzi za przejrzyste dno oceanu przy wybrzeżu New Jersey spoczywała łódź, którą Rouse'owie chcieli zidentyfikować. Potrzebowali prawdopodobnie kilku nurkowań, aby w pełni poznać 76-metrowy wrak i móc się po nim bezpiecznie poruszać. Ale po spenetrowaniu wnętrza i poznaniu ścieżek między skorupami, szkieletami i rdzą, Chris i Chrissy mogli stać się tymi, którzy zidentyfikują tajemniczy okręt podwodny. Staliby się nie tylko bohaterskimi nurkami, ale i częścią historii.

Stan, w jakim znajdował się U-who, opowiadał historię Walki o Atlantyck, której wynik, jak oświadczył premier Wielkiej Brytanii, Winston Churchill, był jego największym zmartwieniem w czasie wojny. U-who leżał pionowo na piaszczystym dnie Atlantyku w trzech wyraźnie zarysowanych częściach, jak ogromne cygaro, z którego wydarto środkową część i rzucono ją obok. Wyrwanym fragmentem było serce U-Boota jego sterownia i znajdujący się kiedyś dokładnie nad nią potężny, żelazny komin, tzw. kiosk, który wystawał do góry, prostopadle do reszty okrętu. Sterownia była całkowicie zniszczona, a kiosk leżał porzucony na boku. Nie trzeba było eksperta od materiałów wybuchowych, by zauważyć, że U-Boot eksplodował na kawałki i że ludzie znajdujący się w środku nie mieli żadnych szans. Ostre, postrzępione fragmenty wraku były porzrucane na dnie morskim i chociaż można wpłynąć do środka przez otwór, nie było to przedsięwzięcie dla ludzi o słabym sercu. U-Booty, które zatoneły w wodach nadających się do nurkowania, same stały się z wojennych tropicieli trofeami, relikdami wojny i cmentarzami, gotowymi do eksploracji i plądrowania. Chociaż nurkowie regularnie nurkowali na U-Booty, ich działania nie były pozbawione kontrowersji. Na początku każdego sezonu nurkowego attache niemieckiej marynarki przy niemieckiej ambasadzie w Waszyngtonie dawał polecenie swojemu asystentowi, by ten wysłał kapitanom łodzi czarterowych listy.

Zawierały one oświadczenie wzywające do natychmiastowego zaniechania nurkowania na U-Booty, ponieważ wraki są wojennymi cmentarzami. Rouse'owie i inni amerykańscy nurkowie uważali, że to szczyt niemieckiej bezczelności.

Wiedzieli, że U-Booty agresywnie przeczesywały oceany świata, aby zatopić wiele statków i zabić wielu ludzi. Dlaczego myśliwi z dawnych lat nie mieliby teraz być tropieni i oglądani?

Wokół nurkowania na U-who pojawiły się nie tylko moralne rozterki. Jego lokalizacja nie była zaznaczona w żadnym archiwum, ani niemieckim, ani żadnym innym. Czy U-who znajdował się na tajnej misji? Może nazistowscy przywódcy próbowali uciec na pokładzie okrętu podwodnego i byli na tajemniczym wraku Chattertona. Plotki sugerowały, że Martin Bormann, drugi po Hitlerze w hierarchii partii nazistowskiej, uniknął oskarżenia w Norymberdze o przestępstwa popełnione w czasie wojny i pewnej egzekucji, uciekając z Trzeciej Rzeszy na pokładzie U-Boota, zanim Niemcy się poddały. Chociaż Alianci wierzyli, że natknęli się na szczątki ciała Martina Bormanna w Berlinie, wielu ludzi nie uwierzyło, że skąpe części ciała należały do niego.

Scenariusz ucieczki nie był przesadnie naciągany. Innym nazistom udało się uniknąć natychmiastowej zemsty, łącznie z niesławnym Adolfem Eichmannem, szefem Departamentu do Spraw Żydowskich w Gestapo, który nadzorował transport Żydów do obozów koncentracyjnych i ich egzekucje. Eichmann został schwytany w Argentynie przez agentów izraelskich służb specjalnych w 1960 roku, wysłany do Izraela i skazany jako przestępca wojenny. Wyrok śmierci wykonano w 1962 roku. Może U-who przewoził szpiegów. Teoria ta była przekonująca. W czerwcu 1942 roku dwa U-Booty z powodzeniem dostarczyły niemieckich agentów na amerykańską ziemię. Jedna grupa wylądowała na Long Island, a druga na Florydzie. W obu przypadkach szpiegdy zostali wykryci dość szybko. Sześciu zostało straconych, a dwóch, którzy współpracowali, Ernst Burger i Georg Dasch, otrzymało długie wyroki więzienia. Po wojnie w 1948 roku obaj mężczyźni otrzymali akt łaski od prezydenta Trumana i powrócili od Niemiec Zachodnich. Być może U-who próbował przewieźć szpiegów, a dokumenty o jego misji zostały razem z innymi zapiskami albo spalone przez Niemców pod koniec wojny, albo zniszczone podczas ataków bombowych.

Na U-Boocie mógł również być ukryty cenny ładunek. Podczas wojny kilka U-Bootów kursowało między Niemcami a ich sojusznikiem Japonią, przewożąc potrzebne surowce na wymianę. Może był w drodze do Ameryki Południowej po cenny surowiec? Oczywiście, jeśli tak właśnie było, czemu znalazł się tak blisko wybrzeży Ameryki Północnej?

Był tylko jeden sposób na to, by usunąć wszelkie wątpliwości, co do U-wha - znaleźć coś, co by jasno zidentyfikowało wrak, a potem odszukać w ocalałych zapiskach dotyczących U-Bootów informację o jego misji. Chris i Chrissy wiedzieli, że ktokolwiek odkryje tajemnicę, stanie się dobrze znanym nie tylko wśród nurków, ale w ogóle na całym świecie. Eksplorując U-who, nurkowali po sławę.

Ostatnie nurkowanie

**Uderzcie w dzwon, przywołajcie duchy,
wezwiście zewsząd ratowników i piratów.
Ławice są tam wciąż, wiatry głośno wyją,
dudnią deszcze i fale uderzają z mocą.
Pewnej nocy, w chłodnej ciemności,
ktoś popelni błąd: morze nie okaże mu litości.**

John T. Cunningham

12 października 1992. Północny Atlantyk, około 60 mil od brzegu, w równej odległości od wybrzeży New Jersey i Nowego Jorku.

Chris Rouse nie musiał patrzeć, jak jego jedyne dziecko zanurza się przed nim wzdłuż liny kotwicznej „Seekera”, by wiedzieć, co robi Chrissy i jakie działania podejmuje. W czasie czterech lat obcowania z głęboką wodą tak często nurkował z Chrissym, że obaj Rouse'owie rozwinęli swego rodzaju szósty zmysł, który wykorzystywali pod wodą. Niezależnie od tego, co się działo w ich życiu na lądzie i z jakimi trudnościami borykali się aktualnie jako ojciec i syn, wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć w bezlitosnym podwodnym świecie, który tak kochali wspólnie eksplorować. Dziś mieli potrzebować tej szczególnej umiejętności. Powierzchnia oceanu nabrzmiała falami, które dołożyły nowych wyzwań do i tak niebezpiecznego nurkowania.

Chris miał za sobą ponad siedemset, a Chrissy ponad sześćset nurkowań, cenne doświadczenie, które mogło im się przydać, jeśli chcieli, by sukcesem zakończyło się poszukiwanie, dziennika kapitańskiego w tajemniczym U-Boocie, leżącym na głębokości ponad 70 metrów pod „Seekerem”.

Dziennik pokładowy kapitana U-Boota był cennym artefaktem i z pewnością

znajdowała się w nim informacja, której nie udało się znaleźć dotąd w amerykańskich, brytyjskich i niemieckich archiwach, a która pozwoliłaby zidentyfikować okręt. Dziennik mógł pomóc w ustaleniu, czy U-Boot znajdował się na tajnej misji wojennej, czy wioził na swoim pokładzie prominentnych członków partii nazistowskiej albo cenne dzieła sztuki. Byłoby to dla Rouse'ów szansą zapewnienia sobie miejsca w panteonie podwodnych eksploratorów, staliby się odkrywcami fragmentu historii wojskowej, detektywami, którzy pomogli w rozwiązaniu tajemnicy.

Rouse'owie nurkowali już wcześniej na ten wrak, wiedzieli więc w zarysie, co mają zobaczyć i dokąd płynąć. Jeśli chodzi o wraki, U-Booty nie są trudne w nawigacji, jeżeli zatoniły w stosunkowo dobrym stanie. Nawet przy całkowicie zniszczonej sterowni i wysadzonym kiosku, „U-who” nie stanowiło wielkiego wyzwania pod względem poruszania się w nim.

To, co mogło ich odstraszyć, to pogoda. Fale zwiększyły się i sięgały już prawie dwóch metrów wysokości, nieprzyjemnie kołysząc osiemnastometrowym „Seekerem”, co powodowało dyskomfort u nurków znajdujących się na pokładzie. Po nurkowaniach takich jak to, Chris zwierzał się swoim przyjaciołom, że przez dodatkowy wysiłek związany z nurkowaniem na otwartym oceanie czuł każdy rok ze swoich 39 lat. Dwóch kapitanów „Seekera”, Dan Crowell i John Chatterton, ostrzegło wszystkich, że pogoda będzie się tylko pogarszać. To oznaczało koniec nurkowania na U-Boocie, powrót do domu i prawdopodobieństwo, że tego roku nie będą już mieli szansy rozwiązania zagadki okrętu podwodnego. Przygotowywali się do tego nurkowania przez tak długi czas, że byli zdeterminowani, by iść naprzód, niezależnie od dyskusyjnej pogody.

Gdy tylko Rouse'owie obudzili się tego zachmurzonego, wietrznego ranka, zaczęli się wzajemnie podjudzać do nurkowania. Kiedy Chrissy poinformował ojca, że nie chce nurkować w tak surowych warunkach, ojciec obrzucił go wyzwiskami, kwestionując jego umiejętności nurkowe i odwagę. Kiedy Chrissy podjął wyzwanie, to Chris się wycofał. Role się odwróciły; Chrissy natarł werbalnie na ojca, obrzucając go wyzwiskami dotyczącymi jego umiejętności nurkowych, a nawet kwestionując jego męskość. W końcu obaj nurkowie musieli zanurkować, żeby udowodnić, że są

prawdziwymi nurkami. Ich kłótnie trwały długie godziny, a w tym czasie „Seeker” bezustannie kołysał się na falach. Rouse'owie doskonale pasowali do ekscentrycznego i egocentrycznego świata uczestników wyprawy i solidnie sobie zasłużyli na miano Kłótniowych Braci w czasie wszystkich wypraw.

Rouse'owie zaplanowali, że w czasie tego nurkowania będą oddychać powietrzem. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej Chris powiedział mi:

- Bernie, nie martw się, nic nam nie będzie. Schodziliśmy już głębiej na powietrzu. Poradzimy sobie.

Były lepsze mieszanki oddechowe do wyboru niż powietrze i jako doświadczony badacz wraków poczułem zaniepokojenie, kiedy przedstawili mi swój plan nurkowania. Wpłynięcie do bardzo ciasnych pomieszczeń U-Boota, na głębokości 70m, oddychając powietrzem było niezwykle ryzykowne. Duże fale powodowałyby, że Chris i Chrissy oddychaliby z większym trudem, zanurzając się wzdłuż gwałtownie szarpanej liny kotwicznej i walcząc o to, by nie zostać zniesionym z dala od niej i od wraku, który chcieli eksplorować. Dodatkowy wysiłek związany z walką o dotarcie na wrak natychmiast wywarłby wpływ na Chrisa i Chrissy'ego.

Narkotyczny wpływ azotu zawartego w powietrzu, którym oddychali, byłby jeszcze silniejszy - tak jak w przypadku mojego niemal śmiertelnego nurkowania sprzed roku, po którym stałem się tymczasowo niepełnosprawny. Znacznie zwiększone ciśnienie pod wodą wywierałoby podobny efekt na ich mózgi, co alkohol. Gdyby zdecydowali się na oddychanie mieszanką zawierającą hel, ich narkoza zostałaby poważnie zredukowana, mimo dodatkowego wysiłku potrzebnego do zanurzenia się w tak wzburzonym morzu. Ale hel był drogi Chris nie mógł sobie na niego pozwolić teraz, gdy jego firma budowlana miała takie kłopoty.

Zwiększona narkoza objawiłaby się początkowo jako nieostre widzenie. Widzenie peryferyjne również znalazłoby się pod jej wpływem - pole widzenia stawałoby się tym węższe, im bliżej wraku się znajdowali, zupełnie jakby wchodzili do ciemnego tunelu. Po nurkowaniu na 91 metrów, które Chrissy przeprowadził kiedyś z ojcem, powiedział, że słyszał zniekształcone dźwięki, jakby wibrowały na innej wysokości tonu. Kiedy dwudziestojednoletni Chrissy opowiadał mi o tym, śmiał się jak mały chłopiec, który odkrył coś przewrotnie zabawnego. Głosem pełnym zdziwienia

obwieścił:

-Nurkując na 91 metrów na powietrzu czujesz się jakbyś miał halucynacje. To naprawdę dziwne uczucie być pod wodą całkiem nawalony.

Ponieważ obaj Rouse'owie doświadczyli narkozy na dużej głębokości, sądzili, że poradzą sobie z rauszem czterech i pół kieliszka martini, z jakim mieli się zetknąć podczas tego nurkowania. To, czego nie wzięli pod uwagę, to, jaki wpływ na ich reakcje na nieprzewidziane trudności będzie mieć narkoza spotęgowana wysiłkiem poruszania się we wzburzonym morzu. Zbyt swobodnie poczuli się w podwodnym środowisku, zbyt dobrze poznali jego niuanse, zbyt dużo wiary mieli we własne, doskonale skądinąd, umiejętności. Zupełnie jak ja rok wcześniej. Nasz instruktor nurkowania jaskiniowego, Marc Eyring, zawsze ostrzegał nas, że jeśli samozadowolenie weźmie górę w karierze nurkowej, katastrofa jest w pobliżu. Bolesnie przekonałem się, jak było to prawdziwe. Teraz tej lekcji jeszcze surowiej nauczyć się mieli Chris i Chrissy.

Narkoza dodatkowo zaburzyła wspomnienia Chrissy'ego Rouse'a z wypadków, jakie miały miejsce podczas tego nurkowania. Pełna emocji relacja, którą złożył po nurkowaniu, połączona z nagraniem wideo Johna Chattertona, naszą znajomością z Rouse'ami, wiedzą o podwodnym świecie i analizą ich sprzętu nurkowego, pozwoliła ich przyjaciółom poskładać fragmenty historii w spójną opowieść o wypadku na U-who. Seria problemów, na jakie natrafili obaj mężczyźni, jest absolutnie przerażająca. To najgorszy koszmar każdego nurka ostatnie nurkowanie.

Policjant stanowy z New Jersey, Steve McDougall, skończył swoje nurkowanie i samotnie poddawał się dekompresji na linie kotwicznej „Seekera”, gdy Chris i Chrissy zeszli do wody i zanurzyli się obok niego, wzdłuż grubej liny. McDougall, instruktor, który nurkował już od 18 lat, zauważył, jak płynnie i szybko Rouse'owie się zanurzali, jak pewni siebie i doświadczeni byli ci nurkowie. Chris i Chrissy opuszczali się po grubej linie, która wiła się na 70 metrów w głąb morza, gdzie jej odległy koniec był przymocowany do wraku. Lina szarpała się gwałtownie, a ciemnozielone fale uderzały o łódź nurkową. Dla Rouse'ow woda zmieniła kolor z zielonej pod powierzchnią na żalobną czerń, tak przejrzystą i zimną, jak pozbawione światła księżycowego jesienne niebo.

Gdy Rouse'owie zanurzali się coraz głębiej wzdłuż liny, coraz dalej od McDougalla, widział jak wydychane przez nich srebrne bąbelki wydłużają się jak latające spodki. By bezpiecznie wydostać się na powierzchnię, musiał spędzić ponad godzinę na powolnym wynurzeniu się, aby zdążyć wydalić nadmiar azotu zaabsorbowanego podczas nurkowania. Wiedział, że ponownie zobaczy Rouse'ow, kiedy zaczną swoją własną długą dekompresję, na długo przed tym nim jego własna się skończy.

Na pokładzie, kapitan „Seekera” Dan Crowell odwrócił się do Johna Chattertona, drugiego kapitana, i powiedział:

-Właśnie znowu sprawdziłem przez radio prognozę. Pogoda wcale się nie zapowiada dobrze.

Chatterton skinął głową, spojrział szybko na ocean i odpowiedział:

-Pójdę się upewnić, że wszystko jest zabezpieczone.

Chatterton szybko przeszedł się po łodzi, sprawdzając sprzęt i przywiązując wszystko, co było luźne, aby łódź nie została uszkodzona, a nurkowie zranieni przez rzeczy porzucane po pokładzie. Chatterton zobaczył Steve'a Gatto i Toma Packera. Obaj klęczeli na pokładzie, opierając się o siebie, żeby ułatwić sobie zdejmowanie sprzętu po nurkowaniu, które ukończyli tuż przed tym, jak Rouse'owie zeszli pod wodę.

-Dopilnujcie, żeby wszystko było naprawdę zabezpieczone - Chatterton przypomniał im. - Wracamy, jak tylko Rouse'owie znajdą się na pokładzie, i nie będzie to gładka podróż.

Galio i Packer skinęli głowami.

Barb Lander, jedyna kobieta na pokładzie, sięgnęła do ogromnej chłodziarki znajdującej się tuż na zewnątrz głównej kabiny i wyjęła dietetyczną kolę, piątą od momentu, kiedy się obudziła cztery godziny wcześniej. Widząc Chattertona powiedziała:

-Wszystko załatwione. Jestem spakowana i gotowa!

-Miejmy nadzieję, że Kłótlivi Bracia skrócą swoje nurkowanie - Chatterton mruknął pod nosem.

Pod nimi, unosząc się tuż nad pokładem U-Boota, Chrissy próbował się skupić na tym, co musiało być zrobione. Kiedy dotarł do wraku, musiał odczepić dwie

dodatkowe butle, które niósł pod ramionami i umieścić je na pokładzie U-Boota w taki sposób, by nie zostały zepchnięte na bok i nie spadły na piasek. Płynąc do otworu we wraku, odczepił od uprząży kołowrotek z poręczówką.

Chrissy zawsze pływał szybciej od ojca. Skoro to on pierwszy zanurzył się wzdłuż liny kotwicznej, dystans między obydwoma mężczyznami musiał wzrosnąć, gdy Chrissy przyspieszył widząc U-Boota i koncentrując się na swojej misji, tak jak to zrobił miesiąc wcześniej, niebezpiecznie wypływając do przodu, by wydobyć artefakty ze zwodniczego liniowca oceanicznego „Empress of Ireland”. Gdy jego ojciec wciąż jeszcze opuszczał się na dno oceaniczne, Chrissy nie zadał sobie trudu, by poczekać i zamiast tego przepłynął krótki dystans wzdłuż cylindrycznego statku, a jego mocna latarka przebijała się przez czerní wody, igrając snopem światła po zakrzywionym, stalowym kadłubie.

W wodzie nadal unosiły się cząsteczki brudu i piasku zmacone przez Steve'a McDougalla w czasie jego nurkowania na okręt. Chrissy prawdopodobnie nie zwróciłby uwagi na ryby, meduzy ani przezroczyste, pierwotne stworzenia, wyglądające jakby pochodziły z innego świata, które z U-Boota uczyniły swój dom. Jego odurzony narkozą mózg raczej nie zarejestrował istot tańczących w blasku jego latarki. Tak dobrze znał podwodny świat, że nie zwracał uwagi na białe, brązowe i czerwone organizmy, żyjące i oddychające, które przywarły do ścian U-Boota jak gęste listowie w skalistym ogrodzie na zboczu wzgórza - tak że mógł odróżnić pod nimi kontury wraku. Doświadczenie, jakie zdobył w toku ponad sześciuset nurkowań, pozwoliło mu przemieszczać się szybciej i skuteczniej bez większego wysiłku. Jeszcze przed nurkowaniem wiedział, że musi być oszczędny i dokładny, jeśli ma znaleźć dziennik pokładowy albo jakiś inny przedmiot o wartości historycznej w trakcie cennych 20 minut nurkowania, które zaplanował z ojcem.

Prawdopodobnie z początku nurkowanie przebiegało normalnie. Rouse'owie dotarli do serca okrętu wojennego po jakichś czterech minutach od początku zanurzenia. Sterownia była całkowicie strzaskana, ostre fragmenty kadłuba odstawały od niej pod dziwnymi kątami. Gdy okręt tonął, wyrwana w nim została ziejąca dziura, a jej poszczerbione krawędzie nadawały U-Bootowi wygląd dziwnej głębokomorskiej

ryby, gotowej pożreć nieostrożnych. Chociaż Chrissy był już tu wcześniej i tak musiał zweryfikować swoje położenie, odwracając się w lewo, gdzie zobaczył coś, co przypominało owalną, metalową rurę, o przekroju prawie dwóch metrów, leżącą w piachu obok dziury w sterowni. Widząc to wszystko już wcześniej, musiał rozpoznać kiosk, który pełnił rolę wejścia i wyjścia dla marynarzy i został oderwany z okrętu podwodnego. Był to jego punkt rozpoznawczy, wskazujący na to, że dziura w U-Boocie po jego prawej stronie jest miejscem, przez które planował się dostać do środka.

Chris bez wątpienia ciężko oddychał, płynąc wzdłuż U-Boota i próbując dotrzymać kroku swojemu synowi. Chociaż rausz azotowy odurzył jego umysł, skoncentrował się na zajęciu pozycji na zewnątrz „U-who”. Według planu, Chrissy miał wpłynąć do środka i poszukać dziennika pokładowego, a Chris czekać na zewnątrz, na wypadek, gdyby Chrissy potrzebował pomocy.

Chrissy wpłynął do wraku. Chociaż weterani nurkowania wrakowego drwili z jaskiniowej techniki rozwijania wewnątrz wraku poręczówki, która prowadziła z powrotem na otwartą wodę, szkolenie Rouse'ów i ich własne doświadczenie, nabyte na bardzo trudnych pod względem ilości wyzwań wrakach, ugruntowało w nich przekonanie, że jedyną pewną metodą wydostania się z wraku jest poprowadzenie poręczówki. Chrissy prawdopodobnie nonszalancko rzucił ojcu mosiężną klamrę przyczepioną do poręczówki, tak jak to zrobił miesiąc wcześniej, co stało się przyczyną gorzkiej kłótni po nurkowaniu na temat przyjętego protokołu zachowań. Lina miała zapewnić Chrissy'emu bezpieczeństwo wewnątrz U-Boota, wyprowadzić go z wraku w warunkach zerowej widoczności, spowodowanej unoszącym się piaskiem i osadem, które wypełniały dno okrętu wojennego. W momencie, gdy cząsteczki wzniosłyby się, zmacone ręką kopiącego w poszukiwaniu artefaktów Chrissy'ego, zostałyby oślepieny.

Chrissy prawdopodobnie nie zadał sobie trudu przywiązania liny do fragmentu wraku, bo zabrałoby mu to tylko cenny czas, który chciał spożytkować na poszukiwanie dziennika pokładowego kapitana. Młody nurek wiedział, że jego ojciec zawsze jest gdzieś z tyłu, gotów udzielić mu wsparcia i w swym pośpiechu gromadzenia artefaktów Chrissy szedł na skróty, co doprowadzało jego

ojca do furii. Nawet przed tym nurkowaniem, John Chatterton, który nosił tytuł odkrywcy tego wraku, ostrzegał chłopaka przed przesadnym zaangażowaniem przy szukaniu dziennika. Chatterton próbował zniechęcić Chrissy'ego do tego ambitnego nurkowania, widząc w młodym człowieku obsesję artefaktów, która mogła spowodować katastrofę taką, jaka spotkała w przeszłości wielu opętanych artefaktową gorączką nurków.

Chrissy'ego nie można było jednak namówić na zmianę planu albo techniki nurkowej, nawet jeśli ta technika wiązała się z pójściem na skróty. Miał obsesję na punkcie wejścia do wraku i rozpoczęcia poszukiwań. Jak powiedział innym przed nurkowaniem, miał nadzieję, że ojciec zajmie się przywiązaniem liny, jak to robił na poprzednich nurkowaniach, oszczędzając Chrissy'emu czasu na poszukiwania. Ojciec chwycił karabińczyk przymocowany do poręczówki, którą Chrissy mu rzucił. Owinął linkę kilkakrotnie wokół kawałka wraku, a potem użył karabińczyka, aby ją zabezpieczyć.

Chrissy musiał się wczołgać do wraku. Zewsząd zwisały kable, wyrwane na zewnątrz przez eksplozję, która oderwała kiosk. Fragmenty metalu, kawałki przyrządów wyglądały jak szczęki U-Boota. Chrissy opowiadał później, że czuł się jakby płynął przez przelyk do żołądka potwora, co było oczywistym symptomem narkozy azotowej. Kiedy dostał się do wnętrza wraku, bąbelki, które wydychał, niemal natychmiast poruszyły duże cząsteczki osadu, znajdujące się przy suficie. Płatki rdzy zaczęły opadać. W odróżnieniu od zamieci śnieżnej, która rozjaśnia niebo i krajobraz, tumany rdzy czynią wszystko ciemniejszym. Same płatki są ciemnoczerwone, a kiedy uderzają o dno, wzniecają osad, który kręci się spiralnie w górę jak dym z dogasającego drewna. Dla kogoś z umysłem odurzonym azotem wirujący osad wyglądałby jak zaogniona rana w gardle U-Boota, zawężający i tak ciasne przejście. Jedną z frustrujących spraw, o których Chrissy później opowiadał, było to, że niezależnie od tego, jak ostrożnie starał się poruszać w U-Boocie, i tak w nieunikniony sposób dotykał jakiejś części wraku. Jeśli ruszył nogą, jego płetwa dotykała jakiegoś zwisającego kabla albo rozdartej metalowej płyty, nigdy nie był pewien czego. Kiedy się obracał zawsze ocierał się ramieniem albo węzem o jakiś kawałek złomu. Każdy nich, każdy wydech powodował, że osad podnosił się z dna, a

rdza opadała z sufitu.

Chrissy przestał kopać, aby zmniejszyć ilość wzniesionego osadu. Zamiast tego przesuwiał się wzdłuż wraku używając techniki podciągania się. Kiedy sięgał i chwycił nierozpoznawalne przedmioty, niektóre z nich się przemieszczały, a inne rozpadały, powodując zmieszanie się ciemnoczerwonej rdzy z ciemnobrązowym osadem z piachu i szczątków organicznych.

Na tym etapie przyływ adrenaliny spowodowany eksploracją sprawił zapewne, że serce Chrissy'ego zaczęło bić szybciej, przez co on sam zaczął szybciej oddychać. Kiedy się odwrócił podczas próby wpłynięcia do pomieszczenia kapitana, jego butle musiały o coś uderzyć, wydając głuchy, metaliczny pogłos, który odbił się echem w jego głowie na różnych tonach. Mocna latarka była tu bezużyteczna, dając tylko nieostre, jaśniejsze kręgi w otaczającej go ciemnobrązowej zasłonie. Kiedy wymacał drogę wiodącą głębiej we wnętrze wraku, poza osad, widoczność wzrosła o metr. Aby dostać się do pomieszczenia, w którym zamierzał kopać w poszukiwaniu artefaktów, Chrissy musiał przecisnąć się przez właz i przepychać przez niego swoje butle. Część jego sprzętu bez wątpienia zaczepiła o właz, ale już wcześniej tu wpływał, miał więc pewność, że i tym razem się uda. Wysilek, jaki musiał podjąć, manewrując poszczególnymi elementami sprzętu nad krawędzią włazu, niewątpliwie zwiększył jego frustrację i spotęgował objawy narkozy.

Kiedy już znalazł się wewnątrz, zaczął kopać w osadzie, mając nadzieję na trofeum, które zidentyfikuje U-Boota. Jego plan polegał na przeszukaniu terenu pod półkami, gdzie, jak powiedział swoim przyjaciółom, spodziewał się znaleźć więcej przedmiotów. Być może jeden z nich opowiedziałby pełniejszą historię U-who i może raz na zawsze odpowiedział na wszystkie pytania. Każdy chwaliłby wtedy Chrissy'ego Rouse'a, nieustraszonego nurka, i świętował jego znalezisko. Uważał, że takie odkrycie umieściłoby go w innej lidze, obok legendarnych nurków, jak jego bohater Sheck Exley. Usadawiając się na dnie, Chrissy zaczął kopać prawą ręką, podczas gdy lewa mocno trzymała kołowrotek z poręczówką prowadzącą do wyjścia z wraku i do ojca.

Osad obecny w okręcie wojennym oznaczał, że Chrissy musiał zanurzać rękę po łokieć, by wydobyć jakieś artefakty leżące na dnie wraku. Ani Chrissy, ani nikt inny

nie spodziewał się, że regały nie są już przymocowane do kadłuba, a jedyne, co trzyma je pionowo to piasek i kilka metalowych przedmiotów leżących u podstawy. Działając pod presją czasu, Chrissy prawdopodobnie gorączkowo kopał, macając za czymkolwiek, co mógłby wsadzić do torby, do późniejszego obejrzenia. Wokół niego podniósł się brązowy osad, mieszający się z czerwonymi cząsteczkami rdzy, uwalnianymi przez wydychane bąbelki. Ciężka praca sprawiała, że Chrissy oddychał z coraz większym trudem i wydychane bąbelki z większą siłą poruszały osad, piach i rdzę - mieszankę, która otaczała Chrissy'ego jak tornado. Kopanie wkrótce zredukowało widoczność do zera, przez co chłopiec mógł polegać wyłącznie na dotyku.

Sądźmy, że w tym momencie nurkowania, minęło jednaście minut od momentu, gdy opuścił z ojcem powierzchnię. Temperatura wody miała wtedy ponoć tylko 5 stopni, co nurek czuje nawet przez gruby suchy skafander i ocieplacz, przypominający kombinezon narciarski. Ale obsesja Chrissy'ego na punkcie artefaktów i przyływ adrenaliny spowodowany wejściem do ciasnego U-Boota pomogły jego umysłowi dostosować się do tego zadania, mimo że czuł się jak pijany. Z powodu zerowej widoczności, z którą Chrissy miał teraz do czynienia, nie mógł nawet doświadczyć zawężonego pola widzenia, które powoduje narkoza.

Później Chrissy opowiadał innym nurkom, że jego ręce natrafiły na jakiś przedmiot i chociaż nic nie widział przez tornado osadu, zdawał sobie sprawę z tego, że natrafił na coś ogromnego. W tym momencie jego serce pewnie zabiło szybciej i zaczął sobie wyobrażać, że to pudełko, w którym kapitan trzymał swój dziennik. Ta myśl sprawiła, że Chrissy zaczął się szarpać i mocno ciągnąć pudło obiema rękami. Kiedy Chrissy'emu udało się ruszyć przedmiot z miejsca, w które był mocno wciśnięty, regał po jego lewej zaczął powoli się przewracać. Chrissy nie mógł widzieć, jak regał się przechyla, ale opowiadał później, że poczuł nagle przygniatający ciężar, który przygwoździł go do dna. Bycie uwięzionym pod wodą w przerażającej sytuacji zwiększyło wpływ narkozy na Chrissy'ego, jakby za jednym zamachem wypił spory łyk mocnego alkoholu. Na tym etapie w jego umyśle mogły już powstać halucynacje. Było to zupełnie inne nurkowanie niż to, o którym opowiadał mi Chrissy, kiedy wraz z ojcem nurkował na głębokość 91 metrów,

oddychając powietrzem w przejrzystej ciepłej wodzie jaskini. Choć Chrissy mówił mi, że doświadczył głębokiej, nawet halucynogennej narkozy podczas tego nurkowania, nie musiał się tam uporać z tyloma problemami. Narkoza Chrissy'ego wewnątrz ciasnego, pełnego osadu pomieszczenia U-Boota była dodatkowo potęgowana niską temperaturą wody i nie zdołałby sobie poradzić z tą sytuacją, gdyby był sam.

Plan nurkowy Rouse'ów zakładał, że Chris poczeka na zewnątrz wraku, uważając na poręczówkę Chrissy'ego. Linka kiedyś była biała, ale podczas wielu nurkowań zabrudziła się w kilku miejscach, gdzie osad przebarwił nylon. Nie trzeba jednak było jej wymieniać, ponieważ nadal była widoczna dla nurków. Nagle osad zaczął wypływać z wraku, co było naturalne w momencie, gdy Chrissy zaczął kopać i szukać artefaktów. Ale po kilku oddechach Chris prawdopodobnie zorientował się, że coś jest nie w porządku. Napływowi osadu towarzyszył łomot. Chris wiedział, że pod wodą głos jest ściszony i przytłumiony, a wibracje są odczuwane dramatycznie. Trzymając się wejścia, przez które wpłynął Chrissy, Chris zapewne wstrzymał oddech, aby usłyszeć coś poza odgłosem wydychanych przez siebie bąbelków. Z pewnością usłyszał, jak Chrissy woła o pomoc, ale przez chwilę wahał się, czy aby nie jest to halucynacja słuchowa wywołana narkozą azotową. Serce Chrisa zabiło szybciej, gdy uświadomił sobie, że to naprawdę wołanie Chrissy'ego.

Wewnątrz wraku Chrissy miał kłopoty. Narkoza gwałtownie się nasilała, w miarę jak panika zaczęła w Chrissym wygrywać z rozsądkiem, a przecież zdrowy rozsądek jest szczególnie potrzebny w tak niebezpiecznych okolicznościach.

Chrissy twierdził później, że starał się uspokoić, starał się skupić. Próbował wykonać pompkę, podnieść się z dna i wysunąć spod tego, co go przygniatało. Wysiłek ten sprawił, że oddychał jeszcze szybciej i mocniej, zużywając coraz więcej powietrza z gwałtownie zmniejszających się zapasów z butli. Słyszał coś, co przypominało ciężkie bębnienie i może na jakimś poziomie zdawał sobie sprawę z tego, że odgłosem tym było bicie jego własnego serca. Ale może myślał, że odgłos ten jest biciem serca potwora, jakby na to wskazywała jego relacja po nurkowaniu, składana w podnieceniu i ogromnym bólu. W tym momencie Chrissy nie mógł już prawdopodobnie zapanować nad halucynacjami.

Działając instynktownie, wyciągnął zapewne lewą rękę i zaczął uderzać metalowym kołowrotkiem o stalowy kadłub, sygnalizując ojcu, że ma kłopoty.

Na zewnątrz wraku odgłos stawał się coraz głośniejszy, coraz częstszy, bardziej natarczywy w miarę jak nasilała się desperacja Chrissy'ego. Chris zdjął swoją dodatkową butlę, zostawił ją przy wejściu do okrętu i wpłynął do wraku. Chwycił linę, popłynął wzdłuż niej, prawdopodobnie zauważając, jak mocno Chrissy nią szarpie. Uznał zapewne, że syn się w nią zaplątał i wiedział z poprzednich takich wypadków, że zdoła go z niej wyplątać.

Ciasne wnętrze miało tylko 1,5 metra wysokości i mniej niż 3 metry szerokości z powodu całej maszynierii, wystającej po drodze ze ścian. W gruncie rzeczy Chris nie potrzebował poręczówki, by znaleźć syna. Wszystko, co musiał zrobić, to płynąć za ogłuszającym odgłosem. Słyszał zresztą, jak Chrissy krzyczy w swój automat, niezależnie od walenia we wrak. Ale zamiast puścić linę, Chris mądrze wybrał postępowanie według zasad szkolenia i konsekwentnie posuwał się wzdłuż poręczówki, wiedząc, że na jej końcu znajdzie swojego chłopca.

Brazowawoczerwony osad nadal wylewał się pewnie z pomieszczenia jak dym z rozszalałego pożaru. Kiedy Chris przedostał się przez właz, wpadł pewnie na Chrissy'ego, walącego i krzyczącego. Chociaż nie mógł dojrzeć syna, Chris wyciągnął rękę i chwycił syna.

Można sobie wyobrazić, jak Chrissy poczuł mocny uścisk ręki ojca na swoim ramieniu i zamknął oczy. Próbował się uspokoić. Między oddechami pewnie krzyczał w automat:

-Tato, utknąłem! Wyciągnij mnie, tato!

Ojciec przysunął głowę bliżej i prawdopodobnie odpowiedział przez automat.

-Przestań się ruszać! Wydostanę cię. Pozbieraj się, do cholery!

Ciężki oddech Chrissy'ego i krzyki prawdopodobnie nasiliły narkozę halucynogenną i jak wiemy z jego późniejszej relacji chłopak uznał, że został zaatakowany przez potwora. Próbował uciec i poniósł porażkę.

Chociaż Chris również pracował pod działaniem narkozy, miał prawdopodobnie znacznie jaśniejszy umysł niż syn i poruszał się wolniej, ponieważ musiał polegać wyłącznie na dotyku, oceniając, co uwięziło jego syna. Być może chwycił

Chrissy'ego i pociągnął go do przodu, jakby był ratownikiem walczącym o wydostanie ogarniętego paniką pływaka. Starszy Rouse wiedział, że musi uspokoić syna, jeśli obaj mają wyjść stąd żywi. Próbował uspokoić go, mówiąc do niego przez automat. To pewnie sprawiło, że chłopiec przestał się szarpać, dopóki znów nie opanowały go halucynacje i cała procedura nie zaczęła się od nowa. Chris musiał się przesunąć za syna, aby znaleźć regały, które spadły na Chrissy'ego. Z wściekłością wywołaną napływem adrenaliny, chwycił regały i dźwignął je, zapierając się o podłogę.

W tydzień po nurkowaniu Rouse'ów, John Chatterton, Steve Gatto i inni nurkowie weszli do tego pomieszczenia po raz pierwszy od momentu, gdy byli tam Rouse'owie. Chatterton i Gatto powiedzieli, że widzieli tam rozdarte, wzmocnione gumą płótno z jednej z tratw ratunkowych okrętu podwodnego, fragmentów, których nurkowie nie zauważyli przed wejściem Rouse'ów. Tratwa ratunkowa mogła się sama napęcznieć na szczycie regału, przygważdżając Chrissy'ego do dna. Wcześniej wydobyto tratwę ratunkową z U-853, który również leży w wodach amerykańskich. Autonomiczny system automatycznego napęczniecia się tratwy zadziałał na powierzchni po ponad czterdziestu latach spoczywania pod wodą. Jeżeli tratwa ratunkowa napęcznieła się na szczycie regału, wysiłki Chrisa Rouse'a, aby uwolnić syna, były bezużyteczne dopóki nie wyjął swojego noża i nie przedarł materiału. Jeżeli stało się inaczej i zdołał podnieść regał, obaj mogli po prostu natrafić na tratwę ratunkową i pociąć ją niczym dwaj rycerze walczący ze smokiem.

Jakby obaj nurkowie nie mieli dość problemów, analiza ich sprzętu po nurkowaniu wykazała, że fragmenty przerdzewiałego metalu utkwily w podstawowym automacie Chrissy'ego, co powodowało, że przy każdym oddechu wraz z powietrzem przedostawała się woda. Chrissy musiał wypluć uszkodzone urządzenie z ust i wymienić je na drugi automat. Jakkolwiek wysoki był poziom narkozy, której doświadczał, Chrissy był jeszcze w stanie skupić się na sprzęcie podtrzymującym życie i dokonać wymiany automatów.

Kiedy Chrissy został uwolniony, obaj nurkowie stanęli przed kolejnym problemem: musieli opuścić miejsce, w którym byli teraz obaj uwięzieni, a potem wydostać się z wraku. Chrissy najwyraźniej próbował skorzystać ze swojego wyszkolenia

jaskiniowego, płynąc wzdłuż poręczówki, co powinno ich było wyprowadzić wprost do wyjścia. Ale później znaleziono poręczówkę, poprowadzoną w tą i z powrotem wśród metalowych fragmentów, leżących na dnie pomieszczenia. Niektóre jej odcinki były zakopane, co wskazuje na to, że mieli trudności ze znalezieniem wyjścia. Lina prowadziła do innego wyjścia niż to, przez które wpłynęli do wraku, co również świadczy o tym, że mieli kłopoty z wydostaniem się z żelaznej trumny, która pogrzebała całą załogę niemieckich marynarzy.

Kiedy już we dwóch opuścili wrak, musieli poczuć ulgę, że droga ku powierzchni jest wreszcie przed nimi otwarta. Ich umysły musiały się trochę odprężyć, gdy zdali sobie sprawę z tego, że wydostali się z bezpośredniego niebezpieczeństwa. Ale to, co zostało zaplanowane jako dwudziestominutowe nurkowanie, zajęło już 30 minut, a czas nadal pędził.

Chrissy nie chciał pewnie wracać do wraku, aby odzyskać poręczówkę, przymocowaną do trzymanego przez niego w lewej dłoni kołowrotka. Porzucił kołowrotek. Jego ojciec prawdopodobnie patrzył jak kołowrotek opada w złomowisko na dnie sterowni, gdzie został później znaleziony przez Chattertona. Starszy Rouse nie podjął próby odzyskania kołowrotka w odróżnieniu od jego reakcji podczas nurkowania na „Dorii”. Teraz musieli zrobić coś pilniejszego: odnaleźć butle z powietrzem, które zostawili na pokładzie U-Bootu na początku swojego nurkowania. Potrzebowali ich, by bezpiecznie się wynurzyć. Bez dodatkowych butli nie mieli dość powietrza na dekompresję.

Chrissy Rouse powiedział później nurkom, że wspólnie z ojcem przeszukiwali pokład U-Bootu przez jedenaście minut, desperacko próbując znaleźć swoje dodatkowe butle. Chociaż U-Boot nie jest trudny w nawigacji, narkoza, którą obaj prawdopodobnie odczuwali, sprawiła, że stracili orientację. Nigdy nie odnaleźli ukrytych na pokładzie trzech butli. Ponieważ wyszli przez inną dziurę niż weszli, nieumyślnie znaleźli się po przeciwnej stronie U-Bootu. Kiedy Chris znalazł butlę, którą zostawił tuż koło wejścia, podpłynął do syna, przyczepił mu butlę do uprząży i zasygnalizował wynurzenie. Chris musiał zdawać sobie sprawę z tego, że nie mieli dość powietrza na dekompresję dla nich obu i poświęcił swoją własną szansę, aby ocalić syna. Chris prawdopodobnie sądził, że zdoła się wynurzyć i powiedzieć innym

nurkom z „Seekera”, aby dostarczyli im więcej gazu, co pozwoliłoby im przeprowadzić dekompresję do końca.

Jakieś 70 metrów nad nimi unosiła się na powierzchni łódź i koniec tego koszmaru. Rozpoczynając wynurzenie się, nie zdołali znaleźć liny kotwicznej, ale nie mieli już czasu, by jej szukać. Ich przymusowa dekompresja wynosiła już trzy godziny, co oznaczało, że powinni się powoli wynurzać, zatrzymując się na różnych głębokościach. Gdyby się nie poddali dekompresji, ich ciała byłyby jak puszki z gazowanym napojem, które zostały wstrząśnięte, a potem otwarte jednym brutalnym ruchem. Ich naczynia krwionośne eksplodowałyby od pęcherzyków azotu. Gdyby nie udało im się znaleźć liny kotwicznej podczas wynurzania, dryfowałyby w wodzie z prądem i prawdopodobnie zgubiłyby się na morzu. Nawet na spokojnych wodach odnalezienie ludzi unoszących się na powierzchni stanowi duże wyzwanie. Ale przy narastającym wietrze i falach sięgających dwóch metrów - a takie warunki panowały długo przed tym, jak ojciec i syn zeszli po raz ostatni z pokładu „Seekera” - musieliby mieć niezwykle szczęście, by kapitanom Crowellowi i Chattertonowi udało się ich odnaleźć.

Kiedy wskazówki ich manometrów spadły do zera, Rouse'owie zaczęli się wynurzać. Patrzyli zapewne w górę, tak, jak ich nauczono, aby uniknąć uderzenia głową o coś, co unosiło się w wodzie. Pewnie odwracali się powoli, szukając liny kotwicznej, wiedząc, że nie może być daleko. Nie jest jasne, czy Rouse'owie odnaleźli ją, czy nie. Jeśli tak, był to ich pierwszy łut szczęścia w czasie tego nurkowania. Wynurzenie się po linie umożliwiło im dotarcie do samego dziobu łodzi.

Podczas wynurzania automatycznie sprawdzali pomiary swoich manometrów i głębokościomierzy oraz usytuowanych na przedramieniu komputerów nurkowych. Chrissy powiedział później, że komputery wskazywały, że spędzili pod wodą czterdzieści minut.

Steve McDougall nadal odbywał dekompresję na lince kotwicznej i wynurzył się już do głębokości pięciu metrów. Zastanawiał się, gdzie są Rouse'owie, bo wiedział, że powinien ich już widzieć. Choć McDougall nie miał o tym zielonego pojęcia, Rouse'owie znajdowali się pod nim w mętnej, zielonej wodzie, poza granicą widoczności. Gdyby zobaczył Rouse'ów, a oni zasygnalizowali do niego, być może

zdołałby im pomóc użyczając części ze swoich zapasów gazu. W odróżnieniu od nurków zawodowych i wojskowych, nurkowie sportowi nie używają z reguły pod wodą sprzętu do werbalnej komunikacji. Bez niego nurkowie nie mogą ze sobą rozmawiać i Rouse'owie nie mieli żadnej możliwości powiadomienia innych o tym, w jak desperackim położeniu się znaleźli. A McDougall, mimo że był niedaleko Rouse'ów, nie wiedział, gdzie się znajdują i w konsekwencji nie mógł im pomóc. Chrissy przerzucił się na butlę, którą ojciec przyczepił mu na plecach, po tym jak uciekli z wraku. Ale zamiast powietrza, przez ustnik przedostawała się tylko woda. Analiza po nurkowaniu ujawniła, że ustnik w automacie był przedarty i dostawała się przez niego woda.

To, co zdarzyło się później, jest również kwestią domysłów. Nurkowie znajdujący się wówczas na miejscu zdarzenia przedstawili dwa różne scenariusze. Niektórzy uważają, że Chrissy wielokrotnie usiłował opróżnić automat z wody, aby móc z niego oddychać. Za każdym razem, gdy uruchamiał przycisk uwalniający gaz, ogromna jego ilość ulatniała się do wody. Analiza tej butli ujawniła, że znajdowała się w niej 60-procentowa mieszanka tlenu i że butla była w ponad połowie pełna. Jeżeli butla była pełna, gdy Chrissy zaczął z niej oddychać, to w połowie pusty zbiornik może być wyjaśniony wielokrotnymi próbami Chrissy'ego opróżnienia automatu z wody. Zgodnie z tą teorią. Chrissy skierował się na powierzchnię po kilku nieudanych próbach uzyskania powietrza z automatu, a jego ojciec popłynął za nim.

Inni sądzą, że Chris Rouse sam nie miał zbyt wiele powietrza i dlatego skierował się ku powierzchni, wiedząc, że musi zdobyć więcej gazu dla siebie i syna, by mogli dokończyć dekompresję. Analiza jego butli ujawniła, że była ona prawie pusta, gazu starczyłoby być może na jeden albo dwa oddechy na głębokości 21 metrów, chociaż należy też wziąć pod uwagę zużycie gazu, gdy Chris płynął do łodzi i później, gdy czekał w wodzie. W tym scenariuszu Chrissy widząc wynurzającego się ojca, popłynął za nim, by udzielić mu wsparcia. Pytanie, jakie się rodzi, to czy ojciec próbował do samego końca ratować syna, czy syn poświęcił dekompresję i próbował ocalić ojca. Tak czy inaczej nurek, który wynurzył się jako drugi wiedział, że ryzykuje kalectwem i chorobą dekompresyjną, podążając za pierwszym na powierzchnię.

Gdyby to była jakakolwiek inna para nurków - powiedzmy, dwóch bardzo bliskich przyjaciół - jeden nurek nigdy by nie popłynął na powierzchnię za drugim, lekceważąc kilka godzin koniecznej dekompresji. Nurek, oddychający powietrzem, który zużył siły na wyciągnięcie partnera, uwięzionego we wraku na głębokości 70 metrów, zostałby uznany za kogoś, kto wypełnił swój obowiązek i to z nadwyżką. Nikt rozsądnie myślący nie wymagałby od partnera ryzykowania paraliżem czy nawet śmiercią po takich przejściach. Ale Rouse'owie nie byli zwyczajną parą nurków.

Niezależnie od tego, w jaki scenariusz decydujemy się wierzyć, dwóch nurków wynurzyło się na powierzchnię. Steve McDougall, który wciąż się poddawał dekompresji na linii kotwicznej na głębokości pięciu metrów, nie widział ich już więcej pod wodą, po tym jak minęli go, zanurzając się wzdłuż linii kotwicznej. Na „Seekerze” dobiegały końca przygotowania do powrotu, który miał nastąpić, jak tylko na pokładzie pojawią się z powrotem McDougall i Rouse'owie. Kapitanowie Crowell i Chatterton słuchali prognoz pogody z uwagą i pewnym niepokojem. Wczorajsze półmetrowe fale, nad którymi można było jeszcze jakoś zapanować, dziś przerodziły się w dwu- a czasem nawet dwuipółmetrowe, co jak Chatterton doskonale wiedział, było absolutną granicą warunków, w jakich zdrowa na umyśle osoba chciałaby nurkować. Kiedy Chatterton obudził się tego ranka, zdecydował, że nie będzie nurkował dla przyjemności. Musiał jednak zejść na dno i odczepić linę kotwiczną, żeby „Seeker” mógł odpłynąć natychmiast po powrocie nurków, którym nie straszna była ta pogoda.

Kiedy obaj kapitanowie przyglądali się pogarszającym się warunkom pogodowym z dziobu łodzi. Chatterton dostrzegł w odległości 30 metrów wynurzających się Rouse'ow. Chatterton odniósł wrażenie, że obaj wyglądali na przestraszonych. „Ci faceci spieprzyli sprawę” pomyślał.

Chatterton zwinął ręce wokół ust i krzyknął przez wiatr do nurków.

-Zanurzcie się z powrotem. Poślemy wam więcej gazu i nurka asekuracyjnego! Obaj kapitanowie od razu wiedzieli, że Rouse'owie powinni teraz odbywać dekompresję, a nie wynurzać się. Byli na dole tylko przez 40 minut.

Ale Rouse'owie wcale nie przygotowywali się do ponownego zanurzenia, obaj

naciskali przyciski inflatorów, napełniając worki swoich skrzydeł, aby zneutralizować ciężar sprzętu i móc swobodnie unosić się na powierzchni.

Chrissy unosił się i opadał na falach, a prąd znosił go w kierunku „Seekera”. Osiągnął kres swoich możliwości. Tak wiele zdarzyło się podczas tego nurkowania, tak wiele chaosu było tam na dole, że nie mógł już znieść więcej. Spojrzał na Chattertona i krzyknął:

- Nie mogę oddychać przez mój automat. Wracam na pokład.
- Zrobiłeś w ogóle dekompresję?
- Nie! - odpowiedział Chrissy.

Zanim Chatterton zdołał coś powiedzieć, Chrissy wsadził twarz pod wodę i zaczął płynąć w kierunku rufy „Seekera” oddalonej o 48 metrów. Chris Rouse zrobił to samo. Chattertonowi wydawało się, że Chris ma kłopoty z płynięciem. Gdy Chris znalazł się trochę bliżej łodzi, Chatterton zobaczył, że starszy Rouse przewraca się na bok na falach. Chatterton pomyślał, że oczy Chrisa wyglądały na szkliste i wiedział, że jest to zły znak.

Chatterton był oszołomiony tym, co zobaczył. Wiedział, że Rouse'owie nie przeprowadzili dekompresji i że mieli teraz poważne kłopoty. Ustawił stoper na swoim zegarku i pobiegł do rufy tak szybko, jak pozwalał na to rozkołysany pokład „Seekera”.

Steve Gatto był na pokładzie sterówki, nad Chattertonem i Crowellem, i miał lepszy widok na Rouse'ow. Gatto podniósł prawą rękę nad głowę, zgiął ją, kładąc dłoń na głowie i formując ogromne „O”, jeden z sygnałów nurkowych, oznaczających „Czy wszystko OK?”. Nurek, który nie ma kłopotów, odpowiedziałby w ten sam sposób, co oznaczałoby „U mnie wszystko OK”. Jeśli nurek jest w tarapatach macha wyciągniętą ręką w szerokim łuku, co jest wezwaniem natychmiastowej pomocy. Rouse'owie wcale nie odpowiedzieli. Gatto - bardzo doświadczony nurek, który często był członkiem załogi na różnych łodziach - najpierw pomyślał, że było to winą wzburzonego morza i faktu, że Rouse'owie nie chcieli tracić czasu przed powrotem na pokład łodzi. Wiedział, że niektórzy nurkowie tak skupiali się na dotarciu do bezpiecznej łodzi, zwłaszcza w trudnych warunkach, że ignorowali sygnały.

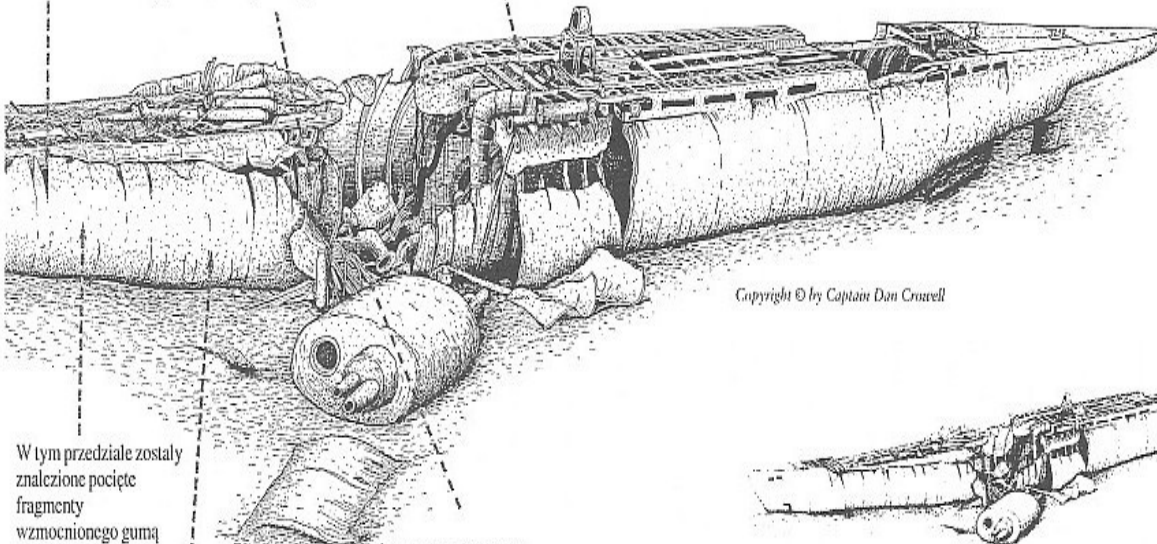
TAJEMNICZY U-BOOT

Tajemniczy U-Boot, odkryty 2 września 1991 roku przez kapitana Billa Nagela i kapitana Johna Chattertona na łodzi nurkowej „Seeker”

Miejsce, w którym kopal Chrissy, i gdzie zawałił się na niego regał

Na pokładzie U-Boota zostały znalezione trzy butle nurkowe

Właz między dwoma przedziałami, przez który przeciskał się Chrissy



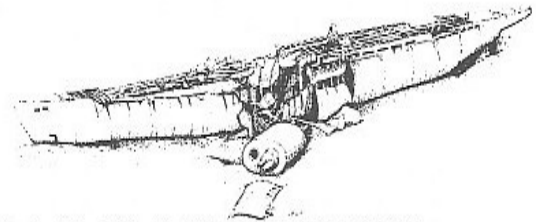
Copyright © by Captain Dan Crowell

W tym przedziale zostały znalezione pocięte fragmenty wzmocnionego gumą płótna z tratwy ratowniczej

W tym miejscu został znaleziony porzucony przez Rouse'ów kołowrotek z poręczówką. W pobliżu znajdował się zostawiony przez nich jonline

Nylonowa poręczówka była rozwinięta wzdłuż dna wraku i zaplątana, co wskazuje na to, że Rouse'owie płynęli w różnych kierunkach, usiłując znaleźć niewielki właz.

Chris i Chrissy Rouse'owie mieli nadzieję odkryć tożsamość tajemniczego U-Boota, wydobywając z wnętrza wraku dziennik pokładowy kapitana. Motywacją Rouse'ów do podjęcia ekstremalnego ryzyka była chwała, towarzysząca wpisaniu kilku nowych zdań do książek historycznych, choć wrak nie stanowił wartości archeologicznej. Ilustracja pokazuje, w którym miejscu wewnątrz wraku Rouse'owie natrafili na trudności oraz dowody na stoczoną przez nich walkę, znalezione później przez nurków



Gdy Rouse'owie znaleźli się bliżej, Gatto zauważył, że nie płynęli normalnie, nawet jeśli wziąć pod uwagę duże fale. Instynktownie zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Gatto pobiegł rzucić linę, której Chris i Chrissy mogliby się przytrzymać i na której można ich było wciągnąć na pokład.

-Trzymajcie!-krzyknął pod wiatr, rzucając linę.-Złapcie ją. Wciągniemy was!

Wewnątrz głównej kabiny „Seekera”, o poziom niżej niż stał Gatto, Barb Lander wyrzała przez okno i zobaczyła, że John Yaruga rzuca Rouse'om linę. Wybiegła, by pomóc we wciąganiu nurków. Wydarzenia nabierały tempa.

Chris i Chrissy Rouse byli miotani na falach, ale obaj zdołali chwycić linę. Krępy, dobrze umięśniony Gatto miał kłopoty ze wciągnięciem obu nurków na pokład.

Zszedł po drabince ze sterówki na główny pokład, gdzie Chatterton, Packer, Lander, Yurga i Kohler mogli mu pomóc.

Kiedy Chris znalazł się blisko rufy „Seekera”, puścił linę i opłynął rozkołysaną łódź, kierując się do drabinki. Ciężko oddychając, postawił stopy na szczeblu drabinki i

trzymał się jej mocno, jakby był kowbojem, próbującym jechać na dzikim byku. Chatterton pochylał się nad relingiem, spoglądając na dół w oczekiwaniu, że Chris zacznie się wspinać.

- Wspinaj się po drabinie! - krzyknął. Chris odpowiedział słabo, ale bez wahania:

- Nie. Najpierw weźcie Chrissy'ego.

W tym momencie nadmiar azotu, który został zaabsorbowany przez ciało Chrisa i którego organizm nie zdołał wydalić podczas dekompresji zaczął formować pęcherzyki. Chris czuł zapewne taki ból, jakby w jego wnętrzach była uwięziona jakaś istota, która próbowała się wydostać na zewnątrz, uderzając i drapiąc. Jego oddychanie stawało coraz cięższe. Mimo bólu, Chris nadal w pierwszej kolejności myślał o synu.

W tym czasie młodszy Rouse, który nadal się trzymał rzuconej mu liny, był przeciągany wokół rufy „Seekera”. Nagle pojawiła się ogromna fala i prąd powierzchniowy zniósł Chrissy'ego wprost na masywną rufę, która teraz zawisała w powietrzu niebezpiecznie blisko niego, na wysokości metra.

Tymczasem Chris Rouse wycofał się, zsunął z drabinki w fale, szukając jakiejś liny, której mógłby się chwycić. Znalazł nylonową linę, unoszącą się na powierzchni wody, z jednej strony przymocowaną do rufy, a na odległym końcu do dużej, kulistej pomarańczowej boi. Odплыł trochę do tyłu, trzymając się liny, żeby jego syn miał miejsce do wejścia po drabinie.

Fala nadal niosła Chrissy'ego do przodu, gdy kadłub łodzi runął w dół. Ominął głowę Chrissy'ego zaledwie o kilkanaście centymetrów. Manifold, łączący umieszczone na plecach butle, wziął na siebie całe uderzenie spowodowane opadnięciem rufy i pękł pod tym ciężarem. Sycząc głośno i przeciągle sprężone powietrze z butli wydostało się przez pęknięcie, nie czyniąc większej szkody, ale potęgując zdenerwowanie.

„Seeker” nie miał specjalnej platformy dla ratowników, na którą mogliby zejść, by zabrać Chrissy'ego spod rozkołysanej rufy. Zamiast tego Gatto, Chatterton, Packer, Lander, Yurga i Kohler przechylili się przez rufę, desperacko próbując chwycić Chrissy'ego i odciągnąć go od łodzi, by przy następnej fali nie rozbił się o nią.

Próbował wspiąć się po drabinie, ale kombinacja ponad 67 kilogramów sprzętu, szalonego kołysania łodzi i pierwszych objawów choroby dekompresyjnej pozbawiły

go tej możliwości.

- Wejdz po drabince, Chrissy - zarządził Chatterton.
- Nie mogę ruszać nogami - odpowiedział Chrissy słabo.

Choroba dekompresyjna nie traciła czasu, dokonując zniszczeń. Chrissy był już sparaliżowany od pasa w dół.

Rouse'owie przechodzili przez „wybuchową dekompresję”, tak jak ja rok temu. Ojciec i syn mogli jeszcze spróbować przeprowadzić dekompresję pod wodą, co wymagałoby od nich natychmiastowego zanurzenia. Teraz trzeba by ją było przedłużyć o kilka godzin, ponieważ po wynurzeniu na powierzchnię w ich organizmach powstały ogromne pęcherzyki. Ale nadchodziła burza i Chatterton zdawał sobie sprawę, że dłuższa dekompresja w wodzie zagroziłaby bezpieczeństwu łodzi i życiu załogi. Jedynym realnym wyjściem była komora hiperbaryczna.

Nurkowie zawodowi i wojskowi nurkują z łodzi wyposażonych w komory ciśnieniowe -jeśli u nurków pojawią się jakieś komplikacje, związane z chorobą dekompresyjną natychmiast są oni poddawani terapii w komorze na pokładzie łodzi.

Rouse'owie musieli zostać ewakuowani. Gdyby wszystko dobrze poszło, po znalezieniu się w komorze hiperbarycznej, odzyskaliby zdrowie, tak jak ja.

Gdyby nie poszło dobrze, staliby się inwalidami, nawet po kilku terapiach w komorze. Nie ma jednoznacznych reguł, co do tego, komu się poszczęści.

Ale Chatterton, walcząc z prawdą i próbując z motywować Chrissy'ego, warknął:

- Nie pora na wygłupy. Rusz dupę na drabinę.
- Nie żartuję - bronił się Chrissy.

Wszyscy zdali sobie sprawę z tego, jak poważna jest sytuacja. Ocean Atlantycki trząsał i rzucał 18-metrową łodzią, jakby była dziecięcą zabawką w wannie. Odbывał się właśnie jeden z najniebezpieczniejszych aspektów ratowania nurka na morzu: wciąganie rannego na pokład łodzi przy wzburzonym morzu. Chatterton, Gallo, Packer, Lander, Yurga i Kohler rozproszyli się na rufie, wychylając się, by pomóc Chrissy'emu wejść na pokład. Sześć par rąk chwyciło go, próbując utrzymać go i wciągnąć na drabinę.

Bezwładny Chrissy został wciągnięty na łódź i padł na pokład „Seekera” głową w dół. Chattertonowi przypominało to rybaków wysypujących z sieci tuńczyka.

Ciężki upadek oszołomił Chrissy'ego.

-Muszę tam wrócić i odbyć dekompresję, bo inaczej umrę - zdołał z siebie wyrzucić. Ale było już za późno na zabranie Chrissy'ego pod wodę. Lander, Yurga, Kohler i Packer pracowali gorączkowo, żeby odzepić dodatkową butlę - tę, którą przyczepił mu pod wodą ojciec - torbę z artefaktami i latarki. Potem rozpięli jego uprząż, która utrzymywała dwie butle na plecach. Kiedy odzepili sprzęt, podnieśli częściowo sparaliżowanego nurka i zanieśli go na potężną, drewnianą platformę na środku rufy. Tu Rouse'owie ubierali się przed nurkowaniem. Teraz platforma stała się przejściowo polowym łóżkiem szpitalnym, takim, które rok wcześniej omal nie stało się dla mnie łóżem śmierci.

Lander wsadziła Chrissy'emu automat do ust.

- Masz, oddychaj tym, to tlen - powiedziała. Chrissy wypluł automat.

- Wszystko mnie strasznie boli.

-Oczywiście, że boli. Masz chorobę dekompresyjną. Czego się spodziewałeś? - powiedziała Lander, ponownie wkładając automat w usta Chrissy'ego. — Tlen pomoże zmniejszyć ból. Poczujesz się lepiej. Po prostu oddychaj!

Lander była licencjonowaną pielęgniarką i mogła legalnie podawać tlen. Jako członek personelu medycznego nie musiała recytować prawnego oświadczenia o domniemanej korzyści płynącej z podawania rannemu nurkowi tlenu ani upewniać się, że Chrissy sam wsadził sobie do ust automat, tak jak musiał uczynić Dave Dannenberg przy moim wypadku. Chrissy znał wartość tlenu i chciwie zaczerpnął go przez automat.

Kiedy Chrissy'emu pomagano przy drabince, Chris przyglądał się z wody, gdzie nadal trzymał się liny, która zabezpieczała go przed zdryfowaniem z dala od łodzi. Kiedy zobaczył, że jego syn jest już na pokładzie, Chris podpłynął do drabinki „Seekera” i stanął na dolnym szczebelku.

Chaiterton i Gatto skupili swoją uwagę na Chrisie. Za nimi Chrissy coś krzyczał, ale Chatterton i Gatto wiedzieli, że Chrissym zajmują się inni nurkowie i skoncentrowali się na wydostaniu Chrisa na pokład.

Leżąc na platformie Chrissy z trudem formułował słowa, wykrzykując je do Barb Lander, która klęczała koło niego:

-Nie mogłem oddychać... nie mogłem... oddychać. Tylko woda... tylko woda... Aut... zepsuty... potrzebne... powietrze... mu... siałem... wynurzyć.

Mimo że Lander znajdowała się tuż koło Chrissy'ego, miała kłopoty z usłyszeniem, co dokładnie mówi. Opuściła głowę tak, że jej ucho znalazło się tuż nad ustami Chrissy'ego. Żeby go usłyszeć musiała zignorować odgłos silników Diesla i butli Chrissy'ego, które nadal syczały na wysokich tonach, ponieważ sprężone powietrze ulatniało się z pękniętego manifoldu.

Lander próbowała uspokoić przerażonego nurka.

-OK, Chrissy, słyszymy cię. Jesteś z powrotem na „Seekerze”. Co się stało?

Tom Packer wręczył Lander duży, plastikowy kubek z wodą. Barb podtrzymała głowę Chrissy'ego lewą ręką, zwracając pilną uwagę na jego oddychanie. Wyglądało na to, że przychodzi mu ono z coraz większym trudem i staje się coraz płytsze.

Lander dostrzegła, że Chrissy zaczyna się odprężać. Wiedziała, że nie tylko potrzebował tlenu, ale także wody, aby jego ciało było odpowiednio nawodnione, a krew mogła skutecznie transportować pęcherzyki azotu do płuc, skąd miały zostać wydalone w procesie oddychania.

—Masz, napij się trochę wody - powiedziała, podając Chrissy'emu kubek do ust.

Chłopiec zaczął łapczywie pić.

Gdy tylko skończył, zaczął krzyczeć, próbując coś przekazać. Jego twarz była śmiertelnie biała, a z ust dobywał się tylko charkot.

Lander próbowała ustalić, co mówi Chrissy i uzyskać informacje, co przydarzyło się Rouse'om pod wodą. Packer pochylił się bliżej, trzymając w ręku ołówek i tabliczkę, by zapisać to, co mówi Chrissy.

Steve McDougall skończył wreszcie swoją dekompresję i wynurzył się przy dziobie „Seekera”. Zaczął płynąć w kierunku rufy, żeby z powrotem wspiąć się na pokład. Podczas gdy Chrissy krzyczał, Chatterton pochylał się nad rufą, wołając do Chrisa, który owinał ręce wokół lewej poręczy drabinki. Chattertonowi wydawało się, że Chris stracił możliwość ruszania rękami. Chatterton zarządził:

-OK, Chrissy jest na pokładzie. Teraz twoja kolej, wejdź po drabince. Chatterton błagał Chrisa, żeby ten szybko wracał na pokład. Odpowiedź Chrisa była ledwie dosłyszalna. Wiedział, że jego dziecko jest bezpieczne na pokładzie łodzi i stracił

wolę walki.

Chris spojrział na Chattertona szklistymi oczami.

-Nie dam rady - powiedział bardzo cicho. Jego ciało bezwładnie unosiło się z ruchem fal w górę i dół drabinki.

Galto pochylając się nad rufą obok Chattertona, uznał, że Chrisowi chodzi o to, że nie da rady wspiąć się po drabince sam. Gatto pochylił się i zawiązał mocno linę wokół manifoldu Chrisa, a potem zapewnił go:

-Jasne, że dasz radę. Trzymam cię. Wciągnę twoją dupę do tej drabince.

Ciało Chrisa zwiotczało. Fala, która kołysała łodzią i drabinką zrzuciła go z powrotem do wody. Gatto trzymał linę przywiązaną do manifoldu Chrisa, by Chris nie zdryfował gdzieś dalej.

McDougall właśnie opływał rufę, gdy ciało Chrisa zwiotczało i Rouse wpadł do wody. McDougall cofnął się i przytrzymał się liny, tak jak wcześniej Chris. Widział, że inni zajmują się Chrisem. Według protokołu nie wolno było się zbliżać do kogoś, kto znajdował się na drabince albo właśnie miał na nią wejść, na wypadek gdyby ta osoba spadła i miała zranić nurka, kto był na tyle głupi, by czekać pod spodem.

McDougall unosił się na falach, rufa „Seekera” pojawiała się w zasięgu jego wzroku, gdy znajdował się na grzbiecie fali i znikwała, gdy opadał w dół. Widział, że nurek na drabince to Chris Rouse, bo poznał go po charakterystycznym kasku, do którego przymocowane było mnóstwo latarek. McDougall widział, że Chris jest w poważnych tarapatkach. Ale gdzie jest Chrissy? Nie wiedział, że Chrissy był już bezpieczny na pokładzie. Serce McDougalla zadrżało, gdy pomyślał, że Chrissy był nadal pod wodą, martwy na skutek jakiegoś wypadku, który skłonił Chrisa do wcześniejszego wynurzenia.

Chatterton był wstrząśnięty, widząc jak ciało Chrisa wiotczeje. Instynktownie wskoczył do wody, a Richie Kohler skoczył za nim. Obaj mężczyźni mieli na sobie tylko zwykłe ubrania. Zimna woda zszokowała ich organizmy, ale napływ adrenaliny zwalczył zimno i pobudził ich do działania. Chatterton natychmiast podniósł głowę Chrisa z wody.

-Umieram - powiedział Chris słabo, ale bardzo spokojnie. - Powiedz Sue, że przepraszam i że ją kocham.

Głowa Chrisa opadła na prawe ramię, ciało stało się zupełnie wiotkie. Jego organizm całkowicie opanowały pęcherzyki azotu. Podczas gdy morze bezlitośnie uderzało falą za falą, życie opuściło ciało Chrisa.

Chatterton i Kohler wiedzieli, że muszą zdjąć z Chrisa jego ciężki sprzęt nurkowy, ale byli zdezorientowani kombinacją węży, latarek, baterii, uprzęży do nurkowania jaskiniowego i reszty sprzętu, w tym z butli i kołowroteków unoszących się na falach. Chatterton chwycił nóż przymocowany do ramienia Chrisa i wyjął go z pochwy. Fale nadal spychały obu mężczyzn na rufę. Kohler chwycił zawór butli Chrisa, utrzymując Chrisa i Chattertona z dala od łodzi. Potężna metalowa drabinka zakołysała się niebezpiecznie blisko całej trójki. Fale unosiły ich w górę i w dół jak na kolejce w wesołym miasteczku.

Gatlo wspiął się na drabinkę, by pełnić rolę ludzkiego zderzaka, chroniąc wszystkich przed uderzeniem o łódź. Krzyknął:

-OK, odetnij sprzęt od Chrisa.

Sięgnął w dół i odepchnął Chattertona od łodzi.

-Przypilnuję, żeby łódź was nie uderzyła.

Chatterton odciął uprząż Chrisa przy ramieniu. Nóż był ostry i szybko przeciął grubą nylonową taśmę. Chatterton zanurkował pod wodę i chwycił pas Chrisa w talii.

Jednym gładkim pociągnięciem rozłączył klamrę. Potem szarpnął za taśmę w kroczu, przymocowaną z przodu do pasa w talii, a z tyłu do noszaka. Uwolnił lewą rękę Chrisa z paska na ramieniu, a potem odepchnął uprząż razem z przymocowanymi do niej butlami i sprzętem, żeby nikogo nie uderzyła. Butle unosiły się na powierzchni utrzymywane przez powietrze w skrzydle. Gatto przywiązał trzymaną w ręce linę do drabinki, żeby butle nie odpłynęły.

Chatterton przerzucił bezwładne ciało Chrisa Rouse przez ramię, tak jak to robią strażacy, i z trudem zaczął się wspinać po drabince. Kohler wszedł na ostatni szczebel drabinki, znajdujący się pod wodą, żeby zapewnić Chattertonowi wsparcie jedną ręką. Kiedy Chatterton doszedł do szczytu drabinki, chwycił się relingu, potem stanął wyprostowany na platformie do pływania i rzucił ciało Chrisa do łodzi. Wylądowało z głuchym łomotem. Chatterton wszedł na rufę z oczami utkwionymi w Chrisie.

Kohler szybko wskoczył po drabince, a potem podpłynął do niej McDougall, żeby się

po niej wspiąć w pełnym sprzeczcie.

Chrissy Rouse nadal leżał na drewnianej platformie, a jego głowa była wsparta na lewej ręce Barb Lander. Potrząsnął głową i znów zaczął krzyczeć, choć jego głos tłumiał automat w ustach. Po chwili wypluł go i krzyknął:

-Coś... coś... spadło na mnie... w środku... we... we... wraku. Byłem... przygnieciony! Pomocy!... Pomocy! -Całe ciało Chrissy'ego leżało bezwładnie, ale gwałtownie potrząsał głową i wzywał pomocy.

Lander spojrzała w powiększone oczy Chrissy'ego. Był tylko o kilka lat starszy od jej syna. Próbowwała nawiązać z nim kontakt wzrokowy, żeby pomóc mu się uspokoić.

Spoglądając głęboko w pełne przerażenia oczy, powiedziała pewnym głosem, próbując przebić się przez jego myśli i skupić na sobie jego uwagę.

-Chrissy! Chrissy! Jesteś na pokładzie „Seekera”. Jesteś na „Seekerze”! Udzielamy ci pomocy! Bądź spokojny!

Pochylony nad Chrisem na pokładzie „Seekera” Chatterton pomyślał przez krótką chwilę o swoich doświadczeniach z Wietnamu, gdzie służył jako polowy sanitariusz w oddziale piechoty. Podczas walki udzielał pomocy wielu rannym jednocześnie - szkolenie i doświadczenie zdobyte w armii natychmiast do niego wróciły.

Zablokował w swoim umyśle krzyki Chrissy'ego, który leżał zaledwie kilka stóp dalej. Chatterton ułożył szybko ciało Chrisa, potem sprawdził puls i oddychanie.

Krzyknął głośno:

-Ofiara ma słabo wyczuwalny puls, nie oddycha. Zaczynam sztuczne oddychanie.

Wezwijcie Straż Przybrzeżną i poproście o natychmiastową ewakuację.

Steve Gatto uklęknął przy ciele Chrisa, gotów asystować przy masażu serca i sztucznym oddychaniu, gdyby serce Chrisa przestało bić.

Kapitan Dan Crowell był już na pokładzie sterówki, przyglądając się temu, co działo się na rufie. Czekał na informacje od Lander, Gatto, Yurgi, Packera albo Chattertona dotyczące stanu któregoś z Rouse'ow. Słyszając oświadczenie Chattertona, Crowell wbiegł do sterówki, chwycił mikrofon radia i zaczął nadawać.

-Mayday, mayday. Tu łódź „Seeker”, wzywam Straż Przybrzeżną. Dwóch nurków w bezpośrednim zagrożeniu życia. Rozpoczęliśmy sztuczne oddychanie u jednego z nich. Prosimy o natychmiastową ewakuację helikopterem. Powtarzam: Mayday.

„Seeker” do Straży Przybrzeżnej. Zagrożenie utraty życia. Prosimy o szybką ewakuację helikopterem. Proszę o potwierdzenie.

Kiedy Crowell rozmawiał przez radio, Chatterton poczuł, że puls Chrisa zamiera. Były wojskowy sanitariusz podawał opis sytuacji, a John Yaruga zapisywał wszystko na tabliczce. Chatterton zaczął masaż serca na zmianę z Gatto, który w regularnych odstępach wdmuchiwał powietrze przez usta Chrisa. Po jednym oddechu następowała seria pięciu ucisków serca, potem jeden oddech i kolejnych pięć ucisków, w męczącym rytuale podtrzymującym życie. Chatterton pracował jako anestezjolog po wyjściu z wojska i zauważył szybkie zmiany zachodzące w ciele Chrisa, spowodowane ogromną liczbą formujących się pęcherzyków. Każdy ucisk serca napotykał na większy i większy opór i Chatterton wiedział, że krew Chrisa zaczyna się blokować. Nawet powietrze wdmuchiwane przez Gatto napotykało opór, chociaż Gatto odchylił głowę Chrisa do tyłu, aby język nie blokował dostępu powietrza. Chatterton pomyślał o intubowaniu Chrisa, ale wiedział, że problem nie polega na przedostaniu się powietrza przez przełyk i krtań - problem tkwił w płucach Chrisa. Wypełniały je teraz pęcherzyki azotu, który podczas nurkowania był absorbowany przy każdym oddechu. Teraz azot wydostał się z tkanek, przedostał do krwiobiegu i z krwią wędrował do płuc, gdzie miał zostać wydalony w procesie oddychania. Ale azotu było zbyt wiele i uformowane pęcherzyki uniemożliwiły organizmowi Chrisa wydalenie ich. Jego krew zmieniła się w spienioną maź. Uciskanie serca nie mogło przywrócić krążenia, więc nawet gdyby płuca mogły wypełnić się powietrzem, nie mogło ono być dostarczone gdzie indziej.

Obaj mężczyźni przeprowadzali już sztuczne oddychanie od dłuższej chwili i Richie Kohler uklękł, żeby zmienić Gatto i asystować Chattertonowi. Między kolejnymi uciskami Chatterton spytał Kohlera:

-Kiedy zrobiłeś kurs sztucznego oddychania?

Minął rok od chwili, gdy Richie Kohler ukończył kurs ratowania życia i jego certyfikat stracił już wartość prawną. Słyszając, że minęła data ważności certyfikatu Kohlera, Chatterton powiedział bez wahania:

-Nie dotykaj Chrisa. Twój certyfikat stracił ważność. Idź i dowiedz się od Chrissy'ego, co się stało. I zapisz to. - Przeprowadzanie sztucznego oddychania bez

ważnego certyfikatu mogło mieć poważne konsekwencje prawne dla Kohlera. Kohler podszedł do Chrissy'ego i gestem poprosił Packera o tabliczkę i ołówek. Packer podszedł do Chattertona i Gatto i zmienił tego ostatniego przy Chrisie. McDougall wspiął się na szczyt drabinki „Seekera” i wszedł na pokład łodzi. Po prawej stronie Chatterton zajmował się Chrisem Rousem. Zawodzenie Chrissy'ego było tłumione przez automat, z którego oddychał tlenem, ale mimo wszystko McDougall wiedział, jak poważna jest sytuacja. Położył butle na pokładzie tak, żeby nie wpadły na Chattertona, Packera i Chrisa Rouse'a. Potem uklęknął, aby pomóc. Chatterton wiedział, że kurs sztucznego oddychania stanowego policjanta musi być aktualny i polecił McDougallowi, by zmienił Packera i pomógł przy reanimacji. Metr dalej, na drewnianej platformie, Chrissy nadal walczył o życie. Jego umysł miał kłopot z oceną sytuacji i chłopiec majaczył jak szaleniec.

-Mój tata... mój tata. Przyszedł... i... wydostał... mnie... byłem... uwięziony... czułem... że to... że... chce mnie zjeść... Skurwiel! Skurwiel! Co za skurwiel! Ten potwór mnie dorwał. Mój... tata... mnie... uratował... nie mogliśmy... nie mogliśmy... Skurwiel... znaleźć butli do deko... Na pomoc! Na pomoc! Potwór mnie dorwał. Gdy Barb Lander, jedyna na pokładzie kobieta, z której Chris wcześniej tego dnia stroił sobie żarty, zajmowała się Chrissym, między krzykami chłopak spytał:

-Jak się czuje mój ojciec?

Lander spojrzała na Chattertona, który wciąż uciskał klatkę piersiową Chrisa. Chatterton zobaczył, że Lander na niego patrzy. Spojrzał na nią z powagą. Potem powoli potrząsnął głową. Wiedział, że mimo wszelkich wysiłków i najszczerzych intencji, Chris zmarł, gdy powiedział „Umieram. Powiedz Sue, że przepraszam i że ją kocham”.

Fala wyczerpania ogarnęła Chattertona. Spojrzał z Lander na Steve'a McDougalla, który nadal był ubrany w swój suchy skafander nurkowy i nadal kontynuował sztuczne oddychanie, próbując wtłoczyć powietrze do płuc Chrisa. Chociaż Chatterton uważał, że Chris już nie żyje, ich obowiązkiem było kontynuowanie procedury i zrobienie wszystkiego, co było w ich mocy, by podtrzymać jego funkcje życiowe, dopóki nie zwolni ich z tego jakiś wyższy autorytet medyczny albo lekarz oficjalnie nie stwierdzi zgonu. Nie mogli zawieść swojego przyjaciela.

-Z twoim tatą wszystko w porządku - zapewniła Chrissy'ego Lander. Po cóż mówić chłopcu, że jego ojciec leży martwy zaledwie kilka kroków dalej? Po co obarczać go dodatkowym ciężarem horroru, świadomością, że jego kłopoty prawdopodobnie zabiły ojca - który przedłużył swój czas nurkowania i zginął próbując ratować syna - teraz, gdy Chrissy musiał walczyć o życie.

Chrissy przez chwilę leżał nieruchomo, ale potem znów zaczął krzyczeć. Narzekał na palący ból, potem na brak czucia, a potem znów na ból. Ani Lander, ani Kohler, Gatto czy ktokolwiek inny nie mogli już nic więcej zrobić. Wtedy właśnie Chrissy zaczął gwałtownie potrząsać głową do przodu i do tyłu i wydał bolesny krzyk:

-Za bardzo boli. PROSZĘ WEŹCIE PISTOLET! ZASTRZELCIE MNIE!
BŁAGAM!

Z pokładu sterówki, kapitan Dan Crowell zawołał:

-OK, Straż Przybrzeżna jest w drodze. Musimy zabezpieczyć wszystko na pokładzie i przygotować się do wyruszenia w drogę. Znacicie procedury!

Kohler, oszołomiony tym, co właśnie zobaczył i usłyszał od Chrissy'ego, podniósł się i stanął koło młodszego Rouse'a, a potem poszedł sprawdzić, czy cały sprzęt jest przywiązany.

Na pokładzie helikoptera ratowniczego Straży Przybrzeżnej, pilot zauważył w oddali „Seekera” i zawiadomił swojego ratownika SAR*, aby był przygotowany. Ratownik skinął głową z powagą. Miał zostać opuszczony na pokład „Seekera” na linie z wyciągarki, aby uniknąć wskakiwania do wody.

W sterówce kapitan Dan Crowell włączył śruby napędowe Seekera i skierował łódź na północny wschód, obierając kurs 320 stopni, pod wiatr wiejący z prędkością 20 węzłów, tak jak mu poleciła Straż Przybrzeżna. Helikopter śledził „Seekera” i unosił się nad rufą łodzi, opuszczając ratownika.

Kiedy ratownik znalazł się na pokładzie „Seekera”, ocenił sytuację na pokładzie rufy. Spojrzał na Chattertona, a potem na szarą twarz Chrisa Rouse'a i jego pozbawione życia oczy. Wskazał na Chrisa i orzekł:

-On nie żyje.

Potem podszedł do Chrissy'ego, który potrząsał głową. Chatterton był zdumiony

*SAR - Służba Poszukiwania i Ratownictwa - przyp. tłum.

ostatecznością tego stwierdzenia. Widział już wcześniej śmierć, zarówno na polu walki, jaki i na pokładzie łodzi nurkowej. Ale miał nadzieję, że ratownik SAR podejmie jakiś wysiłek ratowania Chrisa. Chatterton wiedział, dzięki szkoleniu medycznemu i doświadczeniu nabytemu w wojsku i na polu walki, że ratownik jest tylko człowiekiem i ma ograniczone możliwości. Tak szybkie podejmowanie decyzji nazywa się selekcją rannych. Jest to metoda, która została rozwinięta podczas II wojny światowej podczas leczenia rannych żołnierzy. Według niej najpierw zajmujesz się tymi, którzy z całą pewnością żyją - Chrissy Rouse należał do tej kategorii - i odsuwasz tych, którym nie można już uratować życia, nawet gdyby natychmiast udzielono im pomocy.

Ratownik wyjął z worka, który miał przy pasie, wodoodporne radio i poprosił przez nie, by załoga helikoptera opuściła kosz, aby Chrissy'ego można było zabrać drogą powietrzną do szpitala.

-Założcie kamizelki ratunkowe - warknął ratownik do wszystkich na „Seekerze”. -
Przygotujcie się na zrzucenie kosza!

Wszyscy ruszyli się, żeby zastosować się do polecenia.

Helikopter zbliżył się do „Seekera” i na rozkołysaną łódź został zrzucony metalowy kosz. Wywołane przez helikopter turbulencje spowodowały, że puszkami z napojami gazowymi, papierowe opakowania, torby z preclami, liny i pokrywki od chłodziarek zostały zwiane z zagraconego pokładu, mimo wcześniejszych wysiłków Chattertona i Kohlera, zmierzających do zabezpieczenia tych wszystkich luźnych obiektów. Wodna bryza smagała wszystkim twarze, niezależnie od tego, w którą stronę się odwrócili. Kosz został opuszczony i pozwolono mu dotknąć metalowego relingu „Seekera”, aby rozładować potężny ładunek elektrostatyczny, który mógł poważnie porazić każdego, kto wszedłby w kontakt z koszem przed jego rozproszeniem.

Chrissy Rouse był sparaliżowany od klatki piersiowej w dół i trzeba go było zanieść do kosza. Kiedy go podnoszono, Chatterton pochylił się blisko ratownika SAR, tak by mężczyzna zdołał go usłyszeć ponad warkotem silników „Seekera” i hałasem helikoptera. Chatterton wskazał na Chrisa Rouse.

- Musicie go zabrać.

- Nie możemy ryzykować spuszczenia drugiego kosza dla martwego faceta!

-Jest pan lekarzem? -Nie.

-Więc nie może pan mi powiedzieć z całą pewnością, że on nie żyje! Musicie go zabrać! -NIE!

-Proszę posłuchać, dzieciak myśli, że jego ojciec jeszcze żyje. Powtarzaliśmy mu to po to, żeby się nie poddał. Musi zobaczyć swojego staruszka przy sobie w helikopterze, inaczej domyśli się, że on nie żyje!

Ratownik spojrzał na Chattertona z niedowierzaniem:

- Ma pan pojęcie jak ryzykowne jest opuszczanie kosza? Nie możemy tego zrobić dla martwego gościa!
- Byłem sanitariuszem w wojsku w Wietnamie i sporo wiem o przewożeniu rannych. Nikt tu do ciebie nie strzela! Przestań się wreszcie opieprzać i zabieraj tego faceta z łodzi! JUŻ!

Ratownik SAR wiedział, że tracą cenny czas, który mógł być zużyty na zawieszenie rannego nurka do szpitala. Pływak odwrócił się od Chattertona i powiedział przez radio:

- Prosimy o kolejne opuszczenie kosza.

Kiedy obaj Rouse'owie znaleźli się na pokładzie helikoptera, lina została opuszczona po raz ostatni. Zamiast kosza na końcu miała gruby wyścielany pasek. Ratownik owinał pasek wokół swojego pasa, zabezpieczył go, podszedł do pawęży „Seekera” i wszedł na drewnianą burtę. Spojrzał w górę na obserwatora, uniósł palec wskazujący do góry i zamachał w kółko. Helikopter się podniósł. Kohlerowi, Chattertonowi, Yarudze McDougallowi, Gatto i Packerowi wydawało się, że ratownik SAR zszedł z rufy i zaczął lecieć. Przez chwilę zwisał z helikoptera, jakby leciał w górę, podczas gdy załoga helikoptera wciągała go z powrotem na pokład maszyny.

Gdy Chrissy Rouse odlatywał helikopterem Straży Przybrzeżnej do szpitala i komory hiperbarycznej, ci którzy pozostali na pokładzie Seekera byli fizycznie i mentalnie wykończeni. Jeden z Rouse'ów już nie żył, a drugi znalazł się na krawędzi życia i śmierci, jego przetrwanie wciąż było wątpliwe. Była to największa obawa każdego nurka: że jakieś wydarzenie lub kombinacja wydarzeń na zawsze zmieni ich ukochaną czynność w narzędzie ich śmierci. Na wzburzonym, bezlitosnym morzu, nurkowie z „Seekera” mieli przed sobą długą drogę do domu.

11

Mowa pogrzebowa

12 października 1992. Na pokładzie helikoptera ratunkowego Straży Przybrzeżnej, lecącego w kierunku północno-zachodnim z łodzi nurkowej „Seeker”, znajdującej się 60 mil od wybrzeża New Jersey do Nowego Jorku

Chrissy Rouse nadal walczył o życie, gdy helikopter Straży Przybrzeżnej wioził go w kierunku komory hiperbarycznej. Chrissy nie był świadom tego, że obok leży martwe ciało jego ojca. Według zegarka Chattertona, od momentu, gdy Chris i Chrissy wynurzyli się z wody, do przylotu helikoptera minęła godzina i 27 minut. W tym

czasie pęcherzyki azotu zwiększały swoją objętość w ciałach Rouse'ów. Chociaż helikopter poruszał się z największą prędkością, do jakiej mógł go zmusić pilot, kilka godzin upłynęło od czasu wynurzenia się Chrissy'ego do chwili, gdy znalazł się w komorze hiperbarycznej.

Helikopter skierował się do Szpitala Miejskiego w Bronxie, znanego także jako Centrum Medyczne Jacobi. Glenn Butler, były nurek zawodowy, był kierownikiem ds. bezpieczeństwa na oddziale z komorą hiperbaryczną. Kiedy wieziono Chrissy'go do szpitala, Straż Przybrzeżna poinformowała Butlera o tym, że wiezie dwóch rannych nurków na terapię i podała opis ich objawów. Chociaż Butler nie znał dokładnych szczegółów, miał dość informacji, by stwierdzić, że oba przypadki są bardzo poważne i wynikają ze zlekceważenia dekompresji. Zebrał swoich pracowników, przygotowując się psychicznie na długą i męczącą terapię. Następnie postawił personel w stan pogotowia i czekając na przylot helikoptera zadzwonił do swojego byłego szefa, dr. Billa Hamiltona. Hamilton był ekspertem od fizjologii i członkiem zespołu w Ocean Systems, gdzie Butler i inni nurkowie pełnili rolę królików doświadczalnych w komorze hiperbarycznej, testując nowe mieszanki oddechowe i schematy dekompresji. Lekarz zgodził się dyżurować pod telefonem, na wypadek gdyby potrzebna była jego konsultacja w obu przypadkach choroby dekompresyjnej.

Kiedy helikopter znalazł się na lądowisku w Jacobi, personel medyczny błyskawicznie wwiózł Chrisa i Chrissy'ego na izbę przyjęć, gdzie czekał już zespół medyczny: lekarze, Butler i jego personel. Chris był śmiertelnie blady, jego ciało zeszywniało i nic już nie można było dla niego zrobić. Lekarz oficjalnie stwierdził śmierć Chrisa o 13.48. Zaledwie sześć godzin wcześniej żartował z Barb Lander i innymi nurkami, dokuczając Barb z powodu niezmytych naczyń w zlewie „Seekera”. Teraz nie żył.

Chrissy nadal nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego ojciec zmarł. Nosze, na których leżał Chris Rouse, zostały cicho odwiezione do kostnicy. Gdy pielęgniarki zajmowały się Chrissym, zapisując jego oznaki życiowe, podłączając go do kroplówki i rozcinając jego skafander nurkowy, żeby można go było przebrać w szpitalną koszulę. Butler zapytał chłopca, co się stało. Odpowiedź miała pomóc

zespółowi medycznemu w wymyśleniu najlepszego sposobu ocalenia Chrissy'emu życia.

-Czy nurkowałeś na miksie? - spytał Butler, mając na myśli hel.

-Nie, nie mogliśmy sobie na niego pozwolić - powiedział Chrissy. - Byliśmy strasznie nawaleni. (Chrissy używał slangowego określenia nurków na narkozę).

Chłopiec był sparaliżowany od piersi w dół i prawie nie czuł już bólu. Butler ocenił sposób wyrażania się Chrissy'ego i doszedł do wniosku, że nurek jest w stosunkowo dobrym stanie, biorąc pod uwagę okoliczności, ponieważ nadal był w stanie myśleć wielowymiarowo, wiązać przyczyny i skutki. Było to ważna informacja dla Butlera, ponieważ wskazywała na to, że mózg Chrissy'ego nie został jeszcze opanowany przez pęcherzyki azotu. Ale druga informacja, którą usłyszał Butler, nie była już taka dobra: dwóch nurków, oddychających powietrzem i uwięzionych w U-Boocie, zdołało się uwolnić i opuścić wrak. Potem obaj wynurzyli się bezpośrednio na powierzchnię, ponieważ brakowało im powietrza. Butler był wstrząśnięty. Żadnej dekompresji. Wiedział, że takiej sytuacji można było zapobiec, gdyby na pokładzie łodzi znajdowała się komora hiperbaryczna i gdyby Chrissy'ego natychmiast w niej umieszczono. Ale w obecnej sytuacji, po tak długiej zwłoce, sukces terapii stał pod znakiem zapytania.

Zespół musiał pobrać próbki i poznać wyniki badania krwi Chrissy'ego. Wyniki nie były dobre. Zamiast normalnej krwi, strzykawka zawierała pianę. W organizmie Chrissy'ego znajdowało się tak wiele pęcherzyków, że jego ciało nie mogło się ich pozbyć dostatecznie szybko przez wydychanie. Nie znajdując ujścia, pęcherzyki azotu musowały w krwiobiegu. Krew Chrissy'ego nie mogła dostarczać tlenu do mięśni i praca mózgu ulegała coraz większemu upośledzeniu. Głębokie nurkowanie powoli zabijało Chrissy'ego, ale jednocześnie to właśnie głębokość trzymała go przy życiu. Ponieważ podczas nurkowania znajdował się pod zwiększonym ciśnieniem, absorbowanie tlenu z powietrza, którym oddychał, oraz podanie czystego tlenu po wynurzeniu, przyczyniło się do tego, że gaz ten znajdował się w dużym stężeniu w organizmie Chrissy'ego i to właśnie ten tlen organizm wykorzystywał teraz do przemiany materii.

-Nie mogliśmy usunąć złomu, który znajdował się na naszej drodze. Wszystko było

pokryte osadem, więc nic nie widzieliśmy -Chrissy powiedział Butlerowi. Miał coraz większe kłopoty z oddychaniem. - A potem co jakiś czas widzieliśmy światło na zewnątrz. To było takie mylące. Jakbym śnił albo miał halucynacje. Czułem, jakby wrak chciał mnie schwytać i wciągnąć w głąb. Byliśmy szaleni, nurkując na powietrzu. To przez powietrze, przez powietrze.

- Uważasz, że powietrze było złe? - spytał Butler.

Być może powietrze w butli Chrissy'ego było skażone tlenkiem węgla. Zdarza się to, jeśli kompresor używany do napełniania butli nie ma nałożonego odpowiedniego filtra lub gdy wlot powietrza jest niewłaściwie umiejscowiony, przez co powietrze z kompresora lub innego wewnętrznego silnika spalinowego zostaje zassane do kompresora, a potem do butli. Nawet niewielka ilość tlenku węgla może zabić nurka.

-Nie, nie. Powietrze było dobre. Ale szaleństwem było nurkowanie na ten wrak na powietrzu. Szaleństwem!

Pielęgniarki zajmujące się Chrissym szybko zdjęły z niego strój nurkowy.

Potrzebowały pełnego dostępu do całego ciała nurka, którego nie można było umieścić w komorze w innym materiale niż bawełna, ponieważ ubranie z tkanin syntetycznych mogło wytworzyć ładunek elektrostatyczny, który z kolei mógł wywołać pożar albo eksplozję w środowisku o podwyższonym ciśnieniu. Według Butlera, Chrissy znalazł się w komorze po piętnastu minutach od przywiezienia do szpitala. Butler pracował poza komorą, a lekarz i pielęgniarka zajmowali się Chrissym w komorze. Butler postanowił podawać Chrissy'emu czysty tlen i umieścić go pod ciśnieniem odpowiadającym głębokości 18 metrów, by zobaczyć, jak nurek zareaguje na tę terapię. Podwyższone ciśnienie miało spowodować zmniejszenie pęcherzyków azotu w organizmie, a nawet zmusić część azotu do ponownego rozpuszczenia się w krwi, mięśniach i tkankach. Miało też spowodować rozpuszczenie w krwiobiegu czystego tlenu, który następnie dotarłby do tkanek. Kiedy Chrissy znalazł się pod działaniem tego ciśnienia, krzyknął z bólu, co było typową reakcją na tym etapie terapii, ponieważ do ciała nurka wracało krążenie, w miarę jak pęcherzyki azotu zmniejszały swoją objętość. Uczucie to przypominało drobne igiełki, odczuwane gdy krążenie wraca do ręki albo nogi, po tym jak ścierpła, było jednak intensywniejsze.

Chociaż ból nurka cierpiącego na chorobę ciśnieniową może być trudny do zniesienia, jest ważnym wskaźnikiem dla personelu medycznego, że terapia przebiega dobrze. Po raz pierwszy Butler nabrał nadziei, że chłopiec może przeżyć. Po kilku minutach na głębokości 18 metrów zespół zdecydował się poddać Chrissy'ego ciśnieniu odpowiadającemu 50 metrów. Zgodnie z teorią głębokość ta powinna zredukować rozmiar pęcherzyków azotu do nieco mniej niż połowy ich pierwotnej wielkości. Butler przekręcił kurki, pozwalając by sprężone powietrze wpłynęło do komory i obserwował manometry, których wskaźniki wskazały ciśnienie panujące na 50 metrów.

Scenariusz, który rozegrał się podczas następnych kilku godzin, był wielokrotnie analizowany przez G;enna Butlera z tyloma ekspertami od komór hiperbarycznych, ilu udało mu się znaleźć. Wszyscy udzielili Butlerowi tej samej odpowiedzi: ponieważ Chrissy nurkował na głębokości 70 metrów, a potem został poddany ciśnieniu panującemu na 50 metrów, wielkość pęcherzyków została tylko odrobinę zmniejszona. Tylko poddanie nurka naprawdę ekstremalnej dekompresji - ciśnieniu panującemu na głębokości 90-120 metrów - i długie, intensywne leczenie oraz całkowita transfuzja krwi mogły skutecznie wyeliminować azot z organizmu Chrissy'ego.

Ale technologia medyczna ma swoje ograniczenia i do nich należy między innymi zakres ciśnienia, jakie można zastosować w komorze hiperbarycznej. Stworzenie zbyt wysokiego ciśnienia w komorze spowodowałoby wysadzenie jej plomb, co wywołałoby wybuchową dekompresję u Chrissy'ego i opiekującego się nim personelu medycznego -ze skutkiem śmiertelnym. Na świecie istniała niewielka liczba komór zdolnych sprowadzić nurka na głębokość większą niż 50 metrów, ale jednostka z centrum Jacobi nie była jedną z nich. Nawet gdyby komora z Jacobi była w stanie umieścić Chrissy'ego pod ciśnieniem z głębokości przekraczającej 50 metrów, taka terapia byłaby całkowicie eksperymentalna. Zespół postępował według opublikowanego protokołu leczenia nurków. Komory, które mogły zabrać nurków na ciśnienie panujące na większej głębokości, zostały skonstruowane specjalnie dla marynarki, komercyjnych przedsiębiorstw nurkowych i naukowców. Nurkowie sportowi nie mieli do nich bezpośredniego dostępu. Najbardziej zaawansowana pod

względem technicznym komora należała do Eksperymentalnej Jednostki Nurkowej w US Navy w Panama City na Florydzie. Butler wiedział, że nawet oni mieliby mnóstwo trudności z leczeniem nurka, który tak długo poddany był niszczącemu działaniu choroby dekompresyjnej. Poza tym Chrissy prawdopodobnie nigdy nie przeżyłby transportu lotniczego na Florydę. Dla Chrissy'ego jedynym ratunkiem była komora w Jacobi.

O 2.30 po południu, odzyskał czucie w dolnych partiach ciała i zaczął nimi poruszać.

-Gdzie jest mój ojciec?-spytał, krzywiąc się z bólu.

-Przechodzi terapię w innej komorze - skłamał lekarz. Młody człowiek potrzebował siły, by walczyć z chorobą dekompresyjną. Gdyby Chrissy dowiedział się, że jego ojciec nie żyje, prawdopodobnie ogarnęłaby go taka rozpacz, że straciłby chęć do dalszej walki.

Ból Chrissy'ego był nie do zniesienia. Krzyczał. Gdy krew zaczęła krążyć w jego ciele, budząc jego zmysły, krzyczał jeszcze głośniejsze. Dla Butlera i jego zespołu okropne krzyki Chrissy'ego były bardzo bolesne, jakby komora lecznicza została zmieniona w średniowieczne narzędzie tortur. Butler zarządził, aby urządzenia do komunikacji znajdujące się nad głowami personelu medycznego zostały wyłączone, wszyscy przerwali się na słuchawki. Inaczej nie mogli tego znieść.

Straż Przybrzeżna skontaktowała się z Sue Rouse i poinformowała ją o tym, że jej mąż i syn mieli wypadek podczas nurkowania i przebywają teraz w szpitalu. Nic więcej jej nie powiedziano o ich stanie. Podczas trzygodzinnej podróży z Dennym i Eleanor Willsami przez Pensylwanię i północne New Jersey do szpitala, sądziła, że połączy się z ukochanymi - wprowadzie rannymi, ale żywymi. Zawsze obawiała się, że coś takiego się stanie. Ale Chris i Chrissy byli mocni, zdrowi i pełni życia. Mogli pokonać chorobę dekompresyjną albo coś innego, co ich osaczyło. Musieli żyć.

Gdy Sue Rouse jechała do szpitala, zmniejszono ciśnienie wywierane na ciało Chrissy'ego zgodnie z tabelą dekompresyjną A6 US Navy, w ramach terapii, którą ja przeszedłem z powodzeniem rok wcześniej. Po pięciu i pół godzinach pobytu w komorze ciśnienie zmniejszono z wartości odpowiadającej 50 metrom na 18 metrów. Chrissy oddychał teraz czystym tlenem, a ciśnienie zostało stopniowo obniżone do wartości panującej na dziewięciu metrach. Zespół zauważył jednak, że Chrissy nie

reaguje zbyt dobrze na zmniejszone ciśnienie. Młody człowiek przestał krzyczeć i leżał cicho na noszach. Stracił przytomność. Zespół zdecydował się ponownie obniżyć ciśnienie do wartości panującej na 18 metrach. Ale nim wprowadzono ten zamysł w życie, mocne, młode serce zawiodło Chrissy'ego. Sztuczne oddychanie nie zdołało przywrócić go do życia. Jego śmierć stwierdzono o 19.50.

Sue dotarła do szpitala zaledwie w chwilę po tym, jak Chrissy zmarł. Kiedy weszła na izbę przyjęć, powiedziano jej, że mąż i syn nie żyją. Sue zupełnie się tego nie spodziewała. Gdy Denny i Eleanor pocieszali Sue, lekarz poinformował ich, że ktoś musi zidentyfikować zwłoki. Przez łzy Sue wyszeptała:

-Ja to zrobię. Dajcie mi ich zobaczyć.

- Nie powinnaś tego robić, Sue - powiedział Denny. - Pozwól, żebyśmy sami się tym zajęli.

Chociaż zidentyfikowanie zwłok przyjaciół byłoby dla niego bardzo trudne, wiedział, że dla Sue byłoby znacznie gorsze. Denny był instruktorem nurkowania i swoje zainteresowanie nurkowaniem jaskiniowym zawdzięczał entuzjastom Rouse'ów dla tego sportu oraz ich namowie, by pojechał do Ginnie Springs i zapisał się na kurs. Po swojej pierwszej podróży Denny zaraził się pasją nurkowania w jaskiniach, energią Rouse'ów i błazeńskim humorem.

-Nie, Denny. Muszę ich zobaczyć.

Ciało Chrissy'ego wywieziono z komory hiperbarycznej i leżało teraz na noszach, na izbie przyjęć, osłonięte zasłonami. Kiedy Sue podeszła do syna, wydawało się jej, że tylko śpi. Wysunęła rękę i delikatnie go dotknęła. Był wciąż ciepły. Chociaż Sue stała porażona cierpieniem, miała ochotę chwycić Chrissy'ego, wstrząsnąć nim i zawołać:

-Już tu jestem, Chrissy. Już jestem. Już wszystko w porządku. Obudź się! Pamiętała okres, kiedy była z Chrissym w ciąży, świeżo po ślubie. Sue i Chris oglądali w telewizji film zatytułowany „Angel in my pocket” („Anioł w mojej kieszeni”).

Podczas filmu Chris wyciągnął rękę i delikatnie pomasaował brzuch Sue.

-Masz anioła w swojej kieszeni - powiedział. Teraz jej anioł odszedł. Ciało jej męża zostało już zabrane do kostnicy w Bronxie. Denny po raz kolejny zaproponował Sue, że oszczędzi jej tego przeżycia, ale kobieta ponownie odmówiła. Kostnica była już zamknięta i musieli wrócić do Nowego Jorku następnego dnia, by skończyć ponure

zadanie.

Sue straciła w mężu najlepszego przyjaciela, kogoś, z kim dorastała, kogo znała od szkoły średniej, zanim jeszcze zaczęło się jej dorosłe życie. Chociaż wielu ludzi postrzegało Rouse'ów jako pogrążonych w nieustannej kłótni, Sue sądziła, że to po prostu ich sposób komunikowania się. Taki mieli styl interakcji, tak przywykli się do siebie odnosić w trakcie ich dobrze scementowanego, długiego związku. Wiedziała, że Chris bardzo ją kochał i zrobiłby dla niej wszystko, łącznie z wybudowaniem domu własnymi rękami, przedłożeniem jej marzeń ponad swoje własne i zrezygnowaniem z kupna upragnionego samolotu. Zamiłowanie do ciężkiej pracy czyniło z niego doskonałego żywiciela rodziny. Chris często wybierał się na nurkowanie, ale też zawsze uwzględniał w swoich planach rodzinę, jeśli tylko mogła mu ona towarzyszyć. Sue uważała, że jako ojciec i mąż Chris był o wiele lepszy od większości mężczyzn, którzy byli ciągle nieobecni w domu, spędzając swój wolny czas z kumplami albo w barze. Z Chrissy przeżyła różne wyzwania związane z macierzyństwem, którego nie spodziewała się na tak wczesnym etapie swojego życia, ale któremu mimo wszystko podołała.

Jednym z pytań, które nurkowie zadają sobie po dziś dzień, jest: czy Rouse'owie zdołaliby się uratować, gdyby oddychali trimixem, który zapewniłby im jaśniejsze umysły na dużej głębokości. Oświadczenie, jakie Chrissy złożył w obecności Butlera wskazywało na to, że był uwięziony wewnątrz U-Boota i że wysiłek, jaki musiał podjąć, aby wydostać się na zewnątrz, spowodował halucynacje. Butler zrozumiał wówczas, że problem Chrissy'ego polegał na przetrwaniu w czasie pobytu na dużej głębokości i oddychając powietrzem. Niektórzy nurkowie uważają, że hel pomógłby ojcu i synowi przeżyć. Argumentują, że gdyby Chrissy oddychał trimixem, do użycia którego został przeszkolony i w stosowaniu którego miał rozległe doświadczenie, jego umysł nie zostałby zmacony jak wewnątrz wraku. Istnieje prawdopodobieństwo, że zdołałby się sam uwolnić. W takim przypadku Chrissy wydostałby się z wraku bez pomocy ojca, który nie wszedłby do środka, nie musiał go wydostać i obaj mężczyźni mogliby znaleźć dodatkowe butle na pokładzie U-Boota, po czym przeprowadzić pełną dekompresję. Byliby przestraszeni i poirytowani, ale przetrwaliby bez uszczerbku.

Część nurków jest innego zdania, wskazując na to, że choć trimix zapewniłby Chrissy'emu jaśniejszy umysł, nie gwarantował możliwości wydostania się. Gdyby Chris musiał zdjąć regał, a obaj Rouse'owie oddychaliby w tym czasie trimixem, zużyliby swój zapas gazu w znacznie szybszym tempie, ponieważ trimix jest lżejszy niż sprężone powietrze i stawia mniejszy opór przy oddychaniu. Dyszeliby z wyczerpania, a gaz mógłby im się skończyć jeszcze wewnątrz wraku i równie dobrze mogliby w nim utonąć. Poza tym, gdyby wynurzyli się, nie odbywszy uprzednio dekompresji, po tym jak oddychali trimixem na głębokości 70 metrów, hel, który ma mniejszą masę cząsteczkową, przyjąłby w ich ciałach postać pęcherzyków jeszcze szybciej niż azot i prawdopodobnie zmarliby jeszcze wcześniej.

W rzeczywistości jednak Chrissy przeżył jeszcze 3 godziny, dotarł do komory hiperbarycznej, w której symptomy choroby dekompresyjnej zaczęły nawet ustępować: podczas pięciu godzin terapii. Odzyskał czucie w nogach, a paraliż od piersi w dół ustąpił - Chrissy był w stanie poruszać nogami i biodrami. Dlaczego więc umarł w komorze hiperbarycznej? Czy można było zaaplikować lepszą terapię? Albo jakieś leki? Smutną prawdę ujawniła autopsja. Gdy lekarze usunęli serce Chrissy'ego i otworzyli je pod wodą, z komór serca wydostała się piana, nie krew. W ciele chłopca znajdowało się po prostu zbyt wiele pęcherzyków azotu, które organizm musiał wydalić nim w sercu utworzyła się piana.

Według opisu dr. Billa Hamiltona, serce Chrissy'ego zostało zapowietrzone. Hamilton wyjaśnia to w następujący sposób:

-Serce jest pompą zaprojektowaną, by tłoczyć płyny. Tak jak w przypadku każdej innej pompy, jeśli do organizmu przedostanie się powietrze, pompa spręża w kółko gaz i nic się nie dzieje: nie może funkcjonować. To właśnie przydarzyło się Chrissy'emu.

Ale czy była jakaś inna terapia, którą można było zaaplikować Chrissy'emu?

Hamilton chwilę się zastanawia przed udzieleniem odpowiedzi.

- Dużo o tym myślałem. Teoretycznie można go było umieścić pod dużo wyższym ciśnieniem, być może nawet użyć helu do dekompresji. Ale w rzeczywistości jest tak niewiele komór hiperbarycznych na świecie i tak mało obsługujących je techników i lekarzy, którzy poradziliby sobie z terapią dekompresyjną na dużej głębokości i z

helem - nawet dziś, nie wspominając o 1992 roku - że nie.

nie sędzę, aby to było możliwe. Chyba, że cała procedura byłaby zaplanowana z wyprzedzeniem. Realistycznie rzecz biorąc, w tych okolicznościach nie można było zrobić nic innego, by go ocalić. Zarówno Chrissy, jak i jego ojciec byli martwi już w chwili, gdy wynurzali -się na powierzchnię. Jedyne, co mnie zaskoczyło, to, że Chris umarł tak szybko i że Chrissy żył tak długo.

Jest to lekcja dla wszystkich nurków, którzy dziś nurkują o wiele głębiej niż Rouse'owie kiedykolwiek zdołali i którzy ponoszą większe ryzyko. Ale nawet dziś zdarzają się wypadki i wtedy, gdy nurkowie używają mieszanek, i wtedy, gdy nurkują na powietrzu. Śmiertelne wypadki zdarzają się na głębokich i na płytkich wodach. Woda jest nadal obcym, pozbawionym litości światem, podobnie jak tysiące lat temu, gdy ludzie postanowili zbadać głębiny, najpierw z ciekawości, a potem z chciwości. Tym, co mogło ocalić Rouse'ów, nawet po tym wszystkim, co im się przydarzyło, był podwodny sprzęt komunikacyjny, który umożliwiłby im nawiązanie kontaktu z ludźmi na powierzchni, a także ze Stevem McDougalem, który odbywał dekompresję w pobliżu wynurzających się Rouse'ów. Gdyby mogli dać znać załodze i przyjaciółom, co się dzieje, opuszczono by dla nich dodatkowe butle. Wtedy, niezależnie od tego, co przytrafiło im się w U-Boocie, mogliby poddać się dekompresji w wodzie i uniknąć nagromadzenia się pęcherzyków, które spowodowały ich śmierć. Niestety, zginęli samotni, w głębi.

Wiadomość o katastrofie jak tajfun przetoczyła się przez społeczność nurkową jeszcze przed oficjalnym stwierdzeniem zgonu Chrisa i Chrissy'ego. Komunikat alarmowy nadany przez kapitana „Seekera”, Dana Crowella, drogą radiową do Straży Przybrzeżnej oraz komunikaty radiowe wymieniane między helikopterem i „Seekerem” zostały wychwycone przez kapitanów innych łodzi znajdujących się na tym obszarze. Kiedy „Seeker” wrócił do portu, nurkowie z innych łodzi nurkowych, które wróciły do portu wcześniej, ustawili się wyczekująco na pomoście i złożyli swoje kondolencje i oferty pomocy nurkom na pokładzie „Seekera”.

Kiedy „Seeker” przybił do portu i zakotwiczył, Barb Lander, John Chatterton, Steve McDougall, John Yaruga, Steve Gatto, Tom Packer, Richie Kohler i Dan Crowell nie mogli się ruszyć z łodzi. Byli w szoku. Zamiast zwykłej, niemal festiwalowej

atmosfery, która towarzyszy udanemu zakończeniu wyprawy, nastroje były poważne, a wszyscy wyciszeni, pogrążeni w myślach. Choć wielu z nich widziało już wcześniej śmierć - na łodzi, na polu bitwy, w czasie pracy policjanta - świadomość, że katastrofa zabrała im jednocześnie dwóch przyjaciół była porażająca.

Na trawniku przed domem Tima Stumpfa w Horsham w Pensylwanii, gdzie Chrissy przebywał od czasu do czasu, gdy miał dość pieniędzy, by mieszkać z dala od rodziców, zaczął się zbierać mały tłum mężczyzn i kobiet szukających pocieszenia. Teraz trzech ich najlepszych przyjaciół, włączając Eda Sollnera, który również należał do paczki Tima, zginęło w ciągu czterech miesięcy. Każdy, kto tej nocy znalazł się na trawniku przed domem Stumpfa, myślał o własnym nurkowaniu i wielu postanowiło położyć kres marzeniom o głębokim nurkowaniu, zdobywaniu artefaktów, odkrywaniu nowych form życia.

Dziewczyna Chrissy'ego, Julia, wzięła udział w spontanicznym spotkaniu. Romans z Chrissym wziął ją z zaskoczenia: była to więź, której oboje przez dłuższy czas unikali, zanim poddali się wzajemnemu zauroczeniu i zaczęli regularnie spotykać. Romans rozkwitł w tak swobodny i satysfakcjonujący związek, że mogło się zdawać, że byli razem zawsze. Stworzyli więź tak silną, jak ta między rodzicami Chrissy'ego. Julia mogła już tylko wspominać, jak wrażliwy był wobec niej Chrissy, jak wiele jej dawał, nigdy nie pospieszał ani nie naciskał na rozwój tego związku jak inni młodzi mężczyźni. Podejście Chrissy'ego Julia uznała za coś świeżego, jego postępowanie było tak bezpośrednie i kojące jak pasat wiejący nad urodzajną wyspą. Jak to możliwe, że jej doskonały związek skończył się w ten sposób? Chciała wierzyć, że śmierć Chrissy'ego jest koszmarem, z którego może się obudzić i o którym może mu opowiedzieć. Ale koszmar wciąż trwał, a ona się nie budziła. Pocieszała się myślą, że nie lekceważyła nigdy związku z Chrissym, że wiedziała, jak był szczególny, chociaż nigdy nie przyznała się przed sobą, że głębia może jej go odebrać. Sądziła, że umiejętności Chrissy'ego były zbyt duże, by cokolwiek złego przytrafiło mu się pod wodą.

Stary poobijany samochód Chrissy'ego stał na podjeździe Tima. Ktoś musiał go odwieźć pod dom Sue Rouse. Julia sama postanowiła go zwrócić, jakby przebywanie w samochodzie mogło ją znów jakoś przybliżyć do Chrissy'ego. Kiedy jechała do

domu Sue, słuchała ulubionej piosenki Chrissy'ego „Even Flow” w wykonaniu Pearl Jam. Miała trudności z obserwowaniem drogi, jakby nad samochodem zawisła ciemna chmura, wylewając łzy na przednią szybę. Kiedy Julia dojechała do domu Sue, była zdziwiona, że nie zjechała z drogi i nie rozbiła samochodu, jak to kilka razy przytrafiło się Chrissy'emu.

Rouse'owie zginęli w weekend, na który przypadał Dzień Kolumba - ten sam świąteczny weekend, podczas którego ja sam omal nie zginąłem rok wcześniej. O ich śmierci dowiedziałem się w pracy, podczas szkolenia z sieci komputerowych, w którym uczestniczyłem, aby podwyższyć swoje kwalifikacje. Podczas przerwy zadzwoniłem do Ginnie Springs do Steve'a Bermana w sprawie naprawy jakiegoś sprzętu. Kobieta, która odebrała telefon, była rozkojarzona. Kiedy spytałem ją, co się stało, odpowiedziała zapłakana:

- Nie wiesz? Straciliśmy Chrisa i Chrissy'ego. Oświadczenie to nie dotarło do mnie, dopóki nie podała mi ogólnej relacji z wypadku Rouse'ów.

Dlaczego ja przeżyłem swój wypadek, a oni nie? Chociaż nurkowali głębiej o 24 metry, ja byłem pod wodą dłużej. Czy pamiętali nasze liczne dyskusje o wyborze, którego musiałem dokonać z powodu głupiej decyzji o przeprowadzeniu długiego nurkowania, przekraczającego moje możliwości psychiczne i fizyczne albo bezpośrednio wynurzenie się na powierzchnię bez dekompresji, albo utonięcie? Pamiętam słowa Chrisa, które padły, gdy mu powiedziałem o wyborach, których musiałem dokonać pod wodą, i o moim założeniu, że gdy tylko się wynurzę, trafię do komory hiperbarycznej i wszystko będzie dobrze. Chris odpowiedział wtedy:

-Wolałbym zaryzykować komorę niż utonąć.

Byłem przytłoczony i chciałem zrozumieć, dlaczego ja przeżyłem, a oni nie.

Wydawało mi się, że moje przetrwanie było całkowicie przypadkowe i nie było żadnego powodu, dla którego oni nie mogliby przeżyć. Jeden człowiek żyje, drugi umiera. Był to bolesny przykład niesprawiedliwości świata.

Parking przy Domu Pogrzebowym Shelly był zapełniony, a samochody zaparkowano wzdłuż całej wiejskiej drogi w Warrington w Pensylwanii. Gdy Kevin O'Brien zaparkował swój samochód, odwrócił się do mnie i spytał:

- Jesteś gotów? Masz jakieś notatki albo coś?

- Gotów? Jak można się w ogóle przygotować do czegoś takiego? - odparłem. -
Czytasz o ludziach ginących w wypadkach nurkowych albo słyszysz o tym, ale to
nigdy nie jest ktoś, kogo naprawdę dobrze znasz, prawda? To zawsze ktoś inny,
ktoś, kogo znasz słabo albo z kim nurkowałeś kilkakrotnie, ale się nie
zaprzyjaźniliście. Śmierć nie może się przytrafić twoim przyjaciołom.

Czułem jak emocje ściskają mnie za gardło i zacząłem się zastanawiać, jak w ogóle
zdołam wygłosić mowę pogrzebową.

- Potrzebujesz więcej czasu?

- Nie. To tylko wszystko pogorszy. Wiem, co mam powiedzieć. Miejmy to już za
sobą.

Gdy Kevin, Diana i ja weszliśmy do kaplicy pogrzebowej, czułem się, jakbym był we
śnie, jakbym wchodził do jakiegoś wraku, na który przypadkowo się natknąłem. Czy
w tych dwóch urnach, stojących na stole obok zdjęć moich przyjaciół, naprawdę
znajdowały się szczątki moich przyjaciół? Część artefaktów wydobytych przez
Rouse'ów leżała wystawiona na stoliku obok ich licencji i książek nurkowych, które
teraz wyglądały dziwnie, jak artefakty w muzeum. Dom był pełen ludzi i ci, którzy
nie przyszli odpowiednio wcześniej, musieli teraz stać ciasno koło siebie.

Cathie Cush pomogła Sue w organizacji pogrzebu i poprosiła kilka osób o
wygłoszenie mów pogrzebowych. Poza miejscowymi nurkami przyjechali również
Marc Eyring z Florydy i John Reekie z Kanady, pragnąc pożegnać przyjaciół. Steve
Berman był zauważalnie nieobecny. Zastanawiałem się, dlaczego. Wiedziałem, że
Berman nie lubił dużych spotkań towarzyskich, ale przecież z pewnością pożegnałby
ludzi, z którymi tak blisko się przyjaźnił. Nieobecność Steve'a rozczarowała mnie.
Nie rozumiałem powodów jego absencji jeszcze przez kilka następnych lat. Ból
Bermana po stracie Chrisa i Chrissy'ego był tak wielki, że nie mógł się zdobyć na
przyjście na pogrzeb. Tego dnia w swoim domu w Ginnie Springs na Florydzie
Berman odrętwiały wspominał liczne okazje, gdy Rouse'owie przyjeżdżali z wizytą i
oglądał pamiątki po nich. Miedzy łzami smutku po stracie przyjaciół, a śmiechem
nad pamiątkami, które po nich zostały, Berman cierpiał prywatnie, ale głęboko.
Berman nadal widział, jak trójka Rouse'ów wpada późnym popołudniem do sklepu
nurkowego w Ginnie Springs po długim nurkowaniu. Chris był w kompletnym

nieładzie, podczas tygodniowego obozowania w Ginnie Springs wcale się nie golił i zupełnie nie zależało mu na tym, jak wygląda nad wodą. Miał na sobie tylko parę zdartych adidasów i brudny ocieplacz spod skafandra, który wyglądał jak kombinezon narciarski. Nie zwracał uwagi na charakterystyczny odór, który się z niego wydzielał po tygodniu ciągłego użytkowania. Chrissy wyglądał bardzo podobnie do ojca, nieogolony i tak samo ubrany - obaj mężczyźni byli ubrani w swoje kostiumy superbohaterów. Chrissy chodził po sklepie nurkowym jak młody lew uwięziony w klatce, poganiając ojca, by jak najszybciej skończyli swoje sprawy i mogli przeprowadzić kolejne nurkowanie tego dnia. Według Steve'a, Sue wyglądała na wyczerpaną, gotową zasnąć na stojąco i myśl o kolejnym nurkowaniu całkowicie ją wykańczała.

Chris zwrócił się do swojej wymęczonej żony i powiedział:

- Zabieram was dziś na kolację - Sue podniosła głowę, wyraźnie zachwycona tym, że wreszcie zje coś przyzwoitego. Gdy przebywali w Ginnie Springs, Sue nie gotowała. Jak powtarzała Chrisowi i Chrissy'emu, to były również jej wakacje. Obaj zapaleni nurkowie nie mieli nic przeciwko temu, obydwu bardzo smakowały pakowane kanapki znajdujące się w ofercie Ginnie Springs.
- Ja stawiam. Nie będę na was oszczędzał - Chris podszedł do olbrzymiej lodówki w sklepie, przesunął szklane drzwi, sięgnął do środka, wyciągnął kanapkę i rzucił ją w stronę Chrissy'ego.
- Hej, Chrissy, łap. Dla ciebie kanapka z serem i szynką. Tak jest, mój panie, ja stawiam. Co ci będę żałował. Na mój rachunek, Steve!

Steve Berman wybuchnął śmiechem podobnie jak reszta personelu w Ginnie Springs. Było jasne, że Chrissy i Chris chcieli zjeść jak najszybciej, żeby znów znaleźć się w wodzie i nurkować najprawdopodobniej do północy. Sue jęknęła na myśl o kolejnym nurkowaniu.

Chris odwrócił się do żony.

- A na co tym masz ochotę, Sue?
- Na cielęcinę po parmeńsku - odpowiedziała.

Był to jej sposób na dokuczenie Chrisowi, zemsta za rozczarowanie, którego Sue doznała z jego winy. Para poznała się w szkole średniej, kiedy oboje pracowali w

knajpie, ona była kelnerką, a on przygotowywał posiłki. Codziennie po szkole Chris miał prawo do jednego dania, w ramach wynagrodzenia, ale mógł wybierać tylko z pewnej części menu. Jedyną rzeczą jaką lubił w tej sekcji była cielęcina po parmeńsku i jadł ją każdego dnia. Wkrótce znudził mu się ten posiłek i gdy skończył pracować w tej knajpie nigdy więcej nie wziął go do usi. Sue wiedziała, że zawsze może mu zagrozić, że zrobi cielęcinę po parmeńsku, gdyby narzekał na jej kuchnię albo gdyby próbował wymigać się od obiecanego wyjścia do restauracji.

W domu pogrzebowym Denny McLaughlin był przerażony perspektywą rozmowy z Sue. McLaughlin był pierwszym instruktorem nurkowania Chrisa i Chrissy'ego i teraz czuł się odpowiedzialny za ich śmierć, mimo że Rouse'owie wyraźnie i z pełną premedytacją odeszli od tego, czego ich uczył - nurkowali poza limity nurkowania rekreacyjnego wynoszące 39 metro, przeprowadzali nurkowanie wymagające dekompresji, penetrowali jaskinie i wraki. Denny McLaughlin wiedział, że Rouse'owie podejmują znacznie większe ryzyko niż nurkowie rekreacyjni i wiedział dzięki wielu rozmowom, jakie przeprowadził z nimi w ciągu ostatnich czterech lat, że zdawali sobie sprawę z tego, że ich nurkowanie dalekie jest od tego, co agencje szkoleniowe uznawały za bezpieczne. Obserwując Rouse'ów w kamieniołomie zauważył, że ich umiejętności są ponadprzeciętne. Był dumny z tego, że zapewnił Chrisowi i Chrissy'emu solidne szkolenie na początku ich kariery, które umożliwiło im rozwój w sporcie i prześcigniecie jego własnych umiejętności i ograniczeń. Był to klasyczny przykład ucznia przerastającego mistrza. Wszystko to jednak w żaden sposób nie ułatwiało mu rozmowy z Sue.

McLaughlin wciąż się zastanawiał, czy jest cokolwiek, co on, jako instruktor i dobry przyjaciel, mógł zrobić albo powiedzieć, aby nie doszło do tragedii Rouse'ów.

Wiedział, że ocalenie Rouse'ów nie leżało w jego mocy, jednak czuł, że w jakiś sposób zawiódł swoich uczniów. Podszedł do Sue z nisko spuszczoną głową i patrząc na jej stopy złożył kondolencje. Nie potrafił spojrzeć Sue w oczy.

Sue zobaczyła, że jej przyjaciel jest rozkojarzony i delikatnie trąciła go w ramię.
-Rozchmurz się, Denny - nakazała mu.

Denny spojrzał w oczy kobiety, która straciła męża i syna. Zamiast złości i oskarżającego spojrzenia, których oczekiwał, zobaczył opanowaną przyjaciółkę.

Denny poczuł jakby mówiła mu: „To nie twoja wina. Pogódź się z tym”. Brzemie winy, które czuł na swoich barkach, zostało z nich zabrane.

Pojawiła się wiadomość, że uroczystości pogrzebowe mają się właśnie zacząć i tłum zebrał się w głównym pomieszczeniu. Ksiądz zmówił modlitwę za Rouse'ów, a potem wstała Cathie Cush, żeby zabrać głos.

-Kilka lat temu ludzie zaczęli do mnie przychodzić i mówić „Czy poznałaś Rouse'ów? Musisz poznać Rouse'ów. Nurkują tak jak ty. Pokochasz Rouse'ów. Cóż, poznałam ich - mówiła dalej Cathie - ale nie nurkowali tak jak ja. Prawda jest taka, że cała trójka mogła nurkować kółkami wokół mnie z płetwami zawiązanymi z tyłu. I kiedy myślimy o tym strasznym wydarzeniu, które miało miejsce w poniedziałek, powinniśmy zachować pokorę, ponieważ większość z nas nie ma umiejętności, dyscypliny ani opanowania, które mieli Chris i Junior. Kiedy ludzie mówili, że pokocham Rouse'ów, mieli całkowitą rację. Nie z powodu ich umiejętności nurkowych, ale ponieważ Rouse'owie należeli do najbardziej kochających, hojnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam. Czy potrzebowałeś zapasowego o-ringa czy ramienia, na którym mogłeś się wypłakać, zawsze mogłeś na nich liczyć. Bardzo na nich polegałam, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich miesięcy. I teraz nadszedł czas, by oddać trochę tego oparcia Sue, ponieważ ona potrzebuje teraz tyle wsparcia, ile jesteśmy jej w stanie zapewnić.

Świat jest dziś trochę bardziej cichy - mówiła dalej Cathie - i to jest tragiczne. Ale byłoby jeszcze większą tragedią, gdybyśmy nigdy nie usłyszeli tych historii, teorii, nigdy nie dzielili z nimi śmiechu, nigdy nie stali się częścią wspaniałej energii generowanej przez Chrisa i Juniora. Wiem, że będzie mi brakowało ich obu bardziej niż mogą to wyrazić słowa, ale moje życie jest bogatsze dzięki temu, że ich znałam. Cathie zeszła z podium. Steve Gatto, który był na pokładzie łodzi, gdy Rouse'owie nurkowali po raz ostatni, stał na tyłach sali, myśląc o ogromnej liczbie nurkowań, jakie przeprowadzili Rouse'owie w ciągu tych czterech lat i poziomie kompetencji, który udało im się osiągnąć w tak krótkim czasie. Podczas gdy wielu innych nurków i nie-nurków uważało, że Rouse'owie posunęli się za daleko, za szybko, Gatto wiedział, że zasłużyli na swoje miejsca w najpoważniejszych wyprawach. Wiedział z własnego doświadczenia, że to, co się liczy, to nie jak długo ktoś nurkuje, ale czego

dokonał w tym czasie. A potem zadrzał na myśl o tym, co inni ludzie mogliby powiedzieć, gdyby on sam zginął w dziwnym wypadku - a tak klasyfikował śmierć Rouse'ów - podczas swojego pierwszego nurkowania na „Andrea Dorię”, w swoim trzecim sezonie nurkowym. Czy ludzie nie powiedzieliby z satysfakcją, że posunął się za daleko, za szybko i że śmierć była mu przeznaczona, tak jak teraz wielu ludzi szeptało o Rouse'ach? Gatto próbował pozbyć się tej myśli, ale przyczepiła się jak plaster.

John Reekie siedział wśród żałobników, a jego twarz była jeszcze bardziej ponura niż zwykle, obronny grymas jeszcze wyraźniejszy. Reekie żałował, że nie jest znów z Chrisem w Ginnie Springs, Chris nie upycha energicznie swojego sprzętu nurkowego do wana, rzucając przyjazne obelgi pod adresem Reekiego, pospieszając go, by mogli jak najszybciej wybrać się razem na nurkowanie. Czasami zachowanie Chrisa zaczynało działać Reekiemu na nerwy, podobnie jak na nerwy mogą sobie działać bracia, co wcale nie umniejsza ich wzajemnej miłości. Reekie zawsze czuł, że Chris i Chrissy Rouse są jego braćmi. Już tęsknił za ich błaznowaniem, żartami, podwodnymi przepychankami na skuterach i wspólnymi, długimi nurkowaniami. Teraz gdy odeszli Chris i Chrissy Rouse, ze świata ubyło dwóch cennych ludzi, którym Reekie mógł zawierzyć swoje życie pod wodą - zwłaszcza wewnątrz jaskini. John Chatterton stał niedaleko Johna Reekiego i Steve'a Gatto. na tyłach sali. Jego twarz była ponura, a w głowie miał mętlik, smutek walczył w nim z frustracją. Chatterton czuł, że Rouse'owie zginęli, bo nurkowali oddychając powietrzem, podczas gdy powinni byli używać trimixu. Podczas wszystkich ich wcześniejszych bardzo głębokich nurkowań, których Chatterton był świadkiem, Chris i Chrissy używali trimixu. Chatterton wiedział, że byli jednymi z pierwszych nurków sportowych, którzy używali mieszanek podczas nurkowania na wraki, a później tlenu przy dekompresji. I zaledwie na dwa tygodnie przed nurkowaniem, które zakończyło się ich śmiercią, eksperymentowali w kamieniołomie z mieszkanką argonu i tlenu, by sprawdzić, czy nie byłaby skuteczna na jakimś etapie dekompresji. Ironią było, pomyślał Chatterton, że Rouse'owie, którzy znaleźli się wśród nurków torujących nowe drogi w sporcie, zginęli, bo odwrócili się od najnowocześniejszej techniki na jednej tylko wyprawie. Oznaczało to, że nie wolno tracić czujności nawet na jedną

chwile.

Kiedy Chatterton odgrywał w wyobraźni te wydarzenia, widział Chrisa Rouse'a, stojącego na drabince „Seekera” po nurkowaniu. Mimo że starszy Rouse dotarł do drabinki wcześniej niż syn, mimo niewiarygodnego bólu, jaki musiał odczuwać, Chris nalegał, by najpierw wciągnięto Chrissy'ego. Chatterton, jako zaprawiony w bojach weteran z Wietnamu, był pod wrażeniem pozbawionego egoizmu, nawet szlachetnego gestu i miał zawsze o nim pamiętać, myśląc o Rouse'ach.

Barb Lander, która poza nurkowaniem pracowała jako pielęgniarka i na łodzi nurkowej zajmowała się Chrissym, również stała wśród żałobników. Kiedy Chrissy został ewakuowany z łodzi, Lander sądziła, że przeżyje. Od momentu, gdy dowiedziała się, że zmarł w komorze hiperbarycznej nie mogła sobie znaleźć miejsca. Prześladowało ją pytanie: Czy było coś więcej, co mogła zrobić, żeby go ocalić? Lander rozmawiała z tyloma ekspertami, z iloma mogła, szukając innej odpowiedzi niż ta, której wszyscy jej udzielali, tj. że zrobiła wszystko, co w ludzkiej mocy. W końcu przeszła kurs i została technikiem hiperbarycznym z kwalifikacjami do obsługi komory hiperbarycznej. Według jej oceny, minęły trzy lata nim otrząsnęła się z traumy spowodowanej utratą nurka, o którym myślała, że wyjdzie cało z choroby ciśnieniowej.

Podszedłem odrętwiały do podium, żeby wygłosić swoją mowę. Żaden ze znanych mi nurków, którzy zginęli uprawiając ten sport, nie był bliskim przyjacielem i nigdy wcześniej nie wygłaszałem mowy pogrzebowej. Jak można oddać sprawiedliwość w tysiącu słów dwójce takich ludzi? Wiedziałem, jak wielki wpływ miał wypadek Rouse'ow na społeczność nurkową, zarówno tu w Pensylwanii, jak i na całym północnym wschodzie, na Florydzie, kraju jaskiń, a zwłaszcza w Ginnie Springs. Gdybym miał co do tego jakieś wątpliwości, wystarczyło spojrzeć na zapelnioną ludźmi salę.

Natknąłem się na fragment, który pisarz i komentator polityczny i społeczny, Jack London, napisał na początku wieku, fragment, który tak do mnie trafił, że zapisałem go sobie i przypiąłem w pracy na tablicy informacyjnej Powiedziałem zebrany, że poza byciem dobrymi przyjaciółmi i wspianiałomyślnymi ludźmi, Rouse'owie zapłonęli jasnym światłem na niebach naszych żyć. London powiedział kiedyś:

„Wolałbym być meteorytem niż senną, trwałą planetą. Ponieważ prawdziwym celem egzystencji człowieka jest życie pełnią życia, a nie marnowanie czasu na podtrzymywanie go." Chociaż Rouse'owie umarli młodo, robili to, co kochali robić, a to znaczyło dla nich więcej niż zwykle „żyć a by żyć”.

Instruktor latania Chrisa, Ken Reinhart, stał na tyłach sali, słuchając mojej mowy. Reinhart był tym, który przekonał Chrisa, że nurkowanie to frajda, że jest bezpieczne i dla Reinharta - i milionów innych nurków - było. Ale Chris zawsze chciał podążać dalej. Kiedy Chris i Reinhart pojechali do Ginnie Springs po raz pierwszy, Chris był zauroczony nurkowaniem jaskiniowym, podczas gdy Reinhart zachował rezerwę. Ostrożny instruktor latania, był zaniepokojony znakiem ostrzegawczym, umieszczonym w wodzie blisko wejścia do jaskini, który przedstawiał Kostuchę, a u jej stóp szkielety nurków i duży napis: „Nic umieraj !". Później, podczas tej samej podróży, Reinhart próbował ostrzec Chrisa przed niebezpieczeństwami nurkowania, ale Rouse'a nie dało się powstrzymać, ruszył naprzód i dał się oczarować nurkowaniu jaskiniowemu i wrakowemu. Chociaż na wrakach nie rozmieszczono znaków ostrzegawczych, tak jak w jaskiniach, Reinhart wiedział, że stanowiły takie samo wyzwanie, jeśli zapuszczałeś się do środka. Rouse'owie wiedzieli o tym również, szukając trofeów do kolekcji swojej i Kena, i robiąc to, co kochali robić.

Gdy Reinhart rozglądał się po sali, zobaczył, że ogromna większość ludzi jest nurkami, a on ich nie zna. Chociaż Reinhart sam nurkował, przede wszystkim był pilotem i jego kręgi towarzyskie składały się głównie z latających przyjaciół. Po tym, jak ja opuściłem podium i przemawiało jeszcze wielu nurków, Reinhart uświadomił sobie, że znał Rouse'ow znacznie dłużej niż większość zebranych. Ale wszystko, co mówiono o Rouse'ach, dotyczyło w jakiś sposób nurkowania. Reinhart wiedział, że nurkowanie było czymś, czym trzydziestodwuletni Chris zajmował się zaledwie od czterech lat. W jego życiu było tyle innych spraw poza nurkowaniem, pomyślał Reinhart. Czuł się obco na pogrzebie swoich przyjaciół. Wiedział, że Chris był ciekaw świata w sposób, który balansował na krawędzi dziecięcej fascynacji. Ciekawość pchnęła Chrisa do latania, a potem skłoniła do nurkowania. Jego ogromna energia i wspaniałomyślność pozwalały mu pracować ciężko nie tylko nad budową własnego domu, pomógł też Kenowi zbudować jego dom w tym samym czasie. Jak

ludzie mogli w pełni docenić całą głębię Chrisa Rouse'a, znając go tylko przez kilka lat nurkowania?

Sue siedziała w pierwszym rzędzie. Jeśli Bóg istniał, myślała, dlaczego dopuścił, by tak straszliwa rzecz przytrafiła się jej mężczyznom? Nie wierzyła w to, że wszystko ma swój powód albo że boska sprawiedliwość determinuje ludzki los. Dla niej ta tragedia zdecydowanie przechyliła szalę na korzyść wcześniejszych wątpliwości co do istnienia Boga. Pamiętała, jak Chris przeżył wybuch w swoim warsztacie podczas spawania i jak mocno był poparzony. Chris powiedział jej później, że podsłuchał, jak ksiądz mówi, że wypadek nie przytrafiłby się Chrisowi, gdyby ten regularnie uczęszczał do kościoła. Dla Chrisa komentarz tego księdza był taką obelgą, że nigdy więcej nie poszedł do kościoła, chyba że na śluby albo pogrzeby. Od tego momentu w umyśle Chrisa nie było Boga. Teraz Sue się z nim zgodziła.

Marc Eyring wszedł na podium. Zawsze sprawiał wrażenie, że nie czuje się zbyt swobodnie poza wodą i teraz na pożegnaniu swoich przyjaciół wyglądał jeszcze bardziej nieswojo. Eyring zacisnął szczęki i próbował zająć wygodną pozycję, co nie było łatwe przy jego potężnie zbudowanym ciele. Kiedy zaczął mówić, poruszał się z nerwową energią, chodząc po podium.

- Uczyłem Chrisa i Chrissy'ego nurkowania w jaskiniach kilka lat temu, a potem uczyłem również Sue - zaczął Eyring. - Od samego początku wyróżniali się. Ojciec i syn byli bardzo chętni do nauki i nie mieli nastawienia, jakie posiada większość ludzi z północnego wschodu. Zamienili swój sprzęt nurkowy na sprzęt do nurkowania jaskiniowego bez żadnego narzekania. Była to dla mnie pierwsza wskazówka, że różnią się od większości ludzi. Druga rzecz to, że cała rodzina zawsze robiła wszystko razem, a przynajmniej zawsze nurkowali razem i to mnie uderzyło, bo bardzo rzadko spotyka się rodzinę, w której wszyscy nurkują.

Wszyscy w Ginnie Springs zawsze wyczekiwali przyjazdu Rouse'ów jak wizyty krewnych, których się naprawdę lubi. Mieli tak wyjątkowy styl, że każdy, kto ich znał, musiał tylko poszukać wielkich, zielonych butli z tlenem, które wiązali zawsze między drzewami na zewnątrz swojego obozowiska, by wiedzieć że Rouse'owie są na miejscu. Pamiętam, jak raz - było to w Boże Narodzenie - wszyscy wyczekiwaliśmy ich przyjazdu, żeby urządzić z nimi dużą uroczystą kolację.

No więc, na Florydzie padał śnieg, była to szalona burza śnieżna i wszystkie autostrady były zamknięte. Wszyscy byliśmy przygnębieni, bo nie spodziewasz się, że cię zasypie śnieg, kiedy mieszkasz na Florydzie. Poza tym nie sądziliśmy, by Rouse'owie zdołali się przebić. I nagle z burzy wyłania się Chris Rouse, prowadząc swojego wana, z Sue u boku. Ciągnęli za sobą swoją przyczepę i przebijali się przez śnieg. Kurczę, nie sądzę, by zdołali zjechać z autostrady, nawet gdyby chcieli, więc myślę, że Chris jechał prosto z Pensylwanii. Nastawienie Chrisa było takie: Nie pozwolę, by odrobina śniegu przy drodze powstrzymała mnie przed spotkaniem z przyjaciółmi w Ginnie albo przed nurkowaniem w jaskini. Myślę, że policja stanowa na Florydzie była tak zaskoczona, widząc kogoś na drodze, że przepuścili ich, mimo że autostrady były oficjalnie zamknięte. A kiedy już dotarli do Ginnie, wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi i mieliśmy wieczorem wspaniałe przyjęcie. Rouse'owie właśnie tacy byli - przez samą swoją obecność dawali ludziom szczęście. Rany, na pewno będę za nimi tęsknił.

Prochy Chrisa i Chrissy'ego nie zostały rozsypane natychmiast. Sue zdecydowała się poczekać aż do następnej ceremonii, która miała się odbyć w grudniu podczas corocznych warsztatów nurkowania jaskiniowego na Florydzie, na które Rouse'owie przyjeżdżali przez kilka ostatnich lat. A po tej ceremonii miała się odbyć jeszcze jedna, tydzień później, w Ginnie Springs, i wtedy prochy Rouse'ów zostałyby rozsypane pod wodą w Devil's Cave System. Marc Eyring zaproponował, by ograniczenie do 975 metrów w Devil's Cave System nazywające się Hinkel przechrzcić na Rouse. Tablica ku czci Rouse'ów miała również zostać umieszczona w jaskiniach. Odkrywca Hinkela wspaniałomyślnie się zgodził, mimo to nazwa nigdy nie została oficjalnie zmieniona.

Minęły trzy miesiące od śmierci Rouse'ów, do chwili gdy ich prochy zostały rozrzucone. Choć Sue tego nie mówiła, wszyscy by zrozumieli, gdyby nie była jeszcze gotowa, by pozwolić odejść mężowi i synowi.

John Reekie miał nieść prochy Chrisa Rouse'a pod wodą, a Marc Eyring Chrissy'ego. Kilku innych nurków dołączyło do ponurej ceremonii, w tym Tim Stumpf i Evie Dudas, która straciła męża pod wodą wiele lat wcześniej. Dwóch nurków, planujących udział, było zbyt poruszonych i nie mogło zanurkować. Denny Wills był

instruktorem i bliskim przyjacielem, który poznał nurkowanie jaskiniowe dzięki Rouse'om i który w końcu miał się stać dyrektorem szkoleniowym NSS-CDS, jednej z dwóch znajdujących się na Florydzie organizacji zajmujących się nurkowaniem jaskiniowym. Był już gotów i stał w wodzie, niedaleko wejścia do Devil's Cave System, kiedy poczuł niepokój i zrezygnował z zanurzenia.

Była to bez wątpienia mądra decyzja. Jeśli nie czujesz się dobrze, fizycznie albo emocjonalnie, jesteś bardziej narażony na wypadek. Kilka lat wcześniej podczas filmowania ceremonii pogrzebowej w głębokim systemie jaskiń najlepszy przyjaciel zmarłego nurka zginął w dziwnym wypadku, ponieważ pękły gumowe paski przytrzymujące jego płetwy i przeforsował się, próbując się wydostać z jaskiń, stracił przytomność i utonął. Sue nie planowała udziału w tym nurkowaniu i postanowiła czekać na brzegu rzeki w czasie, gdy prochy były rozrzucone pod spodem.

Aby dostać się do ograniczenia, procesja używała skuterów, które Chris Rouse naprawiał i ulepszał tak dobrze, że wyrobił sobie nimi markę, a jego firma Black Cloud Scuba zyskała popularność w małej społeczności nurków ekstremalnych rozrzuconych po całej Ameryce Północnej. Kiedy procesja przecisnęła się przez ograniczenie. Reekie otworzył pojemnik, który zawierał prochy Chrisa, i pozwolił, by szczątki przyjaciela rozpuściły się w ponadczasowym prądzie wody, wypełniającej jaskinię.

Kiedy Marc Eyring otworzył pojemnik Chrissy'ego okazało się, że pojemnik cały czas przeciekał. Prochy Chrissy'ego stały się masą, która przyczepiła się do ścianek plastikowego pojemnika. Nawet po śmierci czarna chmura śledziła Rouse'ów. Eyring był zdumiony. Nikt z jego bliskich znajomych nie był wcześniej poddany kremacji, więc było to dla niego nowe doświadczenie. Nie mógł zobaczyć ciała na pogrzebie, a teraz musiał sobie poradzić z wyjęciem prochów przyjaciela z pojemnika. Eyring sięgnął do pojemnika ręką i nabrał glinki, która kiedyś była Chrissym Rousem. Przylepiła się do ręki Eyringa, jakby Chrissy nie chciał opuścić swoich przyjaciół. Stopniowo Eyring zdołał uwolnić całość gliny, która była Chrissym, do wody wypływającej z Devil's Cave System. Część prochów Chrisa i Chrissy'ego przeniknęła w różne części jaskini, przypuszczalnie przylegając do szczelin w wapiennych skałach. W ten sposób ojciec i syn stali się częścią systemu jaskiń, w

których tak kochali nurkować. Przynajmniej symbolicznie już zawsze będą nurkować.

Na brzegu rzeki Sue Rouse patrzyła, jak krystalicznie czysta woda z Devil's Cave System wpływa do rzeki Santa Fe gładkim, jednostajnym strumieniem, tak jak to robiła od dziesiątek tysięcy lat i jak prawdopodobnie będzie robić jeszcze przez ich niezliczoną ilość.

12

Coraz głębiej

27 czerwca 1999. Wrak „Andrea Doria”

W miarę jak zanurzałem się wzdłuż liny kotwicznej, podczas mojego czternastego nurkowania na „Andrea Dorię”, słynny liniowiec oceaniczny powoli wyłaniał się z zielonkawej toni wody. Mój niemiecki partner, Wolfgang Kaning, płynął tuż nade mną i było to jego drugie nurkowanie na ten wrak. Wolfganga poznałem w Ginnie Springs dziesięć lat wcześniej, kiedy przyjechał z niemiecką delegacją, żeby ponurkować w jaskiniach ze Stevem Bermanem, Chrissym Rousem i mną. W czasie

tych dziesięciu lat byłem z nurkującym od 1966 roku Wolfgangiem, na wyprawach w Meksyku i Szkocji.

Poprzedniego dnia, w czasie naszych przygotowań do wypadu na „Dorię”, pojawiło się wiele problemów ze sprzętem. Musieliśmy zdjąć z siebie suche skafandry, żeby nie dostać zawału serca, gdy zmienialiśmy butle Wolfganga, z których z powodu uszkodzonego o-ringa w zaworze wyciekała kosztowna mieszanka helowa. Potem, gdy obaj ponownie wkładaliśmy skafandry, zobaczyłem, że komora nosowo-ustna w mojej pełnej masce jest niewłaściwie ułożona. Pomyślałem, że może to powodować zwiększoną konsumpcję gazu, bo zamiast napełniania powietrzem komory, przy każdym oddechu wypełniałaby się cała maska.

Mimo że byłem już gotowy do nurkowania i brakowało mi już tylko maski przed skokiem do wody, wiedziałem, że problemy ze sprzętem to zły znak.

Nurkowanie w 1991 roku, które niemal zakończyło się moją śmiercią przez to, że zlekceważyłem objawy grypy, odżyło w mojej pamięci jak zły sen. Przypomniałem też sobie naznaczone pechem nurkowanie Rouse'ów na U-who sprzed siedmiu lat, kiedy to ojciec i syn zanurkowali we wzburzone morze i wrócili na powierzchnię jako umierający ludzie. Teraz nękało mnie przecucie, że nie powinienem nurkować po wszystkich problemach, z którymi miałem do czynienia. Wreszcie zrozumiałem, że jutro też jest dzień i zamierzałem żyć na tyle długo, by się nim nacieszyć.

Zrezygnowałem z nurkowania zanim się jeszcze zamoczyłem.

Ale Wolfgang się nie poddał i zanurkował. Przebył długą drogę, by zanurkować na „Dorię” i nie chciał pozwolić, by problemy ze sprzętem stanęły mu na drodze.

Ponieważ był ostrożnym nurkiem, powiedział, że nie będzie nurkował beze mnie.

Odwrotnie sytuacja miała miejsce na wyprawie do Szkocji, gdy mieliśmy problemy ze sprzętem jeszcze na łodzi nurkowej i zrezygnowaliśmy z nurkowania na HMS „Hampshire” znajdującym się przy Orkadach. Z tym intrygującym wrakiem wiąże się wiele politycznych kontrowersji, ponieważ stał się on grobem brytyjskiego ministra wojny w samym środku I wojny światowej, czemu towarzyszyły liczne plotki o zamachu lub sabotażu. Wolfgang został wówczas na łodzi, a ja nurkowałem solo. Zszedłem nieco poniżej 61 metrów na „Hampshire”, który przede mną zwiedziło zaledwie dziesięciu lub jedenastu nurków.

Kiedy Wolfgang wrócił na łódź po samotnym nurkowaniu na „Dorię”, powiedział mi, że powinien być zostać na łodzi tak jak ja.

- Miałem jeden problem za drugim.

Najpierw jeden z automatów podawał wodę, potem jeden z jego manometrów zaczął pokazywać fałszywe odczyty i wreszcie jeden z węży zaplatał się w inny element sprzętu. W sumie Wolfgang czuł się bardzo niepewnie podczas całego nurkowania. Szczęśliwie zdołał wrócić na łódź bez objawów choroby dekompresyjnej.

Czy pech prześladowający mnie podczas poprzedniego, zeszłorocznego nurkowania na „Dorię” znów zatriumfował? Chociaż nie jestem specjalnie przesądny, być może coś w tym było, poprzednie nurkowanie na ten wrak było moim trzynastym. Mark Haas, mój partner podczas tego nurkowania, znalazł wtedy ładną, srebrną tacę na głębokości 73 metrów. Mark i ja mieliśmy jasne umysły dzięki helowi zawartemu w trimixie, którym oddychaliśmy i z łatwością mogliśmy pracować jako zespół, przekazując tacę do mojej torby razem z innymi srebrnymi przedmiotami, które udało nam się odkryć. Po powrocie wzdłuż poręczówki i wydostaniu się z wraku rozpoczęliśmy dekompresję. Kiedy osiągnęliśmy przystanek pięciu metrów, inni nurkowie dostrzegli torbę i z ciekawością zaczęli zaglądać, żeby zobaczyć jej zawartość. Byłem dumny. Tym razem udało nam się zdobyć kilka naprawdę wyjątkowych artefaktów. Po godzinach dekompresji Mark i ja popłynęliśmy wzdłuż grubej, białej liny, poprowadzonej pod wodą od liny kotwicznej do rufy łodzi. Tam znajdowały się podwodne linie tlenowe, do których przymocowane były automaty (dla przystanków dekompresyjnych na sześciu i trzech metrach). Przepląnąłem nad liną, walcząc z falami i silnym prądem. Zapięcie torby zahaczyło o linę i otworzyło się, ale w jakiś sposób Markowi udało się złapać torbę nim opadła nawet choćby metr w dół. Z powrotem przytrzymał torbę do mojej uprząży, po czym obaj sprawdziliśmy, czy jest dobrze zabezpieczona. Dziesięć minut później, kiedy kończyłem dekompresję obok linii tlenowych, spojrzałem na dół i zauważyłem, że torba zniknęła. Zapięcie znów się otworzyło i nasze cenne artefakty znajdowały się teraz w piasku, na głębokości 73 metrów pod nami.

-Gdzie twoja torba? - spytał Steve Berman, kiedy skończyliśmy naszą dwugodzinną dekompresję i z powrotem wspięliśmy się na łódź. Wszyscy jęknęli, słysząc naszą

historię. Kiedy Mark i ja pakowaliśmy nasz sprzęt i przygotowaliśmy się do długiej podróży powrotnej do portu, kilku członków z ekspedycji podeszło do nas i ofiarowało nam po jednym artefakcie ze swoich zbiorów. Kiedy trzeci nurek podawał Markowi artefakt, ten spojrzął na mnie i zażartował:

-Czuję się, jakbyśmy byli największymi sierotami tej łodzi!

-Ja też - zgodziłem się. - Ale to miły gest. Będziemy mieli coś, dzięki czemu zapamiętamy tę wyprawę, nawet jeśli to nie my zdobyliśmy te artefakty.

Gorączka artefaktów czasem jeszcze szerzyła się niepohamowanie wśród niektórych nurków, ale mimo wszystko instynkt gromadzenia zmniejszył się od czasów, gdy nurkowie zdobywali nawet sto naczyń, a jednak żalowali ich komuś, kto albo niczego nie zdobył, albo utracił swoje zdobycze.

Teraz, rok później, podczas mojego czternastego nurkowania na „Dorie”, wpłynąłem do wraku z Wolfgangiem i po raz kolejny musiałem się zmierzyć z problemami ze sprzętem. Tym razem było to coś poważniejszego niż zgubienie artefaktów albo zmaganie się z przeciekającymi butlami. Nie mogłem wyczuć przełącznika, który musiałem włączyć, żeby uzyskać dostęp do drugiej połowy mojego zapasu powietrza. Jedna z butli przystankowych blokowała dostęp do przełącznika. Tuż przed tą wyprawą odkryłem przeciek podczas testowania w wiadrze wody szczelności całego układu, więc w ostatniej chwili dokonałem zmian w systemie i umieściłem jeden z przełączników w innej pozycji. Próbowałem wyobrazić sobie, gdzie może znajdować się przełącznik, przesuując ręką po sprzęcie, ale nie mogłem go wyczuć przez grubą gumę rękawicę, które zabezpieczały moje ręce przed zdrętwieniem w zimnej wodzie. Po kilku próbach odwróciłem się do Wolfganga, który spojrzął na mnie zdziwiony, i za pomocą języka gestów zasygnalizowałem mu uniesionymi kciukami, że chcę przerwać nurkowanie. Gdybyśmy używali podwodnego systemu komunikacji, powiedziałbym mu dokładnie, czego potrzebuję. Ale nawet po tylu latach od śmierci Rouse'ów nurkowie sportowi nadal niechętnie używali sprzętu komunikacyjnego. Większość z nas uważała go za ekstrawaganckie obciążenie, kolejny element, który może się popsuć, a poza tym ma wiele innych wad. np. powoduje zwiększoną konsumpcję powietrza, kiedy nurek mówi, sygnały dochodzą tylko w obrębę ograniczonego obszaru, hel wywołuje zniekształcenie głosu, który staje się

nienaturalnie wysoki. Ponieważ moja konfiguracja sprzętu z pełną maską nie były standardowym wyposażeniem wśród nurków, nawet nie próbowałem zasygnalizować Wolfgangowi, żeby pomógł mi włączyć dopływ gazu z drugiej butli. Gdyby Wolfgang przekręcił zły przełącznik, mógłby całkowicie odciąć dopływ gazu. Lepiej zachować ostrożność i przerwać nurkowanie. Nie podobała mi się ta decyzja, ale zbyt dobrze wiedziałem, jakie mogą być ewentualne konsekwencje, by dokonać innego wyboru. Chciałem wpłynąć do wraku i pomóc Wolfgangowi w wydobywaniu artefaktów, nie mogłem ryzykować naszego życia, nie mając dostępu do całego zapasu gazu.

Podczas wynurzania wielokrotnie próbowałem otworzyć przełącznik gazu. Nie udało się. Przełączyłem się z trimixu na butlę z powietrzem i sprawdziłem jej manometr. Coś było nie w porządku. Usłyszałem później od innych nurków, że widzieli ogromne ilości gazu, które wydobywały się spod mojej pełnej maski, kiedy się wynurzałem, jakiś element musiał być nieszczelny. Zostało mi już bardzo mało powietrza. Nie miałem go dość, żeby przeprowadzić do końca dekompresję, która zaczynała się na 33 metrach.

Myśl o nieukończeniu dekompresji przypomniła mi, co powiedział dr Mendagurin po moim niemal śmiertelnym spotkaniu z chorobą dekompresyjną w 1991 roku: -Jeśli kiedykolwiek przytrafi się panu coś takiego, nie będzie pan mógł więcej chodzić. Zużył pan dodatkowe połączenia neuronowe. Nie dostanie pan następnej szansy.

Przełączyłem się na trimix, choć w normalnej sytuacji powinienem nim oddychać tylko na wraku. Dysponując mniej niż połową zapasu gazu i oddychając trimixem, musiałem przedłużyć swoją dekompresję, ponieważ mój organizm nadal absorbował lżejszy hel, chociaż już go powinien wydalać dzięki sprężonemu powietrzu, którym powinienem był oddychać. Obserwując tarczę zegarka stopniowo wynurzyłem się na głębokość 21 metrów, gdzie znów przełączyłem się na powietrze. Kiedy zacząłem odczuwać coraz większy opór, zrozumiałem, że mój zapas powietrza się kończy. Nie miałem wyboru - musiałem skorzystać z zapasowej butli, chociaż sama myśl o tym, przerażała mnie.

Aby to zrobić, musiałem zdjąć pełną maskę, w którą wbudowane były dwa automaty-

jeden zapasowy- i chwycić kolejny, trzeci automat, połączony długim węzem z jedną z butli na plecach. Miałem z niego oddychać w czasie sięgania do torby i wyjmowania zapasowej półmaski i zakładania jej. W momencie zdjęcia pełnej maski do mojego wykonanego na specjalne zamówienie kaptura wdarłaby się woda, przedostając się następnie do mojego ucha. Zimna woda w przewodzie słuchowym dla większości nurków nie byłaby większym problemem. Ale kilka lat wcześniej przeszedłem kilka równoczesnych infekcji ucha, które zniszczyły 40 procent mojej błony bębenkowej. Skomplikowana konfiguracja sprzętu, w skład której wchodziła zatyczka do uszu, specjalny kaptur i pełna maska, była tak pomyślana, by zapobiegać dostaniu się wody do ucha. Wdarcie się zimnej wody do przewodu słuchowego spowodowałoby u mnie zawroty głowy, poczucie dezorientacji, a może nawet wymioty. Mimo to, nie miałem wyboru. Musiałem skorzystać z mojej drugiej opcji zapasowej.

Zdjąłem pełną maskę psychicznie przygotowując się na zimną wodę, która miała uderzyć mnie w twarz, i powstrzymując odruch oddychania przez nos. Chwyciłem automat numer trzy, wsadziłem go do ust i zacząłem z niego oddychać. Ale ten automat był przyczepiony do niemal pustej butli z trimixem. Unosiłem się przy linie kotwicznej na głębokości 21 metrów, czekając na zawroty głowy, których nadejście było nieuniknione, gdy tylko woda dotrze do moich uszu. Co powinienem zrobić dalej?

Gdybym wynurzył się po pomoc, mogłem zostać kaleką na resztę życia, dzięki wcześniejszym przejściom z chorobą dekompresyjną. Wynurzenie się nie wchodziło w grę. Gdybym został na linie kotwicznej, utonąłbym. Ta opcja też mi się nie podobała. Czy Wolfgang był nade mną, czy pode mną? Teraz, gdy nie miałem na sobie maski, nic już nie mogłem zobaczyć. Mogłem zacząć się wynurzać w nadziei, że natknę się na Wolfganga albo innego nurka, który może mógłby się ze mną podzielić swoim zapasem gazu. Gdyby to zawiodło, mogłem kontynuować wynurzanie dopóki nie dotarłbym do linii tlenowej, znajdującej się na przystanku na głębokości sześciu metrów. To oznaczało ominięcie przystanków dekompresyjnych od 21 metrów do sześciu metrów, ale przynajmniej nadal byłbym w wodzie, poddając się dekompresji na sześciu metrach, na czystym tlenie. Nie było to optymalne

rozwiązanie, ale przynajmniej oddalało trochę widmo kalectwa. Wiedziałem, że muszę coś zrobić szybko, zanim zimna woda dostanie się pod ciasny kaptur, przez zatyczkę, do ucha. Coraz trudniej oddychało mi się przez automat, więc postanowiłem się wynurzyć wzdłuż liny kotwicznej.

Nad sobą zobaczyłem rozmyty kontur nurka. Podpłynąłem bliżej i zobaczyłem, że był to Wolfgang. Wyplułem swój automat i wykonałem gest, jakbym podcinał sobie gardło - sygnał nurków oznaczający „Nie mam powietrza”. Bez maski wszystko wydawało mi się rozmazane. Wiedziałem, że Wolfgang maca w poszukiwaniu wolnego automatu na piersi, ale sam dostrzegłem automat na jego ramieniu, moją uwagę przykuł różowy kolor węża. Kilku mężczyzn używało różowego sprzętu - na żartobliwe zaczepki ostro odpowiadali, że jeśli ktoś potrzebuje zobaczyć sprzęt pod wodą, różowy wyróżnia się jak flara na autostradzie. Poczułem wdzięczność, że Wolfgang nie dbał o to, co inni myślą o różowym kolorze i że opowiedział się raczej za bezpieczeństwem, a nie próżnością.

Delikatnie przesunąłem palcami po węźle i odkryłem, że prowadzi do butli na plecach Wolfganga. To oznaczało, że automat jest przyczepiony do butli z trimixem, przeznaczonym do użytku na dnie, a nie do dekompresji. Chociaż nie był to najlepszy wybór, trimix Wolfganga utrzymałby mnie przy życiu, dałby mi czas na wyciągnięcie z torby maski i założenie jej na twarz. Wtedy znów bym widział.

Pilnie potrzebowałem gazu do oddychania, więc chwyciłem automat Wolfganga przyczepiony do różowego węża i zacząłem z niego oddychać. Potem wyjąłem zapasową półmaskę z torby i włożyłem ją, oczyszczając ją najpierw z wody przez wydmuchanie powietrza przez nos. Sprawdziłem odczyty głębokościomierza i zegarka nurkowego. Byliśmy na głębokości 15 metrów. Wolfgang zasygnalizował, że chce się wynurzyć do następnego przystanku dekompresyjnego. Zgodziłem się. Kiedy znaleźliśmy się na przystanku 12 metrów, wszystko zaczęło się kręcić wokół mnie. Przytrzymałem się paska na ramieniu Wolfganga, żeby prąd nie zniósł mnie z dala od niego i jego życiodajnego gazu. Świat wokół mnie wirował coraz szybciej i szybciej i mogłem mieć tylko nadzieję, że moje ciało szybko ogrzeje wodę w moim uchu wewnętrznym, żeby zawroty głowy ustały. Stopniowo wirowanie zaczęło ustawać, jakby karnawałowa jazda zbliżała się do końca. Potem kręcenie ustąpiło

zupełnie. Znajdowałem się 12 metrów poniżej powierzchni, oddychałem i żyłem. Wolfgang przyczepił swoją małą butlę dekompresyjną z tlenem do mojej uprząży. Pełen wdzięczności przyjąłem tlen i zacząłem nim oddychać, mając nadzieję, że przyspieszy to moją dekompresję na tyle, by w moim organizmie nie powstały pęcherzyki i żebym nie miał objawów choroby ciśnieniowej po wynurzeniu. Zasygnalizowałem, że nie zamierzam kontynuować dekompresji na 12 metrach. Dalsze oddychanie trimixem Wolfganga, który jak wiedziałem zawierał tylko 17 procent tlenu i 35 procent helu, nie pomogłoby mojemu organizmowi w dekompresji. Nie chciałem zatrzymać się na 12 metrach i oddychać tlenem ryzykując drgawkami wywołanymi toksycznością tlenu i utonięciem. Przed moimi oczami pojawiła się twarz przyjaciela Rouse'ów, Eda Sollnera, który negując zalecenia amerykańskiej marynarki, oddychał mieszanką o wysokiej zawartości tlenu na dużej głębokości, dostał drgawek i zginął. Oddychając tlenem z butli Wolfganga, podpłynąłem do podwodnej stacji tlenowej i przerzuciłem się na tlen z łodzi. Oszczędzałem tlen z butli Wolfganga do momentu, gdy będę płynął do drabinki łodzi. Póki co, oddychając z okazałych zapasów tlenu, zamierzałem się tu poddawać dekompresji tak długo, jak to możliwe.

Kiedy Wolfgang skończył dekompresję, podpłynął do mnie i spytał za pomocą gestów, czy dobrze się czuję. Przyłożył rękę do piersi a potem wskazał na światło pobłyskujące nad nami. Czy zgadzałem się, żeby się wynurzył? Zasygnalizowałem: OK. Wolfgang odpłynął i zniknął w chmurze słonecznego światła. Wkrótce na linie spuszczone do mnie dwie butle z powietrzem, które uderzyły o butle, które miałem na sobie. Najwyraźniej chłopcy na górze chcieli się upewnić, że dotrze do mnie ich wiadomość, że mam z nich skorzystać. Oddychałem z nich, co pewien czas robiąc przerwy, ponieważ przerwy na powietrze są konieczne, by zabezpieczyć się przed nagromadzeniem w organizmie tlenu w takim stężeniu, które mogło spowodować drgawki.

Mój planowany schemat dekompresji już dawno został naruszony przez użycie niezaplanowanych mieszanek oddechowych, w tym trimixu na wszystkich przystankach od 21 do 12 metrów, ponadto ominąłem przystanki na 12 i 9 metrach, gdy popłynąłem do linii tlenowej znajdującej się na głębokości sześciu metrów. Inni

nurkowie wpadali niekiedy w kłopoty wymagające nieplanowanego i nieortodoksyjnego zmieniania gazów. Kiedy tak siedziało, nurek musiał uciekać się do, jak to żartobliwie określali Steve Berman i John Reekie, „zmodyfikowanej metody jugosłowiańskiej”, co oznaczało, że trzeba było zbudować z chaosu swój własny porządek. Na dekompresję poświęcało się tyle czasu, ile instynktownie uznawano za właściwe na danym przystanku, a potem wynurzało się do następnego. Jeśli pojawiało się uczucie bólu, należało wrócić w dół, o jeden albo dwa przystanki i spędzić tam więcej czasu na dekompresji przed kolejnym wynurzeniem. Wsłuchując się w swoje ciało, nie czułem bólu, jak kilka lat wcześniej, gdy miałem straszliwe symptomy choroby dekompresyjnej. Po kilku godzinach dekompresji wynurzyłem się i wdrapałem na łódź nurkową. Na zmartwionych twarzach moich przyjaciół pojawiły się niepewne uśmiechy. Ulżyło mi, gdy nie pojawiły się symptomy choroby dekompresyjnej.

Kiedy wróciłem do domu i wczółgałem się do łóżka o trzeciej nad ranem, moja żona sennym głosem powiedziała mi, że tego wieczora usłyszała, że mój przyjaciel Tony Smith zginął w czasie nurkowania, kiedy ja nurkowałem na „Dorii”. Nurkowałem w ciepłej przejrzystej wodzie w Północnej Karolinie, zamierzając spenetrować wrak znajdujący się na głębokości 39 metrów. Było to łatwe nurkowanie dla doświadczonego nurka i członka załogi nowojorskiej łodzi, który właśnie wrócił z laguny przy wyspie Truk na Pacyfiku - Mekki nurkowania wrakowego. Jego pewność siebie w połączeniu z pragnieniem jak najszybszego znalezienia się w wodzie i rozpoczęcia poszukiwania artefaktów spowodowały, że nie otworzył zaworu ani jednej z trzech butli, które zabrał ze sobą. Zlekceważył również obowiązek sprawdzenia sprzętu przed nurkowaniem, co uprzedziłoby go o niebezpieczeństwie. Nie dostosował pasa balastowego, mimo że teraz zabierał ze sobą mniej sprzętu niż w zimnych, nowojorskich wodach, w związku z czym potrzebował mniej balastu. Kiedy wskoczył do wody, natychmiast opadł na dno, nie mógł oddychać przez automat i utonął.

Mimo wyczerpania, nie spałem zbyt wiele tej nocy, następnej zresztą też nie. Ciągłe wyobrażałem sobie śmiertelny wypadek mojego przyjaciela i od nowa przeżywałem swoje własne niepewne oddechy podczas wynurzania z nad „Dorii”. Moje problemy

były bezpośrednim skutkiem zmian, jakich dokonałem w konfiguracji sprzętu, bez przetestowania ich w płytszym, bezpieczniejszym środowisku takim, jak kamieniołom, zanim zapuściłem się na głębokie wody.

Zdałem sobie sprawę z tego, że zobowiązania zawodowe odwróciły moją uwagę od dokładnego przygotowania się do nurkowania na „Dorię”. A co gdybym nie poradził sobie z tą sytuacją i zmarł? W jakiej sytuacji postawiłoby to moją rodzinę? Gil miał już prawie jedenaście lat i wchodził w taki okres w swoim życiu, gdy obecność ojca liczy się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Moja śmierć byłaby dla niego ciosem, który odebrałby na jakimś poziomie jako porzucenie. Moje własne plany dotyczące kariery i bezpieczeństwa mojej rodziny wchodziły w okres wielkich obietnic i wyzwań. Skoro miałem tak dużo zobowiązań wobec ludzi, których kochałem, czy wolno mi było ryzykować własnym życiem i zdrowiem, nurkując? Kiedy słońce wzeszło tego ranka, pożegnałem się z „Dorią” i wszelkim nurkowaniem.

Postanowiłem, że nie będę się zapuszczał w głębiny, dopóki nie zatroszczę się o dobro mojej rodziny.

Rouse'owie byli niezwykle aktywni w czasach ogromnych zmian i kontrowersji w nurkowaniu sportowym. Mimo ich śmierci, nurkowanie sportowe nadal podążało ścieżką ku czemuś, co wielu uznawało za radykalną nawet niebezpieczną zmianę.

Używanie mieszanek oddechowych przez nurków sportowych, penetracje wraków i jaskiń i posługiwanie się osiągnięciami techniki w pokonywaniu ograniczeń i niebezpieczeństw głębin teraz zyskało nową nazwę - nurkowania technicznego.

Termin ten powstał w 1991 roku i zwykle przypisuje się go Michaelowi Menduno.

Mimo że jego czasopismo „Aqua Corps” pojawiała się sporadycznie tylko przez kilka lat po śmierci Rouse'ów, pozostało ważną trybuną nurków, którzy uprawiali to, co nurkowie rekreacyjni -ci, którzy wzdrygali się przed nurkowaniem poniżej 39 metrów, przed nurkowaniem wymagającym dekompresji, penetracjami jaskiń i wraków - uważali za wariactwo.

Nurkowie rekreacyjni powoływali się na śmierć Rouse'ów i ich przyjaciela Eda Sollnera, uznając je za przykłady tego, jakim szaleństwem jest nurkowanie techniczne. Mimo protestów nurków i organizacji nurkowych, a nawet rachunku sumienia wśród samych nurków technicznych, nowe techniki stawały się trwałym

elementem sportu, w którym ryzyko było odpowiednio równoważone nagrodami.

Kombinacja nastawienia macho z „Aqua Corps”: „Nie jesteś prawdziwym nurkiem, jeśli nie nurkujesz głęboko i na miksie” z pogonią nurków za przygodą doprowadziły do rewolucyjnych przemian.

-Nurkowanie techniczne jest napędzane przez klientów, a nie duże agencje szkoleniowe, które chciałyby decydować, jaki typ nurkowania możesz uprawiać i w jaki sposób je przeprowadzać - powiedział Menduno. - To tak samo jak z rewolucją komputerów osobistych, której motorem były potrzeby zwykłych użytkowników. Zainteresowanie nurków nurkowaniem technicznym było wspomagane z jednej strony przez „Aqua Corps” , a z drugiej przez nowe organizacje utworzone po to, by szkolić w użyciu mieszanek oddechowych i przyznawać licencje. Ale w momencie śmierci Rouse'ów, pod koniec 1992 roku, organizacje te były jeszcze niewielkie w porównaniu z agencjami szkoleniowymi, istniejącymi od wielu lat, które miały swoje ośrodki rozsiane po całym świecie. Wielu ludzi w interesie nurkowym nie uznawało małych organizacji ani ich licencji. Argumentowali oni, że nurkowie sportowi nie potrafią mieszać gazów, ponieważ proces ten jest zbyt skomplikowany. Potrzeba odpowiedniego sprzętu, by bezpiecznie mieszać gazy, a sprzęt należało systematycznie czyścić, żeby zapobiec pożarowi albo wybuchowi. Poza tym gotową mieszanekę należało poddać analizie. Wszystko to wymagało od przeciętnego nurka za dużo planowania i precyzji w wykonaniu, albo takie przynajmniej padały argumenty. Ale przeciwnicy nie doceniali pozbawionego egoizmu oddania, które następcy Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów wnieśli do sportu, kierowani pragnieniem zejścia głębiej.

W końcu, ekonomia miała odegrać główną rolę w zmianie dynamiki dążeń, tak jak to się działo w całej historii nurkowania. Ludzie gotowi byli zaryzykować życiem - ignorując tych, którzy twierdzili, że środowisko wodne jest zakazanim królestwem - aby odzyskać utracone pod falami skarby. W swoim zimowym wydaniu z 1991 roku „Aqua Corps” opublikowało proste, ale trafiające do przekonania wykresy przedstawiające rezultaty badań nad ogromnymi wydatkami, jakie nurkowie techniczni ponosili na zakup sprzętu i na swoje szkolenie. Według „Aqua Corps”, nurkowie techniczni, inwestujący swoje pieniądze w szkolenia, nurkowania i dojazd

na miejsce byli filarami przemysłu nurkowego. Chociaż nurkowie techniczni stanowili tylko około 8-10 procent wszystkich aktywnych nurków, ich roczne wydatki stanowiły jedną trzecią dochodów przemysłu, a ich inwestycje sprzętowe ponad 40 procent kwoty wydawanej na sprzęt przez wszystkich nurków.

Mimo napomnień, jakie potężne organizacje szkoleniowe kierowały do nurków sportowych, decydujących się na użycie mieszanek oddechowych, wielu właścicieli centrów nurkowych i instruktorów chciało skorzystać z dobrej passy. Inwestowali w szkolenia z użycia mieszanek oddechowych, by zdobyć potrzebną wiedzę i kupowali drogi sprzęt konieczny do bezpiecznego mieszania i analizowania mieszanek.

Wszystko to pomagało w dalszej ekspansji nurkowania technicznego. Można już było wejść do centrum, okazać licencję zdobytą na kursie mieszanek oddechowych, zostawić swoje puste butle i podać skład procentowy mieszanki, którą chciało się otrzymać. Powierzenie mieszania gazów swojemu centrum było znacznie łatwiejsze niż robienie tego samemu, do czego potrzebne było wypożyczenie ogromnych butli dostawczych od komercyjnej firmy dostawczej i przechowywanie ich w garażu, warsztacie albo w salonie, jak to robili Chris i Chrissy, kiedy mieli pieniądze.

Na pokładach łodzi nurkowych zaczęto oferować posiłki dla nurków technicznych, choć niektóre łodzie, jak „Seeker” i „Wahoo”, robiły to jeszcze zanim nowe praktyki stały się popularne. Teraz, gdy ktoś wszedł na przeciętną łódź nurkową z butlą do dekompresji, na której widniał wyraźny napis TLEN, nie zostawał z niej wyrzucony, a konserwatywni nurkowie nie mruzcili pod nosem, że sam się prosi o wypadek. W czasie, gdy poszukiwacze przygód ustawiali się w kolejce, żeby wspiąć się na Mount Everest, legiony nurków skakały do wody. Egzotyczne mieszanki pozwalały zwiedzać podwodne obszary coraz większej liczbie eksploratorów. Potrzebowali oni tylko pieniędzy, motywacji i poczucia misji.

W miarę jak coraz więcej nurków skłaniało się ku nurkowaniu na mieszankach oddechowych tradycyjne organizacje szkoleniowe pojęły, że grozi im utrata potencjalnych dochodów. W 1995 roku PADI, największa na świecie organizacja szkoleniowa nurkowania rekreacyjnego z bazą w Kalifornii, oraz Brytyjski Klub Sub-Aqua, znany jako BS-AC, będący największą organizacją w Wielkiej Brytanii, przyznającą licencje, obwieściły, że oferują kursy nurkowania na mieszankach

wzbogaconych tlenem, tzw. nitroxie, które ograniczały nurków do głębokości 39 metrów. W następnych latach wszystkie agencje szkoleniowe na świecie postąpiły tak samo. Mniejsze organizacje, które szkoliły nurków w zakresie mieszanek zwanych trimixami, zawierającymi hel i pozwalającymi na nurkowanie wykraczające daleko poza 39 metrów, zyskały wiarygodność i szacunek, którego wcześniej im odmawiano.

Nurkowie schodzili coraz głębiej. Miejsca, kiedyś uważane za niedostępne, teraz uznano za realną możliwość. Kiedy w 1956 roku „Andrea Doria” znalazła się na dnie morza na głębokości 73 metrów, reprezentowała granicę tego, co nurkowie sportowi mogli zdobyć przy zachowaniu względnego bezpieczeństwa. W ciągu następnych czterdziestu lat nurkowie tacy jak Sheck Exley nurkowali znacznie głębiej niż 73 metry, ale tylko po to, by sprawdzić, jakie są ich limity i by cało wrócić na powierzchnię. Ekspedycja Billa Stone'a z 1987 roku do jaskiń Wakulla Springs udowodniła, że nurkowie sportowi mogą używać mieszanek oddechowych i osiągnąć pod wodą różne rzeczy - udało im się sporządzić mapę rozległych tuneli aż do głębokości 109 metrów. Jednak dla organizacji takich, jak PADI czy BS-AC, ekspedycja ta była wyjątkiem, ponieważ przeciętny nurek nie posiadał nawet w przybliżeniu takiego poziomu umiejętności i doświadczenia, co Stone i jego załoga. W 1991 roku Team Doria pokazała, jak techniki i sprzęt wykorzystywane w nurkowaniu jaskiniowym mogą się przydać w zmieniających się raptownie warunkach nurkowania wrakowego na otwartym oceanie. W ciągu kilku następnych lat konfiguracja sprzętu w nurkowaniu jaskiniowym została trwale zaadaptowana przez nurków technicznych. Nurkowie eksplorujący głęboko położone wraki przyczepiali dodatkowe butle do swoich uprząży, tak jak to robili pionierzy nurkowania jaskiniowego dekadę wcześniej.

W 1995 roku John Chatterton, John Yurga, Barb Lander i Gary Gentile zostali zaproszeni przez Brytyjkę Polly Tapson do wzięcia udziału w ekspedycji na „Lusitanię”, liniowiec Cunarda, który padł ofiarą ataku U-Bootów w czasie I wojny światowej i spoczywał na głębokości 99 metrów na południe od wybrzeży Irlandii. Była to pierwsza ekspedycja nurków sportowych na ten wrak - ekspedycja, która stała się możliwa dzięki temu, że zyskali oni dostęp do mieszanek oddechowych. Dla

tej kontrowersyjnej, pionierskiej wyprawy Chris i Chrissy zapewne zastawiliby swój dom po raz drugi, byle tylko móc wziąć w niej udział - być może nawet zafundowaliby innym nurkom niezbędny trimix.

Mimo kontrowersji, dotyczących tego, kto jest właścicielem „Lusitania” i czy nurkowanie na nią nie powinno być zabronione, Tapson nie zrezygnowała ze swojej wyprawy, ignorując groźby pozwów sądowych, którymi straszył ją Greg Bemis, Amerykanin, który twierdził, że jest właścicielem wraku. Ekspedycja okazała się sukcesem. Zespół zbadał głęboko położony wrak i udowodnił, że duża grupa nurków sportowych może bezpiecznie nurkować poniżej 99 metrów na otwartym oceanie. Żaden z nurków nie odniósł obrażeń, mimo że na morzu panowały trudne warunki. Osiągnięcie było tym bardziej niezwykle, że sama Tapson zaledwie tydzień przed wyprawą przeżyła ciężki przypadek choroby dekompresyjnej. Lekarze ostrzegali ją, by nie nurkowała, zwłaszcza w tak krótkim czasie po wypadku, ale Tapson nie posłuchała ich zaleceń. Kiedy Menduno przeprowadzał wywiad z Tapson do „Aqua Corps”, nie chciała roztrząsać swojej decyzji.

-Nie chcę... być przykładem kogoś, kto działał wyjątkowo nieodpowiedzialnie, ale zdołał się wymigać od odpowiedzialności. Nie chcę, żeby ktoś potem zrobił to samo i w konsekwencji spędził resztę życia na wózku inwalidzkim.

Psychoterapeuci, tacy jak dr Jennifer Hunt, która napisała psychologiczne i socjologiczne opracowania na temat nurków cierpiących na chorobę dekompresyjną i która przeprowadzała ze mną szczegółowe rozmowy, uznała zachowanie Tapson za przykład wyparcia się ryzyka. Tapson była tak skoncentrowana na nurkowaniu w czasie historycznej ekspedycji nurków sportowych, pracowała tak ciężko, by ją zorganizować, że po prostu nie mogła uwierzyć w bardzo realną możliwość zostania inwalidką w wyniku kolejnego ataku choroby ciśnieniowej. Tapson uznała, że czuje się dostatecznie dobrze, by zanurkować i udało jej się uniknąć wypadku. Jej bezproblemowe nurkowanie w zimnych wodach północnego Atlantyku pokazuje, jak niewiele wiemy o chorobie dekompresyjnej i o tym, jaki wpływ na organizm ludzki wywiera ciśnienie wody.

Długofalowe efekty nurkowania na dużych głębokościach pozostają tajemnicą.

Nurkowie tacy jak ja, którzy słyszą przynajmniej na jedno ucho i rozwinęli

połączenia neuronowe, nadal są nieformalnymi królikami doświadczalnymi w badaniach nad fizjologią. Ludzie tacy jak Emmerman i Huggins - cierpiący na chorobę morską badacze, którzy uczestniczyli w ekspedycji Team Doria '91 po to, by zmierzyć, jakim obciążeniem jest dla organizmów nurków dekompresja- nadal nie dysponują wynikami, które w sposób rozstrzygający tłumaczyłyby wpływ wieloletniego, głębokiego nurkowania na nasze organizmy. Ale część nurków uprawiających ten sport od dłuższego czasu odkryła u siebie dziwne, niewyjaśnione dolegliwości, które mogły być związane z nurkowaniem lub powstać niezależnie. Glenn Butler, zawodowy nurek, który był eksperymentalnie poddawany w komorze hiperbarycznej ciśnieniu panującemu na głębokości 304 metrów i który pracował przez długi czas w oceanie na głębokości 213 metrów, mógł oczekiwać, że pojawią się u niego jakieś długotrwałe problemy fizyczne. W mózgu Butlera zaszły zmiany, a jedna z nich mogła się przyczynić do powstania tętniaka w 1992 roku. Kiedy przyjmowano go do zespołu zajmującego się eksperymentami nad głębokim nurkowaniem, nie przewidywano jego późniejszych problemów neurologicznych. Dr Bill Hamilton z Ocean Systems, człowiek, dla którego Butler pracował na początku swojej kariery nurkowej, twierdzi, że tętniak całkowicie wyjaśnia stan Butlera. Hamilton utrzymuje, że obwinianie nurkowania za stan fizyczny Butlera nie jest sprawiedliwe ani wobec Butlera, ani wobec nurkowania. Chociaż u nurków zawodowych można spodziewać się trwałych następstw nurkowania, nie przewidziano, że nurkowie sportowi mogą również doznać poważnych uszkodzeń. W ciągu czterech lat Chris Rouse przeprowadził 771 nurkowań, a Chrissy 636, ale w porównaniu z profesjonalistami takimi jak Butler, byli oni zwykłymi szczurami lądowymi.

Evie Dudas, która w 1967 roku została pierwszą kobietą nurkującą na „Andrea Dorię”, która przeżyła ciężki przypadek choroby dekompresyjnej w 1967 roku i która w 1992 roku uczestniczyła z Rouse'ami w ekspedycji Johna Reekiego na „Empress of Ireland”, należy do tych nurków, których fizyczne przypadłości zdumiewają lekarzy. Jej problemy z uchem wewnętrznym i neurologiczne uszkodzenia powodują problemy z równowagą utrzymujące się niekiedy przez kilka tygodni. Syndrom ten pojawia się co trzy- cztery lata, mimo wszelkich możliwych zabezpieczeń, jakie

stosuje, poza całkowitą rezygnacją z nurkowania. Cierpi też na skórą odmianę choroby ciśnieniowej - na jej skórze pojawiają się takie objawy jak wysypka, swędzenie, mrowienie i brak czucia — jeśli przy każdym nurkowaniu nie używa gazów o wysokiej zawartości tlenu albo czystego tlenu do dekompresji - niezależnie od tego, czyjej plan nurkowy zakłada odbywanie przystanków dekompresyjnych. I nawet jeśli stosuje te zabezpieczenia, nadal od czasu do czasu występują skórne objawy choroby dekompresyjnej. Wszystko to wywiera niemal nieprzerwane obciążenie dekompresyjne na jej ciało, co być może jest przyczyną jej licznych problemów z kośćmi, w tym poważnych problemów z kostką. Lekarze zaproponowali jej artrodezę kostki. Nie zgodziła się na tę operację, ponieważ utrudniłoby jej to pływanie pod wodą. W efekcie choroby dekompresyjnej Evie nie ma czucia w prawej części ciała. Jej przypadłości są trwałe i lekarze nie potrafią znaleźć na nie lekarstwa.

Evie nadal nurkuje. Jej centrum nurkowe w West Chester w Pensylwanii Dudas' Diving Duds i firma produkująca skafandry nurkowe kwitną. Stworzone przez nią kluby nurkowe związane z centrum nurkowym również świetnie się rozwijają, gdyż ludzie lgną do podwodnego świata, przyciągani charyzmą Evie i jej młodzieńczym entuzjazmem wobec nurkowania. Wszystkie jej dzieci, teraz już dorosłe, nie tylko nurkują, ale i zawdzięczają przynajmniej część swoich dochodów firmom związanym z nurkowaniem, albo przez swoją pracę, albo przez pracę ich małżonków.

Nurkowanie jest jej życiem. Gdy ktoś ją o to pyta, odpowiada, że będzie nurkować dopóki jest w stanie oddychać i pływać.

Podobnie jak Evie Dudas, ja również przeszedłem poważny przypadek choroby dekompresyjnej w jej neurologicznej postaci i również doświadczyłem dziwnych, fizycznych syndromów. Po próbnym powrocie do nurkowania w 1992 roku, w dziewięć miesięcy po wypadku, moja rekonwalescencja posuwała się naprzód tak, jak to przewidział dr Mendagurin, i znów mogłem normalnie chodzić. Powróciłem nawet do głębokiego nurkowania z dekompresją, porywając się na głębokości większe niż 91 metrów. Ale w ciągu kilku następnych lat zacząłem doświadczać gwałtownych wahań nastrojów i obniżenia sprawności umysłowej. Zaczęłem mieć kłopoty z zapamiętywaniem różnych rzeczy. Zdolność do koncentracji legła w

gruzach. Nawet formułowanie zdań stało się trudne, nie potrafiłem dobrać właściwych słów, które w jakiś sposób były nieuchwytnie. Rozmawiając z Gilem, teraz rozpoczynającym szkołę podstawową, musiałem się wysilać, by udzielić mu odpowiedzi na pytania dotyczące nauki i świata, chociaż je znałem. Pod względem fizycznym szybko się męczyłem. Pozostałem w kontakcie z dr Hunt i podczas naszych rozmów nie mogłem sobie przypomnieć szczegółów nurkowania, które kiedyś znałem bardzo dobrze. W pewnym momencie dr Hunt zauważyła ze smutkiem:

- Bernie, kiedyś miałeś taką dobrą pamięć.

Czułem, jakbym w jakiś sposób się zestarzał bardzo, bardzo szybko. Czy mój umysł będzie coraz słabszy i skończę bełkocząc, szukając słów, jak Glenn Butler? A może będę upośledzony mentalnie i fizycznie, będą mi się trzęsły ręce, może nie będę mógł chwytać przedmiotów, jak bohater mojego dzieciństwa, Muhammad Ali? Czy Evie Dudas, Glenn Butler i ja- jak Ali- wzięliśmy na siebie za dużo uderzeń i odnieśliśmy trwałe obrażenia?

Nie chciałem porzucać sportu i nadal nurkowałem. Chociaż Diana zdawała sobie sprawę z tego, że nurkowanie może mnie doprowadzić do kalectwa albo śmierci, wiedziała jak bardzo kocham podwodny świat i jak kojący efekt wywierał na mnie, więc nie protestowała przeciw mojemu dalszemu angażowaniu się w sport.

O ile nurkowanie dostarczyło mi cennych i ekscytujących doświadczeń, o tyle pozbycie się głównych symptomów choroby dekompresyjnej uświadomiło mi wagę pozostania przy życiu. Kiedy świętowałem z dr Hunt przy kolacji nasze pięćdziesiąte i czterdzieste urodziny, oboje zaczęliśmy podsumowywać swoje życie i jego najważniejsze etapy. Kiedy Jennifer zaczęła narzekać, że się starzeje, powiedziałem jej, że gdy człowiek staje przed bardzo realną perspektywą niedoczekania starości, wita ją potem z radością. Każdego dnia jestem wdzięczny za kolejną szansę doświadczania życia, za moją rodzinę i okazjonalne wyprawy na głęboką wodę.

John Reekie, kanadyjski nurek, który uczestniczył w Team Doria '91, również ma trwałe problemy zdrowotne, które mogą być związane z nurkowaniem. W 1993 roku Reekie nurkował z Johnem Moyerem podczas ambitnej ekspedycji mającej na celu odzyskanie artystycznych paneli z „Andrea Dorii” i drugiego dzwonu statku. Kiedy

zespół wydobył na powierzchnię nietknięte, ważące ponad 453 kilogramy panele, których autorem był Guido Gambone, ich sukces przyciągnął uwagę mediów. Drugi dzwon „Dorii” nadal pozostał nieuchwytny.

Podczas ekspedycji Moyera Reekie został oddelegowany do szukania dzwonu w magazynie farb. Przeprowadził kilka nurkowań, w czasie których pracował wewnątrz magazynu, usuwając muł i osad podwodnym odkurzaczem i kopiąc w poszukiwaniu dzwonu. Reekie wielokrotnie przepływał przez wejście na głębokości 67 metrów i płynął do magazynu znajdującego się na głębokości 64 metrów, gdzie zakopywał się po pas w osadzie, głową naprzód i macał w poszukiwaniu dzwonu. Gdy po raz pierwszy wpłynął do magazynu, od razu poczuł przeraźliwy ból głowy, który jak sądził, ustąpi po wycofaniu się z pomieszczenia. Ból jednak zaczął się nasilać, w miarę jak Reekie się wynurzał. Reekie stworzył teorię, według której jego ciało zaabsorbowało toksyczne pozostałości farby, zawierającej ołów i rozcieńczalnik zagrzebane w osadzie. Nadal cierpi na różne problemy ze skórą i płucami, które przypisuje tej konkretnej ekspedycji.

Moyer nie zgadza się z pomysłem, że nurkowanie w magazynie farb na „Dorii” przyczyniło się do problemów Reekiego. Niektórzy twierdzą, że przypadłości Reekiego związane są z nałogowym paleniem i z nadwagą. Najprawdopodobniej jego problemy zdrowotne są spowodowane kombinacją problemów z wagą, paleniem i doświadczeń nurkowych. Reekie nie tylko zanurzył się w toksycznych chemikaliach podczas wyprawy Moyera na „Dorię”, ale w czasie swojej kariery nurkowej wielokrotnie wystawiał swoje ciało na ekstremalne obciążenia podczas nurkowań, wymagających wielu godzin dekompresji.

Oczywiście fizyczne problemy, których doświadczają Evie Dudas, Glenn Butler, John Reekie oraz ja, mogą wynikać z innych problemów zdrowotnych albo być kombinacją tych problemów i pozostałości po chorobie dekompresyjnej. Mimo ogromnych postępów w medycynie, lekarze nie mogą stwierdzić tego z całą pewnością, co jest zresztą przyczyną ich głębokiej frustracji.

Doktor Hunt odnotowała w swoim opracowaniu psychologiczno -socjologicznym dotyczącym nurków cierpiących na chorobę dekompresyjną, że nurkowie mają skomplikowany sposób postrzegania lekarzy, którzy zajmowali się nimi w czasie ich

zmagają z chorobą. Według dr Hunt lekarze, sanitariusze i nurkowie dzielą ludzi na tych, którzy „zasłużyli” sobie na chorobę - na przykład kogoś, kto zrobił coś tak głupiego jak ominiecie dwugodzinnej dekompresji - i tych, których przypadki są „niezawinione”, ponieważ postępowali zgodnie z wszelkimi zaleceniami, a mimo to wystąpiły u nich objawy choroby. Nie tylko ja wyczułem coś na kształt pogardy u lekarza, który leczył mnie w komorze hiperbarycznej - inni nurkowie również zetknęli się z pogardą okazywaną przez personel osobie, której objawy świadczyły o tym, że los wymierzył jej sprawiedliwość. Dr Hunt stworzyła teorię, według której dzielenie nurków na tych, którzy zasłużyli sobie na chorobę i na tych, którzy nie zasłużyli, pozwalało personelowi medycznemu zachować czyste sumienie w wypadku, gdy nie potrafili uratować życia nurkowi lub jeśli nurek ten odniósł trwałe obrażenia.

Jednakże nie zawsze personel medyczny okazywał pogardę wobec nurków cierpiących na chorobę dekompresyjną, których przywieziono na terapię. Personel medyczny zajmujący się Chrissym błyskawicznie zorientował się w powadze sytuacji, kiedy stanął wobec martwego nurka i jego syna, który na przekór wszystkiemu walczył o życie. Gdyby nie czuli współczucia, najprawdopodobniej powiedzieliby Chrissy'emu o śmierci ojca, gdy wszystko wskazywało na to, że chłopiec wraca do zdrowia po terapii i gdy zaczął zadawać o niego pytania. Ktoś taki jak Glenn Butler, kto zajmował się Chrissym w komorze, mógł mu współczuć, ponieważ sam był nurkiem i przeżył atak choroby dekompresyjnej. Do dziś Glenn przeżywa to, że nie udało mu się uratować Chrissy'ego, mimo że jako weteran nurkowania i specjalista hiperbarii wie, że w takich warunkach nie można było zrobić nic więcej dla młodego człowieka. Lekarze i personel medyczny ulegają takim samym emocjom ludzkim, jak i my. Czasem wyjątkowo ciężki przypadek choroby dekompresyjnej może ich przytłoczyć, innym razem przywdziewają pozbawioną emocji maskę i starają się wykonywać swoje obowiązki „profesjonalnie”, przeciwstawiając się w ten sposób potencjalnej tragedii.

Inni nurkowie starają się stworzyć dystans między samymi sobą a nurkami, którzy „zasłużyli” sobie na chorobę dekompresyjną. Jeśli nurek zrobił coś głupiego, coś czego oni, w swoim mniemaniu, nigdy by nie zrobili, mogą się zdystansować od jego

ryzykanckich błędów i wierzyć, że im to się nigdy nie przytrafi. Dr Hunt odkryła, że nurkowie przejawiają znacznie więcej empatii wobec kogoś, kto „nie zasłużył” sobie na chorobę, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że sami również mogą prawidłowo przeprowadzić nurkowanie, a mimo to paść ofiarą okrutnej jaskini albo kapryśnego morza.

Artykuł dr Hunt zamieszczony w 1993 roku w „Aqua Corps” pod tytułem „Wyprostowanie krzywizn” spotkał się z niedowierzaniem, a nawet złością ze strony środowiska lekarskiego, związanego z nurkowaniem. W tym samym numerze pojawił się raport opisujący moje zmagania z chorobą dekompresyjną i sprawozdanie ze śmiertelnego nurkowania Rouse’ów. Wkrótce jednak DAN {Divers Alert Network} prestiżowa, niekomercyjna organizacja, z siedzibą na Uniwersytecie Duke w Północnej Karolinie, która zajmowała się badaniami nad nurkowaniem i terapiami dla nurków amatorów, opublikowała na łamach swojego pisma „Alert Diver” kolejny artykuł dr Hunt o chorobie dekompresyjnej i otaczającej ją aurze wstydu. Inne czasopisma również poszły tym tropem. Terapeuci, socjologowie, psychologowie, badacze nurkowania i inne osoby zaczęli przedstawiać prezentacje na konferencjach nurkowych o różnych aspektach psychologii, odnoszących się do nurkowania. Menduno, „Aqua Corps” i dr Hunt rozpoczęli ważną dyskusję, która miała zachęcić nurków do bezpiecznego i świadomego przeprowadzania podwodnych eksploracji. Dysponując większą świadomością tego, co się działo w ich psychice i co zdarzyło w ich życiu oraz co skłaniało ich do nurkowania, mogli mądrzej ocenić ryzyko, lepiej dopasować wyzwania do swoich umiejętności i uniknąć niepotrzebnego narażania się. Na przykład nierozwiązane konflikty z partnerem nurkowym mogą prowadzić do podejmowania niepotrzebnego ryzyka, a w konsekwencji do choroby dekompresyjnej. Zyskując świadomość tego, co działo się w psychice, nurkowie mogli podejmować bardziej przytomne decyzje. Ponadto zyskiwali lepszy wgląd w sytuację, dzięki czemu nie pogardzali już kimś, komu przytrafiła się choroba dekompresyjna.

Do połowy lat dziewięćdziesiątych dr Hunt otrzymała wiele listów z podziękowaniami od nurków na całym świecie. Jej artykuły pomogły im w zrozumieniu ich własnych przypadków choroby dekompresyjnej, a niektórzy nawet,

dzięki przemyśleniom nad swoim wewnętrznymi konfliktami i motywacjami - całkiem jej uniknęli. Dr Peter Bennett, szef DAN, przysłał dr Hunt entuzjastyczny list z podziękowaniami, podkreślający wagę jej pracy dla społeczności nurków i lekarzy. Chociaż dr Hunt zakończyła już badania i skupiła swoje zainteresowania na czymś innym, jej praca wywarła wpływ na wielu nurków, skłaniając ich do zmiany zwyczajów nurkowych i na personel medyczny, który był teraz bardziej wyczulony na problemy nurków cierpiących na chorobę dekompresyjną. Wszyscy nurkowie odnoszą korzyść z tego, że wiemy nie tylko jak nurkujemy, ale i dlaczego.

Postęp w nurkowaniu technicznym dorównał postępom, jakie poczyniliśmy w zrozumieniu psychologicznych motywów kierujących mężczyznami i kobietami, którzy wykorzystują osiągnięcia techniki i ryzykują życiem, by zanurzać się coraz głębiej. Chris i Chrissy Rouse nie przetrwali na tyle długo, by wykorzystać zdobycze nauki i psychologii, które mogły im ocalić życie. Jednakże obaj mężczyźni byli uparci i być może żaden z nich nie zatrzymałby się po to, by zastanowić się nad przyczynami tego, że poświęcił tak wiele dla eksploracji jaskiń, mórz i wraków. Z pewnością i dzisiaj wielu nurków jest tak pochłoniętych żądzą przygody, że nie słuchają głosu rozsądku. Mimo wszystko dr Hunt i jej koledzy zdołali ocalić życie wielu osobom.

Gdyby Chris i Chrissy dziś wypłynęli na powierzchnię z objawami choroby dekompresyjnej, możliwe że natychmiast zostaliby poddani leczeniu w komorze. Ale nie jest to pewne. Dzisiejsze zespoły nurków technicznych dysponują przenośnymi komorami dekompresyjnymi, które nie istniały w 1992 roku. Jednak łodzie dla nurków sportowych, również te, które oferują usługi gastronomiczne nurkom technicznym, nie mają zwykle na swoim pokładzie tych urządzeń. Powodem jest oszczędność: przenośne komory są bardzo drogie, kosztują od 30 do 50 tysięcy dolarów, w zależności od funkcji i zakresu stosowanego ciśnienia. Na drugiej szali znajduje się jednak ich zdolność do natychmiastowego poddania cierpiącego nurka dekompresji, zwykle dzięki umieszczeniu go pod ciśnieniem panującym na głębokości 10 albo 20 metrów, tj. pod działaniem jednej lub dwóch dodatkowych atmosfer ciśnienia. Utrzymuje się go pod takim ciśnieniem dopóki nie zostanie przetransportowany do większej jednostki z komorą, gdzie możliwe jest

zastosowanie wyższego ciśnienia, które w większym stopniu wpłynie na redukcję pęcherzyków obojętnego gazu, pustoszących ciało nurka. Jeśli nurek oddycha mieszkanką helową, która jest znacznie lżejsza od azotu zawartego w sprężonym powietrzu, w jego organizmie bardzo szybko zaczną się formować pęcherzyki gazu, co pozostawia mało czasu na przeprowadzenie terapii, która mogłaby ocalić nurkowi życie albo zmniejszyć trwałe uszkodzenia ciała.

Jak dotąd na większości wypraw nurkowie sportowi unikali narzędzi takich jak przenośna komora dekompresyjna, twierdząc, że są zbyt drogie. Nawet sprzęt tańszy niż komora, zwiększający jednak margines bezpieczeństwa, tj. sprzęt do podwodnej komunikacji, postrzegany jest przez wielu nurków jako kolejny element, który obciąża budżet nurka, a przy tym może się popsuć. Ten argument nie jest pozbawiony racji. Jednakże podwodny sprzęt do komunikacji pozwala na poinformowanie o problemie, w momencie gdy nurkowie znajdują się jeszcze pod wodą, kiedy inni mogą im pomóc, zanim sprawy zajdą tak daleko, że chcąc przetrwać będą mogli liczyć wyłącznie na szczęście. Zagadnienia techniczne związane z posługiwaniem się sprzętem do podwodnej komunikacji głosowej podczas oddychania helem, który zniekształca głos, faktycznie stanowią problem dla nurków sportowych, którzy chcą używać jako medium sygnałów radiowych zamiast połączonych ze sobą kabli.

Jednakże te kwestie, jak wszystkie inne w historii nurkowania, nie są nierozwiązywalne.

Jak wielu ludzi, którzy angażują się w czynności o podwyższonym stopniu ryzyka, nurkowie lubią wypierać się lub lekceważyć niebezpieczeństwo przed jakim stają. Większość nurków twierdzi, że nie potrzebują drogich urządzeń, takich jak sprzęt do podwodnej komunikacji albo przenośne komory hiperbaryczne, ponieważ nie popełnią błędów i nic im się nie przytrafi. Ale nurkowanie jest sportem, w którym ludzie, chcąc wkroczyć do obcego środowiska, muszą polegać na sprzęcie podtrzymującym życie. Sprawy mogą tu przybrać - i nazbyt często przybierają- zły obrót. Jak mówi dr Bill Hamilton:

- Najlepszy sposób na poradzenie sobie z wypadkiem, to być na niego przygotowanym, być przeszkolonym, dysponować sprzętem i personelem pod ręką
- Hamilton lubi przypominać nurkom, że sama choroba dekompresyjna nie jest

wypadkiem.-Jest statystycznie przewidywalnym zdarzeniem, takim, które przypada na pewien procent nurkowań, niezależnie od tego, jakich zabezpieczeń użyje nurek. Jego filozofię podsumowują słowa na znaczku, który nosi na konferencjach nurkowych: SHIT HAPPENS.

Nurkowie techniczni znają i akceptują ryzyko związane z nurkowaniem bez komory w pobliżu, ale zwykle po prostu wypierają realną możliwość wypadku. Ja też nie dopuszczałem do siebie myśli, że coś takiego może mi się przytrafić, podobnie zresztą Chris i Chrissy. Nawet po tak wielu rozmowach o moim wypadku. Ironią jest, że im więcej doświadczenia ma nurek, tym większą ma w swoim mniemaniu odporność na wypadek, ponieważ to zdarzyło się komuś innemu, nie jemu.

Samozadowolenie prowadzi nurków do podejmowania coraz większego ryzyka. Bez komory dekompresyjnej w pobliżu miejsca nurkowania nurkowie tacy jak Chris i Chrissy nadal będą umierać, podczas gdy inni, jak ja albo Evie Dudas, będą mieć szczęście i przeżyją. Bez sprzętu do podwodnej komunikacji nadal każdego roku giną będą nurkowie, ponieważ nie będą mogli się ze sobą porozumieć albo jak Rouse'owie nie będą mogli poprosić o pomoc z powierzchni. Mimo całego sprzętu wynalezionego przez ludzi, niezbędnego do zejścia na głębokość większą niż 3 metry i pozostania tam przez dłuższą chwilę, nurkowie uważają sprzęt do podwodnej komunikacji za coś niesportowego- jakby przez rozmowę mieli w jakiś sposób oszukać ciszę głębi. Bez tych narzędzi nurkowie są samotnymi wilkami. Jeśli pod wodą przytrafią im się kłopoty, wiele czynników może spowodować ich śmierć, a wtedy tylko szczęście zdoła ich ocalić. Mogłoby się wydawać, że ludzie, którzy szczytują się swoją technologiczną biegłością i umiejętnościami fizycznymi, nie powinni być zmuszeni do polegania na szczęściu. Nurkowie mogą znacznie zwiększyć swoje szanse na przeżycie wypadku, jeśli skorzystają ze wszystkich zdobyczy technologii, a nie tylko z części.

Nurkowanie nie odbywa się w kulturowej próżni. Samo podejmowanie ryzyka stało się znakiem rozpoznawczym naszego społeczeństwa. Wielu z nas podejmuje ekstremalne ryzyko w sporcie, inwestycjach finansowych, życiu seksualnym. Zupełnie jakby brakowało nam w życiu dreszczu emocji i trzeba go było zdobywać za cenę ryzyka, odczuwanego jak cudowny eliksir. Mimo niebezpieczeństw

nurkowania i środków pozwalających na ich uniknięcie, wielu nurków nadał szuka ekstremalnego ryzyka pod wodą, a niektórzy robią to nawet na powierzchni.

Bill Nagel, właściciel „Seekera” — łodzi nurkowej, z której Rouse'owie przeprowadzili swoje ostatnie nurkowanie - był według wszelkich opinii znakomitym nurkiem wrakowym i cenionym nauczycielem tak uznanych nurków, jak John Chatterton. Nagel nurkował często i głęboko, demonstrując coś, co jedni nazywali pasją sportu, a inni zachowaniem kompulsywnym. Zachowanie to przybierało ekstremalną formę na lądzie, gdzie Nagel często konsumował ogromne ilości alkoholu. W 1994 roku, po tym jak został wielokrotnie poddany hospitalizacji z powodu chorób związanych z alkoholem i kiedy go w końcu ostrzeżono, że umrze, jeśli jeszcze kiedyś się napije. Nagel dosłownie utopił się w swojej własnej krwi po wypiciu mocnego alkoholu, który sprawił, że pękło mu naczynie krwionośne w gardle.

— Bill Nagel pomógł w odkryciu „U-who”, ale nigdy na niego nie nurkował z powodu licznych chorób spowodowanych jego nałogiem - mówi obecnie John Chatterton. - Jeśli chodzi o nurkowanie - był dla mnie jak ojciec - i miałem nadzieję, że odkrycie U-Boota z motywuje go do pokonania swoich problemów osobistych i jego stan się poprawi. Ale alkohol był zbyt potężną siłą dla Billa i pod koniec, myślę że czuł się sfrustrowany, nie będąc w stanie jej pokonać.

Sheck Exley- Michael Jordan nurkowania jaskiniowego, nurek, którego tak bardzo podziwiał Chrissy Rouse - był wytrwały w dążeniu do nurkowania na głębokość 305 metrów, przy użyciu standardowego automatu i licznych mieszanek oddechowych. W 1994 roku, nurkując na głębokość 276 metrów w meksykańskiej jaskini Mante, w której wcześniej ustanowił rekord w nurkowaniu z automatem na głębokości 264 metrów, Exley zginął. Jego ciało udało się wydobyć na powierzchnię tylko dlatego, że owinał wokół siebie ciężką linę, wzdłuż której zanurzał się na dno. Gdy Exley zorientował się, że źle obliczył nurkowanie i nie starczy mu powietrza na wynurzenie, owinał się liną, przypuszczalnie po to, by odnaleziono jego ciało.

Brytyjczyk Rob Palmer był kolejnym nurkiem, którego praca ekscytowała i motywowała wielu nurków, w tym Rouse'ów i mnie. Jego książka *Deep into blue holes* opisywała jego eksploracje jaskiń na Bahama, w tym również odkrycie form życia

dotąd uznawanych przez naukowców za wymarłe. Nurkował wielokrotnie w Morzu Czerwonym na głębokość przekraczającą 122 metrów, oddychając sprężonym powietrzem - była to praktyka, przeciw której wypowiadał się publicznie. Wiedział, że gra w rosyjską ruletkę. Ostatnio widziano Palmera, jak zanurzał się poniżej 122 metrów w Morzu Czerwonym. Jego ciała nigdy nie udało się odnaleźć.

Śmierć Palmera zaszokowała wielu ludzi. Brytyjski nurek łączył wdzięk dżentelmena z urokiem osobistym, za co był niezwykle lubiany. Jednocześnie był bardzo szanowany jako autor telewizyjnych programów dokumentalnych, książek i artykułów. Jednak jego żona, dr Stéphanie Schwabe, nurek i mikrobiolog, nie była zaskoczona tym, że zginął w czasie nurkowania.

-Zakochałam się w Robie i poślubiłam go, mimo że wiedziałam, że nie spędzę z nim życia - powiedziała mi. - Wiedziałam, że podejmuje wielkie ryzyko i że zginie pod wodą. Co dziwne, Rob uważał, że skoro tak wiele rzeczy przytrafiło mu się pod wodą, a on je wszystkie przetrwał! - jest odporny na śmierć pod wodą.

Dr Schwabe chętnie przyznaje, że porwał ją chłopięcy urok Palmera.

-Postanowiłam, że będę się cieszyć czasem, jaki został nam dany - mówi po prostu, z fatalizmem.

W najbardziej zdumiewający sposób zachował się chyba Marc Eyring, wysoki, niedostępny i niezwykle inteligentny, były żołnierz Zielonych Beretów, który uczył nurkowania jaskiniowego Steve'a Bermana i nurkowania rekreacyjnego Chrisa, Sue, Chrissy'ego i mnie. Podobnie jak Nagel, Eyring często nurkował głęboko między napadami picia. Po śmierci Rouse'ów Eyring się ożenił, przeprowadził na Północ i wydawało się, że całkowicie stracił kontakt ze społecznością nurków. Po kilku latach tajemniczego milczenia, Berman otrzymał list od Eyringa, w którym wyjaśniał, że się rozwiódł, przeszedł operację zmiany płci i obecnie nazywa się Karen.

Przez całe lata Berman nie mógł mówić o rewelacjach Eyringa. Ostatnio wyjaśnił w rozmowie ze mną:

-On był moim mentorem, facetem, którego podziwiałem jak boga nurkowania jaskiniowego. Był po prostu doskonały w wodzie i uczył z taką pasją. Chciałem być taki jak on - Berman zaśmiał się ponuro. - Na początku żałowałem, że Marc nie umarł zamiast robić to, co zrobił. Stopniowo zdałem sobie sprawę z tego, że mój

sposób myślenia jest egoistyczny. Jeśli dzięki przemianie w kobietę Marc czuje się spełniony, to jest to jego wybór. Po prostu trudno mi się z tym pogodzić, ale mam nadzieję że... ona... wreszcie będzie szczęśliwa.

Skontaktowałem się z Karen, żeby przeprowadzić z nią wywiad do tej książki. Przez telefon słyszałem wciąż tę samą intensywną osobę, jej głos był być może trochę bardziej melodyjny, ale gorączkowość równie wyczuwalna co zawsze. Przyjechała, żeby odwiedzić mnie w moim domu. Chociaż przygotowywałem się na to spotkanie, i tak przeżyłem szok, widząc mojego przyjaciela w niebieskich dżinsach, kobiecej bluzce - szczerze wypełnionej dzięki operacji i hormonom - i włosach spływających na ramiona. Delikatny makijaż złagodził męskie rysy twarzy, które pamiętałem sprzed niemal dekady. Karen osiągnęła sukces w świecie bankowości i zarobiła mnóstwo pieniędzy dzięki prywatnym inwestycjom. Skończyła doktorat, a potem stworzyła firmę zajmującą się projektowaniem i budową nowego typu tomografów MRI, przy wykorzystaniu technologii, w której ona sama wytyczała nowe ścieżki. Gdy spacerowaliśmy po mojej posiadłości, Karen zauważyła:

- Bernie, nie wiem czy kiedykolwiek będę szczęśliwa. Bez reszty angażuję się w pracę. Myślę, że mój potencjał intelektualny i wiedza wreszcie zaczynają współgrać. Jest tyle rzeczy, które chciałabym osiągnąć w świecie technologii i tyle nowych ekscytujących możliwości. Zaakceptowałam to, że jestem błyskotliwa i inna. Może to wszystko na co mogę liczyć.
- Ale dlaczego Marc zmienił się w Karen?
- Zdałam sobie sprawę z tego, że moje ekstremalne zachowanie było tylko sposobem zagłuszenia moich uczuć i pragnień zostania kobietą - wyjaśniła mi. Czy te przykłady ekstremalnego zachowania, całkowicie odmieniającego życie nurka, a w niektórych wypadkach nawet je zabierającego, dowodzą, że wszyscy, którzy się narażają, próbują sobie wynagrodzić jakąś stratę, niespełnione marzenie? Jeśli chodzi o nieżyjących już nurków - nigdy się tego nie dowiemy na pewno. Jeśli chodzi o mnie, to podróż którą rozpocząłem z dr Hunt, po moim wypadku z 1991 roku, zaowocowała odkryciem, że nurkowanie w sposób ekstremalny dostarczało mi ogromnej przyjemności, ponieważ przynosiło mi uznanie i poczucie przynależności do grupy, których tak brakowało mi w dzieciństwie. Bezustanna krytyka mojego ojca,

podobnie jak zachowanie Chrisa wobec Chrissy'ego, skłoniła mnie do szukania wsparcia w swoich własnych zajęciach. Mocno ze sobą związana społeczność nurków technicznych zapewniła mi coś, czego nigdy nie zaznałem jako młody chłopak, przenoszący się z jednego kraju do drugiego. Identyfikowanie się z konkretną społecznością nurków- rekreacyjnych czy technicznych- i przyswojenie standardów zachowania tej społeczności jest fenomenem, który według obserwacji dr Hunt, jest najsilniejszy u najaktywniejszych nurków - zarówno pod wodą, jak i w takich miejscach, jak kluby i organizacje nurkowe. Ich poczucie tożsamości jest ściśle związane z ich statusem wśród innych poszukiwaczy przygód.

Niezależnie od przyjacielskiej atmosfery, jaką tworzyli wokół siebie i niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, Chris i Chrissy znaleźli się wśród tych nieustraszonych nurków, których eksploracje przyniosły niejednoznaczne rezultaty. Nie odkryli nowych form życia, choć mieli nadzieję to zrobić w pensylwańskiej jaskini Lahaska. Nie ustanowili zdumiewających rekordów, tak jak Sheck Exley w nurkowaniu jaskiniowym. Nie udało im się również odkryć tajemnicy U-who, chociaż zginęli próbując to zrobić. Z powodzeniem jednak zdobywali artefakty i homary oraz eksperymentowali z nowymi metodami przeprowadzania nurkowań sportowych i uczestniczyli w dramatycznej przemianie nurkowania sportowego. Ironią jest, że ich straszna śmierć przyniosła im sławę, którą pragnęli zdobyć dzięki swoim triumfom.

Chociaż śmierć Rouse'ów zasmuciła Steve'a Bermana, nadal nurkuje. Regularnie prowadzi ekspedycje nurkowe do spektakularnych jaskiń w Meksyku i uczy tłumy entuzjastów, przyciąganych jego energią, mądrością i doświadczeniem, nurkowania jaskiniowego i nurkowania na mieszankach oddechowych. Przeprowadził już ponad 40 nurkowań na „Andrea Dorię” i zdobył setki, jeśli nie tysiące, artefaktów z luksusowego liniowca. Lecz między kolejnymi triumfami on również doświadczył traumy.

Podczas pewnego nurkowania Berman znalazł ciało nurka, który nie przeszedł szkolenia w posługiwaniu się mieszankami oddechowymi. Użył on swojego 50-procentowe go miksu helowego nie tylko do oddychania, ale również do napełnienia suchego skafandra, co mogło spowodować u niego hipotermię, ponieważ

temperatura wody wynosiła wówczas 5,5 stopnia. Możliwe też, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że lżejszy gaz zużywa się znacznie szybciej niż cięższe, sprężone powietrze. Berman znalazł go martwego, z pustymi butlami, na dnie ładowni wraku. Był kolejną ofiarą liniowca oceanicznego, który po prawie pięćdziesięciu latach nadal pochłania nieostrożnych i nieuważnych.

Podczas innego nurkowania wewnątrz „Dorii” Berman nurkował solo. Nagle zobaczył potężną chmurę osadu wydobywającą się z otworu prowadzącego do pomieszczenia znanego z tego, że trudno się w nim poruszać. Mimo osadu Berman usłyszał krzyki nurka i jego walenie w ściany wraku. Musiał dokonać wyboru, czy zanurzyć się w osad i spróbować ocalić nurkowi życie. Podobnie jak w przypadku, gdy Chrissy Rouse ocalił zdezorientowanego nurka, któremu brakło powietrza na głębokości 51 metrów - Berman nie znalazł osobiście tego człowieka. Ale wiedział po uderzeniach i krzykach, że mężczyznę ogarnęła panika.

Berman zdał sobie sprawę z tego, że próba ocalenia tego nurka jest zbyt ryzykowna. Był pewien, że gdyby wpłynął do środka, oślepiiony osadem zaczepiłby o sprzęt albo został uwięziony przez człowieka zbyt przerażonego, by pozwolić się uratować.

Wówczas byłyby najprawdopodobniej dwie ofiary śmiertelne zamiast jednej.

Przyjaciele Steve'a i jego najbliżsi pocieszają go jak tylko umieją. Podjął mądrą i nieuniknioną decyzję, powtarzają. Temu człowiekowi nie można było pomóc. Jego krzyki nadal jednak prześladują Bermana. Wciąż zastanawia się, czy decyzja, by nie ryzykować własnym życiem dla ratowania drugiego człowieka była słuszna? Te wyrzuty sumienia przywodzą na myśl Francuza, który niewzruszony obserwował, jak mężczyzna popełnia samobójstwo skacząc do Sekwany. Kilka lat później, nawiedzany obrazem tonącego mężczyzny, Francuz powiedział „Boże, spraw, żeby ten człowiek raz jeszcze rzucił się do wody, abym mógł siebie ocalić!” Ostatecznie Berman wie, że nie mógł nic zrobić. To jednak nie zmniejsza jego cierpienia.

Było coś jeszcze, co powstrzymywało Bermana przed wpłynięciem do pełnego osadu pomieszczenia w „Dorii” - Berman miał rodzinę. W odróżnieniu od wielu innych nurków wierniejszych głębi niż domowi, Steve Berman był blisko związany ze swoją żoną Anitą i dwójką dzieci z jej poprzedniego małżeństwa, które mieszkały z nimi.

Gdyby podjął niepotrzebne ryzyko i zginął, jego żona i rodzina zostałyby

pozbawione męża i ojczyzna. Tego aspektu Berman nie musiał brać pod uwagę przez wiele lat swojej nurkowej kariery, kiedy tylko koledzy dbali o to, czy wynurzy się na powierzchnię.

Mimo to, Berman zanurkował na głęboki liniowiec oceaniczny „Britannic”, jeden z dwóch bliźniaczych statków „Titanica”. Podczas II wojny światowej „Britannic” został przekształcony przez Brytyjczyków w szpital. Był pomalowany na biało i nosił znak czerwonego krzyża, informujący, że nie jest to okręt wojskowy. Zatonął w 1942 roku przy greckiej wyspie Kea, życie straciło wówczas dwadzieścia jeden osób. Wielu sądziło, że został on storpedowany przez Niemców, obecnie jednak część ludzi uważa, że uderzył w minę. Brytyjski nurek Kevin Gurr zorganizował pierwszą wyprawę nurków sportowych na „Britannica” w 1997 roku, pragnąc odkryć, co spowodowało zatonięcie statku. Chociaż „Britannic” znajduje się w czystej, ciepłej wodzie, to głębokość 115 metrów stanowi prawdziwe wyzwanie i daje ludziom mało czasu na rozwiązanie tajemnicy.

Berman uczestniczył w trzeciej wyprawie na wrak, podczas której również nie powiodło się znalezienie uszkodzeń, wyraźnie wskazujących na to, że to mina posiała statek na dno. Na szczęście Berman przeżył to wyzwanie głębi.

Poza nurkowaniem i wychowywaniem swoich przyrodnych dzieci Berman nadal aktywnie uczy nurkowania na najbardziej zaawansowanym poziomie, prowadzi zaawansowane kursy jaskiniowe i kursy z użycia mieszanek oddechowych. Uczy już od dwunastu lat i zauważył wiele zmian u swoich kursantów.

-Obecnie przychodzą do nas na szkolenie jaskiniowe znacznie lepsi, bardziej zaangażowani i lepiej wyszkoleni nurkowie niż dziesięć lat temu - powiedział mi. - Przedtem mnóstwo ludzi przyjeżdżało do Ginnie Springs i zapisywali się na kurs nurkowania grotowego z ciekawości. Większość tych ludzi nigdy nie zdobyła umiejętności, które choćby zbliżały ich do pełnego kursu jaskiniowego, i w sumie dobrze, bo nie mieli odpowiedniego nastawienia psychicznego do nurkowania jaskiniowego. Teraz, kiedy ktoś tu przyjeżdża, w większości przypadków już wie, o co chodzi w kursie zaawansowanym z informacji, które tu się znajdują. Ludzie wiedzą, że chcą zostać zaawansowanymi nurkami jaskiniowymi i że uzyskanie umiejętności i doświadczenia, potrzebnego do przetrwania i czerpania radości ze

sportu będzie wymagało szkolenia, praktyki i poświęcenia.

Berman natychmiast dodaje, że raczej nie prowadzi innych kursów niż te dla najbardziej zaawansowanych nurków sportowych. Z tego powodu klienci Steve'a są zwykle polecani przez tych, których szkolił wcześniej.

Wielu dzisiejszych studentów Bermiana przypomina mu o poświęceniu jego przyjaciół Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów, nurków, którzy rozumieli, że muszą nurkować bardzo często, aby utrzymać formę i którzy chętnie poświęcali czas na doskonalenie swoich umiejętności. Przynajmniej raz w miesiącu jednak Berman spotyka nurków, którzy są całkowitym przeciwieństwem Rouse'ów. Ludzie ci zbyt szybko chcą się znaleźć na szczycie - od razu kupują najlepszy sprzęt, a potem próbują przeprowadzać nurkowania wykraczające poza ich umiejętności i doświadczenie.

-Ludzie, którzy nazbyt się spieszą i posuwają się za daleko zbyt wcześnie, wpadają w kłopoty- uważa Berman. - Ci, którzy mają szczęście, stają ze śmiercią twarzą w twarz, ale udaje im się przetrwać katastrofę. Kiedy wydostaną się z wody, pierwsze co robią, to sprzedają cały sprzęt i porzucają nurkowanie.

Katastrofy mogą się zdarzyć w każdym środowisku. Właściciel „Wahoo”, Steve Bielenda, często powtarzał nurkom na swojej łodzi, swoim uczniom i publiczności na konferencjach nurkowych:

-Doświadczenie jest czymś, co gromadzi się z upływem czasu. Trzeba zrobić swoje i dużo nurkować. Potem, gdy robi się coś pod wodą i pojawią się kłopoty, dysponuje się jakimś ubezpieczeniem, na którym można się oprzeć, by wyjść cało z tej sytuacji. Jeśli w ogóle coś pod wodą robisz, prędzej czy później na pewno znajdziesz się w tarapatkach. Wtedy doświadczenie będzie niezbędne, by uniknąć katastrofy.

Bielenda i Berman nie mówią publicznie o tym, że nawet jeśli stopniowo buduje się doświadczenie, ciąg wydarzeń nadal może przytłoczyć nurka, a wtedy nastąpi tragedia. Przenikliwość Rouse'ów, którą zyskali dzięki setkom nurkowań, przeprowadzonych w ciągu czterech lat, nie uchroniła ich przed śmiercią. Ale pozwoliła im wydostać się z wraku w okolicznościach, z którymi prawdopodobnie większość nurków nie poradziłaby sobie.

W wieku trzydziestu ośmiu lat Berman zastanawia się nad swoim wyborem kariery

zawodowej i mówi:

-Choroba, mam najlepszą pracę na świecie. Myślałem, żeby pójść do pracy w biurze. Ale widzę, jak zestresowani są faceci, którzy siedzą za biurkiem, gdy przyjeżdżają, żeby ze mną nurkować. Ci ludzie zaczynają się trochę odprężyć dopiero po tym, jak spędzą tutaj tydzień. A kiedy już się zrelaksują, ich urlop się kończy i znów muszą wracać do młyna. A ja? Mogę cały czas nurkować albo zrobić sobie przerwę na całe tygodnie, jeśli mam na to ochotę, i zrobić coś super - ponurkować w meksykańskich jaskiniach, na „Dorii”, „Britannicu”, a nawet zrobić coś dla mięczaków, jak nurkowanie w płytkich wodach w Floryda Keys w poszukiwaniu homarów. Stary, nie wyobrażam sobie innej pracy niż uczenie nurkowania!

W odróżnieniu od Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów. których płomień płonął jasno, a potem zgasł. Bermanowi udało się to, do czego aspirują najmądrzejsi nurkowie - przetrwał.

John Chatterton, John Yurga i Richie Kohler, którzy znajdowali się na pokładzie „Seekera” podczas ostatniego nurkowania Rouse'ów, zaangażowali się w misję, która, jak sami przyznają, przerodziła się w obsesję - postanowili rozwiązać tajemnicę „U-who”.

-Nie ważne, w jakie miejsce na świecie jechałem - wspomina Chatterton -nie ważne, czy nurkowałem na „Lusitani” czy na „Britannicu”, czy na „Dorii”, ludzie zawsze mnie pytali: „Hej, udało ci się w końcu zidentyfikować tego U-Boota?” Zdałem sobie sprawę z tego, że niezależnie od tego, co osiągnę w nurkowaniu, to jedno będzie mnie już na zawsze określać.

Po śmierci Rouse'ów wszyscy trzej nurkowie zastanawiali się, czy ryzyko było tego warte.

- U-Boot jest okrutnym wrakiem, niewiarygodnie ciężko się na niego nurkuje - mówi Chatterton. - Straciliśmy już Steve'a Feldmana, a potem Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów. Zastanawialiśmy się, ilu jeszcze nurków zginie zanim uda nam się wydrzeć tę tajemnicę. Dla tej trójki zidentyfikowanie wraku byłoby nie tylko osiągnięciem nurkowania technicznego, ale i hołdem wobec zmarłych towarzyszy. Po tym jak Chatterton odkrył na wraku nóż stołowy z inskrypcją HORENBURG na drewnianej ręczce, Chatterton, Yurga i Kohler przebadali archiwa w Wielkiej Brytanii

i Niemczech, aby spróbować dowiedzieć się więcej o Horenburgu, który jak założyli, był członkiem załogi U-Bootu. Odwiedzili archiwum U-Bootów w Cuxhaven w Niemczech, gdzie weteran U-Bootów Horst Bredow zestawiał ogromną ilość materiału związanego z U-Bootami, w tym pamiętniki z okresu wojny i raporty z patroli wojskowych. W archiwum jest również ściana pamiątkowa, na której wypisano według numerów okrętów nazwiska wszystkich członków załóg U-Bootów, łącznie z tymi, którzy zginęli. Chatterton i członkowie jego zespołu odnaleźli wzmiankę tylko o jednym Horenburgu, radiooperatorze na U-869. Logicznie rzecz biorąc zatem „U-who” powinien być U-869. Ale według zapisów, U-869 został zatopiony 28 lutego 1945 roku przy wybrzeżu Casablanki, w wyniku ataku głębinowego USS Fowler i FR L'Indiscret.

Część problemu z ustaleniem położenia „U-who” była pochodną technologicznych osiągnięć Aliantów. W maju 1941 roku Alianci byli w stanie przełamać ściśle tajny kod niemieckiej marynarki, po tym jak udało im się przechwycić nietknięty U-110. W ten sposób zdobyli podstawowe książki kodów, dokumenty szyfrujące i maszyny kodujące. Złamanie niemieckiego kodu umożliwiło zrozumienie wiadomości wysyłanych przez naczelną dowództwo do kapitanów U-Bootów. Często zdarzało się tak, że Alianci znali rozkazy U-Bootów zanim jeszcze poznali je ich kapitanowie. Osiągnięcie brytyjskiej techniki - radionamierniki (radiowe stacje namiarowe) - pomogło zdecydowanie zmniejszyć zagrożenie ze strony U-Bootów, ale jednocześnie utrudniło zespołowi nurkowemu rozwiązanie tajemnicy „U-who”. System Huff-Duff umożliwił szybkie i precyzyjne określenie położenia U-Bootu dzięki radiowym wiadomościom, które łódź podwodna wysyłała do sztabu. Wymiana wiadomości przez radio była kluczem do koordynowania ataków „wilczych stad” U-Bootów. Gdy patrolujący U-Boot dostrzegł konwój statków handlowych, najpierw musiał się wynurzyć, nadać wiadomość radiową do kwatery głównej, podając położenie, liczbę statków, kierunek i szybkość konwoju, a potem czekać na rozkazy, utrzymując jednocześnie kontakt wzrokowy z wrogiem. Wówczas za pomocą sygnałów radiowych z kwatery głównej kierowano na ten obszar inne U-Booty. Wszystkie sygnały były koordynowane dzięki mapie podzielonej na kwadraty, z których każdy miał osobny numer i oznaczenie literowe. Komunikaty radiowe były słabością, którą

Brytyjczycy mogli wykorzystać. Na nieszczęście załóg U-Bootów, niemieckie dowództwo naczelne nie uwierzyło w możliwość istnienia stacji namiarowych i w to, że ich militarne kody mogą zostać rozszyfrowane.

Ogłoszono, że U-869 zatonął przy Casablance, ponieważ Alianci przechwycili zakodowaną wiadomość, nakazującą U-Bootowi zmianę pozycji ze środkowego Atlantyku na afrykańskie wybrzeże. Kiedy USS Fowler i FR L'Indiscret nawiązały kontakt z niemieckim U-Bootem przy wybrzeżu Casablanki i zaatakowały go, uznano, że prawdopodobnie zniszczony został U-869. W rezultacie Chatterton, Yurga i Kohler uznali, że nawet jeśli Horenburg znajdował się na pokładzie U-869, gdy ten zatonął przy Casablance, jego nóż musiał w jakiś sposób trafić na U-Boot, który odkryli przy wybrzeżu New Jersey. Może Horenburg zapomniał zabrać ze sobą nóż, kiedy został przeniesiony z innego U-Boota na U-869, a dokumenty świadczące o służbie na pierwszym statku uległy zniszczeniu. Albo Horenburg zgubił nóż na lądzie, ktoś inny go podniósł i zabrał na U-who. Zespół nurków stwierdził w każdym razie, że jedynym realnym sposobem, pozwalającym rozwiązać tajemnicę i definitywnie zidentyfikować okręt, jest odnalezienie w jego wnętrzu czegoś, na czym znajdowałby się numer identyfikujący.

Ale gdy znaleźli się wewnątrz „U-who”, Chatterton, Yurga i Kohler poczuli rozczarowanie. W miejscach, w których powinna się znajdować identyfikująca tabliczka, pozostały tylko śrubki. Słona woda strawiła wszystkie tabliczki. To oznaczało, że nie były wykonane z mosiądzu ani żadnego innego odpornego materiału, ale z cyny albo czegoś równie miękkiego, co szybko niszczy pod wodą. Grupa nurków znalazła już wtedy we wraku schematyczny rysunek U-Boota, który identyfikował go jako okręt typu IX-C, skonstruowany w ośrodku Deschimag w Bremie. Odkryli także porcelanową misę z orłem i swastyką, które były emblematami niemieckiej marynarki w czasie II wojny światowej, oraz z datą 1942. Nieobecność wykonanych z miękkiego metalu tabliczek była dowodem, że ataki z powietrza, w połączeniu z porażkami militarnymi Niemiec na ziemi spowodowały problemy ze strategicznymi surowcami, takimi jak mosiądz.

Chatterton był sfrustrowany. Minęło pięć lat odkąd odkrył U-Boota. Trzech nurków zginęło nurkując na niego, a każdy członek zespołu Chattertona zainwestował wiele

czasu i pieniędzy w wyprawy na wrak i do archiwów w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Niemczech. Tymczasem tożsamość wraku nadal pozostawała tajemnicą. Wewnątrz „U-who” musiało przecież znajdować się coś, co by go jednoznacznie zidentyfikowało. Trzej nurkowie badali sprawę niczym detektywi pracujący nad strasliwym przestępstwem. Wreszcie zrozumieli, że pozostała im tylko jedna możliwość znalezienia nieuchwytej tabliczki z numerem. Odpowiedź musiała się znajdować w siłowni elektrycznej, jedynym pomieszczeniu, do którego nie byli w stanie wpląć, w skrzyniach z częściami.

Siłownia elektryczna była przedostatnim pomieszczeniem, gdy płynęło się w kierunku rufy. Zanim nurkowie mogli dotrzeć do tego obszaru, musieli przepłynąć przez siłownię, która na większości U-Bootów oferowała wąskie, ale możliwe do przepłynięcia przejście między dwoma potężnymi silnikami Diesla, które napędzały U-Boota na powierzchni. Ale „U-who” był straszliwie zniszczony, a słona woda jeszcze bardziej pogorszyła jego stan, przez co potężne płyty metalu blokowały wejście do przedziału. Richie Kohler częściowo usunął już złom blokujący drogę do siłowni, ale wkrótce natrafił na nowe przeszkody - stalową belkę, która zawaliła się i teraz leżała pod kątem, dzieląc i tak ciasne pomieszczenie na dwie mniej więcej równe części, oraz potężny metalowy zbiornik, który spadł ze stalowej ramy, osadzonej przy suficie. Nurek z butlami umieszczonymi na plecach nie mógł przepłynąć między tymi dwiema przeszkodami. Ale zdeterminowany, by rozwiązać tajemnicę, Chatterton wymyślił coś, co było albo natchnionym rozwiązaniem, albo wyrafinowanym pomysłem na popełnienie samobójstwa.

Z Chattertonem skontaktował się producent telewizyjny, pytając się, czy odkrył już tożsamość U-Boota.

-Nie rozwiązałem jeszcze tej tajemnicy, ale wkrótce zamierzam - powiedział Chatterton. - Co powiecie na sfilmowanie tego?

Producent miał zapłacić za przewiezienie Chattertona i pozostałych członków zespołu na miejsce, gdzie znajdował się „U-who”, a w zamian otrzymać wspaniałą historię. Chatterton sam podniósł sobie poprzeczkę.

- Zawieziemy was tam, ale musimy znać wasz plan - powiedział głos na krańcu linii telefonicznej. Chatterton opisał, co zamierza zrobić, a kierownik produkcji zgodził

się. Po zakończeniu rozmowy telefonicznej telewizja skonsultowała się z innymi nurkami. Trzy dni później producent oddzwonił do Chattertona.

- Nie jesteś obłąkany, prawda, John? - zapytał go. Inni nurkowie uznali plan Chattertona za szaleństwo i szefowie byli zaniepokojeni, że mają do czynienia z niepoczytalnym ryzykantem.

-Nie, nie jestem szalony- odpowiedział spokojnie Chatterton. - Jestem profesjonalnym nurkiem. Zarabiam na życie pod wodą i to od wielu lat, co właściwie może być symptomem szaleństwa. Ale jeśli chodzi o mój plan, to tak, jest on niebezpieczny. Gdyby to było proste, każdy byłby w stanie to zrobić i rozwiązalibyśmy tę sprawę dawno temu. Powiedział też producentowi, że bardzo precyzyjnie obmyślił nurkowanie. Zamierzał poruszać się powoli, krok za krokiem, będąc asekurowany przez nurków, którym ufał.

-Zakończenie tej sprawy będzie wymagało kilku prób. Nadal jesteście zainteresowani?-spytał.

Uspokojeni racjonalnym wyjaśnieniem Chattertona producenci wyłożyli fundusze na ponowne przewiezienie grupy nurków na „U-who”, bez gwarancji sukcesu. Jak powtarza Chatterton:

- Prawdziwa przygoda nie ma przewidywalnego zakończenia. W niczym nie przypomina wycieczki do Disneylandu .

Doświadczenia Chattertona z „U-who” były dalekie od świata Disneya.

Nurkując na „U-who”, aby przetestować swój plan, Chatterton miał na plecach tylko pojedynczą butlę, drugą natomiast przyczepił do boku tak, jak w stylu jaskiniowym stosowanym już wówczas przez wszystkich nurków technicznych. Richie Kohler towarzyszył Chattertonowi i miał go asekurować, podobnie jak Chris Rouse swojego syna. Ponieważ Chatterton i Kohler kierowali się w stronę rufy, wpłynęli do wraku po przeciwnej stronie tego samego otworu, przez który Chrissy Rouse wszedł podczas swojego ostatniego nurkowania. Kiedy dotarli do wjazdu, Chatterton odczepił butlę, którą niósł na boku i położył ją na dnie. Potem zdjął uprząż, która utrzymywała drugą butlę na plecach. Najpierw przepchnął uprząż i butlę przez wjazd, potem przesunął je nad belką, na koniec przepłynął sam związany węzłem oddechowym z butlą z życiodajnym gazem. Kiedy już znalazł się po drugiej stronie belki. Chatterton z

powrotem nałożył uprząż z butlą i wpłynął do siłowni elektrycznej. Pobieźnie ocenił pomieszczenie, a potem powtórzył procedurę wypływając z przedziału. Kohler, który czekał na zewnątrz siłowni, poczuł ulgę widząc latarkę Chattertona błyskającą w jego polu widzenia. Dwójka wypłynęła z wraku i wynurzyła się wzdłuż liny kotwicznej na powierzchnię. Kilka godzin później po powrocie na łódź wszyscy byli podekscytowani tym, że Chattertonowi udało się bezpiecznie wpłynąć do przedziału i wydostać się, używając swojego radykalnego podejścia. Kohler i Chatterton planowali wrócić i nakręcić jakiś materiał filmowy wewnątrz siłowni elektrycznej zanim zmacą osad, szukając cennej tabliczki, która pozwoli zidentyfikować okręt. Ich następne nurkowanie przebiegało na początku bez problemów. Chatterton dostał się do siłowni elektrycznej, gdzie z powrotem nałożył swoją pojedynczą butlę. Kiedy jednak Kohler przepchnął nad belką nieporęczną kamerę. Chatterton nie mógł jej dosięgnąć. Jego ciało zaklinowało się w ciasnym, pełnym złomu pomieszczeniu, a jego butla była przyparta do sufitu. I wtedy nastąpiła katastrofa. Stalowa belka runęła na Chattertona. okręcając go w ten sposób, że jego butla została przyszpilona do podłogi.

Belka zwała się na klatkę piersiową Chattertona. Znajdował się 70 metrów pod wodą, przyparty do podłogi jak Chrissy Rouse. Na szczęście, w odróżnieniu od Chrissy'ego Rouse'a, leżał twarzą do góry i miał jaśniejszy umysł, ponieważ oddychał trimixem.

Chatterton spojrział na swój głębokościomierz. Wiedział, że Richie Kohler, który miał na plecach podwójny zestaw butli, nie może mu przyjść z pomocą i uratować go tak jak Chris Rouse swojego syna. Dysponując tylko jedną butlą musiał działać szybko, aby się uratować. Próbował podnieść belkę rękami. Poruszyła się, ale była tak długa, że jej daleki koniec utkwiał między metalowymi fragmentami. Chatterton był nadal uwięziony. Próbował rozkołysać belkę drobnymi ruchami w jedną stronę, ale to także nie poskutkowało. Wysiłek sprawił, że oddychał jeszcze szybciej lekkim helem. Nigdy wcześniej w całej swojej karierze nurkowej John Chatterton nie znalazł się w tak okropnej sytuacji. Jego jedyną nadzieją było wyswobodzenie się z noszaka, który utrzymywał na miejscu butlę, potem skuliłby się, wydostał sam spod belki, a na koniec wyciągnął butlę. Gdyby nie udało mu się wyciągnąć butli, musiałby

wstrzymać oddech i przepłynąć 9 metrów do Kohlera, który zapewniłby mu gaz ze swoich zapasów.

Czy Chatterton przekroczył granice rozsądku? Czy w swoim obsesyjnym pragnieniu jednoznacznego zidentyfikowania U-Bootu kusił los? Czy uporczywa ciekawość i zachęta ze strony innych ludzi, w tym producentów telewizyjnych, zaburzyły jego ocenę tego, co można wykonać pod wodą? Znalazł się tak blisko zidentyfikowania tabliczki i tak blisko śmierci. Albo stał na rozstaju dróg, albo nad przepaścią.

Chatterton odzepił noszak, który utrzymywał jego butlę na miejscu. Wygiął ciało jak Houdini, uwalniający się z łańcuchów, które więziły go w wypełnionym wodą pudle. Szarpanie się zredukowało wszelką widoczność do zera i mógł działać, polegając wyłącznie na dotyku. Kurczył ciało między znajdującą się stalową belką znajdującą się nad nim a noszakiem z butlą pod nim. Kiedy wreszcie udało mu się wydostać spod belki, poczuł, że unosi się do góry, ponieważ gaz wypełniający jego suchy kombinezon nie był już równoważony ciężarem butli. Chatterton musiał przytrzymać się belki, by nie wystrzelić pod sufit przedziału U-Bootu i by automat nie wypadł mu z ust.

Chatterton odepchnął się na dół, a jego ciało znalazło się na poziomie belki. Potem szarpnął za uprząż i butlę, wyciągając je spod złomu. Chwycił butlę, pchnął ją przed sobą i przecisnął się między szczątkami wraku, które tak utrudniały dostanie się do tego pomieszczenia. Roztrzęsiony tymi przeżyciami, opuścił z Kohlerem wrak. Przeprowadzając dwugodzinną dekompresję, Chatterton zastanawiał się czy U-who kiedykolwiek wyjawí swój sekret.

Podczas następnego nurkowania Chattertonowi i Kohlerowi asystował Pat Rooney, doświadczony nurek wrakowy, dysponujący dużymi umiejętnościami, który -podobnie jak Kohler -miał reputację nieustraszonego nurka. Mimo przeszkód, Chatterton nakręcił trochę materiału filmowego ręczną, niewygodną kamerą. Po powrocie na powierzchnię, obejrzał nagranie wideo, żeby upewnić się, w którym dokładnie miejscu można znaleźć skrzynie z częściami. Potem zanurkował po raz kolejny. Popłynął wzdłuż wraku, przeciskając się między znajomymi już przeszkodami, dopóki nie znalazł się w siłowni elektrycznej, przy skrzyniach z częściami. Trudno w to uwierzyć, ale natrafił tu na jeszcze jedną przeszkodę: na stos

pudeł spadła stalowa belka. Próby poruszenia jej nie przyniosły żadnego skutku, twarda skorupa trzymała ją mocno na miejscu. Nie mógł ruszyć rury ani dostać się do skrzyń, w których, jak miał nadzieję, znajdowała się tabliczka z numerem identyfikującym U-Boota. Zaklął do automatu, głęboko sfrustrowany. Wiedział, że musi zabrać ze sobą narzędzia i zanurkować raz jeszcze.

Gdy następnym razem Chatterton wpłynął do siłowni elektrycznej, zabrał ze sobą ciężki drewniany młot, nazywany pobijakiem. Zakołysał narzędziem niczym Thor, dziecięca frustracja zastąpiła jakiegokolwiek resztki ostrożności, jakie mógł mieć profesjonalny nurek. Uderzenie młota omal nie stało się ostatnią rzeczą, jakiej Chatterton dokonał w życiu. Kiedy opadł osad, Chatterton zobaczył, że uderza młotkiem nie w rurę, ale w aluminiową butlę ze sprężonym tlenem z indywidualnego aparatu ucieczkowego, automatu zaprojektowanego po to, by marynarz mogli opuścić tonący okręt. Chatterton zamarł.

Dobrze wiedział na co patrzy i jak zabójcza mogła być taka butla. Wydobył już podobną butlę z „U-who” podczas poprzedniej wyprawy, ponieważ wiedział, że powinno być na niej wyryte nazwisko marynarza. Ale kiedy obejrzał ją na powierzchni i oczyścił, z rozczarowaniem odkrył, że nie ma na niej żadnego napisu. Odłożył więc butlę na półkę w swoim garażu. Kiedy do niej wrócił po kilku dniach, zobaczył tylko pogięty metal i pokierszowaną półkę - butla z tlenem wybuchła.

Teraz Chatterton unosił się ostrożnie nad stosem skrzyń przygniecionych przez butlę z tlenem. Z pobijakiem w ręku zastanawiał się, co powinien zrobić. Kolejny cios mógł spowodować wybuch. Gdyby to nastąpiło, Chatterton prawdopodobnie natychmiast by zginął albo wskutek uderzenia fal, które rozdarłoby mu brzuch, płuca i jelita, albo od fragmentów metalu, które z pewnością by na niego spadły. Ale zaszedł zbyt daleko i zbyt często ryzykował dla tej sprawy swoim życiem, by nie podjąć ryzyka raz jeszcze.

Wierząc, że zaprojektowany przez Niemców pojemnik wytrzyma. Chatterton walnął po raz drugi.

Miał szczęście. Skorupa, która przytrzymała butlę przy skrzyniach rozpadła się i Chatterton mógł odsunąć na bok tą bombę zegarową. Chwycił skrzynię leżącą na samej górze i przeniósł ją do Kohlera i Rooney'a, którzy czekali po drugiej stronie

stalowej belki, wewnątrz siłowni. Rooney chwycił skrzynię i wyciągnął ją na zewnątrz wraku. Tam przyczepił ją do boi dekompresyjnej i posłał na powierzchnię. Tymczasem Chatterton wrócił po drugą skrzynię, podsunął ją Kohlerowi, który zabrał zdobycz z okrętu. Przy zerowej widoczności w siłowni elektrycznej i mając niewiele czasu, Chatterton wypłynął z U-Boota w ostatniej, miał nadzieję, chwili. Skinął głową z szacunkiem w stronę wraku, który był ostatnim miejscem, w jakim nurkowali Chris i Chrissy.

Na powierzchni grupa nurków otworzyła skrzynie z częściami, znajdując to, czego tak długo szukali - tabliczkę z numerem identyfikującym U-Boota: U-869. Był 31 sierpnia 1997 roku. Rozwiązali tajemnicę na dzień przed szóstą rocznicą odkrycia wraku, w cztery lata i dziesięć miesięcy po tym, jak Chris i Chrissy Rouse'owie zostali uwięzieni w pomieszczeniu znajdującym się o dwa przedziały od upragnionego Graala. Kamera telewizyjna zarejestrowała ulgę i uniesienie, jakie czuł każdy z obecnych.

Teraz podstawowe pytanie brzmiało: dlaczego według archiwów wojennych U-869 zatonął po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego? Chatterton udzielał odpowiedzi na to pytanie w tyłu wywiadach dla mediów, na spotkaniach klubu nurkowego i na konferencjach, że mówi, jakby czytał ze scenariusza:

- Podczas wojny Alianci wychwycili i zdekodowali wiadomość radiową z kwatery głównej U-Bootów, nakazującą U-869 zmianę patrolowanego obszaru z wschodniego wybrzeża USA na wybrzeże Afryki. Alianci wiedzieli dzięki swoim stacjom namiarowym i wcześniejszym wiadomościom z U-Boota, że U-869 znajdowało się na środkowym Atlantyku. Ale z zachowanych zapisów wynika, że U-869 nigdy nie potwierdził przyjęcia rozkazu zmiany obszaru patrolowania. Nadal płynął w stronę wybrzeża USA, zgodnie z pierwotnym rozkazem. Kwatera główna U-Bootów nie nawiązała już kontaktu z U-869, okręt został więc uznany za zaginiony, przypuszczano, że zatonął gdzieś między środkowym Atlantykiem a wybrzeżem Afryki. Pod koniec wojny Alianci oddelegowali brytyjskiego oficera do tego, by określił ostateczny los każdego U-Boota, by mieć pewność, że żadne okręty podwodne niw pozostają w ukryciu. Oficer ten ustalił na podstawie raportów z działań USS Fowler i FR L'Indiscret, że U-Bootem zniszczonym przez te statki był

najprawdopodobniej U-869. Status okrętu został zmieniony z prawdopodobnego zniszczenia do potwierdzonego i w takiej formie wprowadzono go do archiwów i ksiąg historycznych.

Jeśli U-869 nie został zniszczony przez USS Fowler i FR L'Indiscret, jak zatonął? Odpowiedź związana jest z torpedą znaną obok zniszczonego przedziału dowodzenia, blisko miejsca, w którym Chrissy omal nie został zmiżdżony. Numer seryjny na głowicy torpedy ujawnił, że była ona niemiecką torpedą akustyczną T-5, zaprojektowaną, by namierzać odgłos siłowni statku. Według archiwów niemieckiej marynarki, przynajmniej 30 procent niemieckich torped w początkowej fazie wojny stanowiły niewypały albo torpedy detonowane w niewłaściwym czasie i miejscu, co sprawiało, że ataki U-Bootów były ryzykownym przedsięwzięciem dla dowódców i załogi. Dowództwo niemieckich U-Bootów wiedziało pod koniec 1943 roku, że torpeda typu T-5 może funkcjonować nieprawidłowo - wystrzelona może zawrócić i zniszczyć rodzimego U-Boota. J.P. Mallmann Showell, autor *U-boats Under the swastika*, spekuluje, że U-377 i U-972 zostały zniszczone przez własne torpedy T-5. Prawdopodobnie U-869 wystrzelił jedną ze swoich torped T-5 ale została ona naprowadzona hałasem z własnej siłowni U-Boota, wykonała zwrot po okręgu i zniszczyła siatek, zabijając natychmiast całą załogę.

Rozwiązanie tajemnicy U-869 kosztowało życie trzech nurków, w tym naszych przyjaciół Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów, i omal nie zabiło Johna Chattertona. Wiedział, że podczas ostatniego nurkowania na U-Boota do granic wykorzystał swoje szczęście i umiejętności. Gdyby jeszcze choć jedna rzecz poszła nie tak, najprawdopodobniej by zginął. Rezultat jego wysiłków od śmiertelnego nurkowania Rouse'ów oddzielała bardzo cienka linia. Niektórzy ludzie zdecydowanie oddzieliliby przetrwanie i sukces Chattertona od śmiertelnej porażki ojca i syna twierdząc, że śmierć Rouse'ów wynikała z ich rezygnacji z nurkowania na mieszankach oddechowych. Nie było ich stać na jasność umysłu, która ocaliła Chattertona, a bez niej nie zdołali sobie poradzić.

U-Boot zmienił życie Chattertona. Wiedział, z doświadczenia zdobytego w Wietnamie, że zewnętrzna maska każdego człowieka opada, gdy staje on na krawędzi życia i śmierci. To, w jaki sposób człowiek radzi sobie z tą krawędzią,

pokazuje, kim jest naprawdę. Chatterton postanowił nie odwracać się od potencjalnie zabójczego rozwiązania tajemnicy „U-who”.

- Największe ryzyko, jakie podjąłem nurkując na U-Boola, to ryzyko porażki - mówi. - Nie musiałem nurkować na ten wrak ani wydawać prawie czterdziestu tysięcy dolarów z własnego konta, by rozwiązać tajemnicę okrętu. Mogłem to po prostu zostawić. Ludzie ciągle powtarzali: „Prawdopodobnie ktoś, kto zanurkuje na ten wrak po raz pierwszy, podniesie z piachu coś, co zidentyfikuje okręt”. Słyszając to, byłem zdumiony - zupełnie jakby oczekiwali, że nie podejmę żadnej próby zidentyfikowania okrętu, że będę czekać, aż ktoś się natknie i rozwiąże tę tajemnicę przez czysty przypadek. To pokazuje tylko, jak dobrzy są ludzie w wynajdywaniu sobie przeszkód, wymyślaniu wymówek, żeby czegoś nie robić, zamiast zużytkować całą swoją energię na rozwiązanie problemu, przed którym stoją. Dokonałem bardzo świadomego wyboru. Postanowiłem, że zrobię wszystko, co konieczne, by zidentyfikować wrak.

Po rozwiązaniu tajemnicy „U-who”, Chatterton zrozumiał, że w nurkowaniu wrakowym dotarł na szczyt. Musiał przestać.

-Wszystkie okoliczności, intensywność wysiłku i to, jak dużo czasu zajęło rozwiązanie zagadki — taka okazja już się w moim życiu nie pojawi. I nie pragnę tego. Nauczyłem się z tego doświadczenia tyle, ile mogłem. Zacząłem się bardziej nad sobą zastanawiać i mam nadzieję wykorzystać wszystko, czego się nauczyłem w czasie wyprawy na U-Boota w innych obszarach mojego życia.

Chociaż Chatterton nadal pracuje jako zawodowy nurek i jest obecnie kierownikiem koordynującym prace na pomoście, naprawy portowe i głębinowe i szkoleniowe projekty na powierzchni, porzucił nurkowanie techniczne i życie na krawędzi nurkowania sportowego. Nadal czerpie radość z wprowadzania innych w pełen emocji i cudów podwodny świat i nadal uczy nurkowania rekreacyjnego. Twierdzi

jednak, że nie odczuwa potrzeby tak intensywnego angażowania się w nurkowanie jak wówczas, gdy nurkował na tajemniczego U-Boota. Zastanawiam się jednak, jak długo Chatterton zdoła się oprzeć wołaniu głębi.

Nurkowe ekspedycje Chattertona i jego wyprawy poszukiwawcze były przyczyną częstych rozłąk z żoną, która spędzała większość czasu angażując się w jazdę konną. Rozwiedli się. Chatterton znalazł nową miłość w swoim życiu, kobietę, która uwielbia przygody, ale nie jest nurkiem i nie wie zbyt wiele o jego przeszłości nurkowej

- Ona nie wie, a ja się nad tym nie rozwodzę - mówi Chatterton. - Mam to już za sobą.

Po śmierci Chrisa i Chrissy'ego Sue stała się bardziej skoncentrowana. Dzięki temu zrozumiała, jak krótkie może być życie i jak ważne jest, by czerpać z niego tyle, ile można. Nienawidziła swojej pracy sprzedawcy ubezpieczeń i postanowiła odejść. Na początku rozważała powrót na studia dzienne. Chociaż uczęszczała na kursy wieczorowe, nigdy nie zdołała się obronić, mimo że uważała, że skończenie studiów byłoby prawdziwym osiągnięciem. A jednak był inny, pilniejszy plan, który musiała zrealizować. Odkąd Sue, Chris i Chrissy zajęli się nurkowaniem jaskiniowym, cała trójka dążyła do tego, by przeprowadzić się na Florydę i zarabiać na życie nurkowaniem. Ich celem była przeprowadzka w okolice Ginnie Springs w 1993 roku. Byłoby to wygodne nie tylko ze względu na nurkowanie jaskiniowe, które wszyscy tak kochali, ale i ceny gruntów i domów były tam niższe w porównaniu z Pensylwanią.

Chrissy uważał, że miał znacznie większe szanse na kupienie domu w pobliżu Ginnie Springs niż w północno- wschodnich Stanach Zjednoczonych. Sue postanowiła nadal pracować nad urzeczywistnieniem marzenia całej rodziny, nawet jeśli Chris i Chrissy nie mogli być przy niej, by się tym nacieszyć.

Zamiast wracać na studia, Sue została instruktorem nurkowania. Zawsze sprawiało jej przyjemność asystowanie kursantom i pomaganie tym, którzy mieli największe trudności w nauczaniu się nurkowania. Czowała, że jej własne szkolenie było niewystarczające i chciała pomóc ludziom uniknąć dyskomfortu, który sama na początku czuła, aby mogli w pełni cieszyć się tym sportem. Razem z innym

instruktorem nurkowania, którego znała od wielu lat, Sue otworzyła centrum Blue Abyss w północnym New Jersey. Chociaż nie mieszkała z Chrisem i Chrissym na Florydzie tak jak planowali, postanowiła spróbować utrzymać się z nurkowania. Mimo że Sue zaczęła budować nowe życie, nadal dręczyło ją pytanie, dlaczego Chrissy zmarł w komorze hiperbarycznej. Rozmawiała z dr. Billem Hamiltonem o kuracji syna, a potem próbowała się skontaktować z Glennem Butlerem, który sterował komorą. Nie udało jej się skontaktować z Butlerem, a on nie odpowiadał na jej telefony, co wydało jej się dziwne. (Butler twierdzi, że nie wiedział o tym, że Sue chciała się z nim skontaktować) Co równie dziwne, nie otrzymała rachunku za terapię Chrisa i Chrissy'ego. Wprawdzie jej mąż miał ubezpieczenie zdrowotne, ale Chrissy nie. W sześć miesięcy po ich śmierci Sue poprosiła szpital o dokumenty dotyczące wypadku. Kiedy nie udało jej się ich uzyskać, skontaktowała się z prawnikiem. Ale prawnik, z którym rozmawiała, był tylko zainteresowany ewentualnym zarobkiem, jeśli Sue zdecydowałaby się na wniesienie pozwu przeciw wszystkim osobom zaangażowanym w wypadek.

-Ja tylko chcę się dowiedzieć, co się wydarzyło - powiedziała prawnikowi Sue. - Nie chcę nikogo pozwać. Skoro nie było specjalnych szans na zarobek, prawnik stracił zainteresowanie. Sue skontaktowała się z innymi prawnikami, którzy również nie chcieli jej reprezentować, skoro nie chciała doprowadzić do procesu. Chociaż udało jej się uzyskać raporty Straży Przybrzeżnej i raport z autopsji, nie miała dostępu do rejestrów szpitalnych z terapii syna. Najwyraźniej zniknęły razem z ubraniem, które jej mąż miał na sobie, kiedy został przywieziony na izbę przyjęć. Sue nigdy nie wniosła pozwu przeciw komukolwiek z zaangażowanych.

Chociaż myśl o kolejnym intymnym związku była dla Sue bolesna, w końcu zbliżyła się do pewnego mężczyzny, który pracował w Underwater World, gdzie Chris i Chrissy uzyskali licencje i gdzie Chrissy znalazł zatrudnienie. Sue znała Scotta Kee od lat, a ich przyjaźń przemieniła się w romans. W 1997 roku Scott przeprowadził się do domu, który Sue wybudowała z Chrisem i Chrissym. Rok później Sue sprzedała dom i przeniósła się ze Scottem na Florydę, by rozpocząć nowe życie. Mają piękny dom z widokiem na wodę, w którym Scott ulokował również swoją firmę konsultingową specjalizującą się w nawigacji satelitarnej.

Przyjaciele pary zauważyli jak bardzo Scott różni się od Chrisa Rouse'a pod względem zainteresowań, temperamentu i pod względem fizycznym. Chris znakomicie sobie radził z wszelkimi zagadnieniami mechanicznymi, wszystko potrafił naprawić własnoręcznie. Scott nie jest złotą rączką i raczej opiera się na intelekcie w rozwiązywaniu problemów z satelitami, które są dosłownie spoza tego świata. Gdy Sue była żoną Chrisa, nie myślała o takich sprawach, jak zmiana oleju w swoim samochodzie. To było coś, czym Chris zajmował się automatycznie.

Choć Sue prawdopodobnie nie szukała celowo partnera, który tak znacząco różni się od jej zmarłego męża, Scott jest bardzo lubiany przez nurkujących przyjaciół Chrisa i innych znajomych Rouse'ów, którzy dostrzegają w ich związku harmonię, nie tak oczywistą jak w relacjach Sue z Chrisem i Chrissym. Przypominając sobie bezustanne spory między mężem a synem Sue stwierdza:

-Zawsze musiałam pełnić rolę mediatora między tą dwójką — robi pauzę i smutnieje, ale po chwili uśmiecha się i dodaje: - Wiesz co, Bernie? Kiedyś próbowałam się pokłócić ze Scottem, ale on mi tylko powiedział - naprawdę delikatnym tonem: Próbujesz się ze mną wyklócać. Hmm, widzę tu pewną prawidłowość.

Kto wie? Może ma rację. Może to ja prowokowałam bezustanne konflikty Chrisa i Chrissy'ego. Nie wiem, zawsze myślałam, że tak po prostu wyglądały ich wzajemne relacje, nie uważałam tego za kłótnie albo walki. - Sue cichnie, zagubiona w myślach, jak rozjemca, któremu brakło walczących stron do rozdzielenia.

Niektórzy przyjaciele Sue Rouse utrzymują, że jej związek z Chrisem zatrzymał się pod względem emocjonalnym na etapie szkoły średniej, kiedy się poznali. Podobnie jak wszystkie pary, nastoletni Sue i Chris prawdopodobnie stworzyli wzór zachowań na samym początku. Chris bezustannie przygadywał Sue, aby utrzymać nad nią kontrolę, a Sue nie pozostawała mu dłużna. Walczyli, jakby byli parą z sitcomu bawiącą siebie nawzajem i swoją publiczność. Przyjaciele Sue uważają jej nowy związek ze Scottem za znacznie dojrzałą więź, taką, jaka powstaje między dwojgiem dorosłych ludzi, którzy nie muszą sobie już niczego udowadniać, ponieważ wiedzą już kim są.

Doradztwo marketingowo - rozwojowe, które prowadziłem z Inabatą i jej klientem

Seiko w 1991 roku, mające na celu stworzenie nowych komputerów dla nurków przyczyniło się do powstania nowych produktów. Na początku komputery te kalkulowały jedynie nurkowania przeprowadzane na powietrzu i jako takie dołączyły do wielu innych podobnych komputerów dostępnych na rynku. W 1992 roku, po tym jak mój kontrakt dobiegł końca, nasz projekt zaowocował powstaniem komputera Bridge, pierwszego komputera nurkowego, powszechnie dostępnego na rynku, który kalkulował różne mieszanki tlenowo - nitroxowe, w tym czysty tlen. Byłem bardzo zadowolony z tych rezultatów. Miałem również przeczucie, że opracowane przez nas metody produkcji posłużą do stworzenia komputera kalkulującego mieszanki helowe, kiedy zainteresowanie nimi się zwiększy. W styczniu 2000 roku brytyjski nurek Kevin Gurr z powodzeniem wprowadził na rynek komputer przystosowany do kalkulowania mieszanek gazowych, a Inabata i Seiko wkrótce wprowadzą swój produkt.

Umiejętności, które nabyłem w czasie nurkowania, i ryzyko jakie podejmowałem zachęciły mnie do zaangażowania się w przemysł nurkowy nie tylko pod wodą, ale i na lądzie. Poczucie przygody, które miałem nurkując - a nawet doświadczenie choroby ciśnieniowej - nauczyły mnie, że moje życie jest zbyt krótkie, by nie podążać za swoimi aspiracjami. Pragnąłem więcej wolności niż mogła mi zapewnić praca na Wall Street. Chciałem robić coś, co kochałem. Podobnie jak Chatterton dokonałem po swoim wypadku i po śmierci Rouse'ów pewnych poważnych zmian w moim życiu. Ale w odróżnieniu od Chattertona zaangażowałem się w nurkowanie jeszcze bardziej, podobnie jak Sue Rouse. Czerpałem inspirację z Chrisa i Chrissy'ego. Rouse'owie mieli odwagę, by podążać za swoimi marzeniami, i chociaż spotkał ich straszliwy los, żyli tak jak chcieli i byli spełnieni, choć tylko przez krótką chwilę. Wiedziałem, że aby być naprawdę szczęśliwy, musiałem zrobić to samo. Podobnie jak Chris Rouse, gdy tworzył Black Cloud Scuba, podjąłem ogromne ryzyko finansowe. Z grupą innych nurków i inwestorów stworzyłem czasopismo „immersed: the international technical diving magazine”. “immersed” ukazuje się już od pięciu lat i jest źródłem informacji, z którego jestem dumny, takim, w którym nurkowie sportowi, techniczni, wojskowi i zawodowi oraz agencje rządowe i instytucje badawcze mogą znaleźć porady, relacje z przygód i informacje na temat

postępów, jakie zachodzą w sporcie.

Chociaż nadal mam pewne problemy zdrowotne, zrobiłem wszystko, co było możliwe, by wykorzystać dostępną technologię do ich pokonania. Po moim wypadku zorganizowałem wyprawę do Islandii, podczas której Steve Berman i kanadyjski nurk Kim Martin zbadali i umieścili na mapie najbardziej znaczące pod względem geologicznym jaskinie na wyspie. Uczestniczyłem w ekspedycji brytyjskiej armii, mającej na celu odkrycie położenia HMS „Pheasant”, niszczyciela z okresu I wojny światowej, który zaginął przy Orkadach w Szkocji. Znaleźliśmy wrak i zanurkowaliśmy na głębokość 85 metrów. Przeprowadziłem też moje najgłębsze nurkowanie, na głębokość nieco przekraczającą 91 metrów, nurkując na niemiecki wrak z czasów II wojny światowej, „Blücher”, w Oslo Fjord.

Chociaż porzuciłem na pewien czas aktywne nurkowanie, by upewnić się, że jestem dostatecznie związany z lądem, coś ciągnęło mnie z powrotem ku głębokiej wodzie. Wiem, że po zabezpieczeniu rodziny i ustabilizowaniu swoich dochodów, wkrótce odpowiem na wołanie syren, wzywające, bym wrócił do królestwa, do którego należę.

Nadal kontynuuję moją fascynację nurkowaniem, ale patrzę teraz również do góry. Zostałem licencjonowanym pilotem motolotni i obecnie pracuję nad uzyskaniem licencji pilota ultra lekkich samolotów. Związki między nurkowaniem, lataniem czy nawet eksploracją przestrzeni są większe niż ludziom się wydaje: ciśnieniowe kombinezony lotnicze zostały stworzone na podstawie projektów skafandrów nurkowych z XIX wieku. Rozwój skafandrów kosmicznych również następował pod przemożnym wpływem rozwoju skafandra służącego do głębokiego nurkowania, zwłaszcza sztywnych jednoatmosferycznych skafandrów, które pozwoliły nurkować na głębokości ponad 609 metrów. Skafandry, które astronauta będą nosić w przestrzeni w XXI wieku mogą równie dobrze być zmodyfikowanymi sztywnymi kombinezonami nurkowymi, a robotnicy przyszłości, którzy będą konstruować stacje kosmiczne, mogą być najpierw szkoleni jako nurkowie zawodowi z powodu podobieństwa między głębokim morzem a obcym środowiskiem przestrzeni kosmicznej.

Przestrzeń, woda, ląd - obecnie ludzie należą do każdego z tych środowisk. Kusi nas

badanie odległych horyzontów. Wiedza, którą zyskujemy dzięki naszym eksploracjom na ziemi, bez wątpienia może być zastosowana w pomysłnej eksploracji przestrzeni. Gdy nauczymy się, jak pokonać ograniczenia naszego ciała, gdziekolwiek zawiedzie nas podróż, będziemy podążać w głąb samych siebie.

Od Autora

Kiedy myśle o wszystkich moich przyjaciółach, takich jak Chris i Chrissy Rouse i wielu innych nurkach, którzy zginęli podczas nurkowania, wolałbym, by ta książka nigdy nie powstała. Wstępny szkic nakreśliłem w 1998 roku, prawie sześć lat po śmierci Rouse'ów. Sądziłem, że z emocjonalnego punktu widzenia upływ czasu znacznie ułatwi mi pisanie o doświadczeniach moich przyjaciół i moich własnych. Pomyliłem się. Przeprowadzając liczne wywiady i przeglądając materiały dotyczące śmierci Chrisa i Chrissy'ego na nowo przeżywałem ich wypadek i traumę tych wszystkich, którzy ich znali.

Chociaż napisanie tej książki nie przyszło mi łatwo, nadał mi to, co czułem wiele lat temu, gdy stawiałem pierwsze kroki w nurkowaniu: świat nurków jest

fascynujący. Miałem zaszczyt poznać wielu nurków z całego świata, w tym również tych, którzy torowali nowe drogi w tym sporcie. Głęboko żałuję, że mogłem w tej książce wspomnieć tylko o niektórych spośród wielu znakomitych nurków, przedstawiając wyrywkowo ich historię.

Jak lubię powtarzać swoim kursantom podczas wykładów, nurkowanie jest sportem oferującym wiele możliwości, dzięki czemu można się w nim rozwijać przez długie lata, dążąc do takiego poziomu, jaki tylko chce się osiągnąć. Dla nurków, którzy wolą zostać w stosunkowo płytkiej wodzie i podziwiać wielobarwne środowisko koralowców w ciepłych wodach, nurkowanie jest relaksującym i stosunkowo bezpiecznym sportem, podobnie jak chodzenie po górach. Pragnienie znalezienia się w czołówce sportów takich jak nurkowanie - przeprowadzanie penetracji wraków i jaskiń, a w przypadku wspinaczki górskiej zdobywanie Mount Everestu albo K2 - zawsze będzie wabić jedynie garstkę ludzi, którzy są dostatecznie zmotywowani, by rozwijać swoje umiejętności, zdobywać doświadczenie i sprzęt, niezbędne do tego, by zakwalifikować się na ekspedycje.

Pragnę podziękować wielu osobom, które wspaniałomyślnie poświęciły mi swój czas i udzieliły mi wywiadu albo listownie odpowiedziały na moje pytania. Wśród osób tych znaleźli się, w kolejności alfabetycznej: Steve Berman, Steve Bielenda, Janet Bieser, Julia Bissinger, Jim Bowden, Bob Burns, Glenn Butler, Pete Bull, John Chatterton, Sue Crane, Paul Curtin, Cathie Cush, Billy Deans, Evie Dudas, Steve Foreman, Hank Garvin, Steve Gatto, Gary Gentile, Terry German, John Griffilh, Mike Gucken, Kevin Gurr, Janet Hall, M.D., Peter Hess, dr Karen Jensen, Richie Kohler, Ann Kristovich, D.D.S, Barb Lander, Leslie Leanie, Don McDevitt, Steve McDougall. Denny McLaughlin, Michael Menduno, John Moyer, Kevin O'Brien, John Reekie, Ken Reinhart, dr Stéphanie Schwabe, Tim Stumpf, Lisa Teklits, John Thornton i Denny Willis.

Ponadto, chciałbym podziękować kilku osobom, które rozmawiały ze mną o wypadkach związanych w jakiś sposób z tą książką i których wspomnienia pomogły w wypełnieniu luki w przebiegu wydarzeń albo w mojej wiedzy technicznej. Należą do nich Dennis Anacker, Jim Baden, John Harding, Howard Klein, Wings Stocks i Joe «Zero» Terzuoli. Niektóre osoby zrecenzowały fragmenty rękopisu,

opowiadające o nich samych lub odnoszące się do tematyki, w której się specjalizują. Pragnę im szczególnie podziękować za poświęcony czas i cenne uwagi. Osoby te to: Mike Emmerman, dr Bill Hamilton i Karl Huggins. Dr Jennifer Hunt przeczytała większą część rękopisu, w tym kilka późniejszych wersji i jestem jej ogromnie wdzięczny za sugestie, wieloletnie wsparcie i wnikliwe uwagi z zakresu behawioryzmu i psychologii. Pragnę też podziękować Gracielli Ramos za jej spostrzeżenia.

Szczególnie dziękuję Sue Rouse. bez której wsparcia ta książka w ogóle nie byłaby możliwa.

Wiele nauczyłem się o rzemiośle pisarskim i wydawniczym, za co pragnę podziękować Jenny McPhee, mojej ulubionej nauczycielce na Warsztatach Pisarzy Gotham na Manhattanie oraz Bobowi Sternerowi, współwydawcy naszego czasopisma „immersed”. Poza Bobem chcę także podziękować pozostałym partnerom biznesowym z „immersed”: Tomowi Easopowi, Markowi Haasowi, Kevinowi O'Brienowi i Harry'emu White'owi za wsparcie dla wizji, z którą zwróciłem się do nich wiele lat temu oraz za spostrzeżenia dotyczące biznesu i działalności wydawniczej, którymi się ze mną podzielili.

Elaine Goodman szybko i perfekcyjnie wywiązała się z zadania spisania z taśm licznych wywiadów i bardzo dziękuję jej za ten wysiłek.

Pragnę również podziękować mojemu sąsiadowi Lloydowi «Butch» Wardowi, który na bieżąco czytał moją pracę i przekazywał mi swoje opinie.

Podziękowania należą się również edytorowi Davidowi Groffowi, który pomógł mi w odnalezieniu się w nowym stylu pisarskim, a także za jego entuzjizm, znakomitą pracę edytorską i sugestie, jak poprawić rękopis.

Z serca dziękuję również mojej redaktor z wydawnictwa Harper Collins -Trenie Keating, za wiarę w tę historię i w moją zdolność opisanie jej, a także za jej wsparcie, pracę edytorską i nieocenione sugestie ulepszenia tej książki.

Tom ten mógłby się w ogóle nie ukazać, gdyby nie wysiłki mojego oddanego agenta Andrew Stuarda z Literary Group International, który wyszedł poza zakres swoich obowiązków, by doszło do wydania tej książki.

Szczególne podziękowania kieruję pod adresem moich rodziców, dr. Benoy'a

Chowdhury i Lili Chowdhury, za przekazanie mi tylu niezwykłych, cennych doświadczeń życiowych i zaszczepienie mi ciekawości świata. Szczególnie dziękuję matce za nauczenie mnie języka niemieckiego, daru, dzięki któremu miałem wstęp do innej kultury. Dziękuję mojej zmarłej babci Lizzi Krüger za jej bezwarunkową miłość i wiele niezapomnianych chwil, które wspólnie spędziliśmy, a także za jej prezent - fajkę do nurkowania, którą podarowała mi, gdy byłem dzieckiem.

Jestem dłużnikiem oddanych profesjonalistów z amerykańskiej Straży Przybrzeżnej, a zwłaszcza osób, które brały udział w mojej ewakuacji helikopterem po moim wypadku w 1991 roku. Dziękuję również Dennisowi Anackerowi, Danowi Crowellowi, Dave'owi Dannenburgowi, Johnowi Hardingowi, dr. Ignaccio Mcndagurinowi, zmarłemu kapitanowi Billowi Nagelowi, Kevinowi O'Brienowi, Peterowi Thompsonowi oraz lekarzowi, który zajmował się mną w komorze hiperbarycznej - za wysiłek, jaki musieli podjąć z mego powodu.

Na koniec pragnę podziękować mojej żonie Dianie i naszemu synowi Gilowi za ich cierpliwość, wsparcie i miłość.

Żałuję, że na okładce nie znalazły się nazwiska wszystkich, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Naturalnie wszelkie błędy powstały tylko z mojej winy.



RECENZJE

OSTATNIE NURKOWANIE

Nurkując równie głęboko, co najodważniejsi nurkowie wojskowi, ale bez zaawansowanego zaplecza technicznego, jakim dysponuje wojsko, ojciec i syn eksplorowali królestwo równie obce, co przestrzeń kosmiczna. Kierując się wyłącznie przyjemnością płynącą z poszukiwania, wyruszyli w hipnotyzującą przygodę, płacąc za to najwyższą cenę.

– SHERRY SONTAG, współautor bestselleru *New York Timesa: Blind Man's bluff*

Czytając *Ostatnie Nurkowanie*, miałem wrażenie, jakbym znajdował się dziesiątki metrów pod powierzchnią oceanu. Miewałem sny, w czasie których czułem nacisk ciśnienia i unosiłem się w bezkresnym pięknie. To świetnie opowiedziana historia, kiedy ją rozpocząłem, ledwie mogłem się z niej wynurzyć, by zaczerpnąć powietrza.

– DANIEL HAYS, współautor bestselleru *New York Timesa: My old man and the sea*

Pełna szczegółów i utrzymana w dramatycznym tempie historia sprawnie opowiedziana z kompetencją, którą można nabyć tylko dzięki osobistemu doświadczeniu.

– PATRIC DILLON, autor *Lost at Sea*

Ta książka dostarczyła mi więcej emocji, niż jakiegokolwiek nurkowanie, które sam przeprowadziłem. Bernie Chowdhury jest prawdziwym, współczesnym poszukiwaczem, który bada nie tylko zatopione statki, ale również umysły ludzi, gotowych zaryzykować życiem dla podmorskich eksploracji. Kulminacyjne, ostatnie nurkowanie pozbawiło mnie tchu, podobnie jak nurków, o których losach opowiada.

– DR KENNETH KAMPLER, wiceprzewodniczący Explorers Club

Dystrybucja: CN HOPDIVERS
ul. Graniczna 4 lok 7a, 00-630 Warszawa
tel +48 601 505054
www.hopdivers.pl

